

David Baldacci urodził się w 1960 roku w Richmond w stanie Wirginia. Po ukończeniu nauk politycznych i historii na Virginia Commonwealth University studiował prawo na University of Virginia. W latach 1986-95 mieszkał w Waszyngtonie, gdzie praktykował jako adwokat i konsultant prawny. Z kariery prawniczej zrezygnował w 1995 roku, gdy otrzymał honorarium w wysokości dwóch milionów dolarów za prawa do swojej pierwszej powieści „Władza absolutna”. Książka ukazała się w USA na początku 1996 roku nakładem wydawnictwa Warner Books; przez ponad 4 miesiące nie schodziła z pierwszej dziesiątki amerykańskich list bestsellerów. Jej przekłady ukazały się w 20 krajach świata. W 1997 roku na ekrany kin trafił film oparty na powieści Baldacciego; główne role zagrał w nim Gene Hackman i Clint Eastwood, który podjął się także funkcji reżysera. Kolejne książki Baldacciego „Pełna kontrola” (*Total Control*, 1997) i *The Winner* (1998) dowiodły, że popularność pisarza systematycznie rośnie. Wkrótce ukaże się jego nowy thriller *The Simple Truth*.

David Baldacci mieszka w Alexandrii (stan Wirginia) z żoną Michelle i dwójką dzieci.

# DAVID BALDACCII

## Pełna kontrola

*Spencer,  
jedynej dziewczynce na świecie,  
która w odstępie kilku chwil potrafi wprawić mnie  
w tak ekstatyczną radość i tak niepohamowany gniew.  
Tatusz kocha cię całym sercem*

### Podziękowania

Napisanie „Pełnej kontroli” wymagało ogromu żmudnej pracy badawczej i mnóstwa specjalistycznych informacji, które szczęśliwie udało mi się uzyskać dzięki pomocy i wysiłkowi wymienionych poniżej osób. Im właśnie, za ich wkład, pragnę niniejszym złożyć najserdeczniejsze podziękowania.

Mojej przyjaciółce Jennifer Steinberg za to, że nie szczędziła własnego czasu przy wyszukiwaniu odpowiedzi na wszystkie ezoteryczne i niebywale skomplikowane pytania, którymi zasypywałem ją bez ustanku. Nie znam drugiego tak zaangażowanego naukowca.

Mojemu przyjacielowi Tomowi DePont z NationsBank za wprowadzenie w zagadnienia bankowości i podsuniecie wielu nieocenzurowanych pomysłów realistycznego scenariusza finansowej malswersacji. Mojemu przyjacielowi Marwinowi McIntyre z domu maklerskiego Legg Mason oraz jego koledze Paulowi Montgomeryemu za wnikliwe uwagi i pomoc z zakresu wiedzy o funkcjonowaniu Zarządu Rezerwy Federalnej (FED) oraz polityce inwestycyjnej.

Dr Catharine Broome, drogiej przyjaciółce i wspaniałej lekarce, za fachową konsultację oraz zaznajomienie mnie ze specjalistycznym leczeniem nowotworów. A także za to, że wspólnie z mężem Davidem przekazała mi całą swoją wiedzę o Nowym Orleanie.

Mojemu wujowi Bobowi Baldacciemu za dostarczanie stosów materiałów i cierpliwe odpowiadanie na niezliczone pytania do-

tyczące zasady działania odrzutowców oraz funkcjonowania portu lotniczego i organizacji pracy obsługi naziemnej.

Mojemu kuzynowi Steve'owi Jenningsowi za przeprowadzenie

7

mnie przez labirynt techniki komputerowej i meandry Internetu. Jego żonie Mary, która powinna poważnie zastanowić się nad karierą wydawcy. W ostatecznej wersji powieści uwzględnionych zostało wiele z jej wnikliwych uwag. A także doktorowi Peterowi Aikenowi z Virginia Commonwealth University za wprowadzenie w zawilości podróżowania poczty elektronicznej (e-mail) po Internecie.

Neilowi Schiffowi, dyrektorowi prasowemu FBI, za zorganizowanie wycieczki po Hoover Building i odpowiedzi na moje pytania dotyczące działalności Biura.

Larry'emu Kirshbaumowi, Maureen Egen i innym pracownikom Warner Books za cały ich wkład. Odmieniliście moje życie tak bardzo, że czuję się zobowiązany wspominać o was w każdej swojej powieści, by tym dobitniej wyrazić wam swoją wdzięczność.

Szczególne podziękowania należą się Frances Jalet-Miller z Aaron Priest Agency, mojemu wydawcy i przyjaciółce. Dzięki jej wnikliwym komentarzom „Pełna kontrola” jest nieporównywalnie lepsza niż w pierwotnym kształcie.

#### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mieszkancko było małe i nieciekawe, a wyraźnie wyczuwalna woń stęchlizny sugerowała, że od dawna stoi opuszczone. Jednak nieliczne sprzęty i rzeczy osobiste utrzymane były w czystości i porządku; kilka krzeseł i niewielki stolicek były bez wątpienia wysokiej klasy antykami. Najwięcej miejsca w malutkim living roomie zajmowała misternej roboty biblioteczka z drewna klonowego, która tak dalece nie pasowała do tego skromnego, nijakiego otoczenia, że równie dobrze mogłaby stać na Księżycu. Wśród książek ustawionych równiutko na półkach przeważały pozycje o tematyce finansowej, dotyczące takich zagadnień jak międzynarodowa polityka walutowa i kompleksowe teorie inwestowania.

Jedynym źródłem światła była tu lampa stojąca na podłodze obok sfatygowanej kanapy. Skąpy łuk iluminacji obejmował wysokiego mężczyznę o wąskich ramionach, który siedział na tej kanapie z przymkniętymi oczyma i zdawał się drzemać. Płaski zegarek na jego przegubie wskazywał czwartą nad ranem. Mankiety spodni od tradycyjnego szarego garnituru opierały się o błyszczące czarne buty. Szelki w kolorze myśliwskiej zieleni kontrastowały ze śnieżną bielą wizytowej koszuli. Po obu stronach rozpiętego pod szyją kołnierzyka zwisały luźno końce rozwiązanego krawata. Wielka łysa głowa mężczyzny była niejako tłem dla przyciągającej wzrok gęstej, stalowosiwej brody, która okalała szeroką twarz o ostrych rysach. Gdy jednak mężczyzna uniósł niespodzianie powieki, wszystkie pozostałe cechy jego powierzchowności zeszły na dalszy plan: oczy miał koloru kasztanowego, przeszywające; sunąc po pokoju, zdawały się nabrzmiewać i występować z orbit.

9

Ból zaatakował zniecka. Mężczyzna chwycił się za lewy bok; właściwie bolało go teraz wszystko, ale źródło tego bólu zlokalizowane było w miejscu, które z taką dziką i daremną zapamiętałością uciskał w tej chwili dłońią. Oddychał spazmami, grymas cierpienia wykrzywił mu twarz.

Zsunął rękę na aparacik przy pasku. Obudowa była wielkości i kształtu walkmana i mieściła sterowaną komputerowo pompę

dozującą CADD, od której odbiegała ukryta pod koszulą rurka Groshonga. Drugi koniec rurki nikał w torsie. Mężczyzna namacał palcem właściwy przycisk i mikroprocesor sterujący pracą pompy CADD odmierzył bezzwłocznie silną porcję środka przeciwbólowego, przekraczającą znacznie dawki, jakie zwykle aplikował sobie w ciągu całego dnia. Kombinacja leków podana bezpośrednio do krwiobiegu uśmierzyła ból. Ale on powróci — zawsze wracał.

Mężczyzna opadł wyczerpany na oparcie kanapy. Zimny pot zraszał mu twarz, przesiąkał przez świeżo upraną koszulę. Dzięki Bogu za tę wbudowaną na specjalne życzenie funkcję pompy, pomyślał. Był niewiarygodnie wytrzymały na ból, siłą woli potrafił zmóc wszelkie fizyczne dolegliwości, ale bestia, która pożerała go teraz od środka, odkrywała przed nim zupełnie nowy poziom fizycznej udręki. Ciekawe, co nadejdzie pierwsze: śmierć czy ostateczna porażka lekarstw w walce wręcz z wrogiem? Modlił się o to pierwsze.

Arthur Lieberman dźwignął się z kanapy, powlókł do łazienki i przejrzał się w lustrze. Spoglądając w nie, wybuchnął histerycznym śmiechem. W końcu ten niekontrolowany wybuch przeszedł w szloch, a potem w zdławione spazmy wymiotów. Kilka minut później Lieberman, zmieniawszy koszulę, patrzył już beznamiętnie na swoje odbicie w lustrze i spokojnie wiązał krawat. Upředzono go, że może doznawać gwałtownej huśtawki nastrojów. Pokręcił głową.

Zawsze tak o siebie dbał. Ćwiczył regularnie, nigdy nie palił, nigdy nie pił, przestrzegał diety. Teraz, w kwiecie wieku, licząc sobie lat sześćdziesiąt dwa, wiedział, że sześćdziesiątego trzeciego roku już nie dożyje. Potwierdziło to tylu specjalistów, że w końcu skapitulować musiała nawet potężna wola życia Liebermana. Ale nie odejdzie po cichu. Ma jeszcze w rękawie jedną kartę do rozegrania. Uśmiechnął się na myśl, że nadciągająca śmierć daje mu pole manewru nieosiągalne dla człowieka cieszącego się dobrym zdrowiem. Jego nieposzlakowaną karierę zakończy, o ironio, taka zgrzytliwa, nieszlachetna nuta. Ale fale wstrząsowe,

10

jakie wywoła swoim zejściem z tego świata, były tego warte. Co mu zależy? Skręcił do małej sypialni, żeby zerknąć na stojące na biurku fotografie: Łzy napłynęły mu do oczu i szybko stamtąd wyszedł.

Punktualnie o piątej trzydzieści rano Lieberman opuścił mieszkanie i zjechał małą windą na parter. Przed wejściem do budynku czekała crown victoria z rządowymi tablicami rejestracyjnymi, które lśniły bielą w blasku ulicznych latarni. Silnik pracował na jałowym biegu. Na widok Liebermana szofer wyskoczył szybko z wozu i otworzył drzwiczki. Zasalutował do daszka czapki, ale jak zwykle nie doczekał się żadnej reakcji. Po chwili limuzyna ruszyła i zniknęła w głębi ulicy.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wóz wiozący Liebermana włączał się do ruchu na Beltway, z hangaru na lotnisku międzynarodowym Dullesa wytaczano samolot pasażerski mariner L800 przygotowywany do bezpośredniego lotu do Los Angeles. Zakończono już kontrolę techniczną, następny punkt procedury przewidywał tankowanie. Western Airlines zlecały tankowanie swoich maszyn zakontraktowanej firmie. Pod prawym skrzydłem zatrzymała się przysadzista, pękata cysterna. W standardowej konfiguracji, zbiorniki paliwa w odrzutowcach L800 zlokalizowane są w obu skrzydłach oraz w kadłubie. Po zdjęciu osłonowej płyty poszycia, do zaworu wlewu paliwa usytuowanego od spodu skrzydła, mniej więcej w jednej trzeciej jego długości licząc od

kadłuba, podłączono długi wąż. Poprzez ten jeden zawór za pośrednictwem rozgałęźnego systemu rur napełniane są wszystkie trzy zbiorniki. Nad przetaczaniem łatwopalnej mieszanki do zbiorników czuwał pompierz w grubych rękawicach i usmarowanym kombinezonie. Rozejrzył się flegmatycznie po wzmagającej się wokół samolotu krzątaninie: ładowano pocztę i zafrachtowane przesyłki, od strony terminalu nadjeżdżały słalodem wózki bagażowe. Pompierz, upewniwszy się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, spryskał fragment zbiornika paliwa wokół zaworu wlewowego jakąś substancją z plastikowego pojemniczka. Powierzchnia metalu w tym miejscu natychmiast lekko zmatowiała. Przy bliższych oględzinach można by się tam dopatrzeć tego zmatowienia, ale do takich oględzin nie dojdzie. Nawet mechanik pokładowy dokonujący obchodu w ramach kontroli przedstartowej nie odkryje małej niespodzianki czającej się w trzewiach ogromnej maszyny. Mężczyzna schował plastikowy pojemniczek do kieszeni kombinezonu. Z drugiej kieszeni wyciągnął płaski, prostokątny obiekt i wsunął rękę do wnętrza skrzydła. Kiedy ją cofnął, była już pusta. Tankowanie dobiegło końca, wąż został zwinięty z powrotem na cysternie, a płyta poszycia skrzydła na powrót założona. Cysterna odjechała do następnej maszyny. Mężczyzna tylko raz obejrzał się na L800. Kończył zmianę o siódmej trzydzieści rano. Nie zamierzał pozostawać w pracy ani minuty dłużej.

Ważący 220 000 funtów mariner L800 oderwał się lekko od pasa startowego i przebił wczesnoporaną powłokę chmur. L800 to wąskokadłubowy turboodrzutowiec napędzany dwoma dwuprzepływowymi silnikami rolls-royce'a, najbardziej zaawansowana technologicznie z eksploatowanych obecnie maszyn pasażerskich, ustępująca osiągnięciom jedynie samolotom U.S. Air Force.

Na pokładzie Rejsu 3223 znajdowało się 174 pasażerów i siedmioosobowa załoga. Samolot piał się szybko nad Wirginią na wysokość podróżną wynoszącą trzydzieści pięć tysięcy stóp. Pokładowy komputer nawigacyjny szacował czas przelotu do Los Angeles na pięć godzin i pięć minut.

Jeden z pasażerów pierwszej klasy czytał *Wall Street Journal*. Wodząc oczami po stronach wypełnionych informacjami finansowymi, gładził machinalnie dłonią bujną, stalowosiwą brodę. W pewnej odległości od niego siedzieli w ciszy pasażerowie klasy turystycznej — jedni z rękami założonymi na piersi, inni z przymkniętymi powiekami, jeszcze inni zatopieni w lekturze gazet i czasopism. Starsza kobieta przebierała w palcach paciorki różańca i poruszając bezgłośnie ustami powtarzała znajome słowa litanii.

L800 wspiął się wreszcie na wysokość trzydziestu pięciu tysięcy stóp, wyrównał lot i kapitan powitał zwyczajowo podróżnych przez system nagłaśniający, a stewardesy przystąpiły do rutynowych zajęć.

Nagle wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę, przywabione czerwonym rozbłyskiem po prawej stronie maszyny. Ci, którzy siedzieli przy oknach od tej strony, z przerażeniem patrzyli, jak poszycie prawego skrzydła wybrzusza się i pruje, jak pryskają nity. W ciągu kilku sekund dwie trzecie skrzydła oderwało się i znikło, unosząc ze sobą prawy silnik rolls-royce'a. Paliwo z przełamanej zbiornika chlusnęło na kadłub, poprzerywane przewody

12

hydrauliczne i kable targane prądem powietrza furkotały na końcu kikuta skrzydła niczym poszarpane żyły.

L800 przekreślił się momentalnie na plecy i w kabinie zapanał chaos. Wszyscy krzyczeli. Maszyna pozbawiona całkowicie sterowności pędziła po niebie jak gnany wiatrem kłęb chwastów.

Siła ciężenia gwałtownie wyrwała pasażerów z foteli. Dla większości z nich upadek na sufit zakończył się fatalnie. Fale uderzeniowe powietrza powyrywały zamki klap przedziałów bagażowych. Na pasażerów posypały się ciężkie torby i walizy. Towarzyszyły temu jęki i okrzyki bólu.

Starszej kobiecie różaniec wyslizgnął się z rąk i upadł na podłogę, którą stanowił teraz sufit lecącego do góry brzuchem samolotu. Kobieta oczy miała szeroko otwarte, ale nie ze strachu. Należała do garstki szczęśliwców: od przeżywania piekła, które miało trwać jeszcze kilka minut, wybawił ją atak serca.

Dwusilnikowe samoloty pasażerskie mogą latać na jednym tylko silniku, ale żadna maszyna nie utrzyma się w powietrzu bez jednego skrzydła. Zdarność do lotu Rejsu 3223 uległa nieodwracalnemu unicestwieniu. L800 wszedł w pionową spiralę śmierci.

W kokpicie okaleczonego samolotu, który niczym igła przeszyciwała bawełnę pikował przez pąwkę chmur, dwaj piloci walczyli rozpaczliwie ze sterami. Choć nie w pełni świadomi natury katastrofy, zdawali sobie jednak sprawę, że życie wszystkich na pokładzie znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Usiłując gorączkowo odzyskać kontrolę nad maszyną, modlili się jednocześnie w duchu, by w locie nurkowym ku ziemi nie zderzyć się z innym samolotem.

— Boże! — Kapitan śledził z niedowierzaniem spadające na łeb, na szyję wskazania wysokościomierza.

Ani najdoskonalszy system awioniki na świecie, ani najkunsztowniejszy pilotaż nie były już w stanie odwrócić przerażającej prawdy: lada moment wszyscy znajdujący się w tym samolocie zginą. Jak to bywa w prawie każdej katastrofie lotniczej, pierwsi zejść z tego świata piloci — ale pasażerowie podążą w ich ślady zaledwie ułamek sekundy później.

Lieberman, z rozdziawionymi szeroko ustami i niedowierzaniem w wychodzących z orbit oczach, ścisnął kurczowo poręczę fotela. Dziób samolotu ustawił się na szóstą, a on wlepił wzrok w oparcie fotela pod sobą i czuł się jak na absurdalnej diabelskiej kolejce. Na swoje nieszczęście miał zachować świadomość aż do ostatecznego momentu: Odejdzie ze świata żywych kilka miesięcy

13

przed czasem i niezupełnie tak, jak sobie zaplanował. Kiedy samolot wszedł w ostatnią fazę upadku, z jego ust wyrwało się nieludzkie wycie, które zagłuszyło wszystkie inne przerażające odgłosy wypełniające kabinę:

— Neeeeeeee!

## ROZDZIAŁ DRUGI

### WASZYNGTON, D.C., STREFA STOŁECZNA, MIESIĄC PÓŹNIEJ

Jason Archer w brudnej koszuli i przekrzywionym krawacie przekopywał się przez zawartość stosów kartonowych pudeł. Obok stał laptop. Co kilka minut Jason wyciągał ze sterty papierzyk jakąś kartkę i ręcznym skanerem kopiował jej treść do komputera. Strużki potu ściekały mu po nosie. W magazynie, w którym się znajdował, panowała okropna duchota. Z jakiegoś nieokreślonego punktu ogromnej hali dobiegło wołanie:

— Jason, jesteś tu?

Jason zamknął szybko karton, w którym akurat grzebał, zatrzasnął wieko laptopa i wsunął go w szczelinę między stertami pudeł. Kilka sekund później wołający go mężczyzna stał już obok niego. Quentin Rowe był wąski w ramionach, mierzył około metra siedemdziesięciu wzrostu i ważył jakieś siedemdziesiąt

kilogramów. Miał pozbawioną zarostu twarz i nosił owalne okulary. Długie, rzadkie blond włosy wiązał w kucyk. Ubrany był na sportowo, w wypłowiałe dzinsy i białą bawełnianą koszulę, z kieszonki której sterczała antenka telefonu komórkowego. Ręce trzymał w kieszeniach.

— Przejeżdżałem tędy i pomyślałem sobie, że wpadnę. Jak idzie?

Jason wstał i przeciągnął się. Był wysoki i dobrze zbudowany.

- Prawie gotowe, Quentin, prawie gotowe.
- Sprawa przejścia CyberComu pomału dojrzewa i żądają na gwałt dokumentacji finansowej. Ile ci to jeszcze zajmie? — Rowe, chociaż siłił się na beztroski ton, był wyraźnie podekscytowany.

Jason spojrzął na sterty pudeł.

- Z tydzień, góra dziesięć dni.
- Na pewno?

Jason kiwnął głową, otrząpął dłonie i dopiero teraz spojrzął na Rowe'a.

14

— Możecie na mnie liczyć, Quentin. Wiem, jakie nadzieje wiążecie z wchłonięciem CyberComu.

Lekki skurcz wywołany poczuciem winy przebiegł Jasonowi między łopatkami, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

Rowe trochę się odprężył.

- Nie zapomnimy ci tego, Jason. Tego i roboty przy archiwizacji. Gamble, choć nie bardzo się na tym wszystkim wyznaje, był pod wielkim wrażeniem.

- Tak, ta operacja chyba nieprędko pójdzie w zapomnienie — zgodził się z nim Jason.

Rowe z niedowierzaniem w oczach rozejrzał się dookoła.

— I pomyśleć, że zawartość całego tego magazynu można swobodnie pomieścić naporu dyskietkach. Co za marnotrawstwo.

Jason uśmiechnął się.

— Tak, Nathana Gamble'a nie da się nazwać entuzjastą informatyki.

Rowe parsknął pogardliwie.

- Jego operacje inwestycyjne wygenerowały co prawda mnóstwo papieru, Quentinie — ciągnął Jason — ale przyniosły mu sukces. Ten człowiek zarobił górę pieniędzy.

- Właśnie, Jasonie. To nasza jedyna nadzieja. Gamble czuje finanse. Jeśli wypali ta sprawa z CyberComem, inni będą przy nas wyglądać jak karzelki. — Rowe spojrzął z uznaniem na Jasona. — Wspaniała przyszłość przed tobą, jeśli wywiązesz się jak należy z zadania.

Oczy Jasona zabłyśły lekko. Uśmiechnął się do kolegi.

— Czytasz w moich myślach.

Jason Archer wsiał do forda explorera od strony pasażera, pochylił się i cmoknął żonę w policzek. Sidney Archer była wysoką blondynką o klasycznych rysach, które zaokrągliły się nieco po wydaniu na świat ich córeczki. Wskazała ruchem głowy na tylną kanapę. Jason spojrzął z uśmiechem na dwuletnią Amy, która spała twardo w dziecięcym foteliku bezpieczeństwa, tuląc do siebie Kubusia Puchatka.

- Miała długi dzień — powiedział rozwiązując krawat.

- Nie tylko ona — odparła Sidney. — Myślałam, że te pół etatu w firmie prawniczej będzie jak bułka z masłem, ale teraz mam wrażenie, że upycham pięćdziesięciogodzinny tydzień pracy w trzech dniach. — Pokręciła ze znużeniem głową i ruszyła.

Zostawiali za sobą gmach światowego centrum firmy Trilon Global, w której pracował jej mąż, niekwestionowanego światowego lidera w dziedzinie technik informatycznych, od sieci komputerowych poczynając, a na oprogramowaniu edukacyjnym dla dzieci kończąc.

Jason z czułością uściśnił dłoń żony.

— Wiem, Sid. Wiem, że ci ciężko, ale wkrótce **będę** może miał dla ciebie pomyślnie wieści... może będziesz mogła wycofać się na dobre z życia zawodowego.

Spojrzała na niego.

• Napisałeś program komputerowy typujący właściwe liczby w lotto?

• Lepiej. — Przez jego przystojną twarz przemknął uśmiech.

• No, teraz to już mnie naprawdę zaintrygowałeś. Co to takiego?

Pokręcił głową.

— Nic z tego. Nie powiem, dopóki nie będę miał pewności.

— Jason, nie rób mi tego.

Poklepał ją po dłoni.

— Ty wiesz, że dochowywanie tajemnic to moja specjalność.

A ja wiem, że uwielbiasz niespodzianki.

Zatrzymała się na czerwonym świetle i spojrzała na niego.

• Uwielbiam też rozpakowywać prezenty pod choinką. Nie bądź wiśnią, mów.

• Nie teraz, nie nalegaj. Hej, a może wybralibyśmy się gdzieś dzisiaj wieczorem?

• Jestem bardzo dobrym prawnikiem, więc nie próbuj odbiegać od tematu. Poza tym nasz budżet na ten miesiąc nie przewiduje jadania poza domem. Żądam szczegółów. — Trąciła go żartobliwie łokciem i ruszyła spod zielonego światła.

• Już niedługo, Sid. Obiecuję. Ale nie teraz, dobrze? — powiedział poważniejszym już tonem, jakby żałował, że w ogóle poruszył ten temat. Spojrzała na niego. Wyglądał przez okno. Na jej twarzy odmalował się ślad niepokoju. Przeniósł na nią wzrok i zauważywszy to zaniepokojenie przyłożył jej dłoń do policzka i mrugnął. — Kiedy się pobieraliśmy, przyrzekłem ci cały świat, prawda?

• Dałeś mi cały świat, Jasonie. — Zerknęła na odbicie Amy we wstecznym lusterku. — A może nawet więcej.

Pogładził ją po ramieniu.

— Kocham cię, Sid, ponad życie. Zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Nadejdzie dzień, kiedy ci to dam.

16

Uśmiechnęła się do niego, ale kiedy ponownie odwrócił głowę, by spojrzeć za okno, na jej twarz powróciło z troską.

Mężczyzna pochylał się nad komputerem, jego twarz od ekranu monitora dzieliło zaledwie parę cali. Palce bębniące zapamiętałe w klawisze przypominały zespół miniaturowych młotów pneumatycznych. Sfatygowana klawiatura zdawała się rozsypywać pod tym zmasowanym atakiem. Cyfrowe obrazy przepływały przez ekran tak szybko, że oko za nimi nie nadążało. Wokół nieprzenikniona czerń. Pracującemu przy komputerze mężczyźnie przyświecała jedynie słaba lampka zwisająca z sufitu. Chociaż temperatura w pomieszczeniu nie była wysoka, twarz zraszały mu gęste krople potu. Otarł twarz, kiedy pot spłynął mu pod okulary i zaszczypał w zmęczone oczy.

Pochłonięty pracą nie zauważył, że drzwi do pokoju otwierają się powoli. Nie usłyszał też kroków trzech intruzów wchodzących do środka i stąpających cicho po puszystym dywanie, dopóki tamci nie zatrzymali się tuż za jego plecami. Poruszali się nie-

spiesznie, biła od nich pewność siebie.

Mężczyzna przy komputerze obejrzał się. Ręce i nogi zaczęły mu drżeć; wiedział, co go czeka.

Nie będzie miał nawet czasu krzyknąć.

Trzasnęły równocześnie spusty, iglice uderzyły w spłonki, pistolety huknęły w ogłuszającym unisono.

Jason Archer poderwał się w fotelu, w którym zasnął. Twarz zlewał mu prawdziwy pot. Znowu ten cholerny sen. Rozejrzał się szybko. Sidney drzemała na kanapie, w tle mruczał telewizor. Wstał, okrył żonę kocem i przeszedł do pokoju Amy. Dochodziła północ. Wsunąwszy głowę przez uchylone drzwi usłyszał, jak mała rzuca się i wierci przez sen. Podeszedł do łóżeczka i przyglądał się jej przez chwilę. Pewnie miała zły sen, kto wie, czy nie związany z tatusiem. Dotknął delikatnie czoła córeczki, wziął ją na ręce i zaczął kołysać w mroku. Po paru minutach Amy uspokoiła się. Jason okrył ją i pocałował w policzek. Wstąpił jeszcze do kuchni, napisał na karteczce wiadomość dla żony, położył ją na stoliku przy kanapie, na której drzemała, wyszedł do garażu i wsiał do starego coguara.

Wycofując wóz z garażu, zobaczył w oknie Sidney z jego karteczką w ręku. Kiedy czerwone światła pozycyjne samochodu zniknęły w głębi ulicy, Sidney odwróciła się od okna i jeszcze

17

raz przeczytała notatkę. Jason informował, że pojechał do biura, bo ma tam jakąś pilną robotę do skończenia. Postara się wrócić jak najszybciej. Zerknęła na zegar na kominku. Dochodziła północ. Zajrzała do Amy, po czym nastawiła wodę na herhalę. Nagle w jej głowie zrodziło się straszne podejrzenie. Oparła się ciężko o blat kuchennej szafki. Nie po raz pierwszy budziła się i stwierdzała, że mąż, zostawiwszy jej karteczkę, wyjeżdża do pracy.

Zaparzyła herbatę, a potem pod wpływem impulsu wbiegła po schodach do łazienki na piętrze i przejrzała się w lustrze. Twarz miała trochę pełniejszą niż w dniu ślubu. Zrzuciła z siebie szlafrok i bieliznę. Obejrzała się od przodu, z boku i wreszcie od tyłu, oglądając dokładnie w ręcznym lusterku odbicie tej części swojego ciała, która przysparzała jej najwięcej powodów do niepokoju. Cięża zrobiła swoje: brzuch dosyć dobrze się po niej zregenerował, ale pośladki nie były już tak jędrne. Czy te piersi nie zaczynają obwisać? Biodra jakby szersze. Jak to po porodzie. W przyplwywie depresji przyszczypała palcami milimetrowy nadmiar skóry na podbródku. Jason miał ciało twarde jak żelazo, nic się nie zmieniło od czasu, kiedy się poznali. Godna pozazdroszczenia kondycja fizyczna i klasyczna uroda męża stanowiły tylko cząstkę atrakcyjnego opakowania dla wybitnego intelektu. Opakowanie to było bez wątpienia bardzo atrakcyjne dla każdej kobiety. Sunąc palcem po linii szczęki uświadomiła sobie nagle, co robi. Inteligentna, wzięta prawniczka taksuje swoje ciało jak kawałek mięsa, wedle kryteriów oceny stosowanych przez pokolenia mężczyzn wobec płci pięknej. Włożyła z powrotem szlafrok. Jest przecież atrakcyjna. Jason ją kocha. Pojechał po prostu do pracy, by nadrobić jakieś zaległości. Szybko pnie się po szczeblach kariery i wkrótce spełnią się ich marzenia. On założy własną firmę, a ona rzuci pracę i cały swój czas poświęci Amy oraz następnym dzieciom, które planowali. Nieważne, że niektórzy zaczną uważać ją za typową kurę domową. Taki właśnie styl życia sobie wymarzyli. A Jason, wierzyła w to święcie, pracuje teraz w pocie czoła, żeby to marzenie urzeczywistnić.

W chwili, gdy Sidney kładła się do łóżka, Jason Archer wszedł



do budki telefonicznej i wystukał zapamiętany dawno temu numer. Słuchawkę podniesiono niemal natychmiast.

— Witam, Jasonie.

18

- Trzeba z tym szybko skończyć, bo ja już nie wyrabiam.
- Znowu złe sny? — Rozmówca starał się nadać swemu głosowi ton współczujący i protekcyjny zarazem.
- Niech ci się nie wydaje, że one przychodzą i odchodzą. Prześladują mnie bez przerwy — odparł szorstko Jason.
- To już nie potrwa długo.
- Jesteś pewien, że mnie nie namierzili? Wydaje mi się, że wszyscy mnie śledzą.
- To normalne, Jasonie. Ale gdybyś rzeczywiście był w niebezpieczeństwie, wiedzielibyśmy o tym, wierz mi. Nie robimy tego pierwszy raz.
- Wierzę. Mam tylko nadzieję, że ta wiara się sprawdzi — odparł Jason. — Cholera, nie mam w tym wprawy. Nerwy mi puszczają.
- Rozumiemy to. Nie denerwuj się. Jak powiedziałem, to nie potrwa długo. Jeszcze parę pozycji, i będziesz wolny.
- Nie rozumiem, dlaczego nie można poprzestać na tym, co do tej pory zdobyłem.
- Jasonie, zastanawianie się nad takimi rzeczami nie należy do twoich obowiązków. Chcemy pokopać trochę głębiej i musisz się z tym pogodzić. Głowa do góry. Nie jesteśmy w tych sprawach nowicjuszami, wszystko zaplanowaliśmy. Rób tylko, co do ciebie należy, a wszystko będzie dobrze. Nic się nikomu nie przytrafi.
- Dziś wieczorem kończę. Ta sama skrzynka kontaktowa?
- Nie. Tym razem wymiana odbędzie się osobiście.
- Dlaczego? — zdziwił się Jason.
- Zbliżamy się do końca i każdy błąd może rozłożyć całą operację. Choć nie mamy powodu sądzić, że namierzili ciebie, to nie możemy być całkowicie pewni, że nie obserwują nas. Pamiętaj, że wszyscy ryzykujemy. Korzystanie ze skrzynek kontaktowych jest zazwyczaj bezpieczne, ale wiąże się z możliwością popełnienia błędu. Osobiste przekazywanie materiałów na innym terenie, z udziałem nowych ludzi, eliminuje tę możliwość. Jest to również bezpieczniejsze dla ciebie i twojej rodziny.
- Mojej rodziny? A co oni mają z tym wspólnego?
- Nie bądź naiwny, Jasonie. Gra idzie o wysokie stawki. Od samego początku nie kryliśmy przed tobą, że to ryzykowne. To okrutny świat. Rozumiesz?
- Posłuchaj...
- Wszystko będzie dobrze. Przestrzegaj tylko instrukcji. Co do joty. — Te ostatnie trzy słowa zostały wypowiedziane ze

szczególnym naciskiem. — Chyba nikomu nie powiedziałeś.  
Zwłaszcza żonie?

- Nie. Komu miałbym powiedzieć? Kto by mi uwierzył!'
  - Zdziwiłbyś się. Pamiętaj o jednym: każdy, komu powiesz, znajdzie się w takim samym niebezpieczeństwie jak ty.
  - To dla mnie nie nowina — odburknął Jason. — Przejdźmy może do rzeczy.
  - Nie teraz. Kontakt tymi samymi co zwykle kanałami. Trzymaj się, Jasonie. Widać już światełko w tunelu.
  - Miejmy tylko nadzieję, że tunel nie runie mi na łeb, zanim do tego światełka dotrę.
- Odpowiedzią był stłumiony chichot, po czym połączenie zostało przerwane.

Jason wysunął kciuk ze skanera odcisku palca, powiedział swoje nazwisko do wpuszczonego w ścianę mikrofonu i czekał cierpliwie, aż komputer porówna odcisk jego kciuka i głos z wzorcami przechowywanymi w swoich bazach danych. Skinął z uśmiechem głową umundurowanemu strażnikowi, który siedział za wielką konsolą zajmującą środek recepcji na ósmym piętrze. Wysokie na stopę srebrne litery na ścianie za szerokimi barami strażnika układały się w nazwę firmy: TRITON GLOBAL.

— Szkoda, że nie możesz mnie wpuścić bez tego całego zwracania głowy, Charlie — mruknął Jason.

Strażnik był zwalistym, łysym, wyszczekany Murzynem po sześćdziesiątce.

- Cholera, Jason, a skąd ja mam wiedzieć, czy nie jesteś Saddamem Husajnem w przebraniu? W dzisiejszych czasach wygląd zewnętrzny o niczym nie świadczy. A swoją drogą ładny sweterek, Saddamie. — Charlie zachichotał. — Poza tym dla czego taka poważna firma miałaby się zdawać na takiego maluczkiego strażnika jak ja, skoro dysponują wszystkimi tymi gadżetami, które mówią im, kto jest kim? Teraz rządzą komputery, Jason. Ludzie już się nie liczą.

- Nie załamuj się, Charlie. Technika ma też swoje dobre strony. Słuchaj, a może byśmy się tak zamienili na jakiś czas posadami? Kto wie, czybyś nie zasmakował w mojej? — Jason uśmiechnął się.

- Już to widzę, Jason. Ja się bawię tymi zabawkami za miliony dolarów, a ty co pół godziny sprawdzasz w toaletach, czy nie

## 20

siedzi tam jakiś zbrodzień. Nawet nie kazałbym ci się przebierać w mundur. Rzecz jasna zamieniając się posadami zamieniamy się również pensjami. Nie byłoby sprawiedliwie, gdybyś nie zakosztował tej manny z nieba w postaci siedmiu doliców na godzinę.

— Marnujesz się za tym pulpitem, Charlie.

Charlie roześmiał się i powrócił do obserwowania monitorów wmontowanych w swoją konsolę.

Masywne drzwi otworzyły się cicho i Jason przekroczył próg. Idąc korytarzem, wyciągnął z kieszeni płaszcza plastikowy prostokąt przypominający kartę kredytową.

Zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami i przesunął kartę przez szczelinę metalowej skrzyneczki przytwierdzonej do framugi. Wtopiony w kartę mikroprocesor skonsultował się bezgłośnie ze swoim partnerem w skrzyneczce. Jason dziobnął czterokrotnie palcem wskazującym w znajdującą się obok klawiaturę numeryczną i usłyszał cichy szcęk. Ujął gałkę u drzwi, przekręcił ją i grube drzwi ustąpiły, uchylając się w ciemność.

Na moment oślepiło go zapalające się światło. Szybko zamknął drzwi za sobą. Podwójny rygiel powrócił z cichym trzaskiem na miejsce. Rozejrzał się po schludnie utrzymanym pomieszczeniu. Ręce mu drżały, a serce waliło tak mocno, że jego bicie słychać było z pewnością w całym budynku. Nie robił tego po raz pierwszy. Bynajmniej nie pierwszy. Pozwolił sobie na przelotny uśmiešek na myśl, że za to ostatni. Ostatni bez względu na wszystko. Każdy ma swoje granice wytrzymałości, i on dzisiaj osiągnął swoją.

Podszedł do biurka, usiadł i włączył komputer. Do monitora przymocowany był mały mikrofon na długiej giętkiej szyjce, służący do wydawania komend głosem. Odsunął go niecierpliwym gestem na bok, żeby nie zasłaniał mu ekranu. Siedział przez chwilę prosto z oczyma wlepionymi w monitor i rękoma gotowymi do przypuszczenia szturm na klawiaturę. Potem niczym pianista

przebiegł palcami po klawiszach. Spojrzał na ekran, rozświetlający się instrukcjami, które znał na pamięć. Wprowadził cztery cyfry z klawiatury numerycznej, pochylił się i skupił wzrok na punkcie umiejscowionym w prawym górnym rogu ekranu monitora. Wiedział, że w tym momencie kamera wideo bada elektronicznie tęczęwkę jego prawego oka i przekazuje jej unikalne cechy do centralnej bazy danych, celem porównania z trzydziestoma tysiącami przechowywanych tam wzorców źrenic. Cały proces zajął zaledwie cztery sekundy. Nawet on, Jason Archer, mający na co

21

dzień do czynienia z nieustannym postępem technicznym, musiał czasami pokręcić z podziwem głową nad coraz to nowymi wynalazkami. Skanery tęczęwki wykorzystywano między innymi do ścisłego kontrolowania wydajności pracy. Jason skrzywił się z niesmakiem. Nie ma co, Orwell się chował.

Przeniósł wzrok z powrotem na ekran. Przez następne dwadzieścia minut bębnił zapamiętałe w klawiaturę, przerywając tylko po to, by rzucić okiem na kolejne porcje danych przewijające się przez ekran. Ale system, choć bardzo szybki, miał trudności z nadążaniem za wartkim potokiem jego komend. W pewnym momencie Jason przerwał i obejrzał się, zaalarmowany jakimś hałasem, który dobiegł z korytarza. Znowu ten cholerny sen. To pewnie Charlie na obchodzie piętra. Spojrzał na ekran. Niewiele do tej pory działał. Zwyczajna strata czasu. Spisał na kartce papieru listę nazw plików, wyłączył komputer, wstał, podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Po chwili, uspokojony, odsunął rygle, uchylił drzwi i zamykając je za sobą zgasił światło. Rygle automatycznie powróciły w pozycję blokady.

Ruszył szybko korytarzem. Zatrzymał się na jego końcu, w rzadko uczęszczanej sekcji biura. Drzwi, przed którymi stał, miały zwyczajny zamek. Otworzył go specjalnym narzędziem, wsunął się do środka i zamknął drzwi za sobą. Nie zapalając górnego oświetlenia, włączył małą latarkę, którą wyjął z kieszeni kurtki. Stanowisko komputerowe znajdowało się w przeciwległym kącie pomieszczenia i sąsiadowało z niską szafką na akta, na której piętrzył się wysoki stos kartonowych pudeł.

Odciągnął komputerową stację roboczą od ściany, odsłaniając kable zwisające z tylnej ścianki komputera. Ukłękł, zgarnął wszystkie kable w dłoń i napierając barkiem na szafkę cał po calu przesunął ją kawałek w bok. Ukazało się gniazdko ścienne z kilkoma portami transmisji danych. Podłączył do niego zespół kabli odbiegających od komputera, a potem usiadł przed maszyną i włączył ją. Kiedy komputer budził się do życia, ułożył latarkę na wierzchu jednego z pudeł, kierując jej promień na klawiaturę. Klawiatura nie miała wydzielonej sekcji numerycznej do wprowadzania osobistego kodu dostępu. Nie musiał też spoglądać w prawy górny róg ekranu i czekać na wynik porównania cech źrenicy oka. Z punktu widzenia lokalnej sieci komputerowej Tritona ta stacja robocza nie istniała.

Wyjął z kieszeni karteczkę z nazwami plików i położył ją na klawiaturze, w kręgu światła rzucanego przez latarkę. Nagle wy-

## 22

dało mu się, że za drzwiami coś się poruszyło. Wstrzymując oddech, złapał latarkę, wsadził ją sobie pod pachę i dźgnął palcem przycisk wyłącznika sieciowego. Obraz odpłynął z ekranu monitora w czerń. Pływały minuty, Jason siedział jak skamieniały w ciemnościach. Kropelka potu spłynęła mu leniwie po nosie i zawisła na krawędzi górnej wargi. Nie miał odwagi jej otrzeć. Po pięciu minutach nasłuchiwania zapalił z powrotem latarkę, wyłączył komputer i podjął przerwana pracę. Uśmiechnął się z sa-

tysfakcją, kiedy pod jego natarczywymi kuksańcami padła jedna ze szczególnie opornych ścian ogniowych wewnętrznego systemu bezpieczeństwa, mająca z założenia uniemożliwić osobom nie upoważnionym dostęp do skomputeryzowanych baz danych. Teraz już piorunem wprowadził do komputera nazwy plików z karteczki, a potem wyjął z kieszeni trzypółcalową dyskietkę i wsunął ją do stacji dysków. Po dwóch minutach wyciągnął ją, wyłączył komputer i opuścił pomieszczenie. Pokonał szybkim krokiem labirynt punktów kontrolnych systemu bezpieczeństwa, pożegnał się z Charliem i wyszedł w noc.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Księżycowa poświata wsączała się przez okno wielkiego ciemnego pokoju, wyławiając z mroku kształty niektórych przedmiotów. Na dużym sosnowym biurku stały trzy rzędy oprawnych w ramki fotografii. Na jednej z nich o metalicznie srebrnego jaguara sedana opierała się ubrana w granatowy kostium Sidney Archer. Obok, miłośnie spoglądając jej w oczy, stał Jason Archer w sportowej koszulce i szelkach. Inna fotografia przedstawiała tę samą roześmianą parę pokazującą uniesione kciuki pod wieżą Eiffla.

Na środkowej fotografii Sidney parę lat starsza. Leży na szpitalnym łóżku, twarz ma napuchniętą, mokre włosy przylegają ciasno do głowy. Trzyma w ramionach zawiniątko, z którego wyziera mała twarzyczka z zaciśniętymi mocno powiekami. Fotografia obok: Jason, nie ogolony, z przekrwionymi oczyma, leży na podłodze w samym podkoszulku i bokserkach. Na pierśsiach spoczywa mu mały kłębuszek o szeroko otwartych błękitnych ślepkach.

Środkowa fotografia z pierwszego rzędu bez wątpienia zrobiona została w dzień Halloween. Mały kłębuszek ma już na niej dwa

23

latka i przebrany jest za księżniczkę z diademem na głowie i w srebrnych pantofelkach. Za małą preżą się dumnie rodzice — dłonie na ramionach córeczki, oczy utkwione w obiektywie aparatu.

Jason i Sidney leżeli w łóżu z baldachimem. Jason rzucał się i wiercił w pościeli. Uplłynął już tydzień od jego nocnej wizyty w biurze, ale wciąż miał kłopoty z zaśnięciem. Tuż przy drzwiach sypialni, na podłodze, obok czarnej metalowej skrzyni, leżała spakowana wielka i wyjątkowo brzydka brezentowa torba w niebieskie krzyżujące się pasy z inicjałami JWA. Wskazówki budzika stojącego na nocnej szafce dopełzły mozolnie do drugiej nad ranem. Sidney wyciągnęła spod kołdry smukłe ramię i zanurzyła palce we włosach Jasona.

Podparła się na łokciu i bawiąc się nadal włosami męża, przysunęła się bliżej. Zetknęły się ich ciała.

— Śpisz? — wymruczała. Ciszę mąciły jedynie stłumione poskrzypywania i jęki starego domu.

Jason obrócił się twarzą do żony.

- Niezupełnie.
- Tak myślałam... bo okropnie się wiercisz. Ale czasem wiercisz się także przez sen. Amy też.
- Ale chyba nie mówię przez sen? Mam parę tajemnic, których wolałbym nie zdradzać. — Uśmiechnął się blado.

Położyła dłoń na jego twarzy i pogłaskała go delikatnie po policzku.

— Chyba każdy ma jakieś tajemnice, ale o ile mnie pamięć nie myli, umówiliśmy się, że nie będziemy przed sobą niczego ukrywać — mruknęła.

Jason otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko przeciągnął się i spojrzął na budzik.

- Jezu, pora wstawać. O piątej trzydzieści podjeżdża taksówka. Sidney zerknęła na torbę przy drzwiach i spochmurniała.
- Ten twój wyjazd wypada w najmniej dogodnym momencie. Jason, unikając jej wzroku, przetarł oczy i ziewnął.

— Wiem, ale sam dowiedziałem się o nim dopiero wczoraj wieczorem. Szef każe, sługa musi.

Sidney westchnęła.

- Wiedziałam, że nadejdzie taki dzień, kiedy oboje będziemy musieli jednocześnie wyjechać.
- Załatwiłaś sprawę z centrum opieki dziennej? — spytał Jason z niepokojem.

## 24

• Musiałam przetrzymać ich sekretarkę po godzinach urzędowania, ale wszystko załatwione. Wracasz najdalej za trzy dni, tak?

• Trzy dni to góra, Sid. Obiecuję. — Podrapał się po głowie. — Nie mogłabyś się wymigać od tej podróży do Nowego Jorku?

• Prawnicy nie wymigują się od podróży służbowych — odparła, kręcąc głową. — W podręczniku dobrego adwokata kancelarii Tyler & Stone nie przewidziano takiej możliwości.

• Jezu, robisz więcej w trzy dni niż większość z nich w ciągu pięciu.

• Nie muszę ci chyba mówić, że w moim fachu obowiązuje zasada: zrób dziś to, co masz zrobić dziś, jutro i pojutrze.

Jason usiadł na łóżku.

— Tak samo jest w Tritonie. Ale to firma o zaawansowanej technologii i od swoich pracowników oczekuje wybiegania myślą w następne tysiąclecie. Pewnego dnia przyplynie nasz statek, Sid. Może już nawet dzisiaj.

Pokręciła głową.

• Czekaj sobie w porcie na nasz statek, a ja tymczasem dalej będę odkładała na konto nasze wypłaty i spłacała długi. Umowa stoi?

• Stoi. Ale zdobądź się czasem na odrobinę optymizmu. Spójrz w przyszłość.

• Skoro mowa o przyszłości, to czy widzisz w niej miejsce dla następnego dziecka?

• Oczywiście. Jeśli to następne będzie takie jak Amy, nie przysporzy ci kłopotu.

Sidney naparła na niego udem, rada, że nie zaprotestował przeciwko propozycji powiększenia rodziny. Gdyby się z kimś spotykał...

• Mów za siebie, mój panie.

• Przepraszam, Sid. Typowa samcza odzywka. To się już nie powtórzy, obiecuję.

Sidney opadła na poduszkę i pogładziła go delikatnie po ramieniu. Jeszcze trzy lata temu pomysł zarzucenia prawniczej praktyki uznałaby za absurdalny, ale teraz nawet niepełny etat przeszkadzał jej w zorganizowaniu sobie życia z Amy i Jasonem. Tęskniła za niczym nie skrepowaną wolnością, która pozwoliłaby jej poświęcić cały czas dziecku. Za wolnością, na którą, mając do dyspozycji samą pensję Jasona, nie było ich jeszcze stać, nawet przy ograniczeniach, jakie sobie narzucali, walcząc z typowym dla amerykańskiego

konsumenta odruchem do wydawania wszystkiego, co zarobi. Ale jeśli Jason dalej będzie awansował w Tritonie, to kto wie?

Nigdy nie chciała być uzależniona finansowo od kogokolwiek, jednak skoro miała już zawierzyć komuś swój los, to komu, jeśli

nie mężczyźnie, którego pokochała niemal od pierwszego wejrzenia? Oczywiście zwilgotniały, kiedy tak na niego patrzyła. Usiadła i popatrzyła na męża.

— No nic, przynajmniej będziesz miał okazję zobaczyć się ze starymi znajomymi z Los Angeles... tylko daruj sobie, proszę, dawne sympatie. — Poczochrała go po włosach. — Zresztą i tak nie miałbyś szans, gdyby przyszło ci do głowy mnie zostawić. Mój ojciec wytropiłby cię na końcu świata. — Spojrzała na jego obnażony tors, na zachodzące na siebie mięśnie brzucha i sploty mięśni grające tuż pod skórą barków. Po raz nie wiadomo który uprzytomniła sobie, jakie miała szczęście spotykając na swojej drodze Jasona Archera. I nie wątpiła, że on również poznanie jej uważa za szczęśliwe zrządzenie losu. Przez ostatnich kilka miesięcy prawie nie ma cię w domu. Przesiadujesz całymi dniami w biurze, wychodzisz w środku nocy, zostawiając mi karteczki. Brakuje mi ciebie. — Trąciła go biodrem. — Pamiętasz jeszcze, jak to miło przytulić się do kogoś w nocy?

W odpowiedzi cmoknął ją w policzek.

— Przecież Triton zatrudnia mnóstwo osób — dodała. — Nie musisz robić wszystkiego sam.

Spojrzał na nią i dostrzegła w jego oczach znużenie i urazę.

— Tak myślisz? — spytał.

Sidney westchnęła.

— Kiedy dojdzie do skutku to wchłonięcie CyberComu, będziesz prawdopodobnie jeszcze bardziej zaganiany. Może należałoby zasabotować tę transakcję? W końcu jestem głównym doradcą prawnym Tritona...

Zaśmiał się, ale myślał o czym innym.

— To spotkanie w Nowym Jorku powinno być pasjonujące — podjęła Sidney.

Spojrzał na nią z rozbudzonym nagle zainteresowaniem.

• Niby dlaczego?

• Bo omawiamy na nim sprawę przejęcia CyberComu. Będzie tam Nathan Gamble i twój kumpel Quentin Rowe.

Krew odpłynęła z twarzy Jasona.

— Myślałem... myślałem — wyjąkał — że spotykacie się w sprawie tej propozycji BelTeku.

26

• Nie, odsunęli mnie od tego przed miesiącem, żebym się mogła skoncentrować na przejęciu CyberComu przez Tritona. Nie mówiłam ci?

• Dlaczego spotykacie się w Nowym Jorku?

• Bo Nathan Gamble bawi tam w tym tygodniu. Siedzi w swoim penthousie z widokiem na park. Milionerzy chadzają własnymi ścieżkami. Tak więc, chcąc nie chcąc, jadę do Nowego Jorku.

Jasonowi twarz poszarzała, jakby za chwilę miał zwymiotować.

— Jason, co ci jest? — Sidney chwyciła go za ramię.

Opanował się i spojrzał na nią. Zaniepokoił ją wyraz jego twarzy.

— Sid, ja nie jadę do Los Angeles w sprawach Tritona...

Cofnęła rękę i popatrzyła na niego oczyma rozszerzonymi zdumieniem. Odezwały się wszystkie podejrzenia, jakie od kilku miesięcy skrzętnie w sobie tłumiła. Zaszło jej w gardle.

— Co to znaczy, Jason?

• To znaczy... — wziął głęboki oddech i ścisnął ją mocno za rękę. — To znaczy, że to nie jest podróż w sprawach Tritona.

• A w czyich? — zapytała z wypiekami na twarzy.

— W moich, naszych! Jadę tam dla nas, Sidney.

Ściągając brwi oparła się o wezgłowie łóżka i założyła ręce na piersiach.

— Jason, mów, o co chodzi, i to już!

Spuścił wzrok i zaczął się bawić pościelą. Ujęła go pod brodę

i spojrzała badawczo w oczy.

— Jason...? — Zawiesiła głos wyczuwając walkę, jaką ze sobą toczył. — Wyobraź sobie, że to Wigilia Bożego Narodzenia.

Westchnął.

- Jadę do L.A. na rozmowy wstępne w innej firmie.

Cofnęła rękę.

- Co?

— W AllegraPort Technology — wyrzucił z siebie. — To jeden z największych na świecie producentów specjalistycznego oprogramowania. Proponują mi wiceprezesurę, a w perspektywie najwyższy stół. Trzy razy więcej na rękę, ogromna premia roczna, pakiet akcji, wspaniały plan emerytalny, wszystko, Sid. Życiowa szansa.

Twarz Sidney pojaśniała. Odetchnęła z ulgą.

- I to była ta twoja wielka tajemnica? Wspaniale, Jason.

Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?

- Nie chciałem cię stawiać w niezręcznej sytuacji. Przecież

27

jesteś doradcą finansowym Tritona. A to ślęczenie po nocach w biurze? Starałem się dopiąć wszystko na ostatni guzik. Nie chciałem im zostawiać rozgrzebanej roboty. Triton to potężna firma. Po co z nimi zadzierać?

- Kochanie, prawo nie zabrania zmiany miejsca zatrudnienia. Będą się cieszyli razem z tobą.

• Akurat! — Gorzki ton, jakim to powiedział, zaintrygował ją, ale nie zdążyła zapytać, skąd się wziął, bo Jason mówił dalej: — Pokrywają nawet wszelkie koszty przeprowadzki. Prawdę mówiąc, nieźle byśmy wyszli na sprzedaży tego domu. Wystarczyłoby na uregulowanie wszystkich rachunków.

Zesztywniała.

- Przeprowadzka...?

• Centrala Allegry mieści się w Los Angeles. Musielibyśmy się tam przeprowadzić. Ale jeśli nie masz na to ochoty, zostaniemy tutaj.

• Przecież wiesz, Jasonie, że moja firma ma filię w L.A. Wszystko idealnie pasuje. — Oparła się znowu o wezglowie i zapatrzyła w sufit. Po chwili spojrzała z błyskiem w oku na męża. — Zaraz, jeśli zsumować tę potrójną pensję, premię, zysk ze sprzedaży domu i pakiet akcji, to wychodzi, że może będę mogła wcześniej niż myślałam zostać pełnoetatową mamuszką.

Uśmiechnął się.

— Dlatego właśnie tak mnie zaskoczyłaś mówiąc, że masz spotkanie z Tritonem.

Spojrzała na niego pytająco.

- Myślał, że wziąłem tych kilka dni wolnego, żeby popracować przy domu — wyjaśnił.

• O to się nie martw, kochanie. Nie wydam cię. Skoro kontakty adwokata z klientem objęte są tajemnicą, to tym bardziej objęte są nią sprawy pomiędzy żoną-adwokat a jej wspaniałym mężem — powiedziała i musnęła wargami jego policzek.

Spuścił nogi z łóżka.

— Dzięki, kotku. Rad jestem, że ci powiedziałem. — Wzruszył ramionami. — No, wskoczę chyba pod prysznic. Może zdążę jeszcze załatwić przed wyjściem parę spraw.

Objęła go rękami w pasie i nie pozwoliła wstać.

— Pewną sprawę z ochotą pomogłabym ci załatwić, Jason.

Obejrzał się. Nie miała nic na sobie — nocna koszula leżała w nogach łóżka. Naparła na niego dużymi piersiami. Uśmiechnął się, zsunął dłoń po jej gładkich plecach i ścisnął kształtny pośladek.

28

— Zawsze uważałem, że masz najwspanialszą pupę na świecie, Sid.

Odchrząknęła.

— Chyba jest trochę za duża, ale pracuję nad tym.

Wziął ją pod pachy, uniósł i spojrzął głęboko w oczy. Usta zacisnęły mu się w wąską linię.

— Jesteś teraz piękniejsza niż w dniu, kiedy cię poznałem, Sidney Archer, i z każdym dniem kocham cię coraz bardziej.

Mówił powoli, łagodnie, i jak zwykle Sidney przeszedł dreszcz. Ale to nie słowa męża tak na nią działały. Podniecał ją sposób, w jaki je wypowiadał.

Jason spojrzął jeszcze raz na budzik i uśmiechnął się przekornie.

- Muszę wyjść najdalej za trzy godziny, żeby złapać samolot.
- Objęła go za szyję i pociągnęła na siebie.
- Trzy godziny to mnóstwo czasu.

Dwie godziny później Jason Archer wyszedł spod natrysku, poczłapał z mokrymi włosami korytarzykiem swojego domu i otworzył drzwi do małego pokoiku. Miał tu urządzone domowe biuro z komputerem, szafkami na akta, drewnianym biurkiem i dwiema niewielkimi półkami na książki. Pomieszczenie było ciasne, ale panował w nim ład i porządek. Za małym oknem zalegała ciemność.

Jason zamknął za sobą drzwi, wyjął klucz z szuflady biurka, i otworzył nim górną szufladę szafki na akta. Znieruchomiał na chwilę i nastawił ucha. Robił to już odruchowo nawet w domowym zaciszu. Niepokojący nawyk. Sidney zasnęła. Amy również spała twardo dwa pokoje dalej. Wyciągnął z szuflady staromodną skórzaną teczkę zapinaną na dwa paski i mosiężne zatrzaski, swego czasu błyszczącą, ale teraz zmatowiałą ze starości. Otworzył ją i wyjął czystą dyskietkę. Instrukcje były jednoznaczne. Skopiować wszystko, co miał, na jedną dyskietkę, sporządzić jeden egzemplarz wydruku jej zawartości, a potem wymazać wszystkie pliki cząstkowe z twardego dysku.

Wsunął dyskietkę w szczelinę stacji dysków i przekopiował na nią wszystko, co do tej pory zgromadził. Teraz, zgodnie z instrukcją, powinien skasować z twardego dysku wszystkie oryginalne pliki. Znieruchomiał z palcem nad klawiszem kasowania. Po chwili wahania postanowił pójść za głosem instynktu.

Poświęcił kilka minut na sporządzenie rezerwowej kopii dyskietki

i dopiero wtedy skasował z twardego dysku oryginalne pliki. Wywołał zawartość dyskietki wraz z rezerwową kopią na ekran i przeprowadził na komputerze kilka dodatkowych operacji. Na jego oczach tekst na ekranie zlał się w niezrozumiały bełkot. Zapamiętał wprowadzone zmiany, zamknął plik, wyjął dyskietkę z komputera i wsunął ją do małej, wyściełanej koperty, którą schował na samo dno bocznej kieszeni skórzanej teczki. Teraz zgodnie z instrukcją wydrukował zawartość oryginalnej dyskietki, po czym kartki z wydrukiem oraz dyskietkę włożył do głównej przegródki teczki.

Wyciągnął portfel, wyjął z niego plastikową kartę, która umożliwiała mu wstęp do biura. Nie będzie mu już potrzebna. Wrzucił ją do szuflady biurka.

Wpatrzył się w teczkę, ale myślami błądził daleko. Gnębiło go, że okłamał żonę. Poczucie winy było tym większe, że nigdy dotąd tego nie robił. Ale to już prawie koniec. Wzdrygnął się na myśl, jak bardzo ryzykuje. Drugi dreszcz wstrząsnął nim, kiedy uświadomił sobie, że żona nie ma o niczym pojęcia. Jeszcze raz przepowiedział sobie w myślach cały plan. Trasa, którą wybierze, uniki, jakie zastosuje, kryptonimy osób, z którymi będzie się kontaktował. Trudno mu się było skoncentrować. Patrzył nie



widzącym wzrokiem w okno, przebiegając w myślach możliwości, jakie się teraz przed nim otwierały. Jutro będzie mógł po raz pierwszy powiedzieć sobie, że opłacało się zaryzykować. Było tylko przetrwać dzisiejszy dzień.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ciemności spowijające Międzynarodowy Port Lotniczy Dullesa miał wkrótce rozproszyć świt. O pierwszym brzasku przed terminalem lotniska zatrzymała się taksówka, z której wysiadł Jason Archer. W jednej ręce miał skórzaną teczkę, w drugiej czarny metalowy nesesor z laptopem, a na głowie ciemnozielony szeroko-skrzydły kapelusz ze skórzanym otokiem.

Jason uśmiechnął się na wspomnienie upojnych chwil spędzonych niedawno z żoną. Gdyby nie brak czasu, jeszcze raz poszedłby z Sidney do łóżka.

Postawił nesesor z laptopem na ziemi, sięgnął do wnętrza taksówki, wyciągnął z niej wielką brezentową torbę i przewiesił ją sobie przez ramię.

Przy stanowisku Western Airlines pokazał swoje prawo jazdy,

### 30

dostał miejscówkę i wejściówkę, po czym nadał na bagaż brezentową torbę. Wyglądził kołnierz płaszcza z wielbłądziej wełny, nacisnął kapelusz głębiej na czoło i poprawił złoto-lawendowo-piwny krawat. Spodnie miał szare, workowate, nie rzucające się w oczy, a na nogach białe sportowe skarpety i ciemne tenisówki. Pięć minut później kupił *USA Today*, wypił w barku filiżankę kawy, a potem przeszedł przez bramkę.

Autobus dowożący pasażerów do terminalu odlotów był zapełniony jedynie w trzech czwartych. Jason stał wśród ludzi ubranych podobnie jak on: ciemne garnitury, stonowane krawaty.

Trzymał skórzaną teczkę w ręce, a nesesor z laptopem postawił na podłozę i ścisnął go nogami. Od czasu do czasu rozglądał się dyskretnie po sennych twarzach współpasażerów i szybko spuszczał wzrok z powrotem na gazetę.

W wielkiej poczekalni przed bramką 11 zerknął na zegarek. Niedługo zaczną wpuszczać na pokład samolotu. Spojrzał przez panoramiczne okno na rząd maszyn linii Western Airlines z charakterystycznymi brązowo-żółtymi pasami na kadłubach, przygotowywanych do porannych startów. Powoli wstawało już słońce i po niebie rozlewały się różowe smugi. Porywisty wiatr szturmował grube szyby, pracownicy linii lotniczych pochylali się pod jego niewidzialnymi podmuchami. Wkrótce nad tą częścią kraju zapanuje zima i nie popuści aż do kwietnia.

Jason wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza wejściówkę i przeczytał jej treść: Western Airlines, rejs 3223 bez międzylądowań z lotniska międzynarodowego Dullesa w Waszyngtonie na lotnisko międzynarodowe w Los Angeles. Urodził się i wychował w Los Angeles, ale nie był tam od dwóch lat. Po drugiej stronie wielkiego terminalu czekali pasażerowie lecący przez Chicago do Seattle. Jason obliznął wargi i przełknął kilka razy, żeby zwilżyć śliną zaschnięte gardło. Zaczął wertować machinalnie gazetę, prześlizgując się wzrokiem po kolorowych stronach ociekających troskami i niedolami trapiącymi świat.

Kiedy po chwili oderwał oczy od gazety i rozejrzał się, zobaczył męczyznę przecinającego energicznym krokiem wielką halę terminalu. Był to wysoki szczupły blondyn w płaszczu z wielbłądziej wełny i workowatych szarych spodniach. Między kłapami jego płaszcza widać było krawat, który do złudzenia przypominał krawat Jasona. Miał też, tak samo jak Jason, skórzaną teczkę i czarny nesesor z laptopem. W ręce, w której niósł laptopa,

trzymał również białą kopertę.

31

Jason wstał i skierował się do męskiej toalety. Właśnie otworzyli ją po porannym sprzątanu.

Wszedł do ostatniej kabiny, zamknął drzwi na zasuwkę, powiesił płaszcz na haczyku, otworzył skórzaną teczkę i wyciągnął z niej dużą nylonową torbę oraz małe lustro. Przyłożył lustro namagnesowanym grzbietem do ścianki kabiny. Zmienił swoje okulary w metalowej oprawce na wyjętą z te czki parę okularów w grubej czarnej plastikowej oprawie i przykleił sobie czarny wąsik. Następnie założył perukę o krótkich włosach dopasowanych atramentową czernią do wąsów. Zdjął krawat i marynarkę, wepchnął je do nylonowej torby i włożył bluzę od dresu z napisem „Washington Huskies” na plecach, po czym ściągnął workowate spodnie. Pod nimi miał spodnie od dresów. Tenisówki przestały razić. Płaszcz z wielbłądziej wełny po wywróceniu na drugą stronę zmienił kolor na granatowy. Jason jeszcze raz przejrzał się w lustro. Skórzana teczka i metalowy neseser powędrowały wraz z lustrem do nylonowej torby, kapelusz został na haczyku przykręconym do drzwi. Jason wyszedł z kabiny i stanął przed umywalką.

Umywszy ręce, przejrzał się po raz kolejny w lustro. Zobaczył w nim odbicie wysokiego blondyna. Mężczyzna przeszedł za jego plecami i zniknął w kabinie, którą on przed chwilą opuścił. Jason niespiesznie wytarł ręce i przycesał perukę. Blondyn wyszedł z kabiny. Na głowie miał kapelusz Jasona i gdyby nie charakterystyka, mógłby uchodzić za jego bliźniaka. W drzwiach toalety wpadli na siebie. Jason przeprosił, ale tamten nawet na niego nie spojrział. Oddalił się szybko, chowając do kieszonki koszulki bilet Jasona, a Jason wepchnął do kieszeni swojego płaszcza białą kopertę.

Miał już wrócić na swoje miejsce, gdy jego wzrok przyciągnął rząd automatów telefonicznych. Po chwili wahania podszedł do jednego z nich i wystukał numer.

- Sid?
- Jason? — Sidney, ubierając i karmiąc jednocześnie Amy, upychała teczkę z dokumentami do aktówki. — Co się stało? Lot się opóźnia?
- Nie, start za parę minut... — urwał na widok swojego zmienionego odbicia w błyszczącej płycie czołowej automatu. Zrobiło mu się głupio, że rozmawia z żoną w przebraniu.
- No to o co chodzi? — zapytała Sidney wkładając Amy płaszczyk.

## 32

— Nie, nic, pomyślałem sobie tylko, że zadzwonię i spytam, co u was słychać.

Sidney parsknęła niecierpliwie.

• Jason, jestem już spóźniona, twoja córka jak zwykle ma fochy i właśnie przypomniałam sobie, że nie zabrałam biletu na samolot i paru ważnych dokumentów, więc zamiast pół godziny zapasu mam najwyżej dziesięć sekund.

• Przepraszam, Sid. Chciałem tylko... — Jason ścisnął mocniej rączki nylonowej torby. To ostatni dzień. Ostatni, powtórzył sobie w duchu. Jeśli coś mu się przydarzy — jeśli z jakiegoś powodu, pomimo podjętych środków ostrożności, nie wróci — jego żona nigdy się nie dowie, co się z nim stało.

Sidney przyciskając słuchawkę policzkiem do ramienia, zgrzytała zębami. Amy wylała sobie na płaszczyk miseczkę płatków owsianych i trochę mleka przedostało się do wypchanej aktówki.

— Muszę już kończyć, Jason.

— Chwileczkę, Sid, zaczekaj, chcę ci coś powiedzieć...

Sidney słuchała jednym uchem, oceniając szkody wyrządzone przez dwuletnią córeczkę, która przyglądała się jej wyzywająco.

— Kiedy indziej, Jason — burknęła zniecierpliwiona. — Spiesz się na samolot. Na razie. — Odłożyła słuchawkę i chwyciwszy córkę za rączkę pociągnęła ją za sobą do drzwi.

Jason odwiesił powoli słuchawkę i odwrócił się. Odetchnął głęboko i po raz setny tego poranka pomodlił się, żeby wszystko poszło zgodnie z planem. Nie zauważył mężczyzny, który obrzucił go obojętnym spojrzeniem i odwrócił głowę. Wcześniej, jeszcze zanim Jason przebrał się w toalecie, ten sam mężczyzna, mijając go, zerknął na plakietkę identyfikacyjną przytwierdzoną do uchwyty skórzanej teczki. Na plakietce widniało prawdziwe nazwisko Jasona i jego adres.

Kilka minut później Jason stał już w grupie pasażerów wsiadających na pokład. Wyciągnął z kieszeni białą kopertę, którą przekazał mu nieznajomy w toalecie, i wyjął z niej bilet na samolot. Nigdy nie był w Seattle. Spojrzał w przeciwległy koniec poczekalni i w kolejce podróżnych odlatujących do Los Angeles zobaczył swojego „bliźniaka”. Jego uwagę zwrócił też inny pasażer stojący w tej kolejce. Wysoki, szczupły, łysawy, o kwadratowej twarzy okolonej bujną brodą. Jego wyraziste rysy wydały mu się znajome, ale zanim zdołał sobie przypomnieć skąd, mężczyzna znikł mu z oczu. Jason wzruszył ramionami, podał stewardesie wejściówkę i wkroczył do rękawa przejściowego.

33

Niespełna pół godziny później, kiedy Arthur Lieberman roztrzaskiwał się o ziemię pośród kłębow czarnego dymu wzbijającego się ku białym chmurom, setki mil stamtąd Jason Archer dopił kawę, otworzył wieko laptopa i wyjrzał z uśmiechem przez okno samolotu mknącego w kierunku Chicago. Pierwszy etap podróży przeszedł gładko, a kapitan oznajmił przed chwilą przez głośniki, że prognoza pogody gwarantuje spokojny lot.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sidney Archer pacnęła otwartą dłonią w przycisk klaksonu i stojący przed nią samochód ruszył wreszcie spod zielonego światła. Zerknęła na zegar: jak zwykle była spóźniona. Spojrzała we wsteczne lustro. Amy, ściskając w rączce Kubusia Puchatka, spała twardo w foteliku zamocowanym na tylnej kanapie fordą explorera. Odziedziczyła po matce bujne blond włosy, zdecydowanie zarysowany podbródek i kształtny nosek. Roztańczone błękitne oczy miała po ojcu.

Sidney skręciła na wyasfaltowany parking i zatrzymała wóz przed niskim budynkiem z cegły. Wysiadła, otworzyła tylne drzwi czki fordą i delikatnie wysupłała Amy z upręży fotelika. Nie zapomniała o zabraniu Kubusia i torby z rzeczami małej. Naciągnęła Amy na głowę kaptur płaszczyka i osłoniła jej buzię szalikiem przed przenikliwym wiatrem. Tablica nad dwuskrzydłowymi oszklonymi drzwiami budynku głosiła: CENTRUM OPIEKI DZIENNEJ OKRĘGU JEFFERSON.

Weszły do środka. Sidney zdjęła Amy płaszczyk, strzepnęła z niego resztki okruchów płatków owsianych i przed przekazaniem dziewczynki w ręce Karen, jednej z opiekunek, sprawdziła jeszcze raz zawartość torby. Dres Karen był już usmarowany na piersiach czerwoną kredką, a na prawym rękawie widniała plama, chyba po winogronowej galaretkie.

— Cześć, Amy. Mamy parę nowych zabawek, które na pewno ci się spodobają — powiedziała Karen i uklękła przed małą. Amy

dalej tuliła do siebie misia i ssała prawy kciuk.

Sidney podała opiekunce torbę dziewczynki.

— Tu są parówki z fasolką, trochę soku i banan. **Jadła** już śniadanie. Frytki i ciasteczka może dostać tylko pod **warunkiem**, że będzie grzeczna. Pozwól jej trochę dłużej pospać w czasie leżakowania. Miała ciężką noc.

### 34

Karen podała Amy palec.

— Dobrze, pani Archer. Amy zawsze jest grzeczna, prawda?

Sidney przykucnęła i cmoknęła córeczkę w policzek.

— Tak, zawsze. Z wyjątkiem tych przypadków, kiedy nie chce jeść, spać, albo robić, co się jej każe.

Karen była matką chłopczyka w wieku Amy. Obie mamy wymieniły porozumiewawcze uśmiechy.

- Przyjadę po nią o siódmej trzydzieści wieczorem, dobrze.
- W porządku.
- Pa-pa, mamusiu. Kocham ciebie.

Sidney odwróciła się i popatrzyła na córeczkę. Przeszedł jej już cały poranny gniew. Pomachała jej.

— Ja też cię kocham. Dzisiaj po kolacji będą pyszne lody.

A potem na pewno zadzwoni tatuś, żeby z tobą porozmawiać.

Pół godziny później Sidney wysiadała z wozu w biurowym garażu. Chwyliła leżącą na fotelu pasażera aktówkę, zatrzasnęła drzwiczki i pobiegła do windy. Zimny wiatr wdzierający się przez otwartą bramę wjazdową i hulający po wielkim podziemnym parkingu przywrócił jej jasność myślenia. Wkrótce trzeba już będzie palić w dużym, kamiennym kominku w living roomie.

Lubiła zapach ognia — uspokajał ją i dawał poczucie bezpieczeństwa. Pomyślała o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia. Do tej pory na Święto Dziękczynienia jeździli do jej rodziców, ale w tym roku zostawali na Boże Narodzenie w domu. Tylko oni troje — Jason, Sidney i Amy. Przed trzaskającym ogniem, przy choince, pod którą piętrze się stos prezentów dla ich małżeństwa.

Chociaż przez całą drogę myślała, że jest spóźniona, kiedy wysiadła na swoim piętrze z windy, była dopiero siódma czterdzieści pięć. Ruszyła szybko korytarzem.

Mimo że była zatrudniona na niepełnym etacie, należała do najciężej pracujących prawników w firmie. Starsi współpracownicy Tylera & Stone'a mijali gabinet Sidney Archer z uśmiechem zadowolenia, widząc jak dzięki jej wysiłkom rosną kawałki ich wspólniczego tortu. Prawdopodobnie sądzili, że ją wykorzystują, ale Sidney patrzyła na to, inaczej. Ten niepełny etat był tylko etapem przejściowym. Do praktyki prawniczej zawsze będzie mogła wrócić, ale teraz, póki Amy jest jeszcze małą dziewczynką, miała jedyną okazję być dla niej matką.

Swój murowany dom nabyli za mniej więcej pół ceny — właściciel nie żądał wiele ze względu na remont, jakiego wymagał budynek. Remontowali go, targując się zawzięcie z wykonawcami,

przez ostatnie dwa lata. Jaguara zastąpił sfatygowany sześciolatekni ford. Niedługo pospłacają do końca swoje studenckie pożyczki. Zdrowy rozsądek i wyrzeczenia pozwoliły im zredukować o blisko pięćdziesiąt procent miesięczne wydatki na życie. Jeszcze rok i wyjdą na prostą.

Powróciła myślami do dzisiejszego poranka. Rewelacje Jasona były oszałamiające. Uśmiechnęła się. Była dumna z męża. Zasłużył sobie na sukces bardziej niż ktokolwiek. Zapowiadał się dobry rok. Poza tym wyjaśniła się sprawa nocy spędzanych przez Jasona poza domem. Po prostu porządkował swoje sprawy w starym miejscu pracy. Niepotrzebnie tak się denerwowała. Głupio

jej teraz było, że go nie wiadomo o co podejrzewała. Ale wynagrodzi mu to po powrocie.

Otworzyła drzwi swojego gabinetu i weszła do środka. Sprawdziła pocztę elektroniczną i głosową, jednak nie znalazła w nich niczego pilnego. Spakowała dokumenty do aktówki, zabrała z fotela pozostawione tam przez sekretarkę bilety lotnicze i wsunęła laptopa do walizeczki. Na poczcie głosowej zostawiła długą listę instrukcji dla sekretarki i czterech prawników pomagających jej w rozmaitych sprawach, wzięła swoje pakunki i ruszyła do windy.

Kilka minut po załatwieniu formalności przy stanowisku odprawy linii wahadłowej USAir sadowiła się już na swoim miejscu w boeingu 737. Samolot miał wylądować za pięćdziesiąt pięć minut na nowojorskim lotnisku La Guardia, ale dojazd z lotniska do centrum zajmie prawie tyle samo czasu, co pokonanie dwustu kilkudziesięciu mil dzielących stolicę kraju od stolicy świata finansów samochodem.

Sąsiadem Sidney był starszy mężczyzna w staromodnym trzyczęściowym garniturze w jodełkę i śnieżnobiałej koszuli, od której odcinał się ostro szeroki jasnoczerwony krawat. Trzymał na kolanach sfatygowaną skórzaną teczkę i wyglądał przez okno, nerwowo splatając i rozplatając dłonie. Nad jego uszami sterczały rzadkie kępki siwych włosów, a na skroniach i nad wąskimi ustami perliły się kropelki potu. Luźny kołnierzyk koszuli otaczał chudą szyję niczym obroża.

Samolot zaczął powoli kołować w kierunku głównego pasa startowego. Drgnięcie lotek ustawiających się w położenie startu jakby uspokoilo mężczyznę.

- Tego właśnie wypatrywałem — zwrócił się do Sidney głębokim głosem. Rozpoznała typowo południowy akcent.
- To znaczy czego? — Sidney spojrzała na niego z zaciekawieniem.

36

Wskazał na okienko.

— Patrzyłem, czy ustawią te przeklęte lotki na skrzydłach tak, żeby maszyna mogła się oderwać od ziemi. Słyszała pani, co się kiedyś stało w Detroit? Piloci pożał się Boże, zapomnieli ustawić lotki jak należy i zginęli wszyscy... prócz jednej małej dziewczynki.

Sidney spojrzała przez okno.

— Piloci z pewnością dobrze się na tym znają — odparła. Że też musiało mi przypaść miejsce obok nerwowego pasażera, jęknęła w duchu. Zerknęła jeszcze do swoich notatek, a potem, stosując się do polecenia stewardesy, włożyła papiery do aktówki i wsunęła ją pod fotel przed sobą. Spojrzała za okno na ciemne wody Potomacu. Na powierzchni unosiło się stadko mew, które z tej odległości przypominały strzępki papieru. Kapitan oznajmił przez interkom, że są następni w kolejce do startu.

Wkrótce potem samolot oderwał się od ziemi i skręciwszy w lewo, by ominąć zamkniętą strefę przestrzeni powietrznej nad Kapitołem i Białym Domem, zaczął się piąć na pułap dwudziestu dziewięciu tysięcy stóp.

Kilka minut po osiągnięciu tej wysokości i wyrównaniu lotu, stewardesy zaczęły rozwozić napoje. Sidney wzięła sobie filiżankę herbaty i torebkę solonych orzeszków. Siedzący obok niej starszy mężczyzna na pytanie stewardesy, czego się napije, pokręcił tylko głową i nadal wyglądał z niepokojem przez okno.

Sidney schyliła się i wyciągnęła spod fotela aktówkę z dokumentami, z zamiarem produktywnego wykorzystania następnych trzydziestu minut. Usiadła wygodnie i wyjęła z aktówki kilka kartek. Zauważyła, że sąsiad wciąż wygląda przez okno; jego drobna postać sztywniała przy najlżejszym wstrząsie, najwyraźniej

nasłuchiwał wszelkich nietypowych odgłosów, które mogłyby zapowiadać katastrofę. Na szyję wystąpiły mu żyły, trzymał się kurczowo poręczy fotela. Typowy przypadek lęku przed lataniem. Twarz Sidney złagodniała. Sam strach był wystarczającą katorgą. Świadomość, że jest się z tym strachem sam na sam, potęgowała jeszcze stres. Poklepała mężczyznę delikatnie po przedramieniu i uśmiechnęła się. Zerknął na nią przelotnie i rumieniąc się, z zażenowaniem odwzajemnił uśmiech.

— Tyle razy latali tą trasą, że na pewno mają w małym palcu wszystkie sztuczki — powiedziała Sidney cichym, uspokajającym głosem.

37

Znowu się uśmiechnął i zatarł dłonie, żeby przywrócić w nich krążenie.

- Ma pani całkowitą rację, pani...
- Sidney, Sidney Archer.
- A ja nazywam się George Beard. Miło mi cię poznać, Sidney. — Uścisnęli sobie dłonie.

Beard znowu obrzucił spłoszonym spojrzeniem skłębione chmury w dole. Ostre słońce raziło w oczy. Opuścił roletę do połowy okna.

- Tyle się nalatałem przez te lata, że powinienem chyba przywyknąć.
- W samolocie nerwy mogą puścić każdemu, George, obojętne, jak często lata — odparła Sidney. — Ale jeszcze gorsze są taksówki, którymi będziemy musieli dojechać do miasta.

Roześmieli się oboje. W tym momencie samolot wpadł w szczególnie dużą dziurę powietrzną i Beard drgnął, a twarz ponownie mu spopieliała.

— Często bywasz w Nowym Jorku, George? — Sidney próbowała ściągnąć na siebie jego wzrok. Dawniej nie miała uprzedzeń do żadnego środka transportu. Ale teraz, gdy na świecie była Amy, sama z dreszczem niepokoju wsiadała do samolotu czy pociągu, a nawet do własnego samochodu. Maszyna dygotała jak pędzący po koczach łbach autobus. Beard siedział sztywno ze stęszłą twarzą. — Spokojnie, George. To tylko mała turbulencja.

Odetchnął głęboko i spojrzał na nią.

— Zasiadam w radach nadzorczych paru nowojorskich firm. Muszę tam latać dwa razy do roku.

Sidney spuściła wzrok na swoje dokumenty. Coś jej się nagle przypomniało. Ściągnęła brwi. Na czwartej stronie był błąd. Będzie go musiała skorygować, kiedy dotrze do miasta.

George Beard dotknął jej ramienia.

— Dzisiaj chyba powinno nam się upiec — powiedział. — Bo jakie jest prawdopodobieństwo dwóch katastrof lotniczych jednego dnia?

Zaabsorbowana własnymi sprawami Sidney nie odpowiedziała od razu.

— Słucham? — spytała po chwili, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek.

Beard nachylił się do niej konfidencjonalnie.

— Dziś o ósmej rano przyleciałem z Richmond — powiedział znizując głos — i podsłuchałem na lotnisku rozmowę dwóch

38

pilotów. Własnym uszom nie wierzyłem. Widać było od razu, że są bardzo zdenerwowani. Cholera, sam bym był. Sidney patrzyła na niego zdezorientowana.

— O czym ty mówisz?

Beard nachylił się jeszcze bardziej.

— Nie wiem, czy podano to już do publicznej wiadomości,

ale mój aparat słuchowy na tych nowych bateriach działa jak nigdy. Ci goście pewnie myśleli, że ich nie słyszę. — Zrobił dramatyczną pauzę, rozejrzał się szybko, po czym znowu skierował wzrok na Sidney. — Dziś rano rozbił się samolot. Nikt nie ocalał. — Patrzył na nią poruszając komicznie siwymi krzaczastymi brwiami.

Sidney na chwilę przestało bić serce.

— Gdzie?

Beard pokręcił głową.

— Tego nie usłyszałem. Ale, o ile zdołałem się zorientować, chodziło o jakiś odrzutowiec. Podobno spadł jak kamień, i nikt nie wie dlaczego. Chyba dlatego ci piloci byli tacy zdenerwowani. Człowiek źle się czuje, kiedy nie zna przyczyny, prawda?

— A wiesz przynajmniej, jakich był linii?

Mężczyzna znowu pokręcił głową.

— Nie, ale chyba się wkrótce dowiemy. Założę się, że kiedy wylądujemy w Nowym Jorku, będzie już o tym w telewizji. Dzwoniłem z lotniska do żony, żeby się o mnie nie martwiła. Naturalnie nie słyszała jeszcze o katastrofie, ale wołałem ją wcześniej uspokoić, na wypadek gdyby dowiedziała się o niej z telewizji albo z jakiegoś innego źródła.

Sidney wpatrywała się w jego jasnoczerwony krawat. Kojarzył jej się teraz z wielką, szarpaną raną gardła. Prawdopodobieństwo... nie, to niemożliwe. Potrząsnęła głową i nagle uświadomiła sobie, że istnieje sposób szybkiego rozwiania tych obaw. Wsunęła kartę kredytową w szczelinę w oparciu fotela przed sobą, wyjęła z wnęki słuchawkę pokładowego telefonu i wystukała numer pagera Jasona; od kiedy stewardesa pouczyła go, że podczas lotu nie wolno prowadzić rozmów z własnych telefonów komórkowych, wsiadając do samolotu zawsze wyłączał swój aparat. Miała nadzieję, że zabrał w podróż pager. Spojrzała na zegarek. W tej chwili jest gdzieś nad Środkowym Zachodem, jednak wezwanie powinno do niego dotrzeć, bo pager SkyWord przekazuje sygnał poprzez satelitę. Nie będzie mógł do niej odzwonić z telefonu pokładowego (boeing 737, którym leciała,

39

nie był jeszcze wyposażony w odpowiednie środki techniczne), podała mu więc swój numer biurowy. Odczeka dziesięć minut i zadzwoni do sekretarki.

Po dziesięciu minutach zadzwoniła do biura. Sekretarka podniosła słuchawkę po drugim sygnale. Nie, mąż nie telefonował. Sidney kazała jej sprawdzić pocztę głosową. Tam również nic nie było. Sekretarka nie słyszała o żadnej katastrofie lotniczej. Sidney zaczynała podejrzewać, że George Beard źle zrozumiał rozmowę pilotów. Prawdopodobnie siedział tam jak na szpilkach, wyobrażając sobie wszystkie możliwe kraksy, pewności jednak nie miała. Nie mogła sobie przypomnieć, jakimi liniami lotniczymi leciał Jason. Zadzwoniła do informacji i poprosiła o numer United Airlines i dowiedziała się, że owszem, maszyna tych linii odleciała rano z lotniska Dullesa do Los Angeles, ale jak dotąd nie zgłoszono żadnej katastrofy lotniczej. Sidney miała jednak wrażenie, że udzielająca jej informacji kobieta wyraźnie unika poruszania tego tematu i rozłączyła się z rozbudzonym na nowo niepokojem. Wystukała numer American Airlines, a potem Western Airlines, ale obie linie były zablokowane. Spróbowała jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Powoli ogarniało ją odrętwienie. George Beard dotknął jej ramienia.

— Sidney... wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie owładnięta jedną myślą: natychmiast po wylądowaniu musi skontaktować się z Jasonem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jason Archer patrzył na numer widniejący na ekraniku pagera. Potarł brodę, zdjął okulary i przetarł szkła serwetką. Bezpośredni numer biurowy Sidney. Podobnie jak boeing 737 Sidney, jego DC-10 również wyposażony był w telefony komórkowe wpuszczone we wnęki w oparciu każdego fotela. Sięgał już po słuchawkę, ale cofnął rękę. Sidney wybierała się dzisiaj do nowojorskiego biura swojej firmy. Dlaczego więc podaje mu numer biura w Waszyngtonie? Zmroziła go na chwilę myśl, że coś mogło się stać Amy. Jeszcze raz spojrzął na pager. Wezwanie nadeszło o dziewiętej trzydzięci czasu wschodniego. Pokręcił głową. O tej porze Sidney musiała już być mniej więcej w połowie drogi do Nowego Jorku. Wykluczone, żeby miało to jakiś związek z Amy. Sidney

### 40

na długo przed ósmą odstawiła małą do centrum opieki dziennej. Może chce go przeprosić za tamto odłożenie słuchawki? Po chwili zastanowienia uznał, że to mało prawdopodobne. Ale czemu, u licha, dzwoni do niego z samolotu i podaje biurowy numer, pod którym jej nie ma?

A może to nie Sidney go wywołuje? Rozejrzał się niespokojnie po kabinie. Na spuszczonej ekranie leciał jakiś film.

Jason opadł na oparcie fotela i zamieszał plastikową łyżeczką resztkę kawy. Stewardesy zbierały talerze po posiłku i rozdawały koce oraz poduszki. Jason zacisnął nerwowo dłoń na rączce skórzanego teczki. Zerknął na neseter z laptopem, który wepchnął pod fotel przed sobą. Może lot Sidney został odwołany? Ale przecież Gamble był już w Nowym Jorku, a on nie uznaje takich wymówek. Poza tym operacja przejęcia CyberComu wkraczała właśnie w krytyczną fazę.

Wcisnął się głębiej w fotel, bezwiednie ściskając pager. A może jednak zadzwonić do biura Sidney? Albo zatelefonować do domu i sprawdzić, czy Sidney nie zostawiła jakiejś wiadomości na sekretarce? Ale musiałby użyć telefonu komórkowego. Miał w teczce najnowszy model aparatu, z funkcjami zabezpieczenia i szyfrowania rozmowy, jednak przepisy linii lotniczych zabraniały korzystania z podobnych urządzeń podczas lotu. Mógł wprowadzić skorzysta z telefonu pokładowego, lecz wtedy musiałby użyć karty kredytowej albo telefonicznej. No i sama linia nie była bezpieczna. Ryzykowałby, że zostanie namierzony — albo co najmniej pozostawi łatwy do wytopienia ślad. Oficjalnie miał lecieć do Los Angeles — a tu ni z tego, ni z owego dzwonił znowu z Denver w Colorado, z samolotu lecącego na północny zachód. Tyle drobiazgowego planowania, i nagle taki zgrzyt.

Spojrzał znowu na pager. Na pagerach SkyWord kilka razy dziennie wyświetlany jest serwis informacyjny oraz wiadomości z ostatniej chwili. Przewijające się przez ekran doniesienia polityczne i finansowe nie wzbudzały w nim teraz większego zainteresowania. Jeszcze przez parę minut zastanawiał się, po co żona mogłaby go wywoływać, a potem skasował wiadomość i z powrotem nałożył telewizyjne słuchawki. Jednak myślami był daleko od obrazów przewijających się przez kinowy ekran.

Sidney biegła przez zatłoczony terminal lotniska La Guardia, obcierając sobie torbami nylonowe rajstopy. Omal nie wpadła na młodego mężczyznę, który niespodziewanie zastąpił jej drogę.

— Sidney Archer? — zapytał.



Był w czarnym garniturze, pod krawatem i miał dwadzieścia kilka lat; spod szoferskiej czapki wystawały kasztanowe kędzierzawe włosy. Sidney zatrzymała się i spojrzała na niego półprzytomnie. Z zamierającym sercem przygotowywała się na przyjęcie straszliwej wiadomości. Odetchnęła z ulgą, kiedy zauważyła w jego rękę tabliczkę ze swoim nazwiskiem. Firma przysłała po nią samochód. Że też od razu na to nie wpadła! Skinęła powoli głową.

Młody mężczyzna wziął od niej jedną torbę i ruszył przodem do wyjścia.

— Opisano mi panią w biurze — powiedział. — Zawsze o to proszę na wypadek, gdyby ktoś nie zauważył tabliczki. Taki tu młyn... sama pani rozumie. Samochód czeka przed wyjściem. Radzę zapiąć płaszcz. Na dworze jest straszny ziąb.

Sidney zatrzymała się przy stanowisku kontrolnym. Do obleganych stanowisk linii lotniczych stały długie kolejki pasażerów. Rozejrzała się po terminalu, wypatrując jakiegoś wolnego pracownika linii lotniczych, ale zobaczyła tylko bagażowych, którzy ze stoickim spokojem lawirowali pośród rozgrzowanego tłumu wózekami akumulatorowymi pełnymi waliz. Panował tu chaos, ale chaos normalny. To chyba dobry znak, pomyślała.

Szofer obejrzał się na nią.

— Wszystko w porządku, pani Archer? Bardzo pani pobladła. Mam w samochodzie tylenol. Dam pani, jak tylko dojdziemy. Ja też ciężko znoszę podróż samolotem. Ale wystarczy łyk świeżego powietrza i dojdzie pani do siebie. O ile powietrze w Nowym Jorku można nazwać świeżym... — powiedział z uśmiechem.

Ten uśmiech zgasł, kiedy Sidney ruszyła nagle do przodu.

— Pani Archer! — zawołał i truchtem pobiegł za nią.

Sidney dopadła umundurowanej kobiety z plaketką pracownicy American Airlines. Kiedy Sidney zapytała ją o katastrofę, młoda kobieta zrobiła wielkie oczy.

- O niczym takim nie wiem — powiedziała zniżając głos, żeby nie usłyszeli ich przechodzący w pobliżu ludzie. — Kto to pani powiedział? — Odpowiedź Sidney wywołała na jej usta uśmiech. — Wracam właśnie z odprawy, proszę pani. Gdyby coś takiego stało się z którymś z naszych samolotów, wiedziałabym o tym. Proszę mi wierzyć.

- A jeśli do katastrofy doszło niedawno? To znaczy... — Sidney mimowolnie podniosła głos.

## 42

— Spokojnie, proszę pani. Nie ma się czym denerwować. To jak dotąd najbezpieczniejszy sposób podróżowania. — Kobieta ścisnęła Sidney za rękę, spojrzała z uśmiechem na szofera, który zdążył już do nich dojść, odwróciła się i odeszła.

Sidney odprowadziła ją wzrokiem, wzięła głęboki oddech, potrząsnęła głową i spojrzała na szofera tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Jak się nazywasz? — spytała ruszając w stronę wyjścia.
- Tom, Tom Richards. Mówią mi Tommy.
- Długo czekałeś na mnie na lotnisku, Tommy?
- Jakies pół godziny. Wolę być zawsze wcześniej. Po co ludzie mają na mnie czekać?

Kiedy wyszli na zewnątrz, silny podmuch porywistego wiatru smagnął Sidney prosto w twarz. Zachwiała się, ale Tommy podtrzymał ją pod ramię.

— Nie wygląda pani za dobrze. Może podwieźć panią do lekarza?

Ale Sidney odzyskała już równowagę.

— Nic mi nie jest. Chodźmy do samochodu.

Wzruszył ramionami i ruszył przodem w kierunku czarnego lincolna. Otworzył przed nią drzwiczki.

Opadła z ulgą na miękkie tylne siedzenie i wzięła kilka głębokich oddechów. Tommy uruchomił silnik, a potem zerknął we wsteczne lusterko.

— Nie chcę przynudzać, ale czy naprawdę dobrze się pani czuje?

Kiwnęła głową i posłała mu przelotny uśmiech.

— Dziękuję, dobrze.

Wzięła jeszcze jeden głęboki wdech, rozpięła płaszcz, wygładziła sukienkę i założyła nogę na nogę. W samochodzie było bardzo ciepło, ale po fali chłodu, która ją przed chwilą zaatakowała, wcale nie czuła się zbyt dobrze. Spojrzała na szofera.

— Tommy, słyszałeś dzisiaj o jakiejś katastrofie lotniczej? Może mówili coś w radiu?

Brwi Tommy'ego powędrowały w górę.

— O katastrofie? Nie, nic takiego nie słyszałem. A cały ranoek słuchałem radia. Jakiś samolot się rozbił? Niemożliwe. Mam znajomych w wielu liniach lotniczych. Powiedzieliby mi. — Spojrzał na nią uważnie, jakby powziął nagle jakieś podejrzenia co do stanu psychicznego swojej pasażerki.

43

Sidney nic nie odpowiedziała. Oparła się wygodnie, wyjęła z wneki telefon komórkowy i wystukała numer nowojorskiego biura Tylera & Stone'a. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze sporo czasu. Posiedzenie zaczynało się dopiero o jedenastej. Przeklęła w duchu George'a Bearda. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobieństwo rozbicia się samolotu, którym leciał jej mąż, było jak jeden do paru miliardów. A o tej rzekomej katastrofie wiedział tylko jeden stary, przestraszony mężczyzna. Pokręciła głową i uśmiechnęła się. Przecież to absurd. Pewnie Jason, pogryzając kanapkę i pijąc drugą filiżankę kawy, wali teraz pracowicie w klawiaturę swojego laptopa, albo, co bardziej prawdopodobne, ogląda film, a jego pager leży na nocnej szafce i pokrywa się kurzem. Zmyje mu za to głowę, kiedy wróci. Jason wyśmiewie ją, kiedy usłyszy całą historię. Ale to nic, chętnie usłyszałaby teraz jego śmiech.

— Tu Sidney — powiedziała do słuchawki. — Powiedz Paulowi i Haroldowi, że jestem w drodze. — Wyrzwała przez okno na słońce obok samochodu. — Będę u was za jakieś trzydzieści pięć minut.

Odłożyła telefon na miejsce i znowu spojrzała w okno. Ołowiane, brzemienne wilgocią chmury sunęły nisko nad ziemią. Kiedy wjechali na most nad East River, nawet ciężki lincoln zaczął się zataczać pod podmuchami wichury. Tommy znowu spojrzał we wsteczne lusterko.

— Podobno śnieg ma dzisiaj padać. I to obficie. Ale chyba przesadzają. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tym gościom od pogody wyszła prognoza. Jednak jeśli się nie mylą, to może pani mieć kłopoty z powrotem do domu. La Guardię zamykają ostatnio z byle powodu.

Sidney patrzyła nadal przez przyciemnioną szybę na przesłaniającą horyzont armię drapaczy chmur tworzących słynną panoramę Manhattanu. Widok tych imponujących, strzelających w niebo budynków podnosił ją na duchu. Oczywiście wyobraźni widziała już bożonarodzeniową choinkę w kącie ich living roomu. Od ognia płonącego na kominku bije ciepło, Jason siedzi obok z głową na jej ramieniu i obejmuje ją, i te roziskrzone, zachwycone oczka ich dwuletniej córeczki... Biedny stary George Beard. Powinien się wycofać z zasiadania w tych radach nadzorczych, to ponad jego siły. Gdyby Jason dzisiaj nie leciał, puściłaby mimo uszu te jego katastroficzne bajdurzenia.

Spojrzała na szofera i rozluźniła się.  
— Chyba i tak będę wracała do Waszyngtonu pociągiem,  
Tommy — powiedziała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W głównej sali konferencyjnej nowojorskiego biura kancelarii Tyler & Stone w śródmieściu Manhattanu dobiegła właśnie końca prezentacja wideo dotycząca aktualnego stanu transakcji kupna CyberComu i stosowanych strategii prawnych. Sidney zatrzymała magnetowid i na ekranie monitora rozlał się znowu miły dla oka błękit. Przesunęła wzrokiem po wielkiej sali. Piętnaście par oczu wpatrywało się wyczekująco w człowieka, który zajmował miejsce u szczytu stołu. Wszyscy tkwili tu zamknięci od kilku godzin, w powietrzu wisiało napięcie.

Nathan Gamble, prezes Triton Global, był dobrze zbudowanym, pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną średniego wzrostu o przyprószonych siwizną włosach, które zaczesywał do tyłu i utrwał je żelem. Szyty na miarę dwurzędowy garnitur leżał jak ulał na jego krępej sylwetce. Poorana głębokimi zmarszczkami twarz nosiła jeszcze ślady posezonowej opalenizny, a w głosie brzmiała władczość; Sidney z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jak ryczy na trzęsących się ze strachu, skulonych przy stole konferencyjnym podwładnych. Bez wątplenia nadawał się do roli szefa potężnej korporacji o światowym zasięgu.

Teraz Gamble, ściągając krzaczaste siwe brwi, wlepił w nią ciemnobrązowe oczy. Sidney wytrzymała to spojrzenie.

- Masz jakieś pytania, Nathanie? — zapytała.
- Tylko jedno.

Zmobilizowała się wewnętrznie. Czują, co nadciąga.

- Jakie?
- Po jaką cholere to robimy?

Przez twarz obecnych na sali przebiegł grymas, jakby wszyscy usiedli na jednej gigantycznej igle. Niewzruszona pozostała tylko Sidney Archer.

- Nie bardzo rozumiem — powiedziała.
- Rozumiesz, chyba żeś głupia, a wiem, że głupia nie jesteś. — Z cichym głosem i nieprzeniknioną twarzą Gamble'a kontrastowała silnie dosadność jego wypowiedzi.

Sidney ugryzła się w język, żeby mu się równie ostro nie odciąć.

— Wnoszę z tego, że wolisz zrezygnować z kupna CyberComu, niż się odslonić.

Gamble rozejrzał się po twarzach zebranych.

— Zaproponowałem za tę firmę astronomiczną sumę. A oni, jakby mało im było dziesięciu tysięcy procent zwrotu swoich inwestycji, chcą mnie teraz sprawdzać. Zgadza się? — Spojrzał pytająco na Sidney. Kiwnęła bez słowa głową. — Kupowałem już od groma firm — podjął — i jak dotąd żadna nie zażądała tego rodzaju materiałów. A CyberCom żąda. Zapytuję więc raz jeszcze: po co to robimy? Co takiego nadzwyczajnego jest w tym CyberComie? — Jego oczy wykonały ponowną rundę po twarzach obecnych i z powrotem zatrzymały się na Sidney.

Mężczyzna siedzący po lewej ręce Gamble'a drgnął. Od początku narady nie odrywał wzroku od ekranu stojącego przed nim laptopa. Quentin Rowe był bardzo młodym prezesem Tritona i podlegał jedynie Nathanowi Gamble'owi. Spośród obecnych na sali mężczyzn wbitych w garnitury wyróżniał się swobodnym

strojem, na który składały się spodnie khaki, znoszone sandały, niebieska denimowa koszula i brązowa, zapinana na guziki kamizelka. W płatku prawego ucha połyskiwały mu dwa diamenty. Bardziej pasował na okładkę płyty niż do sali posiedzeń.

— CyberCom to coś nadzwyczajnego, Nathanie — powiedział. — Bez nich w ciągu dwóch lat możemy wypaść z gry. Technologia wnoszona przez CyberCom całkowicie odmieni, a następnie zdominuje metodę przetwarzania informacji w internecie. Oni są dla świata zaawansowanej technologii jak Mojżesz schodzący z góry z Dziesięciorgiem Przykazań. — Rowe mówił trochę znużonym, ale nie pozbawionym stanowczości głosem. Nie patrzył na swojego szefa.

Gamble zapalił cygaro i oparł nonszalancko drogą zapalniczkę o stojącą na stole małą mosiężną tabliczkę z napisem PALENIE WZBRONIONE.

• Widzisz, Rowe, z tą zakichaną zaawansowaną technologią to jest tak: rano jesteś królem, a po południu krowim łajnem. < Niepotrzebnie pakowałem się w cały ten interes.

• Cóż, jeśli dla ciebie liczą się tylko pieniądze, to zauważ, że Triton jest produkującą firmą informatyczną, która przynosi ponad dwa miliardy dolarów zysku na kwartał — odparował Rowe.

— I będzie krowim łajnem jutro po południu. — Gamble posłał Rowe'emu pełne niechęci spojrzenie i wydmuchnął kłęb cygarowego dymu.

46

Sidney Archer odchrząknęła.

• Chyba że kupisz CyberCom, Nathanie — oświadczyła. Gamble przeniósł na nią wzrok. — Wtedy utrzymasz się na szczycie przez co najmniej dziesięć następnych lat, a za pięć twoje zyski się potroją.

• Doprawdy? — Gamble nie wyglądał na przekonanego.

• Ona ma rację — dorzucił Rowe. — Zrozum wreszcie, że nikomu dotąd nie udało się stworzyć takiego pakietu oprogramowania i skonstruować zgodnych z nim perfekcyjnych urządzeń komunikacyjnych, by zapewnić użytkownikom pełne wykorzystanie wszystkich możliwości Internetu. Niejeden już starał się rozwiązać ten problem i połamał sobie na nim zęby. A CyberCom go rozwiązał. I dlatego wszyscy tak zażarcie walczą o tę firmę. Mamy szansę na zwycięstwo. Musimy to zrobić, jeśli chcemy się utrzymać na powierzchni.

• Nie podoba mi się, że chcą wsadzać nos w nasze dokumenty, i kropka. To firma niepubliczna, której jak na razie jestem największym udziałowcem. A pieniądze to pieniądze. — Gamble przeniósł twarde spojrzenie z Sidney na Rowe'a i z powrotem.

• Oni mają zostać twoimi partnerami, Nathanie — wtrąciła Sidney. — Nie ulotnią się po zainkasowaniu twoich pieniędzy, jak inne firmy, które dotąd kupowałeś. Chcą wiedzieć, w co wchodzi. Kondycja Tritona nie jest upubliczniana, nie mogą się więc zwrócić o udostępnienie informacji, które ich interesują, do Komisji Giełdowej. To zrozumiałe. Tego samego żądają od innych uczestników przetargu.

• Przedstawiliście im moją ostatnią ofertę z ceną?

Sidney skinęła głową.

• Przedstawiliśmy.

• I co?

— Byli pod wrażeniem i ponowili żądanie udostępnienia im do wglądu dokumentów finansowych i operacyjnych firmy. Jeśli je spełnimy, podwyższymy trochę ofertę i dorzucimy coś na zachętę, to chyba dobijemy targu.

Gamble poczerwieniał i zerwał się z krzesła.

— Nie ma takiej firmy, która by nam do pięt dorastała, a ten

podszty tchórzem CyberCom chce mnie sprawdzać?!

Rowe westchnął.

— Chodzi tylko o rzucenie okiem, Nathanie — powiedział wyraźnie zniecierpliwiony. — Oni nie chcą zadzierać z Tritonem, obaj o tym wiemy. Zgódźmy się. Dokumentacja jest uporządkowana.

47

Taki ład jeszcze w niej nie panował. Jason Archer wspaniale się spisał. Cały magazyn papieru zwalonego bez ładu i składu. Wciąż wierzyć mi się nie chce. — Spojrzał z pogardą na Gamble'a.

— Za bardzo byłem pochłonięty zarabianiem pieniędzy, żeby chrzanić się z papierzyskami, Rowe. Mnie interesuje tylko papier w kolorze zielonym.

Rowe puścił uwagę Gamble'a mimo uszu.

— Dzięki pracy Jasona wkrótce nie będziemy się musieli wstydić stanu naszego archiwum. — Machnięciem ręki odgonił sprzed twarzy cygarowy dym.

Gamble wlepił w Rowe'a rozplamione oczy.

— Naprawdę? — Łypnął spode łba na Sidney. — To może ktoś mi powie, dlaczego nie ma tu Jasona Archera?

Sidney pobladła i po raz pierwszy tego dnia poczuła pustkę w głowie.

— No...

W sukurs przyszedł jej Rowe.

- Jason wziął kilka dni urlopu.
- No to zadzwońmy do niego i spytajmy, jak stoi z robotą. — Gamble masował sobie skronie. — Może będzie trzeba udostępnić CyberComowi trochę tych papierów, może nie. A jeśli transakcja nie dojdzie do skutku? Co wtedy? — Jego płomienny wzrok przesunął się po twarzach obecnych.

- Powołamy zespół prawników, który przeanalizuje każdy dokument przed przekazaniem go CyberComowi — powiedziała spokojnie Sidney.

- No dobra, a mamy kogoś, kto orientuje się w całej tej dokumentacji lepiej od Jasona Archera? — Gamble spojrzał pytająco na Rowe'a.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

- W tej chwili nie.
- To dajcie mi Jasona do telefonu.
- Nathanie... — zaczął Rowe.
- Do cholery — wpadł mu w słowo Gamble — chyba prezes firmy ma prawo poprosić pracownika o zdanie raportu ze stanu prac, prawda? A poza tym, kto mu dał urlop w chwili, kiedy ważą się losy transakcji z CyberComem? — Spojrzał na Sidney. — Nie bardzo mi się podoba, że mąż i żona zaangażowani są w prace nad tą samą sprawą, ale tak się składa, że jesteś najlepszym doradcą prawnym, jakiego znam.

- Dziękuję — bąknęła Sidney.

48

— Nie dziękuj, bo ta transakcja jeszcze nie jest przyklepana. — Gamble usiadł i zaciągnął się głęboko cygarem. — Dzwońmy do twojego męża. Jest w domu?

Sidney zamrugała powiekami i usiadła.

- No... w tej chwili go nie ma.

Gamble spojrzał na zegarek.

- A kiedy będzie?

Potarła z zakłopotaniem czoło.

- Trudno powiedzieć. Dzwoniłam do niego podczas ostatniej przerwy i nikt nie odbierał.

- Spróbujmy jeszcze raz.

Sidney patrzyła tępo na Gamble'a. Wydało jej się nagle, że jest

w tej ogromnej sali zupełnie sama. Po chwili otrząsnęła się z szoku i oddała pilota do telewizora Paulowi Brophy'emu, młodemu współpracownikowi z Nowego Jorku. Jasna cholera, Jason, mam nadzieję, że dogadasz się w sprawie tej nowej posady, bo inaczej chyba leżymy, pomyślała.

Drzwi uchyliły się i do sali wsunęła głowę sekretarka.

— Pani Archei, przepraszam, że przeszkadzam, ale czy ma pani jakieś problemy z biletem na samolot?

Sidney spojrzała na nią zaskoczona.

- Nic mi o tym nie wiadomo, Jan. A co?
- Dzwonią do pani z linii lotniczych.

Sidney otworzyła aktówkę, wyciągnęła bilet i przebiegła go wzrokiem. Spojrzała na sekretarkę.

- To otwarty bilet powrotny. Co im się nie podoba?
- Czy możemy kontynuować?! — ryknął Gamble.

Jan odchrząknęła, zerknęła na niego bojaźliwie i przenosząc wzrok na Sidney wyrzuciła z siebie:

— No, ktoś chce z panią rozmawiać. Może odwołali loty do Waszyngtonu? Od trzech godzin sypie śnieg.

Sidney chwyciła innego pilota i wdusiła przycisk. Rozsunęły się zdalnie sterowane kotary przesłaniające panoramiczne okna.

— Jezu! — jęknęła.

Za szybą dryfowały wielkie płaty śniegu. Było ich tyle, że nie widziała budynku po drugiej stronie ulicy.

— Gdybyś musiała zostać, Sid, to firma ma jeszcze kondominium przy Parku — wyrwał się Paul Brophy. — Stawiam kolację — w jego oczach malowała się nadzieja.

Sidney usiadła z rezygnacją, nie patrząc na niego.

— Nie mogę.

49

Chciała już powiedzieć, że Jason wyjechał, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Myślała gorączkowo. Gamble na pewno nie odpuści. Telefonując do domu stwierdziłaby tylko coś, o czym już wiedziała: że Jasona tam nie ma. Może podczas przerwy na obiad zadzwonić do Los Angeles, do biur AllegraPort, i poprosić Jasona do telefonu? Jason zaspokoiłby ciekawość Gamble i przy odrobinie szczęścia udałoby im się wymigać. A gdyby pozamykano lotniska, wróci do domu ostatnim pociągiem linii Metroliner. Szybko oszacowała w myślach czas podróży. Musiałaby zadzwonić do centrum opieki dziennej i poprosić Karen, żeby wzięła Amy do siebie. W najgorszym przypadku mała mogła przenocować u Karen.

— Podejdzie pani do telefonu, pani Archer?

Głos sekretarki przywołał Sidney do rzeczywistości.

• Przepraszam, Jan, przełącz rozmowę tutaj. I jeszcze jedno: zorientuj się, czy są jeszcze bilety na ostatni Metroliner. Tak na wszelki wypadek, gdyby zamknęli La Guardię.

- Dobrze.

Jan zamknęła drzwi i po chwili zamrugła czerwona lampka aparatu telefonicznego. Sidney podniosła słuchawkę.

Paul Brophy wyłączył magnetowid i włączył telewizor. Z odbiornika popłynął gwar głosów. Paul czym prędzej stłumił pilotem fonię i w sali ponownie zaległa cisza.

— Sidney Archer przy aparacie — rzuciła do słuchawki Sidney. — O co chodzi?

Głos kobiety po drugiej stronie linii był trochę niepewny, ale dziwnie kojący.

• Moje nazwisko Linda Freeman. Dzwonię z Western Airlines. Podano mi ten numer w pani waszyngtońskim biurze.

• Western Airlines? To jakaś pomyłka. Korzystam z linii USAir. Mam bilet na wahadłowiec Nowy Jork-Waszyngton. — Sidney pokręciła z rozdrażnieniem głową. Idiotyczne nieporozu-

mienie. I bez tego dosyć miała na głowie.

• Pani Archer, czy jest pani małżonką pana Jasona W. Archera zamieszkałego przy 611 Morgan Lane, okręg Jefferson, stan Wirginia?

Sidney była skonsternowana, ale odpowiedziała automatycznie:

— Tak. — Ledwie słowo to przeszło jej przez usta, zmartwiła.

— O Boże! — Doleciał ją okrzyk Paula Brophy'ego.

Odwróciła się na pięcie. Wszyscy patrzyli w telewizor. Sidney przeniosła powoli wzrok na ekran. Nie zauważyła migoczącego

## 50

u góry napisu „Doniesienia z ostatniej chwili” ani przesuających się u dołu napisów dla niesłyszących, powtarzających komentarz reportera, który relacjonował tragiczne wydarzenie. Wpatrywała się w dymiącą, poczerniałą kupę poskręcane go metalu, która jeszcze niedawno była dumnym statkiem podniebnej flotyli Western Airlines. Przed oczyma stanęła jej twarz George'a Bearda i usłyszała jego ściszony konfidencko glos: „Dziś rano rozbił się samolot”.

— Pani Archer — rozległo się w słuchawce — bardzo mi przykro, ale w dniu dzisiejszym jeden z naszych samolotów uległ katastrofie...

Sidney nie słuchała dalej. Opuściła powoli rękę, rozwarła bezwiednie palce i słuchawka upadła na puszysty dywan.

Sypiący za oknem śnieg przypominał konfetti rozrzucone podczas wielkich parad. Zimny wiatr szturmował panoramiczne okna, a Sidney wpatrywała się z niedowierzaniem w krater ze szczątkami Rejsu 3223.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Za bramką terminalu lotniska w Seattle czekał na Jasona pucołowaty ciemnowłosy mężczyzna z dołeczkiem w podbródku, w modnym dwuczęściowym garniturze. Przedstawił się jako William. Zamienili kilka zdań, każde złożone z pozornie oderwanych słów. Szyfrowane powitanie przebiegło pomyślnie. Ruszyli ramię w ramię do wyjścia. Kiedy William przywoływał samochód, Jason skorzystał z okazji i niepostrzeżenie wrzucił do skrzynki pocztowej przy drzwiach wyscielaną kopertę. Koperta zawierała kopię dyskietki komputerowej, którą sporządził przed opuszczeniem domu.

Wsiedli szybko do limuzyny, która podjechała na znak Williama. W środku William pokazał Jasonowi dokumenty, z których wynikało, że naprawdę nazywa się Anthony DePazza. Siedzieli z tyłu, niewiele rozmawiając. Prowadził mężczyzna w konserwatywnym brązowym garniturze. Podczas jazdy Jason, idąc za radą DePazzy, zdjął perukę oraz odkleił sobie wąsy.

Skórzaną teczkę trzymał na kolanach. Wyglądający przez okno DePazza zerkał na nią od czasu do czasu. Gdyby Jason trochę lepiej mu się przyjrzał, zauważyłby wybrzuszenie na jego piersi. Kierowca również był uzbrojony. Ale Jason, nawet

gdyby zauważył broń, nie zdziwiłby się zbytnio. Spodziewał się, że będą mieli pistolety.

Limuzyna jechała na wschód, oddalając się od Puget Sound. Niebo było zachmurzone. Jason wyglądał przez przydymioną szybę, na której rozpryskiwały się krople deszczu. Z tego, co wiedział o meteorologii, taka pogoda była w Seattle czymś normalnym.

Po półgodzinie limuzyna dotarła na miejsce przeznaczenia.

Był to zespół budynków magazynowych. Wjazdu na ogrodzony teren strzegła elektrycznie otwierana brama pilnowana przez wartownika.

Jason rozejrzał się niespokojnie, ale nic nie powiedział. Uprzedzono go, że spotkanie odbędzie się w nietypowych warunkach. Wjechali do jednego z magazynów przez uchylną bramę, która uniosła się przed limuzyną. Wsiadając z wozu Jason zauważył, że brama się zamyka. Jedynym źródłem oświetlenia były tu dwie lampy sufitowe, którym przydałoby się czyszczenie. W głębi ogromnej hali znajdowały się schody. Mężczyźni skinęli na Jasona i ruszyli w ich kierunku. Jason rozglądał się wokół z nowo rozbudzonym niepokojem. Z trudem stłumił to uczucie, odetchnął głęboko i wstąpił na schody.

U ich szczytu znajdowały się wąskie drzwi prowadzące do małego pomieszczenia bez okien. Kierowca został na zewnątrz. DePazza zapalił światło i Jason rozejrzał się. Umeblowanie pokoju składało się z jednego stolika do gry w karty, dwóch krzeseł i poobijanej, przerdzewiałej szafki na akta.

Z chwilą zapalenia światła włączyła się automatycznie kamera inwigilacyjna zupełnie nie znanego Jasonowi typu, której obiektyw sterczał z jednej z przeżartych przez rdzę dziur w szafce na akta. A więc spotkanie miało być rejestrowane.

DePazza usiadł na jednym z krzeseł i gestem ręki zaprosił Jasona do zajęcia miejsca na drugim.

— To nie powinno potrwać długo — odezwał się przyjaznym tonem. Wyjął sobie papierosa i podsunął paczkę Jasonowi, ale ten pokręcił odmownie głową. — Tylko pamiętaj, Jason., nic nie mów. Ich interesuje jedynie zawartość tej teczki. Po co komplikować sprawę. Okay?

Jason kiwnął głową.

Zanim DePazza zdążył wypalić mentolowego papierosa, rozległy się trzy szybkie puknięcia. Jason wstał. DePazza również zerwał się z krzesła, odłożył pospiesznie papierosa i otworzył

## 52

drzwi. Do pomieszczenia wkroczył drobny siwowłosy człowieczek o opalanej, mocno pomarszczonej twarzy. Za nim postępowali dwaj mężczyźni w tanich garniturach i w okularach przeciwsłonecznych, których nie zdjęli pomimo panującego tu półmroku. Obaj mieli około czterdziestki.

Siwy człowieczek spojrział pytająco na DePazzę, ten wskazał na Jasona, człowieczek przewiercił go spojrzeniem świdrujących niebieskich oczu. Jason uświadomił sobie nagle, że spływa potem, chociaż magazyn nie był ogrzewany i panująca w nim temperatura niewiele przekraczała zero.

DePazza skinął mu powoli głową. Jason wręczył siwowłosemu człowieczkowi skórzaną teczkę. Tamten zajrzał do środka, szybko przebiegł wzrokiem zawartość i wyciągnął jedną kartkę komputerowego wydruku, która szczególnie go zainteresowała. Pokazał ją swoim dwóm towarzyszom; ich wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Człowieczek, również szeroko się uśmiechając, włożył kartkę z powrotem do teczki, zamknął ją i przekazał jednemu z towarzyszących mu mężczyzn. Drugi mężczyzna podał mu srebrny, metalowy nesoser. Człowieczek ważył go przez moment w rękę, po czym oddał Jasonowi. Nesoser miał elektroniczny zamek.

Nagły ryk przelatującego samolotu kazał im wszystkim podierać w górę głowy. Wydawało się, że pilot ma zamiar wylądować na dachu budynku. Po chwili huk silników zamarł w oddali i znowu zrobiło się cicho.

Człowieczek uśmiechnął się, odwrócił i za całą trójką zamknęły się drzwi.



Jason powoli wypuścił powietrze z płuc.

Odczekali w milczeniu minutę, a potem DePazza otworzył drzwi i przepuścił Jasona przodem. Sam zgasił światło i wyszedł za nim. Z chwilą, gdy w pomieszczeniu z powrotem zapanowały ciemności, automatycznie wyłączyła się kamera inwigilacyjna.

Jason, przyciskając do piersi ciężki metalowy neseser, wsiadł do limuzyny.

— Trochę inaczej to sobie wyobrażałem — zwrócił się do DePazzy.

Tamten wzruszył ramionami.

— Jakkolwiek na to patrzeć, można mówić o sukcesie.

- Pewnie tak, ale dlaczego nie kazałeś mi się odzywać?

DePazza spojrział na niego z lekkim rozdrażnieniem.

- A co chciałbyś powiedzieć, Jasonie?

Jason potrząsnął głową.

— Na twoim miejscu bardziej by mnie interesowało, co jest w środku. — DePazza pokazał na neseser.

Jason chciał go otworzyć, ale mu się to nie udało. Spojrział z konsternacją na towarzysza.

- Otworzysz, kiedy przyjedziemy na twoją kwaterę. Podam ci kod. Postępuj według instrukcji, które tam znajdziesz — dorzucił. — Nie rozczarujesz się.

- Ale dlaczego właśnie Seattle?

- Bo mało prawdopodobne, żebyś natknął się tutaj na kogoś znajomego. Zgadza się? — Chłodne oczy DePazzy spoczęły na twarzy Jasona.

— I nie będę już wam potrzebny? Jesteś tego pewien?

DePazza niemal się uśmiechnął.

— Jeszcze niczego w życiu nie byłem pewniejszy. — Potrząsnął ręką Jasona i odchylił się na oparcie tylnej kanapy.

Zapinając pas bezpieczeństwa, Archer poczuł wibracje przy biodrze. Odpiął od paska spodni pager i spojrział na niego z poczuciem winy. A jeśli to rzeczywiście Sidney go wtedy wywoływała? Czytał przewijający się przez mały ekranik serwis informacyjny i na jego twarzy odmalowywało się coraz większe niedowierzanie.

Rano doszło do straszliwej tragedii. Samolot linii Western Airlines, rejs 3223 z Waszyngtonu do Los Angeles, wkrótce po starcie rozbił się w Wirginii; nikt nie ocalał.

Jason Archer nie mógł złapać tchu. Otworzył jednym szarpnięciem wieko czarnego metalowego nesesera i sięgnął po znajdujący się w środku telefon komórkowy.

— Co ty u diabła wyprawiasz? — rzucił ostro DePazza.

Jason podał DePazzie pager.

— Zona myśli, że nie żyję. Jezu. To dlatego do mnie dzwoniła. Boże jedyny. — Trzęsącymi się palcami bezskutecznie usiłował rozłożyć telefon.

DePazza spojrział na pager. Szczytywał przez chwilę informacje z ekranika, a potem zaklął pod nosem. No nic, to tylko przyspieszy trochę cały proces, pomyślał. Niechętnie odchodził od ustalonego planu, ale nie miał wyboru. Spojrział na Jasona zimnym, złowrobnym wzrokiem, wyciągnął rękę i wyrwał mu telefon z drżących dłoni. Drugą ręką wyszarpnął zza pazuchy śmiercionośnego glocka i przystawił Archerowi lufę do skroni.

Jason podniósł wzrok i zobaczył pistolet.

## 54

— Przykro mi, ale do nikogo nie zadzwonisz — wycedził DePazza, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

Jason patrzył w osłupieniu, jak DePazza unosi rękę do twarzy

i ściąga sobie z niej skórę. Staranna charakteryzacja schodziła kawałek po kawałku. Po chwili obok Jasona siedział blondyn po trzydziestce o długim orlim nosie i jasnej cerze. Jednak jego oczy pozostały błękitne i zimne. Prawdziwe nazwisko DePazzy brzmiało Kenneth Scales. Był socjopatą i zabijanie ludzi sprawiało mu przyjemność. Nigdy jednak nie robił tego na ślepo. I nigdy za darmo.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Prawie pięć godzin trwała walka z pożarem, i w końcu jęzory ognia, strawiwszy wszystko co palne w ich zasięgu, same przygasły. Miejscowe władze dziękowały Bogu, że pożoga szalała na pustym, oddalonym od ludzkich siedzib ugorze.

Członkowie lotnej ekipy Krajowego Biura Bezpieczeństwa Transportu **NTSB** w niebieskich kombinezonach ochronnych obchodzili teraz powoli miejsce katastrofy, z którego wzbijały się w niebo kłęby czarnego dymu, a niezmordowane drużyny strażaków dogaszały małe zarzewia odradzających się uparcie płomieni. Cały rejon otoczono kordonem pomarańczowo-białych zapór drogowych, za którymi tłoczyli się wstrząśnięci okoliczni mieszkańcy, chłonący ten widok z trwożliwym niedowierzaniem i niezdrową ciekawością. Po obu stronach pola roilo się od wozów strażackich, samochodów policyjnych, ambulansów, ciemnozielonych ciężarówek Gwardii Narodowej i pojazdów innych służb. Załogi ambulansów stały przy swoich samochodach z rękami w kieszeniach. Oni nie mieli tu już nic do roboty poza wywiezieniem ludzkich szczątków, jeśli uda się je pozbiierać.

Burmistrz pobliskiego miasteczka stał obok farmera, na którego pole spadł samolot. Za ich plecami parkowały dwa pick-upy Forda z napisami „Przeżyłem Pearl Harbor” na tablicach rejestracyjnych. Teraz również, tak samo jak wtedy, na twarzach obu kierowców malowało się przerażenie.

— To istne krematorium. — Inspektor NTSB potrząsnął głową, zdjął czapkę z emblematem NTSB i otarł dłonią pocięte zmarszczkami czoło. George Kapłan miał pięćdziesiąt jeden lat, dużą głowę i przerzedzające się, siwiejące na skroniach włosy; mierzył

55

metr siedemdziesiąt wzrostu i wyhodował już sobie mały brzuszek. Walczył jako pilot myśliwski w Wietnamie, a potem przez wiele lat latał w lotnictwie cywilnym. Kiedy jego bliski przyjaciel, unikając o włos zderzenia w gęstej mgłę z boeingiem 727, rozbił się dwumiejscowym piperem o zbocze góry, uznał, że powinien mniej latać, a więcej działać na rzecz zapobiegania wypadkom, i zatrudnił się w NTSB.

George Kapłan wolałby się teraz znajdować jak najdalej stąd, lecz prowadzenie tego dochodzenia powierzono właśnie jemu, a jedynym sensownym miejscem, w którym można szukać inspiracji do kolejnych prewencyjnych środków bezpieczeństwa, są miejsca katastrof lotniczych. Członkowie lotnych ekip dochodzeniowych NTSB co noc kładą się do łóżek z płonną nadzieją, że nikt nie będzie potrzebował ich usług, że nie zaistnieje powód, dla którego będą musieli odbywać długie podróże, by gdzieś tam zbierać szczątki pozostałe po jeszcze jednej katastrofie.

Kapłan, rozglądając się wokół, skrzywił się i znowu pokręcił głową. Nie było porzrzuconych po okolicy części samolotu, zmasakrowanych ludzkich ciał, bagażu, ubrań i miliona innych rzeczy, które zazwyczaj zbierano, sortowano, katalogowano i analizowano w celu ustalenia, dlaczego kilkusettonowy samolot spadł z nieba. Nie było naocznych świadków, bo do katastrofy doszło

wczesnym rankiem, przy niskim pułapie chmur. Od momentu gdy samolot zszedł poniżej nich do jego zderzenia z ziemią upłynęło zaledwie kilka sekund.

Tam, gdzie maszyna zaryła nosem w pole, ział teraz krater głęboki na dobre dziesięć metrów, co stanowiło jedną piątą jej długości. Już samo to było zatrważającym świadectwem straszliwej siły, jaka w okamgnieniu przeniosła wszystkich znajdujących się na pokładzie do *wieczności*. Kadłub złożył się jak akordeon; jego fragmenty spoczywały teraz na dnie powstałego krateru. Ponad krawędź nie wystawało nawet usterzenie ogonowe. Jakby tego było mało, szczątki maszyny przysypały tony ziemi i kamieni.

Większość odłamków rozrzuconych po polu i okolicy przez eksplozję, do której doszło w momencie zderzenia z ziemią, nie była większa od dłoni. Straszliwa siła oraz impet zniszczyły samolot i uśmierciły uwięzionych w nim pasażerów, w parę sekund potem wybuchło paliwo, a na koniec ten masowy grób przysypała kilkumetrowa warstwa ziemi i kamieni.

To, co spod niej wystawało, w niczym nie przypominało samolotu. Kapłan wrócił wspomnieniem do nie wyjaśnionej do tej

56

pory katastrofy boeinga 737 linii United Airlines, który rozbił się pod Colorado Springs w 1991 roku. Badał tę sprawę z ramienia NTSB jako specjalista od systemów awiacyjnych. Wtedy po raz pierwszy w swej historii NTSB, powołane do życia w 1967 roku jako niezależna agencja federalna, nie zdołało ustalić prawdopodobnej przyczyny rozbicia się samolotu. Inspektorom NTSB nie udało się wyjaśnić tego przypadku. Podobne okoliczności rozbicia się w roku 1994 boeinga 737 linii USAir pod Pittsburgiem jeszcze bardziej wzmogły ich poczucie winy. Wyrzucali sobie, że gdyby wyjaśnili przyczyny katastrofy w Colorado, może nie doszłoby do tragedii pittsburskiej. A teraz jeszcze to.

George Kapłan spojrział w czyste już niebo i doszedł do wniosku, że nic z tego nie rozumie. Był przekonany, że katastrofę pod Colorado Springs spowodowała jakaś zdradliwa chmura rotorowa, w którą maszyna dostała się w końcowej fazie podchodzenia do lądowania — najbardziej krytycznym dla każdego samolotu momencie. Rotor to poziomy wir powietrzny, który powstaje podczas silnych wiatrów nad nieregularnym terenem. W przypadku Rejsu 585 linii United Airlines tym nieregularnym terenem były Góry Skaliste. Ale tutaj, na Wschodnim Wybrzeżu, nic nie przypominało jakichkolwiek gór. Można było sobie wyobrazić, że jakiś szczególnie silny rotor strącił z nieba maszynę tak wielką jak L800, ale Kapłan nie wierzył, że właśnie to spotkało Rejs 3223. Kontrola ruchu powietrznego twierdziła, że L800 spadł jak kamień z wysokości podróźnej wynoszącej trzydzieści pięć tysięcy stóp. Żadne góry na terenie Stanów Zjednoczonych nie byłyby w stanie wyrzucić formacji rotorowej na taką wysokość. Poza tym najbliższe góry znajdowały się w Parku Narodowym Shenandoah i wchodziły w skład stosunkowo niskiego łańcucha Blue Ridge Mountain. Przy wysokości nie przekraczającej czterech tysięcy stóp były bardziej wzgórzami niż górami.

Dochodził do tego jeszcze czynnik wysokości lotu. Zazwyczaj przechyły samolotu wpadającego w rotor albo jakąś inną anomalie atmosferyczną kompensuje się lotkami. Piloci Western Airlines, lecąc na wysokości dziesięciu kilometrów, mieliby wystarczająco dużo czasu na zapanowanie nad maszyną. Kapłan był pewien, że to nie mroczne siły Matki Natury strąciły samolot z bezpiecznych przestworzy. Musiało to sprawić coś innego.

Jego zespół wrócił niedługo do hotelu i zbierze się na naradzie organizacyjnej. Na początek wyłonią spomiędzy siebie grupy dochodzeniowe do spraw wytrzymałości konstrukcji, sprawności

systemów, czynników przetrwania, zespołów silnikowych, warunków pogodowych i kontaktów z kontrolą ruchu powietrznego. Później wybierze się zespoły do oszacowania stanu technicznego samolotu, przeanalizowania zapisów rejestratora rozmów w kabine pilotów i rejestratora parametrów lotu, kondycji załogi, spektrum dźwiękowego, dokumentacji przeglądów technicznych oraz badań metalurgicznych. Będzie to powolny, żmudny i przygnębiający proces, ale Kapłan nie wyjedzie stąd, dopóki nie przebadają każdego atomu tego, co zostało z najnowocześniejszego odrzutowca pasażerskiego i blisko dwustu istot ludzkich. Poprzysiągł sobie, że tym razem nie spocznie, póki nie ustali prawdopodobnej przyczyny tragedii.

Ruszył wolnym krokiem w stronę wynajętego samochodu. Wkrótce nad tym ugięciem zapanuje przedwczesna wiosna: wszędzie rozkwitną czerwone chorągiewki, małe sygnalizatory znaczące miejsca odnalezienia szczątków samolotu. Szybko zapadał zmrok. Kapłan pochuchał w zmarznięte dłonie. W samochodzie miał termos z gorącą kawą. Miał nadzieję, że FDR — rejestrator parametrów lotu nazywany popularnie „czarną skrzynką”, choć w rzeczywistości był jaskrawoczerwonego koloru — dowiedzie swojej niezniszczalności. W samolocie zainstalowano jego unowocześnioną wersję i 121 parametrów monitorowanych przez FDR powinno im cholernie dużo powiedzieć o tym, co doprowadziło do katastrofy. W maszynach L800 rejestratory FDR i CVR montowane były w górnej części kadłuba, pomiędzy dwoma kuchenkami w ogonie. Żaden L800 nigdy się jeszcze nie rozbił; ta katastrofa będzie pierwszym testem niezawodności rejestratora parametrów lotu w warunkach eksploatacyjnych.

Szkoda, że kosztem tylu istnień ludzkich.

George Kapłan wspiął się na małe wyniesienie terenu i zatrzymał jak wryty. Za ledwie dwa metry przed sobą zobaczył majaczącą w gwałtownie zapadającym zmierzchu wysoką sylwetkę. Okulary przeciwsłoneczne przesłaniały oczy mężczyzny, który miał blisko dwa metry wzrostu, szerokie bary, potężne ramiona i nogi jak słupy telefoniczne — przypominał podstarzałego futbolistę. Trzymał ręce w kieszeniach, przy jego pasku połyskiwała znajoma srebrna oznaka.

Kapłan zmrużył oczy, usiłując przebić wzrokiem mrok.

— Lee?

Agent specjalny FBI Lee Sawyer postąpił dwa kroki w przód.

— Cześć, George.

58

Podali sobie ręce.

— Czego tu u diabła szukasz?

Sawyer rozejrzał się po miejscu katastrofy i ponownie zatrzymał wzrok na Kapłanie. Miał kanciastą twarz, pełne wargi i rzednące czarne włosy przetykane pasemkami siwizny. Wysokie czoło i przekrzywiony na prawo nos, pamiątka po jednej z prowadzonych spraw, w połączeniu z imponującą budową wzbudzały respekt.

- Kiedy na amerykańską ziemię spada, prawdopodobnie na skutek sabotażu, amerykański samolot, agenci FBI zaczynają węszyć, George — powiedział i spojrzał wymownie na Kapłana.

- Sabotaż? — powtórzył czujnie Kapłan.

Sawyer przemiótł znowu wzrokiem miejsce katastrofy.

- Sprawdzalem prognozy meteorologiczne. Tam w górze nie dzialo sie nic, co mogloby do tego doprowadzic. A samolot byl prawie nowy.

- To jeszcze nie świadczy o sabotażu, Lee. Za wcześniej, żeby o tym mówić, dobrze wiesz. Cholera, chociaż prawdopodobnie

bieństwo tego jest pewnie jak jeden do miliarda, być może podczas lotu nastąpiło uruchomienie hamulca odrzutowego. To mogło być przyczyną katastrofy.

- Pewna część samolotu szczególnie mnie interesuje, George. Chciałbym, żebyś ją bardzo dokładnie obejrzał.

- Trochę potrwa, zanim przekopimy ten krater — mruknął Kapłan. — Kiedy się z tym uporamy, będziesz sobie mógł wziąć do ręki i obejrzeć każdą część.

- Tej części samolotu nie ma w kraterze — odparł Sawyer. — A jest dosyć spora: całe prawe, skrzydło z silnikiem. Znaleźliśmy je przed półgodziną.

Kapłan stał jak sparaliżowany przez pełną minutę, wlepiając szeroko rozwarte oczy w pozbawioną wyrazu twarz agenta. Sawyer pociągnął go do swojego wozu.

Wynajęty buick oddalił się szybko od dogasających płomieni trawiących rozbity samolot. Nad głębokim, dziesięciometrowym dołem, w którym zginęło 181 osób, zapadały ciemności.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Luksusowa kabina gulfstreama przypominała salę klubową markowego hotelu: drewniana boazeria, dobrze zaopatrzony barek z barmanem, obite brązową skórą klubowe fotele i inne bajery.

59

Sidney Archer, zwinięta w kłębek w jednym z przepastnych foteli, otworzyła w końcu oczy i zdjęła z czoła zimny kompres. Ciężące jak ołów powieki i ospałe ruchy mogły sugerować, że znajduje się pod działaniem silnego środka uspokajającego. W rzeczywistości nie zażyła żadnego leku ani nic nie piła, lecz była zupełnie otepiąta. Dzisiaj w katastrofie lotniczej zginął jej mąż. Rozejrzała się po kabinie. Skorzystała z propozycji Quentina Rowe'a i zabrała się z nim w drogę powrotną do domu firmowym odrzutowcem Tritona. W ostatniej chwili, co jeszcze bardziej dobiło Sidney, dołączył do nich Gamble. Siedział teraz w swojej prywatnej kabinie na ogonie samolotu, a ona modliła się, żeby pozostał tam do końca lotu. Napotkała wzrok obserwującego ją uważnie Richarda Lucasa, szefa ochrony Tritona.

— Wyluzuj się, Rich — powiedział Quentin Rowe, minął ochroniarza i podszedł do Sidney. Usiadł obok. — Jak się czujesz? — spytał łagodnie. — Mamy na pokładzie valium. Wozimy zawsze zapas dla Nathana.

— To on zażywa valium? — zdziwiła się Sidney.

Rowe wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc, przeznaczone jest dla ludzi podróżujących z Nathanem.

Sidney zdobyła się na nikły uśmiech, który natychmiast zgasł.

- Boże, wierzyć mi się nie chce. — Spojrzała w okno. Oczy miała zaczerwienione. Zasłoniła ręką twarz. — Zdaję sobie sprawę, że to głupio wypadło, Quentin — powiedziała nie patrząc na Rowe'a. Dłonie jej drżały.

- Prawo nie zabrania nikomu podróżowania w czasie urlopu — odparł szybko Rowe.

— Nie wiem, co powiedzieć...

Rowe wziął ją za rękę.

— Słuchaj, to nie czas ani miejsce. Mam trochę roboty, ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Sidney spojrzała na niego z wdzięcznością. Kiedy znikł w innej sekcji kabiny, opadła na oparcie fotela i znowu zamknęła oczy. Po jej zapuchniętych policzkach spływały łzy. Richard Lucas nadal ją obserwował.

Ilekróć przypomniła sobie ostatnią rozmowę telefoniczną z Jasonem, wstrząsała nią szloch. Zdenerwowana odłożyła wtedy słuchawkę. Ten głupi, nic nie znaczący epizod urósł teraz do rangi ostatniego wspomnienia z ich wspólnego pożycia. Wzdrygnęła się i zacisnęła dłonie na poręczach fotela. I te podejrzenia, które

60

zatrwały jej życie przez kilka ostatnich miesięcy. Boże! Pracował ciężko, bo miał w perspektywie tę nową, wspaniałą posadę, a ona widziała go tylko w absurdalnych scenach łóżkowych z jakąś inną kobietą. Poczucie winy obezwładniało. Przez resztę życia będzie sobie wyrzucać, że tak źle oceniła mężczyznę, którego kochała.

Kiedy otworzyła oczy, czekał ją kolejny szok. Obok siedział Nathan Gamble. Zaskoczył ją wyraz współczucia na jego twarzy, którego nigdy dotąd tam nie widziała. Podał jej kieliszek.

— Brandy — burknął zapatrzony w czarne niebo za oknem. Kiedy się zawahała, ujął jej dłoń i stanowczym gestem wsunął w nią kieliszek. — W takich chwilach zbyt jasność umysłu nie jest pożądana — powiedział. — Pij.

Uniosła kieliszek do ust i strużka rozgrzewającego płynu spłynęła przetykiem. Szef Tritona rozparł się wygodnie w fotelu i niedbałym gestem ręki odprawił Lucasa. Pocierając machinalnie poręcz fotela zaczął się rozglądać po kabinie. Nie miał na sobie marynarki, a spod podwiniętych rękawów koszuli wylaniały się muskularne przedramiona. W tle mruzczały basowo silniki samolotu. Sidney czekała, wstrząsana falami niepokoju. Wiele razy była świadkiem, jak Gamble, znany ze swojego nieposzanowania dla uczuć osobistych, miesza z błotem ludzi. Ale teraz, choć oszołomiona bólem, wyczuwała w nim zupełnie innego człowieka, współczującego i delikatnego.

— Bardzo mi przykro z powodu twojego męża.

Zdawała sobie mgliście sprawę ze skrępowania Gamble'a. Jego dłonie poruszały się bezustannie, jakby próbowały dotrzymać kroku wzmożonej aktywności umysłu. Unosząc do ust kieliszek, zerknęła na niego.

• Dziękuję — wykrztusiła.

• Nie znałem go osobiście. Triton jest bardzo dużą firmą, i wątpię, czy widziałem na oczy choćby dziesięć procent personelu z kadry kierowniczej. — Gamble westchnął, i jakby dopiero teraz zauważył nerwowy taniec swoich dłoni, splótł je na podolku. — Naturalnie słyszałem o nim. Błyskawicznie piął się w górę. Wszystko wskazywało na to, że wysoko zajdzie.

Sidney skrzywiła się. Przypomniła sobie rewelację, jakie dzisiaj rano przekazał jej Jason. Nowa praca, wiceprezesura, nowe życie dla nich wszystkich. A teraz? Szybko dopiła brandy i z trudem stłumiła szloch. Kiedy znowu podniosła oczy na Gamble'a, napotkała jego wzrok.

— Poruszę tę kwestię teraz, chociaż wiem, że chwila nie jest najodpowiedniejsza... — Gamble zawiesił głos i przyglądał się jej przez chwilę.

Sidney przygotowała się na najgorsze. Instynktownie zacisnęła palce na poręczach fotela i przełknęła pęczniejącą w krtani gulę. W oczach prezesa nie było już współczucia.

— Twój mąż znajdował się na pokładzie samolotu lecącego do Los Angeles. — Gamble oblizwał nerwowo wargi i nachylił się do niej. — Nie było go w domu.

Sidney kiwnęła bezwiednie głową.

— Wiedziałaś o tym?

Przez moment Sidney wydawało się, że leci przez gęste chmury

obok tej maszyny za 25 milionów dolarów. Czas jakby stanął w miejscu, ale w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka sekund.

- Nie — bąknęła. Nigdy dotąd nie okłamała klienta; to „nie” samo wymknęło jej się z ust. Była przekonana, że jej nie uwierzył, ale było już za późno. Przyglądał jej się bacznie przez kilka sekund, po czym usiadł prosto. Przez chwilę nie poruszał się, a potem poklepał Sidney po ramieniu i podniósł się.

- Moja limuzyna odwiezie cię z lotniska do domu. Masz dzieci?

- Córeczkę. — Sidney spoglądała na niego z dołu, zdumiona, że przesłuchanie trwało tak krótko.

- Zabierze ją po drodze. Jest pewnie w centrum opieki dziennej? — Kiedy skinęła głową, Gamble prychnął. — Wszystkie dzieci tam teraz wegetują.

Sidney uświadomiła sobie nagle, że jej plany porzucenia pracy i poświęcenia się wychowywaniu Amy legły w gruzach. Była teraz samotną matką. Z rozpaczy zakreśliło jej się w głowie. Gdyby nie było tu Gamble'a, osunęłaby się na podłogę. Podniosła wzrok. Gamble nadal się jej przyglądał, pocierając dłonią czoło.

— Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Udało jej się unieść rękę z pustym kieliszkiem.

— Dziękuję, trochę pomogło.

Odebrał od niej kieliszek.

— Alkohol zwykle tak działa. — Odwracał się już, żeby odejść, ale zatrzymał się jeszcze i dodał: — Triton dba o swoich pracowników, Sidney. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała — pieniędzy, pomocy w załatwianiu formalności związanych z pogrzebem, pomocy przy domu albo dziecku — mamy ludzi, którzy zajmują się takimi sprawami. Nie krępuj się dzwonić.

62

— Zapamiętam. Dziękuję.

— A jeśli będziesz chciała jeszcze porozmawiać o... o tym i owym — popatrzył na nią znacząco — to wiesz, gdzie mnie szukać.

Oddalił się, a Richard Lucas cicho powrócił na swój posterunek. Sidney, drżąc lekko, znowu przymknęła powieki. Teraz pragnęła tylko tulić do piersi córeczkę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mężczyzna, siedząc na brzegu łóżka, rozebrał się do bokserów. Słońce jeszcze nie weszło. Ciało miał potężnie umięśnione, lewy biceps ozdobiony tatuażem przedstawiającym zwiniętego węża. Przy drzwiach sypialni stały trzy spakowane torby. Zgodnie z obietnicą dostał paszport USA, komplet biletów lotniczych, pieniądze i dokumenty tożsamości. Znajdowały się w małej skórkowej saszetce, która leżała teraz na jednej z toreb podróжных. Znowu, nie po raz pierwszy w swojej przestępczej karierze, zmienił nazwisko.

Koniec z tankowaniem samolotów. W ogóle nie będzie już musiał pracować. Komputerowy przelew honorarium na zagraniczne konto został potwierdzony. Nareszcie zdobył majątek, który, pomimo wszystkich dotychczasowych starań, przez całe życie uparcie mu się wymykał. Drogą przestępstwa kroczył od dawna, jednak ręce mu drżały, kiedy wyjmował z małej torebki perukę, owalne turkusowe okulary i barwione szkła kontaktowe. Prawdopodobnie upłynie wiele tygodni, zanim ktokolwiek dojdzie, co się naprawdę stało, ale w jego fachu zakładało się zawsze najczarniejszy scenariusz. A ten scenariusz przewidywał natychmiastową ucieczkę, i to jak najdalej.

Wrócił myślami do ostatnich wydarzeń. Po pozbyciu się zawartości plastikowego pojemniczka wrzucił go do Potomacu; nigdy nie zostanie znaleziony. Nie zostawił odcisków palców, nie zostawił żadnych fizycznych śladów. Jeśli nawet znajdą kiedyś coś, co powiąże go z katastrofą tego samolotu, on będzie już daleko. A nazwisko, którego używał przez ostatnie dwa miesiące, zaprowadzi ich w ślepią uliczkę.

Nieraz już zabijał, ale nigdy na tak masową i bezosobową skalę. Zawsze miał powód — jeśli nie osobisty, to podsunięty przez zleceniodawcę. Tym razem sama liczba i kompletna anonimowość

63

ludzi, których uśmiercił, poruszała nawet jego sumienie. Nie został na lotnisku, żeby patrzeć, kto wsiada na pokład samolotu. Wykonał pracę, za którą mu zapłacono, i teraz, mając do dyspozycji tę ogromną fortunę, będzie próbował zapomnieć, w jaki sposób ją zdobył. Nie przypuszczał, żeby zajęło mu to dużo czasu.

Usiadł przed małym lustrem ustawionym na sypialnianym stoliku. Naciągnął blond perukę na kędzierzawe ciemne włosy. Na drzwiach wisiał nowy garnitur kontrastujący zdecydowanie swoją stonowaną elegancją z łachem, który przed chwilą z siebie zrzucił. Uformował dłonie w muszelkę i pochylił nisko głowę, żeby założyć szkła kontaktowe, które zmienią kolor jego oczu z brązowego na błękitny.

Wyprostował się, żeby ocenić w lustrze efekt, i nagle poczuł ucisk przedłużonej lufy sigi P229 napierającej na podstawę czapki. Z wyostrzoną percepcją, która towarzyszy zwykle panice, zauważył, że założony na lufę tłumik podwaja niemal jej długość.

Szok trwał zaledwie sekundę. Potem zobaczył w lustrku wlepione weń ciemne oczy i zaciśnięte w wąską linię usta. Jego własna twarz często przybierała podobny wyraz tuż przed popełnieniem zabójstwa. Odebranie komuś życia zawsze traktował z należytą powagą. Teraz w lustrze, w które wpatrywał się jak zahipnotyzowany, widział ten sam wyraz na twarzy kogoś innego. Patrzył z rosnącym zdumieniem, jak twarz człowieka, który za chwilę go zabije, wykrzywia najpierw gniew, a potem nienawiść — emocje, których on nigdy nie odczuwał podczas wykonywania zadania. Wlepił oczy w palec naciskający na spust. Poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, może krzyknąć, ale wbijający się w mózg pocisk stłumił słowa, zanim zdążyły wydobyć się z ust. Drgnął konwulsyjnie i runął na mały stoliczek. Zabójca wrzucił jego bezwładne ciało twarzą do dołu w wąski prześwit między łóżkiem a ścianą, po czym opróżnił magazynek sigi, wystrzelując jedenaście pozostałych w nim pocisków w plecy trupa. Mimo że serce ofiary już nie biło, w każdym punkcie wlotowym pojawiała się plama ciemnej krwi wielkości dziesięciocentówki. Automatyczny pistolet wylądował obok zwłok i zabójca wyszedł z pokoju, zabierając po drodze skórzaną szaszetkę z nowymi dokumentami swojej ofiary. Zatrzymał się przed zainstalowanym na ścianie korytarza regulatorem klimatyzacji i nastawił go na maksimum. Dziesięć sekund później drzwi mieszkania otworzyły się i zamknęły. Zapadła cisza. Po beżowej wy-

64

kładzinie w sypialni szybko rozlewała się karmazynowa plama. Saldo konta w zagranicznym banku spadnie w ciągu godziny do zera i konto zostanie zamknięte. Jego właściciel nie będzie go już potrzebował.



Była dopiero siódma rano. Za oknem wciąż panowały ciemności. Sidney Archer siedząca w starej podomce przy kuchennym stole zamknęła powoli oczy i jeszcze raz spróbowała sobie wmówić, że to był tylko senny koszmar, że jej mąż żyje i za chwilę wejdzie frontowymi drzwiami, z uśmiechem na twarzy i prezentem dla córeczki pod pachą.

Otworzyła oczy, ale nic się nie zmieniło. Spojrzała na zegarek. Lada chwila obudzi się Amy. Rozmawiała już telefonicznie ze swoimi rodzicami. Przyjadą o dziewiątej i zabiorą wnuczkę na kilka dni do siebie, do Hanover w Wirginii, żeby Sidney mogła spokojnie dojść do siebie po tym, co się stało. Wzdrygnęła się wewnętrznie na myśl, że kiedy mała podrośnie, będzie musiała opowiedzieć jej o katastrofie. Jak wyjaśni córce śmierć ojca?

Rodzice Jasona zmarli przed kilkoma laty. Był jedynakiem i traktował rodzinę żony jak własną, a oni akceptowali go bez zastrzeżeń. Dwaj starsi bracia Sidney dzwonili już z kondolencjami i ofertami pomocy.

Western Airlines zaproponowały Sidney przelot do małego miasteczka, w pobliżu którego rozbił się samolot, ale podziękowała. Nie zniósłaby towarzystwa członków rodzin innych ofiar katastrofy. Wyobraziła ich sobie, jak wsiadają w milczeniu do długich szarych autokarów, bliscy załamania po przebytych szoku. Jej żaloba i smutek były wystarczająco straszne bez przebywania w otoczeniu ludzi dotkniętych podobnym nieszczęściem.

Weszła na górę i zatrzymała się przed drzwiami sypialni. Uchyliły się, kiedy je pchnęła. Rozejrzała się po pokoju, po znajomych przedmiotach, z których każdy miał swoją własną historię i pobudzał wspomnienia związane z Jasonem. Zatrzymała wzrok na nie posłanym łóżku. Ileż zaznała w nim uniesień. Nie mieściło jej się głowie, że wczesnym rankiem przed wyjazdem Jasona kochali się po raz ostatni.

Zamknęła cicho drzwi i ruszyła korytarzem w kierunku pokoju Amy. Miarowy oddech córeczki zawsze ją uspokajał. Usiadła w wieloklinowym bujanym foteliku stojącym przy łóżku. Niedawno udało im się przenieść małą z łóżeczka dzieciennego do normalnego. Wiele

65

nocy przespałi na zmianę na podłodze obok niego, zanim mała przywykła do nowych warunków.

Bujając się powoli w foteliku, Sidney obserwowała córeczkę — rozczochrane blond włosy, małe stopki w grubych skarpetkach wystające spod koca. O siódmej trzydzieści z ust Amy wyrwał się cichy okrzyk i mała usiadła gwałtownie. Powieki miała mocno zaciśnięte. Sidney natychmiast porwała ją w ramiona i kołysały się jeszcze razem przez kilka chwil, dopóki Amy zupełnie się nie rozbudziła.

Kiedy zaczęło wschodzić słońce, Sidney wykapała Amy, wysuszyła jej włosy, ubrała ciepło i pomogła zejść po schodach do kuchni. Tam zajęła się przygotowywaniem śniadania i parzeniem kawy, a dziewczynka poczłapała do sąsiedniego living roomu i zaczęła się bawić rosnącą wciąż górą klocków zajmującą od roku kąt pokoju. Sidney otworzyła szafkę i jak co rano wyjęła z niej dwie filiżanki. Kiedy to sobie uświadomiła, zatrzymała się w pół drogi do dzbanka z kawą i zaczęła kołysać jak w transie tam i z powrotem, przygryzając dolną wargę, żeby powstrzymać cisnący się na usta krzyk. Miała wrażenie, że ktoś przeciął ją na pół. Odstawiła jedną filiżankę z powrotem na półkę i przeniosła swoją kawę oraz miskę gorącej owsianki na mały sosnowy stół kuchenny.

Spojrzała na otwarte drzwi do living roomu.

— Amy, kochanie, śniadanko gotowe — powiedziała prawie

szeptem. Gardło miała ściśnięte, a całe jej ciało przenikał niewysłowiony ból.

Mała wpadła jak bomba do kuchni. Niosła pluszowego tygrysa i fotografię w ramce. Podbiegła do matki. Buzię miała rozpromienioną, włosy jeszcze wilgotne po kąpieli, proste na wierzchu głowy i zaczynające się już wić na końcach.

Sidney zamarła, kiedy Amy pokazała jej fotografię Jasona. Została zrobiona przed miesiącem. Pracował wtedy na podwórku. Amy podkrađła się i oblała go wodą z ogrodowego węża, a potem wylądowali razem na kupie jasnoczerwonych, pomarańczowych i żółtych liści.

— Tatus? — Na twarzyczce Amy malowało się wyczekiwanie.

Jason miał wrócić za trzy dni, więc Sidney była przygotowana na to, że będzie musiała wytłumaczyć małej jego nieobecność. Boże! Te trzy dni wydawały jej się teraz trzema sekundami. Wzięła się w garść i uśmiechnęła.

— Tatus wyjechał, kochanie — zaczęła. Nie potrafiła opano-

66

wać drżenia głosu. — Jesteśmy teraz same, rozumiesz? Jesteś głodna, chcesz jeść?

— Tatus? Tatus praciuje? — nie dawała za wygraną Amy.

Postukiwała w zdjęcie pulchnym paluszkami. Sidney wzięła ją na kolana.

- Amy, wiesz, kogo dzisiaj zobaczysz?

Amy popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

- Dziadzia i babcie.

Usteczka małej rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Pokiwała entuzjastycznie główką i zdmuchnęła z paluszków pocałunek w stronę lodówki, nad którą wisiało zdjęcie dziadków.

— Dziadzia, babcia.

Sidney, stawiając przed Amy miseczkę z owsianką, ostrożnie wyjęła z rączki małej fotografię Jasona.

- Jedz, bo zaraz wychodzimy. Masz tu klonowy syrop i maselko, twoje przysmaki.

- Ja siama. Siama. — Amy przelazła z kolan matki na swoje krzeselko i zanurzyła łyżkę w owsiance.

Sidney westchnęła i zakryła dłońmi oczy. Próbowwała zapanować nad sobą, ale pomimo tych wysiłków wstrząsnęło nią kilka szlochów. Zerwała się i zabierając fotografię wypadła z kuchni. Wbiegła na górę, do sypialni, położyła zdjęcie na górnej półce szafki i rzuciła się na łóżko, ukrywając twarz w poduszce.

Upłynęło pięć minut, ale przyływ żalu nie ustępował. Zwykle wewnętrzny radar informował ją o wszelkich ruchach Amy, ale tym razem uświadomiła sobie jej obecność dopiero wtedy, gdy poczuła rączkę córki na swoim ramieniu. Amy położyła się obok i wcisnęła buzię w ramię matki.

— O, bu-bu bu-bu — zawołała na widok łez, dotykając wilgotnych policzków Sidney. Ujęła twarz matki w rączki i również się rozplakała. — Mama smutna? — Ich twarze się zetknęły, łzy zmieszały. Sidney odsunęła się i zaczęła kołysać córeczkę na miękkim materacu. Amy miała na buzi grudkę owsianki. Sidney przeklinała sama siebie w duchu za to załamanie, za to, że doprowadziła córkę do płaczu, ale jeszcze nigdy dotąd nie przeżyła takiego wstrząsu.

Wreszcie udało jej się uspokoić. Przetarła oczy, zaniósła Amy do łazienki, oczyściła jej buzię i pocałowała.

— Już dobrze, maleńka. Nie płacz.

Wyjęła z wanny kilka zabawek dla małej, wzięła szybki prysznic i włożyła długą spódnice oraz golf.

Kiedy tuż po dziewiątej do drzwi zapukali rodzice Sidney, Amy była już spakowana i gotowa do drogi. Wyszli do samochodu. Ojciec Sidney niósł torbę Amy, matka prowadziła wnuczkę za rączkę.

Bill Paterson otoczył córkę potężnym ramieniem. Jego podkrążone oczy i przygarbione plecy świadczyły, jak bardzo przeżywa śmierć zięcia.

— Jezu, kochanie, wciąż nie mogę uwierzyć. Przed dwoma dniami rozmawiałem z Jasonem. Mieliśmy w tym roku jechać zimą na ryby. Do Minnesoty. Tylko we dwóch.

— Wiem, tato, mówił mi. Bardzo cieszył się na tę wyprawę.

Kiedy ojciec ładował torbę Amy do bagażnika, Sidney posadziła córeczkę w dziecięcym foteliku, zapięła pasy, dała małej Kubusia Puchatka, uścisnęła mocno i pocałowała.

— Niedługo się zobaczymy, laleczko. Mamusia obiecuje.

Zatrzasnęła drzwiczki. Matka ujęła ją za rękę.

— Jedź z nami, Sidney. Nie możesz zostać tu teraz sama.

Proszę cię.

Sidney uścisnęła szczupłą dłoń matki.

— Przez jakiś czas muszę pobyć sama, mamó. Mam kilka spraw do przemyślenia. To nie potrwa długo. Za parę dni przyjadę.

Matka przyglądała się jej jeszcze przez parę chwil, a potem uścisnęła serdecznie. Kiedy wsiadała do samochodu, twarz miała mokrą od łez.

Sidney odprowadziła wzrokiem odjeżdżający samochód. Patrzyła na tylną kanapę, gdzie jej córeczka, ssąc zapamiętałe kciuk, wolną rączką tuliła do siebie ukochanego pluszowego misia. Kilka sekund potem samochód skręcił na skrzyżowaniu i znikł jej z oczu.

Niepewnym, powolnym krokiem starej kobiety Sidney ruszyła w stronę domu. Nagle, tknięta pewną myślą, przyspieszyła.

Dopadła telefonu, zadzwoniła do informacji rejonu Los Angeles i poprosiła o numer firmy AllegraPort Technology. Wystukując go na klawiaturze aparatu zastanawiała się, dlaczego nie zadzwonili, kiedy Jason nie pojawił się na umówionym spotkaniu. Nie zostawili żadnej wiadomości na automatycznej sekretarce. Samo to powinno ją przygotować na odpowiedź AllegraPort, ale nie przygotowało.

Po odbyciu trzech rozmów z trzema różnymi pracownikami firmy odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się tępo w kuchenną ścianę. Jasonowi wcale nie proponowano wiceprezesury AllegraPort. Co więcej, nigdy tam o nim nie słyszano. Sidney usiadła na podłodze,

68

podciągnęła kolana pod brodę i zanosła się niekontrolowanym szlochem. Odżyły podejrzenia, które do niedawna ją prześladowały; gwałtowność, z jaką powróciły, groziła zerwaniem resztek więzów, które łączyły ją jeszcze z rzeczywistością. Dźwignęła się z podłogi i podstawiła głowę pod kuchenny kran. Zimna woda przyniosła w końcu otrzeźwienie. Dowlokła się do stołu, usiadła przy nim i ukryła twarz w dłoniach. Jason ją okłamał, nie było co do tego wątpliwości. Jason nie żyje. Temu również nie dało się zaprzeczyć. I może nigdy nie dowie się prawdy. Przestała płakać i spojrzała przez okno wychodzące na ogródek za domem. Przez ostatnie dwa lata sadzili tam z Jasonem kwiaty, krzewy i drzewka. Pracowali razem dla wspólnego celu, jak przez większość swojego małżeńskiego życia. I pomimo wszystkich wątpliwości, jakie nią teraz targały, jedna prawda pozostawała wciąż nie zmieniona: Jason kochał ją i Amy. Cokolwiek skłoniło go do okłamania jej i zajęcia miejsca w skazanym na katastrofę samolocie, dowie się, co to było. Była pewna, że Jason nie mógłby brać udziału w przestępstwie. Mężczyzna, którego znała i z całego serca kochała, nie byłby zdolny do niczego złego. Musiała wyjaśnić, czemu znalazł się w tym samolocie, była mu to winna. Zaraz

dojdzie do siebie i podejmie śledztwo z całą energią, jaką zdoła zmobilizować.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Hangar na regionalnym lotnisku był mały; ściany miał obwieszony rzędami elektrycznych narzędzi, na posadzce stały stosy skrzyń. Na zewnątrz panowały już ciemności, ale tutaj, przy włączonym górnym oświetleniu, było jasno jak w dzień. Gnany wiatrem śnieg z deszczem siekł ściany i przylegał do nich wilgotnym kożuchem. W powietrzu unosiła się ciężka, ostra woń całego asortymentu produktów naftowych.

Na betonowej posadzce w przedniej części hangaru leżał olbrzymi metalowy obiekt. Były to pogięte, zniekształcone pozostałości prawego skrzydła Rejsu 3223 z nie tkniętym silnikiem i wspornikiem gondoli silnikowej. Skrzydło spadło w gęsto zalesionym terenie, na wierzchołek trzydziestometrowego stuletniego dębu, rozszczepiając go na dwoje. Jakimś cudem nie doszło do zapłonu paliwa. Większość wyciekła prawdopodobnie po pęknięciu zbiornika i przerwaniu przewodów, a drzewo

69

zamortyzowało w pewnym stopniu impet upadku. Kawałki skrzydła pozbierano i przewieziono do hangaru dla dokonania dokładniejszych oględzin.

Dookoła szczątków zgromadziła się mała grupka mężczyzn opatulonych w grube kurtki. W nie ogrzewanym hangarze panował ziąb i przy każdym oddechu z ich ust wydobywały się obłoczki pary. Kierowali promienie silnych latarek na postrzępioną krawędź, wzdłuż której skrzydło oderwało się od samolotu. Gondola prawego silnika była częściowo zgnieciona, a osłona wgięta. Uderzenie o ziemię powyrzywało klapy z krawędzi spływu płata, ale znaleziono je w pobliżu miejsca upadku. Oględziny samego silnika wykazały znaczny ubytek łopatek turbiny, co świadczyło o poważnym zakłóceniu przepływu powietrza podczas pracy silnika. Naturę tego „zakłócenia” nietrudno było określić. Silnik zassał mnóstwo odłamków i stracił moc, zanim jeszcze odpadł od kadłuba.

Jednak uwaga ludzi zgromadzonych w hangarze koncentrowała się na krawędzi, wzdłuż której płat oderwał się od samolotu. Zadziory metalowego poszycia były przypalone, poczerniałe, a co najbardziej charakterystyczne, odgięte na zewnątrz i podziobane. Krótką listę wchodzących w grę przyczyn otwierał wybuch bomby. Lee Sawyer, oglądając wcześniej płat, od razu zwrócił uwagę na ten jego fragment.

George Kapłan pokręcił z niesmakiem głową.

— Chyba to rzeczywiście bomba, Lee. Takich spustoszeń mogła dokonać tylko fala uderzeniowa, która wywołała potężne, lecz krótkotrwałe nadeśnienie. Tak, tutaj coś wybuchło. Jasna cholera! Instalujemy na lotniskach detektory, żeby uniemożliwić jakimś nawiedzonym dupkom przemycenie na pokład pistoletu albo bomby, no i proszę. Jezu!

Lee Sawyer przykląkł przy krawędzi skrzydła. Pięćdziesiąt pięć lat na karku, z czego połowa przepracowana w biurze, i znowu bada skutki zbrodniczej ludzkiej działalności.

Był w ekipie prowadzącej dochodzenie w sprawie katastrofy w Lockerbie. Wnioski wysnuwano tam na podstawie mikroskopijnych resztek rejsu 103 linii Pan Am. W przypadku samolotów wysadzanych przez terrorystów było to normą. Tak przynajmniej uważał do tej pory agent specjalny Lee Sawyer.

Przesunął wzrokiem po krawędzi urwanego skrzydła, po czym spojrzął na pracownika NTSB.

— I co ty na to, George?

70

Kapłan podrapał się machinalnie po nie ogolonej brodzie.

— Będziemy wiedzieli dużo więcej po znalezieniu czarnych skrzynek, ale mamy tutaj niepodważalną przyczynę: skrzydło oderwało się od samolotu. Tylko że takie rzeczy nie zdarzają się na co dzień. Nie wiemy, kiedy dokładnie to się stało, jednak na radarze widać było, że od maszyny oddzielił się podczas lotu duży element — teraz wiemy, że to było skrzydło. Z początku myśleliśmy, że przyczyną katastrofy była jakaś wada konstrukcyjna. Ale L800 to najnowocześniejsza maszyna produkowana przez renomowaną firmę, więc prawdopodobieństwo objawienia się tego rodzaju wady konstrukcyjnej jest tak nikłe, że nie zawracałbym sobie głowy badaniem sprawy pod tym kątem. Można jeszcze brać pod uwagę zmęczenie materiału, ale ten samolot ma za sobą dopiero dwa tysiące cykli startów i lądowań, a więc jest praktycznie nowiutki. Poza tym notowane do tej pory przypadki zmęczenia materiału dotyczyły głównie kadłuba, bo to on podlega stale procesowi kurczenia i rozszerzania na skutek hermetyzacji i dehermetyzacji. Skrzydła samolotu nie są hermetyzowane. Czyli zmęczenie materiału można od razu wykluczyć. Przyjrzyjmy się teraz czynnikom zewnętrznym. Uderzenie pioruna? Pioruny biją w samoloty częściej, niż się ludziom wydaje, ale nie wyrządzają większych szkód. Piorun, żeby poczynić jakiegokolwiek spustoszenia, musi spływać do ziemi, i lecącej maszynie może w najgorszym przypadku okopcić poszycie. Zresztą nie zgłaszano żadnych burz w tym rejonie wtedy, gdy doszło do katastrofy. Ptaki? Pokaż mi ptaka, który lata na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp, na dodatek tak dużego, że mógłby utracić skrzydło L800, wtedy może podyskutujemy. Z innym samolotem na pewno się nie zderzył. Za to daję głowę.

Kapłan z każdym słowem podnosił głos. Teraz urwał, żeby zaczerpnąć tchu, i ponownie spojrzał na szczątki płata.

— No i do czego nas to prowadzi, George? — spytał chłodno Sawyer.

Kapłan westchnął.

— Rozważmy teraz ewentualność awarii mechanicznej albo ujawnienia się wady niekonstrukcyjnej. Katastrofalne dla samolotu okazuje się zazwyczaj dopiero wystąpienie jednocześnie dwóch lub więcej usterek. Przesłuchałem zapis rozmów pilota z wieżą kontrolną. Kapitan nadał *Mayday* kilka minut przed rozbiciem się samolotu, chociaż z tego, co mówił, wynikało, że nie wiedzieli, co się dzieje. Transponder pokładowy aż do chwili uderzenia

71

w ziemię nadawał impulsy radarowe, a więc do tego momentu działała przynajmniej część systemów elektrycznych. Ale powiedzmy, że z chwilą nastąpienia wycieku paliwa zapalił się silnik. Ludzie kojarzą zazwyczaj wyciek paliwa z płomieniami buchającymi z silnika: następuje eksplozja i odpada skrzydło. Ale chociaż wszystko za takim wyjaśnieniem przemawia, eksplozji mogło wcale nie być. Pożar mógł nadwerżyć dźwigar płata, który w wyniku tego pękł i skrzydło odpadło. To wyjaśniałoby przyczynę katastrofy i taką hipotezę na obecnym etapie przyjmujemy — podsumował Kapłan bez przekonania.

— Ale...? — Sawyer przyglądał mu się uważnie.

Kapłan przetarł oczy, był wyraźnie sfrustrowany.

- Nic nie świadczy o jakiegokolwiek ustercie w tym cholernym silniku. Uszkodzenia, które tu widzimy, nastąpiły wskutek uderzenia w ziemię oraz zassania odłamków wyrzuconych przez pierwotną eksplozję. Nie wierzę, żeby do katastrofy doprowadziła

awaria silnika. W przypadku zapalenia się silnika standardowa procedura zaleca odcięcie dopływu paliwa do tego silnika, a następnie wyłączenia go. Silniki L800 wyposażone są w automatyczne systemy wykrywania i gaszenia ognia. A co ważniejsze, montowane są nisko, żeby ewentualne płomienie nie sięgnęły skrzydła ani kadłuba. Tak więc nawet w przypadku wycieku paliwa połączonego z zapaleniem się silnika, cechy konstrukcji oraz warunki panujące na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp i szybkość przekraczająca pięćset mil na godzinę zapobiegłyby eksplozji. — Nastąpił butem na skrzydło. — Według mnie to nie awaria silnika doprowadziła do katastrofy... To musiało być coś innego. — Znowu przyklął przy poszarpanej krawędzi skrzydła. — Jak powiedziałem, dowody wskazujące na eksplozję są oczywiste. Kiedy po raz pierwszy oglądałem to skrzydło, od razu przyszło mi na myśl jakieś zaimprovizowane urządzenie wybuchowe. Dajmy na to semtex połączony z zegarem albo wysokościomierzem. Samolot osiąga pewną wysokość i bomba wybucha. Wybuch rozrywa poszycie, puszczają nity. W szczelinę wdiera się wiatr dmący z szybkością setek mil na godzinę, skrzydło rozpruwa się wzdłuż linii najmniejszego oporu, jakbyś rozsuwał zamek błyskawiczny rozporoka. Pęka dźwigar i... bam! Ciężar silnika w tej sekcji płata gwarantuje taki rezultat. — Urwał, by zajrzeć do wnętrza skrzydła. — Nie sądzę jednak, aby wchodziło tu w grę typowe urządzenie wybuchowe.

- Dlaczego? — spytał Sawyer.

## 72

Kapłan wskazał palcem na odsłonięty fragment zbiornika paliwa przy otworze wlewowym i skierował na niego latarkę.

— Popatrz na to.

Ziała tam wielka dziura. Metal na jej krawędziach był zbrązowiał, powyginany i spęczniały.

- Zwróciłem już na nią uwagę — powiedział Sawyer.
- Taka dziura nie mogła powstać z przyczyn naturalnych — oświadczył Kapłan. — A nawet gdyby, to zauważono by ją podczas rutynowego przeglądu przedstartowego.

Sawyer włożył rękawiczki i pomacał brzegi otworu.

- Może powstała w wyniku eksplozji.
- Tylko jedna? W tej sekcji skrzydła nie występują podobne ślady, a paliwo jest tu przecież wszędzie. To raczej wyklucza hipotezę, że została wyrwana przez eksplozję. Przypuszczam, że ściankę zbiornika paliwa czymś posmarowano... — Kapłan zawiesił głos i zatarł nerwowo dłonie. — Uważam, że nałożono to coś celowo, żeby doprowadzić do powstania tej dziury.

— Na przykład jakiś żrący kwas? — spytał Sawyer.

Kapłan kiwnął głową.

- Założę się o kolację, że właśnie z czymś takim mamy do czynienia, Lee. Zbiorniki paliwa to konstrukcje ze stopu aluminium, spełniające dodatkowo rolę przednich i tylnych dźwigarów oraz tworzące wierzch i spód skrzydła. Grubość ścianek tych konstrukcji jest różna w różnych miejscach. Wiele kwasów potrafi przeżreć taki miękki stop.

- No dobrze, ale jeśli to kwas, musiał działać na tyle powoli, żeby samolot zdążył wznieść się w powietrze, prawda?
- Prawda — odparł Kapłan. — Transponder wysyła bez przerwy do kontroli ruchu powietrznej informacje o wysokości, na jakiej znajduje się maszyna, wiemy więc, że samolot osiągnął wysokość przelotową na kilka minut przed eksplozją.
- W którymś momencie zbiornik zostaje przeżarty... — podjął jego tok rozumowania Sawyer. — Zaczyna wyciekać paliwo. Jest łatwopalne, wybuchowe. Co doprowadziło do zapłonu? Załóżmy, że silnik rzeczywiście się nie palił. A co z ciepłem, jakie normalnie

wydziela podczas pracy?

- Czy wiesz, jaki ziąb panuje na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp? W porównaniu z tym Alaski to Sahara. W dodatku większą część ciepła wydzielanego przez silnik rozprasza osłona silnika i systemy chłodzenia. A już na pewno nie dociera ono do wnętrza skrzydła, gdzie mieści się zbiornik paliwa. Przede

73

wszystkim zaś, jeśli dochodzi do wycieku, paliwo spływa do tyłu, a nie na przód i na spód skrzydła, w którym znajduje się silnik. Jeśli chcemy stracić w ten sposób samolot, nie możemy liczyć na to, że detonatorem stanie się ciepło generowane przez silnik. Ja zastosowałbym coś bardziej niezawodnego.

Sawyer zamyślił się.

- Czy wyciek paliwa da się zatamować?
- W niektórych sekcjach zbiornika paliwa tak. W innych, włączając w to sekcję, w której jest ta dziura, nie.
- No cóż, jeśli rzeczywiście było, jak mówisz — a w tej chwili skłonny jestem zgodzić się z tobą — to musimy się skoncentrować na osobach, które miały dostęp do tej maszyny w ciągu dwudziestu czterech godzin od jej ostatniego lotu. Trzeba to będzie robić dyskretnie. Wygląda na to, że mamy do czynienia z jakimś pracownikiem lotniska, i nie możemy go spłoszyć. Jeśli maczał w tym palce jeszcze ktoś, to dopadnę sukinsyna.

Sawyer i Kapłan wrócili do samochodów. Kapłan obejrzał się na agenta FBI.

— Bez większych zastrzeżeń przyjąłeś moją teorię sabotażu, Lee.

- Trzeba ją będzie jeszcze udowodnić — odparł Sawyer, nie patrząc na pracownika NTSB. Wiedział o czymś, co czyniło hipotezę podłożenia bomby wielce wiarygodną. — Ale owszem, myślę, że masz rację. Doszedłem do tego samego wniosku zaraz po znalezieniu skrzydła.

- Czemu ktoś miałby to zrobić? Potrafię jeszcze zrozumieć terrorystów dokonujących zamachu na samolot odbywający lot międzynarodowy, ale to był przecież rejs krajowy. Coś mi tu nie gra... — mruknął Kapłan i otworzył drzwiczki samochodu.

- Miałoby to sens, gdybyś chciał zgładzić w spektakularny sposób jakąś konkretną osobę — zauważył Sawyer.

Kapłan spojrzał na niego.

- Strącać cały samolot, żeby załatwić jednego faceta? Któż to taki nim leciał?

- Czy mówi ci coś nazwisko Arthur Lieberman? — spytał agent FBI.

Kapłan wyteżył pamięć, lecz bez rezultatu.

- Jakby obito mi się o uszy, ale nie kojarzę — stwierdził w końcu.

- Gdybyś był bankierem inwestycyjnym albo maklerem. gieł-

74

dowym, albo kongresmanem zasiadającym w Połączonym Komitecie Ekonomicznym, wiedziałbyś. Lieberman to najpotężniejszy człowiek w Ameryce, jeśli nie na całym świecie.

— Myślałem, że najpotężniejszą osobą w Ameryce jest prezydent.

Sawyer uśmiechnął się ponuro.

- O, nie. To Arthur Lieberman grał tu pierwsze skrzypce.
- A kim on, u diabła, był?
- Prezesem Zarządu Rezerwy Federalnej. Teraz, razem ze stu osiemdziesięcioma innymi osobami, jest ofiarą zamachu. A nos mi mówi, że właśnie o niego im chodziło.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jason Archer nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Jechali dobrych kilka godzin, a DePazza, czy kim tam u diabła był ten osobnik, zawiązał mu oczy. Pokój, w którym od jakiegoś czasu przebywał, był mały i nie umeblowany. Gdzieś w kącie kapłała woda, a w powietrzu unosił się odór pleśni. Jason siedział na rozchwierutanim krzeselku twarzą do drzwi. Okien w tym pomieszczeniu nie było. Jedynym źródłem światła była goła żarówka zwisająca na kablu z sufitu. Słyszał kogoś za drzwiami. Nie wiedział jednak, która to godzina, bo zabrano mu zegarek. Posiłki przynoszono mu bardzo nieregularnie, co utrudniało orientację w upływie czasu.

Kiedy wnoszono mu któryś z kolei posiłek, zauważył, że na małym stoliku za drzwiami leży jego laptop i telefon komórkowy. Sąsiednie pomieszczenie niewiele różniło się od tego, w którym się znajdował. Odebrano mu srebrną walizeczkę. Powoli zaczynało do niego docierać, co się dzieje. Jezu, ależ dał się podejść! Pomyślał o żonie i dziecku i zapragnął znaleźć się znowu z nimi. Spróbował sobie wyobrazić, co teraz przeżywa Sidney. Że też nie powiedział jej prawdy. Może potrafiłaby mu teraz jakoś pomóc. Westchnął. Ale przecież wyznając wszystko, naraziłby ją na niebezpieczeństwo. A tego nigdy by nie zrobił, nawet gdyby nie miał jej więcej zobaczyć. Otarł łzy, które napływały do oczu na samą myśl o tym. Wstał i otrząsnął się.

Żył jeszcze, choć zdecydowanie porywaczy bynajmniej nie nastrojało optymistycznie. Jednak pomimo całej swojej zapobiegliwości popełnili jeden błąd. Jason zdjął okulary, położył je na

75

cementowej posadzce i metodycznie rozdeptał butem. Podniósł ostry odłamek szkła, ukrył go między palcami, podszedł do drzwi i zabębnił w nie pięścią.

- Hej, mogę dostać coś do picia?
  - Cicho tam! — ryknął zirytowany głos. Nie należał do DePazzy, prawdopodobnie do tego drugiego.
  - Słuchaj, do cholery, muszę zażyć lekarstwo i nie mam go czym popić!
  - Połknij na sucho — poradził mu tamten.
  - Te pastylki są za duże — odkrzyknął z nadzieją, że usłyszy go ktoś jeszcze.
  - A to pech.
- Rozległ się szelest przewracanych niespiesznie stron czasopisma. — Dobra, nie wezmę ich i zaraz tu wykorkuję — oświadczył Jason. — To na zabicie ciśnienia krwi, a mam teraz takie, że zaraz mnie rozsadzi.

Zaszurało odsuwane krzesło, zabrzcęzały klucze.

— Odejdź od drzwi.

Jason cofnął się, ale tylko o krok. Drzwi otworzyły się. Mężczyzna trzymał w jednym ręku pęk kluczy, w drugim pistolet.

- Gdzie te pastylki? — spytał mrużąc oczy.
- Mam je w garści.
- Pokaż.

Jason potrząsnął z oburzeniem głową, postąpił krok w przód, otworzył dłoń i wyciągnął rękę. Mężczyzna pochylał się, żeby się lepiej przyjrzeć. Jason kopnął go w dłoń, wybijając z niej pistolet. — Kurwa! — wrzasnął strażnik.

Skoczył na Jasona, a ten powitał go idealnym podbródkowym. Odłamek szkła z okularów rozpruł facetowi policzek. Napastnik zawył z bólu i zatoczył się w tył. Z rany lała się krew.



Mężczyzna był potężnie zbudowany, ale mięśnie już dawno zaczęły mu zbierać tłuszczem. Jason runął na niego niczym taran i przyparł do ściany. Mocowali się przez chwilę, ale Jason zdołał w końcu obrócić mężczyznę, chwycił go za włosy i rąbnął twarzą o ścianę z pustaków. Jeszcze jedno uderzenie głową w ścianę, dwa silne ciosy w nerki i strażnik osunął się bez czucia na zimną posadzkę.

Jason podniósł pistolet i wypadł z pomieszczenia, zgarniając w przelocie laptopa i telefon komórkowy ze stolika. Za drzwiami zatrzymał się i rozejrzył. Zobaczył kolejne drzwi i posłuchawszy przez chwilę wybiegł przez nie.

76

Znowu się zatrzymał i odczekał, aż oczy przywykną do panującego tu mroku. Żaknął pod nosem. Znajdował się w tym samym albo bardzo podobnym do poprzedniego magazynie. Jeździli pewnie w kółko. Zszedł ostrożnie po schodach na parter. Limuzyna zniknęła. Za plecami coś zaszurało. Podbiegł do uchylnej bramy i zaczął ją obmacywać, szukając gorączkowo zatrasku. Usłyszał tupot nadbiegających kroków. Przemknął w przeciwny kraniec hali magazynowej, skrył się w kącie za pięćdziesięciogalonowymi beczkami, położył pistolet na posadzce i odpiął wieko laptopa.

Był to najnowocześniejszy model z wbudowanym modemem telefonicznym. Włączył zasilanie i krótkim kabelkiem, który wyszarpnął z wnęki w obudowie, podłączył do modemu telefon komórkowy. Komputer nagrzewał się przez kilka sekund, a jemu pot ściekał po czole strumieniami. Wybrał myszą niezbędne funkcje z menu, które pojawiło się na ekranie, a potem przebiegł palcami po klawiaturze, wystukując wiadomość. Był tym tak pochłonięty, że nie usłyszał kroków za plecami. Wprowadził adres poczty elektronicznej adresata. Przesyłał wiadomość do własnej skrzynki pocztowej w sieci America Online. Niestety nie zadbał wcześniej o zaprogramowanie w laptopie swojego adresu poczty elektronicznej, bo nigdy sam ze sobą nie korespondował. Niektórzy nie pamiętają nawet własnego numeru telefonu, ale on na szczęście pamiętał swój e-mailowy adres, jednak ręczne wprowadzanie go z klawiatury kosztowało kilka cennych sekund. Nagle zamarł z palcem nad klawiaturą. Sparaliżował go gwałtowny rozbłysk światła. Czyjeś silne ramię chwyciło go od tyłu za szyję, ale zdążył jeszcze kliknąć myszą na poleceniu nadania korespondencji. Wiadomość zniknęła z ekranu. Zaraz potem napastnik wyrwał mu laptopa. Telefon komórkowy zadyndał na końcu krótkiego kabelka, którym był połączony z komputerem. Jason obserwował grube paluchy wystukujące na klawiaturze polecenie anulowania przekazu elektronicznej korespondencji.

Machnął na osłep pięścią i trafiony w szczękę mężczyzna wypuścił laptopa z ręki. Jason przechwycił go w powietrzu, kopnął napastnika w brzuch i puścił się biegiem, zostawiając za sobą leżącego twarzą do posadzki napastnika oraz pistolet.

Pędząc w stronę przeciwnego kąta hali magazynowej, słyszał kroki nadbiegających ze wszystkich stron ludzi. Wiedział już, że im nie ujdzie. Ale może zdąży jeszcze coś zrobić, zanim go dopadną. Dał nura pod jakieś metalowe schodki, padł na kolana i zaczął walić jak oszalały w klawiaturę laptopa. Gdzieś niedaleko

77

ktoś krzyknął. Jason poderwał odruchowo głowę. Palce, które do tej pory śmigają z precyzją po klawiszach, wprowadzając e-mailowy adres odbiorcy, straciły rytm. Prawy palec wskazujący trafił w niewłaściwy klawisz. Jason przeszedł do wystukiwania wiadomości. Piekł go zalewane potem oczy. Oddychał spazmatycznymi haustami, nadwreżony chwytem napastnika kark

bolał jak diabli. Było tak ciemno, że nie widział nawet klawiatury. Co chwila odrywał oczy od małego ekraniku laptopa, by omieść spłoszonym wzrokiem mroczny magazyn. Krzyki i tupot nóg zbliżały się nieuchronnie do jego kryjówki.

W zalegających magazyn ciemnościach wątpła poświata sącząca się z ekranu komputera przypominała pokaz ogni sztucznych. Nadbiegających dzieliło już od niego najwyżej kilka metrów, przerwał więc wprowadzanie wiadomości, uderzył w klawisz nadania i czekał na sygnał potwierdzenia. Potem wymazał zarówno wysłany plik, jak i dane adresata. Naciskając klawisz kasowania nie spojrzał nawet na adres skrzynki poczty elektronicznej. Pchnął laptopa i telefon komórkowy po posadzce. Zatrzymały się w kącie, głęboko pod schodami. Kiedy w oczy zaświeciło mu kilka latarek, siedział już w kucki, jak gdyby nigdy nic. Podniósł się powoli. Oddychał ciężko, ale wzrok miał wyzywający.

Kilka minut później z magazynu wyjechała limuzyna. Na jej tylnej kanapie leżał skulony Jason. Oddech miał nierówny, twarz posiniaczoną i pokaleczoną. Kenneth Scales trzymał na kolanach otwartego laptopa i klnąc głośno wpatrywał się w mały ekran. Nie był już w stanie cofnąć tego, co zaszło przed paroma minutami. W przypiływie wściekłości oderwał telefon komórkowy Jasona od kabelka i zaczął nim walić o drzwiczki limuzyny. Na podłogę posypały się odłamki plastiku. Dokonawszy tego dzieła zniszczenia, wydobyl z wewnętrznej kieszeni marynarki własny komórkowiec, wystukał na klawiaturze numer i po chwili zaczął powoli mówić. Archer się z kimś skontaktował, wysłał jakąś wiadomość. Możliwych adresatów było kilku. Trzeba będzie wszystkich sprawdzić i odpowiednio się nimi zająć. Ale tym problemem zajmą się później. Na razie są ważniejsze sprawy do załatwienia. Scales wyłączył telefon i obejrzał się na Jasona. Kiedy więzień z wysiłkiem uniósł głowę, by spojrzeć na oprawcę, omal nie stuknął czołem w lufę wymierzonego w jego głowę pistoletu.

78

- Kto to był, Jason? Do kogo wysłałeś tę wiadomość?

Jason wstrzymał oddech i pomacał poobijane zebra.

- Nic z tego, stary. Nie powiem.

Scales przystawił mu pistolet do głowy.

- No, strzelaj, dupku! — wrzasnął Jason.

Scales zaczął zaciskać palec na spuście glocka, ale opanował się i brutalnie pchnął Jasona z powrotem na kanapę.

— Jeszcze nie teraz, Jason. Nie mówiłem ci? Masz jeszcze jedno zadanie do wykonania.

Jason popatrzył bezradnie na uśmiechającego się złośliwie Scalesa.

Agent specjalny Raymond Jackson jednym fachowym spojrzeniem ogarnął cały pokój. Przesząpił próg i zamknął za sobą drzwi. Zdumiony pokręcił głową. Arthura Liebermana opisano mu jako człowieka, który od kilku dziesiątków lat z powodzeniem budował swoją fortunę, ale ta nora zupełnie do tego opisu nie przystawała. Spojrzał na zegarek. Zaraz będzie tu ekipa techniczna, mająca przeprowadzić drobiazgowy przeszukanie. Chociaż nie wydawało się prawdopodobne, by Arthur Lieberman znał osobiście człowieka, który stracił go ze spokojnego nieba Wirginii, w sprawie o takim ciężarze gatunkowym trzeba było zbadać każdą możliwość.

Jackson wszedł do malutkiej kuchni i szybko stwierdził, że Arthur Lieberman nie przyrządzał sobie tutaj posiłków, ani ich tu

nie jadał. W żadnej z szafek nie było ani talerzy, ani garnków. Jediną zawartość lodówki stanowiła lampka oświetlająca. Kuchenka, choć stara, nie wykazywała żadnych śladów niedawnego użytkowania. Jackson rozejrzał się po living roomie, po czym wszedł do małej łazienki. Obleczoną w rękawiczkę dłonią uchylił ostrożnie drzwiczki apteczki. Zwyczajny zestaw artykułów toaletowych, nic szczególnego. Miał już zamknąć z powrotem lustrzane drzwiczki, kiedy jego wzrok padł na małą buteleczkę wciśniętą między tubkę pasty do zębów a pojemnik z dezodorantem. Na etykiecie widniała informacja o dawkowaniu i uzupełnianiu zawartości, oraz nazwisko lekarza, który przepisał specyfik. Nazwa lekarstwa nic Jacksonowi nie mówiła. Był ojcem trojga dzieci i nieformalnym ekspertem z zakresu leków na najczęściej spotykane dolegliwości sprzedawanych na receptę i bez niej, ale nic poza tym. Zanotował sobie nazwę leku i zamknął drzwiczki apteczki.

79

Sypialnia Liebermana również była mała, a łóżko niewiele większe od kozetki. Przy ścianie pod oknem stało małe biurczko. Jackson zajrzał do ściennej szafy, a potem zainteresował się biurkiem.

Stało na nim kilka fotografii przedstawiających dwóch mężczyzn i kobietę. Najmłodsze z tej trójki nie miało jeszcze dwudziestu lat, najstarsze nie przekroczyło trzydziestki. Fotografie liczyły już sobie kilka lat. Dzieciaki Liebermana, domyślił się Jackson.

Zajął się teraz trzema szufladami. Jedna była zamknięta na klucz. Jej otwarcie zajęło mu zaledwie kilka sekund. W środku znalazł ściągnięty gumką plik pisanych odręcznie listów. Pismo było staranne i czytelne, a treść zdecydowanie romantyczna. Dziwiło w nich tylko to, że pod żadnym nie widniał podpis. Jackson rozważał przez chwilę to spostrzeżenie, po czym odłożył listy do szuflady. Kilka minut później myszkanie po mieszkaniu przerwało mu pukanie do drzwi. Przybyła ekipa techniczna.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy rodzice z Amy odjechali, Sidney powodowana siłą, której nawet nie starała się nazwać, przetrząsnęła metodycznie każdy kąt. Teraz siedziała na małej ławeczce pod oknem i przebiegała myślami lata swego małżeństwa. Z głębin podświadomości wyłaniał się każdy szczegół z tego okresu, nawet najmniej znaczące zdarzenia. Czasem, kiedy przypominała sobie coś szczególnie zabawnego, na jej wargi wypływał uśmiech. Jednak nie gościł tam długo i zaraz po nim jej ciałem wstrząsał szloch, bo uświadamiała sobie, że po tym, co zrobił jej Jason, nie będzie już takich chwil.

W końcu otrząsnęła się z tych refleksji, wstała, weszła po schodach na górę i skręciła do małego gabinetu Jasona. Rozejrzała się po skromnie urządzonej sypialni i usiadła przed komputerem. Przesunęła dłonią po ekranie. Jason kochał komputery już wtedy, gdy go poznała. Ona też potrafiła się nimi posługiwać, ale w bardzo ograniczonym zakresie, obejmującym jedynie edytory tekstu i sprawdzanie poczty elektronicznej.

Jason sporo korespondował za pośrednictwem poczty elektronicznej i codziennie sprawdzał zawartość swojej e-mailowej skrzynki pocztowej. Sidney nie zaglądała do niej od dnia kata-

80

strofy. Przez ten czas napłynęło prawdopodobnie sporo wiadomości od przyjaciół i znajomych Jasona. Włączyła komputer i ob-

serwowala przewijajace sie przez ekran kolumny liczb i slow, w wiekszosci dla niej niezrozumialych. Rozpoznala tylko komunikat o ilosci dostepnej pamieci. Bylo jej mnostwo. System zostal skonfigurowany na potrzeby jej meza i tryskal moca.

Patrzyla na liczbe okreslajaca ilosc dostepnej pamieci. I naraz uderzylo ja, ze trzy ostatnie cyfry — 3, 0 i 7 — skladaja sie na date urodzin Jasona — 30 lipca. Odetchnela glęboko, zeby znowu sie nie rozplakac. Wsunela szuflade biurka i zaczela w niej bezmyslnie grzebac. Jako prawniczka zdawala sobie doskonale sprawe, ile dokumentow trzeba bedzie wypelnic i ile formalnosci zalatwic, zanim ustali sie stan majatkowy Jasona. Wiekoszosc tego, co posiadali, bylo wspolna wlasnoscia, ale przeciez pozostawalo jeszcze sporo rzeczy nalezacych prawnie tylko do niego. Kazdy musi kiedyś przez to przejść, nie spodziewala sie jednak, ze w jej przypadku nastapi to tak szybko.

Przesuwajac machinalnie dlonia po papierach i przyborach biurowych wypelniajacych szuflade wyczula w pewnej chwili pod palcami jakis sztywny kartonik o nietypowym formacie. Wyjela go. Nie zdawala sobie z tego sprawy, ale trzymala karte, ktora Jason wrzucil do szuflady przed wyjściem z domu na lotnisko. Obejrzała ja uwaznie. Kartonik wygladal jak karta kredytowa, ale wytloczono na nim nazwe firmy „Triton Global”, pod nia nazwisko „Jason Archer”, a jeszcze nizej slowa „Kod Zastrzezony — Poziom 6”. Sidney sciągnela brwi. Nigdy tego nie widziala. Domyslila sie, ze chociaz brak tu zdjecia Jasona, jest to jakis rodzaj przepustki. Schowala kartonik do kieszeni. Firma zaazada pewnie jego zwrotu.

Weszla do sieci America Online. Powital ja glos komputera oznajmiajacy, ze w ich elektronicznej skrzynce pocztowej rzeczywiscie czeka jakaś korespondencja. Tak jak przypuszczala, byly to wiadomosci od przyjaciol. Czytala je, nie powstrzymujac juz lez. Nie przeczytala wszystkich, to bylo ponad jej sily. Chciala juz wyjść z programu i wytlaczyc komputer, kiedy na ekranie pojawila sie informacja o nadejściu nowej korespondencji. E-mailowy adres [ArchieJW2@aol.com](mailto:ArchieJW2@aol.com) nalezal do Jasona. Przemknal przez ekran i znikl.

Sidney nacisnela kilka klawiszy funkcyjnych, by jeszcze raz sprawdzic zawartosc komputerowej skrzynki pocztowej. Zmarszcyla czoło, kiedy okazalo sie, ze skrzynka jest pusta. Zdumiona

81

wpatrywala sie w ekran. Moze jej sie po prostu przywidzialo? Przetarla piekace oczy i siedziala jeszcze kilka minut przed monitorem, czekajac z napieciem na powtorke zjawiska, chociaz nie miala pojecia, co moglo oznaczac. Ekran jednak pozostal pusty.

W chwile po powtornym nadaniu wiadomosci przez Jasona Archera komputerowy glos poinformowal adresata o nadejściu kolejnej elektronicznej korespondencji. „Przyszla poczta”. Tym razem wiadomosc zostala sumiennie odebrana i zapamietana. Jednak nie byla to komputerowa skrzynka pocztowa zainstalowana w domu Archerow ani na biurku Sidney w firmie Tyler & Stone, a w mieszkaniu, w ktorym sie znajdowala, nie bylo w tej chwili nikogo, kto moglby do niej zajrzec. Nadeslana wiadomosc bedzie musiala zaczekać na powrot wlasciciela.

Sidney wstala i wyszla z gabinetu. Nie wiedziec czemu komunikat, ktory przemknal jak blyskawica przez ekran komputera, napelnil ja absurdalna nadzieja, ze to Jason prubuje sie z nia skontaktowac stamtad, gdzie odszedl po rozbiciu sie samolotu.

Idiotko! — ofuknęła się w duchu. To niemożliwe.

Godzinę później, kiedy ustąpił kolejny atak obezwładniającego żalu, wzięła do ręki fotografię Amy. Musi żyć dalej. Jest potrzebna córeczce. Otworzyła puszkę zupy, postawiła ją na kuchence i po paru minutach postawiła na kuchennym stole talerz gorącego bulionu. Jadła bez apetytu, patrząc na ściany, które obiecał pomalować w ten weekend molestowany przez nią o to od dawna Jason. Gdziekolwiek spojrzała, napływały wspomnienia. Ten dom przesiąkł obecnością ich obojga, pełno w nim było Jasona.

Mimo wypicia gorącej zupy Sidney wciąż dygotała jak w febrze. Wyjęła z lodówki *gatorade* i piła prosto z butelki, dopóki dreszcze nie ustały. Jednak w środku znowu coś w niej wzbierało.

Wstała od stołu, przeszła do living roomu i włączyła telewizor. Skacząc bezmyślnie po kanałach natrafiła na którymś z nich na bezpośrednią relację z miejsca katastrofy. Zażenowana ciekawością, jaką wzbudza w niej wypadek, w którym straciła męża, chłonęła przewijające się przez ekran obrazy i słowa komentatorki. To chłodne, rzeczowe spojrzenie na całe zdarzenie przynajmniej chwilowo łagodziło rozdzierający ją ból.

Reporterka stała nieopodal miejsca katastrofy, a za jej plecami

82

ekipy ratowników przeszukiwały mozolnie wrak maszyny. Szczątki sortowano i składano na osobne stosy. Nagle Sidney drgnęła. Za reporterką przeszedł jeden z ratowników. Brezentowa torba w kratę, którą niósł, prawie wcale nie ucierpiała. Była tylko trochę osmalona i powalana ziemią. Można było nawet odczytać inicjały naniesione grubym czarnym mazakiem. Torba spoczęła na stosie innych ocalałych sztuk bagażu. Sidney siedziała jak sparalizowana. Nie była w stanie poruszyć ręką ani nogą, ale trwało to tylko moment.

Zerwała się z fotela, wbiegła na górę, wciągnęła na siebie dzinsy i gruby biały sweter, wzięła ciepłe buty na niskim obcasie i spakowała się. Kilka minut później wyprowadzała już fordą z garażu. Jej wzrok przyciągnął coguar kabriolet zaparkowany na sąsiednim stanowisku podwójnego garażu. Jason z samozaparciem utrzymywał go na chodzie od blisko dziesięciu lat. Sfatygowana karoseria stanowiła zabawny kontrast ze wspomnieniem smukłej elegancji jaguara, którego musieli swego czasu sprzedać. W porównaniu z coguarem, nawet jej ford explorer wyglądał jak nowy. Widok tego wozu zawsze ją śmieszył, ale dzisiaj wywołał nową falę łez. Zahamowała gwałtownie.

Walila pięściami w deskę rozdzielczą dopóty, dopóki rwący ból nie przeszył jej przedramion aż po łokcie. Oparła głowę na kierownicy i usiłowała opanować łkanie. Posmak nie przetrwanego bulionu podszedł jej do gardła i myślała już, że zwymiotuje, ale bulion cofnął się do rozdygotanego żołądka. Odczekała jeszcze trochę i wyjechała na cichą uliczkę. Obejrzała się na dom. Mieszkali w nim od prawie trzech lat. Wspaniały, niemal stuletni budynek z dużymi, ustawnymi pokojami, szerokimi gzymsami, podłogami z desek i tyłoma zakamarkami, że znalezienie sobie ustronnego kąca do pomedytowania w smętne niedzielne popołudnia nie nastęczało żadnego kłopotu. Doskonałe miejsce na wychowywanie dzieci, których tak bardzo pragnęli. Tak bardzo.

Znowu poczuła wzbierającą falę szłochu. Przyśpieszyła i skręciła w główną ulicę. Po dziesięciu minutach jej oczom ukazał się czerwono-żółty znak McDonalda. Podjechała do okienka, żeby zamówić sobie dużą kawę. Opuszczała szybę, wpatrując się w piegowatą twarz rezolutnej nastolatki o długich, związanych w koński ogon kasztanowych włosach. Podobnie jak Amy wyrośnie pewnie na piękną młodą kobietę, pomyślała. Ale ona, w odróżnieniu od jej córeczki, ma jeszcze pewnie ojca, Amy zaś jest teraz półsierotą.

Niecałą godzinę później Sidney jechała już na zachód, dro-

gą 29, wąską wstęgą asfaltu przecinającą po przekątnej wzgórze Wirginii, ciągnące się aż po granicę z Północną Karoliną. Przemierzała tę trasę wielokrotnie, gdy studiowała na wydziale prawa University of Virginia z siedzibą w Charlottesville. Szosa biegła przez historyczne pola bitewne z czasów Wojny Domowej i między starymi, ale nadal doskonale prosperującymi farmami rodzinnymi. Barw, jakie przybierała tu jesienią i wiosną listowie, nie oddał chyba jeszcze żaden malarz. Na drogowskazach migwały nazwy miejscowości: Brightwood, Loctus Dale, Madison i Montpelier. Sidney wróciła wspomnieniami do wypraw z Jasonem do Charlottesville. Teraz widok tych znajomych dróg i okolic tylko ją przygnębiał.

Spojrzała na zegar w desce rozdzielczej i z zaskoczeniem stwierdziła, że dochodzi już pierwsza w nocy. Przyśpieszyła, i ford pomknął pustą drogą. Temperatura na zewnątrz spadała. Niebo przesłaniała gruba pokrywa chmur i tylko światła reflektorów rozpraszały atramentowe ciemności. Podkręciła ogrzewanie i włączyła długie światła.

Po godzinie zerknęła na mapę rozpostartą na fotelu pasażera. Zaraz będzie zakręt. W miarę jak zbliżała się do celu podróży, coraz bardziej sztywniała. Zaczęła odliczać mile.

W Ruckersville skręciła na zachód. Była już w okręgu Greene, rolniczej okolicy, której tempo życia odbiegało na co dzień daleko od tego, do czego przywykła. Ale teraz pokazywany w telewizjach całego świata kraier wybity przez spadający samolot i przypalona ziemia wokół niego, podgrzały klimat emocjonalny miasteczka Standardsville, stolicy okręgu.

Zjechała na pobocze i zatrzymała wóz. Otaczały ją nieprzeniknione ciemności. Zapaliła lampkę podsufitową i podniosła mapę do oczu. Ustaliła punkt, w którym się znajduje, i przejechała jeszcze milę. Za zakrętem urwały się tracące liście smukłe wiązy, sękaty klony i niebotyczne dęby, i rozpostarło się przed nią puste, płaskie pole.

Obok porzewiałej przechylonej skrzynki pocztowej stał wóz policyjny, tarasując wylot odchodzącej w tym miejscu od szosy polnej drogi, która wiła się między żywopłotami. W oddali biła luna.

Była na miejscu.

W światłach explorera wirowały płatki śniegu. Kiedy się zatrzymała, drzwiczki wozu policyjnego otworzyły się i wysiadł z niego umundurowany policjant w fosforyzująco pomarańczowej

## 84

kurtce. Podszedł do jej samochodu, poświecił latarką na tablicę rejestracyjną, omiółtł nią wnętrze explorera i w końcu skierował snop światła na okno od strony kierowcy.

Sidney odetchnęła głęboko i opuściła szybę.

Twarz policjanta znajdowała się tuż przy jej ramieniu. Mężczyzna miał bujny, przetykany siwizną wąs i kurze łapki w kąciakach oczu. Nawet obszerna pomarańczowa kurtka nie maskowała jego potężnych barów i szerokiej klatki piersiowej. Zlustrował fachowym spojrzeniem wnętrze samochodu i zatrzymał wzrok na Sidney.

- Mogę w czymś pomóc? — zapytał. Z jego głosu przebijało zmęczenie.
- Przyjechałam... — Urwała. W głowie miała pustkę. Patrzyła na mężczyznę, poruszała wargami, ale nie wydobywał się pomiędzy nich żaden dźwięk.

Policjant westchnął ciężko.

— Proszę pani, to był diabelnie długi dzień. A ja miałem już

kupe takich, co przyjeżdżali, choć nie mieli tu nic do szukania... — Zawiesił głos i popatrzył na nią uważnie. — Zabłądziła pani? — Z jego tonu wynikało wyraźnie, że nie wierzy, by zboczyła choćby o cal z zaplanowanej trasy.

Sidney pokręciła głową.

— Ci z telewizji wynieśli się stąd przed godziną — powiedział policjant spoglądając na zegarek. — Pojechali się trochę przespać do Charlottesville. Proponuję pani zrobić to samo. O wszystkim dowie się pani z telewizji i gazet, proszę mi wierzyć. — Wyprostował się, dając do zrozumienia, że ta jednostronna konwersacja dobiegła końca. — Trafi pani?

Sidney kiwnęła powoli głową i policjant, dotknąwszy daszka czapki, oddalił się w kierunku swojego wozu. Zawróciła samochód i już miała ruszyć w drogę powrotną, ale spojrzawszy we wsteczne lustro zdjęła nogę z gazu. Wabiła ją tamta niesamowita luna. Wysiadła, wzięła z tylnej kanapy explorera płaszcz, założyła go i pomaszzerowała w kierunku wozu policyjnego.

Na jej widok policjant wysiadł. Kurtkę miał wilgotną. W jasnych włosach Sidney skrzyły się płatki sypiącego coraz gęściej śniegu.

Policjant już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Sidney powstrzymała go uniesieniem ręki.

— Nazywam się Sidney Archer. Mój mąż, Jason Archer... — Głos jej się załamał, bo nagle dotarł do niej sens słów, które

85

miała za chwilę wypowiedzieć. Zagryzła mocno wargę i po chwili podjęła: — On był w tym samolocie. Linie lotnicze proponowały mi przejazd tutaj, ale... postanowiłam przyjechać sama. Nie bardzo wiem po co, ale przyjechałam.

Policjant patrzył na nią bez słowa. Oczy wyraźnie mu złagodniały, zwisający smętnie sumiasty wąs kojarzył się Sidney z płaczącą wierzbą.

— Bardzo mi przykro, pani Archer — odezwał się w końcu. — Naprawdę. Część rodzin już tu była. Nie zabawili długo. Ludzie z Federal Aviation Agency nie życzą tu sobie teraz nikogo. Wrócą jutro, żeby pochodzić po okolicy i poszukać... poszukać... — Urwał i spuścił wzrok.

— Chciałam tylko zobaczyć... — Sidney również urwała.

Spojrzała na policjanta zaczerwienionymi oczyma. Policzki miała zapadnięte, czoło pocięte zmarszczkami. Stała przygarbiona, z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie obszernego płaszcza i pomimo wysokiego wzrostu wyglądała bardzo dziecinnie.

Policjant sprawiał wrażenie zakłopotanego, wyraźnie się wahał. Spojrzał na polną drogę, potem na swoje buty i w końcu znowu na Sidney.

— Proszę chwilkę zaczekać, pani Archer. — Wsiadł do wozu patrolowego, ale zaraz wychylił z niego głowę. — Niech pani wsiada, bo jeszcze się pani przeziębii.

Sidney skorzystała skwapliwie z zaproszenia. W wozie cuchnęło papierosowym dymem i wychłapaną kawą. Ze szpary między przednimi fotelami sterczał zwinięty w trąbkę magazyn *People*. Na wierzchu niskiego stosu elektronicznej aparatury jarzył się ekran komputerowego monitora. Policjant opuścił szybę i oświetlił szperaczem tył explorera. Zasunął z powrotem szybę i zaczął stukać w klawiaturę, zerkając co chwila na ekran. Spojrzał na Sidney.

- Wprowadzam numer rejestracyjny pani wozu — wyjaśnił. — Muszę potwierdzić pani tożsamość. Nie żebym pani nie wierzył, bo przecież nie przyjechałaby tu pani w środku nocy na piknik. Ale takie są przepisy.

- Rozumiem.

Ekran zapełnił się informacjami. Policjant szybko przebiegł je

wzrokiem i sięgnął po notatnik leżący na desce rozdzielczej. Studiował przez chwilę listę jakichś nazwisk, a potem zerknął na nią z wyraźnym zakłopotaniem.

— Powiedziała pani, że była żoną Jasona Archera?

86

Kiwnęła powoli głową. Była? To słowo działało na nią odrętwiające. Ręce znowu zaczęły jej drżeć, żyłka na lewej skroni pulsowała spazmatycznie.

— Chciałem się tylko upewnić. Samolotem leciał jeszcze jeden Archer. Beniamin Archer.

Na moment obudziła się w niej nadzieja, ale rzeczywistość natychmiast ją zgasiła. Gdyby to była pomyłka, Jason dawno by zadzwonił. Leciał tym samolotem. Nie ma się co łudzić. Spojrzała na odległą lunę. Był tam teraz. Wciąż tam był.

Odchrząknęła.

— Mam tu dokument tożsamości z fotografią — powiedziała. Podała policjantowi otwarty portfel.

Popatrzył na prawo jazdy, a potem na zrobioną zaledwie przed miesiącem fotografię przedstawiającą Jasona, Sidney i Amy. Oddał szybko portfel i spojrzał za okno.

— Wzdłuż tej drogi rozmieszczone są jeszcze dwa posterunki policyjne i pełno tu Gwardii Narodowej. Są też jacyś faceci z Waszyngtonu. — Zerknął na nią. — Ja naprawdę nie mogę zjechać z posterunku. — Spuścił wzrok na swoje dłonie. Sidney również na nie spojrzała. Dostrzegła obrączkę ślubną na palcu lewej ręki.

Policjant zapuścił silnik, wrzucił bieg i znowu na nią spojrzał.

— Rozumiem, po co pani przyjechała, ale nie radzę długo tu pozostawać, pani Archer. To... to nie miejsce dla pani. — Wóz kołysał się i podskakiwał na wykrótach polnej drogi. Policjant wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w jaśniejącą przed nimi lunę. — Jest diabeł w piekle i jest Pan Bóg w niebie, i jeśli już tak się stało, że diabeł strącił ten samolot, to ci wszyscy ludzie są teraz z Panem, pani Archer, co do jednego.

Sidney pokiwała głową. Tak bardzo chciała w to uwierzyć. W miarę jak zbliżali się do reflektorów, popadała w coraz większe odrętwienie.

— Widziałam... torbę. Taką brezentową, w kratę. Należała do męża. Były na niej inicjały JWA. Kupiłam mu ją kilka lat temu na podróż, w którą się wybieraliśmy. — Uśmiechnęła się na to wspomnienie. — Zrobiłam to z przekory. Posprzeczaaliśmy się wtedy, a to była najbrzydsza torba, jaką udało mi się znaleźć. Ale mojemu mężowi bardzo się spodobała.

Podniosła wzrok i napotkała zdziwione spojrzenie policjanta.

— Widziałam ją w telewizji. Wcale nie wyglądała na zniszczoną. Czy będę ją mogła obejrzeć?

87

— Niestety, pani Archer. Wywieźli już stąd wszystko, co zebrali. Przed godziną odjechała ciężarówka z ostatnim ładunkiem.

— A wie pan, gdzie to zwożą?

Policjant pokręcił głową.

— Nawet gdybym wiedział, nic by to nie zmieniło. Nie pokażą jej pani. Zwrócą ją pewnie dopiero po zamknięciu dochodzenia. Ale z tego, co tu widać, może się ono ciągnąć latami. Przykro mi.

Wóz patrolowy zatrzymał się w końcu kilka metrów przed innym mundurowym policjantem. Policjant wysiadł z samochodu i rozmawiał przez chwilę z kolegą, pokazując palcem na wóz, w którym siedziała wpatrzona w reflektory Sidney.

Drgnęła, kiedy wsunął głowę do wozu.

— Może tu pani wysiąść, pani Archer.



Otworzyła drzwiczki i wysiadła. Spojrzała na drugiego policjanta, który skinął jej nerwowo głową. W jego oczach malował się ból. Ból był tu wszędzie. Wszyscy ci ludzie pewnie woleliby siedzieć teraz w domu ze swoimi rodzinami. Tutaj czuć było śmierć: unosiła się wszędzie i zdawała się lgnąć do ubrań jak płatki śniegu.

— Kiedy będzie chciała pani wrócić, proszę powiedzieć Billy'emu. Wezwie mnie przez radio, przyjadę i zabiorę panią.

- Jak się pan nazywa? — zapytała, gdy wsiadał już do wozu. Obejrzał się.
- Eugene, proszę pani. Zastępca szeryfa, Eugene McKenna.
- Dziękuję, Eugene.

Kiwnął głową i dotknął daszka czapki.

— Proszę nie przebywać tu zbyt długo, pani Archer.

Odjechał, a Billy poprowadził ją w stronę reflektorów. Sidney nie wiedziała, co McKenna mu powiedział, ale wyczuwała jego skrepowanie. Był szczupłym dwudziestoparoletnim mężczyzną i wyglądał na przejętego i zdenerwowanego.

Zatrzymał się w końcu. Sidney ogarnęła wzrokiem pole, po którym snuli się jacyś ludzie. Wszędzie stały zapory i żółciły się taśmy policyjne. W silnym świetle reflektorów rozciągał się krajobraz po totalnej zagładzie. Przypominało to pobojuwisko.

Młody policjant dotknął jej ramienia.

— Lepiej, żeby pani nie podchodziła bliżej — powiedział. — Ci goście z Waszyngtonu potrafią być bardzo nieprzyjemni dla wszystkich, którzy się tu kręcą. Boją się, żeby ktoś się nie potknął... no wie pani, nie zdeptał śladów. — Odetchnął głęboko. — Pełno tu się wala różnych strzepów. Jeszcze czegoś takiego

88

nie widziałem i mam nadzieję, że już nie zobaczę. — Zapatrzył się znowu w przestrzeń. — Jak będzie pani chciała wracać, to jestem tam. — Pokazał w kierunku, z którego przyjechali, odwrócił się i odszedł.

Sidney opatulila się szczelniej płaszczem, strzepnęła śnieg z włosów i postąpiła krok w przód. Pod świetlnym parasolem piętrzyły się zwały wyrzuconej w górę ziemi. Pamiętała tę scenerię z telewizji. Krater, który powstał w wyniku uderzenia. Nie chciało się wierzyć, że mieści cały samolot, ale tak właśnie było.

Krater. Jason też tam jest. Ta myśl wprawiała ją w ośpienie. Zacisnęła na chwilę powieki i znowu otworzyła oczy. Wielkie łzy potoczyły jej się po policzkach. Nie próbowała ich ocierać.

Chyba już nigdy się nie uśmiechnie.

Nawet wspomnienie Amy, ich cudownej dziewczynki, którą zostawił jej Jason, nie łagodziło rozzwierającego żalu. Patrzyła przed siebie, a porywisty wiatr szarpał jej długie włosy.

Do krateru, z wyciem silników, tryskając smolistymi spalinami, podjechało kilka wielkich maszyn do robót ziemnych — koparek i sychaczy. Zaatakowały krater łyżkami i szuflami, przenosząc wielkie porcje ziemi na czekające obok wywrotki, które po załadowaniu odjeżdżały wytyczonymi wcześniej szlakami przez przeczesany już teren. Przede wszystkim liczyła się szybkość działania, nawet gdyby ten pośpiech miał doprowadzić do jeszcze większego uszkodzenia szczątków samolotu. Sprawą priorytetową było teraz odnalezienie czarnej skrzynki.

Sidney zauważyła, że śnieg nie taje już w zetknięciu z ziemią, co najwyraźniej nie było po myśli ratowników. Uwijali się z latarkami jak w ukropie, zatrzymując się tylko po to, by wbić małe chorągiewki w pokrywający się szybko białym całunem grunt. Kiedy podeszła bliżej, rozróżniła odziane na zielono sylwetki żołnierzy Gwardii Narodowej patrolujących swoje sektory z karabinami przewieszonymi przez ramię i głowami zwróconymi w stronę krateru. Miejsce katastrofy przyciągało uwagę

wszystkich niczym magnes. Groźba szybkiej, niespodziewanej śmierci była chyba ceną, jaką płacono się za wszystkie radości życia.

Sidney zaczęła nogą o coś przykrytego śniegiem. Kiedy się pochylała, żeby sprawdzić, co to takiego, przypomniały jej się słowa młodego policjanta: „Pełno tu się wala różnych strzępów!”. Zamarła na moment, ale ciekawość wzięła górę. W chwilę później biegła już z wyciągniętymi przed siebie rękami gruntową drogą,

89

potykając się i ślizgając na świeżym śniegu. Płuca rozsadzał jej spazmatyczny szloch.

Nie zauważyła mężczyzny, który stanął jej na drodze. Wpadła na niego i zbiła z nóg. Upadli oboje.

—\* Cholera — stęknął Lee Sawyer, lądując na grudzie ziemi. Sidney zerwała się i pobiegła dalej. Sawyer próbował ją gonić, ale rzepka kolanowa, kontuzjowana przed wieloma laty podczas pościgu za wysportowanym bandziorem, odmówiła mu posłuszeństwa. — Hej! — wrzasnął za nią, podskakując niezdarnie na jednej nodze i rozcierając sobie kolano. Skierował na Sidney latarkę.

Odwróciła głowę i zobaczył jej profil, a w następnej sekundzie przerażone oczy. Zaraz potem zniknęła. Podkuśtykał do miejsca, w którym przedtem stała i poświecił latarką na ziemię. Kim u diabła była i co tu robiła? Wzruszył ramionami. Pewnie jakaś ciekawska, która zobaczyła coś, czego wolałaby nie widzieć. Po chwili znalazł potwierdzenie swoich przypuszczeń. Schylił się i podniósł z ziemi mały bucik. Spojrzał w kierunku, w którym pobiegła Sidney Archer, i westchnął. Skierował wzrok z powrotem na ogromną dziurę w ziemi i przeszedł go dreszcz wściekłości. Ledwie powstrzymał cisnący się na usta krzyk. Na palcach jednej ręki można było policzyć przypadki, kiedy Lee Sawyer odmówiłby osobom, które ścigał z ramienia FBI, prawa do procesu — ale ten przypadek właśnie do takich należał. Modlił się w duchu, żeby ludzie odpowiedzialni za tę tragedię, kiedy już ich dopadnie, zrobili coś, cokolwiek, co da mu pretekst do zaoszczędzenia krajowi kosztów i prasowej wrzawy, jaką taki proces zwykle wywoływał. Schował bucik do kieszeni płaszcza i stąpając ostrożnie kontuzjowaną nogą ruszył na poszukiwanie Kapłana. Potem wróci do miasta. Po południu miał spotkanie w Waszyngtonie. Dochodzenie w sprawie Arthura Liebermana ruszy teraz pełną parą.

Kilka minut później funkcjonariusz McKenna z troską w oczach pomagał wysiąść Sidney z wozu patrolowego.

— Na pewno nie chce pani, żebym kogoś wezwał?

Sidney, blada i rozdygotana, z dłońmi i ubraniami powalanymi ziemią, pokręciła stanowczo głową.

— Nie, nie. Nic mi nie jest.

Oparła się o samochód. Ręce i ramiona podrygiwały jej wciąż

90

niekontrolowanie, ale odzyskiwała już pomału poczucie równowagi. Zatrzasnęła drzwiczki wozu policyjnego i ruszyła chwiejnie w stronę swojego forda. Po paru krokach zatrzymała się i odwróciła. McKenna stał obok wozu patrolowego i obserwował ją.

• Eugene...?

• Słucham?

• Miałaś rację... Tam nie można długo wytrzymać — powiedziała, po czym odwróciła się, podeszła do forda i wsunęła za kierownicę.

Zastępca szeryfa Eugene McKenna kiwnął głową. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał łzy, wydatne jabłko Adama chodziło mu w górę i w dół. Otworzył drzwiczki samochodu i opadł ciężko na fotel kierowcy. Zatrzasnął szybko drzwiczki, żeby odgłosy tego, co wzbierało mu w krtani, nie przedostały się na zewnątrz.

W połowie drogi powrotnej w samochodzie Sidney zabrzączał telefon komórkowy. Ten nieoczekiwany dźwięk tak ją zaskoczył, że omal nie straciła panowania nad kierownicą. Spojrzała zdumiona na aparat. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Rozejrzała się odruchowo, jakby spodziewała się wypatrzeć w zalegających wokół ciemnościach kogoś, kto ją obserwuje. Ale jedynymi świadkami jej powrotu do domu były bezlistne drzewa. Była chyba jedyną żywą osobą w okolicy. Sięgnęła powoli po słuchawkę.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Boże, Quentin, jest trzecia rano.
- Nie dzwoniłbym, gdyby to nie było naprawdę ważne.
- Nie bardzo wiem, co za ważną sprawę możesz mieć do mnie o tej porze. — Sidney uświadomiła sobie, że ręka, w której trzyma telefon komórkowy, lekko drży. Przyhamowała. Od początku rozmowy bezwiednie dociskała coraz mocniej pedał gazu i teraz jechała z szybkością zdecydowanie na tej wąskiej szosie niebezpieczną.
  - Słyszałem twoją rozmowę z Gamble'em podczas podróży powrotnej z Nowego Jorku. Zaskoczyło mnie, że zwróciłaś się do niego zamiast do mnie. — Quentin mówił cicho, ale w jego głosie dawało się wyczuć pewne napięcie.
  - Wybacz, ale to on mnie zagadnął, nie ty.
- Chciałem ci dać trochę czasu na dojście do siebie.
- Doceniam to, ale Gamble po prostu pierwszy do mnie podszedł.
  - I powiedziałas mu, że nie wiesz, co Jason robił w tym samolocie, tak? Że nie miałaś nawet pojęcia, że w ogóle wsiadł do jakiegoś samolotu? — Wyczuwała w tych słowach jakiś podtekst. Przecież nie mogła powiedzieć Rowe'emu czegoś innego niż Gamble'owi. Zresztą nawet gdyby wyjawiała rzekomy cel podróży Jasona do Los Angeles, to jak powie, że mąż ją okłamał, że wcale nie leciał na rozmowy wstępne z inną firmą? Sytuacja bez wyjścia. Postanowiła zmienić temat.
  - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać, Quentin? — Fakt, że zadzwonił do niej do samochodu, przejmował ją dreszczykiem niepokoju.
    - Dzwoniłem do domu, a potem do biura. Pozostawał tylko samochód — odparł. — Prawdę mówiąc, trochę się o ciebie martwiłem. No i... — urwał, jakby dopiero w tym momencie uznał, że należy ugryźć się w język.
    - No i co?
- Rowe wahał się przez chwilę, po czym wyrzucił z siebie:
  - Sidney, nie trzeba być geniuszem, żeby wydedukować, jakie pytanie wszyscy sobie zadajemy. Po co Jason leciał do L.A.?
  - Ton, którym to powiedział, nie pozostawiał wątpliwości. Rowe chciał usłyszeć odpowiedź.
  - A co obchodzi Tritona, co Jason robił w wolnym czasie?
- Rowe westchnął.
  - Sid, cała produkcja Tritona jest objęta patentami. Wiele korporacji dałoby wszystko, żeby wykraść naszą technologię i pod-

kupić naszych ludzi. Przecież wiesz.

- Oskarżasz Jasona o sprzedawanie komuś tajemnic Tritona? Przecież to absurd — zaperzyła się Sidney. Jason nie mógł się już bronić, ale ona nie zamierzała puścić płazem tej in-synuacji.
- Ja nie powiedziałem, że go o to podejrzewam — odparł Rowe z urazą. — Ale są tacy.
- Jason nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Harował dla Tritona jak wół. Byłeś jego przyjacielem. Jak coś podobnego mogło ci w ogóle przyjść do głowy?
- Wyjaśnij mi zatem, co robił w samolocie do L.A., zamiast malować kuchnię w waszym domu, bo ja właśnie dogrywam fuzję, dzięki której Triton wprowadzi świat w dwudziesty pierwszy

## 92

wiek, i nie pozwolę, żeby ktoś albo coś pokrzyżowało mi plany. Taka okazja już się nie powtórzy. Ton jego głosu rozwścieczył Sidney.

- Nie potrafię tego wyjaśnić — powiedziała. — Nawet nie będę próbowała. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Straciłam, cholera, męża! Nie ma ciała, nie ma ubrania. Nic po nim nie zostało, a ty sobie siedzisz i mówisz mi, że on rył pod tobą dołki. Nich cię szlag! — Samochód zjechał na lewą stronę drogi i musiała skorygować kierunek jazdy. Znowu przyhamowała. Wirujący śnieg coraz bardziej pogarszał widoczność.
- Sid, uspokój się. Nie chciałem cię jeszcze bardziej denerwować. Przepraszam... — urwał, a potem szybko dorzucił: — Mogę coś dla ciebie zrobić?
- Powiedz wszystkim w Tritonie, żeby się ode mnie odchrzanili. Najlepiej sam daj przykład. — Wyłączyła telefon i rzuciła go na widelki. Łzy lały się jej z oczu tak obficie, że musiała zjechać na pobocze. Drżącymi palcami odpięła pas bezpieczeństwa i zakrywając przedramieniem twarz położyła się w poprzek przednich foteli. Po paru minutach wrzuciła bieg i znowu ruszyła. Pomimo wyczerpania jej umysł pracował sprawnie. Jason był przerażony, kiedy mu powiedziała o spotkaniu z zarządem Tritona. Historyjkę o tych rozmowach wstępnych musiał mieć prawdopodobnie przygotowaną na wypadek awaryjnej sytuacji. W co on się wplątał? Dokąd jeździł po nocach? I ta jego powściągliwość... Co robił?

Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Dochodziła czwarta nad ranem. Umysł pracował na najwyższych obrotach, ale czuła się wypompowana. Gdzie by tu spędzić resztę nocy? Dojechała do drogi 29 i na skrzyżowaniu zamiast na północ, skrzyła na południe. Po półgodzinie była już na opustoszałych uliczkach Charlottesville. Minęła Holliday Inn i z drogi 29 skrzyła w Ivy Road. Wkrótce potem wprowadzała wóz na parking przed Boar's Head Inn, najbardziej znany z okolicznych pensjonatów.

Dwadzieścia minut później kładła się skonana do łóżka w pokoju z pięknym widokiem, którego nie miała już siły podziwiać. Cóż za koszmarny dzień... a wszystkie kosmary realne. To była jej ostatnia świadoma myśl. Na dwie godziny przed brzaskiem w końcu zasnęła.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

O trzeciej nad ranem gęsta pokrywa chmur nad Seattle rozpruła się i na miasto znowu lunął deszcz. Strażnik skulony w małej

wartowni wyciągał stopy i ręce do elektrycznego grzejnika. Po ścianie w kącie ciurkał strumyczek wody, tworząc rozlewającą się ciemną plamę na zielonej wystrzępionej wykładzinie dywanowej. Strażnik spojrzał melancholijnie na zegarek. Jeszcze cztery długie godziny do końca zmiany. Wylał do kubka resztkę gorącej kawy z termosu i z rozmarzeniem pomyślał o ciepłym łóżku. Każdą z hal magazynowych dzierżała inna firma. Część z nich stała pusta, ale wszystkich pilnowali przez dwadzieścia cztery godziny na dobę uzbrojeni strażnicy. Wysokie metalowe ogrodzenie wieńczyły pasma drutu kolczastego, a cały kompleks znajdował się pod ostrzałem rozmieszczonych dyskretnie wideokamer. Przedostać się tutaj niepostrzeżenie było trudno, ale...

Odziany od stóp do głów na czarno mężczyzna, unikając wprawdzie zaczepienia o drut kolczasty, przesadził ogrodzenie na tyłach kompleksu magazynów. Nie zajęło mu to nawet minuty. Zeskoczył na drugą stronę i przemykając z cienia w cień pobiegł przed siebie. Ulewa zagłuszała zupełnie jego i tak ciche kroki. Do lewego rękawa przypięte miał miniaturowe elektroniczne urządzenie zakłócające. Po drodze do celu minął trzy kamery systemu bezpieczeństwa — żadna nie przekazała na monitory jego sylwetki.

Dopał boczne wejście Hali 22, wyciągnął z plecaka mały przyrząd z drutu i wsunął go w dziurkę masywnej kłódki. Dziesięć sekund później kabłąk odskoczył.

Po zlustrowaniu wnętrza magazynu przez noktowizyjne gogle, mężczyzna, biorąc po dwa stopnie na raz, wbiegł metalowymi schodkami na górę. Otworzył drzwi do jednego z pomieszczeń, i poświecił do środka latarką. Wszedł do niego, otworzył szafkę na akta i wymontował ukrytą w niej kamerę systemu bezpieczeństwa. Wyjął kasetę wideo, wsunął ją do kieszeni plecaka, a kamerę, załadowawszy do niej inną kasetę, zamontował na powrót w szafce. Pięć minut później był już poza obrębem kompleksu. Strażnik nie zdążył jeszcze dopić ostatniego na tym dyżurze kubka kawy.

O brzasku z pasa startowego lotniska w Seattle wzbil się w niebo gulfstream V. Mężczyzna odziany niedawno na czarno był teraz w dżinsach i podkoszulku i spał mocno w jednym z foteli luksusowej kabiny. Na twarz opadały mu kosmyki ciemnych

94

włosów. Po drugiej stronie przejścia między fotelami siedział Frank Hardy, szef firmy specjalizującej się w ochronie instytucji i przeciwdziałaniu szpiegostwu przemysłowemu. Samolot szybował po czystym już porannym niebie, na którym nie pozostał nawet ślad po burzy z poprzedniego dnia, a on studiował uważnie sążnisty raport. Obok stał metalowy neseser, w którym leżała kasetą wideo wyjęta z kamery zainstalowanej w szafce na akta. Pojawił się steward z kolejną filiżanką kawy dla jedyne go nie śpiącego pasażera na pokładzie. Hardy spojrzał na neseser, odłożył raport, odchylił się na oparcie fotela i popatrzył w okno lecącego na wschód samolotu. Miał dużo spraw do przemyślenia.

Gulfstream osiągnął wysokość podrózną i wziął kurs na Waszyngton. Promienie wschodzącego słońca odbijały się w logo firmy umieszczonym na kadłubie maszyny — orle w locie, reprezentującym organizację znaną na świecie bardziej niż coca-cola i wzbudzającą respekt większy niż najpotężniejsze światowe konglomeraty. W miarę jak wielkimi krokami zbliżał się dwudziesty pierwszy wiek, ten symbol nieustraszonego orła rozprzestrzeniał się po całym świecie, docierając do każdego jego zakątka.

Dla Triton Global nie było innej drogi.

Uzbrojony strażnik przeprowadził Lee Sawyera przez wielki hol Marriner Eccles Building przy Constitution Avenue, waszyngtońskiej siedziby Zarządu Rezerwy Federalnej, tak zwanego Fed. Sawyerowi przemknęło przez myśl, że przybytek ten doskonale oddaje wielkie mniemanie o sobie jego lokatorów. Weszli na pierwsze piętro i strażnik zapukał do masywnych drewnianych drzwi. Ze środka doleciało przytłumione „wejść”. Sawyer przekroczył próg i znalazł się w dużym, przytulnie urządzonej gabinecie. Półki od podłogi do sufitu wypełnione były książkami, a ciemne meble i ozdobne gzymsy nadawały pomieszczeniu dostojny wygląd. Grube kotary były zaciągnięte. Na wielkim biurku o obitym skórą blacie paliła się zielona bankierska lampa. W nozdrza biła woń cygar — Sawyerowi wydało się, że widzi sine smużki dymu falujące w powietrzu niczym widmowe zjawy. Przypominało mu to gabinety profesorów z college'u, który ukończył. Mały ogień płonący na kominku ogrzewał i jednocześnie oświetlał pokój.

Mężczyzna siedzący za biurkiem tyłem do wejścia obrócił się wraz z fotelem i Sawyer ujrzał zażywaego jegomościa o obwisłych policzkach i jasnoniebieskich oczach zredukowanych przez "mięsiście, opadające pod własnym ciężarem powieki do wąskich szparek, ocienionych najbardziej krzaczastymi brwiami, jakie kiedykolwiek widział. Mężczyzna miał siwe, gęste włosy i szeroki, czerwony na czubku nos. Sawyerowi przemknęło przez myśl, że ma oto przed sobą Świętego Mikołaja.

Siwowłosy mężczyzna podniósł się z fotela i odezwał głębokim głosem:

— Agent Sawyer, prawda? Jestem Walter Burns, wiceprezes Zarządu Rezerwy Federalnej.

Sawyer postąpił krok naprzód i uściskał pulchną dłoń gospodarza. Burns miał dobre metr dziewięćdziesiąt, więc wzrostem dorównywał Sawyerowi, ale wagą był potężnie zbudowanego agenta FBI o co najmniej sto funtów. Wskazał agentowi skórzany fotel i sam usiadł na swoim z nie spotykaną u ludzi otyłych lekkością.

— Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć — powiedział Sawyer.

Burns rzucił mu uważne spojrzenie.

- Z zaangażowania się pańskiego Biura w tę sprawę wnoszę, że przyczyną katastrofy samolotu nie był defekt mechaniczny.

- Sprawdzamy wszelkie możliwe scenariusze. Jak dotąd, żadnego zdecydowanie nie odrzuciliśmy, panie Burns — odparł Sawyer z kamienną twarzą.

- Mam na imię Walter, agencje Sawyer. Ponieważ obaj jesteśmy trybikami w ociężałej maszynierii zwanej rządem federalnym, chyba nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy mówili sobie po imieniu.

Sawyer uśmiechnął się.

- Jestem Lee.

- W czym mogę ci pomóc, Lee?

W szybę zabębniła podcięta wiatrem fala deszczu i w gabinecie zrobiło się jakby chłodniej. Burns wstał, podszedł do kominka i skinął na Sawyera, żeby podsunął się tam razem z fotelem. Podczas gdy Burns podsyczał ogień drobnymi szczapkami z mosiężnego kubelka, Sawyer przebiegł jeszcze raz wzrokiem zapiski w swoim notesie. Kiedy Burns siadał naprzeciwko, był już gotów.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że wielu ludzi nie ma zielonego pojęcia, czym zajmuje się Zarząd Rezerwy Federalnej — zaczął. — Mam na myśli ludzi spoza kręgu finansistów.

Burns potarł jedno oko i Sawyer mógłby przysiąc, że z trudem tłumi chichot.

— Gdybym się lubił zakładać, postawiłbym sporą sumkę na to, że połowa populacji nie wie nawet o istnieniu Zarządu Rezerwy Federalnej, i że z dziesięciu osób, które wiedzą o jego istnieniu, dziewięć nie ma pojęcia, czym się właściwie zajmujemy. Ale przyznać muszę, że ta anonimowość jest nam bardzo na rękę.

Sawyer milczał przez chwilę, a potem nachylił się do gospodarza.

— Kto mógłby skorzystać na śmierci Arthura Liebermana? Nie chodzi mi tu o korzyść osobistą, mam na myśli stronę zawodową. Był przecież prezesem Fed.

Oczy Burnsa rozszerzyły się.

• Sugerujesz, że ktoś podłożył w tym samolocie bombę, żeby zgładzić Arthura? Nie obraż się, ale to bardzo naciągana hipoteza.

• Nie powiedziałem, że tak właśnie było. Po prostu sprawdzamy każdą możliwość — odparł Sawyer cicho, jakby obawiał się, że ktoś może go podsłuchać. — Przeanalizowaliśmy dokładnie listę pasażerów i wychodzi na to, że twój kolega był jedynym VIP-em na pokładzie. Jeśli mamy do czynienia z sabotażem, to od razu narzuca się wniosek, że celem był prezes Fed.

• Mógł to być także zaplanowany atak terrorystyczny, a Arthur miał po prostu pecha, wybierając akurat ten samolot.

Sawyer pokręcił głową.

— Jeśli to sabotaż, to nie wierzę, żeby obecność Liebermana na pokładzie była przypadkowa.

Burns odchylił się na oparcie fotela i wyciągnął nogi do ognia.

— Mój Boże! — mruknął po chwili wpatrzony w płomień.

Chociaż najbardziej pasowałby do niego trzyczęściowy garnitur uzupełniony dewizką, w ubraniu, które miał na sobie — sportowej kurtce z wielbłądziej wełny, granatowym swetrze z wyłożonym na wierzch kołnierzykiem białej koszuli, szarych spodniach i wygodnych czarnych mokasynach — również prezentował się dostojnie. Stopy miał zadziwiająco małe jak na męczyznę swojej postury. Przez dobrą minutę obaj milczeli.

W końcu Sawyer poprawił się w fotelu.

— Nie muszę ci chyba przypominać, że wszystko, co tu dzisiaj mówię, jest ściśle poufne — oświadczył.

Burns obrócił głowę i spojrzał na niego.

- W dochowywaniu sekretów jestem dosyć dobry, Lee.
- Wróćmy więc do mojego pytania: kto na tym korzysta?

Burns zastanawiał się chwilę, po czym powiedział:

• Gospodarka Stanów Zjednoczonych zajmuje pierwsze miejsce na świecie, a sytuacja gospodarcza świata jest pochodną kondycji gospodarki amerykańskiej. Gdyby jakiś kraj wrogi Ameryce zapragnął zniszczyć naszą gospodarkę albo rozregulować światowe rynki finansowe, przeprowadzając tego typu zamach mógłby to osiągnąć. Nie mam wątpliwości, że rynki się zachwieją, jeśli wyjdzie na jaw, że śmierć Arthura nie była przypadkowa. — Pokręcił ze smutkiem głową. — Nawet przez myśl mi nie przeszło, że dożyję takiego dnia.

• A czy potrafiłbyś wskazać w tym kraju kogoś, kto mógłby życzyć prezesowi Fed śmierci? — spytał Sawyer.

• Od kiedy istnieje Fed, dotyczące go teorie spiskowe są tak przedstawiane, że z pewnością spora część społeczeństwa bierze je zupełnie poważnie.

Sawyer przymrużył czujnie oczy.

— Co to za teorie spiskowe?

Burs zakaszał i odchrząknął.

— Wielu ludzi uważa, że Fed to w rzeczywistości narzędzie, za pomocą którego bogacze całego świata trzymają w ryzach biednych. Albo że wykonujemy rozkazy małej grupki międzynarodowych bankierów. Słyszałem nawet, że jesteśmy na usługach przybyszów z kosmosu, którzy opanowali wszystkie stanowiska rządowe wyższego szczebla. Zaznaczę od razu, że w metryce mam wpisane, że urodziłem się w Bostonie w stanie Massachusetts.

Sawyer pokręcił głową.

- Jezu, to jakaś paranoja.
- Właśnie. Pomyśleć, że potężna amerykańska gospodarka zatrudniająca przeszło sto milionów osób mogłaby być potajemnie sterowana przez garstkę finansowych potentatów...

- A więc któraś z tych podejrzewających spisek grupek mogłaby teoretycznie zaplanować zamach na prezesa w odwecie za domniemaną korupcję albo niesprawiedliwość.

- Cóż, niewiele jest instytucji rządowych, wokół działalności których krąży tyle błędnych opinii i które wskutek ignorancji wzbudzają taką grozę, jak Zarząd Rezerwy Federalnej. Kiedy po raz pierwszy przedstawiłeś mi tę hipotezę, powiedziałem, że jest bardzo naciągana, jednak teraz muszę przyznać, że chyba się myliłem. Ale wysadzać samolot... — Burns pokręcił z niedowierzaniem głową.

## 98

Sawyer zanotował coś w swoim brulionie.

- Chciałbym usłyszeć trochę więcej o Liebermanie — powiedział.

- Arthur Lieberman był postacią bardzo popularną w kręgach finansowych. Zanim wstąpił do służby publicznej, przez wiele lat należał do czołowych graczy giełdowych na Wall Street. Miał doskonale wyczucie koniunktury i bardzo rzadko się mylił. Przy pomocy szeregu mistrzowskich manewrów trząsł rynkami finansowymi niemal od chwili objęcia stanowiska prezesa. Pokazywał wszystkim, kto tu jest szefem. — Burns urwał, żeby podrzucić następną szczapę do ognia. — Kierował Fed w sposób, w jaki chyba sam bym to robił, gdybym kiedykolwiek miał po temu okazję.

- Wiadomo już, kto zastąpi Liebermana?

Burns pokręcił głową.

- Nie.

— Czy w okresie poprzedzającym jego podróż do Los Angeles w Fed działo się coś niezwykłego?

Burns wzruszył ramionami.

- Piętnastego listopada mieliśmy posiedzenie FOMC, ale one odbywały się regularnie.

- FOMC...?

- Federal Open Market Committee, czyli Federalny Komitet Wolnego Rynku. To nasza rada programowa.

- Co się robi na tych posiedzeniach?

- W wielkim skrócie, siedmiu członków Rady Gubernatorów i prezesi pięciu z dwunastu Banków Rezerwy Federalnej analizują wszystkie stosowne dane finansowe dotyczące gospodarki i decydują o podjęciu ewentualnych działań korekcyjnych w odniesieniu do podaży pieniądza i stóp procentowych.

Sawyer pokiwał głową i zapytał:

- Na przykład, podnosząc albo obniżając stopy procentowe, Fed wpływa na całą gospodarkę? Przyhamowuje ją albo popuszcza cugli?

- Tak nam się przynajmniej wydaje — przyznał sardonicznie Burns. — Chociaż nasze działania nie zawsze dają zamierzony



efekt.

- Czy działo się coś niezwykłego na tym ostatnim posiedzeniu FOMC?
- Nie.
- Mógłbyś mi zdradzić, o czym konkretnie mówiono i kto

99

zabierał głos? Tobie może się to wydawać bez znaczenia, ale ustalenie motywu pomogłoby nam bardzo w wykryciu sprawcy.

- Nic z tego — powiedział Burns. — Sprawy poruszane na posiedzeniach FOMC są objęte bezwzględną tajemnicą i nie mogą ich wyjawiać ani tobie, ani komukolwiek.

- Nie będę teraz naciskał, ale z całym szacunkiem, jeśli któraś z informacji omawianych na tych posiedzeniach ma istotne znaczenie dla prowadzonego przez FBI dochodzenia, bądź pewien, że do niej dotrzemy — oświadczył Sawyer patrząc Burnswi prosto w oczy i ten w końcu spuścił wzrok.

- W sześć do ośmiu miesięcy po każdym posiedzeniu, ale nie wcześniej niż po odbyciu się następnego, publikowany jest krótki raport wyszczególniający każdą minutę trwania posiedzenia — powiedział powoli Burns. — Tego samego dnia o wynikach tego posiedzenia i o podjętych na nim decyzjach wszczęcia ewentualnych działań informowane są media.

- Czytam w gazetach, że Fed pozostawia stopy procentowe na tym samym poziomie.

Burns zacisnął wargi i zmierzył Sawyera wzrokiem.

- Zgadza się, ostatnio nie regulowaliśmy stóp procentowych.
- A w jaki sposób je regulujecie?
- Fed wpływa bezpośrednio na wysokość tylko dwóch stóp procentowych. Federalna Stopa Kapitałowa to stopa procentowa, jaką banki obciążają inne banki pożyczające od nich pieniądze na zaspokojenie wymagań dotyczących utrzymania niezbędnej rezerwy. Jeśli ta stopa idzie w górę bądź w dół, to w ślad za nią podąża wkrótce stopa procentowa kwitów depozytowych, weksli, kredytów hipotecyjnych i komercyjnych. Na posiedzeniach FOMC Fed ustala Federalną Stopę Kapitałową. Następnie nowojorski Bank Rezerwy Federalnej, poprzez swój Dział Handlu Wewnętrznego, skupuje lub sprzedaje państwowe papiery wartościowe, co z kolei pociąga za sobą ograniczenie albo zwiększenie podaży pieniądza dostępnego dla banków, celem zapewnienia utrzymania stopy procentowej. Nazywamy to zwiększaniem lub zmniejszaniem płynności. Tak właśnie robił Arthur, od kiedy objął stanowisko prezesa: regulował Federalną Stopę Kapitałową w sposób eliminujący udział rynku. Drugą stopą procentową, na którą może wpływać Fed, jest stopa dyskontowa, czyli stopa, jaką Fed obciąża banki, którym udziela pożyczek. Jednak stopa dyskontowa związana jest z pożyczkami głównie dla bezpieczeństwa i dlatego nazywa się ją „oknem ostatniego dzwonka”. Banki, którym zbyt

100

często zdarza się wpadać w te okno, podlegają ściślejszej kontroli regulacyjnej, ponieważ w kręgach bankierskich jest to oznaką słabości. Z tego powodu większość banków zaciąga pożyczki w innych bankach, przy stopie procentowej nieco wyższej od Federalnej Stopy Kapitałowej, ponieważ ten kanał kredytowania nie jest w żaden sposób piętnowany.

Sawyer wolał skierować rozmowę na inne tory.

— No dobrze, a czy Lieberman nie zachowywał się ostatnio dziwnie? Czy coś go nie trapiło? Może miał jakieś kłopoty?

Burns pokręcił głową.

- Ta podróż do Los Angeles to coś zwyczajnego?
- Jak najbardziej. Arthur spotykał się tam regularnie z Char-

lesem Tiedmanem, prezesem Banku Rezerwy Federalnej z San Francisco. Arthur miał zwyczaj odwiedzać prezesów poszczególnych banków, a Charles był jego starym znajomym.

- Chwileczkę... skoro Tiedman jest szefem banku mającego swoją siedzibę w San Francisco, to dlaczego Lieberman leciał do L.A.?

- Jest tam filia Fed. Poza tym Charles mieszka z żoną w Los Angeles i Arthur miał się u nich zatrzymać.

- Przecież dopiero co widział się z Tiedmanem na tym posiedzeniu FOMC piętnastego listopada.

- To prawda. Ale podróż do L.A. Arthur zaplanował już dawno. To tylko zbieg okoliczności, że wypadła wkrótce po posiedzeniu FOMC. Zresztą wiem, że bardzo chciał porozmawiać z Charlesem.

- A nie wiesz przypadkiem o czym?

Burns pokręcił głową.

- O to będziesz musiał spytać Charlesa.

- Przychodzi ci na myśl jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

Burns zastanawiał się przez chwilę, potem pokręcił głową.

— Nie przypominam sobie, żeby w życiu Arthura było coś, co można by wiązać z tą straszną tragedią.

Sawyer wstał i uściśnął mu rękę.

— Dziękuję za informacje, Walterze.

Kiedy się odwracał, Burns chwycił go za ramię.

— Agencje Sawyer, informacje, którymi dysponuje Fed, są tak cenne, że najmniejszy przeciek mógłby przynieść niewyobrażalne zyski nie zasługującym na nie osobnikom. Mając wciąż na uwadze tego rodzaju niebezpieczeństwo, wyrobiłem w sobie przez te lata nawyk skrajnej powściągliwości.

— Rozumiem.

Kiedy Sawyer zapinał płaszcz, Burns oparł się pulchną dłonią o drzwi.

- A więc nie wytypowaliście jeszcze żadnego podejrzanego?

Agent spojrział na Burnsa.

- Przykro mi, Walterze, ale FBI też ma swoje tajemnice.

Henry Wharton, wspólnik zarządzający firmą Tyler & Stone, siedział za biurkiem i nerwowo przytupywał nogą. Był człowiekiem skromnej postury, za to wielkiej wiedzy prawniczej. Łysiejący, ze starannie przystrzyżonym siwym wąsikiem, wyglądał w każdym calu tak, jak powinien wyglądać starszy wspólnik wziętej kancelarii prawniczej. Whartona, mającego za sobą trzydzieści pięć lat reprezentowania elity amerykańskiego biznesu niełatwo było wytrącić z równowagi, dokonał tego jednak mężczyzna siedzący teraz naprzeciwko.

— Tyle tylko ci powiedziała? Że niby nie wiedziała nawet, że jej mąż leciał tym samolotem? — spytał Wharton.

Nathan Gamble patrzył spod na wpół przymkniętych powiek na swoje dłonie. Teraz podniósł wzrok na Whartona. Prawnik drgnął lekko pod jego spojrzeniem.

— Tylko o to ją pytałem.

Wharton potrzęsnał z zaambarasowaniem głową.

— Tak, rozumiem. Kiedy z nią rozmawiałem, była całkiem rozbita. Biedactwo. Taki wstrząs, jak grom z jasnego nieba. No i...

Urwał, bo Gamble ni z tego, ni z owego wstał, podszedł do okna za jego biurkiem i zapatrzył się na panoramę Waszyngtonu skąpanego w promieniach przedpołudniowego słońca.

— Pomyślałem sobie, Henry, że może lepiej by było, gdybyś to ty dalej z nią rozmawiał. — Gamble położył dłoń na wątlym

ramieniu Whartona i ścisnął je lekko.

Prawnik pokiwał skwapliwie głową.

— Tak, tak, rozumiem, o co ci chodzi.

Gamble podszedł do kolekcji dyplomów prestiżowych uniwersytetów, które zdobyły jedną ze ścian luksusowego apartamentu Whartona.

• Robią wrażenie, nie ma co. Może tego nie wiesz, ale ja nie ukończyłem nawet szkoły średniej — powiedział i obejrzał się przez ramię na prawnika.

• Nie wiedziałem — przyznał cicho Wharton.

102

• Chyba nieźle sobie radziłem jak na takiego niedouka. — Gamble wzruszył potężnymi ramionami.

• Nie bądź taki skromny. Odniosłeś bezprecedensowy sukces — zaprotestował Wharton.

• Do diabła, zaczynałem z niczym i prawdopodobnie tak skończę.

• Ja bym tego nie powiedział.

Gamble poprawił jeden z wiszących na ścianie dyplomów i odwrócił się do Whartona.

— Wracając do tematu... jestem przekonany, że Sidney Archer wiedziała, że jej mąż był w tym samolocie.

Wharton zamarł.

— Chcesz przez to powiedzieć, że podejrzewasz ją o kłamstwo? Bez urazy, Nathanie, ale ja w to nie wierzę.

Gamble wrócił na swój fotel i zmroził Whartona spojrzeniem.

• Jason Archer pracował nad moją przełomową transakcją — podjął. — Porządkował wszystkie dane finansowe Tritona niezbędne do sfinalizowania przejęcia CyberComu. Facet jest komputerowym geniuszem. Miał dostęp do wszystkiego. Wszystkiego! — Gamble wymierzył palec w Whartona. Prawnik zatarł nerwowo ręce, ale nie odzywał się. — Dobrze wiesz, Henry, że muszę przejąć CyberCom... a przynajmniej tak mi wszyscy wmawiają.

• Absolutnie genialne połączenie — wykrztusił Wharton.

• Być może. — Gamble wyciągnął cygareto i przypalił je, a potem wydmuchnął kłęb dymu w stronę Whartona. — Tak więc, z jednej strony Jason Archer buszujący we wszystkich moich poufnych dokumentach, z drugiej Sidney Archer kierująca moim zespołem do spraw przejęcia CyberComu... Nadążasz?

Wharton ściągnął brwi.

• Chyba nie, ja...

• Są jeszcze inne firmy, którym tak samo jak mnie zależy na wchłonięciu CyberComu. Zapłacą każdą sumę, byleby tylko dorwać się do warunków mojego kontraktu. Potem wejdą do gry i wykolegują mnie. Nie chcę zostać wydymany, przynajmniej nie w ten sposób. Rozumiesz?

• Tak, naturalnie, Nathanie. Ale skąd...

• Wiesz również, że jedną z firm, która ostrzy sobie zęby na CyberCom, jest RTG.

• Nathanie, jeśli sugerujesz...

• Wasza kancelaria reprezentuje RTG.

• Nathanie, dobrze wiesz, że od tej strony wszystko jest w porządku. Nasza kancelaria nie reprezentuje RTG w jej staraniach o przejęcie CyberComu.

• Philip Goldman nadal jest waszym wspólnikiem, prawda? I nadal czołowym pistoletem RTG, prawda?

• Oczywiście. Nie mogliśmy przecież zmusić go do złożenia rezygnacji. To był tylko konflikt klienta, i to z tych, które łatwo

zażegnać. Ale Philip Goldman nie reprezentuje RTG w jej staraniach o przejęcie CyberComu.

- Jesteś tego pewien?

— Oczywiście — odparł szybko Wharton.

Gamble wygładził sobie przód koszuli.

- Siedzicie Goldmana przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, założyliście mu podsłuch w telefonie, czytacie jego pocztę, macie na oku jego asystentów?

- Skąd, ma się rozumieć, że nie!

- No to nie możecie mieć pewności, że nie działa na rzecz RTG, a przeciwko mnie, mam rację?

- Dał słowo — burknął Wharton. — Poza tym dysponujemy stosownymi instrumentami kontroli.

Gamble bawił się eleganckim sygnetem na palcu.

- Na jedno wychodzi, nie możecie wiedzieć, co kombinują na boku wasi wspólnicy, z Sidney Archer włącznie, prawda?

- Sidney to osoba o nieposzlakowanej uczciwości, nie wspominając już o kwalifikacjach zawodowych — zjeżył się Wharton.

- A mimo to nie wie, że jej mąż wsiada do samolotu i leci do Los Angeles, gdzie przypadkiem ma swoją krajową centralę RTG. To ci zbieg okoliczności, nieprawdaż?

- Nie możesz obciążać Sidney działaniami podejmowanymi przez jej męża.

Gamble wyjął cygaro z ust i ostentacyjnie strzepnął jakiś niewidoczny pyłek z kłapy marynarki.

— Ile ściągacie teraz rocznie z Tritona, Henry? Dwadzieścia milionów? Czterdzieści? Sprawdzę po powrocie do biura. Coś w tych granicach, prawda? — Gamble wstał. — Cofnijmy się parę lat wstecz. Znasz mnie przecież. Ktoś, komu się wydaje, że mnie wyroluje, grubo się myli. To może trochę potrwać, ale ostrze noża zwróci się w końcu przeciwko wam i tnie dwa razy głębiej niż przy ciosie, który ja zafasowałem. — Gamble odłożył cygaro na biurko Whartona, oparł się rękami o obciążony skórą blat i nachylił do prawnika tak nisko, że ich nosy niemal się

104

zatknęły. — Jeśli stracę CyberCom przez to, że sprzedali mnie moi ludzie, to kiedy dojdzie do osobistych rozliczeń, będzie to porównywalne do wystąpienia z brzegów starej, poczciwej Missisipi. Poleci cała zgraja potencjalnych winowajców, w większości niewinnych ludzi, bo ja nie mam zamiaru tracić czasu na ich sprawdzanie. Zrozumiano? — Gamble mówił cicho i spokojnie, ale jego słowa były w Whartona niczym gigantyczna pięść.

Prawnik, patrząc w gorejące, brązowe oczy szefa Tri tona, z trudem przełknął ślinę.

— Tak, chyba tak.

Gamble włożył płaszcz i zabrał z biurka niedopałek cygara.

— Miłego dnia, Henry. Pozdrów ode mnie Sidney, jak się z nią spotkasz.

Była pierwsza po południu, kiedy Sidney wyprowadziła forda z parkingu przed Niedźwiedzim Łbem i ruszyła w stronę drogi 29. Minęła stare Memoriał Gimnazjum, gdzie uganiała się kiedyś z rakiętą po korcie tenisowym, odraewując rygory szkoły prawniczej. Skręciła do podziemnego garażu przy Corner, ulubionym miejscu studentów college'u obfitującym w księgarnie, restauracyjki i bary.

Weszła do jednej z kafejek i zamówiła filiżankę kawy oraz egzemplarz *Washington Post*. Usiadła przy małym drewnianym stolczku i przebiegła wzrokiem nagłówki gazety. Omal nie spadła z krzesła.

Wydrukowany wielkimi, tłustymi czcionkami tytuł krzyczał z pierwszej strony: ARTHUR LIEBERMAN, PREZES ZARZĄDU REZERWY FEDERALNEJ, GINIE W KATASTROFIE LOTNICZEJ. Obok widniała fotografia Liebermana. Sidney uderzyło przesywające spojrzenie mężczyzny.

Przeczytała szybko artykuł. Lieberman również był pasażerem Rejsu 3223. Latał co miesiąc do Los Angeles na spotkania z prezesem Banku Rezerwy Federalnej z San Francisco, Charlesem Tiedmanem, i fatalna podróż liniami Western Airlines była jedną z tych regularnych wypraw. Sześćdziesięciodwuletni, rozwiedziony Lieberman od czterech lat prezesował Zarządowi Rezerwy Federalnej. Wiele miejsca w artykule poświęcono jego błyskotliwej karierze finansowej i szacunkowi, jakim cieszył się na wszystkich kontynentach. Dopiero teraz oficjalnie informowano o jego śmierci, ponieważ rząd robił, co mógł, by nie dopuścić do

105

paniki w świecie finansów. Pomimo to rynki finansowe całego świata zaczynały już odczuwać skutki jego odejścia. Artykuł kończyło zawiadomienie o pogrzebie Liebermana, który miał się odbyć w następną niedzielę w Waszyngtonie.

Obok był również artykuł o samej katastrofie samolotu. NTSB wciąż prowadziło dochodzenie, ale żadnych nowych ustaleń nie było. Pewnie upłynie rok, zanim świat dowie się, dlaczego Rejs 3223 zamiast na pasie lotniska w Los Angeles zakończył swoją podróż na zaoranym polu. Rozważano wszelkie możliwe przyczyny katastrofy, od awarii mechanicznej poczynając, a na sabotażu kończąc, ale na razie były to jedynie spekulacje.

Sidney dopiła kawę, odłożyła gazetę na stolik i wyjęła z torebki telefon komórkowy. Wystukała numer rodziców i rozmawiała przez chwilę z córeczką, wyciągając z niej na siłę słowa; Amy wciąż wstydziła się rozmawiać przez telefon. Potem porozmawiała kilka minut z matką i z ojcem, i na koniec zadzwoniła pod numer swojej automatycznej sekretarki. Maszyna zarejestrowała pod jej nieobecność sporo telefonów, ale Sidney zainteresował szczególnie jeden: od Henry'ego Whartona. Firma Tyler & Stone udzieliła jej wspinałomyślnie bezterminowego urlopu, by uporała się ze swoją osobistą tragedią. Sidney była przekonana, że nie pozbiera się po niej do końca życia. Z głosu Henry'ego przebijało wyraźnie zatroskanie, nawet zdenerwowanie. Wiedziała, co to oznacza: Nathan Gamble złożył mu wizytę.

Szybko wybrała znajomy numer i poprosiła o połączenie z gabinetem Whartona. Czekając aż odbierze, starała się opanować. Henry potrafił wzbudzać strach albo być wspinałym mentorem — zależnie od tego, czy było się w jego łaskach, czy nie. Sidney zawsze mogła liczyć na jego pomoc. Ale teraz? Kiedy podniósł wreszcie słuchawkę, wzięła głęboki oddech.

- Cześć, Henry.
- Sid, jak się trzymasz?
- Prawdę mówiąc, wciąż jestem odrętwiała.
- Może to i lepiej. Na razie. Przebrniesz przez to. Wiem, że to łatwo mówić, ale przebrniesz. Jesteś silna.
- Dzięki za słowa otuchy, Henry. Dręczy mnie, że tak was zostawiłam w krytycznym momencie. Z tym CyberComem, i w ogóle.
- Niech cię o to głowa nie boli.
- Kto przejmuje po mnie sprawę? — zapytała. Wołała nie poruszać na razie kwestii Gamble' a.

106

Zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Co myślisz o Paulu Brophym, Sid? — odezwał się w końcu

przyciszonym głosem.

Pytanie zaskoczyło ją, ale również uspokoiło. Może się jednak myliła, może Wharton nie rozmawiał z Gamble'em.

- Lubię Paula — odparła.
- Tak, tak, wiem. To sympatyczny facet, a poza tym utalentowany, elokwentny negocjator.
- Chcesz wiedzieć, czy nadaje się do poprowadzenia sprawy wchłonięcia CyberComu? — spytała ostrożnie Sidney.
- Jak wiesz, zajmował się nią do tej pory. Ale obecnie wkraczamy na nowy poziom. Chcę zawęzić na ile to możliwe krąg wprowadzonych w szczegóły prawników. Wiesz dlaczego. To żadna tajemnica, że wisi nad nami potencjalny problem Goldmana, który reprezentuje RTG. Nie chcę, żeby padł na nas choćby cień podejrzenia o jakieś nieprawidłowości. Chcę też mieć w tym zespole samych najlepszych, ludzi, którzy potrafią wnieść od siebie coś naprawdę istotnego. Właśnie dlatego pytam cię, co sądzisz o Brophym.

- To poufna rozmowa?
- Absolutnie.

Sidney, zadowolona, że może choć na chwilę oderwać się od rozpamiętywania swojej osobistej straty, ciągnęła pewnym siebie tonem:

— Henry, wiemy oboje, że sprawy tak skomplikowane jak ta przypominają partię szachów. Trzeba przewidywać pięć do dziesięciu ruchów naprzód. I nie ma szansy na korektę. Paul ma przed sobą świetlaną przyszłość w firmie, ale brak mu umiejętności perspektywicznego spojrzenia niezbędnego w tej sprawie, oraz należytej dbałości o szczegóły. Nie nadaje się do zespołu, który będzie prowadził ostateczne negocjacje w sprawie wchłonięcia CyberComu.

- Dziękuję, Sidney, mam na jego temat dokładnie takie samo zdanie.
- Henry, nie wydaje mi się, żeby moje komentarze były dla ciebie jakąś wielką rewelacją. Czemu rozpatrywana jest właśnie jego kandydatura?
- Powiedzmy, że dał wyraz swojemu wielkiemu zainteresowaniu poprowadzeniem dalej tej sprawy. Nietrudno zgadnąć, dlaczego... to bardzo lukratywne zajęcie.
- Rozumiem.

- Zamierzam postawić na czele zespołu Rogera Egerta.
- To doskonały prawnik transakcyjny.
- Bardzo chwalił twoje' dotychczasowe dokonania. „Perfekcyjnie wyprowadzone”, tak się wyraził. — Wharton urwał na moment. — Bardzo niezręcznie mi o to prosić, Sidney...

- O co, Henry?

Usłyszała w słuchawce przeciągłe westchnienie.

• Widzisz, obiecałem sobie, że tego nie zrobię... ale, cholera, bez ciebie ani rusz... — Znowu urwał.

- O co chodzi?
- Czy mogłabyś porozmawiać z Egertem? Jest właściwie wprowadzony w temat, ale krótka konsultacja z tobą w sprawie strategii i taktyki na pewno by się przydała. Nie prosiłbym cię o to, Sidney, gdyby to nie było takie ważne. Zresztą i tak musisz mu przekazać kod dostępu do pliku w głównym komputerze.

Sidney zakryła dłonią mikrofon i westchnęła. Wiedziała, że Henry chce jak najlepiej, ale interesy stawia zawsze na pierwszym miejscu.

- Zadzwoń do niego dzisiaj.
- Dziękuję, Sidney.

W słuchawce zatrzeszczało. Sidney wyszła z kafejki, żeby poprawić odbiór. Ton Henry'ego Whartona nieco się teraz zmienił.

— Dziś rano złożył mi wizytę Nathan Gamble — powiedział.

Sidney zatrzymała się i oparła o ceglana ścianę kafejki. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

- Dziwię się, Henry, że tak długo z tym zwlekał.
- Był trochę nie w humorze, oględnie mówiąc. Jest przeświadczony, że go okłamałaś.
- Wiem, że to bardzo źle wypadło... — Sidney zawiesiła głos i po chwili wahania postanowiła wyjawić prawdę. — Jason powiedział mi, że leci do Los Angeles na wstępne rozmowy w pewnej firmie, która zaproponowała mu pracę. Nie chciał, żeby dowiedziano się o tym w Tritonie. Kazał mi przysiąc, że dochowam sekretu. Dlatego nie powiedziałam Gamble'emu.
- Sid, jesteś prawnikiem Tritona. Nie możesz mieć przed nimi żadnych tajemnic...
- Daj spokój, Henry, mówimy o moim mężu. Zmieniając pracę nie szkodził w niczym Tritonowi.
- Przykro mi to mówić, Sidney, ale nadal nie jestem przekonany, czy właściwie oceniłaś sytuację. Gamble zasugerował mi wprost, że podejrzewa Jasona o kradzież tajemnic korporacji.  
— Jason nigdy by czegoś podobnego nie zrobił!

108

- Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, jak to widzi klient. Co gorsza, okłamałaś Nathana Gamble'a. Czy zdajesz sobie sprawę, co by się stało z firmą, gdyby straciła Tritona? A nie ma się co ludzi, że to nam nie grozi. — Wharton podnosił stopniowo głos.
- Henry, kiedy Gamble zażyczył sobie telekonferencji z Jasonem, miałam może dwie sekundy do zastanowienia.
- A czemu, na miłość boską, nie powiedziałaś mu prawdy? Sama twierdzisz, że mało by go to obeszło.  
— Bo parę sekund później dowiedziałam się, że mój mąż nie żyje.  
Przez chwilę milczeli. W ciszy, jaka zapadła, dawało się wyczuć ogromne napięcie.
- Upłynęło już trochę czasu — odezwał się pierwszy Wharton. — Jeśli nie chciałaś powiedzieć jemu, mogłaś przyjść z tym do mnie. Wyjaśniłbym to jakoś w twoim imieniu. Jestem zdania, że wciąż można to naprawić. Gamble nie może mieć do nas pretensji, że twój mąż chciał zmienić pracę. Nie sądzę jednak, żeby palił się do powierzenia ci w przyszłości swoich spraw, Sidney. Może to i dobrze, że wzięłaś sobie trochę wolnego. Ale twój urlop kiedyś się skończy. Zaraz do niego zadzwonię.
- Nie możesz powiedzieć Gamble'emu o tych rozmowach wstępnych Jasona — powiedziała Sidney ledwie dosłyszalnym głosem. Miała wrażenie, że w tchawicę wciska się jej jakaś ogromna pięść.
- Słucham...?
- Nie wolno ci tego zrobić.
- Można wiedzieć dlaczego?
- Bo odkryłam, że Jason nie polecał na żadne rozmowy wstępne w innej firmie. Najwyraźniej... — urwała, żeby zdusić w zarodku szloch — ...najwyraźniej mnie okłamał.  
Kiedy po chwili Wharton znowu się odezwał, jego głos pulsował ledwie tłumionym gniewem:
- Nie potrafię ci powiedzieć, do jakich nieodwracalnych szkód może doprowadzić ta sytuacja, o ile już do nich nie doprowadziła.
- Henry, naprawdę nie wiem, o co tu chodzi. Mówię ci wszystko, co wiem, a nie jest tego zbyt wiele.
- I co ja mam powiedzieć Gamble'emu? On czeka na odpowiedź.
- Zrzuc odpowiedzialność na mnie, Henry. Powiedz mu, że nie możesz mnie złapać. Że nie odbieram telefonów. Że zajmujesz się tą sprawą i nie wpuścisz mnie z powrotem do biura, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Wharton milczał przez chwilę.

- To by chyba poskutkowało. Przynajmniej na razie. Doce-  
niam, że bierzesz na siebie całą odpowiedzialność, Sidney. Wiem,  
że to nie twoja wina, ale firma nie może na tym ucierpieć. O to  
przede wszystkim się troszczę.

- Rozumiem, Henry. Ja ze swej strony zrobię wszystko, żeby  
wyjaśnić, o co tu chodzi.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? — Wharton czuł się zob-  
wiązany do zadania tego pytania, chociaż wiedział, jaką usłyszy  
odповідź.

- A czy mam jakieś inne wyjście, Henry?

- Jesteśmy z tobą, Sidney. Dzwon, jeśli będziesz czegoś  
potrzebowała. Tyler & Stone to jedna wielka rodzina. Pomagamy  
sobie nawzajem.

Sidney wyłączyła telefon i schowała go do torebki. Słowa  
Whartona zraniły ją głęboko, ale może była po prostu naiwna.  
Byli z Henrym kolegami po fachu i przyjaciółmi, ale do pewnych  
granic. Ta rozmowa telefoniczna uzmysłowiła jej ulotność za-  
wodowych związków. Dopóki człowiek jest produktywny, nie  
sprawia kłopotów i przysparza firmie zysków, dopóty może  
spać spokojnie. Teraz, kiedy z dnia na dzień stała się samotną  
mamusią, musiała bardzo uważać, żeby jej kariera prawnika  
nie legła nagle w gruzach. Będzie musiała dołożyć jeszcze  
ten jeden problem do całego ich stosu, jaki już się przed nią  
piętrzył.

Ruszyła wyłożoną cegłami alejką, przecięła Ivy Road i skiero-  
wała się do słynnej uniwersyteckiej Rotundy. Szła przez równie  
słynny kampusowy Trawnik, gdzie w jednopokojowych, ogrze-  
wanych kominkami domkach, które nie zmieniły się od czasu  
Thomasa Jeffersona, mieszkała elita studentów. Proste piękno  
kampusu zawsze ją urzekało, ale teraz ledwie je dostrzegała.  
Najwyższa pora poszukać odpowiedzi na pytania, jakie przed nią  
stały. Usiadła na stopniach Rotundy i znowu wyciągnęła z torebki  
telefon. Wystukała na klawiaturze numer. Po drugim sygnale  
podniesiono słuchawkę.

- Triton Global.

- Kay? — spytała Sidney.

- Sid? — Kay Vincent, sekretarka Jasona, była pulchną ko-  
bietką po pięćdziesiątce, uwielbiała Jasona, i kilka razy posiedziała  
nawet z Amy. Sidney polubiła ją od pierwszego wejrzenia. Obie  
miały podobne poglądy na macierzyństwo, pracę i mężczyzn.

110

- Jak się masz, Kay? Przepraszam, że nie zadzwoniłam  
wcześniej.

- Jak się mam? Boże, Sid, tak mi przykro. Tak cholernie  
przykro. — Głos sekretarki wezbrał łzami.

- Wiem, Kay. Wiem. Tak nagle się to stało. No i... — Sidney  
urwała, ale po chwili wzięła się w garść. Musiała się dowiedzieć  
paru rzeczy, a Kay Vincent była najlepszym źródłem, jakie przy-  
chodziło jej do głowy. — Kay, jak wiesz, Jason wziął parę dni  
urlopu — podjęła.

- Tak. Powiedział, że musi pomalować kuchnię i posprzątać  
w garażu. Przez cały tydzień o tym mówił.

- Nie wspominał ci, że wybiera się do Los Angeles?

- Nie. Byłam wstrząśnięta, kiedy się dowiedziałam, że leciał  
tym samolotem.

- Czy ktoś rozmawiał już z tobą o Jasonie?

- Mnóstwo osób. Wszyscy są zdruzgotani.

- A Quentin Rowe?

- Był u mnie kilka razy... — Kay urwała, i po chwili zapyta-



ła: — Sid, co znaczą te wszystkie pytania?

- Kay, to musi zostać między nami, dobrze?
- Dobrze — odparła sekretarka jakby z ociąganiem.
- Myślałam, że Jason leciał do L.A. na rozmowy wstępne w innej firmie, która proponowała mu pracę, bo tak mi powiedział. Ale niedawno odkryłam, że to nie była prawda.

- Boże!

Nie czekając, aż Kay przetrawi tę rewelację, Sidney zadała następne pytanie:

— Kay, czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego Jason mógłby kłamać? Czy nie zachowywał się w pracy dziwnie?

Teraz przerwa była znacznie dłuższa.

- Kay...? — Sidney dygotała. Chłód z cegieł, na których siedziała, zaczynał ją przenikać. Wstała.

- Sid, przepisy zabraniają nam rozmawiać o sprawach firmy — odparła wreszcie sekretarka. — Nie chcę napytać sobie kłopotów.

- Wiem, Kay. Jestem przecież jednym z prawników Tritona, zapomniałaś?

- No tak, to zmienia trochę postać rzeczy. — Głos Kay nagle ścichł. Sidney myślała już, że kobieta odłożyła słuchawkę, ale po chwili Kay znowu się odezwała: — Możesz zadzwonić do mnie wieczorem? Nie chcę rozmawiać o tym w godzinach pracy. Będę w domu około ósmej. Masz jeszcze mój numer?

— Mam, Kay. Dzięki.

Kay Vincent odłożyła słuchawkę.

Jason rzadko poruszał z Sidney temat Tritona, chociaż jako prawnik Tylera & Stone'a wprowadzona była w wiele spraw firmy. Z całą powagą traktował etyczną stronę zajmowanego stanowiska. Wystrzegął się skrzętnie postawienia żony w niezręcznej sytuacji. Przynajmniej do niedawna.

Wróciła powoli do garażu. Zapłaciła dozorcę i ruszyła do samochodu. W pewnej chwili odwróciła się niespodziewanie, lecz tamten mężczyzna znikł już za węglem. Szybkim krokiem wyszła przed garaż i rozejrzała się po ulicy. Nikogo w zasięgu wzroku, ale wzdłuż ulicy ciągnęły się sklepy i można się było w kilka sekund ukryć w którymś z nich. Zauważyła go po raz pierwszy ze schodów Rotundy. Stał za jednym z wielu drzew rozproszonych po Trawniku. Zajęta rozmową z Kay, uznała go za zwykłego podrywacza. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt, był szczupły i miał na sobie ciemny płaszcz. Twarz przesłaniały mu częściowo **okulary** przeciwsłoneczne i podniesiony kołnierz. Włosy skrywał brązowy kapelusz, ale zauważyła, że były jasne, chyba rudawoblond. Przez chwilę zastanawiała się, czy do sążniszej listy swoich problemów nie dopisać jeszcze manii prześladowczej. Nie, nie będzie sobie teraz zawracała tym głowy. Musi wracać do domu. Córeczkę odbierze jutro. Nagle przypomniało się jej, że matka mówiła coś o pogrzebie. Trzeba było omówić szczegóły. Pochłonięta tajemniczymi okolicznościami śmierci męża zupełnie o tym zapomniała i teraz dotarło do niej z druzgocącą siłą, że Jason naprawdę nie żyje. Nieważne, że ją oszukiwał, nieważne czemu to robił. Nie było go już na świecie. Wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę domu.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na lazurowo błękitne niebo nasuwała się szybko brudna pokrywa chmur, a nad miejscem katastrofy hulał zimny wiatr. Całe armie ludzi przeczesywały teren, zaznaczając rozrzucone po polu szczątki czerwonymi chorągiewkami, które tworzyły już karma-

zynowy trzepoczący las. Na skraju krateru stał żuraw z dyn-  
dającym u ramienia wielkim kubłem. Drugi żuraw wyciągał ramię  
nad krater, a zwisający z niego na grubej linie kubel z dwoma  
mężczyznami w środku opadał właśnie w głębiny tego płytkiego

112

piekła. W dziurze niknęły też liny odbiegające od elektrycznych  
wyciągarek zamontowanych na lorach. Ciężki sprzęt czekał w po-  
bliżu w gotowości do ostatecznej ekshumacji tej zbiorowej mogiły.  
Nadal jednak nie odnaleziono najważniejszego elementu — rejes-  
tratora parametrów lotu, czyli tak zwanej czarnej skrzynki.

Za żółtymi zaporami rozbito kilka namiotów. Służyły za maga-  
zynki zebranych dowodów i polowe laboratoria analityczne. W je-  
dnym z nich George Kapłan rozlewał właśnie kawę z termosu do  
dwóch kubków. Rozejrzał się po okolicy. Śnieg przestał na szczęś-  
cie sypać, nadal jednak było zimno, a prognoza pogody zapowia-  
dała dalsze opady. Nie wróżyło to dobrze. Śnieg jeszcze bardziej  
utrudni akcję.

Kapłan podał jeden z parujących kubków Lee Sawyerowi.

— Miałeś nosa z tym zbiornikiem paliwa, George. Dowody  
były śladowe, ale wyniki badań laboratoryjnych wskazują na  
użycie starego, niezawodnego środka: kwasu solnego. To świństwo  
przeżera aluminium w ciągu dwóch do czterech godzin. A po  
podgrzaniu jeszcze szybciej. To chyba jednak nie był wypadek.

Kapłan odchrząknął.

— Cholera, wyobraź sobie mechanika spacerującego z kwasem  
solnym w kieszeni i przypadkowo smarującego nim zbiornik  
paliwa.

— Ja od początku nie wierzyłem, że to wypadek, George.

Kapłan uniósł rękę w przeproszającym geście.

— A do tego kwas solny można przenosić w plastikowym  
pojemniku, choćby w jednorazowej strzykawce z przerobioną  
końcówką i dozować go z niej dokładnie tyle, ile się chce. Plastik  
nie wyzwoli wykrywacza metalu. Ktoś tu dobrze pogłówek-  
wał. — Kapłan skrzywił się z niesmakiem.

Rozglądał się jeszcze przez kilka sekund po miejscu katastrofy,  
a potem poprawił się na krzeselku i spojrzał na Sawyera.

— Zdziwiająco dokładnie zsynchronizowano to w czasie.  
Tak więc lista ewentualnych podejrzanych zawęży się do tych,  
którzy mieli dostęp do maszyny.

Sawyer kiwnął głową.

- Właśnie ich sprawdzamy. — Pociągnął długi łyk kawy.
- Naprawdę wierzysz, że ktoś rozwalil cały samolot, żeby  
pozbyć się jednego faceta?
- Być może.
- Boże święty, jeśli chce się kogoś sprzątnąć, to czy nie  
prościej zgarnąć gościa z ulicy i wpakować mu kulkę w łeb? Po

113

co zaraz taka hekatomba? — Pokazał na krater, a potem przymknął  
powieki i zaczął pocierać palcami lewą skroń.

Sawyer obserwował go ze swojego składanego krzeselka.

• Nie mamy jeszcze pewności, czy tak właśnie było, ale  
Lieberman był jedynym pasażerem, który mógłby sprowokować  
kogoś do tak spektakularnej akcji.

• Po co, u licha, zadawać sobie tyle trudu, żeby pozbyć się  
jakiegoś tam prezesa Fed?

Wiatr wdarł się pod namiot i Sawyer opatulił się szczelniej  
kurtką.

— Widzisz, kiedy rozeszła się wieść o śmierci Liebermana,  
zawrzało na wszystkich rynkach finansowych. Dow Jones stracił  
blisko tysiąc dwieście punktów, czyli około dwudziestu pięciu

procent. W ciągu dwóch dni. W porównaniu z tym krach z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku to pestka. Chwieją się również rynki zagraniczne. — Sawyer popatrzył znacząco na Kapłana. — A uważaj, co się będzie działo, kiedy rozejdzie się wieść, że samolot rozbił się na skutek sabotażu. Że być może Lieberman został zgładzony. Diabli wiedzą, co się wtedy stanie.

Kapłan wytrzeszczył oczy.

- Jezu! I to wszystko z powodu jednego gościa?
- Jak już powiedziałem, ktoś zabił Supermana.
- Macie więc mnóstwo potencjalnych podejrzanych... rządy obcych państw, międzynarodowi terroryści, i tak dalej, prawda? — Kapłan pokręcił głową.

Sawyer wzruszył ramionami.

— Powiedzmy, że to nie będzie zwyczajny uliczny bandzior.

Znowu spojrzeli na miejsce katastrofy. Stalowa lina żurawia sunęła teraz w górę i po dwóch minutach z krateru wynurzył się kubeł z dwoma mężczyznami w środku. Ramię żurawia obróciło się i ostrożnie postawiło go na ziemi. Pasażerowie wygramolili się z kubła i puścili biegiem w kierunku Sawyera i Kapłana.

Pierwszy dopadł do nich młody mężczyzna o jasnych włosach opadających na chłopcę twarz. W rękę ścisnął plastikową torbę, w której znajdował się mały metalowy, prostokątny, mocno osmalony przedmiot. Ciężkim kłusem nadbiegł drugi, starszy mężczyzna. Jego czerwona twarz i zdyszany oddech świadczyły, że rzadko zdarza mu się uganiać po zaoranych polach.

— Nigdy bym w to nie uwierzył! — prawie wykrzyczał młodszy z mężczyzn. — Kikut prawego skrzydła leży na wierzchu kadłuba. Jest prawie nietknięty. Cały impet eksplozji zbiornika

114

musiał pójść w drugą stronę. Wygląda na to, że nos samolotu wybił w ziemię dziurę większą niż średnica kadłuba, a skrzydła, uderzając o jej krawędzie, oderwały się i opadły na kadłub. To istny cud! Kapłan wziął od niego torbę i podszedł do stolika.

- Gdzie to znaleźliście? — zapytał.
- Było przyczepione do wewnętrznej powierzchni skrzydła, tuż przy klapce zaślepiającej zawór wlewu paliwa. Między przymocowanym silnikiem a kadłubem. Nie wiem, co to takiego, ale na pewno nie część samolotu.
- Czyli znaleźliście to na lewo od miejsca, w którym oderwało się skrzydło? — spytał Kapłan.
- Tak, szefie. Jeszcze dwa cale, i odpadłoby razem z nim.
- Wszystko wskazuje na to, że kadłub osłonił prawe skrzydło przed falą uderzeniową eksplozji, do której doszło po uderzeniu w ziemię — powiedział starszy mężczyzna. — Potem ziemia z obsuwających się ścian krateru musiała prawie natychmiast zdławić ogień... — urwał, i po chwili dodał: — Ale brakuje przedniej sekcji kabiny. Nic z niej nie zostało, jakby jej w ogóle nie było.

Kapłan podał torbę Sawyerowi.

- Wiesz, co to, u diabła, może być?
- Tak, wiem — odparł ponuro Sawyer.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wieczorem Sidney Archer pojechała do biura i siedziała teraz za biurkiem w swoim gabinecie. Drzwi pokoju były zamknięte na klucz. Chociaż minęła już ósma wieczór, gdzieś z głębi biura dobiegało wciąż ciche buczenie faksu. Sięgnęła po słuchawkę i wystukała na klawiaturze domowy numer Kay Vincent.

Odebrał jakiś mężczyzna.

- Poproszę z Kay Vincent. Mówi Sidney Archer.

- Chwileczkę.

Czekając ze słuchawką przy uchu, Sidney rozglądała się po swoim gabinecie. Pomieszczenie, w którym czuła się zazwyczaj tak komfortowo, wydawało jej się teraz dziwnie nierealne. Dyplomy na ścianie należały do niej, ale nie pamiętała, kiedy i gdzie je otrzymała. Zaczynała działać instynktownie, reagując na bombardujące ją jeden po drugim wstrząsy. Ciekawe, czy po drugiej stronie linii telefonicznej czai się jakaś nowa niespodzianka.

115

- Sidney?
- Cześć, Kay.
- Tak mi głupio, że rano nie spytałam cię nawet o Amy.

Co z nią?

• Jest teraz u moich rodziców. — Sidney przełknęła ślinę i dorzuciła: — Naturalnie jeszcze nie wie...

• Przepraszam, że tak cię rano zbyłam. Ale sama wiesz, jak jest u nas w firmie. Strasznie się wściekają, kiedy przyłapią kogoś na prowadzeniu prywatnych rozmów telefonicznych w godzinach pracy.

• Wiem, Kay. Nie wiedziałam, do kogo się tam zwrócić. — Nie dodała „komu mogłabym zaufać”.

- Rozumiem, Sid.

Sidney odetchnęła głęboko. Pora przejść do sedna. Gdyby spojrzała na drzwi, zauważyłaby może, że ich gałka obraca się powoli i zatrzymuje, napotykając opór blokady.

— Masz mi coś do powiedzenia, Kay? O Jasonie?

Sekretarka przez chwilę milczała.

• Lepszego szefa nie mogłam sobie wymarzyć — odezwała się w końcu. — Ciężko pracował, szybko piął się w górę. A mimo to zawsze znalazł dla każdego czas. — Kay zamilkła, jakby chciała zebrać myśli.

• Czy to się ostatnio zmieniło? — spytała Sidney, zniecierpliwiona przedłużającym się milczeniem. — Czy w zachowaniu Jasona zaszły jakieś zmiany?

• Tak — wyrzuciła z siebie Kay tak szybko, że Sidney ledwie wychwyciła to słowo.

- Jakie?

• Składała się na to masa drobnych odstępstw od normy. Pierwsze, co mnie zaniepokoiło, to fakt, że Jason kazał sobie wstawić zamek do drzwi.

• Zamek w drzwiach gabinetu to nic niezwykłego, Kay. W swoich też go mam. — Sidney zerknęła na drzwi. Gałka już się nie poruszała.

• Wiem, Sid. Rzecz w tym, że Jason miał już jeden zamek w drzwiach.

• Nie rozumiem, Kay. Jeśli miał zamek, to na co był mu drugi?

• To był taki prosty zamek, z wyciskanyim zatraskiem w gałce. Ty masz pewnie podobny.

Sidney znowu zerknęła na drzwi.

116

• Rzeczywiście. Ale chyba wszystkie biurowe drzwi mają takie zamki.

• Teraz już nie, Sid. Jason założył sobie skomputeryzowany zamek sprzężony z jego systemem, do otworzenia którego potrzebna jest inteligentna karta.

- Inteligentna karta...?

• No wiesz, plastikowa karta z wbudowanym mikroprocesorem. Nie bardzo wiem, jak ona właściwie działa, ale trzeba ją mieć, żeby wejść do naszego budynku i do pewnych jego stref

o ograniczonym dostępie.

Sidney pogrzebała w torebce i wyciągnęła plastikową kartę, którą znalazła w szufladzie domowego biurka Jasona.

- Czy ktoś jeszcze z Tritona ma w drzwiach swojego gabinetu tego rodzaju zamek?

- Z pół tuzina osób. Ale większość z nich pracuje w dziale finansowym.

- Czy Jason powiedział ci, dlaczego zabezpiecza dodatkowo drzwi swojego gabinetu?

- Sama go o to spytałam, bo przestraszyłam się, że może było jakieś włamanie, o którym nic nie wiem. Wyjaśnił mi, że firma powierzyła mu nowe zadania i ma u siebie trochę ważnych dokumentów, które wymagają dodatkowego zabezpieczenia. Ale prosił, żeby nikomu o tym nie mówić.

Sidney wstała i zaczęła przechadzać się po gabinecie. Spojrzała w mrok za oknem. Po drugiej stronie ulicy nad wejściem nowej, szykownej restauracji Spencers płonął neon. Z taksówek i luksusowych limuzyn wysiadali elegancko ubrani ludzie, którzy przyjechali tu spędzić wieczór przy wytwornych przekąskach i drinku. Sidney zaciągnęła żaluzję. Odetchnęła, przysiadła na komódce, zsunęła z nóg pantofle i zaczęła masować obolałe, zmęczone stopy.

- Dlaczego Jason zabronił ci mówić komukolwiek, że powierzono mu te nowe zadania? — zapytała.

- Nie wiem. Już trzykrotnie go awansowano. Stąd wiedziałam, że nie o to chodziło. Zresztą czegoś takiego nie trzyma się w tajemnicy, prawda?

Sidney milczała przez chwilę. Jason nie wspominał jej o żadnym awansie, a nie chciało jej się wierzyć, żeby się przed nią nie pochwalił.

- Powiedział ci, kto powierzył mu te nowe obowiązki?

- Nie. A wolałam nie naciskać.

- Powtórzyłaś komuś, co usłyszałaś od Jasona?

- Nikomu — odparła stanowczo Kay.

Sidney była skłonna jej wierzyć.

- Co jeszcze cię zaniepokoiło? — zapytała.

— To,, że Jason ostatnio jakby zamknął się w sobie. Zaczął opuszczać zebrania personelu. Trwało to co najmniej miesiąc.

Sidney przestała masować stopy.

- Czy nie wspominał ci nigdy o negocjacjach w sprawie pracy z inną firmą?

- Nigdy — odparła stanowczo Kay.

- Pytałaś kiedyś Jasona, czy coś go nie gnębi?

- Raz spytałam, ale nic nie odpowiedział. Był dobrym przyjacielem, ale przede wszystkim moim szefem. Nie wypadało mi naciskać.

- Rozumiem, Kay.

Sidney zsunęła się z komódki i wzięła z powrotem pantofle.

W szparze pod drzwiami zauważyła przesuwający się i zatrzymujący cień. Odczekała kilka sekund, ale cień wciąż tam był. Przełączyła telefon na tryb pracy bezprzewodowej i wyszarpnęła kabel z gniazdka. Przyszło jej coś do głowy.

- Kay, czy ktoś wchodził do gabinetu Jasona?

- No...

Sidney skorzystała z zawahania Kay i zadała kolejne pytanie:

- Ale jak mógłby tam wejść, skoro Jason wyposażył drzwi w te wszystkie nowe zabezpieczenia?

- No właśnie... Nikt nie zna kodu ani nie ma karty Jasona.

Te drzwi to trzy cale litego drewna osadzone w metalowej framudze. Pana Gamble'a i pana Rowe'a nie było w tym tygodniu w firmie, a nikt inny nie wiedziałby, jak się tam dostać.

- A więc nikt nie wchodził do gabinetu Jasona od kiedy... to się stało? — Sidney spojrzała na inteligentną kartę.
- Nikt. Dzisiaj pod koniec dnia wpadł pan Rowe i zamówił na jutro fachowców z firmy, która instalowała ten zamek, żeby go otworzyli.
- Kręcił się tam ktoś jeszcze?
- Usłyszała, jak Kay wstrzymuje oddech.
- Był jeden taki z SecurTech...
- SecurTech? — Sidney, nie spuszczać wzroku z cienia pod drzwiami, przeniosła słuchawkę do drugiego ucha. Zaczęła się przesuwać ku drzwiom. Nie bała się. W biurze pracowało jeszcze sporo osób. — To ta firma konsultacyjna do spraw bezpieczeństwa współpracująca z Tritonem, tak?

118

— Tak. Dziwiłam się nawet, że ich wezwali. Ale podobno taka jest procedura w podobnych przypadkach.

Sidney była już przy drzwiach i sięgała powoli do gałki.

• Sidney, mam w swoim biurku trochę rzeczy Jasona. Fotografie, jego sweter, który mi kiedyś pożyczył, parę książek. Próbował mnie zainteresować osiemnasto- i dziewiętnastowieczną literaturą, ale jakoś mu się to nie udało.

• Amy też próbował, dopóki mu nie powiedziałam, że mała najpierw musi się nauczyć czytać.

Roześmiały się, i ten śmiech rozładował ciężką atmosferę.

- Możesz po nie wpaść, kiedy tylko chcesz.
- Wpadnę, Kay. Może wybierzemy się na lunch... i trochę pogawędzimy.
- Bardzo chętnie.
- Dziękuję za wszystko, co mi powiedziałaś, Kay. Bardzo mi pomogłaś.

— Lubiałam Jasona. To był dobry, porządny człowiek.

Sidney łzy znowu napłynęły do oczu, ale kiedy spojrzała na cień pod drzwiami, wzięła się w garść.

- Tak, był — powiedziała.
  - Sid, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń, słyszysz?
- Sidney uśmiechnęła się.

— Dziękuję, Kay. — Wyłączyła telefon, odłożyła go na półkę i gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi gabinetu.

Philip Goldman nie okazał zaskoczenia. Stał spokojnie w progu i patrzył na Sidney. Był łysiejącym mężczyzną o wyrazistej twarzy, wylupiastych oczach, wąskich spadzistych ramionach i zaczątkach brzuszka. Sidney w swoich pantoflach na obcasie była od niego o pięć centymetrów wyższa.

— Przechodziłem i zobaczyłem światło. Nie wiedziałem, że tu jesteś.

— Cześć, Philipie. — Sidney przyglądała mu się uważnie.

Goldman plasował się w hierarchii Tylera & Stone'a o oczko niżej od Henry'ego Whartona. Miał swoich stałych klientów i jedynym celem jego życia było modelowanie zawodowej kariery.

— Przyznaję, że jestem zaskoczony, widząc cię tutaj, Sidney.

— Już nieraz kończyłam pracę o tej porze, więc to chyba nie niezwykłego, Philipie.

Pokiwał powoli głową.

— Tak, tak, rozumiem. — Zerknął ponad jej ramieniem na telefon leżący na półce biblioteczki. — Rozmawiałaś z kimś?

- Prywatnie. Mam teraz mnóstwo spraw do załatwienia.
  - Oczywiście. Po śmierci kogoś bliskiego trudno się pozbyć. Zwłaszcza po nagłej. — Patrzył na nią znacząco.
- Sidney poczuła, że na twarz wypływa jej rumieniec. Odwróciła

się czym prędzej, porwała torebkę z sofy i ściągnęła płaszcz z wieszaka za drzwiami, przymykając je przy tym przed nosem Goldmana, który cofnął się szybko, żeby uniknąć uderzenia.

Założyła płaszcz i sięgnęła do wyłącznika światła.

— Jestem umówiona i już się spóźniłam.

Goldman wycofał się w głąb korytarza. Sidney wyszła za nim i zamknęła drzwi, ostentacyjnie przekręcając klucz w zamku.

— Może pora nie jest po temu najstosowniejsza, Sidney, ale chciałem ci pogratulować poprowadzenia transakcji z CyberComem.

Obejrzała się gwałtownie.

- Nie wolno nam o tym rozmawiać, Philipie.

- Wiem, Sidney. Ale czytuję *Wall Street Journal* i widziałem tam kilkakrotnie twoje nazwisko. Nathan Gamble musi być bardzo zadowolony.

- Dziękuję, Philipie. — Odwróciła się do niego. — Muszę już iść.

- Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Sidney kiwnęła głową i minęła Goldmana. Szła szybko korytarzem w kierunku głównego wejścia i po chwili zniknęła mu z oczu za rogiem.

Goldman długimi krokami podążył jej śladem i wyjrzał zza węgła. Upewniwszy się, że wsiadła do windy, wrócił pod jej gabinet. Spojrzał w lewo, spojrzął w prawo, wyciągnął z kieszeni klucz, wsunął go w zamek, otworzył drzwi i wszedł do środka. Drzwi zatrasnęły się za nim z cichym szcękaniem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sidney wprowadziła forda na obszerny parking Tritona i wysiadła. Popychana podmuchami przenikliwie zimnego wiatru zapieła płaszcz, sprawdziła jeszcze raz, czy ma w torebce plastikową kartę identyfikacyjną i skierowała się ku piętnastokondygnacyjnemu gmachowi międzynarodowej centrali Tritona. Powiedziała swoje imię i nazwisko do mikrofonu przy głównym wejściu. Zamontowana nad drzwiami wideokamera wymierzyła obiektyw

120

prosto w jej głowę, a potem otworzyła się wnęka przy framudze i z głośniczka popłynęła instrukcja, że ma wsunąć kciuk w szczelinę odsłoniętego teraz skanera linii papilarnych. Systemu bezpieczeństwa czuwającego po godzinach pracy nad obiektami Tritona nie powstydziliby się nawet sama CIA. Rozsunęły się bezgłośnie oszklone drzwi, Sidney przekroczyła próg i znalazła się w przestronnym atrium, w którym szumiał cicho sztuczny wodosпад. Na ściany i posadzkę wyłożone szlifowanym marmurem poszły chyba całe zasoby sporego kamieniołomu. Kiedy szła do wind, zapalały się przed nią włączane automatycznie światła. Przygrywała jej też do marszu stonowana muzyka. Drzwi windy rozsunęły się, gdy się do nich zbliżyła. Centralę Tritona nafaszerowano wszelkimi technicznymi nowinkami z branży, w której specjalizowała się ta potężna firma.

Sidney wjechała na ósme piętro i wysiadła.

Dyżurujący tu strażnik służb ochrony wstał, podeszedł do niej i ujął za rękę. W jego oczach malował się ból.

- Witaj, Charlie.

- Sidney... tak mi przykro.

- Dziękuję, Charlie.

Charlie potrząsnął głową.

- Szedł w górę. Pracował najciężej ze wszystkich tutaj. Ileż to razy tylko my dwaj byliśmy w całym budynku. Przynosił mi

zawsze kawę i coś na ząb ze stołówki. Nigdy o to nie prosiłem, robił tak sam z siebie. Nie to, co ci tutejsi ważniacy, co to mają się za coś lepszego.

- Masz rację, Jason taki nie był.
- O nie, nie był. Co mogę dla ciebie zrobić? Potrzebujesz czegoś? Powiedz tylko staremu Charliemu, a masz to załatwione.

— Czy Kay Vincent jeszcze tu jest?

Charlie spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Kay? Nie wydaje mi się. Zacząłem służbę o dziewiątej, a ona wychodzi zwykle koło siódmej... Ale czy wyszła, to nie wiem. Zaraz sprawdzę.

Podszedł do konsoli. Kabura z pistoletem objęła mu się o biodro, pobrzękiwały przypięte do pasa klucze. Nasunął na głowę słuchawki i wduł jakiś przycisk na konsoli.

- Łączę się z jej pocztą głosową — wyjaśnił.
- Bo wiesz... ona ma podobno jakieś rzeczy Jasona i chciałam je zabrać — wybąkała Sidney wpatrując się w podłogę.

Charlie wrócił i dotknął jej ramienia.

121

- Może trzyma je w swoim biurku?
- Sidney podniosła na niego wzrok.

- Może..!.

Charlie zawahał się. Wiedział, że to wbrew przepisom. Ale przecież przepisy przepisami, a życie życiem. Wrócił do konsoli, wduł kilka przycisków i światelko przy drzwiach do biurowego korytarza zmieniło się z czerwonego na zielone. Podszedł do nich, wybrał jeden z kluczy pobrzękujących mu u pasa i przekręcił go w zamku.

— Wiesz, jakiego oni tu mają hopla na punkcie bezpieczeństwa, ale to chyba wyjątkowa sytuacja. Zresztą i tak nikogo tam teraz nie ma. W normalny dzień rojno tu jak w ulu do dziesiątej, ale to świąteczny tydzień i w ogóle. Muszę teraz zrobić obchód czwartego piętra. Wiesz, gdzie ona siedzi, tak?

— Wiem, Charlie. Naprawdę jestem ci zobowiązana.

Uścisnął znowu jej rękę.

— Przecież powiedziałem, że twój mąż był porządnym człowiekiem.

Sidney ruszyła oświetlonym korytarzem. Boks Kay znajdował się w jego połowie, naprzeciwko gabinetu Jasona. Szła, rozglądając się czujnie dookoła — ani żywego ducha. Skręciła za róg i zobaczyła oszklony kantorek Kay. W pudle obok biurka znalazła sweter i kilka fotografii w ramkach. Wsunęła rękę pod spód i wyciągnęła pięknie oprawioną książkę ze złożonymi brzegami. „David Copperfield”, jedna z ulubionych powieści Jasona. Włożyła wszystko z powrotem do pudła i postawiła je obok krzesła.

Znowu się rozejrzała. W korytarzu nie było nikogo. Charlie powiedział, że wszyscy poszli już do domu, ale przecież co do Kay nie miał pewności. Uspokojona Sidney podeszła do drzwi gabinetu męża. Klawiatura numeryczna przy framudze trochę ją stropiła. Kay o niej nie wspominała. Po chwili zastanowienia wyciągnęła z torebki plastikową kartę, jeszcze raz się rozejrzała i wsunęła kartę w szczelinę. Na klawiaturze zapaliło się światelko, a obok pojawił się napis „Gotowość”. Podniecona, wprowadziła klawiszami jakiś przypadkowy numer, ale światelko nie zgasło. Beznadziejna sprawa. Nie dość, że nie zna numeru, jaki należy wprowadzić, to jeszcze nie wie, z ilu cyfr się składa. Wypróbowała bez powodzenia kilka kombinacji.

Miała już dać za wygraną, kiedy w rogu klawiatury zauważyła mały cyfrowy wyświetlacz. Był to zegar czasu dostępu. Ze wskazania wynikało, że ma jeszcze tylko osiem sekund na wprowa-



dzenie właściwego kodu. Lampka na klawiaturze świeciła coraz jaśniejszą czerwień. „Cholera”, wyszczała Sidney. Alarm! Wskazanie wyświetlacza spadło już do pięciu sekund. Stała jak sparaliżowana. Przez głowę przemykały jej wszystkie możliwe do wyobrażenia konsekwencje faktu, że może zostać nakryta na próbie dostania się bez upoważnienia do gabinetu męża. Nie da się ukryć, katastrofa. Nie odrywając oczu od zegara, który informował, że zostały jej już tylko trzy sekundy, otrząsnęła się z odętwienia. Przyszła jej do głowy jeszcze jedna możliwa kombinacja. Poruszając wargami w bezgłośnie modlitwie, wystukała szybko ciąg cyfr 1-6-0-6. Ostatni klawisz wdusiła równocześnie z pojawieniem się na wyświetlaczu zera. Wstrzymała oddech i czekała na ogłuszającą eksplozję alarmu.

Lampka na klawiaturze zgasła, szcęknięty rygle w drzwiach. Sidney oparła się o ścianę, żeby nie upaść, i powoli wypuściła powietrze z płuc. Szesnasty czerwca — urodziny Amy. W Tritonie obowiązywał zapewne zakaz wykorzystywania osobistych dat na kody bezpieczeństwa: zbyt łatwo było je złamać. Dla Sidney był to niezbity dowód miłości Jasona do córeczki.

Wyciągnęła plastikową kartę ze szczeliny. Przed sięgnięciem do gałki wyjęła z torebki chusteczkę i owinęła nią sobie dłoń, żeby nie zostawić odcisków palców. Rola włamywaczki podniecała ją, a zarazem napełniała przerażeniem. W uszach pulsowało tętno. Weszła do gabinetu i szybko zamknęła za sobą drzwi.

Nie zapaliła górnego światła, wołała nie ryzykować. Przyszła tu odpowiednio wyposażona. Latarka, którą wyciągnęła z torebki, była mała, ale silna. Zapaliła ją dopiero po upewnieniu się, czy żaluzje są szczelnie zaciągnięte. Omiotła gabinet wąskim snopem światła. Była już tu kilka razy, żeby wyciągnąć Jasona na lunch, ale nigdy nie zabawiła długo, zazwyczaj tyle tylko, ile zajmował przelotny całus za zamkniętymi drzwiami. Przesunęła światłem po półkach zapelnionych technicznymi książkami, których tytuły nic jej nie mówiły.

Latarka wyłowiła z mroku komputer. Sidney podeszła do niego. Był wyłączony. Na widok drugiej klawiatury numerycznej zrezygnowała z próby włączenia maszyny. Wołała nie przeciągać struny. Zresztą nawet gdyby udało jej się wejść do programu, i tak nie wiedziałaby, co robić dalej, czego i gdzie szukać. Zauważyła mikrofon na wysięgniku przymocowany do monitora. Większość szuflad biurka pozamykana była na klucz, a te, otwarte, nie zawierały niczego interesującego.

W odróżnieniu od jej własnego gabinetu tego pomieszczenia nie zdobiły dyplomy na ścianach, ani żadne osobiste drobiazgi, tylko na biurku, stała fotografia przedstawiająca Jasona z rodziną. Rozglądając się tak po gabinecie Sidney uświadomiła sobie, jak bardzo ryzykuje. Nagle usłyszała szmer dochodzący z głębi biura i odwróciła się gwałtownie, zahaczając latarką o mikrofon. Jego wysięgnik zgiął się w połowie. Zdjęta paniką znieruchomiała i zamieniła się w słuch. Cisza. Ochłonęła i zajęła się mikrofonem. Po paru minutach bezowocnych prób przywrócenia mu poprzedniego położenia dała za wygraną, wytarła odciski palców, wycofała się do drzwi i zgasła latarkę. Ujęła przez chusteczkę gałkę, jeszcze raz nadstawiła ucha i uspokojona wyszła z gabinetu.

Kiedy znalazła się z powrotem przy biurku Kay, usłyszała kroki. Przemknęło jej przez myśl, że może to Charlie, ale jemu pobrażkiwałyby przecież klucze przy pasku. Rozejrzała się szybko, usiłując ustalić kierunek, z którego dobiega odgłos kroków. Ktoś nadchodził z głębi biura. Wślizgnęła się za biurko Kay i uklękła,

starając się oddychać jak najciszej. Ktoś zbliżył się, przystanął, postąpił jeszcze parę kroków i znowu przystanął. Sidney usłyszała lekkie trzaski.

Wyjrzała ostrożnie zza biurka Kay. Zaledwie dwa metry od niej stał odwrócony plecami mężczyzna i obracał powoli tam i z powrotem gałkę u drzwi gabinetu Jasona. Kiedy nie udało mu się ich otworzyć, wyjął z kieszonki koszuli kartę i przystawił ją do szczeliny. Zawahał się, wpatrzony na klawiaturę numeryczną. Nie mógł się chyba zdecydować, czy podjąć ryzyko. Nie starczyło mu odwagi. Schował kartę z powrotem do kieszonki i odwrócił się.

Był to Quentin Rowe. Z zawieszoną miną oddalił się w kierunku, z którego nadszedł.

Sidney wyslizgnęła się ze swojej kryjówki i pobiegła na palcach w przeciwną stronę. Na wirażu, pokonując zakręt, zawadziła torebką o ścianę. Stukot, choć niezbyt głośny, zabrzmiał w pustym korytarzu jak eksplozja. Sidney wstrzymała oddech. Oddalające się kroki ucichły. Quentin Rowe zatrzymał się, zawrócił i ruszył szybko w jej stronę. Sidney pokonała w paru susach odległość dzielącą ją od głównych drzwi biura i jak bomba wypadła przez nie do recepcji. Charlie spojrzał na nią zaskoczony.

— Wszystko w porządku, Sidney? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Kroki zbliżały się już do drzwi. Sidney wskazała na nie oczyma, położyła palec na ustach i dała Charliemu znak głową, że ma

124

usiąść za konsolą. Posłuchał natychmiast, pojmując w lot, o co jej chodzi. Sidney wbiegła do damskiej toalety na prawo od wejścia do holu i otworzyła torebkę. Przez uchylone drzwi widziała wylot biurowego korytarza. Kiedy pojawił się w nim Quentin Rowe, wyszła z toalety udając, że szuka czegoś w torebce. Podniosła głowę i napotkała wbity w siebie wzrok Rowe'a. Jedną ręką przytrzymał drzwi do biura, żeby się nie zatrasnęły.

— Quentin? — zawołała z udanym zaskoczeniem.

Rowe przeniósł wzrok z Sidney na Charliego. Na jego twarzy malowała się podejrzliwość.

- Co ty tu robisz? — Nie próbował nawet skrywać rozdrażnienia.
- Przyszłam do Kay. Kiedy rozmawialiśmy rano, powiedziała mi, że ma trochę rzeczy Jasona i chce mi je oddać.
- Nie wolno stąd niczego wnosić bez upoważnienia — warknął Rowe. — A zwłaszcza niczego, co ma związek z Jasonem.

Sidney spojrzała mu prosto w oczy.

• Wiem, Quentin. — Spojrzała na Charliego, który popatrywał nieprzyjaźnie na Rowe'a. — Charlie już mnie o tym poinformował, ale w mniej obcesowy sposób — powiedziała. — I nie chciałam wpuścić do biura, bo jak wszyscy wiemy, zabraniają tego przepisy bezpieczeństwa.

- Przepraszam, że się trochę uniosłem. Ostatnio żyję pod wielką presją.
- A ona nie? — zapytał Charlie. W jego głosie brzmiał gniew i niedowierzanie. — Na miłość boską, przecież właśnie straciła męża.
- Rozmawialiśmy już o tym z Quentinem, Charlie — wtrąciła Sidney, zanim Rowe zdążył się odezwać. — Prawda, Quentin? Jej znaczące spojrzenie zbiło Rowe'a z tropu. Uznał, że najlepiej zmienić temat.

• Wydawało mi się, że coś usłyszałem... — Znowu spojrzał oskarżycielsko na Sidney.

• Nam też się tak wydawało — odparowała natychmiast Sidney. — Charlie poszedł sprawdzić, a ja weszłam do toalety. Podejrzewam, że ty słyszałeś jego, a on ciebie. Był pewien, że w biurze nikogo już nie ma, a tymczasem ty tu jeszcze byłeś.

Rowe zjeżył się.  
— Jestem prezesem tej firmy. Mogę tu przebywać o dowolnej porze dnia i nocy, i nikomu nic do tego.  
Sidney zmierzyla go wzrokiem.

125

- Oczywiście. Ale mam nadzieję, że nie zatrzymały cię tu sprawy prywatne. Mówię to jako przedstawiciel prawny Tri tona — oświadczyła.
- Ależ skąd... — Rowe zająknął się. — Pracuję na rzecz firmy. Znam wszystkie... — Urwał, bo Sidney podeszła do Charliego i podała mu rękę.
- Bardzo ci dziękuję, Charlie. Rozumiem. Przepisy to przepisy.

Rowe nie widział spojrzenia, jakie posłała strażnikowi, spojrzenia, na które Charlie odpowiedział uśmiechem wdzięczności.

— Dobrej nocy! — zawołał Rowe za zmierzającą do wyjścia Sidney.

Nie odpowiedziała mu, nawet się na niego nie obejrzała. Kiedy zasunęły się za nią drzwi windy, Rowe spojrzął gniewnie na Charliego, który wstawał właśnie zza pulpitu.

- A ty dokąd? — warknął.
- Na obchód — odparł spokojnie Charlie. — Wykonuję swoje obowiązki. — Ruszył do wyjścia, ale w progu zatrzymał się jeszcze. — Aha, na przyszłość proszę mnie informować, że pan zostaje, żeby nie dochodziło więcej do takich nieporozumień. — Dotknął znacząco kabury. — O wypadek nietrudno, rozumie pan. — Rowe pobladł. — Jak pan usłyszy znowu jakieś hałasy, proszę dać mi od razu znać, dobrze, panie Rowe?

Wychodząc z recepcji Charlie uśmiechał się szeroko.

Rowe stał jeszcze minutę w drzwiach, głęboko zamyślony.

Potem wszedł z powrotem do biura.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lee Sawyer przyglądał się trzykondygnacyjnemu budynkowi stojącemu jakieś pięć mil od międzynarodowego portu lotniczego Dullesa. Jego lokatorzy mieli do dyspozycji doskonale wyposażoną siłownię, basen pływacki o olimpijskich wymiarach, jacuzzi oraz ogromną salę bankietową. Mieszkali tu przeważnie młodzi samotni specjaliści wstający skoro świt, by przebijając się przez korki zdążyć na czas do śródmieścia. Parking zapchany był beemerami, saabami i porsche'ami.

Ale Sawyera interesował tylko jeden członek tej społeczności. Nie był to prawnik, dyrektor od spraw marketingu ani lekarz. Sawyer rzucił kilka słów do radiotelefonu. Siedział w sedanie

126

z trzema innymi agentami. W okolicy rozmieszczono jeszcze pięć takich zespołów FBI. Do akcji przeciwko namierzonemu przez Sawyera obiektowi przygotowywała się również odziana na czarno, elitarna drużyna Zespołu Uwalniania Zakładników ZUZ. Federalnych stróżów prawa wspierał batalion lokalnej policji. W budynku znajdowało się mnóstwo ludzi, zadano więc sobie wiele trudu, żeby podczas akcji nie ucierpiał nikt poza, ewentualnie osobnikiem, który według Sawyera zabił już prawie dwieście osób.

Sawyer zaplanował atak według najlepszych wzorców FBI. Uderzyć na nie podejrzewający niczego obiekt siłami tak przeważającymi, tak zaprawionymi w podobnych akcjach, że wszelki opór stawał się bezcelowy. Tak przynajmniej zakładała teoria.

Każdy agent uzbrojony był w półautomatyczny 9-milimetrowy

pistolet z dodatkowymi magazynkami. W skład każdego zespołu wchodził ponadto człowiek z półautomatycznym karabinem Franchi Law-12 i strzelec z karabinkiem Colta. Wszyscy członkowie ZUZ wyposażeni byli w wielkokalibrową broń automatyczną z laserowymi celownikami elektronicznymi.

Sawyer dał sygnał i wszystkie zespoły ruszyły do natarcia. W niecałą minutę oddział ZUZ był już pod drzwiami apartamentu 321. Dwa inne zespoły zabezpieczały jedyną możliwą drogę ucieczki — dwa okna na tyłach apartamentu wychodzące na basen. Zajmowali już tam stanowiska snajperzy z bronią wymierzoną w oba okna. Posłuchawszy chwilę pod drzwiami, ludzie z ZUZ wtargnęli do środka. Ciszy nocnej nie rozdarła jednak kanonada. Po minucie Sawyer odebrał sygnał, że droga wolna. Wbiegł ze swoimi ludźmi do budynku.

W korytarzu czekał na niego dowódca drużyny ZUZ.

— Obiekt zdjęty? — spytał Sawyer.

Dowódca ZUZ pokręcił głową.

— Ktoś nas uprzedził — odparł i wskazał ruchem głowy na drzwi małej sypialni w głębi apartamentu.

Sawyer wszedł tam szybko. Dreszcz przebiegł mu po plecach: w sypialni było zimno jak w lodówce. Paliło się górne światło. Trzej ludzie z ZUZ zaglądali w wąskie przejście między łóżkiem a ścianą. Sawyer też tam zajrzał i zaklął.

Mężczyzna leżał twarzą do podłogi. Widać było wyraźnie dziury po pociskach w plecach i potylicy. Obok niego pozostawiono broń i dwanaście łusek. Sawyer przykląkł, wraz z dwoma ludźmi z ZUZ ostrożnie przekręcił ciało na bok i po chwili ułożył je w poprzedniej pozycji.

127

Wstał, kręcąc głową.

— Niech stanowi przysługę tu koronera — wywarczał do walkie-talkie — i potrzebna mi ekipa techniczna.

Spojrzał znowu na zwłoki. Podziurawienie całą zawartością magazynka nie wydawało mu się karą adekwatną do tego, co zrobił ten sukinsyn, ale przynajmniej facet nie rozwalił już w powietrzu żadnego samolotu, tyle że od trupa niczego się nie dowie. Ściskając w dłoni walkie-talkie wyszedł z sypialni. W korytarzu zauważył, że klimatyzację podkreślono na cały regulator. Temperatura w apartamencie oscylowała w okolicach zera. Zanotował szybko dokładną nastawę temperatury, a następnie końcówką długopisu, żeby nie zamazać odcisków palców, przestawił regulator z powrotem na ogrzewanie. Po co ludzie pracujący na miejscu zbrodni mają mu pozamarzać na śmierć. Zniechęcony oparł się o ścianę. Chociaż od początku zdawał sobie sprawę, jak małe są szanse zastania podejrzanego w mieszkaniu, to fakt, że znaleźli go zamordowanego, świadczył dobitnie o tym, że ktoś ich wyprzedza o parę kroków. Czyżby jakiś przeciek? A może to morderstwo to część jakiegoś większego planu?

Ścisnął znowu walkie-talkie i wszedł z powrotem do sypialni.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sidney wyszła z gmachu Tritona i ruszyła przez opustoszały o tej porze parking. Była tak zatopiona w myślach, że długą czarną limuzynę zauważyła dopiero w momencie, kiedy ta się przed nią zatrzymała. Z wozu wysiadł Richard Lucas w granatowym jednorzędowym garniturze. Miał charakterystyczną twarz ze złamanym nosem i małymi oczkami osadzonymi o dobry cal za blisko siebie. Jego szerokie bary i rysujące się zawsze pod marynarką wybrzuszenie wzbudzały respekt.

— Pan Gamble chciałby się z panią widzieć — powiedział bezbarwnym tonem.

Kiedy otwierał drzwiczki, Sidney zauważyła pistolet w kaburze pod marynarką. Wzdrygnęła się i z trudem przełknęła ślinę.

— Nie mam w tej chwili czasu — wykrztusiła.

Lucas wzruszył ramionami.

— Jak pani uważa. Ale pan Gamble wolałby porozmawiać z panią bezpośrednio. Chciałby usłyszeć pani wersję wydarzeń, zanim zdecyduje się podjąć jakieś kroki. Według niego im wcześ-

128

niej dojdzie do takiego spotkania, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Sidney odetchnęła głęboko i spojrzała na przyciemnione szyby limuzyny.

- Gdzie ma się odbyć to spotkanie?

- W rezydencji pana Gamble'a w Middleburgu. — Lucas spojrział na zegarek. — Będziemy tam za jakieś trzydzieści pięć minut. Naturalnie po zakończeniu spotkania odwiedzimy panią z powrotem do pani samochodu.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Czy mam jakiś wybór?

- Każdy ma zawsze jakiś wybór, pani Archer.

Sidney owinęła się szczelniej płaszczem i wsiadła do wozu.

Lucas zajął miejsce naprzeciwko niej. Nie zadawała więcej pytań, on też już się nie odzywał, nie spuszczał jej jednak z oczu.

Sidney ledwie zwróciła uwagę na ogromny murowany dom z przylegającym do niego pieczołowicie wymodelowanym, obsadzonym drzewami otoczeniem. Jakoś przez to przebrniesz, mówiła sobie. Przesłuchanie to często broń obosieczna. Jeśli Gamble zażąda od niej wyjaśnień, ona zrobi wszystko, żeby z niego też coś wyciągnąć. Weszła za Lucasem przez dwuskrzydłowe drzwi, przecięli imponujący hol i wkroczyli do wielkiego pokoju wyłożonego polerowanym mahoniem. Na ścianach wisały obrazy o typowo męskiej tematyce, a na kominku płonął mały ogieniek. Na stole w rogu pomieszczenia czekała kolacja z nakryciami dla dwóch osób. Sidney, chociaż nie miała apetytu, uznała aromat bijący od potraw za kuszący. Pośrodku stołu chłodziła się butelka wina. Drzwi zamknęły się za nią z cichym szcęknięciem, podeszła do nich i stwierdziła, że zamknięto je na klucz. Odwróciła się, słysząc jakiś szmer za plecami.

Zza wysokiego oparcia stojącego przodem do ściany fotela wyszedł Nathan Gamble, ubrany w rozpiętą pod szyją koszulę i spodnie z mankietami. Jego przenikliwy wzrok sprawił, że jeszcze szczelniej owinęła się płaszczem. Gamble podszedł do nakrytego stołu.

- Głodna?

- Nie bardzo, dziękuję.

- Gdybyś zmieniła zdanie, to bardzo proszę. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli sam będę jadł.

— Jesteś u siebie.

Gamble zasiadł za stołem i zabrał się do napełniania talerzyka. Potem rozlał wino do dwóch kieliszków.

- Kupiłem ten dom z piwniczką na wino i dwoma tysiącami mocno zakurzonych butelek tego trunku. Nie znam się ni w ząb na winie, ale ludzie mówią, że to pierwszorzędna kolekcja. Ale ja nie tak pojmuję kolekcjonerstwo. Tam, skąd pochodzę, kolekcjonuje się znaczki. A to tutaj się pije. — Podał jej kieliszek.

- Ja chyba naprawdę...
  - Nie lubię pić sam. Wydaje mi się wtedy, że tylko ja mam uciechę. Poza tym w samolocie ci pomogło, prawda?  
Skinęła wreszcie głową, ściągnęła powoli płaszcz i wzięła od niego kieliszek. W pokoju było rozkosznie ciepło, ale pozostała czujna; w sąsiedztwie aktywnych wulkanów i ludzi typu Nathana Gamble'a należało mieć się bez przerwy na baczności. Usiadła i patrzyła, jak gospodarz się posila. Gamble spojrzał na nią i wymownym gestem wskazał na zastawiony stół.
  - Na pewno nie jesteś zainteresowana?  
Uniosła kieliszek.
  - To mi wystarczy, dziękuję.  
Wzruszył ramionami, pociągnął łyk wina i zabrał się do krojenia okazałej porcji steku.
  - Rozmawiałem niedawno z Henrym Whartonem. Sympatyczny gość, staje zawsze w obronie swoich ludzi. Cenię to u pracodawców. Ja też dbam o personel. — Połał plaster steku sosem i odgryzł spory kęs.
  - Henry jest wspaniałym nauczycielem — oświadczyła.
  - Ciekawe... Ja, pnąc się w górę, nigdy nie miałem nauczyciela. A szkoda. — Zachichotał.
- Sidney rozejrzała się po elegancko urządzonego pokoju.  
— Jak widać, jakoś ci to nie zaszkodziło.  
Gamble uniósł kieliszek, upił łyk i znów zabrał się do jedzenia.
- Apetyt nie dopisuje? — zapytał po chwili. — Wydaje mi się, że straciłaś trochę na wadze od naszego ostatniego spotkania.
  - Nic mi nie jest. Dzięki. — Bawiąc się pasemkiem włosów, Sidney obserwowała go bacznie i próbowała panować nad nerwami. Wolalaby od razu przejść do rzeczy, ale Gamble wyraźnie się z nią bawił. Dziesiątki razy widziała, jak zachowuje się w ten sposób w stosunku do innych.
- Gamble dolał sobie wina i pomimo protestów Sidney, jej kieliszek też napełnił. Dwadzieścia minut później otarł usta serwetką,

130

wstał i podprowadził Sidney do wielkiej, obitej skórą sofy naprzeciwko kominka. Usiadła i założyła nogę na nogę. Gamble stanął przy kominku i przyglądał jej się milcząco spod obwisłych powiek. Sidney sącząc wino wpatrywała się przez chwilę w ogień, a potem podniosła wzrok na Gamble'a. Skoro on nie zaczynał, postanowiła zacząć sama.

— Ja też rozmawiałam z Henrym — powiedziała. — Chyba wkrótce po tobie.

Gamble kiwnął w zamyśleniu głową.

— Spodziewałem się, że Henry zadzwoni do ciebie zaraz po naszej pogawędce.

W Sidney zaczęła wzbierać gniew na tego człowieka, manipulującego ludźmi i zastraszonego ich, by uzyskać to, co chce. Gamble wyjął cygaro ze stojącego na obramowaniu kominka pudełka.

- Nie masz nic przeciwko? — zapytał.
- Jesteś u siebie.
- Niektórzy twierdzą, że palenie cygar to nie nałóg; nie jestem tego taki pewien. Ale od czegoś w końcu trzeba umrzeć, nie?

Sidney upiła łyżeczek wina.

— Lucas powiedział, że chcesz się ze mną zobaczyć. Nie mam pojęcia, w jakiej sprawie, więc może byś mi to wyjaśnił?

Gamble, zanim się odezwał, kilka razy zaciągnął się płytko cygarem, żeby je rozpalić.

— Okłamałaś mnie w samolocie, prawda?

Sidney zaskoczył spokój, z jakim to powiedział. Spodziewała się raczej wybuchu furii.

— Tak, nie powiedziałam całej prawdy — przyznała.

Przez twarz Gamble'a przebiegł lekki tik.

— Jesteś taka cholernie ładna, że wciąż zapominam, że mam przed sobą prawnika. Jeśli się nie mylę, pomiędzy kłamaniem a niemówieniem całej prawdy jest pewna różnica, choć mnie ta różnica nie interesuje. Okłamałaś mnie, i to jest fakt.

Sidney milczała.

— Co twój mąż robił w tym samolocie? — Gamble niemal wykrzyczał to pytanie, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona.

Po chwili wahania Sidney zdecydowała się udzielić wyczerpującej odpowiedzi. I tak kiedyś musiałyby to zrobić.

— Jason powiedział mi, że zaproponowano mu kierownicze stanowisko w pewnej firmie z siedzibą w Los Angeles. Powiedział, że leci tam na ostatnią rundę rozmów wstępnych.

131

- Co to za firma? RTG?
  - Nie, nie RTG. To w ogóle nie był wasz bezpośredni konkurent na rynku. Dlatego właśnie uznałam, że nie muszę ci tego mówić. Zresztą nieważne, co to za firma.
  - A to niby czemu? — zdziwił się Gamble.
  - Bo Jason nie powiedział mi prawdy. Nie złożono mi żadnej propozycji pracy, nie leciał na żadne rozmowy wstępne. Dopiero teraz to odkryłam. — Sidney z trudem panowała nad głosem.
- Gamble dopił wino i przez dłuższą chwilę palił w milczeniu cygaro.

• A więc ciebie okłamał mąż, ty okłamałaś mnie i teraz ja mam ci uwierzyć na słowo? — powiedział z przekąsem. Sidney milczała. Nie mogła mieć do niego pretensji, że jej nie dowierza. — Jesteś moim doradcą prawnym, Sidney. Doradź mi więc, jak mam się w tej sytuacji zachować. Mam przyjąć słowa świadka za dobrą monetę czy nie?

• Jeśli mi nie wierzysz, a chyba masz po temu powód, to nic na to nie poradzę.

Gamble pokiwał w zadumie głową.

- No dobrze. I co jeszcze?
- Nie ma żadnego „czegoś jeszcze”. Powiedziałam ci wszystko, co wiem.

Gamble wypstryknął niedopałek cygara w ogień.

• Spokojnie! Ze swoich trzech rozwodów wyniosłem naukę, że łózkowe rozmowy bywają bardzo interesujące. Dlaczego wy mielibyście być inni?

• Jason... Jason nie rozmawiał ze mną o sprawach Tritona. Wiem tylko, że to, co robił w twojej firmie, było poufne. Nic na ten temat nie wiem. Sama mam wiele pytań, ale ani jednej odpowiedzi. — Wyrzuciła to z siebie zgorzkniałym tonem, ale zaraz się opanowała. — Czy w Tritonie coś się stało? Coś, co ma związek z Jasonem? — Gamble nie odpowiadał. — Chciałabym to wiedzieć.

• Nie zamierzam niczego ci mówić. Nie wiem, po czyjej jesteś stronie, ale wątpię, czy po mojej.

Gamble mierzył ją tak przenikliwym wzrokiem, że poczuła, jak na policzki wypelza jej rumieniec. Poprawiła się na sofie i spojrzała mu w oczy.

- Wiem, że podejrzewasz mnie o...
- A żebyś wiedziała, że podejrzewam — wpadł jej w słowo Gamble. — Mam na karku RTG. Wszyscy wmawiają mi, że jeśli

132

nie sfinalizuję kontraktu z CyberComem, moja firma straci swoją pozycję. Czego się po mnie spodziewasz? — Przysiadł się do niej i chwycił za rękę. — Naprawdę bardzo mi przykro, że straciłaś męża, i w każdych innych okolicznościach nie interesowałoby

mnie, po co wsiadał do jakiegoś tam samolotu. Jednak kiedy wszyscy naokoło zaczynają mnie okłamywać, pod znakiem zapytania staje przyszłość mojej firmy, a to już wymaga mego zainteresowania. — Wypuścił jej rękę z dłoni.

Sidney zerwała się z sofy i chwyciła płaszcz. Łzy kręciły się jej w oczach.

— W tej chwili gównu mnie obchodzi twoja firma i ty sam, ale powiem ci jedno. Ani mój mąż, ani ja nie zrobiliśmy niczego złego. Dotarło? — Wbiła w niego rozogniony wzrok, pierś jej falowała. — Chcę już iść.

Nathan Gamble przyglądał jej się bacznie przez dłuższą chwilę, potem podszedł do stolika w kącie pokoju i sięgnął do telefonu. Nie słyszała, co powiedział do słuchawki. Po chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich Lucas.

— Proszę za mną, pani Archer.

Wychodząc, obejrzała się na Nathana Gamble'a. Podniósł kieliszek z winem.

— Będziemy w kontakcie — powiedział cicho.

Te słowa przyprawiły ją o dreszcz.

Niespełna czterdzieści pięć minut później wysiadła już z limuzyny na parkingu przed gmachem Tritona. Wsunęła się szybko za kierownicę swojego forda explorera i ruszając wystukała jednocześnie numer na klawiaturze telefonu. W słuchawce odezwał się zaspany głos.

- Henry? Tu Sidney. Przepraszam, że cię obudziłam.
- Sid? Która to godzina... Gdzie jesteś?

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że odbyłam właśnie rozmowę z Nathanem Gamble'em.

Henry Wharton już się rozbudził.

- Jak do niej doszło?
- Powiedzmy, że za sprawą sugestii Nathana.
- Próbowałam cię kryć.
- Wiem, Henry. Jestem ci za to wdzięczna.
- I jak poszło?
- Chyba nieźle, zważywszy na okoliczności. Nie powiem, był dosyć grzeczny.

- No to się cieszę.

• Ale to się może zmienić. Chciałam tylko, żebyś wiedział. Właśnie od niego wracam.

• Może cała ta afera rozejdzie się po kościach. Naturalnie nie mam na myśli śmierci Jasona — dorzucił pospiesznie. — Naprawdę nie lekceważę tej strasznej tragedii...

- Wiem, Henry — przerwała mu Sidney. — Nie tłumacz się.
- No i na czym stanęło z Nathanem?

Odetchnęła głęboko.

- Umówiliśmy się, że będziemy w kontakcie.

Hotel Hay-Adams dzieliło od siedziby kancelarii Tyler & Stone zaledwie kilka przecznic. Sidney obudziła się wcześniej. Zegar wskazywał dopiero piątą rano. Na spokojnie przeanalizowała wypadki poprzedniego wieczoru. Wizyta w gabinecie męża nie wniosła właściwie niczego, a rozmowa z Nathanem Gamble'era bardzo ją wzburzyła. Miała nadzieję, że udało jej się uspokoić Henry'ego Whartona. Przynajmniej na razie. Wzięła szybki prysznic, zadzwoniła do służby hotelowej i zamówiła kawę. Przed siódmą musiała wyjechać po Amy. Potem omówi z rodzicami szczegóły ceremonii żałobnej.

Zanim się ubrała i spakowała, była już szósta trzydzieści. Rodzice zawsze byli rannymi ptaszkami, a Amy budziła się za-



zwyczaj przed szóstą. Telefon odebrał ojciec.

- Jak tam Amy? — zapytała.

- Jest z matką w łazience. Kąpie się. Rano wmaszerowała do naszej sypialni jak do siebie. — Sidney słyszała w tonie ojca dumę. — A ty jak się trzymasz, słoneczko? Z brzmienia twojego głosu wnoszę, że trochę lepiej.

— Jakoś się trzymam, tato. Nie wiem, jak to się stało, ale wreszcie udało mi się zasnąć.

- Przenosimy się z mamą na jakiś czas do ciebie. Nie ma dyskusji. Zajmiemy się domem, telefonami, pozałatwiamy różne sprawy, pomożemy ci przy Amy.

- Dzięki, tato. Za parę godzin będę u was.

— O, jest Amy. Wygląda jak zmokły kurczak. Dam ci ją.

Sidney usłyszała chrobot, a potem rozległo się parę cichych chrząknięć.

- Amy, kochanie, to ja, mamusia. — W tle słychać było zachęty babci i dziadka.

- Alo. Mamusia?

134

- Tak, kochanie, mama.

- Mówis do mnie? — Dziewczynka zachichotała. To było jej ulubione pytanie. Zadając je zawsze podskakiwała. Sidney uśmiechnęła się, ale następne pytanie Amy szybko ten uśmiech zgasiło.

- Tatus. Chce tatusia.

Sidney zamknęła oczy i przesunęła ręką po czole, odgarniając niesforny kosmyk włosów. Poczowała wzbierający w gardle szloch. Zasłoniła dłonią słuchawkę, żeby córeczka go nie usłyszała.

- Kocham cię, Amy — powiedziała po chwili, ochłonawszy nieco. — Niedługo przyjadę, dobrze?

- Ja też cię kocham. A tatus? Psyjedyz sybko!

- Zaraz tam będę, malutka. — Łzy płynęły jej po twarzy, czuła w ustach ich słony smak.

- Kochanie...?

- Tak, mamó? — Sidney otarła twarz rękawem, ale łzy natychmiast zalały ją z powrotem.

- Przepraszam, kochanie — powiedziała matka. — Ona nie potrafi rozmawiać z tobą, żeby nie mówić jednocześnie o Jasonie.

- Wiem.

- Przynajmniej dobrze spała.

- Wkrótce u was będę, mamó.

Sidney odłożyła słuchawkę i przez kilka minut siedziała na brzegu łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach. W końcu wstała, podszła do okna, rozchyliła lekko zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Księżyc w trzeciej kwadrze i morze ulicznych latarni oświetlały jasno teren przed hotelem. Ale mimo to nie zauważyła mężczyzny stojącego w zaułku po drugiej stronie ulicy i obserwującego przez małą lornetkę jej okno. Był w tym samym płaszczu i kapeluszu co w Charlottesville. Przyglądał się bacznie Sidney patrzącej nieobecny wzrokiem na ulicę w dole. Miał wieloletnią wprawę w prowadzeniu tego rodzaju inwigilacji i jego oczy potrafiły wychwycić każdy szczegół. Z twarzy, a zwłaszcza z oczu kobiety wyzierało zmęczenie. Kiedy odsunęła się od okna, opuścił lornetkę. Bardzo zgnębiona kobieta, podsumował. Był świadkiem podejrzanego zachowania Jasona Archera na lotnisku w dniu katastrofy samolotu i wiedział, że Sidney Archer ma wszelkie powody po temu, by się denerwować a nawet bać. Oparł się o ceglana ścianę i kontynuował nocne czuwanie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Lee Sawyer patrzył w okno sypialni swojego małego mieszkania w południowo-wschodniej części Waszyngtonu. Za dnia widziałby stąd kopułę Union Station, ale do wschodu słońca pozostawało jeszcze co najmniej pół godziny. Wstępne dochodzenie w sprawie śmierci człowieka, który tankował samolot, przeciągnęło się i Sawyer wrócił do domu dopiero o czwartej trzydzieści nad ranem. Wziął dziesięciminutowy gorący prysznic, żeby odpędzić senność. Potem ubrał się szybko, wstawił wodę na kawę, ugotował dwa jajka, ukroił plaster szynki, która chyba już przed tygodniem nadawała się do wyrzucenia, i zrobił sobie kilka grzanek. Zjadł ten skromny posiłek na tacy w living roomie w przytłumionym świetle małej stołowej lampy. Półmrok pomagał mu zebrać myśli. Wiatr łomotał okiennicami. Sawyer rozejrzał się po swoim domu i skrzywił się. Dom? Nie uważał tego miejsca za swój dom, choć mieszkał tu od lat. Jego prawdziwy dom znajdował się na zadrzewionych przedmieściach Waszyngtonu: był piętrowy, miał winylową elewację, garaż na dwa samochody i ceglane barbeque na tyłach posesji. To małe mieszkanie wynajął po rozwodzie. Jadał tu tylko i czasem nocował, traktował je jak hotel. Nigdy nie nazwie go swoim domem, mimo że zgromadził tu trochę rzeczy osobistych, z fotografiami swoich czworga dzieci włącznie. Wziął do ręki jedno z tych zdjęć. Najmłodsza córka, Meggie. Przystojna blondynka. Odziedziczyła po ojcu wzrost, zgrabny nos i pełne wargi. Zaczął pracę w FBI, kiedy była małym dzieckiem, i większą część jej dorostania spędził gdzieś w drodze. Zapłacił za to słoną cenę. Nie rozmawiali teraz ze sobą. Przynajmniej ona nie chciała z nim rozmawiać. A on, choć zahartowany przez swoją pracę, nie miał już odwagi próbować. Zresztą ile razy można przeproszać?

Umył naczynia, wyczyścił zlew i wrzucił brudne ubrania do kosza — przy okazji odda je do pralni. Rozejrzał się. Nie miał nic więcej do roboty prócz zabijania czasu. Uśmiechnął się gorzko i zerknął na zegarek. Prawie siódma. Pora do biura. Chociaż pracował na zmiany, prawie stamtąd nie wychodził. Ale pozostała mu już tylko służba w FBI. Spraw do rozwiązania nigdy nie zabraknie. Czyż nie to właśnie usłyszał od żony tamtej ostatniej nocy, kiedy rozpadło się ich małżeństwo? Miała rację, spraw do rozwiązania nigdy nie zabraknie. W końcu czego innego mógł się

136

spodziewać? Włożył kapelusz, wsunął broń do kabury i zszedł do samochodu.

Do budynku centrali FBI przy Pennsylvania Avenue między ulicami Dziewiątą a Dziesiątą Sawyer miał od siebie zaledwie pięć minut jazdy na północny wschód. Pracowało tam siedem i pół tysiąca ze wszystkich dwudziestu czterech tysięcy osób zatrudnionych w FBI. Miejsce u szczytu stołu w wielkiej sali konferencyjnej zajmował prominentny agent specjalny. Inni agenci FBI siedzący wokół tego stołu przeglądali pracowicie stopy teczek z aktami albo wpatrywali się w ekrany laptopów. Sawyer rozejrzał się po sali. Było to Centrum Operacyjne Informacji Strategicznych, w skrócie COIS. Zajmowało wydzielony kompleks pomieszczeń o ograniczonym dostępie, odseparowany od reszty budynku szkła-

nymi ścianami i ekranowany przed wszelkimi rodzajami elektronicznej inwigilacji, i spełniało rolę punktu dowodzenia podczas poważniejszych operacji prowadzonych przez FBI. Na jednej ze ścian wisiał rząd zegarów, każdy przyporządkowany innej strefie czasowej. Drugą ścianę zajmował zespół wielkoekranowych monitorów. COIS miało bezpieczną łączność z Salą Sytuacyjną Białego Domu, CIA i wszystkimi federalnymi agencjami bezpieczeństwa publicznego. Pozbawione okien, włożone grubą wykładziną dywanową pomieszczenie było miejscem, z którego kierowano zakrojonymi na wielką skalę dochodzeniami. Posiłki zapewniała pracującemu tu przez długie godziny personelowi mała kuchnia. Teraz parzono tam właśnie świeżą kawę. Kofeina i wysiłek umysłowy zawsze szły w parze.

Sawyer wypatrzył zaczytanego w aktach Davida Longa, długoletniego członka Wydziału do Spraw Zamachów Bombowych FBI. Po jego lewej ręce siedział Herb Barracks, agent z biura terenowego FBI w Charlottesville, najbliższego miejsca katastrofy. Barracks miał obok siebie agenta z terenowego biura FBI w Richmond, w okolicach którego wybuch oderwał maszynie skrzydło. Naprzeciwko nich siedzieli dwaj agenci z waszyngtońskiego metropolitalnego biura terenowego w Buzzard Point, które prawie do końca lat osiemdziesiątych, do czasu połączenia się z biurem z Alexandrii w stanie Wirginia, było po prostu waszyngtońskim biurem terenowym.

Lawrence Malone, dyrektor FBI, wyszedł przed godziną, wysłuchawszy raportu w sprawie zamordowania niejakiego Roberta

137

Sinclaira, zatrudnionego ostatnio na stanowisku paliwowego w Vector Fueling Systems, a obecnie lokatora kostnicy stanu Virginia. Sawyer był niemal pewien, że po przepuszczeniu odcisków palców denata przez Zautomatyzowany System Identyfikacji Linii Papilarynych FBI, w skrócie ZSILP, okaże się, że świętej pamięci Sinclair nosił w rzeczywistości zupełnie inne nazwisko. Konspiratorzy w wielkim spisku, a Sawyer nie miał wątpliwości, że z takim właśnie mają do czynienia, rzadko zatrudniali się pod prawdziwymi nazwiskami na stanowiskach, które mieli później wykorzystać do strącenia samolotu.

Do sprawy podłożenia bomby w Rejsie 3223 przydzielono ponad dwustu pięćdziesięciu agentów. Badali oni różne tropy, przesłuchiwali członków rodzin ofiar i sprawdzali wszystkie osoby mające motyw i możliwości dokonania sabotażu w samolocie linii Western Airlines. Sawyer zakładał, że Sinclair odwalił brudną robotę, ale nie było wykluczone, że miał jakiegoś współnika wśród pracowników lotniska. Chociaż w kręgach dziennikarskich od początku krążyły na ten temat plotki, to pierwszy poważny materiał donoszący bez ogródek, że przyczyną katastrofy samolotu Western Airlines był zamach bombowy, miał się ukazać dopiero w następnym porannym wydaniu *Washington Post*. Opinia publiczna zażąda natychmiastowych wyjaśnień. Sawyer chętnie by ich udzielił choćby i dziś, ale do konkretnych ustaleń prawie nigdy nie dochodziło się tak szybko, jak by niektórzy sobie tego życzyli.

FBI wzięło na celownik Vector Fueling Systems wkrótce po tym, gdy ludzie z ekipy NTSB znaleźli w kraterze ów charakterystyczny dowód. Potem łatwo już było ustalić, że Rejs 3223 tankował Sinclair. Ale Sinclair nie żył. Ktoś zadbał o to, żeby nie miał okazji powiedzieć, dlaczego dokonał sabotażu w samolocie.

Long podniósł wzrok na Sawyera.

- Miałeś rację, Lee. To była zmodyfikowana wersja jednego z tych nowych przenośnych elementów grzejnych. Ostatni krzyk techniki w konstrukcji zapalniczek do papierosów. Nie ma pło-

mienia, tylko intensywne ciepło wydzielane przez platynową zwijkę, praktycznie nie widać żaru.

- Już to gdzieś widziałem — mruknął Sawyer. — Pamiętasz tę sprawę podpalenia budynku Urzędu Skarbowego z zeszłego roku?
- Otóż to. Tak czy inaczej, to coś może się rozgrzać do około tysiąca pięciuset stopni Fahrenheita. I nie przeszkadza mu w tym

138

wiatr ani zimno, nawet zanurzenie w paliwie lotniczym. To urządzenie zmajstrowano tak, że gdyby z jakiegoś powodu zgasło, mogło się rozgrzać na nowo. Miało z jednej strony magnes. To proste, ale idealny sposób. Kwas przeżera ściankę zbiornika i paliwo zaczyna wyciekać. Wcześniej czy później wchodzi w kontakt z rozgrzany element grzejnym i bum. — Pokręcił głową. — Genialne. Taki zapalnik można nosić w kieszeni i nawet jeśli wykryje go detektor metali, to przecież na pozór przypomina zapalniczkę. — Long, obserwowany przez siedzących obok agentów, przerzucił kilka kartek i podjął swój wywód: — Nie musieli stosować zapalnika zegarowego ani wysokościowego. Oszacowali z grubsza chwilę zapłonu na podstawie szybkości korozyjnego działania kwasu. Wiedzieli, że kiedy zbiornik zostanie przeżarty, samolot będzie już w powietrzu. Pięciogodzinny lot daje szeroki margines czasowy.

Sawyer kiwnął głową.

- Kapłan i jego ludzie znaleźli obie czarne skrzynki. Obudowa rejestratora parametrów lotu była rozbita, ale taśma zachowała się w stosunkowo dobrym stanie. Ze wstępnych badań zapisu wynika, że prawy silnik i mechanizmy sterownicze znajdujące się w tej sekcji skrzydła oderwały się od samolotu parę sekund po zarejestrowaniu przez magnetofon kabinowy dziwnego odgłosu. Przeprowadzają teraz analizę spektralną tego dźwięku. W zapisie rejestratora parametrów lotu nie ma nic, co wskazywałoby na gwałtowny spadek ciśnienia w kabinie, więc żaden wybuch we wnętrzu kadłuba nie mógł mieć miejsca... To by się zgadzało, bo wiemy teraz, że sabotaż dokonano w skrzydle. Przedtem wszystko działało bez zakłóceń: żadnych problemów z silnikiem, lot poziomy, prawidłowa praca sterów. Ale po utracie skrzydła nie mieli żadnych szans.

- Czy można coś wywnioskować z nagrania rozmów pilotów na magnetofonie kabinowym? — spytał Long.

Sawyer pokręcił głową.

— Same niezrozumiałe okrzyki. *Mayday* nadali przez radio.

Z zapisu czarnej skrzynki wynika, że maszyna nurkowała pionowo z wysokości prawie trzydziestu tysięcy stóp z lewym silnikiem pracującym pełną mocą. Kto wie, czy w takich warunkach ktoś tam w ogóle zachował przytomność... — Sawyer urwał. — Lepiej by dla nich było, gdyby ją stracili — dodał ponuro.

Teraz, kiedy nie ulegało już wątpliwości, że przyczyną katastrofy był sabotaż, FBI oficjalnie przejęło śledztwo od NTSB.

139

Z uwagi na złożoność sprawy i związane z tym ogromne wyzwania organizacyjne, miała się nią zająć sama centrala, a na agenta prowadzącego wyznaczono Sawyera, który tak wspaniale się sprawdził podczas badania przyczyn katastrofy lotniczej pod Lockerbie. Ale ta katastrofa była trochę inna. Sawyer zamierzał pozostawić kontakty z prasą i wydawanie publicznych oświadczeń innym. Sam wolał pracować w tle.

FBI ogromnym nakładem sił i środków infiltrowało organizacje terrorystyczne działające na terenie Stanów Zjednoczonych, demaskując plany i spiski zawiązywane w imię jakiejś politycznej

albo religijnej sprawy, zanim zdążyły wejść w fazę realizacji. Zamach na Rejs 3223 spadł na Biuro jak grom z jasnego nieba. Od informatorów **FBI** nie nadeszło najmniejsze napomknienie, że szykuje się coś na taką skalę. Sawyer poprzysiągł sobie, że skoro nie udało się zapobiec katastrofie, nie spocznie teraz, dopóki nie odda winnych w ręce sprawiedliwości.

— Wiemy już, co się przytrafiło tej maszynie — mruknął Sawyer. — Teraz trzeba ustalić, kto i dlaczego to zrobił. Zaczniemy od motywu. Czego jeszcze dowiedziałeś się o Arthurze Liebermanie, Ray?

Raymond Jackson był młodszym partnerem Sawyera. Pochodził z Michigan i zanim powiesił na kołku ochraniacze i kask, by rezygnując z kariery w NFL wstąpić do FBI, grał w uniwersyteckiej drużynie futbolowej. Był Murzynem, miał metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary, inteligentne oczy i zwyczaj cichego mówienia. Otworzył teraz notes.

- Sporo się tego uzbierało — powiedział. — Zaczniemy od tego, że gość był na wykończeniu. Zaawansowany rak trzustki. Zostało mu może sześć miesięcy. Przerwał leczenie. Zażywał tylko ogromne ilości środków przeciwbólowych. Roztwór Schlesingera... połączenie morfiny z jakimś poprawiaczem nastroju, prawdopodobnie kokainą. Prawdopodobnie nie rozstawał się z przenośnym aparatem, który dozuje lek bezpośrednio do krwioobiegu.

- Prezesowi Fed pozostało jeszcze sześć miesięcy życia i nikt o tym nie wie? — zapytał zdziwiony Sawyer. — Skąd masz tę informację?

- Znalazłem buteleczkę roztworu Schlesingera w apteczce w jego mieszkaniu. Po nitce dotarłem do kłębka, czyli do osobistego lekarza Liebermana. Powiedziałem mu, że przeprowadzamy rutynowe wywiady środowiskowe. Z kalendarza Liebermana wy-

140

nikało, że często odwiedzał lekarzy. Bywał też u Johnsa Hopkinsa i w Mayo Clinic. Kiedy wspomniałem o lekarstwie, które znalazłem, doktorek trochę się speszył. Zasugerowałem delikatnie, że jeśli będzie ukrywał prawdę przed FBI, może wdepnąć w gówno po uszy. Wtedy pękł. Prawdopodobnie uznał, że skoro jego pacjent umarł, to co mu tam.

- A Biały Dom? Oni muszą o tym wiedzieć.

- Jeśli grają z nami w otwarte karty, to feź nie mieli o niczym pojęcia. Rozmawiałem o tym z szefem personelu. Chyba mi z początku nie uwierzył. Musiałem mu przypomnieć, że FBI to instytucja godna zaufania. Przesłałem mu również kopię karty zdrowia Liebermana. Podobno prezydent się wściekł, kiedy mu ją pokazano.

- Bardzo interesujące — przyznał Sawyer. — Uważałem tego faceta za finansowego boga, człowieka twardego jak skała. A tu proszę, zapomina powiedzieć, że wkrótce przekreśli się na raka i zostawi kraj na lodzie. Coś mi tu nie gra.

Jackson uśmiechnął się.

- Ja tylko relacjonuję fakty. Masz rację co do tego człowieka. To legendarna postać. Ale prywatnie nie był w najlepszej kondycji finansowej...

- Jak to? — zachnął się Sawyer.

Jackson przerzucił kilka kartek i podał mu otwarty notes. Sawyer zaczął czytać, słuchając jednym uchem partnera.

— Lieberman rozwiódł się przed pięcioma laty, po dwudziestu pięciu latach małżeństwa. Podobno żona odkryła, że ma kogoś na boku. Nie mogło się to stać w gorszym momencie. Miał właśnie zdawać przed komisją senacką raport z działalności Fed. Żona zagroziła, że obsmaruje go w gazetach. Mógłby się wtedy pożegnać ze stołkiem prezesa, na którym mu bardzo zależało. Żeby się

ratować, oddał swojej byłej prawie wszystko, co miał. Umarła przed dwoma laty. Żeby było weselej, jego dwudziestopięcioletnia przyjaciółeczka miała podobno bardzo kosztowne zachcianki. Praca w Fed jest prestiżowa, ale nie wyciąga się z niej tyle, co na Wall Street. Lieberman tkwił po uszy w długach. Mieszkał w małej klitce na Wzgórzu Kapitołińskim i próbował się wygrzebać z finansowej dziury głębokiej jak Wielki Kanion. Te miłosne liściki, których plik znaleźliśmy w mieszkaniu, to prawdopodobnie listy jego kochanki.

- Co się z nią stało? — spytał Sawyer.
- Trudno powiedzieć. Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby

141

się okazało, że puściła go w trąbę, kiedy się dowiedziała, że ma raka.

— Ustaliłeś jej aktualne miejsce pobytu?

Jackson pokręcił głową.

— Wszystko wskazuje na to, że już jakiś czas temu zesłała ze sceny. Dotarłem do paru nowojorskich kolegów Liebermana. Według nich była to kobieta bardzo piękna, ale bezdennie głupia.

— To pewnie strata czasu, ale popytaj jeszcze o nią, Ray.

Jackson kiwnął głową.

Sawyer spojrzał na Barracksa.

- Wiadomo już, kto zastąpi Liebermana? — zapytał.
- Jednomyślnie wybrano Waltera Burnsa.

Sawyer gapił się przez chwilę na Barracksa, a potem zapisał w notesie „Walter Burns”. Na marginesie, obok tego nazwiska, nagryzmolił słowa „duppek” i „podejrzany”. Przy tym drugim postawił znak zapytania. Podniósł wzrok.

• Wygląda na to, że nasz pan Lieberman miał ostatnio złą passę. Po co takiego zabijać?

• Powodów jest bez liku — odparł Barracks. — Prezes Fed to symbol amerykańskiej polityki monetarnej. Piękny cel dla jakiegos sfrustrowanego kraju Trzeciego Świata. Albo dla którejś z grup terrorystycznych, specjalizujących się w podkładaniu bomb w samolotach.

Sawyer pokręcił głową.

• Jak dotąd do zamachu nie przyznała się żadna z tych grup.  
• Daj im trochę czasu — prychnął Barracks. — Teraz, kiedy potwierdziliśmy, że to był zamach terrorystyczny, tylko patrzeć, jak zaczną się zgłaszać. To przecież cel życia tych sukinsynów.

• Jasna cholera! — Sawyer rąbnął pięścią w stół, wstał i zaczął się przechadzać. Twarz mu pałała. Miał wciąż przed oczami obraz krateru. I tego małego bucika, który trzymał w ręku. Nigdy tego nie zapomni.

Zatrzymał się i spojrzał na Barracksa.

- Z tą hipotezą jest problem, Herb — powiedział.
- Jaki?

Sawyer oparł się o szklaną ścianę i założył ręce na piersi.

— Jeśli jesteś terrorystą i chcesz wywołać dużo szumu, podkładasz bombę w samolocie... co, powiedzmy sobie szczerze, w przypadku linii krajowych nie jest wcale takie trudne... i rozwalasz maszynę na milion kawałków. Ciały lecą z nieba, przebijają dachy, przerywają Amerykanom śniadanie. Nie ma wątpliwości,

142

że to była bomba. — Sawyer przesunął wzrokiem po twarzach agentów. — Tutaj tego nie było, panowie.

Znowu zaczął się przechadzać. Śledziły go oczy wszystkich obecnych.

— Samolot spadał praktycznie nietknięty. Gdyby nie odpadło prawe skrzydło, cały znalazłby się w kraterze. Zwróćcie na to

uwagę. Sabotażu dokonał prawdopodobnie paliwowy z Vectora. Krecia robota wykonana przez Amerykanina, który, o ile nam wiadomo, nie jest związany z żadną grupą terrorystyczną. Trudno mi jakoś uwierzyć, że terroryści ze Środkowego Wschodu zaczęli przyjmować w swoje szeregi Amerykanów, którzy odwalaliby za nich brudną robotę... Zbiornik paliwa jest uszkodzony, ale to uszkodzenie mogło przecież powstać w wyniku eksplozji i pożaru. Prawie cały kwas się wypalił. Trochę wyższa temperatura, i może nie wykrylibyśmy go w ogóle. W dodatku Kapłan przyznał, że wcale nie musiało odpaść skrzydło, żeby samolot się rozbił. Prawy silnik uległ zniszczeniu na skutek zassania odłamków, a przewody hydrauliczne poprzerywane zostały wskutek eksplozji i pożaru, i skrzydło, nawet gdyby się nie oderwało, utraciłoby swoje własności aerodynamiczne. Tak więc, gdyby nie to, że znaleźliśmy w kraterze zapalnik, moglibyśmy przyjąć, że przyczyną katastrofy była jakaś awaria mechaniczna. A nie oszukujmy się, znalezienie tego zapalnika należy uznać za cud...

Zamilkł na chwilę, popatrzył przez szklaną ścianę i mówił dalej:

— Podsumujmy to wszystko. Ktoś wysadza samolot w powietrzu, ale nie chce, żeby to wyglądało na sabotaż. To nie jest sposób działania typowego terrorysty. Obraz jeszcze bardziej się zaciemnia, kiedy nasz paliwowy kończy podziurawiony kulami. Torby miał spakowane, był już na wpół ucharakteryzowany, ale zlecniodawca przypuszczalnie zmienił wobec niego plany. Poza tym samolotem leciał Arthur Lieberman. — Sawyer zerknął na Jacksona. — Latał do L.A. co miesiąc, jak w zegarku, co miesiąc tymi samymi liniami, tym samym rejssem, prawda?

Jackson przymrużył oczy i kiwnął powoli głową. Wszyscy agenci bezwiednie pochylili się do przodu, słuchając uważnie wyводу Sawyera.

— A więc prawdopodobieństwo, że facet wybierze akurat ten rejs, jest tak duże, że nie warto o nim dyskutować. Celem musiał być przeoczyliśmy coś na prawdę ważnego. Teraz zestawmy to wszystko. Początkowo nasi

143

zamachowcy chcą upozorować wypadek. Potem zostaje zamordowany paliwowy. Dlaczego? — Sawyer potoczył wyzywającym wzrokiem po twarzach obecnych.

— Nie chcieli ryzykować — odezwał się David Long. — To mogło ujść za wypadek, ale niekoniecznie. Musieli usunąć faceta, zanim gazety opublikują oświadczenie komisji. Poza tym, nawet jeśli pierwotny plan zakładał, że ten człowiek weźmie nogi za pas, to przecież jego niepojawienie się w pracy wzbudziłoby podejrzenia. Nawet gdybyśmy nie brali pod uwagę sabotażu, takie coś na pewno naprowadziłoby nas na właściwy trop.

— Zgoda — przyznał Sawyer. — Ale idąc dalej twoim tokiem rozumowania, dlaczego nie załatwili tego tak, żeby facet wyszedł na jakiegoś fanatycznego świra? Kula w skroń, pistolet w rękę, jakiś pożegnalny list z rodzaju: „Nienawidzę Ameryki” — i niech myślą, że to jakiś stuknięty samotnik. Ale oni podziurawili go kulami zostawili dowody świadczące, że facet chciał pryskać i od razu wiadomo, że w sprawę zamieszany jest ktoś jeszcze. Po co, u diabła, ściągać na siebie tego rodzaju kłopoty? — Sawyer potarł brodę.

Nikt mu nie odpowiedział.

Spojrzał na Jacksona.

• Są już wyniki sekcji?  
• Obiecali, że nadadzą sprawie najwyższy priorytet. Wkrótce będzie coś wiadomo.

- Znaleźliście coś jeszcze w jego mieszkaniu?
- Nie znaleźliśmy najważniejszego, Lee.
- Pewnie dokumentów tożsamości — mruknął Sawyer i po-

kiwał głową.

- Tak — odparł Jackson. — Gość wybierający się w drogę po rozwaleniu samolotu nie będzie podróżował pod własnym nazwiskiem. Plan przewidywał prawdopodobnie zaopatrzenie go w fałszywe dokumenty.

- Zgoda, Ray, ale mógł je schować gdzie indziej.
- Albo zabrał je ten, kto go załatwił — wtrącił Barracks.
- Nie będę się o to spierał — odparł Sawyer.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali konferencyjnej COIS weszła Marsha Reid. Ta drobna kobieta o krótko obciętych, przyprószonych siwizną włosach, z okularami zawieszonymi na łańcuszku, cieszyła się opinią jednego z najlepszych w Biurze specjalistów od daktyloskopii. Ezoteryczny świat łuków, pętli i spiral papilarnych nie miał przed nią tajemnic i dzięki niej ujęto już wielu groźnych przestępców.

144

Marsha powitała obecnych skinieniem głowy, usiadła i otworzyła teczkę na akta, którą ze sobą przyniosła.

— Wyniki z Analizatora Odcisków Palców, jeszcze ciepłe — oznajmiła formalnym tonem, zabarwionym jednak szczyptą humoru. — Robert Sinclair nazywał się naprawdę Joseph Philip Riker. Jest ścigany listem gończym w stanach Teksas i Arkansas za morderstwo i nielegalne posiadanie broni. Lista zatrzymań długa na trzy strony. Pierwsze aresztowanie za napad z bronią w rękę w wieku lat szesnastu. Ostatnie za morderstwo drugiego stopnia. Odsiedział siedem lat. Zwolniony pięć lat temu. Od tamtego czasu podejrzany o popełnienie licznych przestępstw, w tym dwóch morderstw na zlecenie. To bardzo niebezpieczny człowiek. Od osiemnastu miesięcy było o nim cicho. Aż do teraz.

Agenci patrzyli na nią w osłupieniu.

- Jak taki gość mógł dostać robotę przy tankowaniu samolotów? — spytał z niedowierzaniem Sawyer.
- Rozmawiałem z przedstawicielami Vector Fueling Systems — powiedział Jackson. — To renomowana firma. Sinclair — czy raczej Riker — był u nich zatrudniony dopiero od miesiąca. Miał świetne referencje. Pracował w wielu firmach tankujących samoloty na północnym zachodzie i w południowej Kalifornii. Sprawdzili przebieg jego pracy zawodowej, oczywiście pod nazwiskiem Sinclair. Wszystko się zgadzało. Byli zaskoczeni tym, co zrobił, tak samo jak wszyscy.

- A odciski palców? Mieli obowiązek sprawdzić jego odciski palców. Od razu by wyszło na jaw, co to naprawdę za jeden.

Reid posłała Sawyerowi ironiczne spojrzenie.

- To zależy, kto te odciski zdejmuje, Lee — oświadczyła z wyższością. — Niekompetentnego technika łatwo wyprowadzić w pole. Istnieje materiał syntetyczny do złudzenia przypominający ludzką skórę. Odciski palców można kupić na ulicy. Dodaj jedno do drugiego, i ze zdeklarowanego kryminalisty robi się szanowany obywatel.

- A skoro facet był już poszukiwany za inne przestępstwa — wtrącił Barracks — to prawdopodobnie załatwił sobie nową twarz. Założę się, że twarz z kostnicy w niczym nie przypomina tej z listów gończych.

Sawyer spojrzał na Jacksona.

- Jak w ogóle doszło do tego, że Rejs 3223 tankował Riker?
- Jakiś tydzień temu poprosił o przeniesienie na nocną zmianę trwającą od dwudziestej czwartej do siódmej rano. Rejs 3223

145

startował o szóstej czterdzieści pięć, jak każdego dnia. Z wpisu dyspozytora do księgi dyżurów wynika, że samolot był tankowany



o piątej piętnaście, czyli na zmianie Rikera. Mało kto chce pracować w tych godzinach, więc prośbę Rikera załatwiono pozytywnie.

- A co z prawdziwym Robertem Sinclairem? — zapytał Sawyer.
- Prawdopodobnie nie żyje — odezwał się Barracks. — A Riker się pod niego podszył.

Nikt nie miał zastrzeżeń do tej hipotezy, dopóki Sawyer nie zapytał:

— A jeśli Robert Sinclair w ogóle nie istnieje? Z podszywaniem się pod rzeczywistą osobę wiąże się cała masa problemów... — ciągnął Sawyer. — Stare fotografie, koledzy z pracy albo przyjaciele, którzy niespodziewanie się pojawiają i demaskują delikwenta. Można to zrobić w inny sposób. — Sawyer zacisnął usta i uniósł brwi. — Przecucie mi mówi, że trzeba prześledzić cały proces sprawdzania Rikera przez Vector. Zajmij się tym, Ray.

Jackson kiwnął głową i zrobił kilka notatek.

Reid spojrzała na Sidneya.

— Czyżbyś myślał to samo, co ja?

Sawyer uśmiechnął się.

- Nie byłby to pierwszy przypadek stworzenia kogoś z niczego. Numer ubezpieczenia społecznego, przebieg pracy zawodowej, ostatnie miejsca zamieszkania, dokument tożsamości z fotografią, konta bankowe, świadectwa ukończenia rozmaitych kursów, fałszywe numery telefonów, lewe referencje. — Spojrzał na nią i dodał: — Nawet nowe odciski palców.

- A więc mamy do czynienia z bardzo przebiegłymi ludźmi — stwierdziła.

- Od początku ich doceniałem, pani Reid — przytaknął Sawyer.

Przesunął wzrokiem po twarzach obecnych.

- Nie chcę odbiegać od standardowej procedury operacyjnej, będziemy więc nadal prowadzić wywiady z członkami rodzin ofiar, ale wątplię, żeby to coś dało. Kluczem do sprawy jest Lieberman. Czy współpraca z Szybkim Startem dobrze się układa? — zapytał Jacksona, zmieniając nagle temat.

- Idealnie.

Szybkim Startem nazywano w FBI lotne ekipy techniczne i Sawyer już wiele razy korzystał z ich usług. Zadaniem tych ekip było weryfikowanie i klasyfikowanie każdej związanej z daną

146

sprawą informacji, tropu czy anonimowego doniesienia, które inaczej zlałyby się w jeden informacyjny szum. Biuro uważało, że taki sposób prowadzenia śledztwa zapewniający natychmiastowy dostęp do informacji znacznie zwiększa szanse na sukces. Ekipa Szybkiego Startu biorąca udział w dochodzeniu w sprawie Rejsu 3223 zainstalowała się w opuszczonym magazynie tytoniu na peryferiach Standardsville. W miejscu stelaży z suszącymi się liśćmi tytoniu stał tu teraz najnowszej generacji sprzęt komputerowy i telekomunikacyjny obsługiwany przez dziesiątki pracujących na zmiany agentów, którzy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wprowadzali na bieżąco napływające informacje do potężnych baz danych.

— Będą musieli dać z siebie wszystko. A może i to nie wystarczy... — Sawyer zawiesił na chwilę głos, a potem rzucił: — Do roboty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

— Quentin? — Na twarzy Sidney stojącej w drzwiach swojego domu malowało się zaskoczenie.

Quentin Rowe patrzył na nią zza owalnych szkieł okularów.

— Mogę wejść? — zapytał.

Rodzice Sidney wybrali się na zakupy. Za Sidney i Quentinem do living roomu weszła zaspana Amy, wlokąc po podłodze Kubusia Puchatka,

— Cześć, Amy — przywitał ją Rowe. Przyklęknął i wyciągnął do niej rękę, ale dziewczynka cofnęła się. Rowe uśmiechnął się. — Ja też w twoim wieku byłem wstydlivy — powiedział i podniósł wzrok na Sidney. — To chyba dlatego poświęciłem się komputerom. Nie zagadują człowieka i nie próbują go dotykać. — Urwał, tracąc chyba wątek. Po chwili podjął: — Poświęcisz mi trochę czasu, Sidney? Chciałem z tobą porozmawiać.

Sidney zawahała się.

- Proszę, Sidney.

- Poczekaj, położę małą. Wrócę za parę minut. — Wzięła Amy na ręce i wyszła.

Rowe zaczął się przechadzać po pokoju. Oglądał fotografie rodziny Archerów wiszące na ścianach i stojące na blatach stolików. Słyszac wracającą Sidney odwrócił się.

— Śliczną masz córeczkę.

147

- To skarb. Prawdziwy skarb.

- Zwłaszcza teraz, prawda?

Sidney kiwnęła głową.

Rowe nie spuszczał z niej oka.

— Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy miałem czternaście lat.

— Och, Quentinie...

Wzruszył ramionami.

- Stare dzieje. Ale chyba lepiej niż inni rozumiem, co teraz przeżywasz. Byłem wtedy dzieckiem. Zostałem sam na świecie.

- Ja chociaż pod tym względem mam szczęście.

- Właśnie, Sidney. Nie zapominaj o tym.

Westchnęła.

- Napijesz się czegoś?

- Herbaty, jeśli można.

Kilka minut później siedzieli już na sofie. Rowe upił łyżeczek herbaty, odstawił filiżankę na trzymany na kolanie spodeczek i spojrzał na Sidney z wyraźnym zakłopotaniem.

- Po pierwsze, chciałem cię przeprosić.

- Quentin...

Uniósł rękę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale przeholowałem. To, co wygadywałem, jak cię potraktowałem... Zdarza mi się często, że najpierw mówię, a dopiero potem myślę. Nie potrafię współżyć z ludźmi. Wiem, że czasami wychodzę na nieokrzesanego gbura, ale w rzeczywistości wcale taki nie jestem.

- Wiem, Quentinie. Wszyscy z Tritona darzą cię sympatią. Wiem, że Jason też cię lubił. Mnie również o wiele lepiej układa się współpraca z tobą niż z Nathanem Gamble'em.

- Nie jesteś wyjątkiem — odparł Rowe. — A skoro już o tym mowa, to może usprawiedliwi mnie fakt, że ostatnio żyję w wielkim stresie. Gamble wybrzydza na fuzję z CyberComem, a taka okazja może się już nie powtórzyć.

— Sądzę, że Nathan rozumie, o co idzie gra.

Rowe pokiwał w zadumie głową.

- Chciałem ci też powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego męża. Nie mogę się z tym pogodzić. Jason był chyba jedyną w firmie osobą, z którą miałem wspólny język. Dorównywał mi kwalifikacjami zawodowymi, a do tego potrafił współżyć z ludźmi, z czym ja mam kłopoty.

- Moim zdaniem radzisz sobie z tym bardzo dobrze.

148

• Naprawdę? — ożywił się Rowe. — Przy Gamble'u większość ludzi wygląda jak podpieracze ścian na potańcówce.

• Nie powiem, że nie, ale naśladowania go również bym ci nie zalecała.

Rowe odstawił filiżankę na spodek.

• Wiem, że ja i Gamble nie wyglądamy na dobraną parę.

• Jednak odnieśliście obaj sukces.

• Tak, wiem. — W jego głosie pojawiła się gorzka nuta. — Sukces mierzony pieniędzmi. Zaczynałem z całą masą pomysłów. Wspaniałych pomysłów, ale bez kapitału na ich realizację. A potem poznałem Nathana...

• Nie tylko w tym rzecz, Quentinie. Ty masz wizję przyszłości. Rozumiem tę wizję na tyle, na ile może ją rozumieć techniczna neofitka, ale wiem, że właśnie ta wizja każe ci dążyć do fuzji z CyberComem.

Rowe uderzył pięścią w otwartą dłoń.

• Otóż to, Sidney. Otóż to. Stawka jest niewyobrażalnie wysoka. Technologia CyberComu jest tak przełomowa, tak monumentalna, że można ją porównać tylko z nadejściem drugiego Grahama Bella. — Spojrzał na Sidney z ogniem w oku. — Czy zdajesz sobie sprawę, że jedyne, co hamuje wykorzystanie w pełni nieograniczonego potencjału Internetu, to fakt, że sieć ta jest tak ogromna, tak wszechogarniająca, iż skuteczne nawigowanie po niej to często beznadziejna strata czasu nawet dla najbardziej wprawnych użytkowników komputerów?

• I za sprawą CyberComu to się zmieni?

• Tak, oczywiście.

• Muszę przyznać, że chociaż od tylu miesięcy pracuję nad tą transakcją, wciąż nie bardzo rozumiem, co takiego wnosi ze swojej strony CyberCom. Prawnicy, a zwłaszcza tacy prawnicy jak ja, którzy nigdy nie czuli się zbyt mocni w technice, rzadko wglębiają się w takie niuanse.

Rowe, zadowolony, że rozmowa zesłała na zagadnienia techniczne, poprawił się na sofie.

• Mówiąc językiem laika, CyberCom stworzył ni mniej, ni więcej, tylko sztuczną inteligencję, tak zwane inteligentne moduły, które na początek wykorzystywane będą do bezproblemowego nawigowania po labiryntach Internetu i jego następcy.

• Sztuczna inteligencja? Myślałam, że występuje tylko w filmach.

• Ależ skąd. Istnieją rozmaite klasy sztucznej inteligencji. Ta

opracowana przez CyberCom jest jak dotąd najbardziej zaawansowana.

• I jak działa?

• Założmy, że szukasz wszystkich artykułów, jakie napisano na jakiś kontrowersyjny temat, a dodatkowo chcesz mieć streszczenie każdego z tych artykułów, posegregować je na opowiadające się za i przeciw, poznać przyczyny tego podziału, przeanalizować je i tak dalej. Gdybyś próbowała dokonać tego sama, błędząc po nieprzeżytym labiryncie, jakim stał się już Internet, zajęłoby ci to całą wieczność. Jak powiedziałem, przytłaczająca ilość informacji zawartych w Internecie jest obecnie największym hamulcem. Ludzie nie są przez naturę wyposażeni do posługiwania się czymś na taką skalę. Ale jeśli ominąć tę przeszkodę, z miejsca robi się tak, jakby w promieniach słońca ożyła powierzchnia Plutona.

• I CyberCom tego dokonał?

- Mając CyberCom w swojej ovczarni położymy podwaliny pod bezprzewodową satelitarną sieć zintegrowaną bezkolizyjnie z opatentowanym oprogramowaniem, które wkrótce znajdzie się w każdym komputerze pracującym w Ameryce, a z czasem w każdym komputerze na świecie. Z bardziej przyjaznym użytkownikowi oprogramowaniem jeszcze się nie spotkałem. Pyta użytkownika, jakie dokładnie informacje chce uzyskać. Jeśli to konieczne, zada dodatkowe pytania. Potem podłączy się do sieci satelitarnej i przystąpi do badania każdej molekule w konglomeracie komputerów, który nazywamy Internetem, dopóki nie sformułuje precyzyjnej odpowiedzi na każde zadane przez ciebie pytanie... i na wiele innych, związanych z tematem, o których zadaniu nawet nie pomyślałaś. Co najważniejsze, oprogramowanie to jest jak kameleon — w tym sensie, że jego inteligentne moduły potrafią się adaptować i komunikować z każdym istniejącym serwerem sieciowym. To jeszcze jedno ograniczenie Internetu: niezdolność poszczególnych systemów do komunikowania się ze sobą. I zadanie to wykonane zostanie miliard razy szybciej, niż zdołałby je przeprowadzić człowiek. Można to przyrównać do przebadania każdej kropli Nilu w ciągu kilku minut. Nawet szybciej. Nareszcie ogromne zasoby wiedzy, które istnieją gdzieś tam w rozproszeniu i rosną wykładniczo z każdym mijającym dniem, będzie można połączyć w jedną spójną całość i wykorzystać skutecznie dla dobra ludzkości. — Spojrzał na nią przenikliwie. — A na tym nie koniec. Samo sprzężenie sieci z Internetem

150

to tylko niewielki element całej układanki. Do niebywałego poziomu wzrasta również standard bezpieczeństwa danych. Wyobraź sobie aktywne reakcje na próby nielegalnego rozszyfrowywania transmisji elektronicznych. Reakcje, które nie tylko potrafią się dostrajać do okoliczności i odpierać wielokrotnie ponawiane ataki hackerów, ale również tropić agresywnie intruza i namierzyć go. Nie sądzisz, że gainteresowałoby to agencje organów ścigania? To kolejny kamień milowy w rewolucji technologicznej. Narzucony zostanie sposób, w jaki w następnym stuleciu będą transmitowane i wykorzystywane dane. Sposób, w jaki będziemy budować, uczyć się i myśleć. Widzę komputery, które nie są już głupimi maszynami reagującymi na precyzyjne instrukcje wprowadzane z klawiatury przez człowieka. Widzę komputery, które wykorzystując swoje ogromne możliwości intelektualne potrafią myśleć samodzielnie i rozwiązywać za nas nasze problemy w niewyobrażalny dzisiaj sposób. Tyle rzeczy odejdzie do lamusa... włącznie z istniejącymi obecnie liniami produkcyjnymi Tritona. Wszystko się zmieni. Podobnie jak w czasach, kiedy silnik spalinowy zakończył erę konnych zaprzęgów, ale o wiele gruntowniej.

- Boże! — wykrztusiła Sidney. — I domyślam się, że potencjalne zyski...
  - Tak, tak, zarobimy miliardy na sprzedaży oprogramowania, na opłatach sieciowych. Każda firma na świecie będzie się chciała do nas podłączyć. A to dopiero początek. Ale Gamble wciąż tego nie dostrzega, nie jest w stanie tego ogarnąć... — Podniecony zerwał się z sofy, gestykulując rękami. Opanował się szybko i usiadł z powrotem. Twarz mu pałała. — Przepraszam... przepraszam, czasem mnie ponosi.
  - W porządku, Quentin, rozumiem. Jason miał podobnie emocjonalny stosunek do fuzji z CyberComem.
  - Wiele razy o niej dyskutowaliśmy.
  - Gamble zdaje sobie doskonale sprawę z konsekwencji wchłonięcia CyberComu przez inną firmę. Na pewno pokieruje się rozsądkiem.
- Rowe kiwnął głową.  
— Można mieć tylko nadzieję — wyrzucił z siebie i zamilkł.

Sidney spojrzała na diamentowe groszki w płatkach jego uszu. Stanowiły chyba jedyną ekstrawagancję tego człowieka. Jego majątek szacowano na kilkaset milionów dolarów, ale nadal żył jak ubogi student college'u, którym był przed dziesięciu laty.

— Często rozmawialiśmy z Jasonem o przyszłości — odezwał

się znowu. — Był bardzo szczególnym człowiekiem. — Każde wspomnienie imienia Jasona zdawało się napełniać go żalobą. — O ile się nie mylę, nie będziesz się dalej zajmowała sprawą CyberComu?

— Prawnik, który mnie zastąpi, zalicza się do najlepszych.

Nie wypadniecie z rytmu.

— Doskonale — powiedział Quentin bez przekonania.

Sidney wstała.

• Ta transakcja dojdzie do skutku, Quentinie — zapewniła go. Zauważyła, że opróżnił już filiżankę. — Dolać ci herbaty?

• Słucham? Nie, nie, dziękuję. — Pogrążył się znowu w myślach, zacierając nerwowo szczupłe dłonie. Przechwyciwszy jego spojrzenie, Sidney domyśliła się od razu, co mu chodzi po głowie.

• Miałam niedawno zaimprovizowane spotkanie z Nathaniem — powiedziała.

Rowe kiwnął powoli głową.

• Coś mi wspominał.

• A więc wiesz o „wyprawie” Jasona?

• O tym, że powiedział ci, że leci na rozmowy wstępne w sprawie nowej pracy?

• Tak.

• W jakiej firmie? — Pytanie to zadane zostało jakby od niechcenia.

Po chwili wahania Sidney zdecydowała się odpowiedzieć.

— AllegraPort Technology.

Rowe prychnął.

— Ode mnie dowiedziałabyś się od razu, że to lipa. AllegraPort najdalej za dwa lata wypada z interesu. Jakiś czas temu byli na czele, ale spoczęli na laurach. W tej branży albo idziesz z duchem czasu, albo leżysz. Zatrudnienia się u nich Jason nigdy nie rozważałby poważnie.

— I jak się okazało, nie rozważał. Nigdy tam o nim nie słyszeli.

Nie ulegało wątpliwości, że nie jest to dla Rowe'a nowina.

• Czy w grę mogło wchodzić coś innego... Nie bardzo wiem, jak to ująć...

• Osobistego? Inna kobieta?

• Nie powinienem z tym wyjeżdżać — wymamrotał Rowe tonem zawstydzonego dziecka. — Nie moja sprawa.

• Nie, wszystko w porządku. Nie będę ukrywała, że mnie też przyszło to do głowy. Z tym że ostatnio układało się między nami jak nigdy dotąd.

## 152

— Więc nie dał ci do zrozumienia, że w jego życiu coś się dzieje? Coś, co mogło go skłonić do... do wybrania się w tę podróż do L.A.?

W Sidney obudziła się czujność. Czyżby to była ekspedycja rozpoznawcza? Czyżby Gamble przysłał tu swojego zastępcę w celu wyciągnięcia z niej informacji? Widząc zakłopotaną minę Rowe'a doszła do wniosku, że jednak przyszedł tu z własnej inicjatywy, żeby dowiedzieć się, co się właściwie stało z jego pracownikiem i przyjacielem.

• Nie — odpowiedziała. — Jason nigdy nie rozmawiał ze mną o swojej pracy. Nie mam nawet pojęcia, czym się zajmował. A szkoda. — Zastanawiała się, czy powiedzieć Rowe'emu o no-

wych zamkach w drzwiach biurowego pokoju Jasona i innych spostrzeżeniach Kay, ale w końcu uznała, że tego nie zrobi.

- Mam w samochodzie osobiste rzeczy Jasona, te, po które przyszedł do biura — odezwał się Rowe przerywając niezręczne milczenie. — Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli sam ci je przywiozę i przeproszę.

- Dziękuję, Quentinie. Nie mam do ciebie żalu, wierz mi. To trudny okres dla nas wszystkich.

Rowe podziękował jej uśmiechem i wstał.

— Muszę już lecieć. Pójdę po to pudło. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Wniósłszy rzeczy Jasona, Rowe pożegnał się i skierował do drzwi. Sidney dotknęła jego ramienia.

— Nathan Gamble nie będzie ci wечно zaglądał przez ramię — powiedziała. — Wszyscy wiedzą, Jcto naprawdę jest autorem sukcesu Triton Global.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Naprawdę tak myślisz?

- Trudno nie rozpoznać geniusza.

Westchnął.

- Sam nie wiem. Gamble wciąż mnie zadziwia.

Odwrócił się i ruszył wolnym krokiem do samochodu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dochodziła północ, kiedy Lee Sawyer, zjadłszy przygotowaną naprędce kolację, przyłożył wreszcie głowę do poduszki. Jednak powieki, choć ciężkie ze zmęczenia, nie chciały opaść. Rozglądał

153

się przez jakiś czas po swoim małym mieszkanku i w końcu wstał. Boso, w samych bokserkach i podkoszulku, poczłapał korytarzykiem do living roomu i klapnął ciężko na sfatygowany fotel. Praca agenta FBI rzadko pozwala na ułożenie sobie stabilnego życia prywatnego. Zbyt wiele opuszczonych rocznic, świąt, urodzin. Wielomiesięczne nieobecności w domu bez widoków, że to się kiedyś skończy. Podczas pełnienia obowiązków służbowych odniósł ciężką ranę, a jego rodzina odbierała pogrożki od ludzkich chwastów, których pleniению poświęcił życie. I wszystko to w imię sprawiedliwości. Szlachetny cel, który jednak nie brzmiał wcale tak wzniosie, kiedy próbowało się wyjaśnić przez telefon ośmioletniemu dziecku, dlaczego tatuś znowu nie będzie na meczu baseballowym, na recitalu albo na szkolnym przedstawieniu. Kochali się bardzo z Peg i myśleli, że dadzą sobie z tym radę, i przez dłuższy czas dawali — ale nie do końca.

Dzieci właśnie jego obarczyły odpowiedzialnością za rozpad małżeństwa i chyba słusznie. Dopiero teraz trójka najstarszych zaczynała z nim rozmawiać. Meggie zupełnie się od niego odwróciła. Nie wiedział, co się dzieje w jej życiu, i to najbardziej go bolało.

Każdy musi dokonywać wyborów i on swojego dokonał. Był cenionym pracownikiem Biura, jednak ten sukces miał swoją cenę.

Przeszedł do kuchni, wyciągnął z lodówki zimne piwo i wrócił z nim na fotel. Jego codzienny napój nasenny. Dobrze, że nie upodobał sobie mocniejszych trunków. Wypił piwo paroma haustami, opadł na oparcie fotela i przymknął oczy.

Po godzinie z głębokiego snu wyrwał go dzwonek telefonu. Siedział nadal w fotelu. Sięgnął po słuchawkę stojącego na stolczku aparatu.

- Tak?
- Lee?

Sawyer zamrugał i otworzył oczy.

— Frank? — Spojrzał na zegarek. — Przecież nie pracujesz już w Biurze, Frank. Myślałem, że w sektorze prywatnym macie bardziej uregulowane godziny pracy.

Frank Hardy uśmiechnął się. Siedział kompletnie ubrany w gustownie urządzonej gabinecie. Ścianę za nim zdobiły liczne pamiątki z jego długoletniej i wzorowej kariery w FBI.

- Za dużo tu konkurencji, Lee. Dwudziestoczwierogodzinna doba to za mało.
- Mnie tam wystarcza. O co chodzi?

154

— O twój rozbity samolot — odparł Hardy.

Sawyer usiadł prosto, całkowicie już rozbudzony. Wbił wzrok w ciemność.

- Co takiego...?
- Mam tu coś, co musisz obejrzeć, Lee. Nie do końca jeszcze wiem, co to wszystko znaczy. Parzę sobie właśnie kawę. Za ile możesz tu być?
- Za trzydzieści minut.
- Jak za starych, dobrych czasów.

Pięć minut później Sawyer był już ubrany. Wsunął do kabury 10-milimetrowy pistolet i zbiegł po schodach do swojego sedana. W drodze na umówione spotkanie powiadomił centralę o nowym zwrocie w śledztwie. Frank Hardy był najlepszym agentem, jakiego kiedykolwiek zatrudniało Biuro. Kiedy odszedł, żeby założyć własną firmę ochroniarską, wszystkim go brakowało, ale przyznawali, że Frankowi po tylu latach służby też coś się od życia należy. Przez ostatnie dziesięć lat pracy w FBI Hardy był partnerem Sawyera. Tworzyli zgrany duet, rozwiązali wiele trudnych spraw i postawili przed obliczem sprawiedliwości niejednego zatwardziałego przestępcę. Wielu z nich odsiadywało teraz wyroki dożywotniego więzienia bez prawa do przedterminowego zwolnienia w federalnych zakładach karnych o zaostrzonym rygorze. Sporą grupkę przestępców, w tym kilku seryjnych morderców, stracono.

Skoro Hardy twierdził, że ma coś w sprawie zamachu na samolot, to z pewnością tak było. Sawyer przyspieszył i po dziesięciu minutach skręcał już na rozległy parking przed czternastokondygnacyjnym budynkiem w Tyson Corner, w którym miały swoje siedziby liczne firmy, w tym także agencja Hardy'ego.

Pokazał strażnikowi swoją legitymację FBI i wjechał windą na ostatnie piętro. Wysiadłszy z kabiny, znalazł się w nowoczesnej, dyskretnie oświetlonej recepcji. Białe, piętnastocentymetrowej wysokości litery na ścianie za biurkiem recepcjonisty układały się w nazwę SECURTECH.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Sidney Archer obserwowała śpiącą spokojnie córeczkę. Rodzice pochrapywali w gościnnej sypialni obok, a ona siedziała w bujnym fotelu w pokoju Amy. W końcu wstała i podeszła do okna.

Nigdy nie należała do nocnych sów. Wyczerpująca praca sprawiała, że już wczesnym wieczorem padała z nóg. Teraz ciemności przynosiły jej ukojenie, niczym kaskada ciepłej wody. Wypadki ostatnich dni wydawały się jakby mniej realne, mniej przygnębiające. Ale wraz z brzaskiem uspokajająca cisza nocy znowu pierzchnie. Jutro nabożeństwo żałobne w intencji Jasona. Trzeba będzie wysłuchiwać ludzi przychodzących z kondolencjami. Sid-

ney nie miała pewności, czy to wytrzyma, ale tym martwić się będzie dopiero za kilka godzin.

Pocałowała Amy w policzek, wyszła cicho z sypialni i ruszyła korytarzem w kierunku małego gabinetu Jasona. Sięgnęła ponad framugę i namacała szpilkę do włosów. Wsunęła ją w dziurkę od klucza. Dwuletnia Amy Archer potrafiła dobrać się do wszystkiego: do kosmetyków, rajstop, biżuterii, krawatów Jasona, butów, portfeli i torebek. Pewnego razu dowód rejestracyjny samochodu Jasona oraz klucze do domu, których bezskutecznie szukali, znalazły się w świeżo rozrobionym cieście na naleśniki. Obracanie gałek u drzwi nie przysparzało małej Archerównie najmniejszych trudności i dlatego większość drzwi pozamykana była na klucz, a nad ich framugami leżały odpowiednio wygięte szpilki do włosów albo spinacze do papieru.

Sidney weszła do środka i usiadła za biurkiem. Patrzył na nią milcząco ciemny, płaski ekran komputerowego monitora. Podświadomie oczekiwała, że lada moment wyświetli się na nim kolejna wiadomość nadesłana pocztą elektroniczną, ale nic takiego nie nastąpiło. Rozejrzała się po małym pokoiku. Było to wyłączne królestwo Jasona, ale wciąż ją tu coś przyciągało. Zaczęła dotykać należących do męża przedmiotów, jakby spodziewała się, że odsłonią przed nią sekrety, które Jason zabrał ze sobą do grobu. Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Kiedy odezwał się ponownie, podniosła słuchawkę. Przez chwilę nie rozpoznawała głosu.

- Paul...?
- Przepraszam, że dzwonię tak późno. Od kilku dni próbuję cię złapać. Zostawiłem wiadomość.
- Wiem, Paul, ale tyle miałam...
- Jezus, Sid, nie powiedziałem tego z pretensją. Po prostu martwiłem się o ciebie. Dowiedzieć się takich rzeczy o Jasonie... nie wiem, jak ty to wszystko znosisz. Jesteś silniejsza ode mnie. Uśmiechnęła się blade.
- W tej chwili wcale nie czuję się silna.

156

- Wielu ludzi z Tylera & Stone'a gotowych jest na każde twoje skinienie — ciągnął. — A w szczególności pewien facet z Nowego Jorku, osiągalny o każdej porze dnia i nocy.
- To wzruszające, dziękuję.
- Przylatuję jutro, żeby wziąć udział w nabożeństwie żałobnym.
- Nie musisz, Paul. Jesteś pewnie zapracowany.
- Niespecjalnie. Może tego nie wiesz, ale starałem się przejąć ster w sprawie tej fuzji z CyberComem...
- Naprawdę? — Sidney z trudem udało się zapanować nad głosem.
- Tak, ale nic z tego nie wyszło. Wharton dosyć obcesowo odrzucił moją ofertę.
- Przykro mi, Paul — powiedziała Sidney z lekkim poczuciem winy. — Ale na tej transakcji świat się nie kończy.
- Wiem, tylko że ja naprawdę czułem, że sobie poradzę. Naprawdę... — urwał. Sidney modliła się w duchu, żeby nie zapytał, czy Wharton zasięgał jej opinii w tej sprawie. Jej poczucie winy jeszcze się wzmogło, kiedy Paul znowu się odezwał: — Będę jutro, Sid. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby mnie tam nie być.
- Dziękuję. — Sidney owinęła się ciałniej szlafrokiem.
- Nie masz nic przeciwko temu, żebym prosto z lotniska przyjechał do ciebie?
- Oczywiście, że nie.
- Prześpij się trochę, Sid. Będę u ciebie z samego rana. Gdybyś czegoś potrzebowała, natychmiast do mnie dzwoń, bez



względu na porę, dobrze?

- Dziękuję, Paul. Dobranoc. — Odłożyła słuchawkę. Lubiła Paula Brophy'ego, chociaż miała świadomość, że pod jego gładką powierzchownością kryje się oportunistą. Powiedziała Henry'emu Whartonowi, że Paul nie nadaje się do prowadzenia negocjacji w sprawie wchłonięcia CyberComu, a teraz Paul przyjeżdża, żeby być przy niej w czasie żałoby. Cóż, żałoba żałobą, ale ona nie wierzyła w aż takie zbiegi okoliczności. Ciekawe, co tak naprawdę go tu sprowadza.

Paul Brophy odłożył słuchawkę i powiódł wzrokiem po przestronnych wnętrzach swojego luksusowego apartamentu. Dla trzydziestoczwolletniego przystojnego kawalera z sześciocyfrowym rocznym dochodem Nowy Jork to wspaniałe miasto. Uśmiechnął się i przeczesał palcami gęste włosy. Te sześć cyfr przy odrobinie szczęścia zmieni się wkrótce w siedem. W życiu wiele zależy od

157

tęgo, z kim się człowiek sprzymierzy. Podniósł znowu słuchawkę i wystukał numer. Telefon odebrano po pierwszym dzwonku. Brophy przedstawił się.

— Czołem, Paul — powiedział Philip Goldman. — Liczyłem na to, że się dzisiaj odezwiesz.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Frank Hardy wsunął kasetę w kieszeń magnetowidu stojącego pod telewizorem w kącie salki konferencyjnej. Dochodziła druga nad ranem. Lee Sawyer siedział w jednym z obitych pluszem foteli i trzymając w dłoniach filiżankę gorącej kawy rozglądał się dokoła z podziwem.

— Cholera, nieźle ci musi iść ten interes, Frank. Wciąż zapominam, jaki masz fart w życiu.

Hardy roześmiał się.

- Gdybyś przyjął moją ofertę i zatrudnił się u mnie, Lee, nie musiałbym ci o tym przypominać.

- Przywykłem do swojej roboty, Frank.

- Planujemy z Renee spędzić święta Bożego Narodzenia na Karaibach. Jedź z nami. Mógłbyś nawet kogoś ze sobą zabrać. — Hardy spojrzał wyczekująco na byłego partnera.

- Niestety, Frank, w tej chwili nie mam nikogo takiego.

- To już dwa lata. Wydawało mi się... Kiedy Sally ode mnie odeszła, chciałem umrzeć. Ogarniało mnie zniechęcenie, kiedy pomyślałem, że znowu będę musiał przechodzić przez etap randek. A potem poznałem Renee. Jestem teraz szczęśliwy jak nigdy przedtem.

- Trudno się dziwić, że uważasz się za szczęśliwego człowieka. Renee mogłaby uchodzić za bliźniaczkę Michelle Pfeiffer.

Hardy roześmiał się.

— Zastanów się jeszcze. Renee ma przyjaciółki, które wcale nie ustępują jej prezencją. A kobiety szaleją na punkcie takich wysokich, silnych typów jak ty.

Sawyer odchrząknął.

— Być może, ale ja nie mam w banku tylu zielonych co ty, więc moja atrakcyjność maleje z roku na rok. Poza tym wciąż pracuję na rządowej posadzie. Stać mnie najwyżej na klasę turystyczną, a nie sądzę, żebyś ty nią jeszcze podróżował.

158

Hardy usiadł i sięgnął jedną ręką po filiżankę kawy, a drugą po pilota od magnetowidu.

- Zamierzałem pokryć za ciebie rachunek — powiedział cicho. — Nazwijmy to prezentem gwiazdkowym. Ale tobie trudno dogodzić.
- Dzięki, jednak w tym roku planuję spędzić trochę czasu z dziećmi. Jeśli jeszcze będą mnie chciały.
- Frank pokiwał głową.
- Rozumiem.
- No, co tam dla mnie masz?
- Od kilku lat moja firma jest konsultantem Triton Global w zakresie systemów ochrony... — zaczął Frank.
- Sawyer sięgnął po filiżankę.
- Triton Global? Komputery, telekomunikacja. Są na liście 500-set „Fortune”, tak?
- Nie. Ze względów technicznych nie kwalifikują się do umieszczenia na tej liście.
- A to czemu?
- , Bo to nie jest firma publiczna. Dominują w swojej branży, rozwijają się jak diabli, i dają sobie radę bez kapitału z rynków publicznych.
- Godne podziwu, ale jak to się ma do samolotu, który w Wirginii zarył nosem w pole?
- Kilka miesięcy temu ludzie z Tritona zaczęli podejrzewać, że pewne tajne informacje przeciekają do konkurencji. Zwrócili się do nas, żebyśmy zweryfikowali te podejrzania i jeśli okażą się uzasadnione, wykryli źródło przecieku.
- I wykryliście?
- Hardy kiwnął głową.
- Najpierw zawęziliśmy listę wszystkich konkurencyjnych firm do tych, które najprawdopodobniej mogły maczać palce w tego rodzaju spisku. A potem podjęliśmy ich systematyczną obserwację.
- Gigantyczne przedsięwzięcie. Wielkie firmy, tysiące zatrudnionych, setki biur...
- Na pozór rzeczywiście wyglądało to zniechęcająco. Jednak informacje, jakimi dysponowaliśmy, sugerowały, że przeciek nastąpił gdzieś na samej górze, wzięliśmy więc pod lupę samą kadrę kierowniczą Tritona, i to kadrę wysokiego szczebla.
- Lee Sawyer usadowił się wygodniej w fotelu i upił łyżeczek kawy.
- Potem wytypowaliście pewne „nieoficjalne” miejsca,

159

w których mogła nastąpić wymiana, i zainstalowaliście tam swój szpiclowski sprzęt?

Hardy uśmiechnął się.

- Naprawdę nie chcesz u nas pracować?
- Sawyer zbył to wzruszeniem ramion.
- I co dalej? — zapytał.
- Jak powiedziałeś, wytypowaliśmy pewną liczbę takich „nieoficjalnych” miejsc. Były to przede wszystkim nieruchomości należące do naszych podejrzanych firm, nie mające dla nich żadnego praktycznego zastosowania. Każde z tych miejsc wzięliśmy pod dyskretną obserwację. — Hardy uśmiechnął się sarkastycznie. — Tylko mi tu nie mów, że do tego potrzebny jest nakaz prokuratorski, ani nie cytuj stosownych aktów prawnych, Lee. Czasem cel uświęca środki.
- Nie będę się z tobą spierał w tej kwestii. Szkoda tylko, że my nie możemy chodzić czasem na takie skróty. Patrzy nam na ręce zbyt wielu prawników, gardlujących o „niezgodności z konstytucją”.
- Tak czy inaczej, przed dwoma dniami dokonaliśmy rutynowego przeglądu zapisu z kamery zainstalowanej w pewnej hali magazynowej pod Seattle...

- Co wam kazało zainstalować ją akurat w tym magazynie?
- Z naszych informacji wynikało, że właścicielem tej hali jest poprzez cały łańcuszek kooperantów i podległych firm Grupa RTG. To jeden z największych na świecie konkurentów Tritona.
- Czego dotyczyły informacje, których wyciek podejrzewał Triton? Technologii?
- Nie. Triton prowadzi od jakiegoś czasu negocjacje w sprawie wchłonięcia pewnej bardzo cennej firmy softwarowej o nazwie CyberCom. Sądzymy, że do RTG przeciekały informacje z przebiegu tych właśnie negocjacji. Grupa RTG, znając warunki Tritona i stan negocjacji, mogłaby to wykorzystać, złożyć korzystniejszą ofertę i sama wykupić CyberCom. Bazując na materiale wideo, który za chwilę obejrzysz, przycisnęliśmy ich trochę. Naturalnie wszystkiemu zaprzeczyli. Twierdzą, że magazyn przez ostatni rok wynajmowała od nich jakaś nie związana z nimi firma. Sprawdziliśmy tę firmę... nie istnieje. A to oznacza, że albo RTG kłamie, albo w grze uczestniczy jeszcze jeden zawodnik.

Sawyer pokiwał głową.

— Rozumiem. Powiedz mi teraz, jaki to ma związek z prowadzoną przeze mnie sprawą.

160

Zamiast odpowiedzieć, Hardy wduśił przycisk z klawiatury pilota. Ekran telewizora ożył. Hardy i Sawyer śledzili w milczeniu magnetowidowy zapis sceny rozgrywającej się w małym pomieszczeniu. Kiedy młody wysoki mężczyzna odbierał srebrny neser od starszego gentlemana, Hardy zatrzymał taśmę na stop-klatce. Zerknąwszy na zaintrygowanego Sawyera, wyciągnął z kieszonki koszuli laserowy wskaźnik i skierował jego promień na młodego mężczyznę.

- Ten człowiek jest pracownikiem Triton Global. Nie figurował na naszej liście obserwowanych, bo nie należał do kadry kierowniczej wysokiego szczebla i nie był bezpośrednio zaangażowany w negocjacje w sprawie fuzji.

- Mimo to najwyraźniej on jest źródłem waszego przecieku. Rozpoznaliście tu jeszcze kogoś?

Hardy pokręcił głową.

— Jeszcze nie. A tak nawiasem mówiąc, człowiek ten nazywa się Jason Archer i mieszka przy Morgan Lane sześćset jedenaście, okręg Jefferson, stan Wirginia. Mówi ci to coś?

Sawyer ściągnął brwi. Nazwisko wydawało mu się znajome. Nagle przypomniał sobie.

— Jezu Chryste! — Wlepiając wytrzeszczone oczy w ekran, uniósł się w fotelu. Widział przecież to nazwisko na liście pasażerów, którą przestudiował setki razy. U dołu ekranu widniała data i godzina zapisu: 17 LISTOPADA 1995, 11.15 PST, standardowego czasu pacyficznego. Sawyer dokonał szybkiego przeliczenia. Siedem godzin po katastrofie samolotu ten facet spacerował sobie jak najbardziej żywy po Seattle... — Jezus, Maria, Józefie święty! — wykrzyknął.

Hardy pokiwał głową.

— No właśnie — mruknął. — Jason Archer figurował na liście pasażerów Rejsu 3223, ale najwyraźniej nie poleciał tym samolotem.

Puścił taśmę dalej. Kiedy rozległ się zarejestrowany na ścieżce dźwiękowej ryk samolotu, Sawyer wzdrygnął się i spojrzął w okno. Przysiągłby, że maszyna leci wprost na nich. Przeniósł wzrok na uśmiechniętego przyjaciela.

— Tak samo zareagowałem, kiedy pierwszy raz tego słuchałem — powiedział Hardy.

Mężczyźni z ekranu wpatrywali się w sufit, dopóki huk przelatującej maszyny nie ścichł w oddali. Sawyer przymrużył oczy.

Coś przyciągnęło jego wzrok, ale nie bardzo wiedział co.

161

Hardy przyglądał mu się z napięciem.

— Widzisz coś?

Po chwili zastanowienia Sawyer pokręcił głową.

• No dobrze, ale co Archer robił w Seattle po katastrofie w Wirginii, zamiast siedzieć w tym czasie w samolocie lecącym do L.A.? — zapytał. — Był tam służbowo?

• Triton nic nie wiedział o wyprawie Archera do L.A., a tym bardziej do Seattle. Myśleli, że wziął urlop, żeby spędzić parę dni z rodziną.

Sawyer przymrużył oczy.

• Podsuń mi jakiś punkt zaczepienia, Frank.

• Archer ma żonę i małą córeczkę — pośpieszył z pomocą Hardy. — Jego żona, Sidney, jest prawnikiem i pracuje w kancelarii Tyler and Stone, głównego doradcy prawnego Tritona. Prowadzi z ramienia tej kancelarii wiele interesów Tritona, w tym również sprawę fuzji z CyberComem.

• To bardzo interesujące. I być może wygodne dla niej i dla jej męża...

• Muszę przyznać, że mnie też z miejsca przyszło to do głowy, Lee.

• Skoro Archer dotarł do Seattle o dziesiątej trzydzieści rano czasu pacyficznego, to z Waszyngtonu musiał wylecieć o świcie.

• Western Airlines mają jeden taki samolot, startujący niemal równocześnie z tym do L.A.

Sawyer wstał i podszedł do telewizora. Cofnął taśmę i zatrzymał ją na stop-klatce. Przestudiował każdy szczegół twarzy Jasona Archera, starając się wryć ją sobie w pamięć. Odwrócił się do Hardy'ego.

— Wiemy, że Archer figurował na liście pasażerów Rejsu 3223, ale jak mówisz, jego pracodawca nic nie wiedział o tej wyprawie. Skąd się dowiedzieli, że leciał tym samolotem? To znaczy rzekomo leciał? — poprawił się Sawyer.

Hardy dołał sobie kawy, wstał i podszedł do okna.

— Linie lotnicze ustaliły, że jego żona była w tym czasie na naradzie w Nowym Jorku i zadzwonili do niej, żeby przekazać tragiczną wiadomość. W naradzie uczestniczyła grupa przedstawicieli Tritona z prezesem na czele, i w ten sposób się dowiedzieli. Teraz wiedzą już wszyscy. Ale tę kasetę, poza tobą i mną, widziały tylko dwie osoby: Nathan Gamble, prezes zarządu Tritona, i Quentin Rowe, jego zastępca.

Sawyer potarł zeszywniały kark, nalał sobie drugą filiżankę kawy i pociągnął długi łyk.

162

• Western Airlines potwierdziły, że Jason zgłosił się do ich stanowiska biletowego i odebrał kartę wejściową. W przeciwnym przypadku nie powiadomiałiby rodziny o rozbiciu samolotu.

• Wiesz tak samo dobrze jak ja, że mógł to za niego zrobić ktoś inny, przedstawiając fałszywe dokumenty. Za bilety zapłacono prawdopodobnie już wcześniej, więc musiał tylko nadać torbę na bagaż i przejść przez kontrolę lotniskową. Nawet przy obecnych zaostrzonych przepisach bezpieczeństwa Federalnej Agencji Transportu Lotniczego, wsiadając do samolotu nie musisz okazywać dokumentu tożsamości ze zdjęciem. Takim dokumentem trzeba się tylko wylegitymować przy pobieraniu wejściówki albo na specjalne żądanie pracownika służb ochrony lotniska.

• Ale ktoś wsiadł do tego samolotu zamiast Archera. Linie lotnicze mają jego wejściówkę... a jak już się raz wsiądzie, to kłamka zapada.

• To musiał być bardzo głupi albo bardzo pechowy sukinsyn.

Prawdopodobnie jedno i drugie.

- Zgoda, ale skoro Archer wsiadł do maszyny lecącej do Seattle, to znaczy, że musiał mieć drugi bilet.
- Mógł odebrać dwie wejściówki, po jednej na każdy rejs. Pobierając wejściówkę na samolot do Seattle mógł podać inne nazwisko i okazać fałszywy dokument tożsamości.
- To prawda. — Sawyer rozważał przez chwilę możliwy przebieg wypadków. — Albo zamienił się po prostu biletami z facetem, który zajął jego miejsce.
- Obojętne, jak to się odbyło, z pewnością masz teraz co robić. Sawyer obracał w palcach filiżankę.
- Czy ktoś rozmawiał już z jego żoną? Hardy otworzył kartonową teczkę, którą ze sobą przyniósł.
- Dwie krótkie rozmowy przeprowadził z nią Nathan Gamble. Rozmawiał z nią również Quentin Rowe.
- I co mówiła?
- Początkowo twierdziła, że nie wiedziała, że mąż leciał tym samolotem.
- Początkowo...? To znaczy, że potem zmieniła front? Hardy kiwnął głową.
- Potem wyznała Nathanowi Gamble'emu, że mąż ją okłamał. Powiedział jej podobno, że leci do L.A. w sprawie podjęcia pracy w innej firmie, ale jak się okazuje, nie był umówiony na rozmowy w żadnej firmie.
- Kto tak mówi?

163

- Sidney Archer. Jak przypuszczam, zadzwoniła do tej firmy, prawdopodobnie z informacją, że mąż nie stawi się na spotkanie.
- Sprawdziłeś to? — spytał Sawyer. Hardy skinął głową. — Czy dochodzenie już coś wykazało? Hardy skrzywił się.
- Jak dotąd niewiele. Nathan Gamble wychodzi z siebie. Płaci i żąda wyników. Sam jednak wiesz, że to musi potrwać. Z tym, że... — urwał i wbił wzrok w puszysty dywan. — W każdym razie, przynajmniej według Gamble'a i Rowe'a, pani Archer uważa męża za zmarłego.
- Jeśli można jej wierzyć... W tej chwili wszystko to sprowadza się dla mnie do jednego wielkiego Jeśli" — powiedział Sawyer pobudzonym głosem.
- Hardy spojrział na niego pytająco.
- Sawyer przechwycił to spojrzenie i przygarbił się.
- Między nami mówiąc, Frank, jestem trochę skołowany.
- Dlaczego?
- Miałem już pewność, że celem był Arthur Lieberman. Na tym założeniu zbudowałem cały plan śledztwa, resztę tropów sprawdzając tylko pobieżnie, dla formalności.
- Dochodzenie dopiero się zaczyna, Lee. Wszystko da się jeszcze odkręcić. Zresztą niewykluczone, że w pewnym sensie celem rzeczywiście był Lieberman.
- Sawyer spojrział na niego ze zdziwieniem.
- Jak to?
- Zastanów się. Sam już sobie na to odpowiedziałeś.
- Sawyer zrozumiał nagle, co ma na myśli Hardy.
- Znaczą twoim zdaniem ten Archer zaaranżował zamach na samolot, żebyśmy sobie pomyśleli, że celem był Lieberman? Daj spokój, Frank, to cholernie naciągane.
- Gdyby nie ten zapis wideo, tak właśnie byś dalej myślał, prawda? — odparował Hardy. — Weź pod uwagę, że z katastrofami lotniczymi, zwłaszcza takimi jak ta, kiedy samolot uderza w ziemię praktycznie w jednym kawałku, wiąże się pewna charakterystyczna okoliczność.

Sawyer pobladł.

- Tak, wiem. Brak ciał. Brak czegokolwiek, co umożliwiłoby identyfikację.
- Właśnie. Gdyby samolot rozerwała w powietrzu zwyczajna bomba, miałbyś mnóstwo ciał, z których identyfikacją nie byłoby większych problemów.

164

- To właśnie nie daje mi spokoju — mruknął Sawyer. — Gdyby Archer rzeczywiście dał się podkupić, gdyby zainkasował swoją dolę i zamierzał nawiać, to przecież musiał sobie zdawać sprawę, że policja wcześniej czy później zacznie go szukać.
- Żeby więc zatrzeć za sobą ślad — podchwycił Hardy — udaje, że wsiada do samolotu, który rozbija się wkrótce po starcie. W razie wykrycia dowodów wskazujących na sabotaż dochodzicie do logicznego wniosku, że celem był Lieberman. A jeśli nie znajdziecie dowodów sabotażu, to i tak nie będziecie przecież ścigali nieboszczyka. Wszyscy przestają szukać Jasona Archera. Sprawa zamknięta.
- Jezu, Frank, przecież wystarczyłoby wziąć forszę i dać nogę. Zniknąć nie jest wcale tak trudno. I jeszcze jedno. Facet, o którym wiemy, że dokonał tego sabotażu, skończył podziurawiony kulami.
- Czy czas zgonu nie wyklucza możliwości, że Archer zdążył wrócić i że to on go zabił? — spytał Hardy.
- Nie mamy jeszcze wyników autopsji, ale sądząc po stanie zwłok Archer miałby czas wrócić na Wschodnie Wybrzeże, żeby to zrobić.

Hardy zamyślił się.

— No, Frank, ile według ciebie Archer mógł dostać za swoje informacje? — zapytał Sawyer. — Wystarczyłoby tego na zakupienie paliwowego, który dokonał sabotażu, a potem na wynajęcie płatnego mordercy, żeby go zlikwidował? Twierdzisz, że facet, który jeszcze przed kilkoma dniami wiódł ze swoją rodziną przykładne życie, zmienia się nagle w przebiegłego zbrodniarza i strąca z nieba samolot pełen dzieci i staruszków?

Frank Hardy zacisnął usta i spojrzał na przyjaciela.

— Nie wysadził tego samolotu osobiście, Lee. A poza tym, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, codzienne życie najgorszych zwyrodnialców, jakich udało nam się przyskrzynić, wyglądało bardzo niewinnie. Sawyer nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- No więc ile?
- Lekko licząc, mógł zainkasować kilka milionów.
- Niby sporo, ale czy sądzisz, że człowiek może zgładzić za takie pieniądze dwieście osób tylko dlatego, że chce zatrzeć za sobą ślad? Ja w to nie wierzę!
- Jest w tym wszystkim coś jeszcze. Coś, co skłania mnie do sądu, że wbrew pozorom Jason Archer był jednak swego rodzaju geniuszem zbrodni, ewentualnie pracował dla jakiejś przestępczej organizacji.

165

- Co to takiego?
  - Z kont Tritona zniknęła pewna suma — odparł z zakłopotaniem Hardy.
  - Pewna suma? Jaka?
- Hardy spojrzał Sawyerowi w oczy.
- Czwierć miliarda dolarów.
- Sawyer omal się nie zakrztusił kawą.
- Co?
- Wygląda na to, że Archer specjalizował się nie tylko w sprzedawaniu tajemnic. Trudnił się również uszczuplaniem kont bankowych.

— W jaki sposób? Przecież taka duża firma musi mieć odpowiedni nadzór nad swoimi finansami.

— Triton go miał, ale ten nadzór opierał się na przekonaniu, że informacje napływające z banku, w którym zdeponowane były pieniądze, są rzetelne.

— Nie bardzo rozumiem — mruknął Sawyer.

Hardy westchnął i oparł się łokciami o stolik.

• W dzisiejszych czasach przeniesienie pieniędzy z punktu A do punktu B nie może się odbyć bez udziału komputerów. Świat bankowy i finansowy jest od nich całkowicie uzależniony, ale to uzależnienie niesie ze sobą pewne ryzyko...

• Na przykład może nastąpić jakieś przekłamanie, siądą komputery, czy coś w tym rodzaju, tak? — podchwycił Sawyer.

• Może być też tak, że ktoś nie upoważniony włamie się do bankowych komputerów i pomajstruje przy przechowywanych tam danych. To nic nowego. Przecież wiesz, że Biuro powołało cały nowy wydział do walki z przestępstwami komputerowymi.

— I myślisz, że właśnie coś takiego miało tu miejsce?

Hardy usiadł i znowu *otworzył teczkę*. Przekładał *przez* chwilę papiery, aż znalazł to, czego szukał.

• Rachunek operacyjny Triton Global Investments, Corporation prowadził północnowirgiński oddział Consolidated BankTrust. Triton Global Investments to firma wchodząca w skład holdingu Tritona, zajmująca się inwestowaniem na Wall Street. Konto zasilano dopóty, dopóki całkowite saldo nie narosło do dwustu pięćdziesięciu milionów.

• Czy Archer brał udział w zasilaniu tego konta? — przerwał mu Sawyer.

• Nie. W ogóle nie miał do niego dostępu.

• Czy na tym rachunku przeprowadzano dużo operacji?

166

• Z początku tak. Ale z czasem przechowywane na nim pieniądze przestały być potrzebne. Trzymano je w charakterze rezerwy na wypadek, gdyby Triton albo związane z nim firmy wymagały dofinansowania.

• I co dalej?

• Przed dwoma miesiącami w tym samym banku otwarto nowe konto na firmę Triton Global Investments, Limited.

— A więc Triton założył sobie nowe konto?

Hardy pokręcił głową.

• Nie, i w tym właśnie rzecz. Ono nie było w żaden sposób związane z Tritonem. Okazało się, że firma będąca właścicielem rachunku nie istnieje. Ani adresu, ani dyrektorów, ani urzędników, nic.

• Wiesz, kto założył to konto?

• Na wniosku o otwarcie podpis złożył tylko jeden sygnatariusz. Przedstawił się bankowi jako główny księgowy i podał nazwisko Alfred Rhone. Wszczęte przez nas dochodzenie nie doprowadziło do ustalenia, kim jest ten Rhone, ale natrafiliśmy na ciekawą rzecz...

• Jaka? — Sawyer aż wychylił się z fotela.

• Na tym fałszywym koncie przeprowadzano sporo operacji. Transfery telegraficzne, wpłaty, wypłaty. Na każdym ze zleceń pojawiał się podpis Alfreda Rhone'a. Porównaliśmy ten podpis z podpisami wszystkich pracowników Tritona i znaleźliśmy odpowiednik. Zgadnij, do kogo należał.

• Do Jasona Archera — oparł bez zastanowienia Sawyer.

Hardy kiwnął głową.

• No a jak to było z tymi pieniędzmi?

• Ktoś włamał się do systemu komputerowego BankTrust i dokonał bardzo finezyjnej manipulacji. Okazuje się, że legalnemu

rachunkowi Tritona i rachunkowi fałszywemu przyporządkowano ten sam numer.

- Jezu! Przez taką dziurę można było przejechać ciężarówką.
- Zgadza się. Na dzień przed zniknięciem Jasona Archera złożono zlecenie telegraficznego transferu dwustu pięćdziesięciu milionów z rachunku Tritona na rachunek otwarty przez tę fałszywą firmę w innym wielkim banku z siedzibą w Nowym Jorku. Dział transferów telegraficznych BankTrust miał już stałe upoważnienie do przeprowadzania takich operacji, wystawione przez naszego przyjaciela Alfreda Rhone'a. Konto docelowe istniało, wszystko się zgadzało. Przelew poszedł tego samego dnia. —

167

Sawyer popatrzył na Hardy'ego. — Bankowcy wszystko, co mówi komputer, przyjmują za dobrą monetę, Lee, nie mają powodów, by mu nie dowierzać. A poszczególne wydziały banków nie porozumiewają się między sobą. Dopóki wszystko jest w porządku, realizują po prostu zlecenia. Ten, kto maczał w tym palce, musiał doskonale znać bankowe procedury. Czy mówiłem ci, że Jason Archer, zanim zatrudnił się w Tritonie, pracował przez kilka lat w banku, w dziale transferów telegraficznych?

Sawyer pokręcił powoli głową.

- Wiedziałem, że musi być jakiś powód, dla którego nie lubię komputerów. Ale wciąż nie rozumiem, jak to zostało przeprowadzone.
- Zaraz ci wytłumaczę... To tak, jakby sklonować nadzianego gościa, a potem ten klon wchodzi frontowymi drzwiami do banku, podejmuje wszystkie pieniądze zdeponowane na koncie naszego nadzianego gościa i wychodzi. Jedyna różnica w tym, że BankTrust uważał ich obu za nadzianych, a to dlatego, że przypisywał to samo saldo temu prawdziwemu i temu fałszywemu, dwa razy licząc te same pieniądze.

— Natrafiliście na ślad tej wyprowadzonej sumy?

Hardy pokręcił głową.

— Nawet nie próbowaliśmy. Jak kamień w wodę. Powiadomiliśmy już wydział Biura do spraw defraudacji. Oni poprowadzą dalej dochodzenie.

Sawyer upił łyk kawy i nagle wpadła mu do głowy pewna myśl.

- Nie sądzisz, że w obie sprawy może być zamieszana RTG? Bo chyba byłoby trochę dziwne, gdyby Archer podwójnie ryzykował, sprzedając tajemnice firmowe i dokonując jednocześnie defraudacji.

- Widzisz, Lee, Archer mógł zacząć od kradzieży firmowych tajemnic, a potem RTG nakłoniła go do defraudacji, żeby jeszcze bardziej pogłębić Tritona. Był doskonale przygotowany do wykonania takiego przekreślenia.

- Ale bank musi przecież zrekompensować klientowi stratę, więc Triton właściwie nie ucierpiał.

- I tu się mylisz. Dopóki BankTrust nie przeprowadzi wewnętrznego śledztwa i dopóki toczy się dochodzenie wszczęte przez FBI, Triton nie może tymi pieniędzmi obracać. Całą sprawą zajęła się rada dyrektorów. Mogą upłynąć miesiące, zanim wszystko się wyjaśni... tak przynajmniej oznajmiono Tritonowi dzisiaj rano. Możesz sobie wyobrazić, co przeżywa teraz Nathan Gamble.

168

- Czy Triton potrzebuje na coś tych funduszy?
- Jak najbardziej. Zamierzał je przeznaczyć na depozyt dobrej wiary mający pchnąć do przodu rozmowy w sprawie przejęcia CyberComu, tej firmy, o której ci mówiłem.
- Czyli nici z fuzji.
- Jeszcze nie. Słyszałem, że być może Nathan Gamble wyłoży



pieniądze na ten cel z własnej kieszeni.

- Jezu, to on jest w stanie wypisać czek na taką sumę?
- Gamble to kilkakrotny miliarder. Jednak nie pasuje mu zbyt to takie rozwiązanie. Nie dość, że stracił dwieście pięćdziesiąt milionów z konta Tritona, to jeszcze zamroziłby własną gotówkę. Dwustupięćdziesięciomilionowe wahnięcie w niewłaściwą stronę. Nawet dla niego to kupa forsy. — Hardy skrzywił się lekko na wspomnienie swojego ostatniego spotkania z Gamble'em. — Cały się teraz gotuje. Jednak najbardziej gnębi go sprawa tajemnic sprzedanych przez Archera grupie RTG. Jeśli RTG przejmie CyberCom, to Triton straci znacznie więcej niż te dwieście pięćdziesiąt milionów.

- Ale RTG wie, że masz ich na oku, i nie wykorzysta teraz informacji uzyskanych od Archera.

- To nie takie proste, Lee. Zaprzeczyli, że mają z tym cokolwiek wspólnego, i chociaż dysponujemy tą kasetą z zapisem wideo, to z tego jeszcze nic nie wynika. RTG już wcześniej włączyło się do przetargu o przejęcie CyberComu. Jeśli zdołają przebić ofertę Tritona, trudno będzie udowodnić, że udało im się to dzięki nielegalnie zdobytym informacjom.

- Bardzo to skomplikowane. — Sawyer wpatrywał się ze zniechęceniem w resztki niedopitej kawy.

Hardy rozłożył ręce i uśmiechnął się.

- No to tyle miałem ci do powiedzenia.
- Wiedziałem, że nie wyciągnąłeś mnie z łóżka dlatego, że ktoś komuś ukradł rower — mruknął Sawyer. — Z tego Archera musi być nie lada geniusz, Frank.

— Chyba tak.

Sawyer ożywił się nagle.

— Ale wszyscy popełniają błędy i czasami ma się fart. Najlepszym przykładem ta kasetka. Poza tym właśnie trudni przeciwnicy sprawiają, że ta robota daje jakąś satysfakcję. Mam rację? — Jego wargi rozciągnął uśmiech.

Hardy pokiwał głową.

— No i co teraz zamierzasz? — zapytał.

169

Sawyer dopił kawę i podstawił filiżankę do ponownego napełnienia. Pojawienie się nowych wątków w śledztwie wyraźnie dodało mu energii.

- Najpierw skorzystam z twojego telefonu i każę rozesłać międzynarodowy list gończy za Jasonem Archerem. Potem pomogę ci jeszcze przez godzinę. Jutro rano pošlę zespół agentów na lotnisko Dullesa, żeby dowiedzieli się tam ile się da o Jasonie Archerze, a sam w tym czasie przeprowadzę osobistą rozmowę z kimś, kto może odgrywać w tej sprawie istotną rolę.

- Czyli z kim?

- Z Sidney Archer.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

— Moje nazwisko Paul Brophy. Jestem współpracownikiem Sidney, panie...

Brophy stał w holu z podróżną torbą w ręku.

- Bill Patterson. Jestem ojcem Sidney.

- Często mi o тебе\* opowiadała, Bill. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach. Okropny wypadek. Przyjechałem, żeby być przy Sidney w tych trudnych chwilach, bo trzeba ci wiedzieć, że Sidney zalicza się do grona moich najbliższych współpracowników. Nadzwyczajna kobieta.

Bill Patterson zerknął na torbę, którą gość postawił w kącie. Wysoki, szczupły Brophy prezentował się wspaniale w granato-

wym dwurzędowym garniturze, najmodniejszym krawacie i czarnych lakierkach. Jednak jego bezpośredniość i nonszalancja, z jaką obnosił się w pogrążonym w żałobie domu, drażniły Pattersona. Większość swojego zawodowego życia spędził z włączonym wykrywaczem obłudy, i teraz ten wykrywacz wył alarmująco.

— Jest tu przy niej rodzina... Paul, tak? — Patterson położył szczególny nacisk na słowo „rodzina”.

Brophy popatrzył na niego taksująco.

— Tak, najważniejsza jest teraz rodzina. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Rozmawiałem z Sidney wczoraj w nocy. Zaprosiła mnie. Od wielu lat pracuję z twoją córką. Prowadziliśmy wspólnie takie sprawy, że niejeden nabawiłby się przy nich wrzodów żołądka. Ale tobie nie muszę chyba tego mówić. Przecież przez ostatnie pięć lat pracy w Bristol-Aluminium praktycznie kierowałeś tą firmą. Chyba co miesiąc widziałem twoje nazwisko w *Journalu*.

170

I pamiętam jeszcze ten retrospektywny artykuł w *Forbes*, kiedy odchodziłeś na emeryturę.

- Biznes to ciężka harówka — przyznał Patterson, udo-bruchany nieco przypomnieniem jego dawnych zawodowych tryumfów.

- Wiem, że konkurenci nie mieli z tobą lekkiego życia. —

Brophy wyszczerzył zęby w najprzyjaźniejszym ze swojego repertuaru uśmiechów.

Patterson odwzajemnił mu się tym samym. Facet był chyba w porządku; zresztą fatygował się z tak daleka. Poza tym nie był to poranek odpowiedni do zrażania sobie ludzi.

- Napijesz się czegoś albo przekąsisz? Przyleciałeś dzisiaj z Nowego Jorku, tak?

- Pierwszym wahadłowcem. Jeśli można, to napiłbym się kawy... Sidney? — Brophy wlepił wygłodniały wzrok w jedną z dwóch kobiet w czerni, które w tym momencie weszły do pokoju.

- Witam, Paul.

Brophy podszedł do niej szybko, objął i złożył na policzku pocałunek, który trwał chyba odrobinę za długo. Sidney, trochę oszołomiona, przedstawiła go matce.

- Jak tam Amy? — spytał z troską Paul.

- Jest u znajomych. Nie rozumie, co się dzieje — odparła druga z kobiet, mierząc Paula nieprzychylnym wzrokiem.

- Tak, no tak. — Brophy cofnął się o krok stropiony. Nie miał dzieci, ale to nie usprawiedliwiało tego durnego pytania.

W sukurs przyszła mu mimowolnie Sidney.

— Paul przyleciał dziś rano z Nowego Jorku — zwróciła się do matki.

Pani Patterson skinęła głową i wyszła do kuchni przygotować śniadanie.

Brophy patrzył na Sidney. Włosy miała jedwabiste, koloru słomy, kontrastujące silnie z czernią sukienki. Z wymizerowaną, zmęczoną twarzą wydawała mu się szczególnie atrakcyjna. Była piękna.

<sup>1</sup> — Wszyscy inni jadą prosto do kaplicy. Po nabożeństwie ściągają tutaj. — Przerazała ją wyraźnie ta perspektywa.

Brophy wychwycił to w jej tonie.

— Nie przejmuj się, jeśli będziesz chciała opuścić towarzystwo, to ja przejmę po tobie honory domu. Jako prawnik potrafię mówić dużo i o niczym.

171

— Nie musisz wracać do Nowego Jorku?

Brophy pokręcił głową i uśmiechnął się tryumfalnie.

— Na jakiś czas zostaję w waszyngtońskim biurze. — Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały kasetowy magnetofon. — Jestem na bieżąco. Podyktowałem już trzy listy i przemówienie, które mam wygłosić na spotkaniu przedwyborczym w przyszłym miesiącu, więc mogę tu zostać tak długo, jak długo będę ci potrzebny. — Uśmiechnął się czule, schował z powrotem magnetofon i wziął ją za rękę.

Z uśmiechem zakłopotania oswobodziła dłoń z jego uścisku.

- Muszę się przygotować do wyjścia — oświadczyła.
- Dobrze. Ja tymczasem poproszę cię do kuchni.

Sidney oddaliła się korytarzem w kierunku sypialni. Brophy odprowadził ją wzrokiem, uśmiechając się do myśli o rysującej się przed nim przyszłości. Chwilę później wszedł do wielkiej kuchni, gdzie krzątała się matka Sidney przygotowująca jajka, tosty i bekon. Bill Patterson wojował z ekspresem do kawy. Zadzwoił telefon. Patterson zdjął okulary i przy drugim dzwonku podniósł słuchawkę.

— Halo? — Przełożył słuchawkę do drugiej ręki. — Tak. Co? Eee... a nie można z tym poczekać? No dobrze, chwileczkę.

Pani Patterson spojrzała pytająco na męża.

- Kto to?
- Henry Wharton. — Patterson spojrzał na Brophy'ego. — To szef waszej kancelarii, prawda?

Brophy kiwnął głową. Chociaż o jego związku z Goldmanem nikt nie wiedział, Wharton i tak go nie lubił, i Brophy z utęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy Wharton zleci z hukem ze stołka kierownika kancelarii Tylera & Stone'a.

- Wspaniały człowiek, bardzo dba o współpracowników — powiedział.

• Może, ale porę wybrał sobie zupełnie nieodpowiednią — mruknął Patterson, odłożył słuchawkę na stół i wyszedł z kuchni. Brophy z przymilnym uśmiechem pośpieszył z pomocą pani Patterson.

Patterson zapukał delikatnie.

— Kochanie...?

Sidney otworzyła drzwi sypialni. Patterson dostrzegł nad jej

172

ramieniem fotografie Jasona i reszty rodziny rozłożone na łóżku. Odetchnął głęboko.

- Kochanie, dzwoni jakiś facet od ciebie z pracy. Mówi, że musi z tobą pilnie porozmawiać.

- Przedstawił się?
- Henry Wharton się nazywa.

Sidney ściągnęła brwi, ale zaraz się rozchmurzyła.

— Pewnie chce przeprosić, że nie może przyjść. Nie zaliczam się w tej chwili do jego faworytek. Odbiorę tutaj, tato. Powiedz mu, żeby zaczekał minutkę.

Patterson zerknął jeszcze raz na fotografie, a potem podszedł do córki, przytulił ją mocno i pocałował w policzek.

Wróciwszy do kuchni, Patterson znowu podniósł słuchawkę.

— Córka za chwilę odbierze — burknął. Odłożył słuchawkę z powrotem i w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Cała obecna w kuchni trójka podniosła głowy. Patterson popatrzył na żonę.

— Spodziewasz się kogoś o tej porze?

Pokręciła głową.

— To pewnie jakaś sąsiadka z kondolencjami albo ktoś taki. Idź otworzyć, Bill.

Patterson ruszył posłusznie do drzwi frontowych.

Brophy wyszedł za matką Sidney do holu.

Patterson otworzył drzwi. W progu stali dwaj mężczyźni w garniturach.

— Słucham? — spytał Patterson.

Lee Sawyer okazał swoją legitymację. To samo uczynił jego towarzysz.

— FBI, agent specjalny Lee Sawyer. A to mój partner, Raymond Jackson.

Bill Patterson z wyraźnym zmieszaniem popatrywał to na legitymacje, to na ich właścicieli. Mężczyźni przyglądali mu się beznamiętnie.

Sidney pobierała szybko fotografie, ale jedną z nich odłożyła. Było to zdjęcie z dnia przyjścia na świat Amy. Przedstawiało Jasona w szpitalnym kitlu trzymającego na rękach urodzoną przed kilkoma minutami córeczkę. Na twarzy świeżo upieczonego ojca

173

malowała się bezbrzeżna duma. Sidney schowała to zdjęcie do torebki. Była przekonana, że podtrzyma ją na duchu w ciągu dnia, kiedy to wszystko zacznie przerastać jej siły. Wygładziła sukienkę, podeszła do nocnej szafki, usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po słuchawkę.

- Witaj, Henry.
- Sid.

Gdyby już nie siedziała, w tej chwili z pewnością osunęłaby się na podłogę. Zmartwiała. Miała wrażenie, że jakieś ogromne imadło miażdży jej mózg.

— Sid? — powtórzył głos bardziej nagłaco.

Sidney z wysiłkiem wzięła się w garść. Wydawało jej się, że wypływa na powierzchnię z jakichś straszliwych głębin, w których człowiek nie ma szans na przeżycie. Walcząc o zachowanie świadomości, starała się dobyć z siebie głos. Wargi jej drżały.

— Jason? — wykrztusiła wreszcie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy matka Sidney ruszyła do drzwi frontowych, by wesprzeć męża, Paul Brophy wycofał się dyskretnie z powrotem do kuchni. FBI? Robiło się ciekawie. Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do Goldmana i spojrzeć na słuchawkę odłożoną przez Billa Pattersona na kuchenną szafkę. Zaraz, zaraz. W tej chwili Sidney rozmawia ze swojej sypialni z Henrym Whartonem. Ciekawe, o czym mówią. Gdyby udało mu się tego dowiedzieć, z pewnością jego akcje u Goldmana podskoczyłyby o tych parę punktów.

Podsunał się ostrożnie do kuchennych drzwi i wyjrzał. Pattersonowie rozmawiali wciąż w progu domu z agentami FBI. Podbiegł do szafki, ujął delikatnie słuchawkę i uniósł ją do ucha. W chwilę potem szczęka mu opadła, a oczy omal nie wyszły z orbit. Znał doskonale oba te głosy. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po dyktafon, przystawił go do słuchawki i nagrał rozmowę między mężem a żoną.

Pięć minut później Bill Patterson ponownie zapukał do drzwi sypialni córki. Kiedy mu otworzyła, zaniemówił. Sidney oczy miała wciąż podkrążone i zmęczone, ale tlił się w nich teraz

ognik, którego od dnia śmierci Jasona próżno było tam wypat-

174

rywać. Patterson przeniósł zdumiony wzrok na wypełnioną do połowy walizkę, która leżała na łóżku.

- Kochanie — wykrztusił, nie odrywając oczu od walizki — nie wiem, o co chodzi, ale przyszło dwóch takich z FBI i chcą z tobą rozmawiać.

- FBI? — Pod Sidney ugięły się nogi i gdyby ojciec jej nie podtrzymał, byłaby upadła.

Patterson przyglądał się jej nie na żarty zaniepokojony.

— Co ty wyprawiasz, dziecko? Po co się pakujesz?

Sidney opanowała się z trudem.

- Wszystko w porządku, tato. Tylko... tylko po ceremonii muszę pojechać w pewne miejsce.

- Pojechać? Dokąd? Co ty wygadujesz?

- Tato, proszę, nie teraz. W tej chwili nie mogę ci niczego wyjaśnić.

- Ależ Sid...

- Proszę, tato.

Patterson nie wytrzymał błagalnego spojrzenia córki i z miną wyrażającą obruszenie i jakby rodzącą się obawę, odwrócił w końcu wzrok.

- Jak chcesz, Sidney.

- Gdzie są ci agenci, tato?

- W living roomie. Powiedzieli, że chcą z tobą porozmawiać na osobności. Próbowałem się ich pozbyć, ale wiesz, cholera, jak to jest z FBI.

- Nic się nie stało, tato, porozmawiam z nimi. — Sidney zbierała przez chwilę myśli. Spojrzała na telefon, a potem zerknęła na zegarek. — Wprowadź ich do mojego gabinetu i powiedz, że zaraz tam przyjdę.

Podeszła do walizki i zamknawszy wieko schowała ją pod łóżko.

Ojciec śledził przez chwilę w milczeniu jej zabiegi, w końcu jednak nie wytrzymał i unosząc krzaczaste brwi zapytał:

- Na pewno wiesz, co robisz?

- Na pewno — odparła bez zastanowienia.

Jason Archer siedział na krześle przykuty do niego kajdankami. Uśmiechnięty Kenneth Scales przystawiał mu do głowy glocka. W pomieszczeniu znajdował się jeszcze jeden mężczyzna.

— Świetnie ci wyszła ta rozmowa, Jason — stwierdził z uzna-

175

niem Scales. — Zrobiłbyś karierę w filmie. Szkoda, że nie będziesz już miał po temu okazji.

Jason spojrzał na niego z furią w oczach.

— Ty sukinsynu! Tknij tylko moją żonę albo córkę, a rozerwę cię na strzępy. Przysięgam na Boga.

Scales uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Czyżby? A niby jak to zrobisz?

Zdzielił Jasona w szczękę lufą pistoletu. W tym momencie uchyliły się drzwi. Oprzytomniawszy trochę po uderzeniu Jason spojrzał na nie i z ust wyrwało mu się wściekłe warknięcie. Mobilizując wszystkie siły skoczył w ich kierunku, wlokąc za sobą krzesło, do którego był przykuty. Scales z towarzyszem dopadli go w samym progu, powalili na posadzkę i pociągnęli po niej z powrotem.

— Ty draniu, zabiję cię, zabiję! — wyrzaskiwał Jason pod adresem gościa.

Mężczyzna wszedł do pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Z uśmiechem obserwował, jak Scales z pomocnikiem podnoszą Jasona z ziemi i zaklejają mu usta plastrem.

— Znowu miałeś senne koszmary, Jasonie?

Wprowadziwszy agentów FBI do małego, ale funkcjonalnie<sup>1</sup> urządzonego gabinetu Bill Patterson wrócił do kuchni, gdzie zastał żonę i Paula Brophy'ego. Spojrzał ze zdumieniem na telefon. Słuchawka wisiała z powrotem na widelkach. Brophy przechwycił to spojrzenie.

- Odwiesiłem ją. Pomyślałem sobie, że mając teraz inne rzeczy na głowie zapomnisz sam to zrobić.
- Dziękuję, Paul.
- Nie ma za co. — Brophy, bardzo z siebie zadowolony, upił łyżeczek kawy i pomacał palcami kasetę magnetofonową spoczywającą bezpiecznie w kieszeni spodni. — Jezu... — spojrzał na Pattersonów — ...FBI. Czego oni mogą chcieć?

Patterson wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Sidney też nie wie. — Ojcowski instynkt kazał mu ochraniać córkę. Zatraskany zmarszczył czoło. — Ale sobie porę wybrali — wymruczał, siadając przy stole, żeby przejrzeć gazetę. Otwierał usta, żeby dodać coś jeszcze, ale w tym momencie jego wzrok padł na nagłówek z pierwszej strony.

176

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kiedy Sidney weszła do pokoju, obaj agenci podnieśli się /, miejsc. Sawyer na jej widok drgnął wyraźnie. Opanował się szybko i poderwał rękę do włosów, żeby przyklepać podnoszącego się uparcie koguta. Opuściwszy rękę z powrotem, przyglądał się jej przez chwilę, jakby nie rozpoznawał własnej kończyny i nie rozumiał, co u diabła kazało jej wykonać ten mimowolny ruch. Agenci przedstawili się i jeszcze raz wylegitymowali. Sawyer zauważył, że Sidney, zanim usiadła naprzeciwko, uważnie mu się przyjrzała.

Ocenił ją szybko. Atrakcyjna, inteligentna i pewna siebie kobieta. Ale to nie wszystko. Mógłby przysiąc, że już ją gdzieś widział. Przesunął wzrokiem po jej smukłej figurze. Miała na sobie elegancką czarną suknię, niby odpowiednią na dzisiejszą smutną uroczystość, ale przylegającą do ciała w paru prowokujących miejscach. Równie przemawiające do wyobraźni były jej zgrabne nogi w siatkowych czarnych pończochach. Smutek malujący się na twarzy jeszcze bardziej podkreślał jej piękne rysy.

- Pani Archer, czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?
- Nie sądzę, panie Sawyer — odparła szczerze zaskoczona.

Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i szybko przeszedł do rzeczy.

' — Jak już powiedziałem pani ojcu, pani Archer, zdajemy sobie sprawę, że nie mogliśmy sobie wybrać na te odwiedziny mniej odpowiedniej pory, ale musieliśmy porozmawiać z panią najszybciej jak to możliwe.

— Można wiedzieć o czym? — spytała mechanicznym tonem. Omiotła wzrokiem ściany i zatrzymała go na Sawyerze. W jego oczach wyczytała szczerą. W normalnych okolicznościach bez wahania przystałaby na pełną współpracę. Jednak okoliczności dalekie były od normalnych.

Sawyer musiał zmobilizować się wewnętrznie, żeby wyrwać się spod uroku jej zielonych, roziskrzonych oczu. Uznał, że próba czytania w nich to zapuszczanie się na niebezpieczne wody.

— O pani mężu, pani Archer — powiedział szybko.

— Proszę mi mówić Sidney. O moim mężu? O tym wypadku?

Sawyer nie odpowiedział od razu. Oceniał ją znowu, ale tak, żeby tego nie zauważyła. Tutaj swoją wagę miało każde słowo, każda mina, każde zawieszenie głosu. Było to zadanie nużące, często frustrujące, ale czasami dawało rezultaty.

— To nie był wypadek, Sidney — podjął w końcu.

Oczy jej przygasały i rozjaśniły się znowu jak światła w domu podczas burzy. Rozchyliła usta, ale nic nie powiedziała.

— Samolot rozbił się na skutek sabotażu. Wszyscy znajdujący się na pokładzie zostali z premedytacją zamordowani.

Na twarzy Sidney odmalowało się przerażenie, jej oczy zmatowiały.

— Sidney? — podjął Sawyer odczekawszy dobrą minutę. — Sidney?

Drgnęła i ocknęła się, ale zaraz znowu odpłynęła w otępienie. Zaczęła oddychać spazmami. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje na siebie. Pochyliła się, wsparła czoło o kolana, a dłonie zacisnęła kurczowo na łydkach. Bezwiednie przyjęła pozycję zalecaną pasażerom samolotów na wypadek awaryjnej sytuacji. Kiedy zaczęła cicho zawodzić i drżeć na całym ciele, Sawyer wstał szybko z fotela i usiadł obok niej. Jedną ręką otoczył uspokajająco jej ramiona, drugą ścisnął mocno dłoń.

Spojrzał na Jacksona.

— Wody, herbaty, cokolwiek, Ray. *Pronto!*

Jackson wybiegł z pokoju.

Kiedy matka Sidney podawała Jacksonowi drżącą ręką szklanekę wody, Bill Paterson podniósł gazetę.

— O to chodzi, tak? — Nagłówek z pierwszej strony krzyczał wielkimi, tłustymi literami: SABOTAŻ PRZYCZYNA KATASTROFY SAMOLOTU WESTERN AIRLINES. RZĄD FEDERALNY WYZNACZA NAGRODĘ W WYSOKOŚCI DWÓCH MILIONÓW DOLARÓW ZA INFORMACJE, KTÓRE POMOŻĄ USTALIĆ SPRAWCĘ. — Jason i wszyscy inni zginęli w zamachu terrorystycznym. Dlatego tu jesteście, tak?

Pani Patterson zakryła twarz dłońmi i szlochając usiadła ciężko przy stole.

— Nie teraz, proszę pana, dobrze? — rzucił Jackson tonem nie znoszącym sprzeciwu i wybiegł ze szklanką wody z kuchni.

Paul Brophy przeprosił Pattersonów i pod pretekstem zapalenia papierosa pomimo chłodu wyszedł przed dom. Gdyby ktoś wyjrzał teraz przez okno living roomu, zobaczyłby go z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha.

Sawyer praktycznie siłą wlał Sidney wodę do gardła. Doszła w końcu do siebie i z wdzięcznością w oczach oddała mu szklanekę, ale wołał już nie wracać do katastrofy samolotu.

178

— Proszę mi wierzyć, gdyby to nie było takie ważne, zostawilibyśmy teraz panią w spokoju, rozumie pani?

Kiwnęła głową. Była wciąż śmiertelnie blada. Sawyer zbierał przez chwilę myśli. Wyraźnie się rozluźniła, kiedy zadał jej kilka pozornie niewinnych pytań dotyczących pracy Jasona w Triton Global. Odpowiadała na nie w miarę spokojnie, chociaż nie kryła zdziwienia.

- Mielicie państwo jakieś kłopoty finansowe? — spytał w pewnej chwili.

- Do czego to zmierza, panie Sawyer? — Sidney znowu się uszytywniła. Jednak po chwili twarz jej złagodniała; przypomniała

sobie, jak Jason obiecywał, że rzuci jej świat do nóg.

- Sam na razie nie wiem — odparł Sawyer patrząc jej w oczy. Sidney nie miała już wątpliwości, że z tym człowiekiem musi być bardzo ostrożna. — Rozmawiamy z rodzinami wszystkich pasażerów tego samolotu. Jeśli sabotażu dokonano z myślą o zgładzeniu kogoś, kto nim leciał, musimy ustalić motyw.

- Rozumiem. — Sidney odetchnęła głęboko. — A wracając do pańskiego pytania, jesteśmy obecnie w najlepszej od lat sytuacji finansowej.

- Jest pani prawnikiem Tritona, czy tak?

- I jeszcze pięćdziesięciu innych klientów naszej kancelarii.

I co z tego?

Sawyer postanowił zmienić taktykę.

- Wie pani, że mąż wziął kilka dni urlopu?

- Jestem jego żoną.

- Więc w takim razie zechciałaby nam pani może wyjaśnić, dlaczego znalazł się na pokładzie samolotu lecącego do Los Angeles. — Omal nie użył sformułowania „rzekomo znalazł się na pokładzie”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Proszę posłuchać... — Sidney przyjęła formalny ton. — Zakładam, że rozmawialiście już z przedstawicielami Tritona. Być może rozmawialiście już też z Henrym Whartonem. Jason powiedział mi, że leci do L.A. załatwiać jakieś sprawy w imieniu Tritona. W dzień wyjazdu przypomniałam mu, że mam w Nowym Jorku naradę w sprawach Tritona. Wtedy wyznał mi, że leci do L.A. na rozmowy w innej firmie, która proponuje mu pracę. Prosił, żebym nie mówiła nic o jego podróży przedstawicielom Tritona. Wiem, że to nie było etyczne, ale zastosowałam się do tej prośby.

— A potem wyszło na jaw, że nie chodziło o żadną nową pracę?

179

Sidney przygarbiła się.

- Tak.

• Czy domyśla się pani, po co w rzeczywistości leciał do L.A.? Ma pani jakieś podejrzenia?

Pokręciła głową.

- To wszystko? Nie ma pani nic do dodania? Jest pani pewna, że to nie miało nic wspólnego z Tritonem?

- Jason rzadko rozmawiał ze mną o sprawach służbowych.

- Dlaczego? — Sawyer wiele by dał za filiżankę kawy. Dała o sobie znać noc spędzona u Hardy'ego.

- Moja kancelaria reprezentuje pewne firmy, które można uznać za konkurencję Tritona. Ale klienci, o których mówię, z Tritonem włącznie, sami starają się nie dopuszczać do wystąpienia konfliktu interesów, a od czasu do czasu, jeśli wymaga tego sytuacja, stawiamy chińskie mury...

- Co takiego? — wtrącił Ray Jackson. — Jakie chińskie mury?

Sidney spojrzała na niego.

— Tak nazywamy środki bezpieczeństwa polegające na przecięciu wszelkiego rodzaju komunikacji — wprowadzeniu ograniczenia dostępu do akt, zakazu wspominania nawet w luźnych pogawędkach na korytarzu o sprawach danego klienta — podejmowane w przypadku, kiedy powstaje możliwość wystąpienia konfliktu z interesami innego klienta również reprezentowanego przez prawnika naszej kancelarii. Zakładamy też zabezpieczone skomputeryzowane bazy danych dla spraw, które prowadzimy aktualnie w imieniu naszych klientów. Dbamy także o to, żeby dotrzymywane były co do joty ustalenia poczynione w trakcie negocjacji. Nie chcemy, żeby nasi klienci zaskakiwani byli zmianami uzgodnionych warunków umów. Pamięć ludzka jest zawod-



na, nie może się równać z komputerową. Dostęp do tych plików mają tylko ci, którzy znają właściwe hasło, czyli prawnicy prowadzący daną sprawę. Obowiązuje zasada, że kancelaria prawnicza, żeby uniknąć tego rodzaju problemów, powinna się w razie konieczności dzielić na niezależne komórki. Stąd ten termin.

— A jakich innych klientów, których interesy mogłyby stać w konflikcie z interesami Tritona, reprezentuje wasza kancelaria? — spytał Sawyer.

Sidney zawahała się. Jedna z takich firm od razu przysłała jej do głowy, ale nie miała pewności, czy powinna wymienić jej nazwę.

180

— Grupę RTG — powiedziała w końcu.

Sawyer i Jackson wymienili szybkie spojrzenia.

- Kto z waszej kancelarii reprezentuje RTG? — spytał Sawyer. Był przekonany, że zauważył błysk w oku Sidney Archer.
- Philip Goldman — odparła.

Przez bardzo drogie rękawiczki Paula Brophy'ego stojącego przed domem Archerów zaczynał się przesączać chłód.

— Nie, nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi — powiedział Brophy do komórkowego telefonu i odsunął od ucha słuchawkę, w której rozległ się pewnie soczysty komentarz dotyczący jego ignorancji. — Chwileczkę, Philipie. To FBI. Są uzbrojeni. Skoro ty tego nie przewidziałeś, to jak ja miałem przewidzieć?

Ta aluzja do przewagi intelektualnej rozmówcy musiała podziałać studząco na temperament Philipa Goldmana, bo Brophy ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

— Tak, jestem pewien, że to był on. Znam jego głos, a do tego ona zwracała się do niego po imieniu. Mam całą rozmowę na taśmie. Odwaliłem kawał porządnej roboty, nie sądzisz? Co? Tak, pokręcę się tu jakiś czas, może da się wyniuchać coś jeszcze. Dobrze, odezwę się do ciebie za parę godzin. — Brophy schował telefon, zatarł zgrabiałe palce i wszedł z powrotem do domu.

Sawyer obserwował uważnie Sidney Archer, która nerwowo suwała dłonią tam i z powrotem po poręczu sofy. Zastanawiał się, czy poinformować ją, że Jason Archer wcale nie spoczywa pogrzebany pod zwałami ziemi w kraterze w Wirginii. W końcu jednak rozsądek wziął górę nad emocjami. Wstał i wyciągnął do Sidney rękę.

— Dziękuję za współpracę, pani Archer. Gdyby przypomniała pani sobie coś istotnego, to można mnie łapać o każdej porze dnia i nocy pod tymi numerami. — Wręczył jej wizytówkę. — Na odwrocie jest mój numer domowy. A panią pod jakimi numerami można zastać? — Sidney sięgnęła po leżącą na stoliku torebkę, pogrzebała w niej i wyciągnęła służbową wizytówkę. — Jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy szczerzego współczucia. — Sawyer powiedział to ze szczerzego serca. Jeśli Hardy miał rację, to dramat, jaki przeżywała teraz ta kobieta, był jak spacer po parku w porównaniu z tym, co ją czekało. Ray Jackson wyszedł

181

z pokoju. Sawyer miał już podążyć za nim, ale Sidney położyła mu dłoń na ramieniu.

- Panie Sawyer...
- Proszę mi mówić Lee.
- Musiałabym być kompletną idiotką, Lee, gdybym nie zdała sobie sprawy, jak źle to wszystko wygląda.

• Ani przez chwilę nie brałem cię za idiotkę, Sidney — oświadczył.

• Czy masz powody podejrzewać, że Jason był zamieszany w coś... — zawiesiła głos i przelknęła z trudem ślinę — ...coś nielegalnego?

Spojrzał na nią i dręczące go od początku wrażenie, że widział już gdzieś tę kobietę, przerodziło się nagle w pewność.

— Powiedzmy, Sidney, że intryguje nas trochę zachowanie twojego męża tuż przed jego ostatnią podróżą.

Sidney cofnęła się myślami do wszystkich powrotów Jasona późnymi wieczorami do biura.

— Czy w Tritonie dzieje się coś złego?

Sawyer miał opinię najskrytszego agenta FBI, ale teraz, nie wiedząc czemu, korciło go, żeby powiedzieć jej wszystko, co wie. Oparł się jednak tej pokusie.

— Dochodzenie jest w toku, Sidney. Przykro mi, ale naprawdę nie mogę ci nic powiedzieć.

Cofnęła się pół kroku.

• Rozumiem, naturalnie.

• Będziemy w kontakcie.

Po wyjściu Sawyera Sidney przypomniawszy sobie, że podobną formułkę słyszała niedawno z ust Nathana Gamble'a, i przeszedł ją dreszcz niepokoju. Objęła się ramionami i przysunęła do kominka.

Głos Jasona w słuchawce wprawił ją początkowo w euforię. Taka szczęśliwa jeszcze nigdy się nie czuła, jednak to, co od niego potem usłyszała, było jak kubek zimnej wody. Teraz czuła się kompletnie zdezorientowana i bezradna, ale gotowa była stać lojalnie po stronie męża. Jakie jeszcze niespodzianki przyniesie dzień jutrzejszy?

Do samochodu odprowadzał agentów gadatliwy Paul Brophy.

— ...tak więc moja kancelaria byłaby, rzecz jasna, bardzo zainteresowana informacjami o ewentualnej działalności Jasona

182

Archera na szkodę Triton Global... — Przerwał wreszcie swoją paplaninę i spojrzał z nadzieją w oczach na Sawyera.

• Wyobrażam sobie. — Agent zatrzymał się za stojącym na podjeździe cadillakiem Billa Pattersona. Postawił nogę na tylnym zderzaku i schyliwszy się, żeby zacisnąć mocniej poluzowane sznurowadło, zobaczył na nim nalepkę: MAINE, STAN URLO-POWICZÓW. Kiedy ja ostatnio byłem na urlopie? — pomyślał. Masz spory problem, stary, skoro nawet tego nie pamiętasz. Podciągnął spodnie i odwrócił się do prawnika, który obserwował go z chodnika przed drzwiami frontowymi.

• Mówił pan, że jak się nazywa?

Brophy obejrzał się szybko na drzwi frontowe i wyrzucił z siebie:

— Brophy. Paul Brophy. — A potem dodał pośpiesznie: — Mieszkam w Nowym Jorku, więc z Sidney Archer niewiele mam wspólnego.

Sawyer przyjrzał mu się uważnie.

— Ale mimo to przyleciał pan z tak daleka, by wziąć udział w ceremonii żałobnej. Tak pan powiedział, zgadza się?

Brophy zmieszał się. Ray Jackson przymrużył oczy i zmierzył go taksującym spojrzeniem. Od faceta były wprost miłość do pieniędzy i obłuda.

— Jestem tu właściwie w charakterze reprezentanta firmy. W delegacji, że się tak wyrażę. Sidney Archer pracuje u nas, ale tylko na niepełny etat, zresztą i tak wybierałem się tutaj w interesach.

Sawyer podniósł wzrok na chmurkę przepływającą nad domem.  
— Co pan powie... Widzi pan, tak się składa, że przeprowadzałem wywiad na temat pani Archer. Ludzie, z którymi rozmawiałem, określali ją jako jedną z czołowych prawniczek kancelarii Tyler and Stone. Pomimo że jest zatrudniona na niepełnym etacie. Moich rozmówców prosiłem o wytypowanie piątki najwybitniejszych prawników pańskiej firmy i wie pan co? Tę panią wymieniali wszyscy. — Sawyer nie spuszczał Brophy'ego z oka. — I ciekawa rzecz — dorzucił — pańskie nazwisko jakoś ani razu nie padło.

Brophy zaczął coś szybko mówić, ale Sawyer go nie słuchał.

- Od dawna pan tu jest, panie Brophy? — Wskazał ruchem głowy na rezydencję Archerów.
- Jakąś godzinę. A co? — Ton głosu zdradzał, że Brophy poczuł się urażony.

183

— Czy w tym czasie zaszło tu coś niezwykłego?

Brophy'ego język świerzbiał, żeby powiedzieć agentom o głosie nieboszczyka, który nagrał na taśmę, ale była to zbyt cenna informacja, by ją tak po prostu wypaplać.

• Właściwie to nie. Ona jest bardzo zmęczona i przygnębiona, a przynajmniej na taką wygląda.

• Co pan przez to rozumie? — Jackson zdjął okulary przeciwsłoneczne i wbił wzrok w Brophy'ego.

• Nic. Przecież już powiedziałem, że nie znam dobrze Sidney. Nie wiem więc, jak się układało między nią a mężem.

• Hmm... — Jackson zacisnął usta i założył z powrotem okulary. Zerknął na partnera. — Gotowy, Lee? Człowiekowi chyba tutaj zimno. Niech lepiej wejdzie do środka, bo jeszcze coś podłapie — powiedział spoglądając na Brophy'ego. — Idź pan i zajmij się swoją daleką znajomą.

Agenci odwrócili się i ruszyli w kierunku swojego samochodu. Brophy poczerwieniał z gniewu jak burak. Obejrzał się jeszcze raz na dom, a potem zawołał za nimi:

— Aha, właśnie mi się przypomniało. Był do niej telefon.

Sawyer i Jackson obrócili się jak na komendę.

— Co takiego? — spytał Sawyer. W skroniach łupało go z braku snu i dosyć już miał słuchania tego pajaca. — Jaki telefon?

Brophy podszedł bliżej i zerkając co chwila na dom powiedział przyciszonym głosem:

• Mniej więcej dwie minuty przed waszym przyjściem. Odebrał ojciec Sidney i dzwoniący przedstawił mu się jako Henry Wharton. — Agenci słuchali z niepewnymi minami. — To szef kancelarii Tylera & Stone'a.

• I co z tego? — spytał Jackson. — Chciał się może dowiedzieć, co u pani Archer. Sprawdzić, czy dobrze się czuje.

• Też tak sobie pomyślałem, ale...

Cierpliwość Sawyera była już na wyczerpaniu.

• Ale co? — warknął gniewnie.

• Nie wiem, czy mogę to panom powiedzieć.

Sawyer zniżył głos, w jego tonie pobrzmiwała groźba:

• Trochę tu za zimno na durne gadanie, panie Brophy, proszę więc pana uprzejmie, żeby mówił, co ma do powiedzenia, bo zaczyna mnie pan wkurzać. — Nachylił się do przestraszonego Brophy'ego. Zza ramienia wyglądał mu zwalisty Jackson.

• Kiedy Sidney z panami rozmawiała, zadzwoniłem do Henry'ego Whartona do biura... — wyrzucił z siebie Brophy i zawiesił

184

dramatycznie głos. — Zapytałem, czy telefonował do Sidney, a on się bardzo zdziwił — podjął. — Wcale do niej nie telefo-

wał. A ona była biała jak prześcieradło, kiedy wyszła po tym telefonie z sypialni. Myślałem, że zaraz zemdleje. Jej ojciec też to zauważył i bardzo się zaniepokoił.

- Gdyby to do mnie w dzień żałoby po kimś bliskim zapukało FBI, też nie poczułbym się najlepiej — zauważył Jackson. Raz po raz zwiżał dłoń w pięść, którą z najwyższą rozkoszą wprawilby teraz w ruch.

- No dobrze, ale ona wyglądała tak, zanim ojciec jej powiedział, że panowie przyszli. — Brophy zmyślał to wszystko na poczekaniu, ale przecież na jedno wychodziło. — To nie wasze przybycie tak ją wytrąciło z równowagi.

Sawyer wyprostował się, spojrzął na dom, a potem zerknął na nachmurzonego Jacksona. Przeniósł wzrok na twarz Brophy'ego. Jeśli ten facet ich podpuszcza... Ale nie, widać gołym okiem, że mówi prawdę, a przynajmniej w przeważającej mierze prawdę. Najwyraźniej wychodził z siebie, żeby podłożyć Sidney taką świnię, po której ta się nie pozbiera. Sawyera nie interesowała jednak osobista wendeta Paula Brophy'ego. Interesowała go ta rozmowa telefoniczna.

— Dzięki za informacje, panie Brophy. Gdyby przypomniało się panu coś jeszcze, to ma pan tu numer mojego telefonu. — Podał prawnikowi wizytówkę i zostawił go na podjeździe przed domem.

W drodze powrotnej do miasta oderwał wzrok od drogi i zerknął na partnera.

— Weźmiecie natychmiast Sidney Archer pod całodobową obserwację. Sprawdźcie też wszystkie rozmowy telefoniczne łączone z jej domem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, poczynając od tej, o której powiedział nam Pan Fircyk.

Jackson wyglądał przez okno.

- Myślisz, że to mąż do niej dzwonił?
- Myślę, że przeszła już tyle, że tylko coś naprawdę wstrząsającego mogło ją tak zbić z nóg. Już podczas rozmowy z nią widziałem, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

— Czyli ona naprawdę myślała, że Archer nie żyje?

Sawyer wzruszył ramionami.

— Na razie powstrzymuję się od wyciągania jakichkolwiek wniosków. Poobserwujemy ją i zobaczymy, co się będzie działo. Przeczucie mi mówi, że Sidney Archer okaże się bardzo interesującym elementem tej układanki.

185

- Przeczucia przeczuciami, ale może byśmy tak coś przekąsili? Umieram z głodu. — Jackson spoglądał tęsknie na ciąg barów szybkiej obsługi, które właśnie mijali.

- Cholera, nawet ci postawię, Ray. Dla partnera wszystko. — Sawyer uśmiechnął się i skręcił na parking przed McDonaldem. Jackson spojrzął na Sawyera z udawanym oburzeniem, a potem, kręcąc głową, sięgnął po słuchawkę samochodowego telefonu i zaczął wystukiwać numer.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Philip Goldman, rozparty wygodnie w fotelu w kabinie mknącego przestworzami learjeta, popijał gorącą herbatę i czekał, aż steward uprzątnie resztki posiłku. Naprzeciwko Goldmana siedział Alan Porcher, prezes i dyrektor naczelny Grupy RTG, światowego konsorcjum z centralą w Europie Zachodniej. Opalony, szczupły Porcher pieścił w dłoniach kieliszek wina i przyglądał się bacznie prawnikowi.

— Jak wiesz — odezwał się — Triton Global twierdzi, że posiada niezbity dowód przekazywania nam przez jednego z ich pracowników strategicznych dokumentów w jednym z naszych magazynów w Seattle. Można się chyba spodziewać, że wkrótce zgłoszą się do nas ich prawnicy... — Porcher zawiesił głos. — Z twojej kancelarii, rzecz jasna, kancelarii Tylera i Stone'a. Cóż za ironia losu, prawda?

Goldman odstawił filiżankę i splótł ręce na podolku.

— I to cię trapi?

Porcher zrobił zdumioną minę.

- A nie powinno?
- Nie — odparł spokojnie Goldman — ponieważ nie można ci nic zarzucić. Ironia losu, prawda? — dodał.

- Ale dochodzą mnie niepokojące słuchy w związku negocjacjami w sprawie przejęcia CyberComu przez Tritona.

Goldman westchnął i nachylił się do niego.

- Co to za słuchy?
- Że do przejęcia CyberComu może dojść o wiele szybciej, niż nam się wydaje. Że być może nie znamy treści ostatniej wersji oferty, którą ma złożyć Triton. Składając swoją ofertę muszę mieć pewność, że zostanie przyjęta. Drugiej, poprawionej, nie będę miał już okazji złożyć. CyberCom skłania się raczej ku Amerykanom.

186

I

Goldman przekrzywił głowę.

— Nie jestem tego taki pewien. Internet nie zna geopolitycznych granic. Kto może zaręczyć, że nie zaczniesz dominować druga strona Atlantyku?

Porcher pociągnął łyżeczek wina.

— Nie, przy porównywalnych ofertach, CyberCom wybierze zachodnią półkulę — powiedział. — Musimy więc zadbać o to, żeby nasze warunki były nieporównywalnie korzystniejsze. — W oczach dyrektora RTG pojawił się twardy błysk.

Goldman, zanim się odezwał, metodycznie otarł usta chusteczką.

- Powiedz mi z łaski swojej, skąd masz te informacje?

Porcher machnął niecierpliwie ręką.

- Wiatr mi je przyniósł.
- Nie wierzę w wiatry. Wierzę w fakty. A fakty są takie, że znamy ostatnie stanowisko Tritona w tych negocjacjach. Z najdrobniejszymi szczegółami.
- Tak, ale Brophy został teraz odsunięty. Nie mogę się opierać na nieaktualnych informacjach.
- I nie będziesz musiał. Jak powiedziałem, jestem już bliski rozwiązania tego problemu. Kiedy go rozwiążę, a na pewno rozwiążę, będziesz mógł z łatwością przelicytować Tritona i odejść z kontraktem, który na długo zapewni ci dominację na informacyjnej autostradzie.

Porcher spojrzał uważnie na Goldmana.

- Wiesz, Philipie, zastanawiam mnie motywy, dla których z takim zaangażowaniem zajmujesz się tą sprawą. Jeśli uda nam się doprowadzić do fuzji z CyberComem, Triton winą za porażkę z pewnością obarczy twoją kancelarię. Mogą zrezygnować z waszych usług...

- Miejmy taką nadzieję — odparł pogodnie Goldman.
- Chyba cię nie rozumiem.
- Triton Global to największy klient Tylera i Stone'a — podjął pedantycznym tonem prawnik. — Triton Global to klient Henry'ego Whartona. To główny powód, dla którego Henry jest szefem kancelarii. Jeśli Triton zrezygnuje z naszych usług, to kto, według ciebie, zostanie największym szamanem w firmie, a co za tym idzie, prawdopodobnym następcą Whartona na stanowisku

szefa kancelarii?

Porcher wskazał palcem na Goldmana i powiedział:

— Mam nadzieję, że wtedy sprawom RTG kancelaria nada najwyższy priorytet.

187

— To mogę ci chyba obiecać.

Dyrektor RTG odstawił kieliszek i zapalił papierosa.

• Zdradź mi teraz, jak konkretnie zamierzasz rozwiązać ten problem.

• Interesuje cię metoda, czy tylko wynik?

• Zachwyć mnie swoim geniuszem. Przecież wiem, że uwielbiasz to robić. Tylko nie uderzaj w ten cholernie profesorski ton. Uniwersytet ukończyłem wiele lat temu.

• Widzę, że znasz mnie bardzo dobrze — mruknął Goldman.

• Jesteś jednym z niewielu znanych mi prawników, który myśli jak biznesmen. Zwycięstwo jest królem. Pieprzyć prawo!

Goldman przyjął od Porchera papierosa i przypalał go przez chwilę.

— Ostatnio nastąpił zwrot, który daje nam niepowtarzalną okazję do wysunięcia się na prowadzenie — powiedział. — Jesteśmy informowani niemal na bieżąco o wszystkim, co się dzieje w sprawie propozycji przygotowywanych przez Tritona dla CyberComu. Będziemy znali najlepszą i ostateczną ofertę Tritona, zanim zdążą ją przedstawić CyberComowi. Wtedy wmaszerujemy z kilkugodzinnym wyprzedzeniem, zaprezentujemy nasze propozycje i poczekamy spokojnie aż oni przedstawią swoje. CyberCom odrzuci je i staniesz się dumnym właścicielem kolejnego klejnotu w koronie swojego imperium.

Porcher wyciągnął powoli papierosa spomiędzy warg i popatrzył rozszerzonymi oczyma na towarzysza.

• Jesteś w stanie to załatwić?

• Jestem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

• Ostrzegam cię, Lee, on bywa szorstki, ale taka już jego natura. — Frank Hardy zerknął przez ramię na Sawyera. Drzwi rozsunęły się i wysiadłszy z prywatnej windy na ostatnim piętrze biurowca firmy Triton Global, ruszyli obaj długim korytarzem.

• Zabiorę się do niego w jedwabnych rękawiczkach, Frank, obiecuję. Przecież wiesz, że nie mam w zwyczaju napadać na poszkodowanych z kastetem.

Sawyer jeszcze raz wrócił myślami do wyników wywiadu w sprawie Jasona Archera przeprowadzonego na lotnisku. Wysłani

188

tam przez niego ludzie znaleźli dwóch pracowników terminalu, którzy rozpoznali Jasona na zdjęciu. Jeden, zatrudniony w Western Airlines, rano siedemnastego przyjmował od niego torbę na bagaż. Drugi, sprzątac, widział Jasona siedzącego w poczekalni i zotopionego w lekturze gazety. Zapamiętał go, bo Jason ani na chwilę nie rozstawał się ze swoim neseserem. W pewnej chwili wszedł do toalety, ale sprzątac nie widział, jak z niej wychodzi, bo odwołano go do innej części terminalu. Wywiadowcy FBI nie mogli przesłuchać kobiety, która odbierała wejściówki od pasażerów wchodzących na pokład pechowego samolotu, ponieważ była nią jedna ze stewardes Rejsu 3223. Arthura Liebermana, wieloletniego bywalca waszyngtońskiego lotniska, przypominało sobie sporo osób. W sumie przydatnych informacji nie zebrano

wiele.

Sawyer skupił ponownie wzrok na plecach Hardy'ego kroczącego przodem po puszystym chodniku, którym wyłożono korytarz. Niełatwo było się dostać do centrali tego technologicznego giganta. Nadgorliwi pracownicy ochrony Tritona chcieli już dzwonić do Biura, by potwierdzić numer legitymacji Sawyera, ale Hardy zwrócił im ostro uwagę, że nie jest to konieczne i że zasłużony agent specjalny FBI zasługuje na więcej szacunku. Przez cały czas pracy w Biurze Sawyerowi nie przydarzyło się nic podobnego.

- Hej, Frank, ci goście przechowują tutaj złoto w sztabach czy uran 235? — zapytał swojego towarzysza.
- Powiedzmy, że są trochę przewrażliwieni — odparł zakłopotany Hardy.
- Zaimponowali mi. Na widok FBI ludzie robią zazwyczaj w portki. Idę o zakład, że ci tutaj nawet kontrolerom z Izby Skarbowej grają na nosie.
- Były szef Izby Skarbowej jest teraz u nich pierwszym guru od podatków.

• Cholera, rzeczywiście są kryci ze wszystkich stron. Im dłużej myślał Sawyer o profesji, którą sobie wybrał, tym większy ogarniał go niepokój. Informacja była teraz królem, u dostęp do niej zapewniały komputery. Sektor prywatny tak bardzo wyprzedził już technologicznie sferę kontrolowaną przez rząd, że szanse na dogonienie go były praktycznie zerowe. Nawet FBI, wiodące w sektorach publicznych prym pod względem wyposażenia w nowoczesny sprzęt, w świecie, w którym swoje bitwy staczał Triton, egzystowało na szarym końcu listy

189

zaawansowania technicznego. Sawyerowi niezbyt się to podobało. Tylko imbecyl nie zdawałby sobie sprawy, że przestępstwa komputerowe przyćmią wkrótce wszelkie inne przejawy drzemającego w ludziach zła, przynajmniej w przeliczeniu na dolary. Ale ów dolarowy przelicznik również wiele znaczył. Przekładał się na miejsca pracy, mieszkania, szczęście rodzinne. Sawyer zatrzymał się.

— Możesz mi zdradzić, ile rocznie płaci ci Triton?

Hardy odwrócił się.

- A co? Chcesz odłożyć odznakę na półkę i zabrać się za podkradanie mi klientów?
- Badam tylko grunt na wypadek, gdybym kiedyś zdecydował się przyjąć twoją ofertę pracy.

Hardy zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- Mówisz poważnie?
- Człowiek w moim wieku wie już, że nigdy nie mówi się nigdy.
- Powiem tylko, że Triton jako klient jest dla nas wart siedmiocyfrową sumkę, nie licząc okazałych premii, jakie nam wypłacają.

Sawyer gwizdnął cicho.

— Jezu, mam nadzieję, że obrywa ci się z tego jakiś tłusty kąsek, Frank.

Hardy kiwnął krótko głową.

- Owszem. I tobie też by się co nieco obrywało, gdybyś wreszcie zmadrał i przeszedł do mnie.
- Dobra, przypuścimy, że przechodzę... Jaka pensję byś mi wyznaczył? Mniej więcej.
- Pięćset do sześciuset tysięcy za pierwszy rok. Sawyerowi opadła szczęka.
- Zalewasz, Frank.

— Nigdy nie żartuję w kwestii pieniędzy, Lee. I dopóki istnieje przestępczość, nie grozi nam zastój w interesach. — Ruszyli

dalej. — Tak czy inaczej, zastanów się, dobrze?

Sawyer potarł brodę, myśląc o nawarstwiających się długach, o przeciągających się w nieskończoność godzinach pracy i swoim maleńkim pokoiku w Gmachu Hoovera.

• Zastanowię się — mruknął i postanowił zmienić temat. — A więc Gamble gra tu pierwsze skrzypce?

• Niezupełnie. Gamble to niekwestionowany lider Tritona, jednak prawdziwym czarodziejem od spraw technicznych jest tu Cuientin Rowe.

190

• Co to za jeden? Jakiś nawiedzony naukowiec?

• I tak, i nie — odparł Hardy. — Quentin Rowe ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Columbia. Po studiach pracował najpierw w Bell Labs, a potem w Intelu, gdzie zdobył masę nagród za nowatorskie rozwiązania techniczne. W wieku dwudziestu ośmiu lat założył własną firmę komputerową. Przed trzema laty akcje tej firmy były najlepiej sprzedającym się towarem na rynku papierów wartościowych, a sama firma stanowiła najbardziej smakowity kęsek dekady, kiedy Nathan Gamble ją kupował. I to był strzał w dziesiątkę. Quentin jest w Tritonie prawdziwym wizjonerem. To on prze do fuzji z CyberComem. Nie są z Gamble'em najlepszymi przyjaciółmi, ale dokonują razem cudów i Gamble go słucha, jeśli tylko węszy w tym zysk. W każdym razie nie da się zaprzeczyć, że odnoszą ostatnio same sukcesy.

Sawyer kiwnął głową.

• A tak przy okazji, wzięliśmy Sidney Archer pod całodobową obserwację — oświadczył.

• Wnoszę z tego, że rozmowa z nią wzbudziła w tobie jakieś podejrzenia.

• Można to tak nazwać. A do tego, kiedy tam byliśmy, coś bardzo wytrąciło ją z równowagi.

• Co?

• Jakiś telefon.

• Od kogo?

• Nie wiem. Ale ustaliliśmy już, że dzwoniło z budki telefonicznej w Los Angeles. Ten, kto telefonował, może już być w Australii.

— Myślisz, że to był jej mąż?

Sawyer wzruszył ramionami.

— Nasz informator twierdzi, że dzwoniący nie podał swojego prawdziwego nazwiska ojcu Sidney Archer, który odebrał telefon, oraz że Sidney Archer po tej rozmowie wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha.

Hardy przywołał prywatną windę. Kiedy jechali na ostatnie piętro, poprawił sobie w lustrze krawat i przygładził włosy. Garnitur za tysiąc dolarów leżał na nim jak ulał. W mankietach koszuli połykiwały złożone spinki. Sawyer obrzucił byłego partnera pełnym podziwu spojrzeniem, a potem popatrzył na własne odbicie w lustrzanych drzwiach kabiny. Koszula czysta, ale z wystrzępionym kołnierzykiem, zabytkowy krawat sprzed dziesięciu

191

lat. A na domiar wszystkiego ten wieczny kogut, sterczący na głowie jak miniaturowy peryskop.

• Wiesz co, Frank — powiedział z udawaną powagą, spoglądając na wymuskanego Hardy'ego — chyba dobrze, że odszedłeś z Biura.

• Dlaczego?

— Za ładny, cholera, jesteś jak na agenta FBI.

Hardy roześmiał się.



— Skoro już mowa o urodzie, to jadłem wczoraj lunch z Meggie. Ona też ma głowę na karku. Niełatwo dostać się na prawo w Stanford. Wspaniała przyszłość przed nią.

— Pomimo że ma takiego starego chciałeś chyba dodać.

Winda zatrzymała się. Wysiedli.

- Przecież wiesz, Lee, że ja też nie byłem najlepszym ojcem dla mojej dwójki. Nie jesteś jedynym, który opuszczał urodziny.

- Ale chyba o wiele lepiej ode mnie ułożyłeś sobie stosunki z dziećmiakami.

- Tak myślisz? Cóż, studia w Stanford kosztują. Przemysł moją propozycję. Może w ten sposób zyskasz w oczach dzieci. No, jesteśmy.

Hardy przeszedł przez eleganckie szklane, ozdobione sylwetką orła drzwi, które rozsunęły się przed nimi bezszelestnie. Sekretarka, ładna kobieta w słuchawkach na głowie formalnym tonem zapowiedziała przez mikrofon ich przybycie. Wdusiła przycisk na panelu wmontowanym w blat zgrabnej konsoli z drewna i metalu, która bardziej przypominała dzieło sztuki współczesnej niż biurko, po czym wskazała na masywną ścianę z lakierowanego hebanu. Kiedy się tam zbliżyli, fragment ściany podjechał w górę. Sawyer, po raz któryś z rzędu od momentu wkroczenia do biurowca Tritona, pokręcił z podziwem głową.

Zatrzymali się przed biurkiem w gabinecie, do którego bardziej pasowałoby określenie „centrum dowodzenia”. Była tu bateria monitorów telewizyjnych, telefony i inne elektroniczne gadzety wbudowane w błyszczące stoły i imponujące naścienne panele. Mężczyzna siedzący za biurkiem odkładał właśnie słuchawkę telefonu. Odwrócił się do nich.

Hardy dokonał prezentacji.

— Agent specjalny Lee Sawyer z FBI, Nathan Gamble, prezes Triton Global.

Nathan Gamble uściśnął dłoń Sawyera i obaj mężczyźni wymienili powitalne formułki.

192

— Macie już Archera?

Pytanie to zaskoczyło Sawyera w trakcie siadania w fotelu. Zadane zostało tonem przełożonego, który zwraca się do podwładnego, i zjeżyło agentowi włoski na karku. Zanim odpowiedział, przyglądał się przez chwilę badawczo gospodarzowi. Kątem oka dostrzegł niepokój na twarzy byłego partnera preżącącego się na baczność przy wejściu. Rozpiął marynarkę, otworzył notes i spojrzał spokojnie na Gamble'a.

- Muszę panu zadać kilka pytań, panie Gamble. Mam nadzieję, że nie potrwa to długo.

- Nie odpowiedziałeś pan na moje pytanie. — Głos prezesa był tym razem o cień głębszy.

- Nie, nie odpowiedziałem i nie mam zamiaru odpowiadać. — Patrzyli sobie w oczy. W końcu Gamble pierwszy odwrócił wzrok i spojrzał na Hardy'ego.

- Dochodzenie jest w toku, panie Gamble. Biuro nie ma w zwyczaju informować...

Gamble przerwał Hardy'emu niecierpliwym machnięciem ręki.

— No to do rzeczy, bo za godzinę mam samolot.

Sawyer nie mógł zdecydować, kto bardziej go drażni — opryskliwy Gamble, czy pokorny Hardy.

- Panie Gamble, wydaje mi się, że w rozmowie tej powinni również uczestniczyć panowie Quentin Rowe i Richard Lucas — zasugerował Hardy.

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć, Hardy. — Gamble wdusił gniewnie przycisk na konsoli. — Dawać mi tu Rowe'a i Lucasa, natychmiast.

Hardy dotknął ramienia Sawyera.

- Quentin kieruje działem, w którym pracował Archer. A Lucas jest szefem wewnętrznych służb ochrony — wyjaśnił.

- W takim razie masz rację, Frank, z nimi też będę chciał porozmawiać.

Po kilku minutach ściana znów podjechała w górę i do sanktuarium Nathana Gamble'a wkroczyli dwaj mężczyźni. Sawyer, zmierzwiwszy ich przenikliwym wzrokiem, od razu zorientował się, który jest którym. Zasepiona mina, niechętnie spojrzenie rzucone Hardy'emu, i nieznaczne wybrzuszenie pod lewą pachą zdradzały Richarda Lucasa, szefa ochrony Tritona. Quentina Rowe^ Sawyer ocenił na niewiele ponad trzydzieści lat. Rowe miał duże, rozmarzone piwne oczy, a na jego twarzy malował się rozbijający uśmiech. Sawyer doszedł do wniosku, że Nathan

193

Gamble nie mógł sobie znaleźć bardziej nie pasującego do niego współpracownika. Cała grupa zasiadła za wielkim stołem konferencyjnym w rogu mamuciego gabinetu.

Gamble popatrzył na zegarek, a potem przeniósł wzrok na Sawyera.

— Masz pan pięćdziesiąt minut i ani sekundy dłużej, Sawyer. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś ważnego. Ale chyba nic z tego nie będzie. Może byś mnie pan wyprowadził z błędu?

Sawyer przygryzł wargę i stężał, ale po chwili opanował się. Spojrzał na Lucasa.

— Kiedy zaczął pan podejrzewać Archera? — zapytał.

Lucas zmieszał się i poprawił w fotelu. Najwyraźniej, jako główny ochroniarz firmy, czuł się upokorzony ostatnimi wypadkami.

- Pierwszym takim konkretnym sygnałem była kasetka wideo ze scenką, w której Archer dokonuje wymiany w Seattle.

- Ta, którą zarejestrowali ludzie Franka? — Sawyer patrzył na Lucasa, czekając na jego potwierdzenie.

Mroczna mina Lucasa mówiła sama za siebie.

- Tak. Ale już wcześniej miałem pewne podejrzenia co do Archera.

- Czyżby? — wtrącił Gamble. — Nie przypominam sobie, żebyś napomykał mi o tych podejrzeniach. Nie płacę ci takiej kupy szmalu za trzymanie gęby na kłódkę.

Sawyer nie spuszczał wzroku z Lucasa. Gość powiedział za dużo, a prawdopodobnie nie miał nic na poparcie swojego twierdzenia. Sawyer ze służbowego obowiązku musiał to wyjaśnić.

— Co to były za podejrzenia?

Lucas nie ochłonął jeszcze po reprimendzie szefa. Spojrzał tępo na agenta.

- Właściwie to tylko przeczucia. Nic konkretnego. Nos. Wie pan, o co chodzi.

- Wiem.

- Dużo pracował. W różnych godzinach. Interesująco wyglądały pory, w jakich rejestrował się w sieci ze swojego komputera, tyle mogę powiedzieć.

Gamble poprawił się na krześle.

- Nie zatrudniam obiboków. Osiemdziesiąt procent mojego personelu pracuje po siedemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu godzin tygodniowo, i to przez okrągły rok.

- Jak rozumiem, nie wierzy pan w krasnoludki?

194

— Stawiam swoim pracownikom wysokie wymagania, ale godziwie im to rekompensuję. Każdy kierownik wyższego szczebla w tej firmie jest milionerem. A większość z nich nie przekroczyła jeszcze czterdziestki. — Wskazał głową na Quentina

Rowe'a. — Nie powiem, za ile go wykupiłem, ale gdyby zechciał nabyć jakąś wysepkę, wybudować na niej rezydencję, założyć sobie harem i sprawić prywatny odrzutowiec, to stać by go było na to bez pożyczania choćby centa i jeszcze by mu zostało na posyłanie wnuków do najlepszych uniwersytetów i na utrzymywanie floty limuzyn. Rzecz jasna nie oczekuję, że federalny biurokrata zrozumie niuanse wolnego rynku. No, zostało mi jeszcze czterdzieści siedem minut czasu.

Sawyer obiecał sobie, że więcej nie dopuści Gamble'a na tak długo do głosu.

— Wiadomo już coś bliższego na temat tego przekrętu z kontem bankowym? — Sawyer spojrzał pytająco na Hardy'ego.

Hardy skinął głową.

— Skontaktuję cię z agentami Biura, którzy prowadzą tę sprawę — obiecał.

Gamble rąbnął pięścią w stół i dygocząc z furii wlepił wściekły wzrok w Sawyera, jakby to on osobiście go ograbił.

— Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów!

Niezręczne milczenie, jakie zaległo po tym wybuchu szefa Tritona, pierwszy przerwał Sawyer:

- Słyszałem, że Archer kazał założyć w drzwiach swojego gabinetu jakieś dodatkowe zabezpieczenia.

- Zgadza się — przytaknął Lucas, jeszcze bardziej blednąc. — Założył.

- Będę chciał później obejrzeć ten jego gabinet. Jakiego rodzaju to były zabezpieczenia?

Wszyscy spojrzeli na Lucasa. Sawyer widział niemal pot zraszający dłoń szefa ochrony.

- Parę miesięcy temu zamówił do drzwi swojego gabinetu cyfrowy panel numeryczny i automatyczny zamek otwierany inteligentną kartą, podłączony do alarmu.

- Było w tym coś niezwykłego, czy też zmusiła go do tego konieczność? — spytał Sawyer. W tę konieczność nie chciało mu się jakoś wierzyć. Zbyt wiele przeszkód trzeba było pokonać, żeby w ogóle dostać się do budynku.

- Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne. Mamy najlepsze systemy zabezpieczenia w całym przemyśle. — Lucas wzdrygnął

195

się wyraźnie, kiedy Gamble skwitował to oświadczenie głośnym chrząknięciem. — Ale nie powiedziałbym, żeby było w tym coś niezwykłego. Inni pracownicy też mają podobnie zabezpieczone drzwi.

— Jak już pan pewnie zauważył, panie Sawyer — wtrącił się Rowe — wszyscy w Tritonie są bardzo uczuleni na punkcie bezpieczeństwa. Zatrudnionym tu ludziom wbija się do głowy, że tam, gdzie w grę wchodzi zaawansowana technologia, ostrożności nigdy za wiele. Frank przychodzi do nas co kwartał i przeprowadza na ten temat szkolenia. Jeśli ktoś ma problem dotyczący bezpieczeństwa, zwraca się do Richarda albo któregoś z jego ludzi, ewentualnie do Franka. Zdarzało się to w przeszłości i dzięki temu udawało nam się eliminować w zarodku wiele potencjalnych poważnych problemów.

Sawyer spojrzał na Hardy'ego, który pokiwał potakująco głową.

- Ale po zniknięciu Archera mieliście kłopoty z dostaniem się do jego gabinetu. Musicie przecież mieć jakąś procedurę postępowania w podobnych przypadkach, dajmy na to w razie choroby, śmierci albo odejścia pracownika.

- Jest taka procedura — przyznał Lucas.

- Jason najwyraźniej ją obszedł — powiedział Rowe z nutką podziwu w głosie.

- Jak?

Rowe spojrzał z westchnieniem na Lucasa.

- W myśl obowiązujących w firmie przepisów, kod wprowadzony do indywidualnego systemu bezpieczeństwa w miejscu pracy trzeba zdeponować u szefa ochrony — wyjaśnił. — U Richa. Poza tym cały personel ochrony i wyższe kierownictwo dysponują uniwersalnymi kartami magnetycznymi, które umożliwiają wstęp do każdego pomieszczenia w tym budynku.

- Czy Archer zdeponował swój kod?
- Zdeponował go u Richa, ale potem przeprogramował czytnik kart przy drzwiach swojego gabinetu, wprowadzając do niego inny kod.
- I nie wykryto wcześniej tej zmiany? — Sawyer spojrział z niedowierzaniem na Lucasa.
- Nikomu nie przyszło do głowy, że mógł zmienić kod — odparł Rowe. — W normalnych godzinach pracy drzwi gabinetu Jasona stały zwykle otworem. A po godzinach nikt, poza Jasonem, nie miał tam nic do szukania.
- No dobrze, przejdźmy teraz do informacji, które Archer

196

przekazał przypuszczalnie Grupie RTG. Jak wpadły mu w ręce? Miał do nich legalny dostęp?

- Do niektórych. — Quentin Rowe poprawił się nerwowo na krześle i pogładził po kucyku. — Jason wchodził w skład zespołu przygotowującego fuzję z CyberComem. Jednak w sprawy omawiane na wyższym poziomie negocjacji nie był wprowadzany. Do wtajemniczonych należeli tylko Nathan, ja i jeszcze trzech dyrektorów naszej firmy. No i naturalnie zewnętrzny zespół doradców prawnych.

- Gdzie przechowywano te informacje? — spytał Sawyer. — W szafce na akta? W sejfie?

Rowe i Lucas wymienili pobłażliwe uśmiechy.

- Nasze biuro praktycznie nie używa papieru — odparł Rowe. — Wszystkie ważniejsze dokumenty przechowywane są w komputerowych plikach.

- Zakładam, że te pliki są odpowiednio zabezpieczone. Na przykład hasłem.

- Żeby tylko hasłem — mruknął Lucas.
- A jednak wychodzi na to, że Jason jakoś się do nich włamał — odparował Sawyer.

Lucas skrzywił się, jakby połknął cytrynę.

Quentin Rowe przetarł chusteczką okulary.

— Tak, włamał się. Chciałby pan zobaczyć jak?

Grupka mężczyzn stłoczyła się w małym, zagraconym magazynku. Rowe, Hardy i Sawyer przyglądali się, jak Richard Lucas odsuwa pudła piętzące się pod ścianą. Nathan Gamble nie chciał / nimi iść. Lucas odsłonił wreszcie gniazdko zastawione do tej pory pudłami. Quentin Rowe podszedł do stojącego w kącie komputera i chwycił wiązkę odbiegających od niego kabli.

- Jason podpiął się z tej stacji roboczej do naszej lokalnej sieci — powiedział.
- Dlaczego nie skorzystał zwyczajnie z komputera, który ma w gabinecie?

Rowe zaczął kręcić głową, zanim Sawyer wypowiedział to pytanie do końca.

— Rejestrując się w sieci z własnego komputera — wyjaśnił Lucas — musiałby przebrnąć przez szereg zabezpieczeń. Zabezpieczenia te nie tylko weryfikują użytkownika, ale również ustalają jego tożsamość. Każda stacja robocza w tym budynku wyposażona

jest w skaner tęczówki oka, który bada wstępnie wzór tęczówki użytkownika. Potem skaner ten sprawdza w regularnych odstępach czasu oko operatora, celem potwierdzenia jego tożsamości. Gdyby Archer odszedł od biurka, a na jego miejscu usiadł ktoś inny, system odciałby automatycznie tę stację... A co w tym wszystkim najważniejsze, gdyby Archer próbował dostać się do jakiegokolwiek pliku z własnego komputera, wiedzielibyśmy, że to robił.

- Skąd? — spytał Sawyer.

- Nasza sieć wyposażona jest w funkcję etykietowania. Tego rodzaju atrybuty posiada większość systemów. Jeśli użytkownik realizuje dostęp do jakiegoś pliku, system automatycznie rejestruje ten fakt. Korzystając z tej stacji roboczej — Quentin pokazał na stary komputer — która nie jest włączona do sieci, a więc nie posiada numeru identyfikacyjnego nadawanego przez administratora sieci, Jason obszedł to niebezpieczeństwo. Praktycznie był to dla naszej sieci komputer-widmo. Za pośrednictwem komputera zainstalowanego w swoim gabinecie Jason zlokalizował prawdopodobnie interesujące go pliki nie realizując dostępu do nich. Mógł to zrobić na przykład podczas przerwy na lunch. Skrócił dzięki temu do niezbędnego minimum czas przebywania tutaj, zmniejszając w ten sposób ryzyko przyłapania na gorącym uczynku.

Sawyer pokręcił głową.

— Chwileczkę. Skoro Archer nie dobierał się do tych plików z własnej stacji roboczej, bo zostałby zidentyfikowany, a skorzystał z tej, żeby uniknąć identyfikacji, to skąd wiadomo, że właśnie on majstrował przy tych plikach?

Hardy wskazał na klawiaturę.

- Stary, niezawodny sposób. Zdjęliśmy stąd mnóstwo odcisków palców. Wszystkie należą do Archera.

- No dobrze, ale skąd wiadomo, że z tej stacji roboczej dobierano się w ogóle do jakichś plików?

Lucas przysiadł na jednym z pudeł.

— Od jakiegoś czasu stwierdzaliśmy przypadki wchodzenia do systemu bez upoważnienia. Pomimo że Archer, aby zarejestrować się w systemie z tej jednostki, nie musiał przechodzić przez procedurę identyfikacji, to i tak, realizując z niej dostęp do plików, pozostawiał ślad. Taki ślad można wymazać elektronicznie podczas wychodzenia z systemu, ale nie jest to takie proste. Według mnie Archer tak właśnie robił. To znaczy, na początku. Potem tego zaniechał. W końcu natrafiliśmy na ten ślad i z czasem, choć trochę to trwało, trafiliśmy po nim jak po nitce właśnie tutaj.

198

Hardy założył ręce na piersi.

- Coś takiego! Tyle czasu, wysiłku i pieniędzy włożyliście w zabezpieczenie swoich sieci przed intruzami. Stalowe drzwi, strażnicy, systemy elektronicznego monitorowania, inteligentne karty, i co tam jeszcze. A tu proszę... — Spojrzał na sufit. — Zdejmowane płyty sufitowe, więc kable spinające całą waszą sieć biegną praktycznie wierzchem i aż się proszą, żeby się pod nie podłączyć. — Pokręcił zde gustowany głową i spojrzał na Lucasa. — Wytykałem wam już dawno to niedopatrzenie.

- To był nasz pracownik — zaperzył się Lucas. — Znał system i wykorzystał tę wiedzę, żeby się do niego włamać. — Zawahał się na chwilę. — A potem dokonał zbrodniczego zamachu na pełen ludzi samolot. Nie zapominaj o tym.

Dziesięć minut później byli z powrotem w gabinecie Gamble'a. Gospodarz nie podniósł nawet wzroku, kiedy wchodzili. Sawyer usiadł.

— No dobrze. Czy wyszły na jaw jakieś nowe okoliczności

obciążające RTG? — spytał.

Na dźwięk nazwy konkurencyjnej firmy Gamble poczerwieniał na twarzy.

- Żadnemu złodziejowi, który mnie okrada, nie ujdzie to na sucho — warknął.

- Nie ma dowodów na związki Jasona Archera z RTG. Na razie to tylko spekulacje — zauważył spokojnie Sawyer.

Gamble przewrócił dramatycznie oczami.

— Właśnie! Czaj się pan dalej, żeby czasem nie stracić swojej nędznej posadki, a ja wezmę się do tego na poważnie.

Sawyer zamknął notes i podniósł się z fotela, prostując na całą wysokość. Hardy chciał go przytrzymać za połą marynarki, ale agent osadził go w miejscu spojrzeniem, które Hardy pamiętał jeszcze z rozmaitych zatargów w Biurze. Sawyer przeniósł wzrok / . powrotem na Gamble'a.

- Mam jeszcze dziesięć minut, Sawyer. Ponieważ nie wygląda na to, żebyś miał mi pan coś istotnego do zakomunikowania, pojedę na lotnisko trochę wcześniej. — Gamble wstał i ruszył do wyjścia, ale kiedy mijał agenta FBI, ten chwycił go mocno za ramię i wyszedł razem z nim do recepcji.

- Przepraszamy panią na minutkę — powiedział, spoglądając na sekretarkę.

199

Kobieta zerknęła z wahaniem na Gamble'a.

— Powiedziałem, przepraszamy! — warknął Sawyer.

Sekretarka poderwała się i wybiegła z pokoju.

— Wyjaśnijmy sobie parę spraw, Gamble — zwrócił się Sawyer do prezesa. — Po pierwsze, nie będę tutaj zdawał raportów ani tobie, ani nikomu innemu. Po drugie, ponieważ wszystko wskazuje na to, że jeden z twoich pracowników dokonał zamachu bombowego na samolot pasażerski, zadam ci tyle pytań, ile uznam za stosowne, i gównie mnie obchodzi twój plan podróży. A jeśli jeszcze raz mnie poinformujesz, ile minut ci zostało, zerwę ci z ręki ten pieprzony zegarek i wpakuję ci go do gardła. Nie zaliczam się do grona twoich przydupasów i nie waż się więcej odzywać do mnie w ten sposób. Jestem agentem FBI, i to cholernie dobrym agentem. Strzelały do mnie, dźgały mnie nożem, kopały i gryzły prawdziwe psychopatyczne dupki, przy których w swoich najlepszych dniach wyglądałbyś jak najpotulniejsza trusia. Jeśli więc wydaje ci się, że te twardzielskie popisy robią na mnie wrażenie, to marnujesz tylko czas... w tym również własny. A teraz wracaj tam i siadaj, kurwa, na dupie.

Dwie godziny później Sawyer zakończył rozmowę z Gamble'em i resztą. Trzydzieści kolejnych minut zajęły mu oględziny gabinetu Archera. Zapieczętował go następnie i wezwał ekipę dochodzeniową. Obejrzał przy okazji sprzęt komputerowy Archera, ale nie znał się na tym na tyle, żeby stwierdzić jakies braki. Zauważył jedynie, że po mikrofonie został tylko mały, srebrzony wtyk.

Skończywszy, ruszył z Hardym do wind.

— Widzisz, Frank, mówiłem ci, że nie ma co robić w portki. Jakoś dogadaliśmy się z Gamble'em.

Hardy parsknął głośnym śmiechem.

- Chyba nigdy jeszcze nie widziałem jego twarzy w tym odcieniu bieli. Coś ty mu, kurczę, powiedział?

- Ze uważam go za wybitną indywidualność. Zażenował go widocznie mój szczerzy podziw. Wiesz — podjął Sawyer, kiedy doszli do wind — niczego pozytecznego się tu nie dowiedziałem. Oczywiście, domniemana zbrodnia stulecia w wykonaniu Archera

może pobudzać wyobraźnię, ale ja wolałbym go widzieć w więziennej celi.

- Cóż, ci ludzie są w szoku. Na pewno nie przywykli do tego

200

rodzaju doświadczeń. Wiedzą, co się stało i jak do tego doszło, ale jest już po fakcie.

Sawyer oparł się o ścianę i zaczął sobie masować czoło.

— Zdajesz sobie pewnie sprawę, że nie ma żadnych dowodów, które łączyłyby Archera z zamachem na samolot.

Hardy kiwnął potakująco głową.

• Mówiłem wcześniej, że Archer mógł wykorzystać osobę Liebermana do zatarcia za sobą śladu, ale na to również nie ma dowodu. Jeśli jedno z drugim nie ma nic wspólnego, to Archer jest w czepku urodzony, skoro nie wsiadł do tego samolotu.

• Jeśli tak się sprawy mają, samolot musiał załatwić ktoś inny — mruknął Sawyer.

Chciał już nacisnąć guzik przywołania windy, ale Hardy chwycił go za rękaw.

• Zaraz, Lee, jeśli interesuje cię moje skromne zdanie, to nie sądzę, żeby twoim największym problemem było dowiedzenie udziału Archera w zamachu na samolot.

• A co jest moim największym problemem, Frank?

• Znalezienie go — powiedział Hardy, po czym odwrócił się i oddalił, zostawiając Sawyera przy windach.

• Panie Sawyer? — dobiegło agenta wołanie. — Ma pan chwilę czasu?

Sawyer obejrzał się. Korytarzem nadchodził Quentin Rowe.

• Czym mogę służyć, panie Rowe?

• Proszę mi mówić Quentin... — Rowe urwał i rozejrzał się płochliwie dookoła. — Chciałby pan może zwiedzić nasze zakłady produkcyjne?

Sawyer zrozumiał w lot jego intencje.

— W porządku. Jasne.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Do piętnastokondygnacyjnego biurowca Tritona przylegał znacznie niższy, trzykondygnacyjny budynek o powierzchni dobrych pięciu akrów. Sawyer przypiął sobie plakietkę gościa, którą wydano mu przy głównym wejściu, i ruszył za Rowe'em przez liczne punkty kontrolne. Rowe był tu najwyraźniej dobrze znany i lubiany. Świadczyły o tym serdeczne pozdrowienia, których nie szczędzili mu napotykanii po drodze pracownicy Tritona. Zatrzymali się przed szklaną ścianą. Za nią znajdowała się wielka sala,

201

w której pracowali laboranci w białych fartuchach, rękawiczkach i maskach na twarzy.

Sawyer spojrzał z uznaniem na Rowe'a.

— Rany, to mi bardziej przypomina salę operacyjną niż fabryczną halę.

Rowe uśmiechnął się.

• Powiem więcej. W tym pomieszczeniu jest o wiele czystiej niż na jakiegokolwiek szpitalnej sali operacyjnej. — Przez chwilę z rozbawieniem obserwował reakcję Sawyera. — Ci technicy testują właśnie nową generację mikroprocesorów. Środowisko musi być idealnie sterylne, absolutnie bezpyłowe. Prototypy te, po osiągnięciu pełnej funkcjonalności, będą mogły wykonać dwa TIPS-y.

• Jasny gwint — mruknął z nieszczerym podziwem Sawyer.

Nie miał zielonego pojęcia, co oznacza ten akronim.

- TIPS to skrót od *Trillion Instructions Per Second*, czyli trylion instrukcji na sekundę.

Sawyer spojrzął na Rowe'a ze zdumieniem.

- Po cholere komu taka szybkość?
- Zdziwiłby się pan. Mogę wymienić na poczekaniu sążnistą listę zastosowań inżynierskich. Wspomagane komputerowo projektowanie samochodów, samolotów, statków, promów kosmicznych, budynków, wszelkiego rodzaju procesów technologicznych. Weźmy na przykład taką firmę jak General Motors: asortyment zapasów magazynowych liczony w tysiącach pozycji, milionach sztuk, setki tysięcy zatrudnionych, tysiące zakładów produkcyjnych. Można się w tym pogubić. Pomagamy takim firmom działać efektywniej. — Wskazał na inną halę. — Tam testowana jest nowa linia napędów dysków twardej. Kiedy trafią w przyszłym roku na rynek, będą niedoścignione pod względem pojemności i czasu dostępu. Ale już po roku staną się przestarzałe. — Zerknął na Sawyera. — Pod jakim systemem operacyjnym pracujecie?

Sawyer wsunął rękę do kieszeni.

- Nie wiem, czy pan o takim słyszał... Smith Corona?

Rowe zrobił wielkie oczy.

- Żartuje pan.

— Założyć tylko nową taśmę i komputer chodzi jak złoto — obruszył się Sawyer.

Rowe pokręcił głową.

— Przyjacielskie ostrzeżenie: w nadchodzących latach człowiek nie potrafiący posługiwać się komputerem nie będzie w sta-

## 202

nie funkcjonować w społeczeństwie. Ale bez obaw. Obecne systemy są nie tylko przyjazne użytkownikowi, są, bez urazy, przyjazne nawet idiotcie.

Sawyer westchnął.

- Coraz szybsze komputery, cały ten Internet czy jak mu tam, który rozrasta się w obłąkańczym tempie, sieci, pagery, telefony komórkowe, telefaksy. Jezu, kiedy to się skończy?

- Ponieważ to moja branża, mam nadzieję, że nigdy.

— Czasami zmiany zachodzą zbyt szybko.

Rowe uśmiechnął się pobłażliwie.

- Zmiany, które zachodzą teraz na naszych oczach, to nic w porównaniu z tym, co zacznie się za kilka lat. Stoimy u progu technologicznych przełomów jeszcze przed kilkoma laty zupełnie niewyobrażalnych. — Oczy Rowe'a zaszły marzycielską mgiełką, wybiegał myślą następne stulecie. — To, co nazywamy dziś Internetem, wkrótce odejdzie do lamusa. Triton Global będzie odgrywał w tym wyścigu ogromną rolę. A jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, nawet wiodącą. Edukacja, ergonomia miejsca pracy, podróże, rozrywka, żywienie, stosunki międzyludzkie, produkcja... wszystko co robia albo z czego korzystają ludzie, ulegnie transformacji. Problemy związane z ubóstwem, uprzedzeniami, przestępczością czy chorobami zmiecie lawina informacji. Zniknie ignorancja. Wiedza tysiąca bibliotek, suma największych umysłów świata — każdy będzie miał do nich łatwy dostęp. W końcu komputery, z których obecnie korzystamy, przejdą metamorfozę i połączą się w jedno ogromne, interaktywne łącze o nieograniczonym potencjale. — Zerknął na Sawyera sponad oprawek okularów. — Cała światowa wiedza, rozwiązania każdego problemu, będą dla każdego w zasięgu naciśnięcia jednego klawisza. To naturalny następny krok.

- I jedna osoba będzie mogła wycisnąć to wszystko z komputera? — spytał sceptycznie Sawyer.

- Czyż to nie zachwycająca wizja?

- Mnie tam przeraża.



- A co w tym przerażającego? — zdziwił się Rowe.
- Może scyniczałem trochę przez te dwadzieścia parę lat robienia tego, co robię, ale kiedy mówi mi pan, że każdy człowiek będzie mógł dotrzeć do wszystkich tych informacji, to wie pan, co w pierwszym rzędzie przychodzi mi do głowy?
  - Nie, co takiego?
  - A jeśli to będzie czarny charakter i jednym naciśnięciem

klawisza wymaże całą wiedzę świata? — Sawyer pstryknął palcami. — O tak. Wszystko zniszczy alpb tylko pochachmęci. Jak będziemy wtedy, cholera, wyglądali?

Rowe uśmiechnął się.

— Korzyści płynące z rozwoju technologii przewyższają wszelkie potencjalne zagrożenia. Może się pan ze mną nie zgadzać, ale nadchodzące lata pokażą, że mam rację.

Sawyer podrapał się po potylicy.

— Jest pan chyba za młody, żeby to pamiętać, ale proszę sobie wyobrazić, że w latach pięćdziesiątych też nikt nie przewidywał wystąpienia w przyszłości większych problemów z nielegalnym obrotem środkami odurzającymi.

Ruszyli dalej.

- Na zachodzie mamy jeszcze pięć takich zakładów produkcyjnych — powiedział Rowe.
- Musi to was sporo kosztować.
- Owszem. Na sam dział rozwojowo-badawczy wydajemy ponad dziesięć miliardów dolarów rocznie.

Sawyer gwizdnął.

— Sypie mi tu pan jak z rękawa sumami, których wielkości nawet nie próbuję ogarnąć. Naturalnie jestem tylko zwykłym urzędasem, który pierdzi w stołek i dłubie w nosie za państwową pensyjkę.

Rowe uśmiechnął się znowu.

- Nathan Gamble uwielbia traktować ludzi z góry. Ale w pańskim przypadku trafiła chyba kosa na kamień. Z oczywistych powodów nie nagrodziłem pańskiego występu oklaskami, ale miałem wielką ochotę to zrobić.
- Hardy powiedział mi, że miał pan własną, dobrze stojącą na giełdzie firmę. Wolno zapytać, jak to się stało, że związał się pan z Gamble'em?
  - Chodziło oczywiście o pieniądze. — Rowe szerokim gestem objął zakłady, w których się znajdowali. — To wszystko kosztuje miliardy dolarów. Moja firma była wysoko notowana na giełdzie, ale tam jest mnóstwo takich wysoko notowanych firm. Ludzie chyba nie rozumieją, że kiedy giełdowa cena jednej akcji firmy w dniu debiutu wynosi dziewiętnaście dolarów, a po niecałym miesiącu skacze do stu sześćdziesięciu dolarów, to jej założyciele nie oglądają ani centa z tej różnicy. Idzie ona do kieszeni tych, którzy wykupili akcje.
  - Miał pan na pewno jakiś pakiet akcji swojej firmy.

204

- Miałem, ale przepisy komisji papierów wartościowych są jakie są, do tego dochodzą warunki stawiane przez subskrybenta, no i w rezultacie nie mogłem sprzedać ani jednej akcji. Na papierze byłem wart fortunę, a mimo to moja firma ledwie zipała. Dobijały nas sumy, jakie trzeba było przeznaczać na rozwój i badania, nic nie zarabialiśmy — dokończył gorzko Rowe.
  - I dlatego połączył się pan z Nathanem Gamble'em?
  - Prawdę mówiąc, Nathan zainwestował w moją firmę na samym początku jej istnienia, zanim jeszcze złożyliśmy ofertę publiczną. Wyłożył kapitał na rozruch. Dał nam też coś, czego

bardzo potrzebowaliśmy: wiarygodność na Wall Street, na rynkach kapitałowych. Doskonały, solidny wizerunek. Wizerunek firmy skazanej na sukces. Kiedy złożyliśmy ofertę publiczną, on również otrzymał swój pakiet akcji. Ale później postanowiliśmy wycofać firmę z giełdy.

- I jak pan teraz ocenia tę decyzję?
- Z finansowego punktu widzenia okazała się niewiarygodnie trafna.

- Ale pieniądze to nie wszystko, prawda, panie Rowe?
- Też tak czasami myślę.

Sawyer oparł się plecami o ścianę, założył ręce na piersi i spojrzął Rowe'emu w oczy.

- To naprawdę interesująca wycieczka, ale coś mi się zdaje, że nie tylko dla zwiedzania mnie pan tu przyprowadził.

- Nie tylko. — Rowe przesunął kartę magnetyczną przez czytnik przy pobliskich drzwiach i przekraczając próg skinął na Sawyera, żeby szedł za nim. Weszli do pokoju i usiedli przy małym stoliku. Rowe zbierał przez chwilę myśli.

- Gdyby, zanim to wszystko wyszło na jaw, spytał mnie pan — zaczął — kogo podejrzewałbym o sprzedaż naszych tajemnic, nazwisko Jasona Archera nigdy nie przyszłoby mi do głowy. — Rowe zdjął okulary i przetarł je chusteczką wyciągniętą / z kieszonki koszuli.

- A więc ufał mu pan?

- Bezgranicznie.

- A teraz?

- Teraz myślę, że byłem w błędzie. Właściwie to czuję się zdradzony.

- Rozumiem. Jak pan myśli, czy jeszcze ktoś z pracowników firmy mógł być zamieszany w tę aferę?

- Boże, mam nadzieję, że nie. — Rowe był wstrząśnięty tą

205

sugestią. — Skłaniałbym się raczej do sądu, że Jason robił to sam, ewentualnie przy pomocy kogoś z konkurencji. To chyba o wiele sensowniejsze założenie. Poza tym Jason z zamkniętymi oczami potrafiłby się włamać do systemu komputerowego Bank-Trust. To wcale nie jest takie trudne.

— Mówi pan tak, jakby miał w tym kierunku jakieś doświadczenie.

Rowe poczerwieniał.

- Powiedzmy, że zżerała mnie kiedyś niezaspokajalna ciekawość. Buszowanie po czyichś bazach danych stanowiło w college^ ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Osiągaliśmy w tym z kolegami z roku całkiem niezłe wyniki, chociaż władze uczelni oczywiście nie pochwalały uprawianego przez nas procederu. Jednak nigdy niczego nie ukradliśmy. Pomagałem nawet prowadzić szkolenia z metod wykrywania przestępstw komputerowych i zapobiegania im dla grupy policyjnych techników.

- Czy któryś z nich pracuje teraz w waszych służbach ochrony?

- Ma pan na myśli Richarda Lucasa? Nie, on chyba jest u Gamble'a od początku. Jest bardzo dobry w tym, co robi, choć nie najsympatyczniejszy w obejściu. Ale nie na wzbudzeniu sympatii polega jego praca.

- A mimo wszystko Archer wyprowadził go w pole.

- On wyprowadził w pole nas wszystkich. Nie czuję się upoważniony do wskazywania palcem winnych.

- Czy teraz, z perspektywy czasu i zaistniałych okoliczności, przypomina pan sobie coś podejrzanego w zachowaniu Jasona Archera?

- Z perspektywy czasu wszystko wygląda inaczej. Ja sam

najlepiej o tym wiem. Nawet się już nad tym zastanawiałem i przypominam sobie, że Jason wykazywał żywe zainteresowanie przebiegiem negocjacji z CyberComem.

- Przecież brał w nich udział.
- Nie o to mi chodziło. Zadawał mnóstwo pytań nawet na temat tych rozmów, w których nie uczestniczył.
- Co to były za pytania?
- Na przykład, czy uważam warunki umowy za uczciwe. Czy według mnie dojdzie do porozumienia stron. Jaka będzie jego rola, kiedy to się stanie. I tak dalej.
- Czy wypytywał kiedykolwiek o jakieś poufne ustalenia związane z kontraktem?

206

- Nie wprost.
- Najwyraźniej dowiadywał się wszystkiego, co go interesowało, z systemu komputerowego.
- Na to by wyglądało.  
Zamilkli na chwilę i zapatrzyli się w przestrzeń.
- Domyśla się pan, gdzie może być teraz Archer?  
Rowe pokręcił głową i powiedział:
- Złożyłem wizytę jego żonie, Sidney.
- Poznałem ją już.  
— W głowie się nie mieści, że tak po prostu je porzucił. Ma córeczkę. Śliczna dziewczynka.
- Może wcale nie planował, że je porzuci.  
Rowe spojrzał na niego dziwnie.
- Co pan przez to rozumie?
- Że może zamierza po nie wrócić.
- Jest teraz ścigany przez prawo. Po co miałby wracać? Zresztą Sidney nie chciałaby mieć z nim nic do czynienia.
- Dlaczego?
- Bo stał się przestępcą. Ona jest prawnikiem.
- Może to pana zaskoczy, panie Rowe, ale z niektórych prawników nie są takie znowu aniołki.
- Chce pan powiedzieć... chce pan powiedzieć, że podejrzewa Sidney Archer o udział w całej tej aferze?
- Chcę powiedzieć, że nie wyeliminowałem jeszcze ani jej, ani nikogo innego z grona podejrzanych. Jest prawnikiem Tritona. Zajmowała się sprawą przejęcia CyberComu. Miała idealne warunki po temu, by podkraść tajemnice i odsprzedawać je RTG. Diabli wiedzą. Muszę to wyjaśnić.  
Rowe założył z powrotem okulary i nerwowo przetarł dłonią szklany blat stolika.  
— Aż się nie chce wierzyć, że Sidney mogłaby być w to zamieszana — powiedział. W jego głosie nie było jednak przekonania.  
Sawyer przyjrzał mu się uważnie.  
— Panie Rowe, czy chce mi pan może coś powiedzieć na temat Sidney Archer?  
Rowe westchnął i podniósł wzrok na Sawyera.  
— Jestem pewien, że po katastrofie samolotu Sidney była w gabinecie Jasona w biurowcu Tritona.  
Sawyer zmrużył oczy.  
— Jaki ma pan na to dowód?

207

- W wieczór poprzedzający rzekomy wylot Jasona do L.A. pracowałem z nim do późna w jego gabinecie nad pewnym projektem. Wyszliśmy razem. Zamknął za mną drzwi i włączył alarm. Od tamtej pory gabinet pozostawał zamknięty aż do chwili, kiedy wezwani przez nas ludzie z firmy konserwacyjnej wyłączyli alarm

i otworzyli drzwi.

- No i...?

• Kiedy wchodziliśmy do gabinetu, zauważyłem natychmiast, że mikrofon przytwierdzony na wysięgniku do komputera Jasona jest odgięty. Tak jakby ktoś niechcący go potrącił, a potem próbował naprostować.

- Skąd przypuszczenie, że tym kimś była Sidney Archer?

Może Jason wrócił tam jeszcze tego wieczoru?

• Gdyby wrócił, zostałyby to zarejestrowane zarówno elektronicznie, jak i przez strażnika ochrony. — Rowe zamilkł, wracając pamięcią do wieczornej wizyty złożonej przez Sidney w biurze. Po chwili rozłożył ręce. — Inne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy. Ona czegoś tam szukała. Twierdziła, że nie wchodziła do strefy chronionej, ale ja jestem pewien, że tam była.

Strażnik chyba ją krył. A Sidney uraczyła mnie jakąś wymyśloną na poczekaniu historią o umówionym spotkaniu z sekretarką Jasona, od której miała jakoby odebrać jakieś jego rzeczy osobiste.

- I nie brzmi to przekonująco?

• Brzmiałoby, gdybym nie zapytał potem Kay Vincent, tej sekretarki Jasona, czy ostatnio rozmawiała z Sidney. Powiedziała, że owszem, rozmawiała, ze swojego domu, tego samego wieczoru, kiedy Sidney przyszła do biura. Ona wiedziała, że nie zastanie tam Kay.

Sawyer odchylił się na oparcie fotela.

— Żeby zainicjować proces dezaktywacji alarmu w drzwiach gabinetu Jasona, trzeba mieć specjalną mikroprocesorową kartę — ciągnął Rowe. — Poza tym trzeba znać czterocyfrowy kod dostępu, bo jeśli się go nie wprowadzi, alarm się włączy. Zresztą włączył się, kiedy za pierwszym razem usiłowaliśmy się tam dostać. Tak właśnie odkryliśmy, że Jason zmienił kod. Tego wieczoru, kiedy do biura przyszła Sidney, zastanawiałem się nawet, czy nie spróbować jeszcze raz, ale doszedłem do wniosku, że to beznadziejna sprawa. Miałem co prawda kartę uniwersalną, ale nie znając kodu też wyzwoliłbym alarm. — Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. — Sidney mogła mieć dostęp do karty Jasona i mogła się od niego dowiedzieć kodu. Własnym uszom nie

208

wierzę, że to mówię, ale ona jest w coś zamieszana, tylko nie wiem w co.

• Oglądałem przed chwilą gabinet Archera i nie zauważyłem tam żadnego mikrofonu. Jak on wyglądał?

• Wysięgnik grubości ołówka, około piętnastu centymetrów długości, z małym głośniczkiem na końcu. Był przytwierdzony bezpośrednio do jednostki centralnej, u spodu lewej ścianki. Służy do wydawania poleceń głosem. Nadejdzie taki dzień, że całkowicie zastąpi klawiaturę. To wybawienie dla ludzi, którzy mają kłopoty z opanowaniem maszynopisania.

- Nie widziałem tam niczego takiego.

• Był uszkodzony, więc pewnie go zdemontowano.

Sawyer zrobił kilka notatek i zadał Rowe'emu jeszcze parę pytań. Potem Rowe odprowadził go do wyjścia.

• Gdyby coś się panu jeszcze przypomniało, proszę dać mi znać — powiedział Sawyer i wręczył Rowe'emu służbową wizytówkę.

• Bardzo chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje, panie Sawyer. Mam pełne ręce roboty przy tym kontrakcie z CyberComem, a tu jeszcze to.

- Robię, co mogę, panie Rowe. Cierpliwości.

Rowe odszedł wolnym krokiem w głąb budynku, ściskając w dłoni wizytówkę Sawyera, a Sawyer ruszył w stronę swojego samochodu. Już z daleka usłyszał brzęczenie zainstalowanego w wozie telefonu komórkowego. Otworzył drzwiczki i sięgnął po

niego.

- Miałeś rację — rozległ się w słuchawce podekscytowany głos Raya Jacksona.
- W związku z czym?
- Sidney Archer się ruszyła.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Dwa nie oznakowane wozy FBI utrzymywały odległość połowy przecznicy od jadącej na lotnisko taksówki. Równoległymi ulicami sunęły jeszcze dwa sedany. Obie pary samochodów miały zamieniać się miejscami w strategicznych punktach, żeby obiekt nie zorientował się, że jest śledzony. Sidney Archer, bo to właśnie ona była tym obiektem, odgarnęła włosy z oczu, odetchnęła głęboko i wyjrzała przez okno taksówki. Jeszcze raz przebiegła

209

szybko w myślach szczegóły swojej wyprawy. Nie miała wcale pewności, czy z jednego koszmaru nie pakuje się czasem w następny.

— Po nabożeństwie wróciła do domu i niedługo potem podjechała po nią taksówka. Na mój nos udaje się na lotnisko Dulles — relacjonował przez telefon Ray Jackson. — Po drodze zatrzymała się pod bankiem. Prawdopodobnie podjęła trochę gotówki.

Lee Sawyer, przebijając się przez zapchane w godzinach szczytu ulice, przyciskał słuchawkę do ucha.

— Gdzie teraz jesteś?

Jackson podał swoją pozycję.

— Nie powinieneś mieć trudności, Lee — dodał. — Straszny tłok i wlecemy się jak ślimaki.

Sawyer zaczął zwracać uwagę na nazwy mijanych przecznic.

- Za jakieś dziesięć minut was dojdę. Ile sztuk bagażu wzięła?
- Jedną walizkę średniej wielkości.
- Czyli jakaś krótka podróż.
- Na to wygląda. — Jackson poszukał wzrokiem taksówki. — O cholera!

— Co jest? — niemal krzyknął do słuchawki Sawyer.

Jackson patrzył z konsternacją, jak taksówka zatrzymuje się przy wejściu na stację metra Vienna.

— Zdaje się, że nasza pani zmienia środek transportu. Przesiada się do metra.

Sidney Archer wysiadła z taksówki.

- Poślij za nią natychmiast dwóch chłopaków, Ray.
- Się robi.

Sawyer włączył koguta i objechał chodnikiem korek. Telefon znowu zabrzączał. Porwał za słuchawkę.

- Mów, Ray, ale żeby mi to były dobre wiadomości.
- Posłaliśmy za nią dwóch ludzi — zameldował partner.
- Jestem minutę drogi od stacji. W którym kierunku ona chce jechać? Zaraz, Vienna, to końcowa stacja linii pomarańczowej... Może z niej tylko wracać do centrum.

• Na to by wyglądało, Lee. Chyba że chce nas przechytrzyć. Lotnisko Dulles jest w przeciwnym kierunku. Może wyjdzie zaraz ze stacji i złapie inną taksówkę. No i będziemy mieli wtedy problem z łącznością. Walkie-talkie nie działają za dobrze w met-

210

rze. Gdyby wsiadła jednak do pociągu, a potem przesiadła się

w inny i nasi chłopcy ją zgubili, to klops.

Sawyer zastanawiał się przez chwilę.

- A bagaż zabrała? — zapytał.
- Co? O cholera. Nie, został w taksówce.
- Niech dwa samochody wsiądą tej taksówce na ogon. Wątpię, żeby pani Archer zapomniała przez roztargnienie o bieliźnie i kosmetykach.
- Sam się tym zajmę. Chcesz do mnie dołączyć?

Sawyer miał już powiedzieć, że tak, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

— Nie, jedź za nią sam, ja mam co innego do roboty. Kontakt co parę minut i miejmy nadzieję, że pani Archer się nam nie urwie. Zawrócił i pojechał na wschód.

Na stacji Rosslyn Sidney przesiadła się do pociągu linii niebieskiej zmierzającego w kierunku południowym. Na stacji Pentagon z rozsuniętych drzwi wagonów wylało się na peron około tysiąca osób. Sidney zdjęła swój biały płaszcz i przerzuciła go przez rękę. Nie chciała się wyróżniać z tłumu. Granatowy sweter, który miała na sobie, szybko zginął w gęstniejącej rzece podobnie ubranych wojskowych.

Dwaj agenci FBI przedzierali się z desperacją przez te ludzkie masy wypatrując w nich Sidney Archer. Nie zauważyli, że Sidney minawszy kilka wagonów, wsiadła z powrotem do tego samego składu kończącego bieg przy lotnisku krajowym. Obejrzała się kilka razy, ale nie rzucił się jej w oczy nikt, kto wyglądałby na wywiadowcę.

Sawyer zatrzymał wóz przed głównym terminalem lotniska krajowego, machnął parkingowemu odznaką przed nosem i wbiegł do budynku. Na widok tłumów kłębiących się w hali odlotów zatrzymał się i westchnął z rezygnacją. Cholera! Zaraz potem gwałtownie przywarł do ściany, bo w odległości zaledwie dwóch metrów mijala go Sidney Archer.

Odczekał chwilę i ruszył za nią. Stanęła na końcu długiej kolejki do stanowiska biletowego United Airlines. Tymczasem Paul Brophy, nie zauważony ani przez Sidney, ani przez Sawyera,

pchał wózek bagażowy w kierunku bramki dla odlatujących właśnie pasażerów linii American Airlines. W wewnętrznej kieszeni marynarki miał szczegółowy plan marszruty Sidney, który poznał podsłuchując jej rozmowę telefoniczną z Jasonem Archerem. Przeciskał się bez pośpiechu przez rozgorączkowane tłumy. Mógł sobie pozwolić na ten luksus. Zdąży nawet skontaktować się jeszcze z Goldmanem.

Po czterdziestu pięciu minutach Sidney odebrała wreszcie bilet i wejściówkę. Obserwujący ją z bezpiecznej odległości Sawyer zauważył, że zapłaciła okazałym plikiem banknotów. Ledwie zniknęła za kontuarem stanowiska, wepchnął się na początek kolejki, trzymając w wyciągniętej ręce odznakę FBI.

Bileterka spojrzała najpierw na odznakę, a potem na Sawyera.

— Przed chwilą załatwiła pani kobietę o nazwisku Sidney Archer. Wysoka, przystojna blondynka ubrana na granatowo, z białym płaszczem przewieszonym przez rękę — dorzucił na wypadek, gdyby jego podopieczna podała fałszywe nazwisko. — Dokąd wykupiła bilet? Szybko.

Kobieta znieruchomiała na moment, a potem zaczęła walić w klawisze.

- Rejs siedemset piętnaście do Nowego Orleanu. Start za dwadzieścia minut.
  - Nowy Orlean? — mruknął zaskoczony Sawyer bardziej do siebie niż do bileterki. Nie mógł sobie teraz darować, że osobiście przesłuchiwał Sidney Archer. Od razu go rozpozna. Ale nie było czasu na wzywanie innego agenta. — Która bramka?
  - Jedenasta.
- Sawyer nachylił się nad kontuarem.
- A numer miejsca? — zapytał przyciszonym głosem.
- Kobieta spojrzała na ekran.
- Dwadzieścia siedem C.
- Jakież problemy? — Obok stała kierowniczką zmiany. Sawyer pokazał jej legitymację FBI i szybko wyjaśnił sytuację. Kierowniczką sięgnęła po telefon i powiadomiła personel z bramki dla wsiadających na pokład oraz ochronę o dodatkowym pasażerze, tamci zaś przekazali tę informację załodze samolotu. Tylko tego by brakowało, żeby podczas lotu stewardesa zauważyła u Sawyera pistolet — na lotnisku w Nowym Orleanie z pewnością zgarnęłaby go policja.
- Kilka minut później Sawyer, w sfatygowanym kapeluszu, który pożyczył od ochroniarzy, postawiwszy kołnierz płaszcza, masze-

212

rował wyciągniętym krokiem przez terminal w asyście podążającego za nim funkcjonariusza lotniskowych służb ochrony. Kiedy ochroniarz przeprowadzał go przez stanowiska wykrywaczy metalu, dostrzegł w kolejce wsiadających Sidney Archer. Odwrócił się natychmiast i usiadł plecami do bramki. Do rękawa przejściowego wszedł kilka minut po wpuszczeniu na pokład ostatniej grupki pasażerów. Zajął jedno z niewielu wolnych miejsc w kabynie pierwszej klasy niemal pełnego samolotu i uśmiechnął się do siebie. Po raz pierwszy leciał w tak luksusowych warunkach. Szukając w portfelu karty telefonicznej, natrafił na wizytówkę Sidney Archer. Był na niej bezpośredni numer telefonu do jej gabinetu, numer pagera, faksu i telefonu przenośnego. Sawyer pokręcił głową. Masz ci sektor prywatny. Nie ukryjesz się przed nikim nawet na minutę. Sięgnął po pokładowy telefon i wsunął kartę w szczelinę.

Był to lot bez międzylądowań i po dwóch i półgodzinie maszyna podchodziła już do lądowania na nowoorleańskim lotnisku międzynarodowym. Sidney Archer nie ruszyła się przez całą drogę ze swego fotela, za co Sawyer był jej niezmiernie wdzięczny. Podczas lotu wykonał kilka telefonów i na lotnisku czekała już na niego cała ekipa. Kiedy otworzono drzwi samolotu, pierwszy pojawił się w nich Sawyer.

Sidney wyszła z lotniska w duchotę nowoorleańskiej nocy nie zauważając czarnego sedana z przyciemnionymi szybami, zaparkowanego przed terminalem po drugiej stronie wąskiej jezdni. Wsiadła do poobijanego szarego cadillaca z napisem CAJUN CAB COMPANY na drzwiach, rozpięła bluzkę pod szyją i otarła pot z czoła.

— Pod pensjonat LaFitte proszę. Bourbon Street.

Taksówka ruszyła spod krawężnika. Sedan odczekał chwilę, po czym ruszył w ślad za nią. Siedzący w nim Lee Sawyer, nie odrywając wzroku od brudnego cadillaca, wprowadzał w temat nowoorleańskich agentów.

Sidney wyglądała przez okno taksówki. Zjechali z autostrady, kierując się na Vieux Carre. Na tle nocnego nieba rysowała się roziskrzona światłami sylwetka Nowego Orleanu z masywnym garbem Superkopyły na pierwszym planie.

Bourbon Street okazała się wąską uliczką w „starożytnej”, przynajmniej według amerykańskich standardów, Dzielnicy Francuskiej,

213

biegnącą wzdłuż szpaleru pretensjonalnych budynków. O tej porze roku w sześćdziesięciu sześciu kwartałach Dzielnicy panował względny spokój, choć od niedbale odzianych, zataczających się po chodnikach turystów z wielkimi kuflami w ręku bił silny odór piwa. Sidney wysiadła z taksówki przed pensjonatem LaFitte i rozjrzała się szybko. Nie zauważyła żadnego samochodu. Weszła po schodkach i pchnęła masywne drzwi frontowe.

Powitał ją zapach antyków. Po lewej znajdował się wielki, stylowo urządzonej salon. Nocny recepcjonista siedzący za małym kontuarem, nie widząc u Sidney żadnego bagażu, uniósł nieznacznie brwi, ale uśmiechnął się zaraz i skinął ze zrozumieniem głową, kiedy wyjaśniła, że walizki zostaną jej dostarczone później. Mogła wjechać na górę małą windą, ale wybrała szerokie schody. Ścisnąc w dłoni klucz do pokoju, weszła na drugie piętro. W pokoju stało łóżko z baldachimem, małe biurczko i wiktoriańska kanapa. Trzy ściany zabudowane były półkami na książki.

Czarny sedan zatrzymał się w zaułku oddalonym o pół przecznicy od pensjonatu LaFitte. Wysiadł z niego mężczyzna w dżinsach i wiatrówce. Ruszył nonszalanckim krokiem ulicą i wszedł do pensjonatu. Pięć minut później był już z powrotem w samochodzie.

Lee Sawyer obrócił się w przednim fotelu i spojrzał na niego wyczekująco.

— No i co?

Mężczyzna rozsunął zamek błyskawiczny wiatrówki, odsłaniając kolbę pistoletu sterczącą zza paska dżinsów.

— Sidney Archer zameldowała się tu na dwa dni. Ma pokój na drugim piętrze, dokładnie naprzeciwko podestu schodów. Powiedziała w recepcji, że bagaż dotrze później.

Kierowca zerknął na Sawyera.

- Myślisz, że umówiła się tu z Jasonem Archerem?
- Wszystko na to wskazuje. Cholernie bym się zdziwił, gdyby przyleciała tu w celach turystycznych.
- Co robimy?
- Trzeba wziąć ten hotelik pod dyskretną obserwację. Zgarniemy Jasona Archera, kiedy tylko się tu pojawi. Póki co, sprawdźcie, czy w sąsiednim pokoju da się zainstalować sprzęt inwigilacyjny. Potem spróbujcie się podpiąć pod jej telefon. Wyślijcie tam zespół mieszany, mężczyznę z kobietą, żeby nie wzbudzić w Archerach podejrzeń. Sidney Archer to osoba, której nie wolno lekceważyć. — Powiedział to z niechęcią, spod której przebijała

214

jednak nutka podziwu. Spojrzał za okno. — No, zwijajmy się stąd. Po co dawać Jasonowi Archerowi pretekst do niestawienia się na spotkanie?

Sedan ruszył i odjechał wolno.

Sidney Archer siedziała w foteliku obok łóżka i wpatrując się przez otwarte okno w boczny balkon na drugim piętrze pensjonatu LaFitte czekała na męża. Po paru minutach wstała i zaczęła spacerować nerwowo tam i z powrotem. Wydawało jej się, że zgubiła agentów FBI w metrze, ale nie była tego całkiem pewna. A jeśli nie dali się wyprowadzić w pole? Przeszedł ją dreszcz. Od chwili, gdy telefon od Jasona po raz drugi zburzył jej życie, miała przez cały czas wrażenie, że zwierają się wokół niej jakieś niewidzialne ściany.



Jednak instrukcje, jakie Jason jej podał, były jasne, i zamierzała się do nich zastosować. Wmawiała sobie uparcie, że jej mąż nie zrobił nic złego, i Jason to potwierdził. Potrzebował jej pomocy. Dlatego właśnie wsiadła w samolot, a teraz spacerowała po tym oryginalnym pokoju w najsłynniejszym mieście Luizjany. Wierzyła nadal w męża, pomimo zdarzeń, które, przyznawała w duchu, zachwiały trochę tą wiarą, i tylko śmierć mogła jej przeszkodzić w udzieleniu mu pomocy. Śmierć? Jason wymknął się już raz z jej macek. Ale z brzmienia jego głosu wynikało, że nadal nie jest bezpieczny. Nie mógł jej zbyt wiele wyjaśnić. Nie przez telefon. Tylko osobiście, powiedział. Tak pragnęła go ujrzyć, dotknąć, upewnić się, że nie jest zjawą.

Usiadła z powrotem w foteliku i spojrzała przez otwarte okno. Podmuch orzeźwiającej bryzy zneutralizował nieco wiszącą w powietrzu wilgoć. Nie słyszała, jak do sąsiedniego pokoju wprowadza się para trzydziestokilkulatków, agentów nowoorleańskiego biura terenowego FBI. Kiedy o pierwszej w nocy skulona w fotelu zapadła w końcu w niespokojną drzemkę, jej telefon był już na podsłuchu, a za ścianą czekała w gotowości aparatura inwigilacyjna. Jason Archer wciąż się nie pojawiał.

Dom był pograżony w ciemnościach. Warstewka świeżego śniegu skrzyła się w blasku księżyca w pełni. Od pobliskich drzew oderwała się czarno ubrana postać i zaszła dom od tyłu. Drzwi i stary zamek szybko ustąpiły. Intruz zzuł zimowe buty

215

i zostawił je za progiem. Parę chwil później w pustym domu zabłyśnięł samotny promień światła. Wkrótce po wyjeździe Sidney jej rodzice zabrali Amy i ruszyli do swojego domu.

Intruz wszedł do domowego gabinetu Jasona Archera. Okno tego pokoju wychodziło na tyły domu, zaryzykował więc i zapalił biurkową lampę. Przez kilka minut przeszukiwał szuflady biurka i grzebał w stosach dyskietek. Potem włączył komputer Jasona i przejrzał wszystkie pliki bazy danych. Sprawdził dokładnie zawartość każdej dyskietki. Uporawszy się z tym, wyjął z kieszeni dyskietkę, którą przyniósł ze sobą. Wsunął ją do stacji dysków komputera. Wkrótce potem zadanie było wykonane. Program „węszący”, zainstalowany teraz w komputerze, wychwyci wszystko, co od tej chwili do niego wpłynie. Pięć minut później w domu znowu nie było nikogo. Zatarłe zostały również ślady stóp prowadzące od drzew do tylnych drzwi.

Bill Patterson, o czym nie wiedział nocny gość, przed wyjazdem do siebie, do Hanover, zrobił nieświadomie jrzemienną w skutki rzecz. Wycofując samochód z podjazdu zauważył znajomą czerwono-biało-niebieską furgonetkę pocztową zatrzymującą się przed domem córki. Kiedy furgonetka odjechała, Patterson po chwili namysłu postanowił wyręczyć córkę. Przejrzawszy pobieżnie pocztę, włożył listy do plastikowego woreczka i ruszył z nim w stronę domu, ale po paru krokach przypomniał sobie, że przecież zamknął już drzwi, a klucze znajdują się w torebce żony. Jednak otworem stała jeszcze brama garażu. Wszedł tam, otworzył drzwiczki explorera i położył woreczek z pocztą na przednim siedzeniu. Potem zatrasnął drzwiczki, opuścił bramę garażu i zamknął ją na klucz.

Pośród innych listów w woreczku znajdowała się nie zauważona przez Pattersona, wyscielana od wewnątrz koperta do bezpiecznego przesyłania pocztą podatnych na uszkodzenie przesyłek. Sidney Archer na pierwszy rzut oka rozpoznałaby pismo nadawcy.

Jason Archer wysłał pocztą dyskietkę komputerową do siebie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Lee Sawyer, nie zapalając światła, stał w oknie pokoju i patrzył przez ulicę na fronton pensjonatu LaFitte. FBI założyło punkt obserwacyjny naprzeciw tego starego hotelu, w zrujnowanej, opuszczonej, czekającej na remont kamienicze. Sawyer pociągnął

216

łyce kawy i zerknął na zegarek. Szósta trzydzieści. W szybę bębniły krople deszczu.

Przy oknie, na trójnogu, stał aparat fotograficzny z prawie trzydziestocentymetrowym teleobiektywem. Jak dotąd, sfotografowano z niego jedynie wejście do pensjonatu LaFitte, a i to tylko po to, żeby nastawić ostrość, odległość, przysłonę i czas otwarcia migawki. Sawyer podszedł do stołu i spojrzął na serię rozłożonych na nim zdjęć Sidney Archer. Zrobili je agenci nowoorleańskiego biura FBI, kiedy Sidney opuszczała lotnisko. Chociaż nie wiedziała, że jest fotografowana, wyszła na każdym tak, jakby do niego pozowała. Piękna twarz, puszyste lśniące włosy. Sawyer zaczął sunąć palcem po zarysie jej zgrabnego noska. Kiedy dojechał do zmysłowych ust, opamiętał się. Oderwał rękę od zdjęcia i rozejrzał się zakłopotany. Na szczęście żaden z towarzyszących mu agentów nie patrzył na niego w tej chwili.

Przesunął wzrokiem po pokoju. Środek pustego pomieszczenia o ścianach z cegły, ^z wyłożonym ciemnymi deskami sufitem i zaśmieconą podłogą zajmował długi stół. Stały na nim dwa bliźniacze pecety i magnetofon. Obsługiwali je agenci z lokalnego biura. Jeden z nich przechwycił spojrzenie Sawyera i zdjął z głowy słuchawki.

— Wszyscy nasi ludzie są na stanowiskach — powiedział. — Z odgłosów wynika, że ona chyba wciąż śpi.

Sawyer kiwnął głową i odwrócił się znowu do okna. Wywiadowcy ustalili, że zajętych jest jeszcze pięć pokoi gościnnych tego hoteliku. W każdym mieszkała jakaś para, ale żaden z mężczyzn nie odpowiadał rysopisowi Jasona Archera.

Następnych kilka godzin wlokło się niemilosiernie. Sawyer, przyzwyczajony do długiego czuwania na punktach obserwacyjnych, z czego często wynikało niewiele ponad nabawienie się zgagi i bólu w krzyżu, znosił to z podziwu godną cierpliwością.

Nagle agent ze słuchawkami na głowie drgnął.

— Właśnie wychodzi z pokoju — powiedział.

Sawyer przeciągnął się, żeby rozprostować kości, i ponownie zerknął na zegarek.

• Jedenasta. Może idzie na spóźnione śniadanie?

• Jak mamy prowadzić dalej obserwację? — zapytał agent.

• Zgodnie z tym, co ustaliliśmy — odparł Sawyer. — Chodzą za nią dwa zespoły: kobieta z sąsiedniego pokoju i para z drugiego. Niech ją sobie przekazują. Powiedźcie im, żeby starali się zachowywać jak najnaturalniej. Archer będzie czujna. Cały 'czas

217

utrzymywać łączność radiową. Wyculcie ich na fakt, że ona nie ma ze sobą bagażu, co daje jej większą swobodę manewru. Może w każdej chwili wsiąść w byle co, także w samolot, i udać się gdziekolwiek. Muszą mieć stale pod ręką jakiś środek transportu.

— Zrozumiałem.

Czekając, aż jego instrukcje przekazane zostaną zespołom agentów, Sawyer wyglądał przez okno. Coś mu się tu nie zgadzało. Dlaczego akurat Nowy Orlean? Dlaczego zaryzykowała coś takiego tego samego dnia, kiedy przesłuchiwało ją FBI. Z tych

rozważań wyrwał go widok Sidney Archer na schodkach pensjonatu LaFitte. Ze źle skrywanym lękiem w oczach obejrzała się przez ramię. Sawyer natychmiast rozpoznał to spojrzenie i dreszcz przebiegł mu po plecach. Przypomnił sobie, gdzie już widział tę kobietę: na miejscu katastrofy. Podbiegł do telefonu i porwał za słuchawkę.

Ochłodziło się i Sidney założyła swój biały płaszcz. Udało jej się wykorzystać moment nieuwagi recepcjonisty i rzucić nieopstrzeżenie okiem na rejestr gości. Po niej zameldowała się tylko jedna para z Ames w stanie Iowa. Dostali sąsiedni pokój. Musieli przyjechać około północy albo i później. Dziwne. Ludzie ze Środkowego Zachodu meldujący się w hotelu w porze, w której w domu zapadaliby w najtwardszy sen. Jeszcze większą podejrzliwość obudził w niej fakt, że nie słyszała, jak się wprowadzają. Zmęczeni podróżni przybywający w środku nocy zazwyczaj nie troszczą się tak o spokój innych hotelowych gości. Przypuszczenie, że ma teraz za ścianą agentów FBI, samo się nasuwało. Znaleźli ją, pomimo wszystkich środków ostrożności, jakie podjęła. Trudno się dziwić, przyznała w duchu, idąc niemal wyludnionymi uliczkami. FBI z tego żyje. W odróżnieniu od niej. Ale skoro ją namierzili... Cóż, od kiedy dowiedziała się, że Jason żyje, dużo o tym myślała i doszła do wniosku, że jego szanse na utrzymanie się przy życiu znacznie wzrosną, jeśli odda się w ręce władz.

Sawyer krążył z rękami w kieszeniach po pokoju. Wypił już morze kawy i pęcherz zaczynał wysyłać ostrzegawcze sygnały. Zadzwoił telefon. Młody agent, który go odebrał, przekazał Sawyerowi słuchawkę z informacją, że to Ray Jackson.

— Tak? — Głos Sawyera wibrował podnieceniem. Przetarł

218

zacierwienione z niewyspania oczy; ćwierć wieku takiej roboty musi się kiedyś odbić.

— No i jak tam Nowy Orlean? — Głos Raya był rześki i wesoły.

Sawyer rozejrzał się po zrujnowanym pokoju.

— Tu, gdzie teraz jestem, aż się prosi o szczotkę i kubek farby.

Jackson zachichotał.

- Wiesz, krążą już tu legendy o tym, jak dopadłeś Sidney Archer na lotnisku. Wciąż nie rozumiem, jak to ci się udało.

- Chyba miałem więcej szczęścia niż rozumu. Masz coś dla mnie? — Sawyer przełożył słuchawkę do prawej ręki, a lewą zaczął gimnastykować, żeby pozbyć się bolesnego kurczu.

- A jakże. Chcesz zgadywać?

- Ray, kocham cię, stary, naprawdę kocham, ale przespałem tę noc w śpiworze na zimnej podłodze i cały jestem obolały. Na domiar złego nie mam ze sobą bielizny na zmianę, jeśli więc nie chcesz, żebym po powrocie zastrzelił cię jak psa, nie przeciągaj struny.

- Spokojnie, partnerze. Miałeś całkowitą rację, Sidney Archer była wtedy w nocy na miejscu wypadku.

- Jesteś pewien? — Sawyer był przekonany, że się nie myli, ale zawodowe przyzwyczajenie wciąż kazało mu szukać potwierdzenia.

- Przy jednym z miejscowych gliniarzy... — w słuchawce zaszeleściły przekładane kartki — ...przy zastępcy szeryfa Eugene McKennie, który pełnił tam wtedy służbę, zatrzymała się kobieta. McKenna sądził, że to jeszcze jedna łowczyni mocnych wrażeń

i kazał jej jechać dalej, ale powiedziała, że nazywa się Sidney Archer i że tym samolotem leciał jej mąż. Chciałaby się tylko rozejrzeć. Była załamana. McKennie zrobiło się jej żal. Sprawdził ją, dostał potwierdzenie, że rzeczywiście jest osobą, za którą się podaje, a potem zawiózł ją w pobliże miejsca katastrofy... — Jackson urwał.

- No i co to nam daje? — warknął z irytacją Sawyer.
- Stary, aleś ty dzisiaj drażliwy. Właśnie do tego dochodzę.

Podczas jazdy na miejsce katastrofy Archer zapytała o brezentową torbę z inicjałami męża. Widziała ją w telewizji. Prawdopodobnie torba została wyrzucona przez eksplozję z maszyny, a potem znalazły ją ekipy ratownicze i dołączyły do innych zebranych śmieci. I tu uwaga: Archer chciała odzyskać tę torbę.

219

Sawyer usiadł i zapatrzył się w okno.

- Co powiedział jej McKenna? — spytał po chwili.
- Że to dowód i że nie ma jej już na miejscu katastrofy. Że dostanie ją z powrotem dopiero po zakończeniu dochodzenia, ale ono .jakiś czas potrwa, może nawet parę lat.

Sawyer wstał i przetrawiając usłyszane informacje nalał sobie kolejny kubek kawy z dzbanka stojącego na rozgrzanej płycie. Pęcherz będzie musiał sobie jakoś z nią poradzić.

• Ray, co dokładnie mówił McKenna o zachowaniu Sidney Archer tamtej nocy?

• Chodzi ci o to, czy wyglądała na osobę, która wierzy, że jej mąż był w tym samolocie? McKenna powiedział, że jeśli udawała, to sama Katherine Hepburn do pięt jej nie dorasta.

- Dobra, zostawmy to na razie. Co z tą torbą? Masz ją?
- Jasne, że mam. Leży na moim biurku.
- No i co? — Sawyer wstrzymał oddech, ale czekało go

rozzarowanie.

• Nic. A przynajmniej my niczego nie potrafimy stwierdzić. Już trzy razy badano ją w laboratorium. Trochę ubrań, parę przewodników turystycznych, czysty notes. Żadnych niespodzianek, Lee.

• Więc po co jechała po nią w środku nocy?

• Może miało w niej coś być, ale nie było.

• To by nawet pasowało, jeśli przyjąć, że mąż ją rzeczywiście oszukiwał.

- Jak to?

Sawyer upił łyk kawy i wstał.

• Skoro Jason Archer ucieka, to można zakładać, że albo planuje za jakiś czas ściągnąć do siebie rodzinę albo ją porzuca. Zgadza się?

- Chyba tak.

• Jeśli więc jego żona myślała, że on naprawdę leciał tym samolotem, a może nawet wiedziała, że to pierwszy etap jego ucieczki, to jej przygnębienie na miejscu katastrofy było autentyczne. Ona naprawdę uważa go za zmarłego.

- A pieniądze?

• Właśnie. Gdyby Sidney Archer wiedziała, co mąż zrobił, a kto wie, czy sama mu w tym jakoś nie pomagała, to chciałaby położyć rękę na pieniądzech. I nagle widzi torbę męża w telewizji...

- Ale co mogło być w tej torbie? Przecież nie gotówka.

220

• Nie, ale mogło się w niej znajdować coś, co wskazywało drogę do pieniędzy. Archer był komputerowym geniuszem. Może jakaś dyskietka ze wskazówkami, gdzie w komputerze szukać pliku zawierającego wszelkie informacje na temat pieniędzy.

Numer konta w szwajcarskim banku. Karta magnetyczna do schowka na lotnisku. To mogłoby być cokolwiek, Ray.

- Nie mamy szans znaleźć czegoś tak niesprecyzowanego.
- To niekoniecznie musiało się znajdować w torbie. Archer, widząc ją w telewizji, mogła tylko tak sobie pomyśleć.
- Więc naprawdę podejrzewasz, że ona miała z tym coś wspólnego?

Sawyer opadł ze znużeniem na krzesło.

- Sam już nie wiem, Ray. Jestem zupełnie skołowany. — Nie była to prawda, ale nie miał ochoty omawiać z partnerem pewnych nie dających mu spokoju przypuszczeń.

• No a sama katastrofa samolotu? Jak ona do tego wszystkiego przystaje?

- A kto powiedział, że musi przystawać? — burknął Sawyer. — Jedno z drugim może nie mieć żadnego związku. Ale Archer mógł zlecić komuś wysadzenie samolotu, żeby zatrzeć za sobą ślad. Tak uważa Frank Hardy. — Podeszedł do okna. To, co za nim zobaczył, kazało mu czym prędzej zakończyć tę rozmowę.

• Coś jeszcze, Ray?

• Nie, to wszystko.

- To dobrze, bo muszę już lecieć. — Sawyer odłożył słuchawkę, pochylił się nad aparatem fotograficznym i zaczął pstrykać zdjęcie za zdjęciem. Po chwili wyprostował się i odprowadził wzrokiem Paula Brophy'ego, który, rozglądając się płochliwie dokoła, wszedł po schodkach prowadzących do drzwi frontowych pensjonatu LaFitte i zniknął w środku.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Z senną atmosferą panującą o tej porze poranka w Dzielnicy Francuskiej kontrastował typowy dla Jackson Square gwar i zamieszanie. O uwagę i dolary nielicznych turystów, których nie wystraszyła deszczowa pogoda, rywalizowali tu muzycy, sztukiści, wróżki przepowiadające przyszłość z kart tarota i wszelkiej maści uliczni artyści.

Sidney Archer minęła katedrę Świętego Ludwika. Szukała

221

miejsca, gdzie mogłaby coś zjeść, ale chciała jednocześnie wypełnić instrukcje otrzymane od męża: gdyby nie zjawił się u niej w hotelu do dziesiątej rano, miała się udać na Jackson Square. Przeszła obok brązowego posągu Andrew Jacksona na koniu, który od stu czterdziestu lat stał na placu, i skierowała się na francuski bazar przy Decatur Street. Znała dosyć dobrze to miasto. Odwiedzała je kilkakrotnie jako studentka college'u, a potem słuchaczka szkoły prawniczej.

Wkrótce siedziała już na ławeczce nad rzeką i sączyła gorącą kawę, skubiąc bez entuzjazmu puszysty rogalik z masłem i śledząc nieobecny wzrokiem barki i holowniki sunące powoli potężną Missisipi w stronę wielkiego mostu. Po obu jej stronach, w odległości niespełna stu metrów każdy, zajęły stanowiska zespoły agentów FBI. Aparatura podsłuchowa wymierzona dyskretnie w kierunku Sidney Archer była w stanie wychwycić każde słowo.

Przez parę minut nikt do niej nie podchodził. Dopiła w samotności kawę i siedziała zapatrzona w wezbraną deszczem wielką rzekę.

— Trzy dolary pięćdziesiąt centów za odgadnięcie, gdzie kupiła pani te buty.

Zaskoczona Sidney podniosła wzrok. Agenci za jej plecami sprzyli się sobie i podsunęli trochę bliżej. Dopadliby ławki pełnym sprintem, zanim mężczyzna zdążyłby się do niej zbliżyć, gdyby nie to, że w niczym nie przypominał Jasona Archera:

był niski, czarny i miał około siedemdziesiątki. Ale coś w tym mogło być.

- Słucham? — zapytała Sidney.

- Wiem, gdzie pani kupiła te buty. Trzy pięćdziesiąt, jeśli mam rację. Czyszczenie za darmo, jeśli się mylę — powiedział mężczyzna. Śnieżnobiały wąs ocieniał mu usta, w których brakowało większości zębów. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Na ławce obok siebie zauważyła dopiero teraz sfatygowaną, drewnianą skrzyneczkę pucybuta.

- Przykro mi, ale nie jestem zainteresowana.

- Coś pani powiem, dorzucę czyszczenie, nawet jeśli zgodzę, ale będzie pani musiała zapłacić. Co pani ma do stracenia? Odstawię te buciki na glanc za bardzo przystępną opłatą.

Sidney miała mu już po raz drugi odmówić, ale pod postrzępioną, wytartą koszulą zobaczyła sterczące żebra. Spuściła oczy na buty staruszka. Wystawało z nich kilka nagich, pokrytych odciskami palców. Uśmiechnęła się i sięgnęła do torebki po pieniądze.

222

- O nie, tylko nie to, proszę pani. Przepraszam. Albo gramy w tę grę, albo nie robimy interesu. — W jego tonie pobrzmiwała urażona duma. Sięgnął po swoją skrzynkę.

- Chwileczkę — powstrzymała go Sidney. — Niech będzie.

- Co, nie wierzy pani, że wiem, gdzie kupiła pani te buty? — spytał.

Sidney pokręciła głową. Kupiła je ponad dwa lata temu w zwykłym sklepiku w południowym Maine. Tego sklepiku już nie było. Niemożliwe, żeby wiedział.

- Rzeczywiście nie wierzę — przyznała.

- No to pani powiem, gdzie je pani kupiła... — Mężczyzna zrobił dramatyczną przerwę. — W sklepie z obuwiem — wyrzucił z siebie krztusząc się chichotem.

Sidney mu zawtórowała.

Dwaj agenci obsługujący aparaturę podsłuchową również nie mogli powstrzymać uśmiechów.

Skloniwszy się z przesadną kurtuazją swojej jednoosobowej widowni staruszek ukląkł przed Sidney i przygotował się do czyszczenia butów. Paplając towarzysko doprowadził wkrótce zmatowiałe czarne pantofelki do lśniącego połysku.

— Bardzo dobry gatunek, proszę pani. Dbać o nie, a będą pani służyły długie lata. I nóżki w nich też prima sort.

Podziękowała mu uśmiechem za ten komplement. Wstał i pozbiierał swoje przybory do skrzyneczki. Sidney wyjęła trzy dolarowe banknoty i zaczęła szukać w torebce drobnych.

Popatrzył na nią.

— Pani się nie fatyguje — powiedział szybko. — Mam mnóstwo drobniaków, wydám.

Wręczyła mu banknot pięciodolarowy i powiedziała, że reszty nie trzeba.

Pokręcił głową.

— O nie, nic z tego. Była umowa na trzy pięćdziesiąt i będzie trzy pięćdziesiąt.

Nie zważając na protesty Sidney, wcisnął jej w dłoń wygnieciony dolarowy banknot i pięćdziesięciocentówkę. Zamykając palce na monecie, wyczuła przyklejony od spodu taśmą kawałek papieru. Spojrzała ze zdumieniem na staruszkę, ale on uśmiechnął się tylko i zasalutował do daszka wystrzępionej czapki.

— Miło robić z panią interesy. Niech pani dba o te buciki.

Kiedy się oddalił, Sidney schowała szybko monetę do torebki,

odczekała kilka minut, wstała z ławki i ruszyła jak gdyby nigdy nic przed siebie.

Na Francuskim Bazarze skręciła do damskiej toalety. Zamknęła się w jednej z kabin i drżącymi palcami rozwinęła karteczkę. Wiadomość była krótka. Przeczytała ją kilkakrotnie, a potem wrzuciła do sedesu i spuściła wodę.

Idąc Dumaine Street w kierunku Bourbon, przystanąła i otworzyła na moment torebkę. Spojrzała ostentacyjnie na zegarek, rozejrzała się i zauważyła automat telefoniczny na ścianie ceglanego budynku, w którym mieścił się jeden z największych w Dzielnicy barów. Przeszła na drugą stronę ulicy, zdjęła słuchawkę z widełek i wsunawszy w szczelinę kartę telefoniczną wystukała na klawiaturze numer swojego prywatnego telefonu w kancelarii Tylera & Stone'a. Nie wiedziała, po co to robi, ale takie właśnie polecenie przeczytała na karteczce. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko stosować się do instrukcji. Głos, który rozległ się w słuchawce po drugim dzwonku, nie należał do żadnego z pracowników kancelarii, nie był to również jej własny, nagrany na automatycznej sekretarce głos informujący, że nie ma jej w gabinecie. Nie wiedziała, bo i skąd miałyby wiedzieć, że rozmowa przełączona została z jej biura na inny aparat zainstalowany daleko od Waszyngtonu. Usiłowała teraz zachować spokój, a linią telefoniczną płynął do jej ucha cichy głos Jasona Archera.

Powiedział jej, że obserwuje go policja. Miała się nie odzywać, a zwłaszcza nie wymieniać jego imienia. Spróbuj jeszcze raz. Na razie niech wraca do domu. On skontaktuje się z nią znowu. Z jego głosu przebijało zmęczenie, wyczuwała w nim wielkie napięcie. Na koniec zapewnił, że ją kocha. I że kocha Amy. I że wszystko się ułoży.

Z tysiącem kłębiących się w głowie pytań, na zadanie których nie dano jej nawet szansy, Sidney odwiesiła słuchawkę i przybita, noga za nogą, powłokła się w kierunku pensjonatu LaFitte. Po paru krokach wzięła się z nadludzkim wysiłkiem w garść, podniosła głowę i podjęła starania, żeby iść w miarę normalnie. Najważniejsze to nie zdradzać przerażenia, które ją przepelnia. Wyrażna obawa Jasona przed władzami podkopywała jej wiarę w jego niewinność. Chociaż nie posiadała się ze szczęścia, że jej mąż jednak żyje, zaczynały się w niej rodzić wątpliwości co do ceny, jaką przychodzi jej za to szczęście płacić. Zaangażowała się już tak bardzo, że musiała brnąć dalej.

## 224

Kenneth Scales wyłączył automatyczną sekretarkę i wyjął słuchawkę z zagłębienia w obudowie. Następnie przewinął cyfrową taśmę, wduślił przycisk odtwarzania i wsłuchał się w głos Jasona Archera, który znowu rozbrzmiał w pomieszczeniu. Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją, wyłączył sekretarkę, wyjął taśmę i wyszedł z pokoju.

- Wszedł przez okno z galeryjki — informował Sawyera przez radio agent zajmujący stanowisko na dachu, z którego miał widok na hotelowy pokój Sidney Archer. — Wciąż tam jest — ciągnął szeptem. — Mam go zdjąć?

- Nie — mruknął Sawyer, wyglądając przez szparę w żaluzji na ulicę. Aparatura inwigilacyjna zainstalowana za ścianą pokoju Sidney informowała ich o poczynaniach Paula Brophy'ego. Przeszukiwał jej pokój. Początkowe założenie Sawyera, że byli umówieni, nie znajdowało potwierdzenia.

- Wychodzi. Kieruje się do tylnego wyjścia — zameldował agent.

• I bardzo dobrze — odmruknął Sawyer, dostrzegając w głębi ulicy nadchodzącą Sidney Archer. Kiedy weszła do pensjonatu LaFitte, kazał agentom śledzić zawiedzionego Paula Brophy'ego, który oddał się Bourbon Street w przeciwnym kierunku.

Dziesięć minut później do Sawyera dotarła informacja, że podczas porannego spaceru Sidney Archer dzwoniła z ulicznego automatu telefonicznego do swojego gabinetu. Przez następne czterdzieści pięć minut nic się nie działo. Sawyera ożywił dopiero widok Sidney Archer wychodzącej z pensjonatu LaFitte. Przed budynkiem zatrzymała się biała taksówka i Sidney do niej wsiadła. Taksówka szybko odjechała.

Sawyer zbiegł na złamanie karku po schodach i po chwili siedział już obok kierowcy w tym samym czarnym sedanie, którym przyjechali tu za Sidney z lotniska. Nie było dla niego żadnym zaskoczeniem, że taksówka wjeżdża na Między stanową 10, ani że pół godziny później zjeżdża z niej na drogę prowadzącą na lotnisko.

— Wraca do domu — mruknął pod nosem. — Nie znalazła lego, po co tu przyjechała, to pewne. Chyba że Jason Archer stał się niewidzialny. — I nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. — Ona o nas wie.

Kierowca zerknął na niego spod oka.

225

• Niemożliwe, Lee.  
• Wie na pewno — warknął Sawyer. — Leci taki kawał drogi, przespia noc w hotelu, a potem telefonuje i wraca do domu.  
• Daję głowę, że nie zauważyła naszych wywiadowców.  
• Nie powiedziałem, że sama ich zauważyła. Zauważył ich jej mąż i jeszcze ktoś w to zamieszany. Ostrzegli ją, i wraca do domu.

• Przecież sprawdzaliśmy. Dzwoniła do swojego biura. Sawyer potrząsnął niecierpliwie głową.  
• Rozmowy telefoniczne można przełączać.  
• Ale skąd wiedziała, że ma zadzwonić? Umówili się wcześniej?

• Trudno powiedzieć. Tutaj kontaktowała się tylko z tym pucybutem. Na pewno tylko z nim?

• Na pewno. Wcisnął jej taki stary, obliczony na turystów bajer, a potem wyczyścił buty. To zwyczajny włóczęga. Wydał jej resztę i na tym się skończyło.

Sawyer przeszył kierowcę zaalarmowanym spojrzeniem.

• Resztę...?  
• No tak. Czyszczenie kosztowało trzy pięćdziesiąt. Dała mu piątkę, a on wydał jej półtorej dolca. Nie chciał napiwku.

Sawyer wpił się palcami w deskę rozdzielczą.

— Jasna sprawa, cholera.

Z miny kierowcy wynikało, że nie nadaża.

• Wydał jej tylko resztę. Widziałem dobrze przez lornetkę. Słyszeliśmy każde słowo.

• Pozwól, że zgadnę. Dał jej całą pięćdziesięciocentówkę zamiast dwóch ćwierćdolarówek, tak?

Kierowca spojrział na niego zdumiony.

— Skąd wiesz?

Sawyer westchnął.

• Ilu znasz włóczęgów, którzy odmawiają przyjęcia półtora-dolarowego napiwku i wydając skwapliwie resztę wyciągają pięćdziesięciocentową monetę? A przede wszystkim, czy nie wydało się wam dziwne, że zażyczył sobie za to czyszczenie akurat trzy pięćdziesiąt? Czemu nie trzy albo cztery dolary? Dlaczego akurat trzy pięćdziesiąt?

• Żeby trzeba było wydać resztę — burknął z przygnębieniem



kierowca, do którego docierało już, co się stało.

- Karteczka z wiadomością przyklepiona do monety. — Sawyer wpatrywał się ponuro w kufer taksówki wiozącej Sidney

226

Archer. — Zgarnijcie natychmiast tego wspaniałomyślnego pucybuta. Może potrafi nam chociaż opisać tego, kto go wynajął. — Nie spodziewał się, żeby to coś dało.

Zbliżali się do lotniska. Przez resztę drogi Sawyer już się nie odzywał. Patrzył przez okno na przelatujące nad nimi z rykiem jaskrawo pomalowane odrzutowce. Godzinę później wsiadł na pokład służbowej maszyny FBI, by wrócić nią do Waszyngtonu. Samolot Sidney już wystartował. Nie poleciał z nią żaden agent FBI. Sawyer i jego ludzie przestudowali listę pasażerów i dyskretnie przyjrzeni się wszystkim pasażerom wsiadającym do maszyny. Nie było wśród nich Jasona Archera. Byli przekonani, że podczas lotu powrotnego nic się nie wydarzy. Nie chcieli jeszcze bardziej płoszyć i tak już spłoszonej Sidney. Podejmą jej trop na lotnisku krajowym w Waszyngtonie.

Samolot z Sawyerem i kilkoma innymi agentami FBI na pokładzie pomknął po pasie startowym nowoorleańskiego lotniska i wzbił się w czarne niebo. Sawyer analizował ostatnie wypadki. Co miała znaczyć ta wycieczka? Przecież to nie miało sensu. I nagle coś mu zaświtało. Popęłnił pewien błąd, kto wie, czy nie poważny.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Wózek z napojami potoczył się dalej przejściem między fotelami, a Sidney Archer podniosła do ust kubek z kawą. Sięgnęła do tacki po kanapkę i nagle rzuciły jej się w oczy niebieskie przebarwienia na papierowej serwetce. Odwróciła ją i kiedy przeczytała, co tam było napisane, omal nie rozlała kawy.

*W samolocie nie ma FBI. Musimy porozmawiać.*

Serwetka leżała po prawej stronie tacki i wzrok Sidney automatycznie pobiegł w tamtym kierunku. Przez chwilę miała pustkę w głowie, ale zaraz zaczęła sobie wszystko kojarzyć. Mężczyzna przeżuwał jak gdyby nigdy nic posiłek, popijając wodą sodową. Przerzedzające się rudawe włosy, gładko wygolona, pomarszczona twarz. Wyglądał na czterdzieści kilka lat, ubrany był w luźne spodnie i białą koszulę. Był wysoki i jego długie nogi wystawały na przejście. Odstawił w końcu plastikowy kubek z wodą sodową, otarł usta serwetką i spojrzał na nią.

227

• Pan mnie śledził — wyszczała Sidney. — "W Charlottesville.

• Nie tylko tam. Zacząłem za panią chodzić zaraz po katastrofie.

Ręka Sidney wystrzeliła do przycisku przywołania stewardesy.

— Nie radzę.

Jej palec zawisł nad przyciskiem.

• Bo co? — spytała zaczepnie.

• Bo jestem tutaj, żeby pomóc pani w odszukaniu męża — odparł spokojnie.

• Mój mąż nie żyje — wykrztusiła Sidney.

• Nie jestem z FBI i nie wciągam pani w pułapkę. Nie potrafię tego jednak dowieść, więc nie będę nawet próbował. Dam pani tylko numer telefonu, pod którym może mnie pani łąpać o każdej

porze dnia i nocy. — Wręczył jej małą karteczkę.

Sidney obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem. Był na niej wirgiński numer telefonu.

— Po co miałabym do pana dzwonić? Nie wiem nawet, kim pan jest ani czym się zajmuje. Wiem tylko, że mnie pan śledził. — Strach już ustępował i do jej głosu wkradał się gniew. Nie mógł jej przecież nic zrobić w pełnym ludzi samolocie. — Dlaczego miałabym panu zaufać?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie mam na to przekonującej odpowiedzi. Ale wiem, że pani mąż nie zginął i pani też o tym dobrze wie... — Zawiesił na moment głos. Sidney Archer gapiała się na niego oniemiała. — Zdaję sobie sprawę, że ma pani wszelkie powody, żeby mi nie dowierzać, ale ja naprawdę chcę pomóc pani i Jasonowi. Jeśli nie jest już za późno.

- Co to znaczy „za późno”?

Mężczyzna rozparł się wygodnie w fotelu i przymknął powieki. Kiedy znów je otworzył, szczerą troską malującą się w jego oczach sprawiła, że podejrzliwość Sidney zaczęła się rozwiewać.

— Pani Archer, nie bardzo wiem, w co wplątał się pani mąż. Ale wiem wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, że gdziekolwiek teraz przebywa, grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. — Zamknął znowu oczy, a Sidney serce podeszło do gardła. — FBI śledzi panią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę — podjął po chwili nieznajomy. — I powinna być im pani za to niezmiernie wdzięczna, pani Archer.

## 228

Te ostatnie słowa zmroziły Sidney. Kiedy się w końcu odezwała, mężczyzna, żeby ją słyszeć, musiał wychylić się z fotela.

— Wie pan, gdzie jest Jason? — zapytała.

Nieznajomy pokręcił głową.

- Gdybym wiedział, nie siedziałbym z panią w tym samolocie. — Popatrzył na jej zawiedzioną minę. — Mogę pani powiedzieć tylko tyle, pani Archer, że niczego nie jestem już pewien. — Westchnął i przesunął dłonią po czole. Sidney zauważyła, że ręka mu drży.

- Byłem na lotnisku Dullesa tego samego ranka, co pani mąż — dodał po chwili.

Sidney rozwarła szeroko oczy i zacisnęła palce na poręczy fotela.

— Śledził pan mojego męża? Po co?

Mężczyzna spojrział na nią.

- Nie powiedziałem, że go śledziłem. — Podniósł do ust kubek z wodą sodową, żeby zwilżyć gardło. — Siedział w poczekalni dla pasażerów odlatujących do L.A. Wyglądał na zdenerwowanego i podnieconego. Właśnie tym zwrócił na siebie moją uwagę. W pewnej chwili wstał i wszedł do męskiej toalety. Kilka minut później wszedł tam za nim inny mężczyzna.

- I co w tym niezwykłego?

- Ten drugi mężczyzna wszedł do poczekalni z białą kopertą w rękę. Wymachiwał nią jak chorągwią. Sądzę, że to był sygnał dla pani męża. Spotkałem się już z tą metodą.

- Sygnał? Do czego? — Oddech Sidney tak przyspieszył, że musiała się zdobyć na ogromny wysiłek, by nad nim zapanować.

- Do rozpoczęcia akcji. Co też pani mąż uczynił. Wstał i wszedł do męskiej toalety. Chwilę później ten drugi również tam wszedł i zaraz wyszedł. Był ubrany niemal identycznie jak pani mąż i niósł taki sam bagaż. A pani mąż już stamtąd nie wyszedł.

- Jak to nie wyszedł? Musiał wyjść.

- Nie wyszedł jako Jason Archer. Sidney zupełnie się w tym wszystkim pogubiła.
- Pierwsze, na co zwróciłem uwagę u pani męża, to obu-  
wie — podjął pośpiesznie mężczyzna. — Był w garniturze, ale  
na nogach miał czarne tenisówki. Przypomina sobie pani, żeby  
wkładał rano czarne tenisówki?
- Spałam, kiedy wychodził.

• No więc, kiedy wyszedł wreszcie z toalety, wyglądał zupeł-  
nie inaczej. Jak student college'u. Dres, inne włosy, odmieniony  
nie do poznania.

- To skąd pan wiedział, że to on?
- Na podstawie dwóch spostrzeżeń. Po pierwsze, pani mąż  
wyszedł do toalety zaraz po jej otwarciu po porannym sprzą-  
taniu. Obserwowałem drzwi przez cały czas. Nie wchodził tam nikt  
choćby z grubsza przypominający faceta, który później stamtąd  
wyszedł. Po drugie, te czarne tenisówki były bardzo charaktery-  
styczne. Powinien chyba założyć jakieś mniej rzucające się w oczy  
buty. Nie mam wątpliwości, że to był pani mąż. Ten drugi facet  
wyszedł z toalety w kapeluszu pani męża i wyglądał w nim jak  
jego brat bliźniak.

Sidney wciągnęła głośno powietrze.

• Pani mąż stanął w kolejce odlatujących do Seattle — ciągnął  
nieznajomy. — Z kieszeni wyjął tę samą kopertę, którą wcześniej  
widziałem u tego drugiego gościa. Miał w niej bilet i wejściówkę  
na lot do Seattle. W samolot odlatujący do L.A. wsiadł ten drugi.

- Czyli • wymienili się w toalecie biletami. Ten drugi był  
ubrany tak jak Jason na wypadek, gdyby ktoś ich obserwował.
- Właśnie. — Mężczyzna kiwnął głową. — Pani mąż chciał  
utwierdzić kogoś w przekonaniu, że wsiada w samolot do L.A.
- Ale dlaczego? — zapytała Sidney, kierując to pytanie bar-  
dziej do siebie niż do nieznajomego.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Wiem tylko, że samolot, którym miał rzekomo  
lecieć pani mąż, rozbił się. To podsyciło moją podejrzliwość.

— Poszedł pan na policję?

Nieznajomy pokręcił głową.

— I co bym im powiedział? Przecież nie widziałem, jak pod-  
kładano bombę. Poza tym mam swoje powody, żeby zachować  
milczenie.

- Co to za powody?
- Mężczyzna uniósł rękę.
- Na razie to zostawmy.
- Jak pan ustalił tożsamość mojego męża? Chyba nie znał go  
pan wcześniej?
- Nie, nie znałem. Ale zanim wszedł do tej toalety, prze-  
spacerowałem się przed nim kilka razy. Miał przy neseserze  
etykietkę z nazwiskiem i adresem. Mam sporą wprawę w czytaniu

## 230

tekstów do góry nogami. Ustalenie, gdzie pracuje, czym się za-  
jmuje, i tak dalej, było już prostą sprawą. Podobne informacje  
zebrałem również na temat pani. Zaraz potem zacząłem panią  
śledzić, choć nie wiedziałem jeszcze, czy coś pani grozi.

Sidney zrobiło się zimno. Jakiś intruz grzebał bezkarnie w jej  
życiu osobistym!

- Pewnego dnia, kiedy byłem na posterunku policji w Fairfax  
z wizytą u znajomego, przysłano faksem list gończy ze zdjęciem  
pani męża. Wtedy na serio podjąłem pani trop. Pomyślałem sobie,  
że może pani mnie do niego zaprowadzi.

• Och. — Sidney opadła na oparcie fotela. I nagle uderzyła ją pewna myśl. — Jak trafił pan za mną do Nowego Orleanu?

• Zacząłem od założenia podsłuchu w pani telefonie. Musiałem na bieżąco wiedzieć o wszystkich pani ruchach. Słyszałem pani rozmowę z mężem i zauważyłem u niego szczególną skłonność do unikania konkretów...

Sidney wsłuchiwała się przez chwilę w buczenie silników samolotu, a potem dotknęła rękawa mężczyzny.

— Powiedział pan, że nie pracuje w FBI. Kim więc pan jest? Czemu się pan w to angażuje?

Nieznamy, zanim odpowiedział, lustrował przez kilka sekund wzrokiem przejście między fotelami. Potem spojrzał na nią i westchnął.

• Jestem prywatnym detektywem, pani Archer. I obecnie zajmuję się wyłącznie sprawą pani męża.

• Kto pana wynajął?

• Nikt. — Rozejrzał się ponownie. — Ale pomyślałem, że mąż będzie się może próbował z panią skontaktować. W końcu to zrobił i dlatego tu jestem. Jednak do spotkania w Nowym Orleanie nie doszło. To z nim rozmawiała pani z automatu, prawda? Dostała pani instrukcje od tamtego pucybuta?

Sidney po chwili wahania skinęła głową.

— Czy mąż dał pani w jakikolwiek sposób do zrozumienia, gdzie przebywa?

Sidney pokręciła głową.

— Powiedział, że jeszcze się ze mną skontaktuje. Jak zrobi się bezpieczniej.

Mężczyzna omal nie parsknął śmiechem.

— To znaczy, nieprędko, pani Archer. Nie w najbliższej przyszłości.

231

Przez resztę lotu milczeli. Mężczyzna odezwał się do Sidney dopiero, kiedy samolot podchodził już do lądowania na waszyngtońskim lotnisku krajowym:

— Jeszcze dwie sprawy, pani Archer. Kiedy przesłuchiwałem taśmę z nagraniem pani rozmowy z mężem, wychyciłem jakieś odgłosy w tle. Jakby szum lecącej wody. Nie mam co do tego pewności, ale chyba ktoś was podsłuchiwał z drugiego aparatu. — Twarz Sidney stężała. — Pani Archer, radzę założyć, że federalni również wiedzą, że pani mąż żyje.

Koła samolotu dotknęły pasa startowego.

— Powiedział pan „dwie sprawy”. Jaka jest ta druga?

Mężczyzna schylił się i wyciągnął spod fotela przed sobą mały neseser. Wyprostował się i spojrzał Sidney w oczy.

— Ludzi, którzy nie wahają się dokonać zamachu bombowego na samolot, stać na wszystko. Niech pani nie ufa nikomu, pani Archer. Musi pani zachować teraz szczególną ostrożność. Wiem, że psu na budę taka rada, ale tylko takiej mogę pani udzielić.

Kilka minut później już go nie było. Sidney wysiadła z samolotu jako jedna z ostatnich. O tej porze na lotnisku było niewielu pasażerów. Skierowała się na postój taksówek. Wzięła sobie do serca radę nieznanego i po drodze rozglądała się czujnie dookoła, starając się nie robić tego zbyt ostentacyjnie. Na pocieszenie pozostawała jej świadomość, że w całym tabunie śledzących ją teraz prawdopodobnie ludzi przynajmniej kilku jest z FBI.

Po rozstaniu się z Sidney Archer mężczyzna wsiadł do lotniskowego autobusu i dojechał nim do długoterminowego parkingu.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Okolica była wyludniona. Niósł torbę, którą w Nowym Orleanie nadał na bagaż. Pomarańczowa nalepka informowała, że w środku znajduje się nie naładowana broń palna. Zatrzymał się przy swoim samochodzie, najnowszym modelu grand maraquisa, i otworzył torbę, żeby wyjąć z niej pistolet, załadować go i wsunąć w kaburę pod pachą.

Ostrze sztyletu przeszło mu najpierw prawe płuco, cofnęło się i wraziło w prawe, wypuszczając z obu powietrze i uniemożliwiając wzywanie pomocy. Trzeci cios przeciął prawą stronę szyi. Torba z bezużytecznym już dla umierającego pistoletem upadła na betonową nawierzchnię parkingu. W ślad za torbą

232

osunął się na ziemię jej właściciel, patrząc zachodzącymi mgłą oczyma na swojego zabójcę.

Obok zatrzymała się furgonetka. Kenneth Scales wsiadł do niej i w chwilę potem martwy mężczyzna został sam.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Lee Sawyer siedział przy stole konferencyjnym w gmachu FBI i przeglądał górę raportów. W pewnej chwili położył dłoń na zmierzwionych włosach, odchylił się na oparcie krzesła i zarzuciwszy nogi na blat stołu zaczął porządkować sobie w głowie nowe fakty. W raporcie z sekcji zwłok Rikera stwierdzano, że śmierć nastąpiła czterdzieści osiem godzin przed znalezieniem ciała, Sawyer zdawał sobie jednak sprawę, że ze względu na bliską zeru temperaturę panującą w mieszkaniu, czas zgonu określony na podstawie stopnia pośmiertnego rozkładu ciała nie jest tak dokładny, jak miałyby to miejsce w normalnych okolicznościach.

Obejrzał zdjęcia pistoletu automatycznego Sig P229, który zabezpieczono na miejscu zbrodni. Numer seryjny pistoletu został zatarty, a potem dokładnie zeszlifowany. Spojrzał na fotografie kul z wydrążonymi czubkami, wydobytych z ciała. Wystrzelono o jedenaście pocisków więcej, niż trzeba było do uśmiercenia Rikera. Ta kanonada bardzo Sawyera frapowała. Zabójca sprawiał wrażenie profesjonalisty, a profesjonalnym mordercom wystarczył zazwyczaj jeden strzał. Lekarz przeprowadzający autopsję stwierdził, że pierwszy pocisk spowodował natychmiastową śmierć. Kiedy w ciało wchodziły kolejne pociski, serce już nie biło.

Rozbryzgi krwi na stoliku, krzesle i lustrze świadczyły, że Riker został zaskoczony na siedząco i zastrzelony od tyłu. Zabójca musiał potem ściągnąć go z krzesła, rzucić na podłogę w kącie sypialni i stojąc nad nim wywalić resztę magazynku w martwe już ciało. Ale dlaczego? Sawyer nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Liczne wywiady i sprawdzanie potencjalnych tropów nie doprowadziły do ustalenia, co Riker robił przez ostatnie osiemnaście miesięcy. Żadnych adresów, żadnych znajomych, żadnych miejsc zatrudnienia, żadnych dowodów płacenia kartami kredytowymi, zupełnie nic. Szybki Start przetwarzał na miejscu katastrofy tony

danych dziennie, a oni nie byli w stanie wydedukować niczego konkretnego z owoców ich pracy. Wiedzieli, jak to zostało zrobione, mieli zwłoki drania, który to zrobił, ale nie mogli ruszyć z miejsca.

Sawyer spuścił nogi ze stołu i zabrał się za następny raport, z którego dowiedział się, że Riker przeszedł operację plastyczną.

Riker z fotografii, które zrobiono mu po ostatnim aresztowaniu, w niczym nie przypominał mężczyzny, który skończył marnie w luksusowym wirgińskim budynku mieszkalnym.

Sawyer skrzywił się. Sprawdziły się jego przewidywania co do nazwiska Sinclair, pod które podszył się Riker. Nikt taki nigdy nie istniał, Sinclaira stworzono z powietrza i z wprowadzonych do komputerów danych, a zrobiono to tak kunsztownie, że Robert Sinclair zatrudniony został na stanowisku paliwowego w szanowanej firmie mającej kontrakty na obsługę kilku dużych linii lotniczych, w tym także Western Airlines. Vector, sprawdzając przeszłość zawodową swojego nowego pracownika, zamiast zweryfikować numery telefonów jego poprzednich pracodawców, zadzwonił jedynie pod numery podane im przez Rikera, alias Sinclaira. Wszystkie opinie przedstawione przez Rikera wystawione były przez małe stacje paliwowe ze stanu Waszyngton, z południowej Kalifornii i z Alaski. Każda z tych firm istniała tylko na papierze. Ludzie Sawyera, którzy usiłowali się do nich dodzwonić, dowiadawali się, że numery zostały odłączone. Adresy poprzednich miejsc zatrudnienia wpisane przez Rikera do ankiety personalnej również były fałszywe. Tylko numer jego ubezpieczenia społecznego okazał się autentyczny.

Do laboratoriów wirgińskiej policji stanowej przesłano również odciski palców Rikera, celem przeprowadzenia analizy porównawczej. Riker odsiadywał wyrok w wirgińskim więzieniu i w tamtejszych aktach powinny się znajdować wzory jego linii papilarnych. Ale ich tam nie było. Wniosek nasuwał się tylko jeden: ktoś buszował po komputerowych bazach danych Biura Ubezpieczeń Społecznych oraz Wirgińskiej Policji Stanowej. Jak można było teraz być czegokolwiek pewnym? Bazy danych nie gwarantujące absolutnego bezpieczeństwa przechowywanym w nich informacjom stawały się praktycznie bezużyteczne. A skoro zdołano się włamać do komputerów wirgińskiej policji i BUS, to kto mógł się czuć bezpieczny? Sawyer z irytacją odsunął od

234

siebie raporty, nalał sobie kolejny kubek kawy i zaczął krążyć po wielkiej sali konferencyjnej.

Jason Archer znacznie go wyprzedzał. Istniał tylko jeden powód, dla którego Sidney Archer sprowokowano do podróży do Nowego Orleanu. Właściwie mogło to być każde inne miasto. Chodziło jedynie o to, żeby wyjechała z Waszyngtonu, a za nią FBI. Dom pozostał bez opieki. Z dyskretnych rozmów z sąsiadami Sawyer dowiedział się, że rodzice Sidney Archer wkrótce po jej wyjeździe zabrali wnuczkę i również wyjechali.

Sawyer zwinął dłoń w pięść. Podstęp. A on dał się nabrać jak początkujący agent. Nie miał żadnego bezpośredniego dowodu na poparcie tej hipotezy, ale dałby głowę, że pod nieobecność Sidney ktoś wszedł do jej domu i przypuszczalnie coś stamtąd wyniósł. Podjęcie przez tego kogoś takiego ryzyka oznaczało, że jemu, Sawyerowi, przeciekło przez palce coś ogromnie ważnego.

Niezbyt fortunnie rozpoczynał się ten dzień, a wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze gorzej. Sawyer nie przywykł do prztyczków w nos na każdym zakręcie. Wprowadził Franka Hardy'ego we wszystko i teraz Frank sprawdzał Paula Brophy'ego oraz Philipa Goldmana. Potajemna wizyta Paula Brophy'ego w pokoju hotelowym Sidney Archer również go zaskoczyła.

Sawyer rozpostarł gazetę i przeczytał nagłówek. Sidney Archer musi być teraz w niezłym strachu, pomyślał. Ponieważ Jason Archer wiedział już z pewnością, że go tropią, Biuro postanowiło podać do publicznej wiadomości przypisywane mu przestępstwa:

szpiegostwo przemysłowe i defraudacja pieniędzy z konta Tritona. W artykule nie było żadnych aluzji na temat jego bezpośredniego udziału w spowodowaniu katastrofy samolotu, wspomniano jednak, że chociaż figurował na liście pasażerów, nie było go na pokładzie. A ludzie potrafią czytać między wierszami. Opisywano również obszernie wszystkie ostatnie poczynania Sidney Archer. Spojrzał na zegarek. Zamierzał złożyć jej drugą wizytę. I pomimo że darzył tę kobietę sympatią, tym razem nie wyjdzie bez uzyskania odpowiedzi na pewne pytania.

Henry Wharton stał za biurkiem ze spuszczoną na piersi głową i patrzył na zaciągnięte chmurami niebo za oknem. Na biurku leżał stroną tytułową do dołu egzemplarz *Posta* — Wharton nie chciał mieć przed oczyma tych niepokojących tytułów. Po drugiej

235

stronie biurka, ze wzrokiem wbitym w plecy Whartona, siedział w fotelu Philip Goldman.

— Naprawdę nie widzę innego wyjścia, Henry... — Goldman zawiesił głos i przez jego kamienną dotąd twarz przemknął cień satysfakcji. — Jak rozumiem, Nathan Gamble, telefonując tu dzisiaj rano, nie krył wściekłości. Czy można mu się dziwić? Krążą pogłoski, że może zerwać z nami współpracę.

Wharton skrzywił się i odwrócił do Goldmana, lecz nadal na niego nie patrzył. Wyrażnie się łamał. Goldman pochylił się w przód, gotów kuć żelazo, póki gorące.

— To dla dobra firmy, Henry. Będzie to bolesne dla wielu osób, a i siebie, pomimo że w przeszłości miewałem z Sidney rozmaite spięcia, też zaliczyłbym do tej grupy. Była przecież jednym z filarów naszej kancelarii. — Goldman stłumił ironiczny uśmiešek. — Ale zdajesz sobie przecież sprawę, Henry, że dla jednej osoby nie można poświęcać przyszłości firmy, przyszłości setek ludzi. — Opadł na oparcie fotela i z westchnieniem splótł ręce na podolku. — Jeśli ci niezręcznie, Henry, mogę to wziąć na siebie. Wiem, jak blisko byliście ze sobą.

Wharton spojrział w końcu na niego i kiwnął głową. Goldman cicho opuścił gabinet.

Kiedy Sidney Archer podnosiła gazetę z chodnika przed drzwiami swojego domu, zadzwonił telefon. Wbiegła do środka z nie rozpakowanym *Postem* w ręku. Nie przypuszczała, żeby to był Jason, ale teraz nie mogła być niczego pewna. Rzuciła gazetę na stos egzemplarzy z poprzednich dni, których nie zdążyła jeszcze przejrzeć.

W słuchawce zahuczał głos ojca. Czy czytała gazetę? Co tam u diabła wypisują? Co to za pomówienia? On podaje sprawę do sądu. Będzie się procesował ze wszystkimi, którzy są w to wmieszani, z Tritonem i FBI włącznie. Uspokajając go Sidney rozpakowała gazetę. Na widok nagłówka zaparło jej dech, zupełnie jakby ktoś nastąpił jej nogą na klatkę piersiową. Opadła ciężko na krzesło w pogrążonej w półmroku kuchni. Przeczytała szybko artykuł wstępny, z którego wynikało, że jej mąż ukradł swojemu pracodawcy jakieś bezcenne tajemnice i setki milionów dolarów. A co najważniejsze, że jest także podejrzany o podłożenie bomby w samolocie, przypuszczalnie dla utwierdzenia władz w przeko-

236

naniu, że nie żyje. Ale teraz, zgodnie z informacjami uzyskanymi od FBI, wiadomo już, że żyje i ukrywa się.

W połowie strony Sidney dostrzegła swoje nazwisko i żołądek podszedł jej do gardła. Pisano, że zaraz po nabożeństwie żałobnym w intencji męża poleciała do Nowego Orleanu, co wydaje się wielce podejrzane. Oczywiście, że to było podejrzane. Każdy uznałby, że za taką podróżą muszą kryć się jakieś ciemne motywy. Zniszczono jej właśnie nieodwracalnie reputację, na którą pracowała całe życie. Załamana, nie słuchając dalej ojca, odłożyła słuchawkę. Z trudem dowlokła się do kuchennego zlewu. Miała zawroty głowy i było jej niedobrze. Polała sobie zimną wodą kark i zwilżyła czoło.

Na nogach jak z waty wróciła do kuchennego stołu, usiadła i przez kilka minut szlochała rozpaczliwie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna. Nagle poczuła gniew. Wbiegła dosypialni, ubrała się szybko i dwie minuty później otwierała już drzwiczki forda explorera. Cholera. Z plastikowej torebki leżącej na przednim siedzeniu wysypała się poczta. Schyliła się automatycznie, żeby ją pozbiierać. Sortując pośpiesznie rozsypane po posadzce garażu listy natrafiła w pewnym momencie na kopertę zaadresowaną do Jasona Archera i zamarła. Rozpoznała pismo męża, nogi się pod nią ugięły. Wyczuwała pod palcami jakiś płaski obiekt. Spojrzała na stempel pocztowy. List wysłano z Seattle, w dniu rzekomego wyjazdu Jasona do Los Angeles. Przeszedł ją dreszcz. Jason miał w swoim domowym gabinecie dużo podobnych, wyscielanych od wewnątrz kopert. Przeznaczone były do bezpiecznego przesyłania pocztą dyskietek komputerowych. Nie miała teraz czasu nad tym się zastanawiać. Rzuciła plik listów na fotel pasażera, usiadła za kierownicą i wyprowadziła wóz z garażu.

Pół godziny później Richard Lucas wprowadzał rozjuszoną Sidney Archer do gabinetu Nathana Gamble'a. Po piętach deptał im zdumiony Quentin Rowe. Sidney zdecydowanym krokiem podeszła prosto do siedzącego za biurkiem Gamble'a i rzuciła mu na kolana *Posta*.

— Jeśli nie masz jeszcze dobrych adwokatów od zniesławień, to się lepiej zacznij za nimi rozglądać — warknęła.

Widząc jej niepokohamowaną furję, Lucas chciał już ruszyć Gamble'emu z odsieczą, ale ten powstrzymał go machnięciem ręki.

237

Bez pośpiechu podniósł gazetę i przebiegł wzrokiem artykuł. Skończywszy, spojrzał na Sidney.

- Ja tego nie napisałem.

- Już ci, cholera, wierzę.

Gamble wyciągnął z paczki papierosa i wstał.

- Wybacz, ale dlaczego wydaje mi się, że to ja powinienem być wkurzony?

- Mój mąż wysadzający samoloty, wykradający tajemnice, ograbiający cię z pieniędzy. To stek bzdur, i dobrze o tym wiesz.

Gamble wypadł zza biurka i stanął przed nią.

- Pozwól, moja pani, że powiem ci, co na ten temat wiem.

Jestem lżejszy o tonę forsy, to fakt. A twój mąż przekazał RTG wszystko, czego trzeba, żeby pograżyć moją firmę. To również fakt. Czego się po mnie spodziewasz? Że udekoruję cię za to medalem?

- To nieprawda.

- Właśnie że prawda! — Gamble z rozmachem podstawił jej fotel. — Siadaj!

Wyjął z szuflady biurka wideokasetę i cisnął ją Lucasowi. Potem uderzył w przycisk na swojej konsoli i fragment ściany rozsunał się, odsłaniając wielki telewizor połączony z magneto-



widem. Lucas podszedł do niego, żeby załadować kasety, a Sidney, nie dowierając rozdygotanym nogom, opadła na fotel. Spojrzała pytająco na Quentina Rowe'a, który stał jak słup soli w kącie gabinetu i wlepił w nią zdumione oczy. Oblizła nerwowo wargi i przeniosła wzrok na ekran telewizora.

Serce niemal przestało jej bić, kiedy ujrzała na nim swojego męża. Od tamtego strasznego dnia słyszała tylko jego głos i podświadomie uważała go za zmarłego. Z początku chłoneła tylko jego znajome płynne ruchy. Potem skupiła wzrok na twarzy i dech jej zapało. Nigdy nie widziała Jasona tak zdenerwowanego, tak spiętego. Przechodzący z rąk do rąk neseser, ryk przelatującego samolotu, uśmiechy mężczyzn, studiowanie dokumentów, wszystko to było jakby tłem — nie odrywała oczu od Jasona. Spojrzała na pasek z godziną i datą rejestracji i serce znowu podeszło jej do gardła. Kiedy ekran pociemniał, obejrzała się. Patrzyli na nią wszyscy obecni w gabinecie.

— Wymiana ta miała miejsce w magazynie należącym do RTG długo po katastrofie samolotu — oświadczył Gamble stojący za jej plecami. — Jeśli dalej chcesz mnie skarżyć o zniesławienie,

238

to proszę bardzo. Oczywiście jeżeli stracimy CyberCom, możesz mieć kłopoty z odebraniem honorarium — dodał uśmiechając się ponuro.

Sidney wstała. Gamble sięgnął za biurko i rzucił jej *Posta*.

— Twoja gazeta.

Chociaż ledwie trzymała się na nogach, jakimś cudem zdołała ją złapać. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z gabinetu.

Wprowadziła wóz do garażu i wsłuchiwała się w skrzyp opuszczającej się bramy. Dygotała, wstrząsała nią szloch. Sięgnęła na oślep po gazetę. Jej wzrok padł na dolną połowę pierwszej strony i tu czekał ją kolejny szok.

Fotografia mężczyzny pochodziła sprzed paru lat, ale tę twarz rozpoznalaby wszędzie. Nareszcie dowiedziała się, jak się nazywał: Edward Page. Wcześniej przez dziesięć lat służył w nowojorskiej policji, a od pięciu był miejscowym prywatnym detektywem. Pracował w pojedynkę, jego firma nazywała się Prywatne Rozwiązania. Padł ofiarą napadu rabunkowego na parkingu krajowego portu lotniczego. Rozwiedziony, osierocił dwoje nastoletnich dzieci.

Znajome oczy patrzące na nią z gazetowego zdjęcia przyprawiły ją o dreszcz. Było dla niej było oczywiste, że Page nie zginął z ręki amatora cudzych pieniędzy i kart kredytowych. Został zamordowany kilka minut po rozmowie z nią. Musiałaby być idiotką, żeby zlekceważyć jego śmierć) uznając ją za zwyczajny zbieg okoliczności. Wskoczyła z samochodu i wpadła do domu.

Z metalowego pudełka, które trzymała w szafie w sypialni, wyciągnęła błyszczącego srebrnego smith & wessona dziewiątkę i szybko go załadowała. Naboje hydra-shok z wydrążonymi czubkami skutecznie zniechęcą każdego, kto chciałby podnieść na nią rękę. Sięgnęła do portfela. Pozwolenie na broń było jeszcze ważne.

Kiedy odstawiła pudełko na górną półkę, pistolet wyslizgnął się jej z kieszeni i uderzając po drodze o nocną szafkę upadł na dywan. Dzięki Bogu był zabezpieczony. Podnosząc go z podłogi, zauważyła, że odłupał się mały kawałek plastikowej kolby, ale poza tym broń nie ucierpiała. Z pistoletem w dłoni wróciła do garażu i wsiadła z powrotem do forda.

Nagle z wnętrza domu dobiegł jej uszu jakiś szmer. Odbezpieczyła

szybko smith & wessona i wzięła na muszkę drzwi prowadzące do środka. Drugą ręką zaczęła wojować z kluczykami do samochodu, kalecząc sobie przy tym palec o ostre zębki jednego z nich. Na oślep, otwartą dłonią, pacnęła w otwieracz bramy garażu przyczepiony do osłony przeciwsłonecznej wozu. Z walącym sercem czekała, aż ospale unosząca się brama zakończy wreszcie mozolną wspinaczkę. Ani na chwilę nie odrywała oczu od drzwi prowadzących do domu, przygotowana, że lada moment otworzą się z hukiem.

Wróciła na chwilę myślami do artykułu opisującego okoliczności śmierci Edwarda Page'a. Osierocił dwoje dzieci. Jej twarz przybrała zacięty wyraz. Ona nie osieroci swojej małej córeczki. Zaciśnięta mocniej palce na kolbie pistoletu. Wdusiła przycisk na podłokietniku, opuszczając szybę po stronie pasażera. Już nic nie stało na linii strzału między nią a drzwiami do domu. Do tej pory strzelała z tego pistoletu tylko do tarczy na strzelnicy. Ale teraz położy trupem każdego, kto wyjdzie tymi drzwiami.

Nie zauważyła mężczyzny, który zgięty wpół prześlizgnął się pod dolną krawędzią unoszącej się bramy garażu i z pistoletem w ręku podszedł szybko do drzwiczek od strony kierowcy, bo w tym momencie zaczęły się otwierać wewnętrzne drzwi prowadzące do garażu. Sidney jeszcze mocniej ścisnęła kolbę. Żyły na grzbiecie jej dłoni nabrzmiały, palec zaczął napierać na spust.

— Jezus Maria! Niech pani to odłoży, ale już! — wrzasnął mężczyzna stojący obok samochodu, przystawiając lufę pistoletu do szyby na wysokości lewej skroni Sidney.

Sidney obejrzała się jak pchnięta sprężyną i znalazła się oko w oko z agentem Rayem Jacksonem. Drzwi domu otworzyły się gwałtownie, waląc z hukiem o ścianę. Głowa Sidney obróciła się błyskawicznie w tamtą stronę. Z drzwi wypadł na ugiętych nogach zwalisty Lee Sawyer, zataczając zamaszyste łuki trzymanym oburącz pistoletem. Sidney opadła na fotel kierowcy. Pot zalewał jej oczy.

Ray Jackson, nie opuszczając pistoletu i popatrując to na Sidney Archer, to na broń, która o mały włos nie wybiła dziury w jego partnerze, otworzył jednym szarpnięciem drzwiczki explorera.

- Zwariowała pani? — Sięgnął ręką nad kolanami Sidney, wyrwał jej pistolet i zabezpieczył go. Sidney nie stawiała żadnego oporu, ale po chwili furia wykrzywiła jej twarz.

- Co wy wyprawiacie? Dlaczego włamujecie się do mojego domu? Mogłam was powystrzelać!

240

Lee Sawyer wsunął broń do kabury przy pasku spodni i podszedł do forda.

— Drzwi frontowe były otwarte, pani Archer. Nie reagowała pani na pukanie, pomyśleliśmy więc sobie, że coś się mogło stać.

Furia przeszła Sidney tak samo szybko, jak się pojawiła. Rzeczywiście wbiegła do domu, żeby odebrać telefon od ojca, nie zamykając za sobą drzwi frontowych. Pochyliła się i oparła czoło o kierownicę. Czowała, że zaraz zwymiotuje. Cała była złana potem. Przez otwartą bramę wdarł się do garażu podmuch zimnego wiatru. Wzdrygnęła się.

- Wybiera się pani gdzieś? — Sawyer omiótł wzrokiem forda, a potem spojrzął wyczekująco na zdeprymowaną Sidney.

- Tylko na przejażdżkę — odparła załamującym się głosem. Uniknęła jego wzroku. Przesunęła spoconą ręką po kierownicy, pozostawiając na niej smugę wilgoci.

Sawyer spojrział na kupkę listów leżącą na fotelu pasażera.

— Zawsze zabiera pani ze sobą pocztę na przejażdżki?

- Sidney pobiegła oczami za jego spojrzeniem.
- Nie wiem, skąd to się tu wzięło. Może ojciec je tu położył, kiedy wyjeżdżał.
  - Właśnie. Zaraz po pani. Jak było w Nowym Orleanie, skoro już o tym mowa? Dobrze się pani bawiła?
- Sidney patrzyła na niego tępo.  
Sawyer wziął ją stanowczym ruchem pod rękę.  
— Chodźmy pogawędzić, pani Archer.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Sidney pozbierała listy i wepchnęła sobie pod pachę *Posta*. Kopertę z dyskietką wsunęła niepostrzeżenie do kieszeni kurtki. Wysiadając z wozu spojrzała na pistolet, który z takim zdecydowaniem skonfiskował jej Jackson.

- Mam na niego pozwolenie — powiedziała pokazując mu dokument.
- Pozwoli pani, że go rozładuję przed oddaniem?
- Jeśli poczuje się pan przez to bezpieczniejszy, proszę bardzo — mruknęła, naciskając przycisk otwieracza bramy garażu. Zatrzasnęła drzwiczki forda. — Tylko niech pan nie zapomni zwrócić mi naboju.

16 — Pełnu kontrola

241

Kiedy weszli do domu, zapytała:

- Napijcie się panowie kawy? A może coś zjecie? Wcześniej jeszcze. — Te ostatnie słowa zabrzmiały w jej ustach jak wyrzut.
- Wystarczy kawa — odparł Sawyer. Jackson kiwnął zgodnie głową.

Sidney zabrała się do parzenia kawy, a Sawyer przyglądał się jej uważnie. Dawno nie myte blond włosy opadały strakami na pozbawioną makijażu twarz, ściągniętą i wychudzoną bardziej niż za poprzedniej jego tu bytności. Jednak zielone oczy zachowały swój hipnotyzujący blask. Gdy sięgała po czajniczek, zauważył, że ręce lekko jej drżą. Była wyraźnie zdenerwowana. Musiał przyznać w duchu, że nieźle się trzyma, biorąc pod uwagę koszmar, w którym ostatnio żyła i który zdawał się rozrastać z każdym dniem. Ale każdy ma swoje granice wytrzymałości. Spodziewał się dowiedzieć, dokąd sięgają one u Sidney Archer, zanim to wszystko się skończy.

Sidney postawiła na tacy trzy filiżanki kawy, cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką. Z pojemnika na pieczywo wyjęła kilka pączków i maślanych bułeczek. Wyładowaną tym wszystkim tacę postawiła pośrodku kuchennego stołu. Agenci nie czekali na zaproszenie.

- Dobre pączki, dziękujemy. A swoją drogą, czy zawsze nosi pani przy sobie broń? — zapytał Sawyer i spojrzał na nią wyczekująco.
- W okolicy zdarzyło się ostatnio kilka włamań. Przeszłam profesjonalne przeszkolenie. Poza tym jestem oswojona z bronią. Mój tato i starszy brat Kenny służyli w piechocie morskiej. Są również zapalonymi myśliwymi, a Kenny ma cenną kolekcję broni palnej. Tato od podlotka uczył mnie strzelać do rzutków i ruchomych celów. Strzelałam chyba z każdego rodzaju broni, jaki istnieje, i jestem w tym bardzo dobra.
- Dosyć fachowo posługiwała się pani tym kopytkiem w garażu — wtrącił Ray Jackson. Zauważył obtłuczenie na kolbie. — Mam nadzieję, że nie był naładowany, kiedy go pani upuściła.
- Bardzo ostrożnie obchodzę się z bronią, panie Jackson, ale doceniam pańską troskę.

Jackson jeszcze raz spojrzął na pistolet, po czym oddał go jej razem z pełnym magazynkiem.

— Ładna sztuka. Lekki. Ja też używam hydro-shoków... to wspaniała amunicja obronna. W komorze został nabój — przypomniał jej.

242

- Ten pistolet ma bezpiecznik magazynkowy. Nie wystrzeli bez magazynka. — Sidney dotknęła ostrożnie broni. — Ale nie jestem zachwycona, że muszę go trzymać w domu, zwłaszcza od kiedy jest z nami Amy. Pomimo że zawsze jest rozładowany i leży w zamkniętym pudełku.

- Nie na wiele się więc zda w razie włamania — zauważył Sawyer, sięgając po gorącą kawę, żeby popić kęs pączka.

- Owszem, nie na wiele, jeśli człowiek da się zaskoczyć. Ale ja staram się być czujna. — Sidney z trudem opanowała dreszcz na wspomnienie wypadków sprzed paru minut.

- Zechciałaby nam pani powiedzieć, co miała znaczyć ta wycieczka do Nowego Orleanu? — spytał Sawyer odsuwając tacę z pączkami i bułeczkami.

Sidney podniosła poranną gazetę i pokazała mu nagłówek.

— A co? Dorabia pan sobie jako dziennikarz i szuka materiału do następnego artykułu? Przy okazji dziękuję za zrujnowanie mi życia. — Ze złością rzuciła gazetę na stół i odwróciła głowę. Nerwowy tik szarpnął jej lewą powieką. Zacisnęła dłoń na krawędzi podniszczonego sosnowego blatu, żeby opanować drżenie ciała.

Sawyer przebiegł artykuł wzrokiem.

— Nie widzę tu niczego, co miałyoby się z prawdą. Pani mąż naprawdę jest podejrzany o kradzież tajemnic firmy, w której pracował. Co najważniejsze, nie było go w samolocie, którym oficjalnie miał lecieć. Samolot rozbił się w szczerym polu, a pani mąż nadal żyje i doskonale się ma. — Nie dostrzegając u Sidney żadnej reakcji, Sawyer wyciągnął rękę i dotknął jej łokcia. — Powiedziałem przed chwilą, że pani mąż żyje, pani Archer. Nie zauważyłem, żeby to panią zaskoczyło. Opowie mi pani teraz o Nowym Orleanie?

Odwróciła powoli głowę i spojrzała na niego. Twarz miała zadziwiająco spokojną.

- Powiedział pan, że on żyje?

Sawyer kiwnął głową.

- To może powie mi pan jeszcze, gdzie jest?

- Właśnie panią chciałem o to zapytać.

Sidney wbiła sobie palce w udo.

- Od tamtego poranka nie widziałam męża.

Sawyer przysunął się bliżej.

- Pani Archer, przestańmy mydlić sobie oczy. Odbiera pani

243

tajemniczy telefon i zaraz potem, odbębniwszy udział w nabożeństwie za duszę ukochanego zmarłego, który, jak się okazuje, wcale nie umarł, wsiada pani w samolot do Nowego Orleanu. Po drodze na lotnisko przesiada się pani z taksówki do metra, nie zabierając walizki. Urywa się pani moim chłopcom i hajda na południe. Melduje się pani w hotelu, gdzie, idę o zakład, jest pani umówiona z mężem. — Na twarzy Sidney Archer nie drgnął dotąd ani jeden miesiąc. — Idzie pani na spacer — ciągnął Sawyer — i każe sobie wyczyścić buty sympatycznemu staruszkowi, jedynemu włóczędze, o jakim słyszałem, który odmawia przyjęcia napiwku. Potem dzwoni pani gdzieś i hop, jest już pani w samolocie lecącym z powrotem do Waszyngtonu. Jak pani to

wyjaśni?

Sidney zaczerpnęła powietrza w płuca i spojrzała hardo na Sawyera.

— Powiedział pan, że odebrałam tajemniczy telefon. Skąd pan to wie?

Agenci wymienili spojrzenia.

— Mamy swoje źródła informacji, pani Archer — odparł Sawyer. — Centrala udostępniła nam również zestawienie pani rozmów telefonicznych.

Sidney założyła nogę na nogę i pochyliła się do przodu.

— Chodzi wam o ten telefon od Henry'ego Whartona?

Sawyer patrzył na nią bez zmrużenia oka.

— Chce pani powiedzieć, że rozmawiała z Henrym Whartonom?

Nie spodziewał się, że tak łatwo złapie ją w tę pułapkę i nie pomylił się.

- Nie. Chcę powiedzieć, że dzwonił tu ktoś, kto podawał się za Henry'ego Whartona.

- Ale rozmawiała pani z tym kimś.

— Nie.

Sawyer westchnął.

- Dysponujemy nagraniem tej rozmowy. Wisiała pani na telefonie przez około pięć minut. Chyba nie po to, żeby wsłuchiwać się w posapywania jakiegoś telefonicznego zбочeńca?

- Nie życzę sobie, żeby mnie obrażano we własnym domu, zrozumiano?

- Już dobrze, przepraszam. A więc kto to był?

- Nie wiem.

244

Sawyer wyprostował się i rąbnął wielką pięścią w stół. Przeszaskała Sidney omal nie spadła z krzesła.

- Proszę pani!

- Mówię panu, że nie wiem — wpadła mu w słowo rozgniewana Sidney. — Myślałam, że to Henry, ale to nie był on. Nikt się nie odzywał, więc po paru sekundach odłożyłam słuchawkę. — Kiedy uświadomiła sobie, że okłamuje FBI, puls jej przyspieszył.

Sawyer patrzył na nią ze znużeniem.

- Komputery nie kłamią, pani Archer. — Skrzywił się z niesmakiem na wspomnienie okoliczności spreparowania tożsamości Rikera. — Z zestawienia wynika, że rozmowa trwała pięć minut.

- Ten telefon odebrał w kuchni mój ojciec, odłożył słuchawkę na szafkę i przyszedł mi powiedzieć, że to do mnie. Mniej więcej wtedy wy się zjawiliście. Czy to takie nieprawdopodobne, że mógł zapomnieć odwieść tę słuchawkę? Że właśnie stąd te pięć minut? Możecie do niego zadzwonić i zapytać. Tam jest telefon. — Wskazała na aparat wiszący na ścianie przy drzwiach.

Sawyer spojrzał zamyślony na telefon. Był przekonany, że ta kobieta kłamie, ale to, co mówiła, miało ręce i nogi. Zapomniał, że ma do czynienia z prawniczką, i to doskonałą prawniczką.

- Chcecie do niego zadzwonić? — powtórzyła Sidney. — Wiem, że jest teraz w domu, bo dzwonił do mnie przed chwilą. Wywrzaskiwał mi do ucha, że poda FBI i Tritona do sądu.

- Może później.

- Jak pan chce. Pomyślałam sobie tylko, że lepiej by było, gdyby zrobił pan to teraz i nie zarzucał mi później, że zdążyłam nakłonić ojca do składania fałszywych zeznań. — Wpatrywała się w zakłopotaną twarz Sawyera. — A skoro już mowa o zarzutach, jakie mi pan stawia, to wróćmy do nich jeszcze... Powiedział pan, że urwałam się pańskim ludziom. Otóż nie mogłam

się nikomu świadomie „urwać”, bo nie wiedziałam, że jestem śledzona. Taksówka utknęła w korku. Przestraszyłam się, że nie zdążę na samolot i przesiadłam się do metra. Nie jeździłam metrem od lat. Wsiadłam na stacji Pentagon, bo wydawało mi się, że właśnie tam trzeba się przesiąść, żeby dojechać do lotniska. Kiedy odkryłam swoją pomyłkę, wsiadłam z powrotem do tego samego składu. Nie zabrałam z taksówki walizki, bo nie uśmiechało mi się tłuc z nią po metrze, zwłaszcza gdybym musiała biec, żeby zdążyć na samolot. Zamierzałam ściągnąć

245

ją do Nowego Orleanu późniejszym samolotem, gdyby przyszło mi zostać tam dłużej. Bywałam w Nowym Orleanie wiele razy. Zawsze dobrze się tam bawiłam. To chyba logiczne, że wybrałam to miasto, choć nie będę się upierała, że logika jest teraz moją mocną stroną. Owszem, kazałam sobie wyczyścić buty. Czy prawo tego zabrania? — Spojrzała wyzywająco na agentów. — Mam nadzieję, że nigdy nie będziecie musieli przechodzić przez koszmar grzebania kogoś bliskiego, po kim nie zostało nawet ciało. Gniewnym ruchem zmiotła gazetę ze stołu na podłogę i dodała:

— Człowiek opisywany w tym artykule nie jest moim mężem. Wiecie co nazywaliśmy z Jasonem zwariowanym wyskokiem? Barbecue na podwórku za domem w zimie. Największe szaleństwa, na jakie kiedykolwiek pozwalał sobie Jason, to przekroczenie czasami dozwolonej szybkości i jazda bez pasów bezpieczeństwa. On nie mógł być zamieszany w podłożenie bomby w tym samolocie. Wiem, że mi nie wierzycie, ale mnie to w tej chwili mało obchodzi.

Wstała i oparła się o lodówkę.

— Musiałam się stąd wyrwać. Naprawdę trzeba wam tłumaczyć dlaczego? Naprawdę? — Głos narósł jej do krzyku, a potem załamał się. Zamilkła.

Sawyer chciał odpowiedzieć, ale Sidney powstrzymała go uniesieniem ręki i spokojniejszym już tonem podjęła:

— Wytrzymałam w Nowym Orleanie tylko jeden dzień. Dotarło do mnie nagle, że nie mogę uciec przed koszmarem, jakim stało się moje życie. Mam córeczkę, której jestem potrzebna. I ona jest potrzebna mnie. Tylko ona mi została. Rozumiecie to? Czy któryś z was w ogóle jest w stanie coś zrozumieć? — Po jej policzkach popłynęły łzy. Zaciskała i rozprostowywała dłonie. Pierś falowała jej spazmatycznie. Usiadła.

Ray Jackson, popatrując na partnera, bawił się nerwowo filiżanką.

— Pani Archer, Lee i ja też mamy rodziny. Trudno mi sobie wyobrazić, przez co pani teraz przechodzi, jednak musi pani zrozumieć, że my tylko staramy się wykonywać swoją pracę. Na razie trudno się w tym wszystkim doszukać sensu, ale jedno jest pewne: rozbił się samolot pełen ludzi i ten, kto jest za to odpowiedzialny, poniesie zasłużoną karę.

Sidney znowu podniosła się z krzesła. Nogi się pod nią ugiwały, łzy płynęły nieprzerwanymi strugami.

246

— Myślicie, że tego nie wiem? — krzyknęła histerycznie, oczy jej płonęły. — Pojechałam... tam. Do tego... tego piekła! — Jej głos stał się jeszcze bardziej piskliwy, łzy skapywały jej na przód bluzki, oczy wychodziły z orbit. — Widziałam to! — Wlepiła w nich dziki wzrok. — Wszystko. Ten... bucik... dziecięcy bucik... — Szloch odebrał jej głos. Opadła z jękiem na krzesło.

Jackson wstał, żeby podać jej papierowy ręcznik.

Sawyer, wzdychając cicho, wyciągnął rękę i ucisnął dłoń

Sidney. Dziecięcy bucik. On też trzymał go w ręku. Dopiero teraz zauważył na palcach Sidney pierścioneł zaręczynowy i ślubną obrączkę. Były małe, ale pięknej roboty. Z pewnością nosiła je z dumą przez te wszystkie lata. Obojętne, czy Jason Archer popełnił jakieś przestępstwo, czy nie, ta kobieta kochała go i wierzyła w jego niewinność. W Sawyerze zaczęła się budzić nadzieja, że choć na razie wszystkie poszlaki świadczą o czymś wręcz przeciwnym, Jason rzeczywiście okaże się niewinny. Nie życzył Sidney konfrontacji z poczuciem zdrady. Otoczył ją potężnym ramieniem i zaczął szeptać do ucha uspokajające słowa. To załamanie nie mogło być udawane. Bez względu na wszystko, Sidney Archer mówiła im prawdę, a przynajmniej w przeważającej mierze prawdę. Poczul, że ścisła go za rękę, zupełnie jakby czytała w jego myślach.

Jackson podał mu wilgotny papierowy ręcznik. Sawyer nie spojrzal na niego, nie zauważył więc dezaprobaty w jego oczach. Sposób, w jaki Sawyer uspokajał Sidney i czulość, z jaką ją obejmował, wyraźnie drażniły jego partnera..

Parę minut później Sidney siedziała już w living roomie przed ogniem, który Jackson rozpałił w kominku. Sawyer spojrzal w duże widokowe okno. Znowu sypał śnieg. Rozejrzal się po pokoju i zatrzymał wzrok na obramowaniu kominka, gdzie stała kolekcja oprawionych w ramki fotografii: Jason Archer ani trochę nie wyglądający na zbrodniarza, Amy Archer, najśliczniejsza dziewczynka, jaką Sawyer w życiu widział — i Sidney Archer, piękna i uwodzicielska. Idealna rodzina, przynajmniej z pozoru. Sawyer spędził ostatnie dwadzieścia pięć lat na oddzielaniu prawdy od pozorów i z utęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy z tym skończy. Dnia, kiedy doszukiwanie się motywów i analizowanie okoliczności, które zmieniają ludzi w potwory, zostawi komuś innemu. Na razie jednak ten obowiązek spoczywał jeszcze na nim. Oderwał wzrok od fotografii i powrócił do rzeczywistości.

247

- Przepraszam, ale wygląda na to, że tracę nad sobą panowanie, ilekroć wy dwaj się pojawicie — powiedziała powoli Sidney. Powieki miała mocno zaciśnięte i wydawała się teraz Sawyerowi jakaś mniejsza, jakby skurczyła się pod lawiną spadających na nią jeden po drugim ciosów.

- Gdzie jest pani córeczka? — spytał.  
— Z moimi rodzicami — odparła szybko.

Sawyer kiwnął głową.

Sidney otworzyła na chwilę oczy i znowu je zamknęła.

- Nie pyta o ojca tylko **wtedy, gdy** śpi — dodała przyciszonym głosem. Jej wargi drżały.

Sawyer przetarł zmęczone **oczy** i **przysunął** się bliżej kominka.

- Sidney?

Otworzyła oczy i spojrzala **na niego**, podciągając kolana pod brodę i owijając się ciasniej **kocem, który** wzięła z otomany.

- Sidney, powiedziała **pani, że była na** miejscu katastrofy.

Przypadkiem wiem, że to **prawda. Pamięta** pani, jak wpadła tam na kogoś? Do dzisiaj boli mnie kolano.

Sidney patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Mamy również raport zastępcy szeryfa, który pełnił tam wtedy służbę. Nazywa się McKenna.

- Tak, był dla mnie bardzo miły.

- Po co pani tam pojechała, Sidney?

Nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo, obejmując rękami kolana. W końcu podniosła wzrok. Nie patrzyła jednak na agentów, lecz na przeciwną ścianę. Sięgała wzrokiem gdzieś daleko, zupełnie jakby znowu zaglądała w tamtą wielką dziurę w ziemi,

w której, jak wówczas myślała, pogrzebany został jej mąż.

— Musiałam — wykrztusiła wreszcie.

Jackson chciał coś powiedzieć, ale Sawyer powstrzymał go gestem ręki.

- Musiałam — powtórzyła Sidney. Łzy znowu popłynęły jej po twarzy, jednak głos pozostał spokojny. — Zobaczyłam ją w telewizji.

- Co? — Sawyer pochylił się nad nią wyczekująco. — Co pani zobaczyła?

- Jego torbę. Torbę Jasona. — Wargi jej zadrżały, kiedy wypowiadała imię męża. Poderwała rozdygotaną rękę do ust, jakby chciała powstrzymać wzbierający w nich krzyk. — Odczytałam na niej jego inicjały — podjęła, ocierając grzbietem dłoni łzy. —

248

Dotarło do mnie wtedy, że to jedyna rzecz... jedyna rzecz, jaka po nim została. Musiałam ją odzyskać. Ale McKenna powiedział mi, że oddadzą mi ją dopiero po zakończeniu dochodzenia, wróciłam więc do domu z niczym. Z niczym — powtórzyła powoli, jakby podsumowywała beznadziejność swojego dalszego życia.

Sawyer odchylił się na oparcie fotela i spojrzał na partnera. A więc ta torba była ślepą uliczką. Odczekał minutę, po czym powiedział:

- Nie okazała pani zaskoczenia, kiedy powiedziałem, że mąż żyje. — Mówił cicho, spokojnie, ale w jego głosie dawało się wyczuć napięcie.

- Wiedziałam to już z tego artykułu — odparła Sidney ze znużeniem. — Jeśli chcieliście mnie zaskoczyć, trzeba było przyjść przed gazeciarem. — Nie zamierzała wspominać o upokarzającym seansie w gabinecie Gamble'a.

Sawyer spodziwiał się takiej odpowiedzi, ale chciał ją usłyszeć z jej ust. Kłamcy, z obawy przed zdemaskowaniem, często nadmiernie komplikują swoje wersje zdarzeń.

— Tak, rozumiem. Nie chcę przeciągać tej rozmowy, zadam więc jeszcze tylko kilka pytań i proszę o szczere odpowiedzi. Tylko tyle. Jeśli na któreś z nich nie będzie pani potrafiła odpowiedzieć, to trudno. Takie ustalamy zasady. Zgoda?

Sidney milczała, przenosząc wzrok z jednego agenta na drugiego. Sawyer wychylił się z fotela.

— To nie ja wysunąłem te oskarżenia przeciwko pani mężowi — powiedział. — Ale jeśli mam być szczery, mamy dowód, który nie stawia go w najlepszym świetle.

— Co to za dowód? — spytała ostro Sidney.

Sawyer pokręcił głową.

— Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Zapewniam jednak panią, że jest na tyle obciążający, by uzyskać nakaz aresztowania męża. Gdyby pani jeszcze tego nie wiedziała, szuka go teraz policja całego świata.

Oczy Sidney zabłyśły. Jej mąż zbiegiem poszukiwanym na wszystkich kontynentach! Spojrzała na Sawyera.

— Wiedzieliście o tym wszystkim, przychodząc tu po raz pierwszy?

Sawyer stropił się.

— Owszem — przyznał w końcu i zakłopotany poprawił się w fotelu.

— Jeśli pani mąż nie zrobił tego, co mu się zarzuca. — przyszedł mu w sukurs Jackson — to z naszej strony nie ma się czego obawiać. Co do innych organów ścigania nie możemy się jednak wypowiadać.

Sidney przeniosła na niego wzrok.



— Co pan przez to rozumie?

Jackson wzruszył szerokimi barkami.

— Załóżmy, że nie zrobił nic złego. Wiemy ponad wszelką wątpliwość, że nie było go w tym samolocie, Co się zatem z nim stało? Gdyby zwyczajnie spóźnił się na samolot, natychmiast powiadomiłby panią, że jest cały i zdrowy. Nie zrobił tego jednak. Dlaczego? Wniosek, że wplątał się w coś niezupełnie legalnego, sam się nasuwa. A co najważniejsze, sposób zaplanowania i wykonania tego zamachu każe nam przypuszczać, że to robota więcej niż jednego człowieka... — Jackson urwał i spojrzał na Sawyera, który kiwnął lekko głową. — Pani Archer, mężczyznę, który naszym zdaniem podłożył bombę w samolocie, znaleziono zamordowanego w jego własnym mieszkaniu. Wszystko wskazywało na to, że przygotowywał się do opuszczenia kraju, ale ktoś mu w tym przeszkodził.

„Zamordowany”. Sidney powtórzyła bezgłośnie to słowo. Pomyślała o Edwardzie Page'u leżącym w kałuży krwi. Owinęła się kocem jeszcze ciaśniej. Przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć agentom o rozmowie z Page'em. W końcu, sama nie wiedząc dlaczego, zdecydowała, że nie powie. Wzięła głęboki oddech.

- Co to za pytania?

- Po pierwsze, zapoznam panią z pewną moją hipotezą. — Sawyer zawiesił na moment głos, żeby zebrać myśli. — Na razie przyjmujemy do wiadomości pani wyjaśnienie, że wybrała się do Nowego Orleanu pod wpływem chwilowego impulsu. Śledziliśmy tam panią. Wiemy również, że wkrótce po pani wyjeździe ten dom opuścili również rodzice z pani córeczką.

- I co z tego? Co ich tu niby trzymało? — Sidney rozejrzała się po ścianach swojego domu. Co tu zostało prócz atmosfery cierpienia?

- No tak, ale proszę zauważyć: wyjechała pani, za panią my, i zaraz potem pani rodzice. — Urwał.

- Jeśli to ma do czegoś prowadzić, to nie bardzo rozumiem, do czego.

Sawyer podniósł się gwałtownie z fotela i stanawszy plecami do kominka spojrzał na Sidney z góry. Rozłożył szeroko ręce.

250

— Nikogo tu nie było, Sidney. Dom pozostał bez opieki.

Obojętne po co poleciała pani do Nowego Orleanu, efekt był taki, że pociągnęła nas pani za sobą. I nikt tu nie został, żeby obserwować dom. Rozumie pani teraz?

Pomimo ciepła bijącego od kominka Sidney przeszedł zimny dreszcz. Nieświadomie odegrała rolę przynęty, która odciągnęła stąd FBI. Jason wiedział, że jest obserwowana, i posłużył się nią, żeby zabrać coś z domu.

Sawyer z Jacksonem przyglądali się Sidney uważnie. Jej twarz zdradzała, jak zaciętą walkę wewnętrzną toczy ze sobą.

Spojrzała w okno, zahaczając wzrokiem o szary blezer rzucony na bujany fotel. W kieszeni tego blezera leżała dyskietka komputerowa. Zapragnęła nagle jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Tu nie ma nic, co mogłoby kogokolwiek zainteresować.

- Nic? — Z głosu Jacksona przebijał sceptycyzm. — Mąż nie miał tu żadnych dokumentów na papierze albo w komputerze?

- Miał, ale nie służbowe. Triton jest aż do przesady czuły na punkcie takich rzeczy.

Sawyer pokiwał głową. Akurat w to skłonny był uwierzyć bez zastrzeżeń.

— Mimo wszystko proszę się dobrze zastanowić. Nie zauważyła pani, żeby czegoś brakowało albo żeby coś było ruszane?

Sidney pokręciła powoli głową.

— Nie, ale przyznam, że specjalnie się nie rozglądałam.  
Jackson przestąpił z nogi na nogę.

— No dobrze. Jeśli nie miałaby pani nic przeciwko temu, to chcielibyśmy rzucić teraz okiem na dom. — Spojrzał na partnera, który uniósł pytająco brwi. Przeniósł wzrok z powrotem na Sidney i czekał na odpowiedź.

Kiedy milczenie przedłużało się, postąpił krok w przód.

- Zawsze możemy wystąpić o nakaz. Prawdopodobnie go dostaniemy, ale może nam pani zaoszczędzić mnóstwo czasu i fatygi. Jeśli jest tak, jak pani twierdzi, i nic tu nie ma, to nie ma się pani czego obawiać.

- Jestem prawnikiem, panie Jackson — przypomniała mu chłodno Sidney. — Znam się na tym. Dobrze, róbcie swoje. Z góry przepraszam za kurz, nie mam ostatnio głowy do porządków. — Wstała, zrzuciła z pleców koc, sięgnęła po blezer i włożyła go. — Idę zaczerpnąć świeżego powietrza. Ile to potrwa?  
Agenci spojrzeli na siebie.

251

- Parę godzin.
- Świetnie, lodówka jest do waszej dyspozycji. Rewizje pobudzają apetyt.
- Jasny gwint — mruknął Jackson, kiedy wyszła. — Twarda z niej sztuka, co?

Sawyer odprowadzał wzrokiem Sidney zmierzającą pełnym gracji krokiem do garażu.

— Fakt.

Sidney wróciła po kilku godzinach.

- I co, nic? — zapytała zmęczonych mężczyzn.
- Przynajmniej my nic nie znaleźliśmy — odburknął Jackson tonem wymówki.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

— To chyba nie mój problem, prawda?

Agenci patrzyli przez chwilę na siebie bez słowa.

— Macie jeszcze jakieś pytania? — przerwała milczenie Sidney.

Kiedy godzinę później agenci wychodzili, Sidney dotknęła progu ramienia Sawyera.

— Pan najwyraźniej nie znał mojego męża — powiedziała. — W przeciwnym razie wiedziałby pan, że on nie mógł... — Przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami. — Że nie mógł mieć nic wspólnego z katastrofą tego samolotu i ze śmiercią tylu ludzi... — Zamknęła oczy i oparła się o framugę frontowych drzwi.

Sawyer zasępił się. W końcu niełatwo pogodzić się z myślą, że osoba, którą się kocha, z którą ma się dziecko, byłaby do czegoś takiego zdolna. Ale ludzie czynią zło w każdej minucie każdego dnia — są jedynymi żywymi istotami, które zabijają z wyrachowania.

— Rozumiem, co pani czuje, Sidney — powiedział cicho.

Kiedy podchodzili do samochodu, Jackson kopnął jakiś kamyk i obejrzał się na partnera.

- Lee, ta kobieta mi się nie podoba. Najwyraźniej coś ukrywa. Sawyer wzruszył ramionami.
- Na jej miejscu robiłbym to samo.

Jackson spojrział na niego ze zdumieniem.

- Oszukiwałbyś FBI?
- Ona jest między młotem a kowadłem i nie wie, w którą

252

stronę się zwrócić. W tych okolicznościach też trzymałbym język za zębami.

— Może i masz rację — mruknął bez przekonania Jackson i wsunął się za kierownicę.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Sidney rzuciła się do telefonu, ale zamarła nagle ze słuchawką w ręku i spojrzała na nią jak na kobrę gotującą się do ukąszenia. Edward Page przyznał się, że założył jej podsłuch w telefonie. Jaką miała gwarancję, że nie uczynili tego również inni? Odłożyła słuchawkę na widelki i spojrzała na telefon komórkowy ładujący się na kuchennej szafce. Na ile był bezpieczny? Wyobraziła sobie setki par elektronicznych oczu śledzących i rejestrujących każdy jej ruch i sfrustrowana rąbnęła pięścią w ścianę. Włożyła do torebki pager. Uznała, że ta forma łączności będzie najbezpieczniejsza. Wrzuciła jeszcze do torebki naładowany pistolet i wybiegła do explorera. Dyskietka tkwiła bezpiecznie w kieszeni blezera. Na razie będzie musiała poczekać. W tej chwili miała do załatwienia coś ważniejszego.

Zostawiła forda na parkingu przed McDonaldem, weszła do środka, zamówiła śniadanie na wynos i ruszyła do automatu telefonicznego wiszącego na ścianie w korytarzu prowadzącym do toalet. Wybrała numer i rozejrzała się po parkingu, wypatrując agentów FBI. Nie zauważyła niczego odbiegającego od normy, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło — oni potrafili być niewidzialni. Dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl, kto jeszcze może się tam kręcić.

Głos w słuchawce przywołał ją do rzeczywistości. Straciła kilka minut na uspokajanie rozsierzonego ojca. Kiedy wyluszczyła wreszcie swoją prośbę, spenił się na nowo.

- Po jaką cholere mam to robić?
- Proszę cię, tato. Wyjedźcie z mamą. I zabierzcie ze sobą Amy.
- Przecież wiesz, że nie jeździmy nigdy dó Maine po Święcie Pracy.

Sidney odsunęła słuchawkę od ust i wzięła głęboki oddech.

- Czytałeś ten artykuł, tato.
- To największy stek bzdur, jaki w życiu słyszałem. Sid... — zdenerwował się znowu.
- Zrób, jak mówię, tato — wpadła mu w słowo. — Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. — Nigdy nie podnosiła tak głosu na ojca. Na chwilę oboje zamilkli.
- Właśnie wyszli ode mnie agenci FBI — podjęła stanowczym tonem. — Jason był w coś... wplątany. Nie bardzo jeszcze wiem w co. Ale jeśli choćby połowa tego, co wypisują w tym artykule, jest prawdą... — Wzdrygnęła się. — Wracając z Nowego Orleanu rozmawiałam w samolocie z pewnym mężczyzną. Nazywał się Edward Page. Był prywatnym detektywem. Prowadził jakąś sprawę, która miała związek z Jasonem.
- Czego chciał od Jasona? — spytał ze zdziwieniem Bill Patterson.
- Nie wiem. Nie powiedział mi.
- No to go zapytamy i niech spróbuje nie odpowiedzieć.
- O nic go nie zapytamy. Został zamordowany pięć minut po rozstaniu ze mną, tato.

Wstrząśnięty Bill Patterson zaniemówił.

— Pojedźcie do Maine, tato? Proszę. Najszybciej, jak to tylko możliwe.

Patterson zwlekał kilka sekund z odpowiedzią. Kiedy się w końcu odezwał, głos mu się łamał.

— Wyjedziemy zaraz po śniadaniu. Na wszelki wypadek zabiorę strzelbę.

Sidney odetchnęła z ulgą.

- Sidney...?
- Tak, tato?
- Jedź z nami.

Sidney pokręciła głową.

• Nie mogę, tato.  
• A to czemu, do cholery? — wybuchnął ojciec. — Jesteś tam zupełnie sama. Jesteś żoną Jasona i pewnie jak diabli, że stanowisz cel w całej tej aferze.

- FBI mnie pilnuje.
- Łudzisz się, że oni są wszechmocni? Myślisz, że nie popełniają błędów? Opamiętaj się, kochanie.
- Nie mogę, tato. Podejrzewam, że obserwuje mnie nie tylko FBI. Gdybym pojechała z wami, ruszyliby za mną.

254

• Jezu, dziecko. — Sidney słyszała wyraźnie, jak po drugiej stronie linii ojciec przełyka z trudem ślinę. — Posłuchaj, a może wyślę do Maine Amy z twoją matką, a sam przyjadę do ciebie?

• Nie chcę w to mieszać ani ich, ani ciebie. Wystarczy, że sama w tym siedzę. I wolę, żebyś był przy mamie i Amy. Żebyś je ochraniał. Ja dam sobie radę.

• Nigdy nie wątpiłem w twoją życiową zaradność, dziecko. Ale... ale to coś zupełnie innego. Jeśli ci ludzie już kogoś zabilili... — Bill Patterson nie dokończył. Stracił wątek porażony wizją niebezpieczeństwa wiszącego nad najmłodszą córką.

• Nic mi nie będzie, tato. Mam pistolet. FBI nie spuszcza mnie z oka. Odezwe się za parę dni.

• Sid...

— Nic mi nie będzie, tato.

Patterson milczał przez chwilę.

• No dobrze — odezwał się w końcu z rezygnacją. — Ale dzwoń dwa razy dziennie.

• Dobrze, dwa razy dziennie. Ucałuj ode mnie mamę. Ją też musiał zdenerwować ten artykuł. Ale nie powtarzaj jej naszej rozmowy.

• Twoja matka nie jest głupia, Sid. Wyczuje, że coś jest nie tak, kiedy ni z tego, ni z owego wyciągnę ją o tej porze roku do Maine.

• Proszę cię, tato. Wymyśl jakąś historyjkę.

Bill Patterson westchnął.

• Coś jeszcze?

• Powiedz Amy, że ją kocham. Powiedz jej, że kochamy ją z tatusiem ponad wszystko. — Łzy zakręciły się Sidney w oczach, kiedy uświadomiła sobie, że nie może być teraz z córeczką, chociaż tak tego pragnie. Musiała się trzymać z dala od Amy dla jej własnego bezpieczeństwa.

• Powtórzę jej, kochanie — obiecał cicho Bill Patterson.

W drodze powrotnej Sidney pochłonęła łapczywie śniadanie. Wpadła do domu jak bomba i po chwili siedziała już przed komputerem męża. Tym razem pamiętała o zamknięciu drzwi na klucz, zabrała też ze sobą do gabinetu Jasona telefon komórkowy

na wypadek, gdyby musiała zadzwonić pod 911. Dyskietkę i pistolet położyła na stole obok siebie.

255

Włączyła komputer i obserwowała ekran budzącego się do życia monitora. Miała już wsunąć dyskietkę do napędu i nagle zamarła, wlepiając oczy w ekran. Przesuwała się przez niego właśnie liczba określająca ilość wolnej pamięci. Coś tu się nie zgadzało. Przebiegła palcami po klawiaturze, wydając polecenie ponownego wyświetlenia informacji o ilości dostępnej pamięci. Cyfra po cyfrze odczytała liczbę z ekranu: 1,356,600 kilobajtów, czyli około 1,3 gigabajta wolnego miejsca na twardym dysku. Wpatrywała się intensywnie w trzy ostatnie cyfry. Kiedy ostatni raz siedziała przed tym komputerem, trzy ostatnie cyfry informacji o wolnej pamięci układały się w datę urodzin Jasona — trzy, zero, siedem — trzydziesty lipca. Rozplakała się wtedy. Teraz wolnej pamięci było mniej. Jak to możliwe? Od tamtego czasu nie dotykała przecież komputera...

Jezu!

Z żołądkiem podchodzącym do gardła zerwała się z krzesła, chwyciła pistolet i wepchnęła dyskietkę z powrotem do kieszeni. Miała ochotę podziurawić ten cholerny ekran kulami. Sawyer miał rację, choć nie do końca. Ktoś rzeczywiście był w domu w czasie jej wypadu do Nowego Orleanu. Ale nie przyszedł tutaj, żeby coś zabrać, przyszedł, żeby coś zostawić. To coś znajdowało się teraz w komputerze jej męża. Musi uciec od tego czegoś najszybciej jak tylko może.

Dziesięć minut później była już z powrotem w McDonaldzie i stała przed automatem telefonicznym.

— Dzień dobry, pani Archer. — W głosie sekretarki wyczuwało się napięcie.

Pani Archer? Ta dziewczyna była jej sekretarką od blisko sześciu lat i tylko przez pierwsze dwa dni zwracała się do niej per pani Archer. Potem przeszły na ty.

— Sarah, czy Jeff jest dzisiaj w pracy?

Jeff Fisher był w kancelarii Tylera & Stone'a nadwornym komputerowym guru.

— Nie wiem. Połączyć panią z jego asystentem, pani Archer?

— Skończ z tą „panią Archer”, Sarah. Co cię napadło?

Sarah wahała się przez chwilę, a potem zaczęła szeptać gorączkowo do słuchawki:

— Sid, cała firma czytała już ten artykuł. Przetaksowali go do wszystkich oddziałów. Triton grozi, że zerwie z nami współpracę. Pan Wharton chodzi po ścianach. I cała góra obwinia o to ciebie.

256

• Wiem tyle samo co wszyscy, czyli nic.

• Tak, ale z tego artykułu wynika... no wiesz.

Sidney westchnęła ciężko.

• Połączysz mnie z Henrym? Zaraz mu wszystko wyjaśnię.

Odpowiedź Sarah wstrząsnęła Sidney:

• Dzisiaj rano zwołano zebranie kierownictwa. Odbывают właśnie telekonferencję ze współnikami z innych oddziałów. Krążą pogłoski, że układają list, który mają ci wysłać.

• List? Jaki list? — spytała zdumiona Sidney.

Usłyszała w tle ludzi przechodzących obok stanowiska Sarah. Kiedy te odgłosy ścichły, Sarah znowu się odezwała, jeszcze bardziej zniżając głos:

• Nie wiem... nie wiem, jak ci to powiedzieć... ale słyszałam, że to wymówienie.

• Wymówienie? — Pod Sidney ugięły się nogi. Oparła się

jedną ręką o ścianę. — O nic mnie jeszcze nie oskarżono, a oni już mnie osądzili i skazali, a teraz wykonują wyrok? I to wszystko przez jeden artykuł?

• Chyba boją się o przyszłość firmy. Większość wskazuje palcem na ciebie. No i ten twój mąż... — ciągnęła Sarah. — Okazało się, że żyje... Ludzie czują się oszukani, naprawdę.

Sidney wciągnęła w płuca potężny haust powietrza i opuściła ramiona. Była wykończona.

— Boże, Sarah, a myślisz, że jak ja się czuję? — Sekretarka nic nie odpowiedziała. Sidney namacała w kieszeni dyskietkę. Uwierzył ją ukryty za pazuchą zakietu pistolet. — Będzie musiała do tego przywyknąć. — Bardzo bym ci chciała to wyjaśnić, Sarah, ale nie potrafię. Powiem ci tylko, że nie zrobiłam nic złego i sama nie wiem, co, do cholery, porobiło się z moim życiem. Mam mało czasu. Mogłabyś się dyskretnie dowiedzieć, czy Jeff jest w pracy? Proszę cię, Sarah.

— Zaczekaj — szepnęła Sarah po chwili wahania.

Okazało się, że Jeff wziął kilka dni urlopu. Sarah podyktowała Sidney numer jego domowego telefonu. Sidney modliła się w duchu, żeby czasem gdzieś nie wyjechał. Około trzeciej po południu złapała go wreszcie. Początkowo planowała spotkać się z nim w firmie, teraz nie wchodziło to jednak w rachubę. Umówili się u niego w domu, w Alexandrii. Chociaż od dwóch dni nie było go w kancelarii, słyszał już wszystkie plotki na jej temat. Kiedy Sidney powiedziała mu, że ma problem z komputerem, chętnie

257

zgodził się pomóc. Miał jeszcze coś do załatwienia, ale około ósmej będzie w domu. Musiała uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Dwie godziny później spacerując nerwowo po living roomie Sidney zelektryzowało pukanie do drzwi. Wyjrzała przez judasza, po czym otworzyła drzwi. Lee Sawyer nie czekał na zaproszenie. Zdecydowanym krokiem przeciął hol i rozsiadł się w jednym z foteli stojących przed kominkiem, na którym ogień dawno już wygasł.

— A gdzie partner?

Agent puścił to pytanie mimo uszu.

— Sprawdziłem w Tritonie — burknął. — Nie powiedziała mi pani, że była tam dzisiaj rano.

Stała przed nim z rękami założonymi na piersi. Zdążyła już wziąć prysznic oraz przebrać się w czarną plisowaną spódnicę i biały sweter w serek. Mokre jeszcze włosy zaczesła do tyłu. Była boso, w samych pończochach; jej pantofle stały przy sofie.

— Nie pytał pan.

Sawyer odchrząknął.

• No i co pani myśli o występie męża w tym krótkometrażowym filmiku wideo?

• Nie zastanawiałam się nad tym.

• Zastanawiała się pani, zastanawiała.

Sidney usiadła na sofie, podciągając pod siebie nogi.

• Czego pan właściwie ode mnie oczekuje? — spytała sztywno.

• Na początek prawdy. Potem moglibyśmy może przejść do szukania rozwiązań.

• Mających umożliwić wsadzenie mojego męża na resztę życia do więzienia? Do takiego rozwiązania pan dąży, prawda? — wyrzuciła z siebie.

Sawyer bawił się machinalnie przypiętą do paska odznaką.

Jego twarz złagodniała. Spojrzał na nią zmęczonymi oczami, przechylając się w fotelu.

— Sidney, mówiłem już pani, że byłem tamtej nocy na miejscu katastrofy. Ja... ja również miałem w ręku ten dziecięcy bucik. — Głos zaczął mu niebezpiecznie drżeć. Sidney lzy napłynęły do oczu, ale nie spuszczała z niego wzroku. — Widzę w tym domu

258

fotografie bardzo szczęśliwej rodziny — podjął Sawyer cichym głosem. — Przystojny mąż, jedna z najśliczniej szych dziewczynek, jakie w życiu widziałem, i... — zawiesił na chwilę głos — ...piękna żona i matka.

Sidney zarumieniła się.

• Nie chce mi się wierzyć — ciągnął zakłopotany Sawyer — żeby pani mąż, nawet jeśli okradł swojego pracodawcę, miał coś wspólnego z zamachem bombowym na samolot. — Łza spłynęła Sidney po policzku i skapnęła na sofę. — Skłamałbym mówiąc, że uważam pani męża za zupełnie niewinnego. Ale dobrze pani życzę i mam szczerą nadzieję, że okaże się niewinny, a cała ta afera znajdzie w końcu jakieś wyjaśnienie. Jednak moim zadaniem jest znaleźć tego, kto stał za zamachem na samolot i przyczynił się do śmierci ludzi, którzy nim lecieli. — Odetchnął głęboko. — Z właścicielką tego bucika włącznie. — Znowu urwał. — I znajdę go.

• Proszę mówić dalej — wymamrotała Sidney, miętosząc nerwowo skraj spódniczki.

• Najwyraźniejszym tropem, jaki na razie mam, jest pani mąż. Zweryfikować ten trop mogę tylko z pani pomocą.

• Czyli chce pan, żebym pomogła wam ująć własnego męża?

• Chcę, żeby opowiedziała mi pani wszystko, co wie i co mogłoby mi pomóc w rozwiązaniu tej sprawy. Czy pani też na tym nie zależy?

Sidney nie odpowiedziała od razu.

— Zależy — odezwała się w końcu, lecz nagle szloch ścisnął jej gardło i znowu na parę chwil zamilkła. Opanowała się i spojrzała na Sawyera. — Ale moja córeczka mnie potrzebuje. Nie wiem, gdzie jest Jason, a gdybym ja też odeszła... — Głos jej się załamał.

Sawyer nie zrozumiał z początku, o czym Sidney mówi. Dotarło to do niego dopiero po chwili. Wychylił się z fotela i wziął ją za rękę.

— Nie wierzę, żeby miała pani z tym wszystkim cokolwiek wspólnego. Nie mam najmniejszego zamiaru pani aresztować i rozdzielać z dzieckiem. Być może nie powiedziała mi pani dotąd całej prawdy, ale, u licha, jest pani tylko człowiekiem. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić presji, pod jaką się pani teraz znajduje. Proszę mi wierzyć. I zaufać mi. — Puścił jej rękę i usiadł prosto.

259

Sidney otarła oczy i zdobyła się na nikły uśmiech. Odetchnęła jeszcze raz i zaczęła:

• To mąż telefonował do mnie w dniu, kiedy tu po raz pierwszy przyszliście — wyrzuciła z siebie jednym tchem i spojrzała czujnie na Sawyera, jakby nadal obawiała się, że zaraz wyciągnie kajdanki. Ale agent pochylił się tylko w przód i zmarszczył czoło.

• Co powiedział? Proszę mi to możliwie najwierniej powtórzyć.

• Powiedział, że zdaje sobie sprawę, jak źle wygląda sprawa, ale wyjaśni mi wszystko, jak tylko się spotkamy. Byłam tak podniecona faktem, że on żyje, że nie zadawałam zbyt wielu

pytań. Dzwonił też do mnie z lotniska w dniu katastrofy, zanim jeszcze wszedł do samolotu. — Sawyer nastawił ucha. — Ale nie miałam wtedy czasu z nim rozmawiać.

Sidney odpierała przez moment kolejny atak wyrzutów sumienia, które załaty ją na wspomnienie tamtego incydentu, a potem opowiedziała Sawyerowi o wieczornych powrotach Jasona do biura i porannej rozmowie w dniu jego wyjazdu.

— I to on zasugerował pani tę wyprawę do Nowego Orleanu? — spytał Sawyer.

Kiwnęła głową.

— Powiedział, że gdyby nie przyszedł do mnie do hotelu, mam iść na Jackson Square i tam zostanie mi przekazana wiadomość od niego.

- Przekazał ją ten pucybut, tak?

Znowu kiwnęła głową.

Sawyer westchnął.

- A więc to do Jasona dzwoniła pani z automatu?

— Zgodnie z poleceniem zadzwoniłam pod swój biurowy numer, ale odebrał rzeczywiście Jason. Powiedział, żebym się w ogóle nie odzywała, że wszędzie jest policja. Kazał mi wracać do domu i obiecał, że kiedy zrobi się bezpieczniej, znowu się ze mną skontaktuje.

- I jak dotąd nie skontaktował się z panią?

Pokręciła powoli głową.

- Nie miałam od niego żadnej wiadomości.

— Wie pani, Sidney — Sawyer starannie dobierał słowa — pani lojalność jest godna podziwu, naprawdę. Wywiązała się pani ze ślubów małżeńskich z nawiązką, bo wydaje mi się, że nawet sam Bóg nie przewidział tego rodzaju sytuacji. Ale...

260

- Ale? — Sidney spojrzała na niego badawczo.

• Ale przychodzi czas, kiedy trzeba wznieść się ponad uczucia, które się wobec kogoś żywi, i wziąć pod uwagę fakty. Jeśli pani mąż zrobił coś złego — nie twierdę bynajmniej, że tak jest w istocie — to nie powinna go pani osłaniać. Sama pani powiedziała, że ma córeczkę, która pani potrzebuje. Ja też mam czwórkę dzieci. Nie jestem może najwspanialszym ojcem, ale wiem, jak to jest.

- Co więc pan proponuje? — spytała cicho.

- Współpracę. Tylko tyle. Pani informuje mnie, ja panią.

Zrobię pierwszy krok. Może to pani uznać za akt dobrej wiary.

Artykuł, który ukazał się w gazecie, podsumowuje stan naszej aktualnej wiedzy. Widziała pani film wideo. Mąż pani spotkał się z kimś i doszło do wymiany. Triton jest przekonany, że jej przedmiot stanowiły informacje, których wykorzystanie może doprowadzić do przekreślenia ich szans na przejęcie CyberComu. Dysponują też bardzo poważnym dowodem na związek Jasona Archera z defraudacją pieniędzy z ich konta bankowego.

- Wiem, że ten dowód wydaje się niezbity, ale ja w to wszystko nie wierzę. Naprawdę nie wierzę.

• Cóż, czasami nawet najwyraźniejsze drogowskazy wskazują zły kierunek. Moja praca polega na ustalaniu, w którą stronę naprawdę powinny być ustawione. Przyznam, że nie wierzę w całkowitą niewinność pani męża, nie sądzę jednak, żeby działał w pojedynkę.

- Podejrzewa pan, że pracował na rzecz RTG, prawda?

• Istnieje taka możliwość — przyznał Sawyer. — Ten trop również sprawdzamy. Wydaje się właściwy, choć nigdy nic nie wiadomo... — urwał. — Chce mi pani jeszcze coś powiedzieć?

Sidney zawahała się, wracając myślami do rozmowy z Edem Page'em bezpośrednio przed jego zamordowaniem. Kiedy jej wzrok padł na tweedową kurtkę leżącą na krześle, o mało nie



podskoczyła. Przypomniała sobie nagle o dyskietce i o umówionym spotkaniu z Jeffem Fisherem. Przełknęła z trudem ślinę i zaczerwieniła się.

— Jakoś nic nie przychodzi mi do głowy. Chyba nie.

Sawyer przyglądał jej się jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem wstał.

— Skoro już wymieniamy się informacjami, to może zainteresuje panią, że w podróży do Luizjany towarzyszył pani dyskretnie jej kolega, Paul Brophy.

Sidney zmartwiła.

261

— Przeszukał pani pokój hotelowy, kiedy wyszła pani na kawę. Może pani wykorzystać tę informację według swego uznania. — Ruszył do drzwi, ale w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił. — I żeby nie było nieporozumień, wzięliśmy panią pod całodobową obserwację.

— Nie planuję więcej podróży, jeśli to pana trapi.

Jego odpowiedź była dla niej zaskoczeniem:

— Niech pani nie trzyma tego pistoletu pod kluczem, Sidney. Niech będzie zawsze pod ręką, i to naładowany. Właściwie to... — Sawyer rozchylił marynarkę, odpiął kaburę od szelek i wyciągnąwszy z niej pistolet wręczył go Sidney. — Wiem z doświadczenia, że pistolety noszone w torebkach często nie na wiele się zdają. Proszę zachować ostrożność.

Sidney stała w progu i odprowadzając go wzrokiem myślała o tragicznym końcu mężczyzny, który niedawno radził jej mniej więcej to samo.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Lee Sawyer rozglądał się po ścianach i posadzkach wyłożonych płytkami z czarnego i białego marmuru we wzór z asymetrycznych trójkątów. Miało to chyba być jakieś skomplikowane artystyczne przesłanie, ale jego przyprawiało tylko o oczopląs. Zza prowadzących do głównej sali konsumpcyjnej misternie rzeźbionych, dwuskrzydłowych brzoźowych drzwi z szybkami z ciętego szkła, wspartych na parze pseudokorynckich kolumniek, dochodził szezęk sztucców i talerzy. Sawyer oddał płaszcz i kapelusz ładnej dziewczynie w krótkiej czarnej spódniczce i obcisłej bluzce uwydatniającej kształty, które nie wymagały wcale uwydatniania. W zamian dostał numerki i ciepły uśmiech. Poczł mrowienie w pewnych intymnych miejscach, kiedy podczas wręczenia numerka paznokcie młodej szatniarki, niby to przypadkiem, drasnęły mu lekko wntęrze dłoni. Przemknęło mu przez myśl, że dziewczyna musi wyciągać niezłe sumki z napiwków.

Zjawil się kierownik sali i zmierzyl agenta FBI taksujacym spojrzeniem.

— Jestem umówiony z panem Frankiem Hardym.

Kierownik jeszcze raz zlustrował podejrzliwym wzrokiem wmięta postać agenta. Uwagi Sawyera nie uszedł błysk zgorzenia

262

w jego oku, kiedy ruchem powtarzanym po wiele razy na dzień przez ludzi swojej słusznej postury podciągnął spodnie.

• Dobrze macie tu burgery, stary? — zapytał. Wyjął z kieszeni listek gumy do żucia, odwinął go ze sreberka i wepchnął sobie do ust.

• Burgery? — Kierownik o mało nie zemdłał. — To lokal z kuchnią francuską, sir. Najlepszy w mieście! — Jego głos kipiał

oburzeniem.

- Francuska kuchnia? Ja cię kręcę, to pewnie macie tu po byku frytki.

Kierownik obrócił się szybko i poprowadził Sawyera przez ogromną salę konsumpcyjną, gdzie nad wykwinną klientelą pło-  
nęły rzędy kryształowych żyrandoli.

Elegancki jak zawsze Hardy podniósł się z łoży w rogu sali i skinął głową byłemu partnerowi. Po chwili do stolika podeszła kelnerka.

- Czego się napijesz, Lee?

Sawyer usadowił się wygodnie w łoży.

- Bourbona ze ślinką — burknął nie podnosząc wzroku.

- Słucham? — Kelnerka gapiała się na niego tępo.

Hardy roześmiał się.

— Mój przyjaciel miał na myśli nie rozcieńczonego bourbo-  
na — wyjaśnił. — Dla mnie jeszcze jedno martini.

Kelnerka oddaliła się przewracając oczami.

Sawyer głośno wysmarkał nos w chusteczkę i rozejrzał się po sali.

- Bomba, Frank, niełichą knajpę wybrałeś.

- Podoba ci się?

- Gdybym to ja ciebie zapraszał, siedzielibyśmy teraz u Sho-  
neysa. Ale może to i lepiej. Słyszałem, że cholernie trudno tam  
o rezerwację o tej porze roku.

Hardy zachichotał i dopił swojego drinka.

- Dalej nie cierpisz szyku, co?

- Kurczę blade, przeciwko szykowi nic nie mam, dopóki nie  
muszę za niego płacić. Kolacja dla nas dwóch pochłonie tu chyba  
całą moją przyszłą emeryturę.

Gawędzili przez parę minut, aż do powrotu kelnerki, która  
postawiła przed nimi drinki i zastygła w wyczekującej pozie,  
gotowa przyjąć zamówienie.

Sawyer, przebiegł wzrokiem menu wypełnione bardzo wyraź-  
nym pismem, ale niestety tylko po francusku. Odłożył je na stolik.

263

- Co tu macie najdroższego? — zwrócił się do kelnerki.  
Wytrajkotała po francusku nazwę jakiejś potrawy.

- To ludzkie szamanko? Nie jakieś ślimaki czy inne takie  
świństwo?

Z uniesionymi brwiami i stężoną twarzą zapewniła go, że śli-  
maki, owszem, figurują w menu i są przepyszne, ale ona mu  
ślimaków nie proponowała.

— No to niech będzie — zdecydował, posyłając Hardy'emu  
szelmowski uśmiech.

Po odejściu kelnerki połknął gumę, wziął kromkę chleba z ko-  
szyka stojącego pośrodku stolika i zaczął ją pogryzać.

— No i co, dowiedziałeś się czegoś o RTG? — spytał między  
jednym a drugim kęsem.

Hardy przesunął dłońmi po stoliku, wygładzając płócienny  
obrus.

- Czołowym doradcą prawnym RTG jest od wielu lat Philip  
Goldman.

- Czy nie wydaje ci się to dziwne?

- Co?

- Że RTG korzysta z usług tych samych prawników, co Tri-  
ton, i vice versa. Nie znam się na tym, ale czy taki układ nie jest  
czasem konfliktogenny?

- To nie takie proste, Lee.

— Wcale mnie to nie dziwi.

Hardy puścił tę uwagę mimo uszu.

- Goldman jest autorytetem na skalę ogólnokrajową i od

dawna prowadzi sprawy RTG. Triton to stosunkowo świeży klient Tylera & Stone'a. Zwerbował ich Henry Wharton. Między obiema firmami nie występował jeszcze wtedy żaden bezpośredni konflikt interesów. Potem, w miarę jak się rozrastały, zaczęło dochodzić do pewnych spięć. Ale zawsze udawało się je jakoś załagodzić, pełne ujawnienie, pisemne oświadczenia, wszystko udokumentowane. Tyler & Stone to markowa kancelaria i chyba żadna z firm nie chciała rezygnować z jej doradztwa. Trzeba czasu, żeby zbudować wzajemne zaufanie.

- Zaufanie... To chyba słowo niezbyt pasujące do obecnej sytuacji — mruknął Sawyer, bawiąc się okruchami chleba.
- Ale ostatnio, kiedy wynikła sprawa przejęcia CyberComu, wystąpił jednak bezpośredni konflikt, którego nie dało się zażegnać — ciągnął Hardy, ignorując uwagę Sawyera. — Na CyberCom

264

ostrzą sobie zęby i RTG, i Triton. Zgodnie z kodeksem etyki prawniczej kancelaria Tylera & Stone'a nie mogła w tych okolicznościach reprezentować przy tej transakcji obu firm.

— I wybrali reprezentowanie Tritona. Dlaczego właśnie ich?

Hardy wzruszył ramionami.

- Wharton jest współnikiem zarządzającym. Triton to jego klient. Wystarczy? A za nic nie chcieli dopuścić do tego, żeby obie firmy reprezentował przy tej transakcji ktoś inny. Za duże ryzyko, że obie zabrałyby swoje zabawki i już do nich nie wróciły.

- Goldman pewnie się boczył, że Tyler & Stone preferuje Tritona, a nie RTG, której sprawami on się zajmuje.

- „Boczył” to mało powiedziane. Z tego co wiem, owładnęła nim żądza krwi.

- Ale kto zaręczy, że on nie ryje teraz za kulisami, żeby wywalczyć łup dla RTG?

- Spokojna głowa. Nathan Gamble nie jest naiwny i dobrze zdaje sobie z tego sprawę. A wiesz, co się może stać, jeśli RTG przebiję w tej licytacji Tritona?

- Pozwól, że zgadnę. Gamble może sobie poszukać nowych prawników?

Hardy kiwnął głową.

- Poza tym są wściekli na Sidney Archer. Moim zdaniem powinna zacząć sobie szukać nowej pracy.

- Ona sama też nie jest w tej chwili najszcześliwsza.

- Rozmawiałeś z nią?

Sawyer kiwnął głową i dopił bourbona. Po chwili zastanowienia zrezygnował z powtarzania Hardy'emu tego, z czego zwierzyła mu się Sidney. Hardy pracował dla Gamble'a i Sawyer dobrze wiedział, do czego Gamble wykorzystałby takie informacje: do zniszczenia Sidney Archer. Postanowił jednak zasygnalizować Hardy'emu znany sobie fakt w formie hipotezy.

— A może ona poleciała do Nowego Orleanu, żeby spotkać się z mężem?

Hardy podrapał się po brodzie.

- To by miało ręce i nogi.

- W tym właśnie rzecz, Frank, że wcale by nie miało.

- Jak to? — Hardy spojrzał na niego ze zdumieniem.

Sawyer oparł się łokciem o stół.

- Zastanów się. Przychodzi FBI i bierze cię w obroty.

265

Musiałbyś być pieprzonym zombie, żeby się choć trochę nie przestraszyć. A ona co? Jeszcze tego samego dnia wskakuje w samolot i leci na spotkanie z mężem?

— Mogła nie wiedzieć, że jest śledzona.

Sawyer pokręcił głową.

- To inteligentna kobieta. Myślałem, że przycisnę ją do muru pewną rozmową telefoniczną, którą przeprowadziła raniem w dniu ceremonii żałobnej w intencji męża, a ona wywinęła mi się całkiem logicznym wyjaśnieniem, które prawdopodobnie na poczekaniu skleciła. W taki sam sposób odparła mój zarzut, że świadomie urwała się śledzącym ją wywiadowcom. Ona dobrze wiedziała, że ma ogon. A mimo to poleciała.

- Może Jason Archer nie wiedział, że ją obserwujecie.

- Nie uważasz, że facet, który tak narozrabiał, musi mieć tyle oleju w głowie, by zdawać sobie sprawę, że gliny mogą chodzić za jego żoną? Zastanów się.

- Ale ona mimo wszystko poleciała do Nowego Orleanu, Lee. Nie możesz przymykać na ten fakt oczu.

- I wcale nie przymykam. Myślę, że jej mąż skontaktował się z nią i kazał jej tam przyjeżdżać nie oglądając się na nas.

- Po co u licha miałby to robić?

Sawyer bawił się serwetką i milczał. Zjawiała się kelnerka z zamówionymi daniami.

- Wygląda niezłe — mruknął Sawyer patrząc z uznaniem na swój starannie przybrany talerz.

- I jest niezłe. Podbije ci poziom cholesterolu do rekordowego poziomu, ale umrzesz szczęśliwy. — Hardy wyciągnął rękę i postukał nożem w talerz Sawyera. — Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: dlaczego Jason Archer to zrobił?

Sawyer włożył do ust widelec z nadzianym na niego kawałkiem mięsa.

— Miałeś rację, Frank. Niezłe. I pomyśleć, że wybierałem się właśnie do Chef Boyardee, kiedy zadzwoniłeś i zaprosiłeś mnie na kolację.

— Lee, do cholery, przestań się zgrywać.

Sawyer odłożył widelec.

— Kiedy dostaliśmy sygnał, że Sidney Archer gdzieś się wybiera, ściągnęliśmy wszystkich naszych chłopaków, żeby obstawić wszelkie możliwe trasy. A i tak mało brakowało, a byłaby się nam wymknęła. Prawdę mówiąc, gdyby nie to, że miałem na

266

lotnisku nieprawdopodobne szczęście, za cholere nie wiedzielibyśmy, dokąd ją poniosło. I teraz chyba wiem, dlaczego poleciała: żeby nas odciągnąć.

Na twarzy Hardy'ego pojawiło się niedowierzanie.

- Co ty u licha wygadujesz? Od czego odciągnąć?

- Mówiąc, że ściągnęliśmy wszystkich chłopaków, Frank, miałem na myśli naprawdę wszystkich, co do jednego. Po jej wyjeździe nikt nie obserwował domu Archerów.

Hardy wciągnął powietrze w płuca i odchylił się na oparcie kanapy.

— O, cholera!

Sawyer popatrzył na niego ze znużeniem.

- Wiem. Koncertowo spieprzyłem sprawę, ale już za późno, żeby rwać sobie włosy z głowy.

- I myślisz...

- Myślę, że kiedy nasza rzekoma wdowa ścierała zelówki w Nowym Orleanie, ktoś złożył w jej domu nie zapowiedzianą wizytę.

- Zaraz, chwileczkę, chyba nie sądzisz, że to był...

- Ujmijmy to następująco: Jasona Archera sklasyfikowałbym w pierwszej piątce najbardziej podejrzanych.

- Czego on mógł tam szukać?

- Nie wiem. Przetrzęsaliśmy z Rayem cały dom i niczego nie znaleźliśmy.

— Myślisz, że ona jest w to wplątana?

Sawyer podniósł do ust kolejny kęs.

— Gdybyś zadał mi to pytanie przed tygodniem, prawdopodobnie bym przytaknął. Ale teraz sędzę, że ona nie ma zielonego pojęcia, co jest grane.

Hardy poprawił się na kanapie.

- Naprawdę w to wierzysz?
- Obsmarowali ją w gazecie. Ma przechlapane w swojej kancelarii. Mąż nie przyszedł na spotkanie i wróciła z niczym. Co miałyby do zyskania poza jeszcze większym bólem głowy?

Hardy podjął przerwany posiłek, ale jego twarz nadal wyrażała powątpiewanie.

Sawyer pokręcił głową.

— Jezu, ta sprawa przypomina mi nadziewanego pączka — wymamrotał z pełnymi ustami. — Za każdym gryzem ochlapujesz się cały lepkiem gównem.

267

Hardy roześmiał się i rozejrzał po sali. Nagle zatrzymał na czymś wzrok.

— Myślałem, że wyjechał.

Sawyer pobiegł oczyma za jego spojrzeniem.

- Kto?
- Quentin Rowe. — Hardy wskazał go dyskretnym ruchem głowy. — Tam siedzi.

Rowe zajmował łożę w ustronnym kącie sali. Miękkie światło świec tworzyło wokół stolika intymną atmosferę, izolując go jakby od reszty zatłoczonej restauracji. Quentin miał na sobie jedwabny blezer, koszulę bez kołnierzyka zapiętą pod samą szyję i współgrające z całością jedwabne spodnie. Prowadził ze swoim towarzyszem, dwudziestokilkuletnim mężczyzną w doskonale skrojonym garniturze, rozmowę tak ożywioną, że kucyk majtał mu się tam i z powrotem, muskając za każdym wahnięciem kark. Siedzieli ramię w ramię wpatrując się jeden w drugiego i rozmawiali przyciszonymi głosami. W pewnej chwili Rowe musnął ręką grzbiet dłoni swojego towarzysza.

Sawyer uniósł brew i spojrzał znacząco na Hardy'ego.

- Ładna parka.
- Uważaj. Uderzasz w ton nietolerancji.
- Zaraz, żyj i daj żyć innym to moje motto. Niech się facet spotyka, z kim chce.

Hardy nie odrywał wzroku od obu mężczyzn.

- Quentin Rowe już teraz wart jest około trzystu milionów dolarów, a wszystko wskazuje na to, że jeszcze przed czterdziestką zostanie miliarderem. Czyni go to bardzo atrakcyjnym partnerem.

- Założę się, że ugania się za nim cały tabun młodych dam.
- Myśl sobie, co chcesz. Ale facet jest geniuszem. Zasługuje na sukces.

- Tak, zabrał mnie na małą wycieczkę po firmie. Nie rozumiałem połowy tego, co mi klarował, ale napatrzyłem się ciekawych rzeczy. Skłamałbym jednak mówiąc, że zachwyca mnie kierunek, w jakim zmierza cały ten technologiczny owczy pęd.

- Postępu nie powstrzymasz, Lee.
- Ja go nie chcę powstrzymywać, Frank, ja chciałbym tylko, żeby pozostawiono mi możliwość decydowania, na ile muszę w nim partycypować. A z tego, co mówi Rowe, wynika, że mogę to sobie raczej wybić z głowy.

- To trochę przerażające. Ale z pewnością dochodowe.

Sawyer zerknął znowu w kierunku Rowe'a.

- Skoro już mowa o parach, to Rowe z Gamble'em tworzą raczej dziwaczną.

- Naprawdę? A czemu tak sądzisz? — Hardy uśmiechnął się. — Nie, poważnie, los zetknął ich w idealnym momencie. Reszta to historia.

- Ja to widzę tak. Gamble miał worki pieniędzy, a Rowe wniósł w posagu intelekt?

Hardy pokręcił głową.

— Nie lekceważ Nathana Gamble'a. Niełatwo zbić na Wall Street tyle szmalu co on. To inteligentny facet i urodzony biznesmen.

Sawyer otarł usta serwetką.

— Na swoje szczęście, bo samym urokiem osobistym do niczego by nie doszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Punktualnie o ósmej wieczorem Sidney Archer zapukała do drzwi domu Jeffa Fishera. Był to odrestaurowany szeregowiec w elitarniej dzielnicy willowej na skraju alexandryjskiego Starego Miasta. Niski, pękaty Fisher, w dresie z literami MIT na piersiach, w sfatygowanych tenisówkach i czapeczce Red Sox wciśniętej na niemal zupełnie łysą głowę, przywitał ją w progu i wprowadził do wielkiego pokoju zastawionego po sam sufit sprzętem komputerowym. Po drewnianej podłodze wiły się pęki kabli poutykanych w wielokontaktowe listwy zasilające, w których nie uświadczyno się jednego wolnego gniazdka. Sidney przemknęło przez myśl, że bardziej przypomina to Centrum Dowodzenia w Pentagonie niż pokój w cichej, podmiejskiej dzielnicy.

Fisher obserwował z dumą jej zaskoczenie.

— Prawdę mówiąc, kiedyś było tego jeszcze więcej. Ale zauważyłem, że tracę nad tym wszystkim kontrolę, i dokonałem samoograniczenia — powiedział z szerokim uśmiechem.

Sidney wyciągnęła z kieszeni dyskietkę.

— Jeff, czy mógłbyś ją włożyć do swojego komputera i sprawdzić, co zawiera? — poprosiła.

Fisher wziął od niej dyskietkę z wyraźnie zawiedzioną miną.

- Tylko tyle? Możesz zrobić to sama na swoim biurowym komputerze, Sidney.

- Wiem, ale boję się, że coś sknocę. Przyszła pocztą i może być uszkodzona. Jestem zupełnie zielona, jeśli chodzi o komputery, Jeff. Wolałam zwrócić się z tym do uznanego fachowca.

Fisher, mile polechtany, uśmiechnął się promiennie.

— No dobra. To zajmie sekundę.

Chciał już wsunąć dyskietkę do napędu, ale Sidney chwyciła go za rękę.

— Jeff, czy ten komputer pracuje w sieci?

Spojrzał na maszynę, a potem na nią.

- Tak. Korzystam z usług trzech różnych operatorów, mam też prywatny dostęp do Internetu poprzez serwer Massachusetts Institute of Technology. Bo co?

- Czy mógłbyś to zrobić na komputerze nie pracującym w sieci? Bo jeśli jesteś w sieci, to ktoś obcy może swobodnie korzystać z zasobów twojej bazy danych, prawda?

- Tak, to dwukierunkowa ulica. Kiedy coś przesyłasz, inni mogą to przechwycić. To kompromis, ale duży kompromis i czasami mam wątpliwości, czy wart świeczki.

- Jak to? — zdziwiła się Sidney.

- Słyszałaś o promieniowaniu Van Ecka? — odpowiedział pytaniem na pytanie Fisher. Sidney pokręciła głową. — To taki elektromagnetyczny wyciek.

- Jaki wyciek? — Z miny Sidney wynikało, że nic jej to nie mówi.

Fisher obrócił się razem z krzesłem i spojrzął na nią.

— Każdy prąd elektryczny wytwarza pole elektromagnetyczne, a więc pola elektromagnetyczne, i to silne, emitują również komputery. Transmisje te łatwo przechwytywać i rejestrować. Poza tym komputery wysyłają również impulsy cyfrowe. Ta lampa — Fisher wskazał na ekran monitora — wyrzuca w eter wyraźne obrazy, które można odbierać za pomocą powszechnie dostępnego sprzętu. Mógłbym sobie krążyć samochodem po śródmieściu Waszyngtonu z anteną kierunkową, czarno-białym telewizorkiem i urządzeniem skleconym z części elektronicznych za kilka dolarów, i podkraść informacje z dowolnej wewnętrznej sieci komputerowej pracującej w dowolnej kancelarii prawniczej, firmie rachunkowej czy budynku rządowym w tym mieście. Żaden problem.

270

- Chcesz powiedzieć, że można na odległość podglądać, co ktoś inny ma na ekranie swojego komputera? — spytała z niedowierzaniem Sidney. — Jak to możliwe?

- Nic prostszego. Kształty i linie na ekranie monitora komputerowego komponowane są z milionów maleńkich plamek zwanych elementami obrazu — albo w skrócie pikselami. Wprowadzenie z klawiatury jakiegoś polecenia powoduje wystrzelenie wiązki elektronów w kierunku określonych punktów ekranu, celem podświetlenia określonych pikseli — tak, jakbyś malowała obraz. Żeby te piksele nie gasły, ekran monitora musi być bez przerwy bombardowany elektronami. Tak właśnie rysowany jest obraz na ekranie, obojętne czy grasz w grę komputerową, czy korzystasz z edytora tekstu. Nadażasz?

Sidney kiwnęła głową.

— Każdemu wystrzeleniu wiązki elektronów w kierunku ekranu towarzyszy emisja silnego impulsu elektromagnetycznego. Zewnętrzny monitor telewizyjny potrafi odbierać te impulsy piksel po pikselu. Zwykły monitor telewizyjny nie jest co prawda w stanie tak poukładać tych pikseli, by odtworzyć obraz, który masz na swoim ekranie, ale wystarczy doprowadzić do jego układów odchylenia sztuczny sygnał synchronizacji i uzyskuje się wierną kopię.

Fisher przerwał, żeby zerknąć na ekran komputera.

— Drukarka? — podjął. — Faks? To samo. Telefony komórkowe? Daj mi skaner i minutę czasu, a będę znał twój wewnętrzny elektroniczny numer porządkowy, czyli tak zwany ESN, numer twojej komórki, dane o klasie twojej stacji, oraz dane producenta telefonu. Programuję tymi danymi inny telefon komórkowy, trochę go przekonfigurowuję i zaczynam prowadzić na twój koszt długodystansowe rozmowy. Wszystkie informacje przepływające między komputerami, czy to przesyłane linią telefoniczną, czy bezprzewodowo, narażone są na przechwycenie. Ale czy w dzisiejszych czasach coś jest bezpieczne? Absolutnie nic.

Wiesz, co przewiduję? Wszystkie te problemy z bezpieczeństwem danych sprawią, że przestaniemy wkrótce korzystać z komputerów i przeprosimy się z maszynami do pisania i ślimaczą pocztą.

Sidney spojrzała na niego zaintrygowana.  
— Ślimacza poczta to w slangu komputerowców pogardliwe określenie poczty konwencjonalnej. Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Zapamiętaj moje słowa. Ten dzień nadchodzi.

271

Sidney przysłała nagle do głowy pewna myśl.

- Jeff, a co z konwencjonalnymi telefonami? Jak to możliwe, że dzwonię pod dany numer, dajmy na to do swojej pracy, a odbiera ktoś, o kim wiem na pewno, że nie może przebywać w tym momencie w mojej firmie?

- Ktoś włamał się do przełącznika — odparł bez wahania Fisher.

- Do przełącznika? — Sidney zrobiła wielkie oczy.

- To taki elektroniczny rozgałęziacz, którym rozprowadzane są po całych Stanach Zjednoczonych wszystkie rozmowy łączone z automatów telefonicznych do telefonów komórkowych. Jeśli się do niego włamiesz, możesz łączyć się bez ograniczeń z kim chcesz. — Fisher odwrócił się do komputera. — Postraszyłem cię trochę, Sidney, ale ja w swojej maszynie mam naprawdę dobry system zabezpieczający.

— Jest absolutnie pewny? Nikt go nie sforsuje?

Jeff roześmiał się.

— Nie znam nikogo przy zdrowych zmysłach, kto odważyłby się tak twierdzić, Sidney.

Sidney spojrzała z odrazą na dyskietkę. Że też nie można wydrzeć z niej kartek i zwyczajnie ich przeczytać.

- Przepraszam. Pewnie masz mnie za paranoiczkę.

- Nie ma sprawy. Bez urazy, ale większość prawników, których znam, balansuje na krawędzi paranoi. To chyba takie skrzywienie zawodowe. No, ale nie zaszkodzi dodatkowo się zabezpieczyć. — Odłączył linię telefoniczną od jednostki centralnej. — Teraz jesteśmy poza siecią. Mam pierwszorzędny program antywirusowy. Uruchomiłem go przed chwilą na wypadek, gdyby przed odłączeniem od sieci coś zdążyło się nam zagnieździć. Nic nie wyłapał, więc jesteśmy chyba bezpieczni.

Gestem ręki zaprosił Sidney do zajęcia miejsca obok siebie. Podsunęła sobie krzesło i wpatrzyli się oboje w monitor. Fisher przebiegł palcami po klawiaturze i na ekranie pojawił się katalog zawartości dyskietki. Spojrzał na Sidney.

— Kilkanaście plików — mruknął. — Z liczby bajtów wynika, że to około czterystu stron standardowego maszynopisu. Ale jeśli tekst zawiera dużo grafiki, to nie da rady określić rzeczywistej objętości dokumentu. — Nacisnął jeszcze kilka klawiszy. Oczy mu zabłyśły, kiedy ekran wypełnił się jakimiś symbolami.

272

Sidney zrzędała mina. Dla niej był to zwyczajny bełkot, same niezrozumiałe hieroglify. Spojrzała na Fishera.

— Coś nie tak z komputerem?

Fisher bez słowa zaatakował znowu klawiaturę. Ekran pociemniał, by po chwili wyświetlić tę samą chmurę robaczków. Nagle u dołu pojawił się wiersz poleceń z żądaniem wprowadzenia hasła.

- Nie, wszystko w porządku — odparł Jeff. — Iz dyskietką też. Skąd ją masz?

- Od klienta — bąknęła. — Przysłał mi pocztą.

Na szczęście Fisher, zbyt zaabsorbowany informatycznym problemem, nie dociekał dalej pochodzenia dyskietki.

Waląc w klawiaturę sprawdzał przez kilka minut zawartość pozostałych plików. Na ekranie nieodmiennie pojawiał się rój



robaczków i polecenie wprowadzenia hasła. W końcu Jeff zerknął z uśmiechem na Sidney.

— Zaszifrowane — orzekł,

— Zaszifrowane? — Sidney gapiała się na niego bezradnie.

Fisher wpatrzył się znowu w ekran.

• Szyfrowanie to proces, w którym bierzesz czytelny tekst i przed wysłaniem przetwarzasz go na nieczytelny.

• Jaki w tym sens, jeśli adresat nie jest w stanie go odczytać?

• Ależ jest, jeśli tylko dysponuje kluczem umożliwiającym odszyfrowanie wiadomości.

• Skąd wziąć taki klucz?

— Nadawca albo musi ci go przesłać, albo już przesłał.

Sidney odchyliła się z rezygnacją na oparcie krzesła. Ten cholerny klucz miał pewnie Jason.

• Ja go nie mam.

• To bez sensu.

• Czy przesyła się zaszyfrowane wiadomości do siebie samego? — spytała.

Fisher spojrzał na nią dziwnie.

— Nie. Przynajmniej ja się z czymś takim nie spotkałem — odparł. — Jeśli masz już daną wiadomość w ręku, to po co miałabyś ją szyfrować i wysyłać poprzez Internet do siebie pod inny adres? Ktoś mógłby ją przechwycić i odszyfrować. Ale mówiłaś przecież, że tę dyskietkę przysłał ci klient.

Sidney przeszedł dreszcz.

• Jeff, masz kawę? Trochę tu zimno.

• Właśnie zaparzyłem nowy dzbanek. Utrzymuję w tym

273

pokoju temperaturę nieco niższą niż w pozostałej części domu, żeby sprzęt się nie przegrzewał. Zaraz wracam.

— Dzięki.

Wróciwszy z dwoma kubkami kawy, Fisher zastał Sidney wpatrzoną w ekran.

Upił łyk gorącego płynu, a Sidney odchyliła się na oparcie krzesła i zamknęła oczy. Fisher przybliżył twarz do ekranu.

— Tak — podjął. — Po co szyfrować wiadomość i wysyłać ją do siebie? — Pociągnął drugi łyżeczek kawy. — Ma to sens tylko wtedy, kiedy adresatem jest ktoś inny.

Sidney otworzyła oczy i wyprostowała się gwałtownie na krześle. Przypomniała jej się poczta elektroniczna, która przemknęła przez ekran komputera Jasona niczym elektroniczna zjawia. Pojawiła się i zniknęła. Klucz. Czyżby to był ten klucz? Czyżby Jason jej go przesłał?

Chwyciła Fishera za rękę.

• Jeff, jak to możliwe, że poczta elektroniczna pojawia ci się na ekranie i zaraz potem znika? Nie ma po niej śladu w twojej e-mailowej skrzynce pocztowej. Nie ma jej nigdzie w systemie. Jak to możliwe?

• Prosta sprawa. Nadawca ma zawsze pewien ustalony margines czasowy na anulowanie transmisji, oczywiście o ile przesyłka nie zostanie przez odbiorcę otwarta i przeczytana natychmiast po nadejściu. Ale w niektórych systemach, zależnie od ich skonfigurowania, czas na ewentualne wycofanie przesyłki nie jest z góry ustalony, lecz kończy się dopiero z chwilą jej otwarcia przez odbiorcę, czyli może być bardzo długi. Pod tym względem poczta elektroniczna przewyższa konwencjonalną. — Fisher uśmiechnął się. — Dajmy na to, wkurzasz się na kogoś, piszesz do niego pełen inwektyw list, wysyłasz go, a potem złość ci przechodzi i żałujesz, że to zrobiłaś. Po wrzuceniu listu do zwykłej skrzynki pocztowej już go nie odzyskasz. Nie da rady, nie ma jak.

Ale poczta elektroniczna stwarza ci taką możliwość. Do pewnego momentu.

- A jak to jest w przypadku wiadomości przesyłanej między różnymi sieciami? Na przykład z America Online do Internetu albo odwrotnie?

Fisher potarł brodę.

— Tu sprawa jest bardziej skomplikowana ze względu na łańcuch etapów, którymi musi podróżować przesyłka. To trochę

274

tak jak drabinki na placu zabaw. — Sidney znowu spojrzała na niego niepewnie. — No wiesz, wspinasz się z jednej strony, przekładasz nogę i schodzisz z drugiej. To przybliżona analogia. Fragmenty przesyłki są same w sobie spójne, ale niekoniecznie muszą tworzyć koherentną całość. W rezultacie raz wysłanej informacji nie można już czasami wycofać.

- Ale to możliwe?
- W pewnych warunkach tak.

Sidney myślała gorączkowo. Dlaczego Jason miałby jej przesyłać klucz tylko po to, żeby go zaraz wycofać? Chyba że to nie on anulował transmisję.

- Jeff, jeśli wysyłasz do kogoś wiadomość pocztą elektroniczną, a komuś trzeciemu zależy, żeby ta wiadomość nie dotarła do adresata, to czy ten trzeci może ją zatrzymać? Anulować transmisję, jak powiedziałeś, wbrew woli nadawcy?

- Dziwne pytanie. Ale odpowiem na nie twierdząco. Wystarczy mieć dostęp do tej samej klawiatury. Czemu pytasz?

- Tylko się głośno zastanawiałam.

Fisher spojrział na nią podejrzliwie.

- Czy coś się stało, Sidney?

Sidney udała, że nie dosłyszała.

- Da się odczytać tę dyskietkę bez klucza?

Fisher zerknął na ekran, a potem powoli odwrócił głowę i znowu spojrział na Sidney.

— Owszem, jest na to kilka metod — powiedział bez entuzjazmu, bardziej niż dotychczas formalnym, tonem.

— Mógłbyś spróbować, Jeff?

Spuścił wzrok.

— Posłuchaj, Sidney, zaraz po twoim dzisiejszym telefonie zadzwoniłem do biura w sprawie pewnych projektów, które właśnie prowadzę. Powiedzieli mi... — urwał i spojrział na nią z zaskopowaniem. — Powiedzieli mi o tobie.

Sidney wstała i wbiła wzrok w podłogę.

— Czytałem też gazetę, zanim tu przysłałaś. To ma z tym związek? Nie chcę się w nic wplątywać.

Sidney usiadła z powrotem i spoglądając Fisherowi prosto w oczy, chwyciła go za rękę.

— Jeff, na ekranie mojego domowego komputera pojawiła się na moment wiadomość przesłana pocztą elektroniczną. Podejrzewam, że nadał ją mój mąż. Jednak zaraz zniknęła. Wydaje mi się,

275

że to mógł być ki ucz do odczytania tej dyskietki, bo Jason wysłał ją na swój adres. Muszę odczytać tę dyskietkę. Wbrew temu, co myślą w kancelarii i co wypisuje prasa, nie zrobiłam nic złego. Ale nie potrafię tego udowodnić. Przynajmniej na razie. Mogę ci tylko dać słowo.

Fisher patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

— Okay, wierzę ci. Tak się składa, że należysz do nielicznego grona prawników naszej kancelarii, których lubię. — Odwrócił się ze zdecydowaniem do ekranu. — Możesz sobie dolać kawy.

Jeśli jesteś głodna, w lodówce znajdziesz coś na kanapkę. To trochę potrwa.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Kolacja z Frankiem Hardym nie trwała długo i dochodziła dopiero ósma wieczorem, kiedy Sawyer zatrzymał samochód przed swoim blokiem. Wysiadł z wozu z przyjemnym uczuciem sytości. Jednak myśli, jakie kłębiły mu się w głowie, do przyjemnych bynajmniej nie należały. Ta sprawa miała tyle wątków, że nie bardzo wiedział, od którego zacząć.

Zatrzasnąwszy drzwiczki zauważył nadjeżdżającego ulicą wiśniowego rolls-royce'a. W tej okolicy rzadko miało się okazję widzieć takie spektakularne przejawy zamożności. Za kierownicą siedział szofer w czarnej czapce. Sawyer dopiero po uważniejszym przyjrzeniu się uświadomił sobie, co mu w tym widoku nie pasuje. Szofer siedział po prawej stronie — samochód był w wersji brytyjskiej. Wóz zwolnił i zatrzymał się obok niego. Pasażer zajmujący miejsce z tyłu pozostawał niewidoczny, bo szyby były przyciemniane. Ciekawe, czy to szyby fabryczne, czy też wymieniono je później. Sawyerowi nie dane było długo się nad tym zastanawiać. Szyba z tyłu opuściła się i znalazł się oko w oko z Nathanem Gamble'em. Szofer wysiadł i stanął w wyczekującej pozycji przy tylnych drzwiczkach.

Sawyer omiótł pełnym uznania spojrzeniem masywny pojazd i ponownie zatrzymał wzrok na prezesie Tritona.

- Ładny wózek. Ile pali?
- Jakby mnie to obchodziło. Lubisz pan koszykówkę? — Gamble obciął gilotynką koniuszek cygara i zaczął je sobie przypalać.

276

- Słucham...?
- NBA. Czarne dryblasy ganiające wte i wewte w krótkich majtkach za góry szmalu.
- Obejrzę czasem w telewizji.
- No to wskakuj pan.
- Po co?

— Spokojna głowa, nudzić się pan nie będziesz, to gwarantuję. Sawyer rozejrzał się po ulicy i wzruszył ramionami. Wsunął do kieszeni kluczyki od własnego samochodu i spojrzał na szofera.

— Wsiadam, stary.

Szofer otworzył przed nim drzwiczki i Sawyer wgramolił się na tylną kanapę. Sadowiąc się na niej zauważył naprzeciwko siebie Richarda Lucasa siedzącego tyłem do kierunku jazdy. Skinął mu głową. Szef ochrony Tritona odpowiedział tym samym. Rolls ruszył szybko.

— Zapalisz? — Gamble podsunął mu cygaro. — Kubańskie. Prawo zabrania ich importu. Chyba dlatego tak mi smakują.

Sawyer przyjął cygaro i obciął koniec gilotynką, którą podał mu Gamble. Drgnął zaskoczony, kiedy Lucas pstryknął mu przed nosem gazową zapalniczką, ale skorzystał z ognia. Pyknął kilka razy płytko, rozpalając cygaro, a potem zaciągnął się głęboko.

- Niezłe. Chyba będę musiał przymknąć oko na te pańskie nielegalne upodobania.
- Wielkie dzięki.
- A swoją drogą, skąd wiecie, gdzie mieszkam? Mam nadzieję, że mnie nie śledziliście. Robię się bar-dzo nerwowy, kiedy ktoś to robi.
- Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

- No więc?
- Co: no więc? — Gamble mierzył go spojrzeniem.
- No więc skąd wiecie, że tu mieszkam?
- A co to za różnica?
- Dla mnie bardzo duża. W moim fachu nie rozgłasza się na prawo i lewo swojego adresu.
- Zaraz, niech no sobie przypomnę. Jak my tu trafiliśmy? Znaleźliśmy pana w książce telefonicznej? — Gamble pokręcił głową i zerknął z rozbawieniem na Sawyera. — Nie, nie tak.
- Wierzę, bo w książce mnie nie ma.
- Właśnie. Chyba po prostu wiedzieliśmy, i już. — Gamble wydmuchnął w sufit parę idealnie okrągłych kółek z dymu. —

277

Ach ta nasza technika komputerowa. Wielki Brat wiem wszystko. — Zachichotał i zaciągając się cygarem zerknął na Lucasa.

- Frank Hardy nam powiedział — wyjaśnił Lucas. — W zaufaniu, rzecz jasna. Nie zamierzamy rozpowszechniać tej informacji. Rozumiem pańskie zaniepokojenie... — urwał. — A tak między nami mówiąc — podjął po chwili — to przepracowałem dziesięć lat w CIA.

- Oj, Rich, popsuleś mi zabawę. — Z każdym oddechem Gamble'a we wnętrzu samochodu coraz bardziej czuć było alkohol. Gamble otworzył małą klapkę wbudowaną w wewnętrzną powierzchnię drzwiczek rollsa i oczom Sawyera ukazał się dobrze zaopatrzony barek. — Wyglądasz mi pan na amatora szkockiej z wodą sodową.

- Wypiłem już swoją dzienną dawkę do kolacji.

Gamble napełnił sobie szklaneczkę z rżniętego szkła johnnym walkerem. Sawyer zerknął na Lucasa, który przyglądał się temu obojętnie. Najwyraźniej zachowanie szefa nie odbiegało od normy.

- Przyznam, że nie spodziewałem się, by po naszej ostatniej pogawędce próbował się pan jeszcze ze mną skontaktować — powiedział Sawyer.

- Wyjaśnienie jest proste. Utarłeś mi pan nosa, na co zresztą prawdopodobnie zasłużyłem. Sprawdzałem pana moją wypróbowaną metodą odgrywania nadętego waźniaka i zdałeś pan ten egzamin śpiewająco. Nie muszę chyba dodawać, że nieczęsto spotykam ludzi z jajami, którzy przechodzą mój test. Kiedy na takiego kogoś natrafie, staram się nawiązać z nim bliższą znajomość. A poza tym chcę z panem porozmawiać o naszej sprawie. W świetle ostatnich ustaleń wszystko zaczyna wyglądać inaczej...

- Jakich ustaleń?

Gamble pociągnął łyce trunku.

- Dobrze pan wiesz, o czym mówię. Sidney Archer. Nowy Orlean. RTG. Hardy dał mi cynk.

- Szybki pan jest. Rozstałem się z nim nie dalej jak dwadzieścia minut temu.

Gamble wyjął z zagłębienia w konsoli rollsa maleńki przenośny telefon.

— Nie zapominaj, Sawyer, że masz przed sobą przedstawiciela sektora prywatnego. Kto nie działa szybko, nie działa wcale, dociera?

Sawyer zaciągnął się cygarem.

278

- Zaczyna. A przy okazji, nie powiedział mi pan jeszcze, dokąd jedziemy.

- Nie powiedziałem? Dobra, siedź pan spokojnie. Zaraz będziemy na miejscu. A potem utniemy sobie miłą pogawędkę.

Do czasu ukończenia budowy miejskiego stadionu, dachu nad głową drużynom koszykarskiej Washington Bullets i hokejowej Washington Capitals użyczala Arena USAir. Hala wypełniona była po brzegi kibicami, którzy ścignęli tu na mecz Bullets—Knicks. Nathan Gamble, Lucas i Sawyer wjechali prywatną windą na drugą kondygnację, gdzie znajdowały się wieloosobowe prywatne łóża. Przekraczając próg drzwi opatrzonej tabliczką TRITON GLOBAL, Sawyer miał wrażenie, że wstępuje na pokład luksusowego transatlantyka. Nie była to zwyczajna galeria do oglądania gry w piłkę — pomieszczenie zajmowało przestrzeń dorównującą mniej więcej powierzchni jego mieszkania.

Barok obsługiwała młoda kobieta, a długi stół pod ścianą ugiął się pod ciężarem gorących i zimnych przekąsek. Łóża miała własną łazienkę i garderobę i umeblowana była przepastnymi sofami oraz fotelami, a gigantyczny ekran stojącego w kącie telewizora pokazywał trwający na dole mecz. Ze znajdujących się wyżej trybun, na które prowadziło jedno skrzydło schodów, dobiegały okrzyki podekscytowanych kibiców. Sawyer spojrzął na telewizor. Gospodarze Bullets prowadzili siedmioma punktami nad bardzo faworyzowaną drużyną Knicksów.

Agent zdjął płaszcz i kapelusz i podszedł za Gamble'em do barku.

— Teraz musisz się pan czegoś napić. Nie da się patrzeć na mecz bez drinka w ręku.

Sawyer skinął barmance głową.

— Budweiser, jeśli można.

Kobieta wyjęła z lodówki puszkę piwa, otworzyła ją i sięgnęła po szklanekę.

— Może być z puszeki — powiedział Sawyer. — Dzięki.

Rozejrzał się znowu po przestronnym pomieszczeniu. Oprócz nich nikogo tu nie było. Podszedł do bufetu. Był syty po kolacji, ale chipsy i słone orzeszki kusily.

- Zawsze tak tu pusto? — spytał Gamble'a, biorąc z miseczki pełną garść orzeszków. Lucas zajął stanowisko pod ścianą.

- Zwykle nie ma gdzie palca wcisnąć — odparł Gamble. —

279

Bardzo dobry sposób na motywowanie podwładnych. Odprężają się tu i potem lepiej pracują. — Barmanka podała mu drinka. Gamble wyciągnął z kieszeni zwitek studolarowych banknotów i wepchnął go w stojącą na barze pustą szklanekę. — Masz tu, dziewczyno, napiwek. Spraw sobie jakieś szalowe pończoszki. — Barmanka o mało nie zemdlala. Gamble, nie zwracając już na nią uwagi, podszedł do Sawyera.

- Niezły mecz — mruknął Sawyer wskazując na telewizor ręką, w której trzymał puszkę piwa. — Dziwię się, że nie przyszedł tu dziś nikt z pracowników Tritona.

- Zdziwiłbym się, gdyby przyszedł, bo zakazałem rozdzielania biletów na dzisiejsze spotkanie.

- Dlaczego? — Sawyer łyknął piwa.

Gamble wziął go wolną ręką pod ramię.

- Bo chciałem porozmawiać z panem na osobności.

Wprowadził Sawyera po schodach na trybuny. Widać stąd było jak na dłoni cały parkiet. Sawyer z zazdrością popatrzył na dwie grupy wysokich, muskularnych i bardzo bogatych młodzieńców biegnących w tę i z powrotem po boisku. Sektor, do którego wprowadził go Gamble, otoczony był z trzech stron pleksiglasowymi ściankami, oddzielającymi go od sąsiednich luksusowych łóż. Można tu było prowadzić bardzo poufną rozmowę w samym środku piętnastotysięcznego tłumu.

Usiedli. Sawyer wskazał głową kierunek, z którego przyszli.

- Rich nie lubi koszykówki?
- Lucas jest na służbie.
- Czy on w ogóle ma kiedyś wolne?

— Podczas snu, na który mu od czasu do czasu zezwalam. — Gamble rozsiadł się w wygodnym foteliku i wychylił drinka do dna.

Sawyer rozejrzał się ciekawie. Pierwszy raz w życiu był w takim miejscu, a czuł się tym bardziej oszołomiony, że znalazł się tu zaraz po wykwintnej kolacji z Hardym. Uśmiechnął się pod nosem. Będzie co opowiadać Rayowi. Kiedy jednak znowu spojrzął na Gamble'a, przestało mu być do śmiechu. Nie ma nic za darmo. Za wszystko trzeba płacić. Zdecydował, że pora już zerknąć na karteczkę z ceną.

- A więc o czym chciał pan ze mną porozmawiać?  
Gamble patrzył pustym wzrokiem na zmagania koszykarzy.
- Wie pan, że chcemy przejąć CyberCom. Bardzo chcemy.

280

— Posłuchaj, Gamble, nie jestem twoim konsultantem od interesów, jestem gliną. Mało mnie obchodzi, czy przejmiecie CyberCom, czy nie.

Gamble ssał kostkę lodu. Chyba nie dosłyszał.

- Haruje człowiek jak wół, żeby coś zbudować, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie ci próbował to odebrać. Ktoś, kto chce cię wykołować.

- Jeśli szuka pan u mnie zrozumienia, to źle pan trafił. Ma pan tyle forsę, że do końca życia nie zdoła jej wydać. Czym się pan do diabła przejmuje?

- Bo człowiek się przyzwyczaja — wybuchnął Gamble, ale szybko się opanował. — Przyzwyczaja się do tego, że jest na szczycie i że wszyscy się do niego porównują. Ale nie można też zapominać o pieniądzach. — Spojrzął na Sawyera. — Chce pan wiedzieć, ile wynosi mój roczny przychód?

Sawyer zainteresował się mimo woli.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że powiedziałby mi pan, nawet gdybym zaprzeczył?

- Miliard dolarów — oświadczył Gamble i bezceremonialnie wypluł kostkę lodu do szklaneczki.

Sawyer popił tę ogłuszającą informację wielkim haustem piwa.

— Podatek od przychodu, jaki odprowadzę do kasy federalnej za sam bieżący rok, sięgnie czterystu milionów dolarów. Biorąc to pod uwagę, mogę chyba liczyć na odrobinę czułości z waszej, federalnych, strony?

Sawyer spojrzął na niego ostro.

- Jeśli szuka pan czułości, to polecam usługi kurewek z Czternastej Ulicy. Są tańsze.

- Cholera, do was, urzędników, zupełnie to nie dociera, prawda?

— Mógłby mnie pan oświecić, co konkretnie?

Gamble odstawił szklaneczkę.

- Traktujecie wszystkich tak samo — powiedział z niedowierzaniem.

- Czy według pana to źle?

- Nie tylko źle, głupio.

- Podejrzewam, że nie zadał pan sobie nigdy trudu przeczytania Deklaracji Niepodległości... wie pan, tego fragmentu, który głosi, że wszyscy ludzie rodzą się równi.

- Ja mówię o realiach. Mówię o biznesie.

- Nie widzę różnicy.
- Więc mam traktować prezesa Citicorp tak samo jak woznego w jego budynku, chociaż ten pierwszy może mi pożyczyć miliardy dolarów, a drugi co najwyżej wyczyścić toaletę?
- Moja praca to ściganie przestępców: biednych, bogatych i wszystkich pomiędzy. Dla mnie nie ma między nimi żadnej różnicy.
- Tak, ale ja nie jestem przestępcą. Jestem podatnikiem, cholera, prawdopodobnie największym podatnikiem w całym tym kraju, i proszę tylko o małą przysługę, o którą w sektorze prywatnym nie musiałbym nawet prosić.
- Niech żyje sektor publiczny.
- To wcale nie jest zabawne.
- I wcale nie miało być. — Sawyer spojrzął mu w oczy. Gamble odwrócił w końcu wzrok, a Sawyer zerknął na swoje dłonie i upił kolejny łyk piwa. Ilekroć znalazł się w towarzystwie tego faceta, puls mu przyspieszał.

Kosz zdobyty przez drużynę gospodarzy poderwał tłum na równe nogi.

— A swoją drogą, czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że coś tu nie tak, skoro jest pan bogatszy od samego Pana Boga?

Gamble roześmiał się.

• Jak ci faceci tam na dole? — wskazał na koszykarzy. — Prawdę mówiąc, przy obecnej światowej koniunkturze zanoszą się na to, że ten rok będę miał nawet lepszy niż Bóg. — Potarł oczy. — Masz pan rację, nie w gotówce rzecz, mam jej więcej, niż mi potrzeba. Ale, jak już powiedziałem, lubię respekt, jaki wzbudza człowiek na szczycie. Każdy patrzy we mnie jak w obraz i czeka, co zrobię.

- Czy nie myli pan czasem respektu ze strachem?
- To w moim słowniku synonimy. Posłuchaj pan, doszedłem do tego wszystkiego dzięki temu, że byłem zatwardziałym sukin-synem. Nadepnij mi pan na odcisk, a odpłacę tym samym, tylko mocniej. Wychowywałem się w nędzy. Mając piętnaście lat wsiadłem w autobus do Nowego Jorku. Zaczynałem na Wall Street jako goniec za parę dolców dziennie. Ciężką pracą, nie oglądając się ani razu za siebie, wspiąłem się na sam szczyt. Zbijałem fortuny, traciłem je i odzyskiwałem z powrotem. Cholera, mam z pół tuzina honorowych stopni naukowych nadanych mi przez renomowane college, a nie ukończyłem nawet podstawówki. Wy-

282

starczy odpowiednia darowizna. — Gamble uniósł brwi i uśmiechnął się.

— Moje gratulacje — mruknął Sawyer i zebrał się w sobie, żeby wstać. — Chyba będę już leciał.

Gamble chwycił go za rękę i zaraz puścił.

• Posłuchaj pan, czytałem tę gazetę. Rozmawiałem z Hardym. I czuję na karku oddech RTG.

- Powiedziałem już, że to nie mój problem.
- Nie mam nic przeciwko grze fair, ale niech mnie diabli, jeśli pogodzę się z przegraną, bo jakiś pracownik sprzedał mnie rywalowi.

• Przypuszczalnie sprzedał pana rywalowi. Niczego na razie nie udowodnił. I czy to się panu podoba, czy nie, w świetle prawa tylko to się liczy.

• Widziałeś pan kasety. Jakiego jeszcze dowodu wam potrzeba? Do cholery, proszę tylko, żeby wywiązał się pan ze swoich obowiązków. Co w tym złego?

• Widziałem, jak Jason Archer wręczał jakimś ludziom jakieś dokumenty. Nie mam pojęcia, co to były za dokumenty ani kim

byli ci ludzie.

Gamble usiadł.

• Zrozum pan. Cały szkopał w tym, że jeśli RTG zna treść oferty, jaką zamierzam przedstawić CyberComowi, i przeliczytuje mnie, jestem skończony. Musi pan dowieść, że mnie ograbili. Kiedy położą już łapę na CyberComie, przestanie być ważne, jakimi metodami się posłużyli, CyberCom będzie icjh. Rozumiesz pan?

• Robię, co mogę, panie Gamble. Ale za cholere nie namówi mnie pan, żebym prowadził dochodzenie pod kątem dobra pańskich interesów. Dla mnie zamordowanie stu osiemdziesięciu jeden niewinnych ludzi znaczy o wiele więcej niż wysokość podatku, jaki płaci pan od swoich przychodów. — Gamble milczał. — Rozumie mnie pan? — Gamble wzruszył ramionami. — Jeśli okaże się, że stała za tym RTG, to może być pan spokojny, zrobię wszystko, by za to zapłacili.

• A nie moglibyście przykręcić im śruby już teraz? Objęcie dochodzeniem prowadzonym przez FBI wyeliminowałoby ich prawdopodobnie z rywalizacji o przejęcie CyberComu.

• Rozważamy to, Gamble. Ale te sprawy zajmują trochę czasu. Biurokracja przez wielkie B, rozumie pan?

• Czas to coś, czego nie mam za wiele — jęknął Gamble.

283

— Przykro mi, ale odpowiedź nadal brzmi „nie”. Ma pan do mnie jeszcze jakąś prośbę, której nie mogę spełnić?

W milczeniu obserwowali przez kilka minut grę. Sawyer wziął ze stolika przed sobą lornetkę.

— Co będzie z Tylerem & Stone'em? — zapytał unosząc ją do oczu.

Gamble skrzywił się.

— Gdyby nie poważne zaawansowanie prac nad umową z CyberComem, z miejsca wykopałbym ich na zbity pysk. Ale potrzebuję ich prawnej ekspertyzy i instytucjonalnej asysty. Przynajmniej na razie.

— Byle nie mieć do czynienia z Sidney Archer?

Gamble pokręcił głową.

• Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że stać ją na coś takiego. Wybitna prawniczka. A do tego piękna kobieta. Wielka strata.

• Dlaczego?

Gamble spojrzał na niego zdziwiony.

• Przepraszam, ale czy czytaliśmy tę samą gazetę? Ona siedzi w tym po swoją kształtną dupcię.

• Tak pan myśli?

• A pan nie?

Sawyer wzruszył ramionami i dopił piwo.

• Wsiada w samolot zaraz po nabożeństwie za duszę męża... — podjął Gamble. — Wiem od Hardy'ego, że próbowała się urwać pańskim ludziom. Leci do Nowego Orleanu. Zachowuje się podejrzanie, telefonuje gdzieś i wraca do domu. Hardy powiedział mi też, że podobno ktoś był w jej domu, którego nikt nie pilnował, bo pociągnęła za sobą wszystkich pańskich chłopaków. Swoją drogą, pięknieście się spisali, nie ma co.

• W przyszłości będę musiał uważać, co mówię Frankowi.

• Płacę mu bająnskie pieniądze. Lepiej dla niego, żeby mnie informował.

• Jestem przekonany, że jest wart każdego centa z tej sumy.

— Właśnie, centa! To żart.

Sawyer spojrzał z ukosa na Gamble'a.

— Odnoszę wrażenie, że pomimo wszystkiego, co Frank dla pana zrobił, nie ma go pan w zbyt wielkim poważaniu.

Gamble zachichotał.



- Bardzo wysoko ustawiam poprzeczkę.
- Frank był jednym z najlepszych agentów Biura.

284

— Mam krótką pamięć do dobrej roboty. Trzeba mnie nią bez przerwy epatować. — Gamble uśmiechnął się szeroko. — Za to wpadek nigdy nie zapominam.

Znowu przez chwilę patrzyli na mecz. Pierwszy przerwał milczenie Sawyer.

- Czy Quentin Rowe podpadł panu kiedyś? — zapytał.

Gamble spojrzął na niego zdumiony.

- Czemu pan pyta?

• Bo ten facet to kura znosząca panu złote jaja, a pan traktuje go jak śmiecia.

- Kto powiedział, że Rowe to moja kura od złotych jaj?

• A nie? — Sawyer rozparł się w foteliku i założył ręce na piersiach.

Gamble kontemplował przez chwilę pustą szklaneczkę.

• W swojej karierze miałem mnóstwo takich złotych kur. Nie dochodzi się do tego, co osiągnąłem, na grzbiecie jednego konia wyścigowego.

- Ale Rowe jest dla pana cenny.
- Gdyby nie był, nie na wiele by mi się zdała jego firma.
- Więc toleruje go pan?
- Dopóty, dopóki płyną dolary.
- Ma pan szczęście.

Gamble posłał mu rozplamione spojrzenie.

— Wziąłem uczonego mądralę z wieży z kości słoniowej, który sam nie potrafił zarobić dziesięciu centów, i zrobiłem z niego najbogatszego w tym kraju trzydziestoparolątka. I kto tu, według pana ma szczęście?

Sawyer przekrzywił głowę.

• Nie próbuję niczego panu ujmować, Gamble. Urzeczywistnił pan swoje marzenie. A o to chyba chodzi w Ameryce.

• Będę musiał przełknąć ten komplement, zwłaszcza że pochodzi z ust urzędnika federalnego. — Gamble znowu skupił uwagę na grze.

Sawyer wstał i zgniótł pustą puszkę po piwie.

Gamble spojrzął na niego.

- Dokąd to?
- Do domu. To był długi dzień. Dzięki za piwo.
- Każę kierowcy, żeby pana odwiózł. Ja jeszcze tu trochę posiedzę.

Sawyer rozejrzał się po luksusowym sektorze.

• Chyba dosyć high life'u jak na jeden dzień. Pojadę autobusem. Ale dziękuję za propozycję.

• Było mi niezmiernie miło — mruknął Gamble. Jego głos ociekał sarkazmem.

Agent ruszył w stronę schodów, ale zatrzymało go „Hej, Sawyer” Gamble'a.

Odwrócił się. Prezes Tritona patrzył mu przez chwilę w oczy, a potem westchnął głęboko.

- Rozumiem pana, w porządku?

Sawyer przyjrzał mu się uważnie.

- W porządku — odparł.

— Nie zawsze byłem bogaty. Dobrze pamiętam, co to znaczy nie mieć centa przy duszy i widoków na przyszłość. Może właśnie dlatego jestem takim skuiwielem, kiedy idzie o interesy: panicznie boję się tam wrócić.

285

Sawyer rozważał to przez chwilę.

— Przyjemnego kibicowania — powiedział w końcu i zostawił Gamble'a głęboko zamyślonego, wpatzonego w pustą szklaneczkę.

Schodząc na dół omal nie wpadł na Richarda Lucasa, który zajął stanowisko u stóp schodów. Czyżby podsłuchiwał jego rozmowę z Gamble'em? Skinął mu głową, wszedł do baru i celnym hakiem umieścił zgniecioną puszkę po piwie w koszu.

Barmanka popatrzyła na niego z podziwem.

• Hej, może Bullets powinni podpisać z panem kontrakt? — powiedziała z zalotnym uśmiechem.

• Pewnie, byłbym żywym dowodem wyższości białej rasy. — W progu odwrócił się jeszcze. — Rozchmurz się, Rich — rzucił do Lucasa.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Jeff Fisher wpatrywał się tępo w ekran. Obok niego siedziała zrezygnowana Sidney Archer. Udzieliła mu już wszelkich informacji o Jasonie, które mogłyby pomóc w odgadnięciu hasła. Na próżno.

Fisher pokręcił głową.

— Wypróbowaliśmy wszystkie możliwości i wszystkie ich wariacje. Przypuściłem brutalny szturm i nic. Zastosowałem częściowo losowy dobór liter i cyfr, ale kombinacji jest tyle, że na

286

przetestowanie wszystkich życia by nam nie starczyło. — Odwrócił się do Sidney. — Obawiam się, że twój mąż naprawdę się na tym znał. Podejrzewam, że użył częściowo losowej kombinacji liter i cyfr składającej się z dwudziestu do trzydziestu znaków. Nie złamiemy tego szyfru.

Sidney straciła nadzieję. Do szału doprowadzała ją świadomość, że ma w rękę dyskietskę pełną informacji — przypuszczalnie informacji, które rzuciłyby jakieś światło na los Jasona — i nie była w stanie do nich się dostać.

Fisher podjął mozolne stukanie w klawisze, a ona wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Zatrzymała się przy oknie. Na stoliku obok piętrzył się stos poczty. Na wierzchu leżało czasopismo turystyczne *Field & Stream*. Rzuciła na nie okiem i obejrzała się na Fishera. Nie wyglądał na człowieka lubującego się w spędzaniu wolnego czasu na świeżym powietrzu. Na etykietce adresowej przyklejonej na okładce widniało nazwisko Fred Smithers, ale sam adres należał do Jeffa Fishera. Zaintrygowana sięgnęła po czasopismo.

Fisher, dopijając colę, zerknął na nią. Na widok magazynu w jej rękach skrzywił się.

— Wciąż przychodzi do mnie poczta tego gościa. Nie wiem, jak to się stało, ale kupa instytucji, z którymi ten facet koresponduje, zamiast jego adresu ma w swoich bazach danych mój. Ja mieszkam przy 6215 Thorndike, a on przy 6251 Thorndrive, czyli w drugim końcu okręgu Fairfax. Cały ten stos to do niego. A to tylko korespondencja z tego tygodnia. Mówiłem już listonoszowi, który obsługuje mój rejon, dzwoniłem milipny razy na pocztę i do wszystkich instytucji, które omyłkowo przysyłają mi jego pocztę. Nic nie pomaga.

Sidney odwróciła się powoli do Fishera. W jej głowie dojrzała nieprawdopodobna myśl.

• Jeff, e-mailowy adres poczty elektronicznej jest jak każdy inny adres albo numer telefonu, prawda? Jeśli pomylisz się wprowadzając go z klawiatury, przesyłka może trafić do kogoś, do kogo wcale nie zamierzałeś jej kierować. Jak ten magazyn. —

Pomachała czasopismem. — Mam rację?

- Jasne — mruknął Fisher. — To się często zdarza. Dlatego właśnie zaprogramowałem sobie większość adresów e-mailowych, których najczęściej używam. Teraz wystarczy tylko, że wskażę kursorem właściwy i kliknę myszą. Minimalizuje to możliwość popełnienia błędu.

287

- A gdybyś musiał wprowadzać pełny adres e-mailowy z klawiatury?

- Wtedy prawdopodobieństwo pomyłki wzrasta. Czasem adresy bywają długie.

- Czyli gdybyś wprowadzając go wcisnął przez nieuwagę nie ten klawisz co trzeba, przesyłka, którą chciałeś skierować do określonej osoby, mogłaby trafić do Bóg wie kogo?

Fisher, przeżuując frytkę, kiwnął głową.

— Bez przerwy przychodzi do mnie błędnie zaadresowana poczta elektroniczna.

W oczach Sidney pojawiło się ożywienie.

- I co wtedy robisz?

- Najczęściej sprawa jest bardzo prosta. Wybieram myszą polecenie „odpowiedź dla nadawcy”, wysyłam standardowy komunikat o błędzie w adresie i odsyłam to, co przyszło, żeby nadawca wiedział, o którą korespondencję chodzi. Nie muszę nawet znać adresu. Przesyłka jest zwracana automatycznie do tego, kto ją nadał.

- Jeff, czy to znaczy, że gdyby mój mąż wysłał pocztą elektroniczną wiadomość pod niewłaściwy adres, to przypadkowy odbiorca mógłby ją po prostu odesłać na adres e-mailowy Jasona z adnotacją, że się pomylił?

- Właśnie. To dosyć prosty zabieg, jeśli ten przypadkowy odbiorca korzysta z usług tej samej sieci, na przykład America Online.

Sidney przestąpiła z nogi na nogę.

— A gdyby ta osoba tak właśnie postąpiła, to zwrócona korespondencja znajdowałaby się teraz w e-mailowej skrzynce pocztowej Jasona, tak?

Fisher przyjrzał jej się uważnie, zaniepokojony nieco tonem jej głosu.

— No tak.

Sidney chwyciła torebkę.

- Dokąd idziesz? — spytał zdziwiony Fisher.

- Sprawdzić zawartość skrzynki pocztowej w naszym domowym komputerze. Jeśli jest tam hasło, nie będzie problemu z odczytaniem dyskietki. — Wyjęła dyskietkę z napędu i włożyła ją do torebki.

- Sidney, jeśli podasz mi nazwę użytkownika i hasło twojego męża, to mogę stąd sprawdzić, co jest w waszej skrzynce e-mailowej. Mam dostęp do America Online. Taką operację można

288

przeprowadzić z dowolnego komputera. Zarejestruję cię tylko jako gościa. Jeśli w waszej skrzynce pocztowej jest klucz do tego szyfru, możemy odczytać tę dyskietkę tutaj.

— Wiem, Jeff. Ale czy dałoby się potem ustalić, że zaglądałeś od siebie do skrzynki e-mailowej Jasona?

Fisher przymrużył oczy.

- To możliwe. Jeśli zainteresowany znałby się na rzeczy.

- Moim zdaniem trzeba założyć, że ci ludzie znają się na rzeczy, Jeff. Będzie o wiele bezpieczniej dla ciebie, jeśli nie pozostawisz po sobie takiego śladu.

Fisher pobrał trochę.

— W co ty się wplątałaś, Sidney? — spytał z wyraźnym zaniepokojeniem.

— Będziemy w kontakcie — powiedziała odwracając się.

Kiedy wyszła, Fisher siedział przez kilka minut nieruchomo, wpatrzony w ekran monitora, a potem z powrotem podłączył do komputera linię telefoniczną.

Sawyer usiadł w bujanym fotelu, rzucił jeszcze raz okiem na *Posta* z artykułem o Jasonie Archerze i pokręcił głową. Odwrócił gazetę i omal się nie zakrztusił, kiedy jego wzrok padł na inny nagłówek. Przebiegł błyskawicznie wzrokiem treść notatki, a potem doskoczył do telefonu i zadzwonił w kilka miejsc. Uporawszy się z tym, wypadł z mieszkania i zbiegł na łeb, na szyję po schodach. W chwilę później pędził już swoim sedanem ulicą.

Sidney zostawiła forda na podjeździe, wbiegła do domu i zrzucając po drodze płaszcz skierowała się od razu do gabinetu Jasona. Już miała otworzyć skrzynkę e-mailową sieci America Online, ale w ostatniej chwili zmartwiła. Boże! Nie może tego zrobić stąd. Nie wiadomo przecież, co siedzi w tym komputerze. Myślała gorączkowo. Oprogramowanie America Online miały również komputery w kancelarii Tylera & Stone'a; stamtąd może zajrzeć do swojej skrzynki pocztowej. Chwyciła płaszcz, podbiegła do drzwi frontowych, otworzyła je z rozmachem i krzyknęła zaskoczona.

W progu stał zasepiony Lee Sawyer.

Wstrzymała oddech i chwyciła się za serce.

289

- Co pan tu robi?

Sawyer pokazał jej gazetę.

- Czytała to pani może?

Sidney gapiała się na fotografię Eda Page'a. Jej mina zdradzała, że go rozpoznaje.

— Ja... nie, nie, tylko... — wyjąkała.

Sawyer wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Sidney wycofała się do living roomu.

— Myślałem, że zawarliśmy układ! — ryknął agent. — Pamięta pani? Wymiana informacji? Porozmawiamy sobie. I to teraz!

Chciała go ominąć i dopaść drzwi, ale złapał ją za ramię i pchnął na kanapę. Zerwała się natychmiast na równe nogi.

— Proszę wyjść! — krzyknęła.

Pokręcił głową i pokazał jej gazetę.

— Chce pani sama prowadzić dalej dochodzenie? W takim razie niech pani córeczka zacznie się lepiej rozglądać za nową mamusią.

Doskoczyła do niego, wymierzyła mu siarczysty policzek i zamachnęła się do drugiego uderzenia. Chwycił ją za obie ręce i unieruchomił w niedźwiedzim uścisku. Wyrywała się zawzięcie, ale bez skutku.

— Sidney, nie przyszedłem się z panią szamotać. Bez względu na to, czy pani mąż ma coś na sumieniu czy nie, nadal będę pani pomagał. Ale, do cholery, musi być pani ze mną szczerą.

Walcząc zaciekle zatoczyli się na kanapę i upadli. Sidney wylądowała Sawyerowi na kolanach. Wciąż usiłowała go uderzyć. Trzymał ją mocno, dopóki nie przestała się wyrywać. Kiedy ją puścił, odsunęła się natychmiast w drugi koniec kanapy i zgięła w pół, dotykając czołem kolan. Sawyer rozluźnił się i czekał. Po chwili usiadła prosto i otarła rękawem mokrą od łez twarz. Ob-

lizując wargi, spojrziała na leżącą na podłodze gazetę. Ze zdjęcia patrzył na nią Ed Page.

— Rozmawiała pani z nim w samolocie w drodze powrotnej z Nowego Orleanu, prawda? — zapytał cicho Sawyer. Widział Page'a wsiadającego do samolotu na nowoorleańskim lotnisku. Z listy pasażerów wynikało, że siedział obok Sidney. Dopiero teraz docierała do niego waga tego faktu. — Prawda, Sidney? — Kiwnęła powoli głową. — Proszę mi powtórzyć tę rozmowę. I tym razem niczego nie pomijać.

I powtórzyła, włącznie z opowieścią Page'a, jak to Jason za-

290

mienił się na lotnisku miejscem z jakimś innym mężczyzną oraz wyznaniem Page'a, że ją śledził i założył jej podsłuch w telefonie.

— Rozmawiałem z zakładem medycyny sądowej — powiedział Sawyer, kiedy skończyła. — Page został zamordowany przez eksperta. Po jednej ranie klutej każdego płuca. Precyzyjne przecięcie tętnicy szyjnej i żyły szyjnej. Umarł w ciągu niecałej minuty. Nie zrobił tego pospolity uliczny opryszek szukający ze szczyrym forsą na ćpanie.

Sidney wzięła głęboki oddech.

• To dlatego o mało nie zastrzeliłam pana w garażu. Myślałam, że to oni po mnie idą.

• Nie wie pani, kim są ci „oni”?

Sidney pokręciła głową i znowu przetarła twarz rękawem. Odchyliła się na oparcie kanapy i spojrziała na agenta.

— Naprawdę nie wiem nic ponad to, że moje życie stało się prawdziwym piekłem.

Sawyer wziął ją za rękę.

— Spróbujmy temu zaradzić. — Wstał i podniósł z podłogi jej płaszcz. — Firma detektywistyczna Prywatne Rozwiązania ma swoją siedzibę w Arlington, naprzeciwko gmachu sądu. Zamierzam złożyć tam wizytę. I w zaistniałych okolicznościach wolalbym mieć panią na oku. Wchodzi w to pani?

Sidney Archer z trudem przełknęła ślinę, dręczona wyrzutami sumienia, że nie powiedziała nic o dyskietce, którą miała w kieszeni. Tej tajemnicy nie zdecydowała się jeszcze wyjawiać.

— Wchodzę.

Biuro Edwarda Page'a mieściło się w niepozornym, niskim budynku biurowym naprzeciwko gmachu Sądu Okręgu Arlington. Legitymacja Sawyera obudziła w strażniku natychmiastową chęć współpracy. Zaprowadził ich usłużnie do windy i w chwilę potem wysiadali już na drugim piętrze. Skąpo oświetlonym korytarzem doszli do masywnych dębowych drzwi, obok których wisiała na ścianie metalowa tabliczka z wygrawerowanym napisem PRYWATNE ROZWIĄZANIA. Strażnik wyciągnął klucz i zabrał się do otwierania drzwi.

- Cholera! — zaklął.
- Co jest? — spytał Sawyer.
- Nie chce się przekręcić.

• To chyba klucz uniwersalny? — wtrąciła Sidney. — Powinien pasować do -wszystkich drzwi w tym budynku.

• Właśnie, powinien. Mieliśmy już z tym facetem kłopoty.

— Jakie? — zainteresował się Sawyer.

Strażnik spojrzął na niego.

— Zmienił zamek. Administracja go za to objechała, dał im więc inny klucz mówiąc, że to od nowego zamka. Teraz mogę

291

państwu powiedzieć, że kłamał.

Sawyer rozejrzał się po korytarzu.

— Jest tam jakieś inne wejście?

Strażnik pokręcił głową.

- Nie ma. Mogę zadzwonić do pana Page'a do domu. Każę mu przyjechać i otworzyć. A przy okazji opieprzę go. Bo co by było, gdyby coś się stało i musiałbym wejść do środka? — Poklepał się z ważną miną po kaburze. — Wiecie państwo, co mam na myśli?

- Nie wydaje mi się, żeby dzwonienie do Page'a coś dało — powiedział Sawyer. — On nie żyje. Został zamordowany.

Krew odpłynęła z twarzy mężczyzny.

- Jezus Maria! O Boże!

- Jak rozumiem, policja jeszcze tu nie zaglądała? — spytał Sawyer.

Strażnik pokręcił głową.

— No to jak tam wejdziemy? — wyszeptał ledwie dosłyszalnie i z obawą rozejrzał się po pustym korytarzu, jakby spodziewał się tam ujrzeć zaczajonych złoczyńców.

W odpowiedzi Sawyer natarł całym ciężarem swojego masywnego ciała na drzwi. Zatrzeszczały. Za drugim podejściem zamek puścił i drzwi otworzyły się z impetem do środka, waląc o wewnętrzną ścianę pomieszczenia. Sawyer, otrzepując płaszcz, obejrzał się na zbaraniałego strażnika.

— Damy ci znać, jak będziemy wychodzili. Wielkie dzięki za pomoc.

Strażnik stał jeszcze przez parę sekund i patrzył z rozdziawioną gębą, jak Sawyer z Sidney wchodzi do biura. Potem, kręcąc głową, oddalił się powolnym krokiem w stronę windy.

Sidney spojrzała na wyważone drzwi, a potem na Sawyera.

— Nie do wiary! Nawet nie spytał, czy ma pan nakaz. A swoją drogą, ma go pan?

Sawyer popatrzył na nią ze zdziwieniem.

292

- Po co?

- Jako prawnik jestem wyczulona na tym punkcie. Pomyślałam sobie, że nie zaszkodzi zapytać.

Wzruszył potężnymi barami.

— Zawrzyjmy układ, pani prawnik: Jeśli coś znajdziemy, to pani tego popilnuje, a ja skoczę po nakaz rewizji.

W innych okolicznościach Sidney parsknęłaby śmiechem, jednak teraz tylko się uśmiechnęła.

Biuro było skromne, ale schludne i funkcjonalnie urządzone. Przeszukiwali je przez pół godziny i nie natrafili na nic nadzwyczajnego ani podejrzanego. Znaleźli trochę papieru listowego z adresem domowym Eda Page'a. Mieszkał w Georgetown. Sawyer przysiadł na krawędzi biurka i rozejrzał się ponuro po małym pomieszczeniu.

— Chciałbym mieć taki porządek w swoim pokoju. Ale nie widzę tutaj nic, co by nam pomogło. Lepiej bym się czuł, gdybyśmy zastali wszystko przewrócone do góry nogami. Wiedzielibyśmy przynajmniej, że kogoś coś tu interesowało.

Sidney, słuchając tego monologu, obchodziła jeszcze raz pokój. Zatrzymała się nagle w rogu, przed rzędem metalowych szafek na akta. Spojrzała na zdecydowanie nieciekawą beżową wykładzinę, którą pokryta była podłoga.

— Dziwne — mruknęła. Ukłękła i pochyliła się, dotykając niemal nosem wykładziny. Zajrzała w wąską szparę między dwoma ostatnimi w rzędzie szafkami. Pozostałe przylegały szczelnie do siebie. Naparła ramieniem na skrajną szafkę. Ta ani drgnę-

ła. — Mógłby mi pan pomóc? — Obejrzała się na Sawyera. Podszedł, machnął ręką na znak, że ma mu zrobić miejsce, i bez wysiłku przesunął szafkę. — Niech pan zapali światło — rzuciła z podnieceniem Sidney.

Sawyer zrobił to i wrócił.

— No i co?

Sidney odstąpiła w bok, żeby odsłonić mu widok. Na podłodze, w miejscu, gdzie przed chwilą stała szafka, widniała plama rdzy. Nie była duża, ale wyraźna. Sawyer spojrzał na Sidney z kłopotaniem.

— 1 co z tego? Mogę pani pokazać z tuzin takich w moim biurze. Metal rdzewieje, rdza osypuje się na dywan i powstają plamy.

— Czyżby? — Oczy Sidney błyszczały. Pokazała tryumfalnie palcem. W wykładzinie widniały płytkie, ale wyraźne wgłębienia

po nóżkach świadczące, że szafka przylegała kiedyś szczelnie do sąsiedniej. Nie powinno być między nimi szpary.

Sidney pokazała na szafkę, którą Sawyer przed chwilą odsunął.

— Niech pan ją przechyli i zajrzy pod spód.

Sawyer posłuchał.

- Ani śladu rdzy — stwierdził. — Czyli ktoś przesunął tę szafkę, żeby zakryć rdzawą plamę. Dlaczego?

- Bo tę rdzawą plamę zostawiła inna szafka na akta. Szafka, której już tu nie ma. Ten, kto ją zabrał, odkurzył starannie wykładzinę, żeby zatrzeć wgłębienia po nóżkach, ale nie udało mu się usunąć plamy rdzy. Zdecydował się więc na rozwiązanie zastępcze. Wsunął w to miejsce inną szafkę mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na szparę.

- Ale pani zwróciła — podchwycił Sawyer z podziwem.

- Zastanowiło mnie, dlaczego tak pedantycznemu człowiekowi, jakim najwyraźniej był nasz pan Page, nie przeszkadzała ta szpara w równiutkim rzędzie szafek. Odpowiedź brzmi: to nie on tak ustawił tę szafkę.

- A to znaczy, że ktoś interesuje się Edwardem Page'em i zawartością jego szafek na akta. Stąd zaś wniosek, że idziemy we właściwym kierunku. — Sawyer podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku Page'a i polecił Rayowi Jacksonowi dowiedzieć się wszystkiego co się da o Edwardzie Page'u. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Sidney. — Ponieważ przeszukanie tego gabinetu niewiele wniosło, proponuję złożyć wizytę w skromnych progach nieboszczyka Edwarda Page'a.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Page mieszkał w Georgetown, na parterze wielkiego domu z przełomu stuleci, który podzielono na kilka apartamentów. Zaspany właściciel posesji, obejrzawszy legitymację i odznakę Sawyera, nie robił żadnych przeszkód. Czytał o śmierci Page'a i bardzo nad nią bolał. Dwaj detektywi z policji oglądali już apartament i przesłuchali administratora posesji oraz kilkoro lokatorów. Do administratora telefonowała też z Nowego Jorku córka Page'a. Prywatny detektyw cieszył się opinią wzorowego lokatora. Miał co prawda trochę nieuregulowane godziny pracy i czasami zniknął na kilka dni z rzędu, ale czynsz opłacał zawsze

294

pierwszego dnia miesiąca, był schludny i spokojny. Nie miał żadnych bliższych znajomych, o których właściciel by wiedział.

Sawyer przekręcił w zamku klucz dostarczony przez właściciela,

który również tu mieszkał, i przepuściwszy przodem Sidney wszedł do środka. Zapalił światło i zamknął za sobą drzwi. Miał nadzieję, że znajdzie tu przynajmniej jakiś punkt zaczepienia, chociaż nie miałby nic przeciwko wyraźnemu śladowi.

Przed opuszczeniem budynku, w którym mieściło się biuro Page'a, przejrzeni książkę dyżurów prowadzoną przez ochronę. Szafkę na akta wynieśli poprzedniego dnia dwaj ludzie w kombinazonach pracowników firmy przewozowej. Okazali strażnikowi nie wzbudzające żadnych podejrzeń zlecenie, mieli poza tym klucze do drzwi biura. Sawyer nie miał wątpliwości, że firma była fałszywa, a z zawartości szafki Page'a, stanowiącej prawdopodobnie kopalnię interesujących informacji, pozostała teraz pewnie kupka popiołu na dnie pieca w jakiejś spalarni śmieci.

Mieszkanie Page'a przypominało jego biuro. Sawyer i Sidney przeszli się po pokojach, żeby zapoznać się z ich rozkładem. W living roomie dominował wielki kominek z wiktoriańskim obramowaniem. Całą jedną ścianę zajmowała półka na książki. Sądząc z tego, co na niej stało, Edward Page był zachłannym i wybrednym czytelnikiem. Nie znaleźli jednak żadnych dzienników, notatek ani rachunków, z których można by wnioskować, gdzie Page ostatnio był i kogo, poza Sidney i Jasonem Archerami, mógł jeszcze śledzić. Przeszukali metodycznie living room, jadalnię i przeszli dalej.

W kuchni i w toalecie nie było nic wartego uwagi. Sawyer zajrzał do wszystkich popularnych kryjówek, takich jak spluczka za sedesem i lodówka, upewnił się, czy puszki coli i główki sałaty znajdujące się w tej ostatniej nie są aby atrapami służącymi za schowki na coś, co mogłoby rzucić światło na tragiczną śmierć Eda Page'a. Sidney weszła do sypialni i przetrząsnęła ją całą, poczynając od łóżka, poprzez materac, i na ściennej szafie kończąc. U rączek kilku toreb podróżnych nie wisiała ani jedna stara etykieta linii lotniczych. Kosze na śmieci świeciły pustkami. Usiedli z Sawyerem na łóżku i rozglądali się po pokoju. Na stoliczku pod ścianą urządzono małą wystawę fotografii. Edward Page z rodziną w zdecydowanie szczęśliwszych czasach.

Sidney wzięła do ręki jedno ze zdjęć.

— Sympatyczna rodzinna. — Przed oczyma stanęły jej rodzinne

295

fotografie z własnego domu. Wydawało jej się, że upłynęły już całe lata od czasu, kiedy ona z Jasonem i Amy stanowili rodzinę. Przekazała fotografię Sawyera wi.

Żona Page'a była bardzo piękna, a syn stanowił miniaturkę ojca. Córka była ładna. Miała rude włosy, długie, chude jak u żrebaka nogi i wyglądała na zdjęciu na jakieś czternaście lat. Z widniejącej w rogu daty wynikało, że fotografię zrobiono przed pięcioma laty. Musiała z niej wyrosnąć urodziwa pannica, przemknęło Sawyerowi przez myśl. Z tego, co mówił administrator, cała trójka mieszkała teraz w Nowym Jorku, a Page sam tutaj. Dlaczego?

Chciał już odstawić zdjęcie rodziny Page'a na stół, kiedy nagle wyczuł pod palcami nieznaczne wybrzuszenie tylnej ścianki. Odgiął ją. Spod ścianki wysypało się kilka zdjęć formatu o połowę mniejszego niż to w ramce. Pozbierał je z podłogi i zaczął oglądać. Przedstawiały tę samą osobę: młodego, dwudziestoparoletniego mężczyznę. Był bardzo przystojny, aż za przystojny jak na gust Sawyera — ładny chłoptaş, skojarzyło się w pierwszej chwili agentowi. Przesadnie modne ubranie, przesadnie wypieszczona fryzura. W zarysie szczęki i oprawie ciemnobrązowych oczu dawało się zauważyć pewne podobieństwo do Eda Page'a. Sawyer zaczął po kolei odwracać zdjęcia. Jedno z nich podpisane było na



odwrocie imieniem „Stevie”. Przypuszczalnie brat Page'a. Ale jeśli tak, to czemu trzymano te zdjęcia w ukryciu?

— O czym pan tak myśli? — spytała Sidney, spoglądając na Sawyera.

Agent wzruszył ramionami.

— Czasami odnoszę wrażenie, że cała ta sprawa wymaga większego wysiłku umysłowego, niż mogę jej poświęcić. — Wsunął zdjęcia z powrotem za tylną ściankę oprawki, zatrzymując tylko to podpisane. Schował je do kieszeni płaszcza. Rozejrzeli się jeszcze raz po sypialni, a potem wstali z łóżka i wyszli na korytarz zamykając za sobą drzwi na klucz.

Sawyer odwiózł Sidney do domu i wierny zasadzie, że ostrożności nigdy za wiele, obszedł wszystkie pomieszczenia, upewniając się, czy w domu nikogo nie ma oraz czy okna i drzwi są odpowiednio zabezpieczone.

— Jeśli tylko coś pani usłyszy, jeśli coś panią zaniepokoi albo

296

po prostu będzie pani chciała z kimś porozmawiać, proszę do mnie dzwonić bez względu na porę. Rozumiemy się? — Sidney kiwnęła głową. — Zostawię pod domem dwóch ludzi. Lada chwila tu będą. — Podeszedł do drzwi frontowych. — Mam teraz parę spraw do załatwienia. Zobaczymy się jutro rano. — Odwrócił się i spojrzał na nią. — Da sobie pani radę?

— Tak — odparła Sidney.

Sawyer oparł się z westchnieniem o framugę.

• Mam nadzieję, Sidney, że wkrótce podam pani na tacy rozwiązanie tej sprawy. Naprawdę w to wierzę.

• Pan... pan nadal uważa Jasona za winnego, prawda? Chyba nie mogę mieć o to do pana pretensji. Wszystko na to wskazuje, wiem. — Poszukała wzrokiem oczu agenta. Sawyer uciekł spojrzeniem w bok. Kiedy znowu na nią spojrzał, dostrzegła w jego oczach dziwny błysk.

• Cóż... zacznam mieć pewne wątpliwości — powiedział.

• Co do winy Jasona? — spytała z zaskoczeniem.

• Między innymi. Jedno mogę pani powiedzieć: najważniejsze dla mnie to znaleźć pani męża całego i zdrowego. Wtedy przyjdzie czas na wyjaśnianie całej reszty. Rozumie pani?

Sidney opanowała lekki dreszcz i skinęła głową.

— Rozumiem. — Kiedy Sawyer odwrócił się, żeby wyjść, dotknęła jego ramienia. — Dziękuję, Lee.

Patrzyła za nim przez okno. Sawyer podeszedł do czarnego sedana, w którym siedzieli dwaj agenci FBI, obejrzał się na dom i dostrzegłszy ją, pomachał ręką. Pomachała mu w odpowiedzi, ale wypadło to jakoś sztucznie. Miała wyrzuty sumienia w związku z planem, który zamierzała wprowadzić za chwilę w życie. Odsunęła się od okna, pozapalała wszystkie światła w pokoju, chwyciła swój blezer i torebkę i wypadła z domu tylnymi drzwiami na parę sekund przed zajęciem tam stanowiska przez jednego z ludzi Sawyera. Wbiegła między drzewa rosnące na skraju podwórka, przemknęła pod ich osłoną do następnej przecznicy i tam wróciła na ulicę. Po pięciu minutach szybkiego marszu dotarła do automatu telefonicznego. Taksówka podjechała po niespełna dziesięciu minutach.

Po półgodzinie Sidney wysiadła już przed biurowcem, w którym mieściła się jej kancelaria. Przesunęła kartę magnetyczną przez szczelinę czytnika i ciężkie szklane drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Podbiegła do windy i wjechała nią na górę. Starając

się jak najciszej stawiać kroki ruszyła pogrążonym w półmroku korytarzem. Za otwartymi drzwiami z matowego szkła na jego końcu widać było rzędy półek wypełnionych szczelnie tomami składającymi się na imponującą bibliotekę prawniczą kancelarii Tylera & Stone'a. Wielka sala podzielona była na małe boksy. Za jednym z przepierzeń stał rząd terminali komputerowych ułatwiających prawnikom i aplikantom prowadzenie analiz prawnych.

Sidney rozejrzała się czujnie po ciemnej bibliotece. Nic nie słyszała, nie dostrzegła też żadnego ruchu. Dzięki Bogu żaden z pracowników kancelarii nie ślęczał dzisiaj po godzinach. Żaluzje w dwóch sąsiadujących ze sobą przeszklonych ścianach biblioteki były szczelnie zaciągnięte. Nikt z zewnątrz nie mógł tu zajrzeć.

Usiadła przed jednym z wyłączonych terminali i zdając sobie w pełni sprawę, jak bardzo ryzykuje, zapaliła małą lampkę na stojącym obok stoliku komputerowym. Wyjęła z torebki dyskietkę i położyła ją przed sobą. Oczekała chwilę, dając komputerowi czas na nagrzanie, po czym wybrała myszą polecenia otwierające dostęp do America Online. Drgnęła lekko, kiedy z cichym trzaskiem zastartował modem. Mogła już wprowadzić z klawiatury nazwę użytkownika i hasło Jasona. Dziękowała mu w duchu za to, że kazał jej nauczyć się ich na pamięć, kiedy przed dwoma laty podłączali się do sieci. Wlepiała oczy w ekran. Oddech jej przyśpieszył, twarz się ściągnęła.

— „Przyszła do Ciebie korespondencja”. — Wzdrygnęła się lekko na dźwięk zsyntetyzowanego głosu, ale to właśnie miała nadzieję usłyszeć.

Korytarzem prowadzącym do biblioteki zbliżały się ciche kroki dwóch osób.

Sawyer spojrzał na Jacksona. Stali obaj w sali konferencyjnej FBI.

— No i czego się dowiedziałeś o panu Page'u, Ray?

Jackson usiadł i otworzył notes.

— Odbyłem miłą pogawędkę z departamentem policji miasta Nowy Jork. Page był tam kiedyś gliniarzem. Rozmawiałem również z jego byłą żoną. Wyciągnąłem ją z łóżka, bo powiedziała, że to ważne. Nadal mieszka w Nowym Jorku. Od rozwodu rzadko go widywała. Ale Page utrzymywał bliskie kontakty z dziećmi.

298

Rozmawiałem z jego córką. Ma osiemnaście lat i jest w college'u, a teraz musi pochować ojca.

- Co ci miała do powiedzenia? — spytał Sawyer.

- Mnóstwo. Na przykład, że ojciec był od kilku tygodni jakiś niespokojny. Nie chciał, żeby go odwiedzali. Zaczął nosić przy sobie broń. Od lat tego nie robił. W Nowym Orleanie też ją ze sobą miał, Lee. Była w torbie, którą znaleziono przy zwłokach. Biedaczysko nawet nie zdążył jej wyciągnąć.

- Dlaczego przeniósł się tu z Nowego Jorku, skoro jego rodzina tam została?

Jackson pokiwał głową.

- To zastanawiające. Żona nie potrafiła mi tego wyjaśnić. Powiedziała tylko, że ich małżeństwo się rozpadło, i kropka. Ale córka Page'a miała na ten temat swoje zdanie.

- Co powiedziała?

- Powiedziała, że w Nowym Jorku mieszkał też młodszy brat Eda Page'a, Steven. Jakies pięć lat temu popełnił samobójstwo.

Był diabetykiem. Strzelił sobie potężną dawkę insuliny po jakiejś ostrej popijawie. Page był z nim bardzo blisko. Córka twierdzi, że po tej tragedii już się nie pozbierał.

— I chciał po prostu zmienić klimat?

Jackson pokręcił głową.

— Z tego, co mówi jego córka, wynika, że Ed Page był przekonany, że brat ani nie popełnił samobójstwa, ani nie zginął przez wypadek — powiedział.

- Podejrzewał morderstwo?

Jackson kiwnął głową.

- Na jakiej podstawie?

• Zwróciłem się do nowojorskiej policji o udostępnienie nam kopii akt tej sprawy. Może tam coś znajdziemy, chociaż rozmawiałem z detektywem, który prowadził dochodzenie, i on twierdzi, że wszystkie zgromadzone dowody wskazują albo na samobójstwo, albo na wypadek. Facet był pijany.

- Czy miał jakieś powody, żeby targnąć się na własne życie?

• Jak już mówiłem, Steven Page był diabetykiem, więc jego stan zdrowia pozostawiał wiele do życzenia. Córka Page'a mówi, że wuj nie był w stanie uregulować sobie poziomu insuliny.

Chociaż w chwili śmierci miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, jego narządy wewnętrzne były prawdopodobnie o wiele starsze... — Jackson urwał i zajrzał do swoich notatek. — A do tego

wszystkiego test na obecność wirusa HIV, który Steven Page zrobił sobie tuż przed śmiercią, dał wynik pozytywny.

- Cholera — mruknął Sawyer. — To by wyjaśniało tę popijawę.

- Prawdopodobnie.

- A być może i samobójstwo.

- Tak właśnie uważa nowojorska policja.

— Jak to złapał?

Jackson pokręcił głową.

— Nikt nie wie. Przynajmniej oficjalnie. W raporcie koronera stwierdza się, że nie zdołano określić źródła zakażenia. Jego szwagierka też nie potrafiła mi nic na ten temat powiedzieć. Jednak córka Eda Page'a twierdzi, że wuj był gejem. Nie afiszował się, ale ona jest o tym przekonana i uważa, że właśnie stąd ten HIV.

Sawyer podrapał się po głowie i sapnął.

— Czy istnieje jakiś związek między domniemanym zamordowaniem przed pięcioma laty nowojorskiego geja, okradzeniem przez Jasona Archera pracodawcy i katastrofą samolotu w Wirginii?

Jackson skubnął wargę.

— Może Page wiedział, że Archer nie wsiadł do tego samolotu?

Sawyer zmagął się przez chwilę z poczuciem winy. Po rozmowie, jaką odbył z Sidney — rozmowie, o której nawet nie wspominał swojemu partnerowi — wiedział już, że dla Page'a nie było żadną tajemnicą, iż Jasona nie ma na pokładzie tego samolotu.

- Czyli Jason Archer znika — powiedział — a Page stara się do niego dotrzeć poprzez jego żonę.

- To by nawet pasowało. Zaraz, a może to Triton wynajął Page'a, żeby wykrył źródło przecieków, i ten namierzył Archera.

Sawyer pokręcił głową.

— Mają dosyć swoich ludzi z ochrony, nie wspominając już o agencji Franka Hardy'ego, żeby to załatwić we własnym zakresie.

Do sali weszła kobieta z kartonową teczką.

- Ray, nowojorska policja przysłała to przed chwilą faksem.

Jackson wziął od niej teczkę.

- Dzięki, Jennie.

Po jej wyjściu zabrał się do przeglądania zawartości teczki, a Sawyer podszedł do telefonu.

300

— Steven Page? — spytał Sawyer, odkładając słuchawkę i wskazując na teczkę.

— Tak. Interesujący materiał — odparł Jackson.

Sawyer nalał sobie kawy i przysiadł się do partnera.

- Steven Page pracował w Fidelity Mutual na Manhattanie — zaczął Jackson. — To jeden z największych domów inwestycyjnych w kraju. Mieszkał w eleganckiej kamienicy. Miał apartament pełen antyków i obrazów i szafę wypchaną garderobą od Brooks Brothers. W garażu jaguar. Był również właścicielem okazałego portfela papierów wartościowych: akcje, obligacje, fundusze powiernicze, rynki pieniężne. Wszystko to warte grubo ponad milion dolarów.

- Nieźle jak na dwudziestoosmiolatka. Ale wszyscy ci inwestorzy zarabiają krocie. Wciąż się słyszy o gnojkach, którzy zgarniają góry forsy diabli wiedzą za co. Prawdopodobnie kosztem takich frajerów jak ja i ty.

- Tak, ale Steven Page nie był inwestorem. Pracował jako analityk finansowy, obserwator rynku. Dostawał gołą miesięczną pensję i z tego raportu wynika, że niezbyt wygórowaną.

Sawyer ściągnął brwi.

— To skąd ten portfel papierów wartościowych? Podbierał je firmie?

Jackson pokręcił głową.

- Nowojorska policja to zbadła. W Fidelity Mutual nie stwierdzono żadnego sprzeniewierzenia.

- I do jakich doszli wniosków?

- Wątpię, żeby nowojorska policja siliła się na wyciąganie jakichś wniosków. Page'a znaleziono w mieszkaniu samego, drzwi i okna były pozamykane od wewnątrz. A kiedy przyszedł raport z autopsji sugerujący, że przyczyną śmierci było samobójstwo poprzez przedawkowanie insuliny, stracili całe zainteresowanie sprawą. Na wypadek gdybyś nie wiedział, Lee, zabójstw mają tam sporo i nie nadążają z ich wyjaśnianiem na bieżąco.

- Dzięki za informację o problemach nowojorskiej policji.

I kto to wszystko odziedziczył?

Jackson przerzucił kilka stron raportu.

— Steven Page nie zostawił testamentu. Jego rodzice już nie żyli, dzieci nie miał. Wszystko dostał brat, Edward Page, jako jedyny najbliższy krewny.

Sawyer upił łyk kawy.

- Interesujące.

- Ale nie sądzę, żeby Ed Page załatwił brata dla zdobycia środków na posłanie dzieci do college'u. Podobno był tak samo jak inni zaskoczony, kiedy dowiedział się, że miał brata milionera.

— Natrafiłeś na coś ciekawego w raporcie z autopsji?

Jackson wyjął z teczki dwie kartki i podsunął je Sawyerowi.

- Jak powiedziałem, Stevena Page'a zabiła nadmierna dawka insuliny. Wstrzyknął ją sobie w udo. To typowe dla diabetyków miejsce iniekcji. Ślady po nakłuciu w tym rejonie uda świadczyły, że on też tam robił sobie zwykle zastrzyki. Na strzykawce, którą znaleziono obok zwłok, były tylko jego odciski palców. Badania toksykologiczne wykazały, że miał jeden i osiem dzieśniętych promila alkoholu we krwi. To wzmogło jeszcze skutki

301

przedawkowania. Temperatura ciała w chwili znalezienia zwłok wynosiła dwadzieścia sześć stopni Celsjusza, z czego wynikało, że zgon nastąpił jakieś dwanaście godzin wcześniej, czyli między trzecią a czwartą nad ranem. Zesztywnienie pośmiertne było już całkowite, co potwierdzało czas zgonu określony na podstawie temperatury ciała. Wystąpiło też zsinienie pośmiertne. Facet umarł tam, gdzie go znaleźiono.

- Kto go znalazł?
  - Administratorka — odparł Jackson. — Nie był to chyba przyjemny widok.
  - Widok trupa nie należy raczej do przyjemnych. Zostawił jakiś list pożegnalny?
- Jackson pokręcił głową.
- Dzwonił gdzieś, zanim kopnął w kalendarz?
  - Po raz ostatni Steve Page dzwonił ze swojego mieszkania o siódmej trzydzięci wieczorem, czyli jakieś osiem godzin przed śmiercią.
  - Do kogo?
  - Do brata.
  - Czy policja rozmawiała z Edem Page'em?
  - A jakże. Zwłaszcza kiedy wyszło na jaw, że Steven Page spał na forsie.
  - Czy Ed Page ma alibi?
  - I to niepodważalne. Służył wtedy w policji. Kiedy brat umierał, on uczestniczył w obławie na handlarzy narkotyków na Lower East Side.
  - Policja pytała go o tę ostatnią rozmowę telefoniczną?

302

- Zeznał, że brat wydał mu się jakiś rozkojarzony. Powiedział mu, że ma HIV. Sprawiał wrażenie pijanego.
- Nie zaofiarował się, że wpadnie do niego pogadać?
- Powiedział, że to proponował, ale brat nawet nie chciał o tym słyszeć i rzucił słuchawkę. Ed Page próbował się znowu z nim połączyć, ale nikt nie odbierał. O dziewiątej zaczął służbę, zdecydował więc, że na razie da bratu spokój i spróbuje z nim porozmawiać nazajutrz. Zszedł ze służby dopiero o dziesiątej rano następnego dnia. Przespał się parę godzin i około trzeciej po południu wybrał się do śródmieścia z zamiarem odwiedzenia brata w biurze. Tam dowiedział się, że Steven nie pojawił się tego dnia w pracy, pojechał więc prosto do jego mieszkania. Dotarł na miejsce prawie równocześnie z policją.
- Jezu. Wyobrażam sobie, jakie musiał mieć wyrzuty sumienia.
- Gdyby to był mój młodszy brat... — Jackson urwał. — Cholera. Tak czy inaczej, uznali to za samobójstwo. Wszystkie poszlaki na to wskazywały.

Sawyer wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem po sali.

— A jednak Ed Page nie wierzył w wersję samobójstwa.

Ciekawe dlaczego.

Jackson wzruszył ramionami.

— Może naprawdę czuł się winny i wmawiał sobie, że to nie samobójstwo, żeby się jakoś przed samym sobą usprawiedliwić. Kto wie? W każdym razie nowojorska policja nie znalazła żadnych przesłanek na poparcie tezy, że do śmierci Stevena Page'a ktoś się przyczynił, i ja też, mając przed sobą ten raport, ich nie widzę. Sawyer, zatopiony w myślach, nie odpowiedział.

Jackson włożył raport w sprawie śmierci Stevena Page'a z powrotem do teczki i podniósł wzrok na partnera.

— Znalazłeś coś w biurze Page'a?

Sawyer spojrzał na niego nieobecny wzrokiem.

— Nic. Ale znalazłem za to coś interesującego w jego mieszka-

niu. — Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki fotografię podpisaną na odwrocie imieniem „Stevie” i wręczył ją Jacksonowi. — Zainteresowało mnie to zdjęcie, bo było jakby celowo schowane pod innym. Jestem przekonany, że facet na nim to Steven Page.

Jason spojrział na fotografię i szczeka mu opadła.

— O Boże! — Zerwał się z krzesła. — Boże! — powtórzył głośniejszym głosem, ściskając zdjęcie w drżących rękach. — To nie może być... to niemożliwe.

Sawyer chwycił go za ramię.

— Ray, Ray? Co z tobą, u licha?

Jackson podbiegł do drugiego stołu znajdującego się w sali i zaczął gorączkowo przerzucać rozłożone na nim teczki, wertować ich zawartość, odrzucać i sięgać po następne. Ruchy miał coraz bardziej nieskoordynowane. W końcu zamarł z otwartą pękniętą teczką w ręku, wlepiając w coś wzrok.

Sawyer w jednej chwili był już przy nim.

— Ray, do cholery, co jest? — warknął.

Jackson bez słowa wyjął z teczki jakieś zdjęcie i podał mu. Sawyer nie wierzył własnym oczom. Z fotografii patrzyła na niego ujęta pod innym kątem, ale bez wątpliwości aż za przystojna twarz Stevena Page'a.

Złapał leżące na stole zdjęcie, które zabrał z mieszkania Eda Page'a, i przystawił fotografię jedną do drugiej. Nie było najmniejszych wątpliwości — obie przedstawiały tego samego mężczyznę.

Wytrzeszczył oczy na Jacksona.

• Skąd masz to zdjęcie, Ray? — spytał cicho, prawie szeptem. Jackson obliznął nerwowo wargi.

• Wierzyć się nie chce...

• Skąd, Ray, skąd?

• Z mieszkania Arthura Liebermana.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

*Dotyczy: Przekazać: Nie mnie*

*Data: 95-11-26 08:41:52 EST*

*Od: ArchieKW2*

*Do: ArchieJW2*

*Szanowny Drugi Archie: stukaj uważniej w klawisze. A swoją drogą, czy często wysyłasz pocztę do samego siebie? Treść troszkę melodramatyczna, ale niczego sobie hasło. Chętnie podyskutowałbym z tobą o technikach szyfrowania. Słyszałem, że jedna z najlepszych to racal-milgo stosowana przez Secret Service. Do następnego spotkania w Cyberprzestrzeni. Ciao.*

*Przekazana wiadomość:*

*Dotyczy: Nie mnie*

304

*Data: 95-11-19 10:30:06 PST*

*Od: ArchieJW2*

*Do: ArchieKW2*

*sid wszystko źle wszystko wspak/dyskietka pocztą  
099121.19822.29629.295111.39614 magazynwseattlesprowadźpomo-  
cyszbykboja*

Sidney wpatrywała się w ekran monitora; w głowie miała na

przemian to mętlik, to pustkę. A więc było, jak przypuszczała. Jason pomylił się przy wprowadzaniu z klawiatury swojej nazwy użytkownika i nacisnął „k” zamiast „j”. Dzięki, ArchieKW2, kimkolwiek jesteś, pomyślała. Fisher nie mylił się co do hasła: składało się z prawie trzydziestu znaków. Zakładała, że właśnie tym jest ten ciąg cyfr — hasłem.

Euforia opuściła ją, kiedy spojrzała na datę nadania oryginalnej wiadomości. A Jason prosił, żeby się pośpieszyła. Choć nie ona tu zawiniła, mimo wszystko miała poczucie, że go zawiodła. Zrobiła wydruk tej strony i schowała kartkę do kieszeni. Teraz będzie przynajmniej w stanie odczytać zawartość dyskietki. Ta myśl znów dodała jej energii.

Nagle usłyszała, że ktoś wchodzi do biblioteki. Wyszła szybko z programu i wyłączyła komputer. Trzęsącymi się rękoma schowała dyskietkę do torebki, zamknęła dłoń na kolbie pistoletu i nastawiła ucha. Oddech jej przyśpieszył.

Usłyszała szmer z prawej. Zsunęła się z krzesła i nisko pochylona ruszyła na palcach w lewo. Skręciła za róg i zatrzymała się. Miała przed sobą półkę wypełnioną tomami, nad którymi prześlęczała większość studiów prawniczych i pierwsze lata praktyki. Przez szparę między książkami zobaczyła stojącego w cieniu mężczyznę. Nie widziała jego twarzy. Obawa, że idąc dalej narobi hałasu, przykuła ją do miejsca. Mężczyzna ruszył prosto na nią. Zacisnęła dłoń na kolbie smitha & wessona i odbezpieczyła go palcem wskazującym. Zaczęła się cofać, wyciągając jednocześnie pistolet z kabury. W półprzysiadzie, wyteżając słuch i gorączkowo szukając w myślach drogi odwrotu, wycofała się nogą za przepierzenie. Problem polegał na tym, że biblioteka miała tylko jedne drzwi. Nie było innej rady, musiała zatoczyć koło, starając się utrzymywać przez cały czas dystans między sobą a tamtym człowiekiem. Po dotarciu do drzwi puści się biegiem. Windy

305

znajdowały się w drugim końcu korytarza. Byle tylko do nich dobiec.

Zrobiła kilka ostrożnych kroczków, zatrzymała się i ruszyła dalej. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna już ją usłyszał, ale zakładała, że nie przejrzał jeszcze strategii, jaką przyjęła. Widziała już w przytłumionym świetle szklaną tafłę drzwi. Zmobilizowała siły i odwagę, przygotowując się do przebycia tego ostatniego odcinka. Dalej pobiegnie. Jeszcze tylko te dwa metry. Wyjście miała prawie na wyciągnięcie ręki. Przywarła do ściany i postanowiła, że policzy powoli do trzech.

Nie zdążyła policzyć nawet do jednego.

Oślepiło ją jasne światło. Zanim źrenice zdążyły się do niego przystosować, mężczyzna był już obok niej. Mrużąc porażone blaskiem oczy, instynktownie skierowała pistolet w jego stronę.

— Boże, zwariowałaś? — Philip Goldman mrugał szybko powiekami, również oślepiiony gwałtownym zalewem jasności.

Zbaraniała Sidney wytrzeszczyła na niego oczy.

— Co ty u diabła wyprawiasz? Czemu się tak skradasz? I to z pistoletem.

Sidney opanowała dygot kończyn i wyprostowała się.

• Mam wszelkie prawo tu przebywać. Jestem pracownikiem tej kancelarii, Philipie. — Głos jej drżał, ale dzielnie wytrzymała jego wzrok.

• Już niedługo — wycedził z satysfakcją i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę. — Nawet dobrze się składa, firma zaoszczędzi na posłańcu. — Podał kopertę Sidney. — Twoje wypowiedzenie. Gdybyś była tak miła, i podpisała to teraz, zdjęłabyś wszystkim kłopot z głowy, a firmie zaoszczędziła mnóstwa

niezbyt przyjemnych formalności.

Sidney nie wzięła koperty. Trzymała Goldmana na muszce, nie spuszczać z niego wzroku.

Spojrzał na pistolet.

- Zechciałabyś to odłożyć, zanim lista twoich występów powiększy się o jeszcze jeden?
  - Nie zrobiłam nic złego, i ty dobrze o tym wiesz — wyrzuciła z siebie.
- Goldman przewrócił oczami.
- Naturalnie. Jestem przekonany, że zupełnie nic nie wiesz o łajdactwach swojego ukochanego mężulka.
  - Jason też nic złego nie zrobił.

306

— Cóż, trudno mi się z tobą spierać, kiedy mierzysz do mnie z pistoletu. Byłabyś łaskawa go odłożyć?

Sidney zaczęła opuszczać powoli broń. Nagle coś ją tknęło. Kto zapalił światło? Goldman był daleko od kontaktu.

W tej samej chwili ktoś chwycił ją od tyłu za ramię i brutalnie wyrwał pistolet z dłoni. Potężne pchnięcie w plecy rzuciło ją na ścianę. Uderzyła o nią czołem i osunęła się na podłogę. Głowę rozsadał ból. Otworzyła oczy i zobaczyła wymierzoną w siebie lufę własnego pistoletu, który trzymał teraz zwalisty drab w czarnym uniformie szofera. Zza jego pleców wysunął się trzeci mężczyzna.

— Cześć, Sid. Miałas jeszcze jakieś telefony od swojego nieboszczyka męża? — zarechotał Paul Brophy.

Roztrzęsiona Sidney pozbierała się z trudem z podłogi, oparła o ścianę i próbowała opanować oddech.

Goldman spojrzał na draba z pistoletem.

— Dobra robota, Parker. Wracaj do samochodu. Za parę minut zejdziemy do ciebie.

Parker kiwnął głową i schował pistolet Sidney do kieszeni kurtki. Zauważyła, że w kaburze pod pachą ma własną broń. Z rozpaczą patrzyła, jak podnosi z podłogi torebkę, którą upuściła zaskoczona niespodziewaną napaścią, i odchodzi.

- Śledziliście mnie!
- Lubię wiedzieć, kto zagląda do firmy po godzinach pracy: jestem podłączony do automatycznego systemu sterowania drzwiami wejściowymi do budynku. Z zadowoleniem zobaczyłem twoje nazwisko pojawiające się o pierwszej trzydziści nad ranem w rejestrze wchodzących. — Goldman przesunął wzrokiem po półkach uginających się pod prawniczymi tomami. — Rozwiązujesz jakiś problem prawny, czy może idąc za przykładem męża próbujesz podkraść nasze tajemnice? — Sidney rąbnęłaby Goldmana pięścią w twarz, gdyby nie refleks Paula Brophy'ego.

Goldman pozostał niewzruszony.

— Przejdźmy może do rzeczy — zaproponował.

Sidney rzuciła się do drzwi, ale Brophy zastąpił jej drogę i pchnął z powrotem do biblioteki. Posłała mu nienawistne spojrzenie.

— Gratuluję awansu, Paul. Ze współlnika renomowanej kancelarii na włamywacza, który buszuje po pokoju hotelowym w Nowym Orleanie.

Uśmiech spelzł z warg Brophy'ego. Sidney przeniosła wzrok na Goldmana.

- Gdybym teraz zaczęła krzyczeć, ktoś by mnie może usłyszał.
- Może o tym zapomniawsz, Sidney — odparł chłodno Goldman — ale wszyscy prawnicy i aplikanci wyjechali wczoraj na Florydę, na doroczną konferencję naszej firmy. Wrócą dopiero za



kilka dni. Mnie niestety wypadła niespodziewanie pewna sprawa i polecę tam dopiero dzisiaj rano. Paula zatrzymała podobną okoliczność. Poza nami wszyscy są już na miejscu. — Zerknął na zegarek. — Możesz więc krzyknąć, ile dusza zapagnie. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że współpraca z nami leży w twoim interesie.

Sidney, mrużąc oczy, przyglądała się obu mężczyznom.

- O czym ty mówisz?
- Najlepszym miejscem na kontynuowanie tej rozmowy będzie chyba mój gabinet. — Goldman wskazał na drzwi i poparł ten gest małokalibrowym pistoletem, który dopiero teraz wyjął z kieszeni.

Brophy zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Goldman oddał mu swój pistolet, usiadł za biurkiem i zaprosił Sidney gestem do zajęcia miejsca naprzeciwko.

— Nie wątpię, że był to dla ciebie bardzo emocjonujący tydzień, Sidney — oświadczył, wyciągając ponownie kopertę z wypowiedzeniem. — Przykro mi, ale twoje ostatnie wybryki skłoniły nas do ostatecznego rozwiązania z tobą umowy o pracę. Zdziwiłbym się, gdyby kancelaria i Triton Global nie wytoczyły ci sprawy cywilnej. A może nawet karnej.

Sidney przewiercała go wzrokiem.

- Przetrzymujesz mnie wbrew mojej woli grożąc bronią i jeszcze śmiesz straszyć sprawą karną?
- Ja i Paul, pracownicy tej firmy, zaskakujemy w bibliotece zachowującą się podejrzanie osobę. Staramy się ją zatrzymać, a ona co? Wyciąga pistolet i celuje do nas. Na szczęście udaje nam się ją rozbroić i teraz przetrzymujemy ją do przyjazdu policji.
- Policji?
- Ach, prawda, nie zadzwoniłem jeszcze na policję. Jak mogło mi to wylecieć z głowy. — Goldman sięgnął po słuchawkę, podniósł ją, ale numeru nie wybierał. — Aha, właśnie sobie przypomniałem, dlaczego nie zadzwoniłem — podjął prowokują-

308

cym tonem. — Chcesz wiedzieć dlaczego? — Sidney milczała. — Jesteś specjalistką od zawierania umów. Co byś powiedziała, gdybym ci zaproponował pewną umowę? Nie tylko pozostaniesz na wolności, ale zyskasz na tym finansowo, co nie powinno być dla ciebie bez znaczenia, bo tak się składa, że jesteś teraz bezrobotna.

— Oprócz Tylera & Stones są jeszcze w tym mieście inne kancelarie, Phil.

Goldman skrzywił się.

— W twoim przypadku nie jest to do końca prawdą — powiedział. — Bo widzisz, nie ma w tym mieście, w tym kraju, a może i na całym świecie takiej firmy, która by cię zatrudniła.

Na twarzy Sidney odmalowało się zmieszanie.

• Spójrzmy prawdzie w oczy, Sid — ciągnął Goldman. — Twój mąż jest podejrzany o podłożenie bomby w samolocie, w wyniku czego śmierć poniosło blisko dwieście osób. Ponadto nie ulega wątpliwości, że ukraść pieniądze i warte miliony dolarów tajemnice klientowi tej kancelarii. Przepiękne te były z pewnością długo planowane.

• Nie usłyszałam jeszcze w tym bzdurnym scenariuszu swojego nazwiska.

• Miałaś dostęp do najbardziej poufnych akt firmy Triton Global, być może nawet do dokumentów, o których nie wiedział twój mąż.

- Bez tego nie mogłabym wykonywać swoich obowiązków. Gdzie tu przestępstwo?
- W kręgach prawniczych obowiązuje zasada, że należy unikać nawet „pozorów niestosowności”. Zapisano ją również w Kodeksie Etycznym. Uważam, że dawno przekroczyłaś tę granicę.
- W jakim sensie? Bo straciłam męża? Bo wylano mnie z pracy bez przedstawienia choćby cienia dowodu? Może byśmy tak porozmawiali o procesie? Dajmy na to, Sidney Archer przeciwko kancelarii Tylera & Stone'a w sprawie nieuzasadnionego zwolnienia z pracy.

Goldman spojrzął na Brophy'ego i skinął nieznacznie głową. Sidney obejrzała się i zobaczyła, że Brophy wyciąga z kieszeni miniaturowy magnetofon kasetowy.

— Bardzo zmyślne urządzone, Sid — powiedział Brophy. — Nagrania są tak wyraźne, jakbyś była w tym samym pokoju. — Wdusił klawisz odtwarzania.

309

Sidney słuchała a przez minutę zapisu swojej rozmowy z mężem, a potem odwróciła się do Goldmana.

- Czego u diabła chcecie?
- Chwileczkę... Najpierw musimy chyba określić cenę rynkową. Ile jest warta ta taśma? Stanowi dowód, że okłamałaś FBI. To przestępstwo samo w sobie. Do tego dochodzi udzielanie pomocy i współudział. Poplecznictwo po fakcie. Jeszcze jedno poważne wykroczenie. Na tym zresztą nie koniec. Żadne z nas nie jest specjalistą od prawa karnego, ale orientujesz się chyba w sytuacji. Ojciec nie żyje, matka w więzieniu. Ile lat ma twoja córeczka? Tragedia. — Pokręcił głową z udawanym współczuciem.

Sidney zerwała się z fotela.

— Niech cię diabli, Goldman! Niech was obu diabli! — wrzasnęła nie panując nad sobą. Przechyliła się przez biurko i obiema rękami chwyciła Goldmana za gardło. Nie wiadomo, jak by się to dla niego skończyło, gdyby Brophy znowu nie pośpieszył mu z odsieczą.

Goldman, kaszląc i krztusząc się, patrzył z furią na odciąganą przez Paula Sidney. Sidney wyrwała się Brophy'emu, ale znieruchomiała, kiedy wymierzył w nią pistolet. Goldman wygładził sobie krawat i koszulę, po czym podjął:

— Pomimo twojej gwałtownej reakcji nadal zamierzam być wobec ciebie wspaniałomyślny. Jeśli podejdziesz do sprawy racjonalnie, z pocałowaniem ręki przyjmiesz ofertę, którą chcę ci przedstawić. — Przekrzywił głowę i spojrzął znacząco na fotel.

Sidney, dygocząc i chwytając spazmatycznie powietrze, usiadła z powrotem.

- Bardzo dobrze. A oto jak w największym skrócie przedstawia się sytuacja: wiem, że rozmawiałaś z Rogerem Egertem, który prowadzi teraz sprawę CyberComu. Znasz najnowszą wersję oferty, jaką Triton ma przedstawić CyberComowi. To również wiem. Poza tym znasz hasło dostępu do przechowywanych w głównym komputerze plików dotyczących przejęcia CyberComu. — Sidney patrzyła tępo na Goldmana, starając się odgadnąć, do czego zmierza. — Chcę poznać najnowsze warunki oferty i hasło dostępu do stosownych plików na wypadek, gdyby Triton w ostatniej chwili zmienił swoje stanowisko w negocjacjach.

• RTG rzeczywiście musi bardzo zależeć na CyberComie, skoro płacą ci za naruszenie zasady poufności kontaktów ad-

310

wokata z klientem, nie wspominając już o wykradaniu tajemnic

firmowych.

Goldman puścił tę uwagę mimo uszu.

- W zamian proponujemy ci dziesięć milionów dolarów — oświadczył. — Oczywiście wolnych od podatku.
- Zapewniając mi tym samym stabilizację ekonomiczną i kupując moje milczenie?
- Coś w tym rodzaju. Znikasz ze sceny, wyjeżdżając do jakiegoś sympatycznego obcego kraju, i wychowujesz tam w luksusie córeczkę. Transakcja z CyberComem zostaje sfinalizowana. Triton Global od tego nie padnie. Tyler & Stone też utrzyma się na powierzchni. Nikomu nie dzieje się krzywda. Alternatywa? Cóż, jest trochę mniej przyjemna dla ciebie. No, ale czas to pieniądz. Daję ci minutę na zastanowienie. — Spojrzał na zegarek i zaczął odliczać upływające sekundy.

Sidney siedziała skulona w fotelu i analizowała szybko w myślach swoją sytuację. Jeśli się zgodzi, będzie bogata. Jeśli odmówi, powędruje prawdopodobnie do więzienia. A Amy? Pomyślała o Jasonie i koszmarnych wypadkach ostatniego miesiąca. Wystarczyłoby ich na obdzielenie kilku osób. Nagle zeszywniała i spojrzała na Goldmana. Czuła za sobą obecność Paula Brophy'ego.

Wiedziała już, jak to rozegra.

Przyjmie teraz ich warunki, a potem zagra własnymi kartami. Udzieli Goldmanowi interesujących go informacji, po czym pójdzie do Lee Sawyera i opowie mu wszystko. O istnieniu dyskietki też mu powie. Obnaży prawdziwe oblicze Goldmana i jego klienta. Nie będzie bogata i może przyjdzie jej posiedzieć w więzieniu, ale ani myślała wychowywać Amy za pieniądze z przekrętu Goldmana. A co najważniejsze, będzie mogła spojrzeć sobie w oczy.

— Czas minął — oznajmił Goldman.

Sidney milczała.

Goldman westchnął i znowu sięgnął po słuchawkę telefonu. Sidney niemal niezauważalnie skinęła głową. Goldman, uśmiechając się szeroko, wstał zza biurka.

— Wspaniale. Warunki i hasło. Słucham.

Sidney pokręciła głową.

— Moja pozycja przetargowa jest dosyć niepewna. Najpierw pieniądze, potem informacje. Albo dzwoń od razu pod 911.

Goldman zawahał się.

— Tak, przyznaję, że twoja pozycja jest trochę ryzykowna. Mając to na względzie możemy pójść na pewne ustępstwa. — Wskazał na drzwi. Sidney nie zrozumiała. — Skoro już doszliśmy do porozumienia, idźmy za ciosem i doprowadźmy to do końca, zanim cię wypuszczę. Mogłyby być kłopoty ze znalezieniem cię później — wyjaśnił.

Sidney wstała i odwróciła się. Paul Brophy wsunął pistolet za pasek spodni na plecach i z rozmysłem otarł się o nią lekko ramieniem.

— Kiedy już się urządzisz w nowym życiu — szepnął jej do ucha — zaczniesz się może rozglądać za nowym towarzystwem, a ja nie będę wkrótce wiedział, co robić z wolnym czasem i forszą. Przemyśl to.

Kolano Sidney wycelowane w krocze Brophy'ego posłało go na podłogę.

— Już przemyślałam, Paul, i chyba zwiomiotuję. Trzymaj się ode mnie z daleka, jeśli chcesz zachować tę namiastkę męskości, jaka ci jeszcze została.

Ruszyła szybko korytarzem. Goldman kroczył tuż za nią. Brophy podźwignął się z trudem z klęczek. Błady jak ściana, trzy-

mając się za genitalia, powlókł się za nimi.

Na najniższym poziomie garażu, przy windach, czekała na nich limuzyna z pracującym silnikiem. Goldman otworzył przed Sidney drzwiczki. Brophy, wciąż z trudem łapiąc oddech, zgięty wpół z bólu, wgramolił się do środka jako ostatni i zajął miejsce naprzeciwko Goldmana i Sidney; za sobą miał przyciemnioną szybę oddzielającą tylną część kabiny od szofera.

- Załatwimy to raz-dwa. W twoim najlepszym interesie będzie, jeśli pozostaniesz pod obecnym adresem, dopóki sprawa trochę nie przyschnie. Potem przetrzucimy cię do miejsca, które wybierzesz. Po jakimś czasie ściągniesz tam córkę i będziecie sobie żyły w dostatku — perorował wylewnie Goldman.
- A co z Tritonem i kancelarią? — zapytała oficjalnym tonem Sidney. — Wspominałeś, że możecie podać mnie do sądu.
- Sądzę, że wszystko da się jakoś załagodzić. Po co firma ma się wikłać w taki żenujący proces? A co do Tritona, to przecież nie będą ci mogli niczego dowieść, no nie?
- To co mnie zmusza do wchodzenia z wami w układy?

312

Blady jeszcze Brophy pokazał jej magnetofon.

- To, suko. Chyba że wolisz spędzić resztę życia w pudle.
- Żądam zwrotu tej taśmy — powiedziała spokojnie Sidney. Goldman wrzucił ramionami.

— Na razie to niemożliwe. Może później, kiedy sytuacja się wyklaruje. — Spojrzał na szybę dzielącą ich od kierowcy. — Parker?

Szyba opuściła się.

— Parker, możemy ruszać — powiedział Goldman.

Do tylnej części kabiny wsunęła się ręka trzymająca pistolet. Brophy z roztrzaskaną głową runął twarzą do dołu na podłogę. Jego krew i mózg opryskały Goldmana i Sidney. Lufa skierowała się teraz na Goldmana i ten wrzasnął panicznie:

— Boże! Parker! Nie!

Pocisk trafił Philipa Goldmana w czoło, kładąc definitywnie kres jego długoletniej prawniczej karierze. Siła uderzenia odrzuciła mu głowę do tyłu, krew zalała twarz i zbryzgała tylną szybę limuzyny. Osunął się bezwładnie na Sidney, która krzyczała wpatrzona w wylot skierowanej teraz na nią lufy. Zdjęta paniką wbijała paznokcie w miękką skórę siedzenia. Zerknęła na twarz zabójcy, którą osłaniała czarna narciarska maska, by zaraz skupić ponownie wzrok na wymierzonym w nią z odległości metra pistolecie. W pamięć zapadał jej każdy detal broni, która za chwilę miała jej zadać śmierć.

Pistolet skierował się na prawe drzwiczki limuzyny. Sidney siedziała dalej jak sparalizowana. Ręka zabójcy wykonała gest w stronę drzwiczek. Rozdygotana Sidney, nie pojmując z tego koszmaru nic poza tym, że prawdopodobnie nie zginie, odepchnęła od siebie bezwładne ciało Goldmana i zaczęła się przesuwając w stronę drzwiczek. Kiedy przekładała niezdarnie nogi nad trupem Brophy'ego, dłoń ześlizgnęła jej się na kałuży krwi i zwała się na niego. Odskoczyła jak oparzona. Palce szukające rozpaczliwie jakiegoś punktu oparcia natrafiły na pistolet pod pachą Brophy'ego. Instynktownie zamknęła dłoń na chłodnym metalu. Klecząc plecami do zabójcy, udało jej się więc niepostrzeżenie wsunąć broń do kieszeni płaszcza.

Kiedy otwierała drzwiczki samochodu, coś uderzyło ją w plecy. Nieprzytomna z przerażenia obejrzała się odruchowo i zobaczyła swoją torebkę, która odbiwszy się od niej upadła na Brophy'ego.

trzymająca przyslaną przez Jasona dyskietkę komputerową. Sidney roztrzęsionymi rękami chwyciła torebkę, otworzyła na oścież ciężkie drzwiczki i wytoczyła się z samochodu. Pozbierała się z cementowej posadzki garażu i mobilizując całą energię, jaka jej pozostała, rzuciła się do ucieczki.

Mężczyzna siedzący za kierownicą limuzyny wychylił się do pasa przez opuszczoną szybę działową. Obok niego, na fotelu pasażera, leżał Parker z dziurą po pocisku w prawej skroni. Mężczyzna podniósł z tylnej kanapy minimagnetofon kasetowy i przesłuchał fragment nagrania. Kiwnął z zadowoleniem głową, przekreślił lekko w bok ciało Brophy'ego i wsunął pod niego magnetofon. Dyskietkę schował do kieszeni. Na koniec pozbierał skrzętnie trzy łuski wyrzucone przez pistolet. Po co ułatwiać robotę glinom? Wysiadł z limuzyny z plastikową torebką w rękę. Był w niej pistolet, z którego uśmiercił trzy osoby. Podłożył tę torebkę w jakimś ustronnym miejscu, ale nie aż tak ustronnym, żeby nie znalazła jej policja.

Ściągnął z głowy narciarską maskę. Jasne światło zalewające pusty garaż odbiło się w bładoniebieskich błyszczących satysfakcją oczach Kennetha Scalesa. Kolejna nocna robota zakończona pełnym sukcesem.

Sidney wciskała raz po raz guzik przywołania, dopóki drzwi windy wreszcie się nie otworzyły. Wpadła do kabiny i oparła się o ścianę. Cała była we krwi. Czuli ją na twarzy, na rękach. Nie krzyczała tylko dlatego, że wszystkie jej myśli koncentrowały się na jednym: jak najprędzej zmyć z siebie tę krew! Drżącym palcem wduśliła przycisk siódmego piętra. Nie miała pojęcia, czemu darowano jej życie, i wołała nie czekać, aż morderca zmieni zdanie.

Wbiegła do damskiej toalety i na widok swojego zakrwawionego odbicia w lustrze zwymiotowała do umywalki. Osunęła się na posadzkę i leżała pojękując, wstrząsana falami mdłości. W końcu udało jej się podźwignąć na nogi. Puściła gorącą wodę i szorowała sobie twarz z takim zapamiętaniem, że aż zaczęła ją piec skóra. Dreszcze stopniowo ustępowały. Obmacała drżącymi palcami włosy sprawdzając, czy nie zaplątało się w nie coś, czego tam być nie powinno.

Po wyjściu z toalety pobiegła korytarzem do swojego gabinetu i chwyciła zapasowy płaszcz, który tam trzymała. Zakrył skutecz-

### 314

nie resztki krwi, które nie chciały zejść podczas mycia. Potem podniosła słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić pod 911. W drugiej ręce ścisnęła pistolet. Nie mogła się pozbyć uczucia, że lada moment ujrzy znowu przed twarzą tamtą błyszczącą lufę i że tym razem człowiek w czarnej masce nie daruje jej życia. Wybrała z klawiatury aparatu dwie pierwsze cyfry i nagle znieruchomiała porażona wizją, która w tym momencie stanęła jej przed oczami: wewnątrz limuzyny, lufa pistoletu wymierzona w jej twarz. Potem ta lufa przesuwająca się, wskazując na drzwiczki. Wtedy właśnie to zauważyła.

Kolba. Oblupana kolba. Oblupana w jej domu, kiedy wyjmując ten pistolet z szafy upuściła go niechcący. Zabójca miał jej pistolet. Zastrzelił z niego przed chwilą dwóch ludzi.

Potem przypomniała sobie kasetę z nagraniem jej rozmowy z Jasonem. Ta kasetka również została przy trupach. Teraz już wiedziała, dlaczego nadal żyje: pozostawiono ją przy życiu, żeby

zgniła w więzieniu za morderstwo. Niczym śmiertelnie przerażone dziecko wtuliła się w kąt i zalana łzami, jęcząc i dygocząc na całym ciele, osunęła się po ścianie na podłogę.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Sawyer wpatrywał się wciąż intensywnie w zdjęcie Stevena Page'a. Czuł, jak twarz zmarłego mężczyzny absorbuje stopniowo wszelkie jego myśli. Ostatkiem woli odrzucił fotografię i odwrócił się przestraszony, że jeszcze moment, a całkiem go opęta.

— Myślałem, że to zdjęcie syna Liebermana. Stało z innymi na jego biurku. Że też nie skojarzyło mi się, że on ma dwójkę, a nie trójkę dzieci. — Jackson pacnął się otwartą dłonią w czoło. — Nie przywiązywałem do tego należytej wagi. Potem, kiedy w trakcie dochodzenia Lieberman zszedł na dalszy plan, a na pierwszy wysunął się Archer... — Zdeprymowany pokręcił głową.

Sawyer przysiadł na krawędzi stołu. Tylko jego najbliżsi współpracownicy zorientowaliby się, jak bardzo jest oszołomiony.

- Przepraszam, Lee. — Jackson zerknął znowu na fotografię i skrzywił się. Sawyer poklepał partnera po plecach.

- To nie twoja wina, Ray. Wtedy i ja nie przywiązywałbym do tego wagi. — Sawyer wstał i zaczął się przechadzać po sali. — Ale teraz już wiemy, że to ważne, i to cholernie. Trzeba

315

jeszcze potwierdzić, czy to na pewno Steven Page, chociaż ja nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. — Zatrzymał się nagle. — Zaraz, Ray, nowojorska policja nie ustaliła w końcu, skąd Steven Page miał te pieniądze, prawda?

Jackson pojął w lot, do czego Sawyer zmierza.

— Może Page szantażował czymś Liebermana. Na przykład groził, że ujawni jego romans. Obaj działali w finansach, te same kręgi zawodowe. To by wyjaśniało pochodzenie pieniędzy Page'a.

Sawyer pokręcił głową.

— O jego kochance wiedziało wiele osób, więc tu akurat szantażysta nie miałby wielkiego pola do popisu. Poza tym ludzie nie trzymają zazwyczaj na widoku fotografii swoich szantażystów, Ray. — Jackson stropił się. — Nie, moim zdaniem to coś poważniejszego. — Sawyer oparł się o ścianę sali konferencyjnej, założył ręce i zwiesił głowę na piersi. — A przy okazji, wywęszyłeś coś na temat tej nieuchwytniej kochanki?

Jackson wertował przez chwilę zawartość teczeki.

- Wielkie nic. Trafiałem do kilku osób, którym nie obce były te plotki. Nie potwierdzone plotki, jak każda z nich natychmiast dodawała w obawie, że zostanie wymieniona gdzieś z nazwiska albo wpłątana w sprawę. Musiałem się sporo natrudzić, żeby ich uspokoić. Jednak nie na wiele się to zdało. Wszyscy z moich rozmówców o niej słyszeli i potrafili ją dosyć dobrze opisać, chociaż każdy opis różnił się nieco od poprzedniego. Ale...

- Ale nikt z nich nie przyznał, że osobiście spotkał tę tajemniczą damę — wpadł mu w słowo Sawyer.

Jackson spojrzął na niego ze zdumieniem.

— Właśnie. Skąd wiesz?

Sawyer odetchnął głęboko.

- Grałeś w dzieciństwie w taką grę, Ray, w której ktoś ci coś mówi, ty powtarzasz to komuś innemu, ten ktoś jeszcze komuś i tak dalej? Kiedy informacja dociera do końca łańcuszka, nie przypomina już w niczym tej wyjściowej. Znasz mechanizm powstawania i rozprzestrzeniania się plotki? Wszyscy święcie w nią wierzą, gotowi są przysięgać, że na własne oczy widzieli,

a to wysane z palca bzdury.

- No pewnie. Moja babcia czyta *Stara* i bierze za dobrą monetę wszystko, co tam nasmarują. A potem wmawia każdemu, że sama widziała, jak Liz Taylor robiła to z Elvisem na pokładzie promu kosmicznego.

316

- Sam widzisz. Choć nie ma w czymś krzty prawdy, ludzie będą się zapierali, że to prawda, bo gdzieś o tym przeczytali albo usłyszeli, zwłaszcza jeśli usłyszeli to od kilku osób.

- Chcesz przez to...

- Chcę przez to powiedzieć, że nie wierzę w istnienie tej blondwłosej kochanki, Ray. Co więcej, sądzę, że wymyślono ją w jakimś określonym celu.

- Na przykład w jakim?

Sawyer zaczerpnął powietrza w płuca.

— Dla ukrycia faktu, że Arthur Lieberman i Steven Page byli kochankami.

Jackson, wlepiając w Sawyera zbaraniały wzrok, klapnął ciężko na krzesło.

- Mówisz poważnie?

- A fotografia Page'a w mieszkaniu Liebermana razem z fotografiami jego dzieci? A miłosne listy, które znalazłeś w jego biurku? Dlaczego nie były podpisane? Założę się o tygodniówkę, że napisane zostały przez Stevena Page'a. I wreszcie, jak Page, będąc tylko najemnym pracownikiem na marnej pensyjce, zdobył te miliony, jeśli nie sypiając z facetem, który wielu ludzi uczynił milionerami?

- No dobrze, ale po co w takim razie puszczać w obieg jakąś historyjkę o kochance? Przecież to mogło wyeliminować Liebermana z walki o fotel prezesa.

Sawyer pokręcił głową.

— W obecnych czasach? Gdyby w naszym kraju obowiązywało takie kryterium, wielu polityków musiałoby pakować manatki i wracać do domu. I pozostaje faktem, że ta plotka wcale nie przeszkodziła Liebermanowi objąć najwyższego stanowiska w Zarządzie Rezerwy Federalnej. A myślisz, że sprawy potoczyłyby się tak samo, gdyby wyszło na jaw, że jest homoseksualistą i ma kochankę, który mógłby być jego synem? Pamiętaj, że środowisko finansistów w tym kraju należy do najbardziej konserwatywnych.

- Fakt, jak nic miałby przechłapano. Wszystko jest w porządku, dopóki popełnia się cudzołóstwo z kimś odmiennej płci.

- Właśnie. A więc Lieberman pozoruje romans heteroseksualny, żeby stworzyć sobie parawan dla homoseksualnego związku. Stosowano ten sposób w Hollywood w przypadku czołowych aktorów, których nie pociągała płeć przeciwna. Studia aranżowały fałszywe małżeństwa, żeby podtrzymać ich kariery.

317

Parawan Liebermana również spełnił swoją rolę. Być może żona знаła prawdę. Dostała jednak godziwą odprawę, więc trzymała język za zębami. A teraz wacha kwiatki od spodu. Czyli nie został już nikt, kto mógłby puścić parę z ust.

Jackson otarł pot z czoła.

— Jezu. — Spojrzał pytająco na Sawyera. — Skoro tak, to Steven Page rzeczywiście popełnił samobójstwo — mruknął. — Nie było powodu, żeby go zabijać.

Sawyer po raz któryś z rzędu pokręcił głową.

- Wprost przeciwnie, Ray.

- Jak to?

Sawyer milczał przez chwilę, przyglądając się swoim dłoniom.

— Jak myślisz, od kogo Steven Page złapał HIV-a? — spytał w końcu.

Jackson wybałuszył na niego oczy.

— Od Liebermana?

Sawyer podniósł wzrok.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, czy Lieberman był nosicielem wirusa **HIV**.

Jackson nagle zrozumiał.

- Jeśli Page wie, że jest na wykończeniu, to nie ma powodu, żeby dalej zachowywać milczenie.

- Właśnie. Zarażenie się śmiertelną chorobą od kochanka nie skłania zawodową przyszłość Arthura Liebermana. Moim zdaniem to chyba wystarczający motyw zabójstwa.

- Czyli wygląda na to, że będziemy musieli podejść do tej sprawy pod zupełnie innym kątem.

- Tak. W tej chwili to tylko spekulacje, ani jednego konkretnego, z którym możemy pójść do prokuratora.

Jackson wstał i zaczął porządkować porzucane na stole teczki.

— Naprawdę myślisz, że to Lieberman kazał zabić Page'a? — spytał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, odwrócił się i spojrzał na zapatrzonego w przestrzeń partnera.

— Lee?

Sawyer otrząsnął się z zadumy.

- Tego nie powiedziałem — odparł.

- Ale przecież...

318

- Spotkamy się rano, a teraz prześpij się trochę. — Sawyer wstał i ruszył w stronę drzwi. — Ja muszę jeszcze z kimś pogadać.

- Z kim?

- Z Charlesem Tiedmanem, prezesem Banku Rezerwy Federalnej w San Francisco — odparł Sawyer, zatrzymując się w progu. — Lieberman leciał się z nim rozmówić, ale nie doleciał.

Chyba pora, żeby ktoś to w końcu zrobił — dodał i wyszedł z sali konferencyjnej, zostawiając skołowanego Jacksona nad stosem teczek.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Sidney pozbierała się z podłogi. Uczucia bezradności i strachu ustępowały powoli, wypierane przez coraz silniejszy impuls: wole przetrwania. Wysunęła jedną z szuflad swojego biurka i wyjęła z niej paszport. Wiele razy w swojej karierze zawodowej musiała niespodziewanie wyjeżdżać służbowo za granicę, teraz jednak do takiego wyjazdu zmuszała ją konieczność ratowania życia. Przeszła do sąsiedniego gabinetu. Należał do młodego prawnika, zagorzałego kibica drużyny Atlanta Braves — jego pasję odzwierciedlała kolekcja eksponatów zapelniająca jedną z półek. Sidney, upiąwszy włosy w kok, wzięła stamtąd baseballową czapkę i włożyła ją na głowę.

Zajrzała do torebki. O dziwo, nadal leżał w niej portfel wypchany studolarówkami, które zostały jej po wyprawie do Nowego Orleanu. Zabójca ich nie tknął. Wyszła z budynku, zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres. Kiedy wóz ruszył, ostrożnie wyjęła z kieszeni pistolet Philipa Goldmana, wsunęła go w kaburę, którą dostała od Sawyera, i zapięła płaszcz.

Wysiadła z taksówki przed budynkiem dworca kolejowego



Union Station. Nie miała szans przedostać się z bronią palną przez sito kontroli na lotnisku, ale podróżując pociągiem nie musiała się takimi rzeczami przejmować. Pierwszy punkt planu był prosty: zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu i przemyśleć sytuację. Z Lee Sawyerem skontaktuje się, ale już nie z tego kraju. Próbowwała pomagać mężowi. Okłamała FBI. Teraz wiedziała, że zrobiła głupio, ale inaczej nie mogła postąpić. Musiała przecież pomóc Jasonowi. Musiała wziąć jego stronę. A teraz? Teraz jej pistolet został na miejscu morderstwa. Została tam

319

również kasetą 2 nagraniem jej rozmowy z Jasonem. Co sobie pomyśli Sawyer? Była przekonana, że tym razem nie obyłyby się bez kajdanek. Znowu zaczynała popadać w depresję. Otrząsnęła się, zebrała na odwagę i postawiwszy kołnierz płaszcz, weszła zdecydowanym krokiem do budynku dworca kolejowego.

Kupiła bilet na najbliższy Metroliner do Nowego Jorku. Pociąg odchodził za dwadzieścia minut. O piątej trzydzieści rano wysiadzie z niego na Pennsylvania Station w samym środku Manhattanu. Stamtąd pojedzie taksówką na lotnisko Kennedy'ego i kupi bilet w jedną stronę na poranny samolot do jakiegoś kraju... nie zdecydowała jeszcze, jakiego. Zeszła na dolny poziom dworca i z zainstalowanego tam bankomatu pobrała trochę gotówki. Karta stanie się bezużyteczna, kiedy roześlą za nią list gończy. Uprzymniła sobie nagle, że z ubrań ma tylko to, co na sobie, a przecież będzie musiała podróżować incognito. Niestety o tej porze wszyskcie z licznych dworcowych sklepów z odzieżą były zamknięte. Będzie musiała wstrzymać się z zakupami, dopóki nie dotrze do Nowego Jorku.

Weszła do budki telefonicznej i wyjęła notesik z adresami; pomiędzy kartek wysunęła się wizytówka Lee Sawyera. Patrzyła na nią przez dłuższą chwilę. Cholera! Musi do niego zadzwonić, jest mu to winna. Wybrała domowy numer Sawyera. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Po chwili wahania Sidney odwiesiła słuchawkę i wybrała inny numer. Wydawało jej się, że upłynęły wieki, zanim usłyszała zaspány głos.

- Jeff?
- Kto mówi?
- Sidney Archer.

Usłyszała szelest pościeli. Prawdopodobnie Fisher spoglądał na zegarek.

- Czekałem do późna na twój telefon. Sen mnie musiał zmorzyć.
  - Jeff, nie mam wiele czasu. Stało się coś strasznego.
  - Co takiego?
  - Im mniej wiesz, tym lepiej... — Urwała i przez chwilę biła się z myślami. — Jeff, podyktuję ci numer, pod którym teraz jestem. Wyjdź i oddzwoń do mnie z automatu.
  - Jezu, przecież już po drugiej w nocy!  
— Proszę cię, Jeff. Zrób, jak mówię.
- Fisher dał wreszcie za wygraną.

320

— Za pięć minut. Dyktuj ten numer.

Po niespełna sześciu minutach telefon zadzwonił. Sidney zerwała słuchawkę z widełek.

- Dzwonisz z automatu? Przysięgnij.
- Przysięgam. I dupę sobie odmrażam. Mów, o co chodzi.
- Jeff, mam to hasło. Było w poczcie elektronicznej Jasona. Miałam rację, zostało omyłkowo wysłane pod niewłaściwy adres.
- Fantastycznie. Czyli już możesz odczytać dyskietkę.

- W tym rzecz, że nie mogę.
- Dlaczego?
- Bo ją straciłam.
- Co? W jaki sposób?
- Nieważne. Nie mam jej, i już. Przepadła bezpowrotnie. —

Z głosu Sidney przebijało przygnębienie. Starła się zebrać myśli. Zamierzała poradzić Fisherowi, żeby na jakiś czas wyjechał z miasta. Sądząc po tym, co spotkało ją w garażu, jemu również mogło grozić poważne niebezpieczeństwo. Słowa Fishera zmroziły ją.

- Jesteś w czepku urodzona, moja pani — oświadczył.
- O czym ty mówisz?
- Jestem bardzo czuły na punkcie bezpieczeństwa, mam na tym punkcie absolutnego świra. Za dużo już w życiu plików straciłem tylko przez to, że nie chciało mi się robić kopii rezerwowych, Sid. Kiedy biedziliśmy się nad rozszyfrowywaniem tego pliku i ty poszłaś do kuchni... — zrobił dramatyczną pauzę — sporządziłem dwie kopie twojej dyskietki. Jedną na swoim twardym dysku i jedną na innej dyskietce.

Sidney zaniemówiła. Kiedy odzyskała wreszcie głos, powiedziała tylko:

- Kocham cię, Jeff.
- To kiedy wpadniesz? Strasznie jestem ciekaw, co jest na tej jędzy.
- Nie wpadnę, Jeff, nie mogę.
- Dlaczego?
- Muszę wyjechać. Wyślij mi tę dyskietkę na adres, który ci zaraz podam. Wyślij ją pocztą kurierską, FedEx-em. Zrób to z samego rana. Z samego rana, Jeff.
- Nie rozumiem, Sidney.
- Jeff, bardzo mi pomogłeś, ale nie mam zamiaru niczego ci wyjaśniać. Nie chcę cię narażać bardziej, niż już to zrobiłam.

321

Wróć teraz do domu, zabierz dyskietkę i przenieś się do hotelu. Najbliżej siebie masz Holliday Inn na Starym Mieście. Wyślij mi rachunek.

- Sid...
- Nadaj przesyłkę zaraz po otwarciu staromiejskiego biura FedEx-u — powtórzyła. — Potem zadzwoń do kancelarii i powiedz, że przedłużasz sobie o kilka dni urlop. Gdzie mieszka twoja rodzina?
- W Bostonie.
- Świetnie. Leć do Bostonu i siedź tam. Pokryję koszty przelotu. Prześlij mi rachunek. Jeśli chcesz, leć pierwszą klasą. Ale leć.
- Sid!
- Jeff, muszę zaraz kończyć, więc się ze mną nie sprzeczasz. Musisz zrobić tak, jak mówię. Tylko to zapewni ci jakie takie bezpieczeństwo. Masz coś do pisania?
- Mam.

Sidney przewróciła kilka kartek notesu.

— Zapisz sobie adres, na który wyślesz przesyłkę. — Podyktowała mu adres i numer telefonu rodziców w Bell Harbor w Maine. — Naprawdę bardzo przepraszam, że cię w to wszystko wplątałam, ale tylko ty mogłeś mi pomóc. Dziękuję — powiedziała i przerwała połączenie.

Fisher odwiesił słuchawkę na widełki, rozejrzał się czujnie po ciemnej, wyludnionej ulicy, podbiegł do samochodu i pojechał z powrotem do siebie. Zwalniając przed domem spojrzął we wsteczne lusterko; w odległości jakieś przecznicy za sobą dostrzegł

czarną furgonetkę. Przymrużywszy oczy odróżnił dwie siedzące z przodu postacie. Oddech mu przyśpieszył. Zamiast zaparkować przed domem, zawrócił i pojechał z powrotem w stronę Starego Miasta. Wyminął furgonetkę nie spoglądając na kierowcę. Gdy po chwili ponownie zerknął we wsteczne lusterko, furgonetka znowu za nim jechała.

Zatrzymał wóz przed piętrowym budynkiem z cegły. Nad wejściem wisiała tablica z nazwą mieszczącego się tu lokalu: CYBER@CHAT. Właściciel był jego dobrym znajomym, Fisher pomagał mu kiedyś instalować sprzęt komputerowy udostępniany przez CYBER@CHAT klientom.

Bar był otwarty przez całą noc i to nie na próżno. Pomimo późnej pory zapelniali go w trzech czwartych goście, w większości

### 322

studencka brać, która nie musiała wstawać rano do pracy. Jednak zamiast ogłuszającej muzyki, pijackiego gwaru i papierosowego dymu (ze względu na sprzęt komputerowy palenie było wzbronione), wewnątrz wypełniały odgłosy generowane przez gry komputerowe oraz przyciszony szmer dyskusji na temat tego, co przewijało się przez ekrany mrowia stojących w sali monitorów. Między stanowiskami komputerowymi, szukając, choćby na krótko, towarzystwa, snuli się zwolennicy odwiecznej sztuki flirtowania obojga płci.

Fisher znalazł właściciela lokalu, młodego, dwudziestoparoletniego mężczyznę, za barem. Wyjaśniwszy mu sytuację na tyle, żeby mieć w nim efektywnego pomocnika, Fisher wręczył mężczyźnie dyskretnie karteczkę z adresem w Maine, który dostał od Sidney. Właściciel znikł na zapleczu. Po pięciu minutach Fisher siedział już przy jednym z komputerów. Zerknął przez okno baru. Czarna furgonetka parkowała w zaułku po drugiej stronie ulicy. Przeniósł wzrok z powrotem na ekran monitora.

Podeszła kelnerka z butelką piwa, szklanką i talerzykiem chrupiek. Postawiła to wszystko przy komputerze, a obok położyła lnianą, starannie złożoną serwetkę. Fisher nonszalancko rozpostarł serwetkę i niepostrzeżenie wsunął ukrytą w niej czystą trzyipółcalową dyskietkę w szczelinę napędu. Wprowadził z klawiatury ciąg znaków i dał się słyszeć stłumiony terkot wybierania numeru modemu telefonicznego. Po minucie miał już połączenie ze swoim domowym komputerem. Zrzut z twardego dysku na czystą dyskietkę plików, które przekopiował z dyskietki Sidney, nie zajął nawet trzydziestu sekund. Wyrzwał znowu przez okno. Furgonetka nadal stała w zaułku.

Do jego stanowiska ponownie podeszła kelnerka. Wprowadzona najwyraźniej w jego plan zapytała, czy nie życzy sobie czegoś jeszcze. Na tacy, którą trzymała, leżała wyścielana od wewnątrz koperta z nadrukiem agencji kurierskiej FedEx i naniesionym już adresem w Bell Harbor. Fisher po raz trzeci spojrzął za okno. W głębi ulicy obok wozów patrolowych stało gawędząc dwóch policjantów. Kiedy kelnerka, w myśl planu, jaki sklecieli naprędce z właścicielem baru, sięgnęła po dyskietkę, Fisher pokręcił głową. Przypomniało mu się ostrzeżenie Sidney. Nie chciał wciągać w to bez potrzeby znajomych i teraz może nie będzie musiał. Szepnął parę słów do kelnerki. Kiwnęła głową i ruszyła z kopertą FedEx na zapleczu. Po chwili wróciła

i wręczyła Fisherowi inną wyścielaną kopertę. Spojrzął na kopertę i uśmiechnął się na widok nominału znaczka. Znacznie przekraczał koszt wysłania pocztą małej paczuski, choćby nawet poleconej. Jego przesyłka z pewnością nie zostanie zwrócona

z powodu uiszczenia niedostatecznej opłaty pocztowej. Nie dojdzie co prawda do adresata tak szybko, jak FedEx-em, ale w tej sytuacji nie było innego wyjścia. Fisher wsunął dyskietkę do koperty, zakleił ją i schował do kieszeni kurtki. Uregulował rachunek, dorzucając suty napiwek dla kelnerki. Potem spryskał siebie piwem twarz i ubranie, a to, co zostało w szklance, wypił duszkiem do dna.

Kiedy wychodził z baru, reflektory furgonetki zabłyśły, dał się słyszeć warkot zapuszczanego silnika i furgonetka ruszyła na niego. Fisher zataczając się i śpiewając głośno podszedł do swojego samochodu. Głowy dwóch policjantów w głębi ulicy odwróciły się jak na komendę w jego kierunku. Fisher zsalutował im z pijacką zamaszystością, skłonił się w pas, a potem wgramolił do wozu, zapuścił silnik i ruszył pod prąd, lewą stroną jezdni, w stronę policjantów.

Kiedy minął ich z piskiem opon, przekraczając o co najmniej trzydzieści kilometrów na godzinę dozwoloną szybkość, policjanci wskoczyli do swoich wozów. Furgonetka podążała za nimi przez jakiś czas w bezpiecznej odległości, ale kiedy policyjne wozy patrolowe osaczyły Fishera, skręciła w jakąś przecnicę. Piracką jazdę i piwny chuch przyplącił Fisher zakuciem w kajdanki i odstawieniem na najbliższy posterunek policji.

— Mam nadzieję, że znasz jakiegoś dobrego prawnika, stary — warknął z przedniego fotela gliniarz.

Odpowiedź Fishera była całkowicie trzeźwa i wesoła:

— O, znam ich całą gromadę, panie władzo.

Na posterunku zdjęto mu odciski palców i sporządzono listę zabranych do depozytu rzeczy osobistych. Pozwolono mu na jeden telefon. Zanim jednak skorzystał z tego przywileju, poprosił grzecznie dyżurnego sierżanta o małą przysługę. Po chwili patrzył, jak wyściełana koperta znika w skrzynce pocztowej wiszącej na ścianie posterunku. „Ślimacza poczta”. Gdyby widzieli go teraz koledzy komputerowcy! Prowadzony do celi aresztu Jeff Fisher zaczął wesoło pogwizdywać. Głupio czyni, kto nie docenia absolwenta MIT.

### 324

Lee Sawyer był mile zaskoczony, że nie musi tłuc się aż do Kalifornii, aby porozmawiać z Charlesem Tiedmanem. Kiedy zadzwonił do Zarządu Rezerwy Federalnej, dowiedział się, że Tiedman przyjechał na jakąś konferencję i przebywa właśnie w Waszyngtonie. Chociaż dochodziła już trzecia nad ranem, Tiedman, funkcjonując wciąż jeszcze według czasu Zachodniego Wybrzeża, chętnie zgodził się spotkać z agentem. Był niskim, gładko wygolonym mężczyzną po sześćdziesiątce i miał nawyk nerwowego składania i rozkładania dłoni. Pomimo późnej pory był w muszce i ciemnoszarym trzyczęściowym garniturze w jodełkę. Z kieszonki jego kamizelki zwiślał złoty łańcuszek od zegarka. Konserwatywna powierzchowność Tiedmana bardziej pasowała do Wschodniego niż do Zachodniego Wybrzeża i Sawyer już na początku dowiedział się, że jego rozmówca, zanim znalazł się w Kalifornii, przemieszkał wiele lat w Nowym Jorku. Przez pierwszych kilka minut unikał bezpośredniego kontaktu wzrokowego z agentem FBI, wbijając wodnistoszare oczy za okularami w drucianej oprawce w dywan.

• Z tego co mi wiadomo, znał pan dobrze Arthura Liebermana — przeszedł do rzeczy Sawyer.

• Studiowaliśmy razem w Harvardzie. Obaj rozpoczynaliśmy pracę zawodową w tym samym banku. Byłem drużbą na jego ślubie, a on na moim. Zaliczał się do moich najstarszych i naj-

lepszyc przyjaciół.

- Jego małżeństwo skończyło się rozwodem, tak? — podchwycił temat Sawyer.

Tiedman zerknął na niego spod oka.

— To prawda — mruknął.

Sawyer zajrzał do notatek.

— Stało się to mniej więcej w czasie, kiedy ważyły się losy jego kandydatury na szefa Zarządu Rezerwy Federalnej?

Tiedman kiwnął głową.

- Niezbyt odpowiedni moment.

- Zaiste. — Tiedman nalał sobie wody z karafki stojącej na stoliczku obok jego fotela i upił duży łyk. Wąskie wargi miał suche i spierzchnięte.

- O ile mi wiadomo, sprawa rozwodowa zapowiadała się burzliwie, ale dość szybko doszło do porozumienia stron, i właściwie nie wpłynęła na nominację Liebermana. Miał dużo szczęścia.

Oczy Tiedmana zapłonęły.

325

- Pan to nazywa szczęściem?

- Chodziło mi tylko o to, że mimo wszystko dostał to stanowisko w Zarządzie. Zakładam, że jako bliski przyjaciel Arthura wie pan na ten temat więcej niż inni — powiedział Sawyer i spojrzał pytająco na siedzącego przed nim mężczyznę.

Tiedman przez dobrą minutę nie odpowiadał. Potem wziął głęboki oddech, zdjął okulary, poprawił się w fotelu i po raz pierwszy spojrzał otwarcie na Sawyera.

- Arthur został co prawda prezesem Zarządu Rezerwy Federalnej, panie Sawyer, ale wyjście z twarzą z tego „burzliwego” rozwodu okupił praktycznie dorobkiem całego życia. Nie było to sprawiedliwe.

- Ale jako prezes dobrze zarabiał. Sprawdziłem jego pobory. Sto trzydzieści trzy tysiące sześćset dolarów rocznie. Powodziło mu się lepiej niż większości ludzi w tym kraju.

Tiedman roześmiał się.

— Może to i prawda, ale Arthur, zanim został prezesem Zarządu, zarabiał setki milionów dolarów. W konsekwencji miał kosztowne nawyki i był trochę zadłużony.

— Zadłużony po uszy, chciał pan powiedzieć?

Tiedman znowu wbił wzrok w podłogę.

— Powiedzmy, że było to zadłużenie, którego nie miał szans spłacić ze swojej pensji prezesa Zarządu, choć ta była stosunkowo wysoka.

Sawyer zostawił sobie na później rozwinięcie tego tematu i zadał następne pytanie:

- Co może mi pan powiedzieć o Walterze Burnsie?

Bankier rzucił Sawyerowi przenikliwe spojrzenie.

- A co pana interesuje?

— Po prostu ogólna charakterystyka tego człowieka — odparł niewinnie Sawyer.

Tiedman potarł z roztargnieniem wargę i zerknął z ukosa na notes agenta. Sawyer przechwycił to spojrzenie i zdecydowanym ruchem go zatrzasnął.

— Nieoficjalnie.

Tiedman spojrzał na niego z rezygnacją.

— Nie mam wątpliwości, że właśnie Burns obejmie po Arthurze fotel prezesa. To naturalna kolej rzeczy. Był człowiekiem Arthura. We wszystkich kwestiach głosował zawsze tak, jak Arthur.

326

- Czy to źle?
- Nie zawsze.
- Co to znaczy?

Tiedman spojrział Sawyerowi w oczy, rysy dziwnie mu się wyostriły.

— To, że nie zawsze mądrze jest bezkrytycznie kogoś naśladować, kiedy własny rozsądek podpowiada co innego.

Sawyer opadł na oparcie fotela.

— Czy to oznacza, że pan nie zawsze zgadzał się z Liebermanem? — zapytał.

Tiedman nie patrzył teraz na agenta, jednak z jego twarzy można było czytać jak z książki. Wyraźnie żałował teraz, że zgodził się na tę rozmowę.

- Oznacza to, że członkowie Zarządu Rezerwy Federalnej mają obowiązek myśleć samodzielnie i mieć na każdy temat własne zdanie, zamiast ślepo akceptować argumenty, którym brak oparcia w rzeczywistości i które mogą prowadzić do katastrofalnych konsekwencji.

- Mocno powiedziane.
- Cóż, spoczywa na nas spora odpowiedzialność.

Sawyer zajął do swoich notatek z rozmowy z Walterem Burnsem.

- Burns powiedział, że Lieberman z miejsca wziął byka za rogi, żeby wstrząsnąć rynkiem, pokazać mu, kto tu jest szefem. Jak zrozumiałem, pan uznał to za nie najlepszy pomysł.

- Powiem więcej, za bzdurny.
- Skoro tak rzeczywiście było, to dlaczego większość go poparła? — spytał Sawyer z nutką sceptycyzmu w głosie.

- Istnieje takie ulubione powiedzonko krytyków prognozowania ekonomicznego: daj ekonomiście wynik, jaki chcesz uzyskać, a on już znajdzie liczby na jego poparcie. Całe to miasto roi się od księgowych, którzy dokładnie te same dane interpretują tak krańcowo odmiennie, że jednym wychodzi deficyt budżetu federalnego, a innym nadwyżka ubezpieczenia społecznego.

- Chce pan powiedzieć, że danymi ekonomicznymi można manipulować.

— Oczywiście, że można. Wynik zależy od tego, kto płaci /a ekspertyzę i czy polityczny program jest aktualnie promowany — powiedział z goryczą Tiedman. — Słyszał pan zapewne o zasadzie, według której każdej akcji towarzyszy skierowana

przeciwnie reakcja? — Sawyer kiwnął głową. — Osobiście podejrzewam, że pierwsi dostrzegli tę zależność nie naukowcy, lecz politycy.

- Bez urazy, ale czy oponenti nie byli czasem zdania, że to pan nie ma racji?
- Nie jestem wszystkowiedzący, agencie Sawyer. Ale od czterdziestu lat śledzę z bliska funkcjonowanie rynków finansowych. Byłem świadkiem rozkwitania i uwiędnięcia wielu z tych rynków. Widziałem gospodarki silne i chylące się ku upadkowi. Widziałem prezesów Zarządu Rezerwy Federalnej podejmujących w kryzysowych sytuacjach szybkie, skuteczne działania, i widziałem takich, którzy poczynali sobie tak nieudolnie, że cała gospodarka stawała na głowie. Nieprzemyślane podniesienie o pół procenta Federalnej Stopy Kapitałowej może doprowadzić do likwidacji setek tysięcy miejsc pracy i całkowicie zniszczyć wiele sektorów gospodarki. To potężne narzędzie władzy, którego nie wolno nadużywać. Arthur, manipulując federalną stopą kapitałową, wystawiał na poważne niebezpieczeństwo ekonomiczną przyszłość każdego amerykańskiego obywatela.

- Wydawało mi się, że był pan blisko z Liebermanem. Nie zwracał się do pana o radę?

- Dawniej często szukał u mnie rady. — Tiedman bawił się nerwowo guzikiem u marynarki. — Potem nie robił tego przez jakieś trzy lata.

- Czy właśnie w tym okresie bawił się w huśtanie stopami kapitałowymi?

Tiedman kiwnął głową.

- Doszedłem w końcu do wniosku, tak samo zresztą jak inni członkowie zarządu, że chciał w ten sposób rozruszać rynek finansowy. Ale to nie należy do zadań zarządu i jest zbyt niebezpieczne. Przetrwiałem lata Wielkiego Kryzysu i nie uśmiecha mi się drugi raz przez to przechodzić.

- Chyba nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak wielką władzę ma w swoich rękach zarząd — mruknął Sawyer.

Tiedman zmierzył go surowym spojrzeniem.

— Decydując się na podniesienie stóp, potrafimy z dużą dokładnością przewidzieć, ile firm ogłosi w wyniku tego bankructwo, ile osób straci pracę i ile gospodarstw domowych popadnie w kłopoty finansowe. Dysponujemy wszystkimi danymi, sumiennie posegregowanymi i dokładnie przestudiowanymi. Dla nas to tylko

### 328

liczby. Oficjalnie nigdy nie dociekamy, co się pod nimi kryje. Podejrzewam, że gdybyśmy się tym interesowali, chyba żaden /, nas nie miałby sumienia robić tego, czym się zajmujemy. Ja na pewno bym się wycofał. Może śledząc statystyki samobójstw, morderstw i innych przestępstw kryminalnych, lepiej uświadomiłobyśmy sobie, jak ogromną władzą dysponujemy.

- Morderstwa? Samobójstwa? — Sawyer spojrzał na niego czujnie.

- Z pewnością nie odkrywam Ameryki twierdząc, że źródłem wszelkiego zła są pieniądze. A ściślej mówiąc ich brak.

- Jezu, nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób. Przecież wy macie w swoich rękach niemal boską władzę...

Oczy Tiedmana zabłysły.

— Nasza działalność objęta jest jedną z najściślej strzeżonych w tym kraju tajemnic. Gdyby przeciętni obywatele wiedzieli, co możemy zrobić i co w przeszłości zrobiliśmy, chyba wdarliby się szturmem na mury i wtrącili nas do lochu, jeśli nie gorzej. I kto wie, czy nie postąpiliby słusznie.

Sawyer spuścił wzrok na swoje notatki.

— Zna pan daty tych zmian stóp kapitałowych?

Tiedman otrząsnął się z refleksyjnego nastroju.

- Z głowy ich panu nie podam. Może zaskakująco zabrzmi to wyznanie w ustach bankiera, ale nie mam już takiej dobrej pamięci do liczb. Ale mogę sprawdzić.

- Byłbym wdzięczny. Czy mógł istnieć jeszcze jakiś powód, dla którego Lieberman zaczął szaleć z tymi stopami? — Sawyer dostrzegł teraz przemykający przez twarz bankiera cień zmieszanej ze strachem czujności.

— Co pan przez to rozumie?

Sawyer poprawił się w fotelu.

- Powiedział pan, że to zachowanie do niego nie pasowało. I że potem nagle z tym skończył. Czy nie wydaje się to panu podejrzanym?

- Chyba nigdy nie myślałem o tym w takich kategoriach. Obawiam się, że nadal nie rozumiem, o co panu chodzi?,i.

- To może uściślić. Czy Lieberman nie manipulował czasem stopami wbrew własnej woli?

Bankier uniósł brwi.

- A jak ktoś mógłby go do tego zmusić?
- Szantażem — odparł Sawyer. — Ma pan jakieś podejrzenia?

329

Tiedman zastanawiał się przez chwilę, a potem zaczął mówić nerwowo:

- Słyszałem plotki, że Arthur miał przed laty romans. Z jakąś kobietą...

- Obaj w to nie wierzymy — wpadł mu w słowo Sawyer. — Lieberman zapłacił żonie za milczenie, żeby uniknąć skandalu i zdobyć stanowisko prezesa Zarządu Rezerwy Federalnej, ale nie chodziło wcale o kobietę. — Sawyer nachylił się do Tiedmana i spojrzał mu z bliska w oczy. — Co może mi pan powiedzieć o Stevenie Page'u?

Twarz Tiedmana skamieniała, ale tylko na moment.

- O kim?
- Może to odświeży panu pamięć... — Sawyer wyciągnął z kieszeni fotografię, którą Ray Jackson znalazł w mieszkaniu Liebermana, i pokazał ją bankierowi.

Tiedman wziął zdjęcie w drżące palce. Pochylił nisko głowę, jego wysokie czoło pokryła sieć zmarszczek. Jednak Sawyer czytał z oczu bankiera, że osoba ze zdjęcia nie jest mu obca.

— Od kiedy pan o tym wiedział? — spytał cicho.

Tiedman poruszył bezgłośnie ustami. Oddał fotografię Sawyerowi i upił łyk wody.

- Prawdę mówiąc, to właśnie ja ich ze sobą poznałem — zaczął nie patrząc na Sawyera. Chyba łatwiej było mu tak mówić. — Steven pracował w Fidelity Mutual jako analityk finansowy. Arthur był jeszcze wtedy prezesem nowojorskiego Banku Rezerwy Federalnej. Stevena przedstawiono mi na jakimś sympozjum. Wielu kolegów, których opinię szanowałem, wychwalało go pod niebiosa. Był wybitnie inteligentnym młodym człowiekiem z głową pełną pomysłów usprawnienia funkcjonowania rynków finansowych i wzmocnienia roli Zarządu Rezerwy Federalnej w stymulowaniu globalnego wzrostu gospodarczego. Był komunikatywny, kulturalny, atrakcyjny. Ukończył z wyróżnieniem college. Wiedziałem od razu, że Arthur chętnie powiększy o jego osobę grono swoich znajomych. Szybko się zaprzyjaźnili... — Tiedman zamilkł.

- I ta przyjaźń przerodziła się z czasem w coś innego? — podpowiedział Sawyer.

Bankier skinął głową.

— Wiedział pan już wtedy, że Lieberman jest homoseksualistą, lub biseksualistą?

330

- Wiedziałem, że jego małżeństwo przeżywa kryzys. Jednak nie wiedziałem jeszcze wtedy, że powodem tego kryzysu jest seksualne... niezdecydowanie Arthura.

- Wygląda na to, że w końcu się zdecydował. Rozwiódł się z żoną.

- Nie sądzę, żeby to była inicjatywa Arthura. Wydaje mi się, że on najchętniej dalej podtrzymywałby fikcję szczęśliwego heteroseksualnego związku. Wiem, że ostatnio coraz więcej osób „ujawnia się” ze swoimi skłonnościami, ale Arthur był człowiekiem bardzo skrytym, a środowisko finansowe jest znane z konserwatyzmu.

- A więc rozwodu żądała ona. Wiedziała o Page'u?

- Czy знаła jego nazwisko? Nie sądzę. Ale chyba wiedziała, że Arthur ma romans, i to romans z mężczyzną. Przypuszczam, że właśnie dlatego ten rozwód był tak burzliwy i tak pośpieszny.



Arthur musiał działać błyskawicznie, żeby żona nie zdążyła się podzielić ze swoimi prawnikami tym, co podejrzewała. Oddał jej, co do centa, wszystko co miał. Zwierzył mi się z tego jako najbliższemu przyjacielowi, zastrzegając, że to najbardziej osobisty sekret. A ja powtarzam go panu pod tym samym warunkiem: zachowania jak najdalej idącej dyskrecji.

• Doceniam to — odparł Sawyer. — Niech pan jednak weźmie pod uwagę, że to Lieberman mógł być celem dla tych, którzy dokonali zamachu na samolot, a ja, żeby rozwiązać zagadkę tej zbrodni, muszę zbadać każdy możliwy ślad. Mogę jednak panu obiecać, że uzyskane od pana informacje wykorzystam tylko wtedy, kiedy będą one miały bezpośredni wpływ na dochodzenie. Jeśli okaże się, że romans Lieberman nie ma żadnego związku ze sprawą, wszystko, co tu zostało powiedziane, zachowam dla siebie. Umowa stoi?

• Stoi — powiedział po chwili wahania Tiedman. — Dziękuję. Sawyer, widząc jego zmęczenie, postanowił podkręcić tempo.

• Zna pan okoliczności śmierci Stevena Page'a? — zapytał.

• Czytałem o tym w gazecie.

— Czy wiedział pan, że stwierdzono u niego obecność wirusa HIV?

Bankier pokręcił głową.

— Jeszcze dwa pytania. Czy wiedział pan, że Lieberman miał raka trzustki? — Tiedman skinął głową. — Jak to znosił? Był załamany? Zrezygnowany?

331

Tiedman nie odpowiedział od razu. Siedział ze złożonymi na kolanach dłońmi i milczał. W końcu spojrzął na Sawyera.

• Prawdę mówiąc wyglądał na szczęśliwego.

• Był szczęśliwy, że umiera?

• Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale tylko w ten sposób mogę określić jego postawę. Był szczęśliwy i odprężony.

Zaintrygowany Sawyer podziękował Tiedmanowi i wyszedł z głową pełną nowych pytań, które na razie musiały pozostać bez odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Sidney siedziała samotnie w wagonie restauracyjnym pociągu pędzącego przez noc do Nowego Jorku. Wpatrzona w czerń za oknem sączyła w zadumie kawę i skubała maślaną bułeczkę podgrzaną w kuchence mikrofalowej. Miarowy stukot kół i łagodne kołysanie wagonu wpływały na nią kojąco i usypiały stopniowo czujność, która po wejściu do pociągu kazała jej zwiedzić kilka wagonów, zanim ostatecznie zdecydowała się zająć miejsce w jednym z nich.

Myślała o córeczce. Odnosiła wrażenie, że od rozstania z Amy upłynęła już cała wieczność. Nie miała pojęcia, kiedy znowu ją zobaczy. Musiała trzymać się od małej z dala, była bowiem przekonana, że gdyby spróbowała zobaczyć się z Amy, ściągnęła by na nią niebezpieczeństwo. Nie może do tego dopuścić, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że już nigdy nie ujrzy swojego dziecka. Ale zadzwoni zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku. Tylko jak przygotuje rodziców na kolejny koszmar — na nagłówki w gazetach, z których dowiedzą się, że ich ukochana córka jest ukrywającą się morderczynią? Nie była w stanie uchronić ich przed szturmem żadnych sensacji mediów. Z pewnością wytropią ich także w Bell Harbor, ale przenosząc się na północ, do Maine przynajmniej odsunęli od siebie nieco ten nieprzyjemny moment.

Zdawała sobie sprawę, że ma tylko jedną szansę wyjaśnienia, co zmieniło jej życie w piekło. Szansą tą były informacje zapisane na dyskietce, która wkrótce, wysłana pocztą kurierską FedEx, pomknie za nią na północ. Dyskietka ta stanowiła jedyny punkt zaczepienia. Jason uważał ją najwyraźniej za niezmiernie ważną. A jeśli się mylił? Otrząsnęła się, odpędzając od siebie myśli

332

o takiej możliwości. Musi zaufać mężowi. Rozwidniało się. Patrzyła na majaczące w szarówce i umykające w tył drzewa, skromne domki z poprzekrzywianymi antenami telewizyjnymi na dachach, opuszczone, szkaradne rudery z pustaków należące do jakichś podupadających firemek. Opatuliła się szczerzej płaszczem i wcisnęła w fotel.

Gdy o piątej trzydzieści pociąg wtaczał się w mroczne tunele Penn Station, Sidney stała już przy drzwiach wagonu. Nie przypomniała sobie, kiedy ostatnio spała, ale właściwie nie odczuwała zmęczenia. Na stacji panował spory jak na tę wczesną porę ruch. Sidney stanęła w kolejce do taksówek, ale po chwili zdecydowała, że zanim pojedzie na lotnisko Kennedy'ego, wykona jeden szybki telefon. Poza tym, choć z żalem, bo broń dawała jej poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo teraz potrzebowała, zamierzała pozbyć się przedtem pistoletu. Wciąż jeszcze nie zdecydowała, dokąd się uda, ale będzie mogła zastanowić się nad tym podczas długiej jazdy taksówką na lotnisko.

Idąc do telefonu wzięła ze stojaka z gazetami egzemplarz *Washington Post* i przebiegła wzrokiem nagłówki. Nie pisano nic o wczorajszych morderstwach, co wcale nie oznaczało, że nie znaleziono ciała. Dziennikarze mogli po prostu nie zdążyć ze złożeniem materiałów do druku przed zamknięciem numeru. A jeśli nawet nie znaleziono jeszcze zwłok jej dwóch byłych kolegów z pracy, wkrótce to nastąpi. Co prawda parking otwierano dla osób z zewnątrz o siódmej rano, ale dla lokatorów budynku był on dostępny przez okrągłą dobę.

Wybrała numer rodziców w Bell Harbor. Nagrany na taśmie głos po wyrecytowaniu powitalnej formułki poinformował ją, że numer ten jest aktualnie odłączony. Jęknęła. Dopiero teraz jej się przypomniało, że rodzice zawsze odłączali telefon na zimę. Ojcu nie przyszło prawdopodobnie do głowy, żeby przed wyjazdem z domu zadzwonić do lokalnej centrali telefonicznej i poprosić o ponowne podłączenie aparatu. Zrobiłby to na pewno, gdyby już lam dotarli. A skoro nie zrobił, to należało przypuszczać, że są jeszcze w drodze.

Obliczyła szybko przypuszczalny czas podróży do Bell Harbor. Kiedy była dzieckiem, ojciec pokonywał tę trasę za jednym zamachem, w jakieś trzynaście godzin, zatrzymując się tylko po to, by coś zjeść i zatankować. Z wiekiem jednak stał się powolniejszy. Od przejścia na emeryturę zaczął rozkładać podróż na dwa dni,

333

robiąc po drodze postój na nocleg. Jeśli wyruszyli tak jak było umówione, wczoraj rano, to do Bell Harbor dotrą dopiero dziś po południu. Jeśli rzeczywiście wyruszyli tak, jak było umówione. Sidney uświadomiła sobie w tym momencie, że nie sprawdziła, czy rodzice wyjechali. Postanowiła natychmiast naprawić to niedopatrzenie. Po trzecim dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka i Sidney powiedziała parę słów w próżnię. Rodzice, nawet jeśli byli w domu, często włączali automatyczną sekretarkę i odbierali tylko te telefony, które chcieli odebrać. Jednak tym razem nikt nie podniósł słuchawki. Rozłączyła się. Spróbuje ponownie z lotniska. Spojrzała na zegarek i postanowiła zadzwonić w jeszcze

jedno miejsce. Wiedziała teraz, że Paul Brophy miał powiązania z RTG, i coś jej tu nie pasowało. Przychodziła jej do głowy tylko jedna osoba, u której mogła szukać wyjaśnienia. Musiała to zrobić, zanim wiadomość o morderstwach podana zostanie do publicznej wiadomości.

— Kay? Mówi Sidney Archer.

Głos po drugiej stronie linii był z początku zaspany, ale ożywił się natychmiast, kiedy Sidney się przedstawiła.

• Sidney? — Kay Vincent usiadła na łóżku.

• Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale bardzo potrzebna mi twoja pomoc w pewnej sprawie. — Kay nie odpowiadała. — Kay, wiem, co wypisują w gazetach o Jasonie...

• Nie wierzę w te bzdury — przerwała jej Kay. — Jason nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Sidney odetchnęła z ulgą.

• Dziękuję, że to powiedziałaś, Kay. Zaczynałam już myśleć, że tylko ja jedna nie straciłam w niego wiary.

• Zbyttno się nie pomyliłaś. Jak mogę ci pomóc?

Sidney odczekała chwilę, żeby uspokoić rozdygotane nerwy i pozbyć się drżenia z głosu. Zauważyła policjanta idącego korytarzem budynku dworca. Odwróciła się do niego plecami i przysunęła bliżej ściany.

• Widzisz, Kay, Jason nie rozmawiał ze mną nigdy o swojej pracy.

• Wcale się nie dziwię — prychnęła Kay. — Na okrągło wbijają nam to tutaj do głów: wszystko to jedna wielka tajemnica.

• Wiem. Ale teraz te tajemnice bokiem mi wychodzą. Muszę się dowiedzieć, nad czym Jason pracował przez ostatnich kilka miesięcy. Czy to było coś bardzo ważnego?

334

Kay przeniosła słuchawkę do drugiego ucha. Przy pierwszym pochrapywał jej mąż.

— Zajmował się porządkowaniem danych finansowych, które miały być przedstawione do wglądu CyberComowi w związku z fuzją. Pochłaniało mu to większość czasu.

— Tak, wiem coś o tym.

Kay zachichotała.

• Wraczał zawsze z magazynu utyłany od stóp do głów, jakby mocował się w bloku z aligatorem. Ale się nie skarżył i odwalił kawał porządnej roboty. Chyba go to nawet wciągnęło. Dużo czasu spędzał też przy integrowaniu firmowego systemu archiwizacji danych.

• Masz na myśli skomputeryzowany system automatycznego sporządzania i przechowywania rezerwowych kopii korespondencji nadchodzącej pocztą elektroniczną, dokumentów i tym podobnych?

• Tak.

• Co miała dać ta integracja?

• Jak się pewnie domyślasz, firma Quentina Rowe'a jeszcze przed wykupieniem przez Tritona dysponowała najnowocześniejszą wersją takiego systemu. Czego nie można powiedzieć o Nathanie Gamble'u i Tritonie. Między nami mówiąc, nie sądzę, żeby Nathan Gamble wiedział, co to w ogóle jest komputerowy system archiwizacji danych. Tak czy inaczej, Jason miał zintegrować dotychczasowy tritonowski system archiwizacji z bardziej nowoczesnym systemem Quentina.

• Na czym właściwie polegała ta integracja?

• Na przekopywaniu się przez archiwa Tritona i przeformatowywaniu pozycja po pozycji, wszystkiego, co się w nich znajdowało, tak żeby stało się kompatybilne, czyli zgodne z nowym

systemem. Poczta elektroniczna, dokumenty, raporty, wykresy, wszystko. Z tym też Jason się uporał. System jest teraz zintegrowany.

- Gdzie były przechowywane stare akta? W biurze?
- Nie. W magazynie w Reston. W tym samym, w którym trzymamy dokumentację finansową. Chyba z dziesięć warstw ustawionych jedno na drugim pudeł. Jason spędzał tam mnóstwo czasu.
- Kto mu zlecił to zadanie?  
— Quentin Rowe.

335

- Nie Nathan Gamble?
- Podejrzewam, że Gamble początkowo o niczym nie wiedział. Ale teraz już wie.
- Skąd ta pewność?
- Bo Gamble przysłał Jasonowi pocztą elektroniczną polecenie wykonania zadania, które Jason już wykonał.
- Naprawdę? To niepodobne do Nathana Gamble'a.
- Tak, ja też się zdziwiłam. Ale tak właśnie było.
- Pewnie nie pamiętasz daty nadania tej poczty elektronicznej?
- Tak się składa, że pamiętam, bo kojarzy mi się z czymś strasznym.
- Z czym?  
Kay Vincent westchnęła.
- Tego samego dnia rozbił się samolot.  
Sidney drgnęła.
- Jesteś pewna?
- Takich rzeczy się nie zapomina, Sidney.
- Ale przecież Nathan Gamble był tego dnia w Nowym Jorku. Towarzyszyłam mu wtedy.
- To nie ma znaczenia. On każe swojej sekretarce wysłać pocztą elektroniczną według ustalonego harmonogramu, bez względu na to, czy sam jest w biurze, czy go gdzieś poniesie.  
Sidney nic z tego nie rozumiała.
- Sprawa przejęcia CyberComu nadal tkwi w martwym punkcie, prawda, Kay? Wszystko wstrzymuje kwestia dokumentacji?
- Kwestia jakiej dokumentacji?
- No, tych danych finansowych, których Gamble nie chce udostępnić CyberComowi.
- Nic mi o tym nie wiadomo. Z tego co wiem, dane finansowe zostały już CyberComowi przekazane.
- Co? — Sidney prawie wykrzyczała to słowo. — Czy przejrzał je przedtem ktoś z prawników Tylera & Stone'a?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Kiedy je przekazano?
- Żeby było śmieszniej, w tym samym dniu, gdy Gamble przysłał Jasonowi pocztą elektroniczną polecenie, o którym ci mówiłam.  
Sidney miała mętlik w głowie.
- W dniu katastrofy samolotu? Jesteś tego absolutnie pewna?

336

- Mam dobrego znajomego w dziale pocztowym. Zatrudnili go do pomocy przy przenoszeniu tej dokumentacji do kopiarni, a potem pomagał odwozić ją do CyberComu. A co? Czy to ważne?
- W tej chwili jeszcze nie wiem — przyznała Sidney po chwili zastanowienia.
- Masz jeszcze jakieś pytania?
- Nie, Kay, podsunęłaś mi już dosyć tematów do przemyś-

leń. — Sidney podziękowała Kay Vincent, odwiesiła słuchawkę i ruszyła na postój taksówek.

Kenneth Scales spojrzął spod przymrużonych powiek na trzymaną w rękach wiadomość. Zawartość dyskietki była zaszyfrowana. Potrzebowali hasła. Szukali osobnika, do którego pocztowej skrzynki e-mailowej musiała trafić, jak się już domyślali, la cenna przesyłka. Jason nie wysyłałby żonie dyskietki bez hasła. Musiało się znajdować w korespondencji, którą nadał pocztą elektroniczną z tamtego magazynu. Hasło. Sidney stała w kolejce do taksówek przed budynkiem Penn Station. Trzeba ją było załatwić w limuzynie. Nie lubił pozostawiać żywych świadków. Ale rozkaz to rozkaz. Miała pozostać przy życiu, dopóki nie ustalą, gdzie trafiła ta poczta elektroniczna. Teraz jednak otrzymał instrukcje i mógł wreszcie przystąpić do działania.

Sidney dostrzegła czyjeś odbicie w szybie zatrzymującej się przed nią taksówki. Wzrok tamtego mężczyzny przesunął się po niej, tylko przelotnie, ale miała tak wyczulone nerwy, że to wystarczyło. Odwróciła się na pięcie i na moment ich spojrzenia się spotkały. Te same diabelskie oczy z limuzyny. Scales zaklął pod nosem i puścił się biegiem, ale Sidney już wskoczyła do taksówki, która ruszyła z piskiem opon. Scales roztrącił ludzi czekających w kolejce, odepchnął protestującego porządkowego i wskoczył do następnej. Taksówka wyrwała z miejsca i pomknęła za Sidney.

Sidney obejrzała się. Szarówka i zacinający deszcz ze śniegiem ograniczały widoczność, ale wczesnoporanny ruch był stosunkowo niewielki i dostrzegła doganiającą ich szybko parę reflektorów. Odwróciła się do kierowcy.

— Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale jesteśmy śledzeni — powiedziała i podała taksówkarzowi nowy kurs.

337

Skręcił ostro najpierw w lewo, potem w prawo w pustą boczną ulicę, i po chwili byli już na Piątej Alei.

Zatrzymali się przed drapaczem chmur. Sidney wyskoczyła z taksówki i pobiegła do wejścia, wyciągając coś po drodze z torebki. Przesunęła kartę magnetyczną przez szczelinę czytnika przy drzwiach. Kiedy się rozsunęły, weszła do środka i zasunęła je za sobą.

Strażnik siedzący za granitową konsolą w głębi holu podniósł na nią senne oczy. Sidney znowu pogrzebała w torebce i pokazała mu kartę identyfikacyjną pracownika kancelarii Tylera & Stone'a. Mężczyzna kiwnął bez słowa głową i opadł z powrotem na fotel. O tej porze poranka czynna była tylko jedna winda. Wciskając guzik przywołania kabiny Sidney obejrzała się za siebie. Przed budynkiem zatrzymywała się właśnie druga taksówka. Pasażer, który z niej wyskoczył, dopadł w paru susach szklanych drzwi i zabębnił w nie pięściami. Sidney przeniosła wzrok na podnoszącego się z fotela strażnika.

— Ten człowiek chyba mnie śledził! — zawołała do niego. — Może to jakiś wariat. Niech pan uważa.

Strażnik popatrzył na nią i kiwnął głową, po czym ruszył do drzwi, opuszczając rękę na wystającą z kabury kolbę pistoletu. Sidney, zanim wsiadła do windy, jeszcze raz się obejrzała. Strażnik rozglądał się po ulicy. Odetchnęła z ulgą, wkroczyła do kabiny i wduśiła przycisk dwudziestego drugiego piętra. W chwilę później, przeciąwszy zaciemniony hol, wbiegała już do biura Tylera & Stone'a. Zapaliła światło, wyjęła książkę adresową, wyszukała

w niej numer telefonu i wystukała go na klawiaturze aparatu.

Dzwoniła do długoletniej sąsiadki rodziców i przyjaciółki rodziny, siedemdziesięcioletniej Ruth Childs. Staruszka odebrała po pierwszym dzwonku i z jej rzeźkiego tonu można było wnosić, że chociaż minęła dopiero szósta rano, dawno już nie śpi. Złożyła Sidney szczerą kondolencję w związku ze śmiercią męża, a potem, odpowiadając na zadane przez Sidney pytanie, poinformowała ją, że Pattersonowie, spakowawszy się pośpiesznie, zabrali Amy i wyjechali wczoraj o dziesiątej rano do Bell Harbor.

- Widziałam, Sidney, jak twój ojciec wkłada futerał ze strzelbą do bagażnika — zakończyła prowokująco.
- Ciekawe po co — mruknęła Sidney.

Chciała się już pożegnać, ale w tym momencie Ruth powiedziała coś, co zaparło jej dech w piersiach:

338

- Muszę przyznać, że w noc poprzedzającą ich wyjazd trochę się wystraszyłam. Jakiś samochód jeździł tam i z powrotem pod oknami. Mało sypiam, a jak już nawet zasnę, to niewiele trzeba, żeby mnie obudzić. To spokojna okolica, zresztą sama wiesz. A wczoraj rano ten samochód znowu tu był.

- Widziała w nim pani kogoś? — spytała drżącym głosem Sidney.

- Nie, nie mam już takich oczu jak dawniej, nawet okulary nie bardzo pomagają.

- Czy ten samochód wciąż tam jest?

- Oj, nie. Odjechał zaraz po wyjeździe twoich rodziców.

I krzyżyk mu na drogę. Ale na wszelki wypadek trzymam przy drzwiach kij baseballowy. Niech no ktoś spróbuje się do mnie włamać. Gorzko tego pożałuje.

Przed rozłączeniem się Sidney poradziła Ruth Childs, żeby miała oczy szeroko otwarte i żeby dzwoniła na policję, jeśli podejrzany samochód znowu się pojawi, chociaż była pewna, że staruszka więcej go nie zobaczy. Prawdopodobnie był już daleko od Hanover i dałaby sobie rękę uciąć, że jechał do Bell Harbor w stanie Maine. Ona też się tam zaraz skieruje.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się, żeby wyjść z biura. W tym momencie usłyszała szcęk windy zatrzymującej się na jej piętrze. Nie traciła czasu na zastanawianie się, kto to może być o tak wczesnej porze. Od razu założyła najgorsze. Wyciągnęła pistolet, wypadła na korytarz i pobiegła w kierunku przeciwnym do wind. Miała nad intruzem tę przewagę, że знаła rozkład biura.

Tupot biegnących stóp za plecami potwierdził jej najgorsze obawy. Pędziła co sił w nogach, torebka obijała jej się o biodro. Słyszała już zdyszany oddech człowieka skręcającego w ciemny korytarz, którym biegła. Doganiał ją. Biła swój rekord szybkości ze studenckich czasów, kiedy trenowała koszykówkę, ale i to najwyraźniej nie wystarczało. Postanowiła zmienić taktykę. Skręciła za róg, zatrzymała się, odwróciła, przyklękła na jedno kolano i przyjmując pozycję strzelecką wyciągnęła przed siebie trzymany oburącz pistolet. Szarżujący mężczyzna wypadł zza rogu i zatrzymał się jak wryty niespełna metr przed nią. Zobaczyła w jego ręku nóż. Na ostrzu połyskiwała jeszcze świeża krew. Sprężył się w sobie, gotując do desperackiego ataku. Sidney, wyczuwając jego zamiary, nacisnęła spust. Pocisk śmignął obok prawej skroni mężczyzny.

— Następny wpakuję ci w łeb — warknęła Sidney. Nie spuszczać wzroku z twarzy napastnika wstała i dała mu znak, że ma rzucić nóż. Posłuchał. — Ruszaj — warknęła pokazując lufą

pistoletu korytarz.

Posłusznie zaczął się cofać. Dotarli tak do metalowych drzwi.

— Otwieraj.

Mężczyzna przewiercał ją wzrokiem. Nawet trzymając pistolet wymierzony w jego głowę czuła się jak dziecko z kruchym patykiem stojące oko w oko ze wściekłym psem. Otworzył drzwi na oścież i zajrzał do środka. Zapaliło się automatycznie światło. Była to kopia, wielka sala pełna masywnych kserokopiarek, stosów papieru i wszelkich innych akcesoriów niezbędnych do funkcjonowania wziętej kancelarii prawniczej. Sidney wskazała lufą na drzwi w przeciwległej ścianie.

— Tam.

Mężczyzna przestąpił próg i ruszył przez kopia. Sidney, przytrzymując drzwi, żeby się nie zamknęły, śledziła czujnie każdy jego ruch. Otwierając drzwi w głębi obejrzał się. Prowadziły do magazynku artykułów biurowych.

— Spróbuj stamtąd *nos* wychylić, a zginiesz — oświadczyła Sidney.

Przytrzymując pierwsze drzwi ramieniem i nie spuszczać mężczyzny z muszki, sięgnęła wolną ręką do telefonu stojącego na stolicku tuż za progiem. Ledwie drzwi magazynku zamknęły się za mężczyzną, nie wybierając numeru odłożyła słuchawkę, zamknęła cicho drzwi kopia i puściła się biegiem w kierunku wind. Wdużyła przycisk przywołania i drzwi kabiny natychmiast się rozsunęły. Dzięki Bogu stała nadal na dwudziestym drugim piętrze. Wskoczyła do niej i nacisnęła guzik parteru, przez cały czas nasłuchując, czy mężczyzna znowu jej nie ściga. Czekała na zasunięcie się drzwi, kierowała lufę pistoletu w wylot korytarza, ale nic nie mąciło panującej w biurze ciszy. Wskoczyła z windy na parterze, powciskawszy przedtem guziki wszystkich pięter, do dwudziestego drugiego włącznie. Odetchnęła i uśmiechnęła się. Ale uczucie satysfakcji przeszło w przerażenie, kiedy wychodząc zza rogu omal nie potknęła się o ciało strażnika. Tłumiąc całą siłą woli krzyk, wybiegła z budynku i popędziła przed siebie ulicą.

340

Była siódma trzydzieści rano i Lee Sawyer zamknął właśnie uczy, kiedy rozdzwonił się telefon. Sięgnął szerokim wymachem ręki po słuchawkę.

- Tak?
- Lee?

Senność w jednej chwili uleciała i Sawyer jak pchnięty sprężyną usiadł na łóżku.

- Sidney?
- Nie mam dużo czasu.
- Gdzie jesteś?
- Słuchaj i nie przerywaj! — Stała znowu przy automacie na Penn Station.

Sawyer przeniósł słuchawkę do drugiego ucha i odrzucił koc.

- Dobrze, słucham.
- Przed chwilą jakiś facet próbował mnie zabić.
- Kto? Gdzie? — wykrztusił Sawyer chwytając leżące na łóżku spodnie.

- Nie wiem, kto to był.
- Jesteś teraz bezpieczna? — spytał z niepokojem.

Sidney rozejrzała się po zatłoczonym dworcu. Miała wokół siebie kwiat nowojorskiej policji. Szkoda tylko, że teraz i oni byli jej wrogami.

- Tak — odparła.  
Sawyer odetchnął z ulgą.
- Mów, co się stało?
- Już po katastrofie samolotu Jason nadał pocztą elektroniczną wiadomość na adres naszej domowej skrzynki e-mailowej. Zawierała pewne hasło.
  - Co takiego? — wysapał Sawyer. — Jezus Maria, pocztą elektroniczną, powiadasz? — Czerwony na twarzy jak burak miotał się po pokoju, trzymając w jednej ręce bezprzewodowy (elefon, a drugą wciągając niezdarnie koszulę, skarpetki, buty.
  - Nie mam teraz czasu na tłumaczenie ci, w jaki sposób odebrałam tę wiadomość, najważniejsze, że ją mam.  
Sawyer z trudem zdołał opanować podniecenie.
  - No i co w niej jest?
  - Sidney wyciągnęła z kieszeni płaszczka arkusz z wydrukiem.
  - Masz coś do pisania?
  - Zaczekaj...

341

Wpadł do kuchni, wyszarpnął szufladę i wyciągnął z niej kartkę i długopis.

— Dyktuj. Ale dokładnie tak, jak tam masz.

Sidney przewidywała mu treść wiadomości, zaznaczając skrupulatnie brak odstępów pomiędzy niektórymi wyrazami i nie pomijając kropek oddzielających poszczególne człony samego hasła. Sawyer odczytał Sidney to, co zapisał, żeby wyeliminować możliwość pomyłki.

- Domyślasz się, co to może oznaczać? — zapytał.
- Nie miałam zbyt wiele czasu na zastanawianie się. Jason pisze tu, że wszystko jest źle, i ja mu wierzę. Wszystko jest naprawdę źle.
- A ta dyskietka? Wiesz, co na niej jest? — Sawyer ponownie przebiegł wzrokiem tekst. — Dostałaś ją pocztą?
- Jeszcze nie — odparła po chwili wahania Sidney.
- Czy to jest hasło do odczytania tej dyskietki? Czy ona zawiera jakiś zaszyfrowany plik?
- Nie wiedziałam, że taki z ciebie ekspert od komputerów.
- Jestem pełen niespodzianek.
- Tak, chyba tak.
- Kiedy spodziewasz się dostać tę dyskietkę?
- Trudno powiedzieć. Słuchaj, muszę już kończyć.
- Jeszcze chwileczkę. Jak wyglądał ten facet, który próbował cię zabić?

Opisała mu go, wzdrygając się na wspomnienie sadystycznych niebieskich oczu. Sawyer zanotował wszystko.

— Wrzucę to do systemu i zobaczymy, co wypluje. — Nagle zmroziła go pewna myśl. — Zaraz, dałem ci przecież obstawę. Co się u diabła stało z moimi chłopakami? Nie dzwonisz z domu?

Sidney przełknęła z trudem ślinę.

- W tej chwili nie mam obstawy. A jeśli nawet, to nie stanowią jej twoi ludzie. I nie dzwonię z domu.
- Może wobec tego byłabyś mi łaskawa zdradzić, gdzie jesteś?
- Muszę kończyć.
- Diabła tam musisz. Jakiś świr próbował cię przed chwilą wyprawić na tamten świat, a moich ludzi nie ma w pobliżu. Chcę wiedzieć, co jest grane. — Szlag go trafiał.
- Lee?
- Ochłonął trochę.
- Co? — burknął.



• Cokolwiek się stanie, na cokolwiek się natkniesz, przysięgam ci, że nie zrobiłam nic złego. Nic. — Słumiała szloch i dorzuciła cicho: — Uwierz mi, proszę.

• O czym ty mówisz? Co to u diabła miało znaczyć?

• Do widzenia.

• Nie! Zaczekaj! — W słuchawce trzasnęło. Rzucił ją ze złością na widelki.

Spojrzał jeszcze raz na tekst wiadomości i położył kartkę na stoliku obok telefonu. Schylił się. Kolana miał jak z waty, żołądek dokuczał mu bardziej niż zwykle. Wszedł do łazienki i napił się maaloxu. Ocierając grzbietem dłoni usta wrócił do pokoju, wziął ze stolika kartkę z podyktowaną przez Sidney wiadomością, przeszedł do kuchni i usiadł przy małym stole. Czytał tekst poruszając bezgłośnie wargami. „Stukaj uważniej w klawisze”. Początek listu sugerował, że Archer wysłał swoją wiadomość do niewłaściwej osoby. Sawyer przeczytał nazwę użytkownika odbiorcy, a potem nadawcy. Sidney powiedziała, że Jason nadał tę korespondencję na adres ich domowej skrzynki e-mailowej. ArchieJW2. To pewnie e-mailowy kryptonim Jasona Archera — nazwisko i pierwsze litery imion. A zatem ArchieKW2 jest pewnie osobą, do której pierwotnie dotarła korespondencja. Najwyraźniej Jason Archer zamiast klawisza „J” nacisnął „K”. ArchieKW2 odesłał korespondencję do nadawcy z adnotacją o pomyłce, ale czyniąc to, w rzeczywistości przesłał ją do osoby, do której faktycznie miała dotrzeć: do Sidney Archer.

Nawiązanie do magazynu w Seattle było zrozumiałe. Jason wszedł wyraźnie w jakiś konflikt z osobą, z którą się tam spotkał. Coś poszło nie tak z wymianą. „Wszystko źle”? Sidney uzna to: najwyraźniej za dowód niewinności męża, ale Sawyer nie był 10 niej przekonany. „Wszystko wspak”? Chyba trochę niefortunne sformułowanie. Przystąpił do studiowania samego hasła. Jezu, ten Pason rzeczywiście musi mieć łeb nie od parady, skoro potrafił fctapisać z pamięci takie długie hasło. Sawyer nie dostrzegł w tym iągu cyfr i kropek żadnego sensu. Przymrużył oczy i pochylił się nad kartką. Wyglądało na to, że Jasonowi przerwano w pół zdania. I Sawyer pokręcił głową, żeby rozruszać zdrętwiały kark, i wybrostował się. Dyskietka. Muszą zdobyć tę dyskietkę. A ściślej, ędzie musiała ją zdobyć Sidney Archer. Z zadumy wyrwał go zwonek telefonu. Pewny, że to znowu Sidney, wbiegł do pokoju | porwał słuchawkę.

• Tak?

• Lee? To ja, Frank.

• Jezu, Frank, nie mógłbyś choć raz zadzwonić w godzinach urzędowania?

• Kiepska sprawa, Lee. Bardzo kiepska. Podziemny garaż kancelarii Tylera & Stone'a.

• Co się stało?

• Trzy trupy. Lepiej tu przyjedź.

Sawyer odłożył słuchawkę. Teraz ostatnie słowa Sidney nabrały znaczenia. Jasny gwint!

Na zjeździe do podziemnego garażu błyskało morze czerwonych i niebieskich świateł stojących tam wozów policyjnych i karetek. Sawyer i Jackson pokazali odznaki i przeszli za żółtą taśmę. Zatroškany Frank Hardy, który czekał w bramie, zaprowadził ich na najniższy, czwarty poziom garażu. Było tam zimno

jak w lodowni.

- Wszystko wskazuje na to, że morderstw dokonano nad ranem, więc trop jest stosunkowo świeży. Ciało też w dobrym stanie, nie licząc dziur po kulach — relacjonował Hardy.
  - Jak się o tym dowiedziałeś, Frank?
  - Policja powiadomiła współnika zarządzającego kancelarii, Henry'ego Whartona, który przebywa służbowo na Florydzie. Wharton zadzwonił do Nathana Gamble'a, a Gamble natychmiast powiadomił mnie.
  - Jak rozumiem, ci załatwieni to pracownicy kancelarii? — spytał Sawyer.
  - Sam zobaczysz, Lee. Jeszcze tu są. Ale ich śmiercią zainteresowany jest również Triton. To dlatego Wharton od razu zadzwonił do Gamble'a. Oprócz tego dowiedzieliśmy się przed chwilą, że dziś wczesnym rankiem zamordowany został strażnik z nowojorskiego biura Tylera & Stone'a.
- Sawyer spojrział na niego ze zdumieniem.
- Nowojorskiego...?
- Hardy kiwnął głową.
- Wiecie o tym coś bliższego?
- Na razie nie. Ale podobno widziano jakąś kobietę wybiegającą z budynku na godzinę przed znalezieniem ciała.
- W milczeniu precyzyjnie się przez rojowisko policjantów i tech-

344

ników do długiej limuzyny. Drzwiczki z tyłu i z przodu stały otworem. Daktyloskopiarze zabezpieczali we wnętrzu wozu odciski palców, fotograf pstrykał zdjęcia, a jeden z techników filmował miejsce zbrodni kamerą wideo. Lekarz sądowy, czterdziestoparolemi mężczyzna w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, bawiąc się plastikowymi rękawiczkami i maską chirurgiczną rozmawiał / dwoma osobnikami w granatowych płaszczach. Po chwili ci dwaj podeszli do Hardy'ego i agentów FBI.

Hardy przedstawił Sawyerowi i Jacksonowi Royce'a i Holmana, detektywów z wydziału zabójstw waszyngtońskiego departamentu policji.

- Wyjaśniłem im już pokrótce, skąd zainteresowanie Biura tą sprawą, Lee.
  - Kto znalazł zwłoki? — spytał Royce'a Jackson.
  - Księgowy pracujący w tym budynku. Przyjechał tuż przed s/ósta. Ma tu na dole swoje miejsce parkingowe. Wydało mu się dziwne, że o tej porze stoi tutaj jakaś limuzyna, zwłaszcza że blokowała kilka innych stanowisk parkingowych. Jak widzicie, limuzyna ma przyciemniane szyby. Zapukał w drzwiczki od strony pasażera, żadnej reakcji, więc otworzył je. I to był błąd. Chyba do tej pory rzyga gdzieś tam na górze. Ale miał na tyle przytomności umysłu, żeby nas zawiadomić.
- Podeszli do wozu. Sawyer zajrzał do wnętrza i spojrział na Hardy'ego.
- Ten na podłodze wygląda mi znajomo.
  - To Paul Brophy.
- Sawyer zerknął wymownie na Jacksona.
- Dżentelmen z trzecim oczkiem na tylnej kanapie to Philip Goldman — dorzucił Hardy.
- Doradca prawny RTG — mruknął Jackson.
- Hardy kiwnął głową.
- Ofiara na przednim siedzeniu to James Parker, pracownik miejscowej filii RTG. Zresztą na RTG zarejestrowana jest sama limuzyna.
  - I stąd zainteresowanie Tritona — mruknął Sawyer.
  - Właśnie — przyznał Hardy.

Sawyer wsunął znowu głowę do limuzyny, przyjrzał się ranie fiu czole Goldmana, po czym przystąpił do oględzin zwłok Brophy'ego. Prowadzili z Hardym mnóstwo dochodzeń w sprawie morderstw. Tu przynajmniej ciała były w całości.

— Wszyscy trzej zginęli od ran postrzałowych — kontynuował Hardy zimnym, beznamiętnym głosem. — Broń dużego kalibru, strzały oddane z małej odległości. Rana Parkera jest kontaktowa. Brophy'ego wygląda na prawie kontaktową. Goldman, sądząc po śladach prochu na czole, oberwał prawdopodobnie z odległości metra, może trochę większej.

Sawyer pokiwał głową.

— A zatem zabójca siedział z przodu. Najpierw załatwił kierowcę, potem Brophy'ego i na koniec Goldmana.

Hardy nie wyglądał na przekonanego.

— Być może, ale mógł też siedzieć obok Brophy'ego, na przeciw Goldmana. Kropnął Parkera przez opuszczoną szybę działową, zastrzelił Brophy'ego, a potem Goldmana... albo odwrotnie. Z określeniem właściwej kolejności trzeba się będzie wstrzymać do nadejścia wyników autopsji. Znajomość przebiegu kanałów postrzałowych znacznie to ułatwi. — Zamilkł, i po chwili dorzucił: — Analiza innych śladów też może coś wniesć.

— Ustaliliście przybliżoną godzinę zgonu? — spytał Jackson.

Royce zajrzał do swoich notatek.

— Nie doszło jeszcze do całkowitego zeszywnienia. Zsinienie pośmiertne też jeszcze nie wystąpiło. U wszystkich trzech wygląda to podobnie, stąd wniosek, że załatwiono ich mniej więcej w tym samym czasie. Lekarz, biorąc pod uwagę temperaturę ciała, powiedział mi przed chwilą, że zgon nastąpił jakieś cztery do sześciu godzin temu.

Sawyer spojrział na zegarek.

— Jest ósma trzydzieści. Czyli dzisiaj, gdzieś między drugą a czwartą nad ranem.

Royce skinął głową.

Otworzyły się drzwi windy, która zwozła kolejną grupę policjantów. Strumień lodowatego powietrza przyprawił Jacksona o dreszcz. Sawyer z grymasem niesmaku popatrzył na dryfujące w powietrzu obłoczki oddechów. Hardy uśmiechnął się.

- Wiem, o czym myślisz, Lee. Co prawda nikt nie majstrował przy klimatyzacji, jak przy ostatnim trupie, ale tak tu zimno, że...

- Nie wiadomo, na ile dokładne okaże się określenie godziny zgonu — dokończył za niego Sawyer. — A czuję, że tutaj liczyć się będzie każda minuta.

- Znamy dokładną godzinę wjazdu tej limuzyny do garażu,

346

agencje Sawyer — wtrącił Royce. — Mają tu wstęp tylko posiadacze ważnej karty magnetycznej. System bezpieczeństwa garażu rejestruje indywidualne kody kart wszystkich wjeżdżających. Bramę otwarto kartą Goldmana. Została przesunięta przez czytnik o pierwszej czterdzieści pięć nad ranem.

— Czyli niedługo tu zabawił, zanim go zastrzelono — zauważył Jackson. — Mamy przynajmniej jakiś punkt odniesienia.

Sawyer milczał. Pocierając szczękę rozglądał się po garażu.

— A broń? — zapytał w końcu.

Detektyw Holman pokazał mu zaklejoną plastikową torebkę, w której znajdował się pistolet.

— Jeden z mundurowych znalazł go tu niedaleko, w studzience

ściekowej. Na szczęście zaczepił się o jakieś śmieci, które tam utknęły, bo inaczej nigdy byśmy go nie znaleźli. — Wręczył torebkę Sawyerowi. — Dziewięćmilimetrowy smith & wesson. Pociski hydra-shok. Numery seryjne nienaruszone. Nie powinno być większych kłopotów z ustaleniem pochodzenia. W magazynku brakuje trzech nabojów. A jak na razie naliczyliśmy w sumie trzy rany w ciałach ofiar. — Na pistolecie widniały wyraźne ślady krwi, co było zupełnie naturalne zważywszy, że użyty został do zadania postrzału kontaktowego. — Wygląda na broń mordercy — ciągnął Holman. — Zabójca pozbierał łuski, ale pociski tkwią chyba nadal w ofiarach, więc analiza balistyczna ich deformacji wykaże, czy wystrzelone zostały właśnie z tej broni. Sawyer zauważył to, zanim jeszcze podano mu broń. Jackson również. Spojrzeli po sobie z zaskoczeniem: obłupana kolba. Hardy przechwycił tę wymianę spojrzeń.

— O co chodzi?

Sawyer westchnął.

- Cholera — mruknął. W tym momencie nic innego nie przychodziło mu do głowy. Wepchnął ręce głęboko w kieszenie płaszcza, spojrzął na limuzynę, a potem znowu na broń mordercy i powiedział: — Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że ten pistolet należy do Sidney Archer, Frank.

- Można jeszcze raz to nazwisko? — odezwali się niemal równocześnie dwaj detektywi z wydziału zabójstw.

Sawyer podał im dane Sidney i wyjaśnił jej związki z kancelarią prawniczą.

— Fakt, pisali o niej i jej mężu w gazecie — przypomniał

347

sobie Royce. — Wiedziałem, że znam skądś to nazwisko. To wiele tłumaczy.

— Na przykład co? — spytał Jackson.

Royce zajrzał do notesu.

- System bezpieczeństwa budynku rejestruje również wchodzących i wychodzących po godzinach urzędowania drzwiami frontowymi. Zgadnijcie, czyjej karty magnetycznej użyto do otwarcia tych drzwi dzisiaj o pierwszej dwadzieścia jeden nad ranem.

- Sidney Archer — odparł Sawyer znużonym tonem.

- Bingo. Jasny gwint, mąż i żona. To ci parka. Ale dopadniemy ją. Ciała świeże, daleko nie uciekła. — Royce tryskał pewnością siebie. — Pobraliśmy już z limuzyny komplet odcisków palców. Pozostaje tylko wyeliminować te należące do zabitych i skupić się na pozostałych.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wszędzie tu było pełno odcisków tej Archer — powiedział Holman i wskazał ruchem głowy na limuzynę. — Tyle tam krwi...

— Macie motyw? — zapytał go Sawyer.

Royce pokazał mu magnetofon.

- Znaleźliśmy to pod Brophym. Daktyloskopiarze już go załatwili. — Wcisnął klawisz odtwarzania. Wysłuchali do końca nagrania. Twarz Sawyera oblewał rumieniec.

- To głos Jasona Archera — stwierdził Hardy. — Dobrze go znam. — Pokręcił głową. — Żeby tak razem z głosem mieć właściciela...

- A ten drugi należy do Sidney Archer — dorzucił Jackson. Spojrzała na partnera, który ze zboląłą miną stał oparty o filar.

Sawyer pomału przyswajał tę nową rewelację i wkomponowywał ją w rozrastającą się układankę, jaką stawała się cała ta sprawa. Brophy nagrał tę rozmowę rano w dniu, kiedy przyszli przeprowadzić pierwszy wywiad z Sidney. To dlatego sukinsyn

był z siebie wtedy taki zadowolony. Wyjaśniało się również, po co pojechał do Nowego Orleanu i złożył potajemną wizytę w pokoju hotelowym Sidney. Sawyer skrzywił się. Sam nigdy by nie wyjawiał tego, co wiedział od Sidney o tej rozmowie, ale teraz tajemnica się wydała. Sidney okłamała FBI. Nawet jeśli on, Sawyer, oświadczy — co zresztą zamierzał za chwilę uczynić — że powiedziała mu później o tym telefonie, to przecież pozostanie faktem, że kryła poszukiwanego. Nie wykręci się od więzienia,

348

i to długoletniego. Przed oczyma stanęła mu buzia Amy Archer i to przygnębiło go jeszcze bardziej.

Kiedy Royce z Holmanem wrócili do swoich zajęć, Hardy podszedł do niego.

— Ciekaw jesteś mojej opinii? — zapytał.

Sawyer kiwnął głową. Dołączył do nich Jackson.

• Wiem chyba o kilku sprawach, o których ty nie wiesz — zaczął Hardy. — Po pierwsze, kancelaria Tylera & Stone'a zamierzała zwolnić Sidney Archer...

• Mhm. — Sawyer nie spuszczał wzroku z Hardy'ego.

• Tak się składa, że kopertę z wypowiedzeniem znaleziono przy Goldmanie. To mogło się odbyć następująco: pani Archer przychodzi do biura z sobie tylko wiadomych powodów. Może zupełnie niewinnych, może nie. Spotyka tu, przypadkiem albo i nie, Goldmana i Brophy'ego. Goldman pokazuje jej wypowiedzenie, a potem odtwarza taśmę. To bardzo mocny materiał do szantażu.

• Zgadzam się, że taśma jest bardzo obciążająca, ale w związku z czym mieliby ją szantażować? — zapytał Sawyer, nadal nie spuszczać wzroku z przyjaciela.

• Jak ci już mówiłem, aż do katastrofy samolotu Sidney Archer stała na czele zespołu prawników przygotowujących transakcję z CyberComem. Miała dostęp do najtajniejszych informacji, które tak bardzo chciała uzyskać RTG. Za te informacje proponują jej zwrot taśmy. Albo ujawni szczegóły kontraktu, albo idzie do więzienia. A firma tak czy inaczej ją zwalnia. Co jej, u diabła, zależy?

Mina Sawyera zdradzała konsternację.

• Myślałem, że jej mąż przekazał już te informacje RTG. Przecież macie film wideo dokumentujący tę wymianę.

• Umowy się zmieniają, Lee. Wiem na sto procent, że już po zniknięciu Jasona Archera warunki oferty przygotowywanej dla CyberComu przez Tritona uległy modyfikacji. Dane, które dostali od Jasona, stały się nieaktualne. Chcieli je odświeżyć. A tak się złożyło, że czego nie mógł im już dostarczyć mąż, mogła żona.

• Jeśli tak, to przecież nic nie stało na przeszkodzie, żeby dobili targu. Skąd więc te zabójstwa, Frank? Poza tym fakt, że pistolet należał do niej, nie znaczy jeszcze, że to ona z niego strzelała — oświadczył Sawyer.

349

Hardy zignorował ostatnie słowa partnera i kontynuował swój wywód:

— Może nie mogli się dogadać co do warunków. Może się pokłócili. Może po uzyskaniu od Sidney Archer informacji, o które im chodziło, uznali, że najlepiej będzie się jej pozbyć. Może dlatego zginęli w limuzynie. Parker miał przy sobie pistolet, ale był w kaburze, nie strzelano z niego. Mogła się wywiązać szamotanina. Sidney Archer wyciąga splotkę, strzela i zabija któregoś z nich w samoobronie, a potem postanawia pozbyć się świadków.

Sawyer energicznie pokręcił głową.

- Trzej silni mężczyźni przeciwko jednej kobiecie? Niemożliwe, żeby sytuacja wymknęła im się spod kontroli. Nie wierzę, żeby Archer, zakładając, że w ogóle była w tej limuzynie, zdołała zastrzelić wszystkich trzech i spokojnie odejść.

- Mogła nie odejść zbyt daleko, Lee. Nie wiemy przecież, czy nie została ranna.

Sawyer przesunął wzrokiem po cementowej posadzce. W bezpośrednim sąsiedztwie limuzyny widniało kilka plam krwi, ale dalej ich nie było. Scenariusz Hardy'ego, choć nieprzekonujący, był jednak prawdopodobny.

— No dobrze, zabija wszystkich trzech i odchodzi, nie zabierając taśmy. Dlaczego?

Hardy wzruszył ramionami.

— Magnetofon z taśmą znaleziono pod zwłokami Brophy'ego. Facet nie był ułomkiem, co najmniej sto kilo martwej wagi. Trzeba było dwóch krzepkich gliniarzy, żeby odwrócić trupa, kiedy próbowali go zidentyfikować. Wtedy właśnie znaleźli magnetofon. Być może Sidney Archer zabrakło po prostu siły, żeby go spod niego wyciągnąć. Albo nie wiedziała, że tam leży. Wszystko wskazuje na to, że wysunął mu się z kieszeni podczas upadku. Archer spanikowała i uciekła, po drodze wrzuciła pistolet do ścieku. Ileż razy spotykaliśmy się obaj z taką reakcją.

Jackson spojrzał na Sawyera.

— To ma sens, Lee.

Jednak Sawyera nadal nie opuszczały wątpliwości. Podeszedł do detektywa Royce'a zajętego podpisywaniem jakichś papierów.

- Nie miałby pan nic przeciwko, gdybym ściągnął tu naszą ekipę techniczną do sprawdzenia paru rzeczy?

- Proszę się nie krępować. Rzadko odrzucam pomoc FBI. To do was, chłopaki, płynie strumień federalnych dolarów.

### 350

A my? My mamy szczęście, jeśli starcza nam na benzynę do samochodów.

— Chciałbym przyjrzeć się lepiej wnętrzu limuzyny. Mój zespół będzie tu za dwadzieścia minut. Chciałbym, żeby dokonali oględzin, zanim zabierzecie ciała, a potem przebadali dokładniej całe wnętrze w laboratorium. Holowanie na nasz koszt.

Royce rozważał przez chwilę tę prośbę.

- Przygotuję dokumenty — zdecydował w końcu, spoglądając na Sawyera podejrzliwie. — Widzi pan, z radością witam każdą propozycję pomocy ze strony Biura, ale ta sprawa podpada pod nasze kompetencje. Byłbym niepocieszony, gdyby laury za jej rozwiązanie zebrał ktoś inny...

- To wasza sprawa, detektywie Royce. Przekażemy wam wszystkie wyniki i będziecie je mogli wykorzystać do prowadzenia śledztwa. Mam szczerą nadzieję, że jego zamknięcie przyniesie panu awans i sporą podwyżkę.

- Moja żona też.

- Mogę pana prosić o przysługę?

- Prosić zawsze można — odparł ostrożnie Royce.

- Czy mógłby pan polecić któremuś ze swoich techników, żeby pobrał próbki pozostałości powystrzałowych od każdego z trzech trupów? Czas ucieka. Moi ludzie sami przeprowadzą analizę tych próbek.

- Myśli pan, że któryś z nich mógł strzelać z pistoletu? — Royce.

— Może tak, może nie.

Royce wzruszył ramionami, przywołał jednego z techników i powiedział, o co chodzi. Technik przydzwigał sfatygowaną

pękata walizkę z podręcznym zestawem laboratoryjnym, otworzył ją i przystąpił do przygotowywania testu na obecność pozostałości powystrzałowych. Sawyer obawiał się, że niewiele to da — próbki takie należało pobrać w ciągu sześciu godzin od oddania strzałów, a prawdopodobnie upłynęło już więcej czasu.

Technik zanurzył kilkanaście wacików w roztworze kwasu azotowego. Biorąc za każdym razem nowy wacik, pocierał po kolei grzbiet i poduszki obu dłoni każdego z zastrzelonych mężczyzn. Jeśli któryś z nich strzelał niedawno z broni palnej, test powinien wykazać obecność baru i antymonu, składników ładunku siosowanego w splonkach niemal każdego rodzaju amunicji. Ale Icst nie prowadził do jednoznacznych wniosków. Gdyby nawet

351

dał u któregoś z tych ludzi wynik pozytywny, nie oznaczałoby to jeszcze, że strzelał on z narzędzia zbrodni, a tylko to, że w ciągu ostatnich sześciu godzin używał jakiejś broni palnej. Pozostałości po wystrzale mogły mu się też wysypać na dłoń z wnętrza broni podczas szamotaniny — już po oddaniu z niej strzału, chociaż nie on z niej strzelał. Jednak pozytywny wynik tego testu pomógłby bardzo Sidney Archer. Chociaż wszystkie poszlaki wskazywały na nią, Sawyer był przekonany, że to nie ona pociągała za spust.

- Można jeszcze jedną przysłużyć? — zwrócił się do Royce'a. Brwi detektywa powędrowały w górę. — Chciałbym mieć kopię tej taśmy.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Sawyer wjechał windą do holu budynku, wyszedł do swojego samochodu i wezwał przez telefon ekipę techniczną FBI. Po głowie kołatała mu się jedna natrętna myśl: gdzie, u diabła, może być teraz Sidney Archer?

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Sidney, która zwykle robiła sobie bardzo dyskretny makijaż, stała teraz z lusterkiem w ręku w kabinie damskiej toalety na Penn Station i nakładała na twarz grubą warstwę pudru w kremie. Doszła do wniosku, że ścigającemu ją mężczyźnie nie przyjdzie do głowy szukać jej znowu na dworcu. Nacisnęła na głowę beżowy, skórkowy kapelusz kowbojski i opuściła rondo na oczy. Wypacykowana jak ulicznica, z zakrwawionym, przeznaczonym do wyrzucenia ubraniem upchniętym w torbie na zakupy, wyszła z toalety w stroju, na którego skompletowanie poświęciła większą część dnia: obciste sprane dżinsy, beżowe kowbojskie buty ze spiczastymi noskami, gruba, biała bawełniana koszula i solidnie ocieplana, czarna, skórzana kurtka lotnicza. W niczym nie przypominała konserwatywnej waszyngtońskiej prawniczki, którą do niedawna była i którą policja zaczęła niebawem ścigać za morderstwo. Pistolet schowała do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nowojorskie przepisy dotyczące posiadania broni palnej należały do najbardziej rygorystycznych w kraju.

Wsiadła do pociągu podmiejskiego i po trzydziestu minutach jazdy na północ znalazła się w Stamford w stanie Connecticut, jednym z miasteczek-sypialni zaspokajających tęsknotę nowojor-

352

czyków za spokojnym życiem z dala od tętniącej gorączką aktywności metropolii. Dwadzieścia minut później wysiadła już z taksówki przed uroczym białym domem z czarnymi okiennicami, sąsiadującym z innymi podobnymi rezydencjami. Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko właściciela: PATTERSON.

Sidney zapłaciła taksówkarzowi i zamiast skierować się do drzwi frontowych, zaszła dom od tyłu. Przy bramie garażu wisiał wielki, misternie zdobiony karmnik dla ptaków. Sidney rozejrzała się, po czym wsunęła do niego rękę i spod warstwy grubego ziarna wyciągnęła klucze na kółku. Podeszła z nimi do drzwi od podwórka. Jej brat Kenny bawił z rodziną we Francji. Był bardzo zdolny, prowadził świetnie prosperujące niezależne wydawnictwo, ale równie roztargnionego człowieka próżno by szukać. Gubił notorycznie klucze do wszystkich domów, w jakich przychodziło mu mieszkać, stąd ta skrytka w karmniku znana wszystkim członkom rodziny.

Dom był stary, solidny i wypieszczony, miał duże, komfortowo umeblowane pokoje, jednak Sidney nie przyszła tu podziwiać wystroju wewnątrz. Skierowała się od razu do niewielkiego gabinetu. Pod jedną ze ścian stała tam wielka dębowa szafa. Wybrawszy z kółka odpowiedni klucz Sidney otworzyła masywne podwójne drzwi i przesunęła wzrokiem po jej zawartości: miała przed sobą imponujący arsenał strzelb, karabinów i pistoletów. Wybrała winchestera 1300 defendera kaliber dwanaście. Był stosunkowo lekki — ważył niecałe cztery kilogramy. Strzelał trzycalowymi pociskami magnum, które z łatwością powalały wszystko, co chodzi na dwóch nogach, i miał magazynek na osiem sztuk amunicji. Do jednego z chlebaków brata Sidney zapakowała kilka pudełek amunicji, które znalazła w wewnętrznej szufladzie szafy. Spojrzała na egzemplarze krótkiej broni wiszące obok kolekcji karabinów na specjalnych haczykach wkręconych w plecy szafy. Do skuteczności swojego małego pistoletu nie miała zbyt wielkiego zaufania. Zaczęła zdejmować pistolety brata z haczyków, ważąc je w dłoni i oceniając poręczność. Uśmiechnęła się biorąc do ręki smitha & wessona slim nine z nie uszkodzoną kolbą i na niego się ostatecznie zdecydowała. Wzięła jeszcze pudełko amunicji 9 mm, wrzuciła je do tego samego chlebaka, w którym leżała już amunicja do winchestera, i zamknęła szafę na klucz. Wyszła z gabinetu, zabierając po drodze lornetkę z półki.

Wbiegła po schodach na górę, skręciła do głównej sypialni

353

i przez parę minut szperała w garderobie bratowej. Wkrótce miała już pełną walizkę ciepłej odzieży i obuwia. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Włączyła mały telewizor stojący w sypialni i przełączała kanały, dopóki nie natrafiła na stację nadającą przez całą dobę programy informacyjne. Wałkowano właśnie główną wiadomość dnia i chociaż Sidney była na to przygotowana, ścisnęło ją w dołku, kiedy na ekranie, obok fotografii limuzyny, ujrziała swoją twarz. Komentarz był zwięzły, ale druzgocący w opisie jej niewątpliwej winy. Kolejny szok przeżyła, kiedy obraz podzielił się na połowy i na tej drugiej, obok jej twarzy, pojawiła się fotografia Jasona. Wyglądał na niej na zmęczonego. Było to zdjęcie z jego tritonowskiej plakietki identyfikacyjnej, od razu je rozpoznała. Media ochoczo podchwyciły temat przestępczego małżeńskiego duetu. Sidney przez chwilę studiowała swoją fotografię. Również sprawiała na niej wrażenie zmęczonej. Te przyklapnięte włosy... Uznała, że oboje z Jasonem wyglądają na winnych, chociaż nimi nie byli. Ale w tej chwili cały kraj widzi w nich bandycką parę, współczesnych Bonnie i Clyde'a.

Pod wpływem nagłego impulsu wstała, na niepewnych nogach ruszyła do łazienki, zrzuciła z siebie ubranie i weszła pod prysznic. Fotografia limuzyny przypomniła jej, że wciąż ma na sobie pozostałości tych kilku przerażających chwil. Wchodząc do łazienki zamknęła drzwi na zatrzask, ale nie zasunęła zasłonki nad wanną i ani na moment nie odwróciła się plecami do drzwi.



Pistolet leżał w zasięgu ręki. Strugi gorącej wody przywracały powoli krążenie w zziębniętych członkach. Zahaczyła przypadkowo wzrokiem o małe lustro przymocowane do ściany pod prysznicem i widok własnej wyczerpanej, ściągniętej twarzy przejął ją dreszczem. Czowała się zmęczona i stara, wypalona emocjonalnie i psychicznie. Własne ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Czowała zbliżające się wielkimi krokami fizyczne załamanie. Wzięła się w garść, zaciśnęła zęby i wymierzyła sobie silny policzek. Nie może się teraz poddać. Stanowi jednoosobową armię, ale armię cholernie zdeterminowaną. Miała Amy. Tego jej nikt nie odbierze.

Wyszła spod prysznica, ubrała się ciepło, zbiegła do piwnicy i zdjęła z haczyka silną latarkę. Dotarło do niej nagle, że policja będzie o nią wypytywała wszystkich członków rodziny i przyjaciół. Przeniosła wszystko do garażu, gdzie stał granatowy land rover discovery, najwytrzymalszy ze wszystkich istniejących po-

354

jazdów. Wsunęła rękę pod błotnik i namacała tam kluczyki. Z jej brata był jednak nieprzeciętny oryginał. Nacisnęła maleńkie wyrzucenie na jednym z kluczyków i skrzywiła się na dźwięk imitacji ptasiego świergotu oznaczającego, że wyrafinowany alarm został wyłączony. Położyła winchestera na podłodze za przednimi fotelami i przykryła go starannie kocem. Pistolety włożyła do chlebaka z amunicją i wepchnęła chlebak pod siedzenie kierowcy. Ani winchester, ani pistolety nie były nabite. Zajmie się tym zaraz po dotarciu tam, dokąd się wybierała, i pozostaną załadowane aż do końca tego koszmaru.

Potężny silnik zaskoczył od pierwszego przekręcenia kluczyka w stacyjce. Sidney wduśła przycisk otwieracza bramy przypiętego do osłony przeciwsłonecznej i wycofała land rovera z garażu. Rozejrzała się czujnie w lewo i w prawo. Stwierdziwszy, że ulica jest pusta, wyprowadziła dwutonową terenówkę z podjazdu i dodając gwałtownie gazu pomknęła przez spokojne ulice Stamford.

Po dwudziestu minutach wjeżdżała na Międzystanową 95. Ruch na autostradzie był duży i opuszczenie Connecticut zajęło jej trochę czasu. Przecięła Rhode Island i o pierwszej nad ranem skręcała już na Boston. W land roverze był telefon komórkowy, jednak mając świeżo w pamięci wykład Jeffa Fishera wołała z niego nie korzystać. Zresztą do kogo by mogła zadzwonić? Zatrzymała się w New Hampshire, żeby wypić kawę, kupić sobie batonik na drogę i napelnić bak. Tymczasem rozpętała się zawieja śnieżna, ale land rover z łatwością się przez nią przebijał, a szuranie wycieraczek po przedniej szybie nie dawało jej przynajmniej zasnąć. Jednak o trzeciej nad ranem powieki ciążyły jej już tak bardzo, że w końcu musiała zjechać na przydrożny parking dla ciężarówek. Wprowadziła land rovera pomiędzy dwa wielkie ciągniki siodłowe z naczepami, zablokowała drzwiczki, przeniosła się na tylną kanapę i ściskając w dłoni smitha & wessona zasnęła. Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko. Zjadła szybkie śniadanie w zajeździe dla kierowców ciężarówek i parę godzin później była już w stanie Maine, daleko za Portsmouth. Kilkadziesiąt kilometrów dalej zobaczyła drogowskaz, którego wypatrywała, i zjechała z autostrady na U.S. Route 1. O tej porze roku miała te szosę tylko dla siebie.

Pośród gęstej śnieżycy minęła tablicę informującą, że wjeżdża do miasteczka Bell Harbor zamieszkiwanego przez ponad półtora tysiąca osób. W dzieciństwie spędziła w tej spokojnej uzdrowskiej

miejsowości wiele cudownych letnich wakacji z rodziną. Szerokie

prywatne plaże, lody owocowe i wspaniałe kanapki w niezliczonych jadłodajniach, przedstawienia w miejscowym teatrze, długie przejażdżki rowerowe i spacery wzdłuż Granite Point, skąd w wietrzne popołudnia można było podziwiać z bliska złowrogą potęgę Atlantyku. Planowali z Jasonem, że kiedyś kupią sobie dom niedaleko domu jej rodziców. Chcieli spędzać tu letnie urlopy patrząc na Amy biegnącą po plaży i budującą zamki z piasku, jak przed dwudziestu pięciu laty Sidney. Był to wspaniały pomysł. Miała nadzieję, że da się go jeszcze urzeczywistnić. Jednak w tej chwili nie wydawało się to ani trochę możliwe.

Dojechała do samego oceanu, skręciła na południe, w Beach Street, i tam zwolniła. Dom rodziców był dużą, piętrową konstrukcją z szarych, spłowiałych desek, miał mansardowe okienka i biegnące przez całą szerokość tarasy od strony oceanu i od ulicy. Garaż znajdował się w piwnicy. Dmący od oceanu wiatr przeciskał się między stojącymi blisko siebie domami i był tak silny, że pod jego uderzeniami kołysał się nawet czołgopodobny land rover. Sidney nie była jeszcze w Maine o tej porze roku. Szczególnie nieprzyjazne wydawało jej się niebo. Spojrzawszy na bezkres ciemnego Atlantyku uzmysłowiła sobie, że nigdy jeszcze nie widziała śniegu nad oceanem.

Zobaczyła z daleka dom rodziców i zwolniła jeszcze bardziej. Wszystkie domy przy tej ulicy stały puste. Bell Harbor przestaczało się w zimie w miasto-widmo. Do tego liczebność sił policyjnych w Bell Harbor spadała poza sezonem do jednej osoby. Gdyby człowiek, który z zimną krwią zabijał w limuzynie w Waszyngtonie i wytropił ją potem w Nowym Jorku, postanowił przyjechać za nią również tutaj, samotny stróż prawa z Bell Harbor niewiele by jej pomógł. Wyciągnęła spod siedzenia chlebak z amunicją i wepchnęła magazynek w kolbę smitha & wessona, a potem skręciła w zasypany śniegiem podjazd przed domem i wysiadła. Nic nie wskazywało na to, że rodzice już tu dotarli. Warunki pogodowe zmusiły ich pewnie do zatrzymania się gdzieś po drodze. Wprowadziła land rovera do garażu i zamknęła bramę. Wyładowała z samochodu bagaż i wniosła go na górę po wewnętrznych schodkach prowadzących z garażu do domu.

Nie przyszło jej do głowy, że sypiący gęsto śnieg zdążył pokryć świeże ślady samochodu rodziców na podjeździe. Nie zajrzała też

356

do sypialni w głębi domu, gdzie stały równym rzędem złożone tam torby i walizki. Skierowała się od razu do kuchni, nie mogła więc zauważyć samochodu, który przejechał powoli przed domem i po chwili zniknął z pola widzenia w głębi ulicy.

Laboratorium badawcze FBI pracowało pełną parą. Odziana w biały fartuch laborantka obeszła limuzynę i przywołała do siebie Sawyera i Jacksona. Lewe tylne drzwiczki były otwarte. Niedawnych pasażerów limuzyny odstawiono już do kostnicy. Obok samochodu stał pecet z dwudziestojednocalowym monitorem. Laborantka podeszła do komputera i nie przerywając swojego monologu, przystąpiła do wprowadzania z klawiatury polecenia. Szerokobiodra, oliwkowoskóra Liz Martin o ustach okolonych drobnymi zmarszczkami świadczącymi o skłonności do śmiechu zaliczała się do najlepszych i najsumienniejszych szczurów laboratoryjnych Biura.

— Przed fizycznym usunięciem jakiegokolwiek śladu, przezesaliśmy całe wnętrze luma-litem, tak jak sobie tego życzyłeś, Lee — mówiła. — Znaleźliśmy parę interesujących rzeczy. Prze-

przewodząc badanie, utrwalaliśmy jednocześnie wnętrze na taśmie wideo i wprowadziliśmy potem ten zapis do systemu. Ułatwi wam to orientację. — Wręczyła agentom po parze gogli i sama też założyła takie same. — W tym lepiej się wam będzie oglądało — wyjaśniła i uśmiechnęła się. — Filtrują niepożądane długości fal, które mogą występować podczas badania i przesłaniać to, co zostało uchwycone na filmie.

Ekran ożył. Zobaczyli na nim wnętrze limuzyny. Było bardzo ciemne, bo takich warunków wymagało badanie luma-litem, silnym laserem o dużej mocy. Test ten ujawniał mnóstwo szczegółów, które inaczej pozostałyby nie zauważone.

Liz manipulowała wprawnie podłączoną do peceta myszą, a agenci obserwowali dużą białą strzałkę przesuwającą się po ekranie.

- Zaczęliśmy z pojedynczym źródłem światła, bez stosowania jakichkolwiek chemikaliów. Szukaliśmy fluorescencji własnej, a potem przeszliśmy do nakładania serii barwników i proszków...

- Powiedziałaś, że znaleźliście coś interesującego, Liz? — przerwał jej lekko zniecierpliwionym tonem Sawyer, nie odrywając oczu od ekranu.

- Trudno było niczego nie znaleźć w tak małej przestrzeni, zwłaszcza po tym, co tam się stało. — Zerknęła przelotnie na limuzynę i szybkim ruchem myszy przesunęła białą strzałkę na tylną kanapę. Wcisnęła kilka klawiszy i na ekranie pojawiła się siatka. Liz powiększyła wskazywany strzałką kwadrat.

- Co to, u diabła, jest? — spytał Sawyer. Obiekt na ekranie przypominał sznurek, ale powiększenie nadało mu grubość ołówka.

- Włókno — Liz nacisnęła jeszcze jeden klawisz. Obraz nabrał trójwymiarowości. — Sądząc z wyglądu, jest to wełna zwierzęca, naturalna nie syntetyczna, koloru szarego. Kojarzy wam się coś?

Jackson pstryknął palcami.

— Sidney Archer miała na sobie tamtego ranka sweter... Był szary.

Sawyer kiwał już głową.

— Zgadza się.

Liz przeniosła wzrok z powrotem na ekran.

- Wełniany blezer. To by pasowało.

- Gdzie dokładnie to znaleźliście? — spytał Sawyer.

- Po lewej stronie tylnej kanapy, na oparciu. Bliżej środka niż drzwiczek. — Liz, posługując się myszą, nakreśliła na ekranie linię biegnącą od miejsca, w którym znaleziono włókno, do lewego skraju tylnej kanapy. — Siedemdziesiąt centymetrów od lewego skraju tylnej kanapy, siedemnaście centymetrów nad siedziskiem. Stąd wniosek, że włókno pochodzi prawdopodobnie z okrycia wierzchniego. Tuż przy lewych drzwiczkach znaleźliśmy też włókna z materiału syntetycznego. Pasują do ubrania nieżyjącego mężczyzny, który tam siedział.

Odwróciła się do ekranu.

- Do znalezienia próbek, które wam teraz pokażę, nie potrzebowaliśmy lasera — ciągnęła. — Były widoczne gołym okiem. — Obraz na ekranie zmienił się i Liz wskazała strzałką kilka pojedynczych włosów.

- Pozwól, że zgodzę — odezwał się Sawyer. — Długie i blond. Naturalne, nie farbowane. Znalezione w pobliżu włókna wełny.

- Bardzo dobrze, Lee. Zrobimy jeszcze z ciebie naukowca. — Liz uśmiechnęła się. — Następnie przeszliśmy do badania

śladów krwi fioletem leukokrystalicznym. Nie zdziwi was pewnie

358

informacja, że znaleźliśmy jej całe tony. Rozkłady rozprysków są ewidentne, powiedziałabym nawet, że modelowe. Prawdopodobnie przyczyniła się do tego ciasnota miejsca zbrodni. — We wnętrzu limuzyny przedstawionym na ekranie jarzyły się teraz intensywnym światłem liczne jasne plamy. Przez chwilę wydawało im się, że są w kopalni złota i patrzą na rój połyskujących bryłek kruszcu. Liz wskazała strzałką kilka charakterystycznych punktów. — Wnioskuje z tego, że dżentelmen znaleziony na podłodze siedział w chwili śmierci tyłem do kierunku jazdy, patrząc na wprost albo z głową zwróconą lekko w stronę prawego bocznego okna. Otwór wlotowy postrzału znajduje się blisko prawej skroni. Obfita erupcja krwi, kości i tkanki. Zbryzgana jest tym cała tylna kanapa.

- Tak, ale tu jest wyraźna przerwa. — Sawyer pokazał na lewą stronę tylnej kanapy.

- Masz dobre oko i absolutną rację — przyznała Liz. Wywołała znowu funkcję pomiarową programu. — Znaleźliśmy próbki dość równomiernie rozłożone na powierzchni tylnej kanapy. To właśnie skłania mnie do wniosku, że ofiara... — zawiesiła głos, żeby zajrzeć do notatnika leżącego obok komputera — ...Brophy, w momencie otrzymania postrzału obrócił się gwałtownie w lewo. W wyniku czego rejon postrzału — prawa skroń — znalazł się dokładnie na wprost tylnej kanapy, i stąd znaczne zabrudzenie tej ostatniej.

- Coś jak salwa z armaty — mruknął Sawyer.

- Nie jest to termin ściśle techniczny, ale zupełnie nieźle, jak na laika, Lee. — Liz popatrzyła z uznaniem na Sawyera i mówiła dalej: — Pozostaje jednak kwestia lewej połowy tylnej kanapy, gdzie na szerokości ponad metra nie ma praktycznie żadnych śladów zabrudzenia. Ani krwi, ani tkanki, ani odprysków kości. Dlaczego? — Spojrzała na agentów jak nauczycielka oczekująca lasu rąk rwących się do odpowiedzi uczniów.

- Wiemy, że jedna z ofiar, Philip Goldman, siedziała w lewym końcu tylnej kanapy — powiedział Sawyer. — Tam go znaleźliśmy. Ale to był facet przeciętnej postury, nie mógł tyle sobą zasłaniać. Szerokość czystego miejsca oraz włosy i włókno, które już znaleźliście, sugerują, że obok Goldmana siedział ktoś jeszcze.

- Tak samo to sobie tłumaczę — przyznała Liz. — Z rany Goldmana również musiał nastąpić spory wytrysk. A na siedzeniu obok niego nie ma po tym śladu. Stąd wniosek, że siedział tam ktoś jeszcze, na kogo bryzgnęła cała ta fontanna. Nie najprzyjemniejsze

359

doświadczenie, skromnie mówiąc. Gdyby to spotkało, odpukać w niemalowane, mnie, przez tydzień moczyłabym się w wannie.

— Welniane okrycie wierzchnie, długie blond włosy... — zaczęła wliczać Jackson.

— I to — wpadła mu w słowo Liz, wskazując na monitor.

Kadr na ekranie zmieniał się. Znowu ujrzeli tylną kanapę. Skórzana tapicerka była w kilku miejscach rozpruta. Równoległe, biegnące ku tyłowi, postrzępione po brzegach linie rozdarć sąsiadowały z miejscem, w którym znaleziono martwego Goldmana. Pośrodku tego poszarpanego obszaru coś leżało. Agenci spojrzeli pytająco na Liz.

- To kawałek paznokcia — wyjaśniła. — Nie zdążyliśmy jeszcze przeprowadzić analizy DNA, ale z pewnością należy do kobiety.

- Skąd wiesz? — spytał Jackson.

- To nie jest takie skomplikowane, Ray. Długość, profe-

sjonalny manicure, lakier. Mężczyźni rzadko tak dbają o swoje paznokcie. A te równoległe rozdarcia tapicerki...

- Pochodzą od zadrapań — wpadł jej w słowo Sawyer. — Ta kobieta drapała siedzenie i złamała sobie paznokcieć.

- Właśnie. Musiała być niezłe spanikowana — powiedziała laborantka.

- I chyba miała powód — dorzucił Jackson.

- Coś jeszcze, Liz? — spytał Sawyer.

- Tak, tak. I to sporo. Odciski linii papilarnych. Zastosowaliśmy MDB, związek bardzo efektywnie pobudzający niewidoczne odciski palców do fluoryzowania w świetle lasera. Założyliśmy też granatowy filtr na luma-lite. Uzyskaliśmy też dobre rezultaty. Wyeliminowaliśmy odciski wszystkich trzech ofiar. Były wszędzie. Co rozumiałe. Zostało nam sporo odcisków należących do innych osób, również w pobliżu tych rozpruć, ale to też dosyć naturalne. Tylko jeden z nich nas zainteresował.

- Dlaczego? — podniecony Sawyer niemal zauważalnie zastrzygł uszami.

- Ubranie Brophy'ego było mocno poplamione krwią i rozpryskami tkanki z rany. Szczególnie zakrwawione miał prawe ramię. Nic w tym dziwnego, zważywszy na obfity krwotok z przestrzelonej prawej skroni. W zakrzepłej krwi na jego prawym barku znaleźliśmy liczne odciski... kciuka, palca wskazującego, serdecznego, praktycznie całej dłoni.

360

- I co z tego wnioskuje? Ktoś próbował go przekreślić? — spytał z konsternacją Sawyer.

- Nie. Tego bym nie powiedziała, chociaż nie mam murowanego dowodu, że tak właśnie nie było. Sądząc po kształcie odcisku dłoni, który zabezpieczyłam, zaryzykowałabym hipotezę — wiem, że to dziwacznie zabrzmiało — że ktoś próbował się nad nim przeczołgać albo go przekroczyć. Przemawia za tym niewielkie rozstawienie palców, kąt przyłożenia dłoni i tak dalej.

Sawyer zrobił sceptyczną minę.

- Przeczłgać się nad nim? Trochę to naciągane, nie uważasz, Liz? Przecież tego się nie da stwierdzić na podstawie odcisku dłoni, prawda?

- Nie opieram swojego wniosku tylko na nim. Znaleźliśmy jeszcze to. — Pokazała znowu na ekran. Widniał tam jakiś niewyraźny zarys, czy może odcisk. Właściwie to dwa takie. Ciemne tło utrudniało identyfikację.

- To fotografia zwłok Brophy'ego — wyjaśniła Liz. — Leży na podłodze twarzą do dołu. Tutaj widzimy jego plecy. Ten zarys znajduje się po ich środku. Zauważyliśmy go dzięki temu, że odcisnął się we krwi.

Jackson i Sawyer przymrużyli oczy i nachylili się do ekranu, ale nadal nie mieli pojęcia, na co patrzą. W końcu dali za wygraną i podnieśli wzrok na Liz.

— Kolano — powiedziała i powiększyła obraz. — Ludzkie kolano pozostawia bardzo charakterystyczny odcisk, zwłaszcza na takim podatnym podłożu jak krew. — Kliknęła myszą i obraz na ekranie uległ zmianie. — Spójrzcie jeszcze na to.

Sawyer i Jackson ponownie się pochyłili. Ten kształt zidentyfikowali bez trudu.

— Odcisk buta, obcasa — zawyrokował Jackson.

Sawyer nie krył wątpliwości.

— No dobrze, ale po co to przeczołgiwanie się nad trupem, mazanie się jego krwią i wolę nie mówić, czym jeszcze, zostawianie po sobie wyraźnego śladu, skoro można było otworzyć lewe drzwiczki i spokojnie nimi wysiąść? Przecież osoba, o której

mówimy, siedziała obok Goldmana, po lewej stronie.

Jackson i Liz spojrzeli po sobie. Nie mieli na to gotowej odpowiedzi. W końcu Liz wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Za to właśnie płacą wam takie góry szmalu, chłopcy. Ja jestem szara laboratoryjna myszka.

361

— Oby więcej takich — odparł z uśmiechem Jackson.

Komplement sprawił Liz wyraźną przyjemność.

— Jeszcze dzisiaj dostaniecie ode mnie raport na piśmie — obiecała.

Ściągnęli z głów gogle.

• Mam nadzieję, że dałaś już te odciski do identyfikacji — Sawyer spojrzał na Liz.

• Jezuu, przepraszam, tak mnie zagadaliście, że byłabym zapomniała o najważniejszym. Wszystkie odciski, ten, który oglądaliśmy na ekranie, te z domniemanego narzędzia zbrodni oraz wszystkie zabezpieczone w limuzynie, na drodze z limuzyny na siódme piętro i z powrotem na parter należą do tej samej osoby.

• Do Sidney Archer — mruknął Jackson.

• Tak jest — przytaknęła Liz. — Gabinet, do którego trafiliśmy po śladach krwi, również należał do niej.

Sawyer podszedł do limuzyny i zajrzał do środka. Przywołał do siebie Liz i Jacksona.

• No dobrze. Czy w oparciu o to, co do tej pory ustaliliśmy, można założyć, że Sidney Archer siedziała gdzieś tutaj? — Wskazał na miejsce trochę w lewo od środka tylnej kanapy.

• Z dużym prawdopodobieństwem — orzekła Liz. — Wszystko za tym przemawia: rozkład rozprysków krwi, włókno i odciski palców.

• Dobrze, sądząc po ułożeniu zwłok, Brophy siedział najprawdopodobniej twarzą w kierunku tyłu samochodu. Twierdzisz, że w momencie oddania strzału głowa mogła mu się obrócić i stąd silne spryskanie tylnej kanapy, tak?

• Tak. — Liz, słuchając podsumowania Sawyera, kiwała głową.

• Rana Brophy'ego powstała w wyniku postrzału kontaktowego, co do tego nie ma wątpliwości. Jak to według ciebie daleko? — Sawyer wskazał na przestrzeń dzielącą przeciwległe kanapy przedziału pasażerskiego limuzyny.

• Nie musimy zgadywać. — Liz odeszła do biurka po taśmę mierniczą. Z pomocą Jacksona zmierzyła odległość. Sprawdziła wynik i ściągnęła brwi. Zrozumiała, do czego zmierza Sawyer. — Dwa metry od środka jednego siedziska do środka drugiego — powiedziała.

• Dobrze. Wnosząc z braku zabrudzeń po lewej stronie tylnej kanapy, Archer i Goldman siedzieli tam wygodnie oparci, zgo-

362

da? — Liz kiwnęła głową, Jackson też. — W porządku, czy to możliwe, żeby Sidney Archer, nie odrywając pleców od oparcia, zdołała przyłożyć Brophy'emu lufę pistoletu do prawej skroni i nacisnąć na spust?

Pierwsza pośpieszyła z odpowiedzią Liz:

— Nie, chyba że wlecze za sobą ręce po ziemi przy chodzeniu.

Sawyer popatrzył na nią uważnie.

— A może Brophy się do niej wychylił, a ona wyciągnęła pistolet i zastrzeliła go z bliska? Trup zwała się na nią, ale ona spycha go z siebie na podłogę. Co w tym scenariuszu nie pasuje?

Liz zastanawiała się przez chwilę.

• Gdyby nawet wychylił się w przód, unosząc prawie z sie-

dzenia, to przy odległości, jaka ich dzieliła, strzelający musiałby uczynić to samo: żeby zadanie rany kontaktowej było możliwe, musieliby się spotkać pośrodku drogi, że tak się wyrażę. Ale gdyby ona strzelała wychylając się, rozkład rozprysków krwi i materii byłby na pewno inny. Załóżmy, że podczas oddawania strzału jej plecy nie przylegają do oparcia kanapy. Wtedy nawet gdyby większość rozprysków przyjęła na korpus, to niemożliwe, żeby chociaż parę kropeł nie wylądowało na siedzeniu za nią. Gdyby zaś strzelała nie odrywając pleców od oparcia, Brophy musiałby siedzieć jej niemal na kolanach. A to chyba mało prawdopodobne, prawda?

- Fakt — przyznał Sawyer. — Zajmijmy się teraz raną Goldmana. Archer siedzi po jego prawej ręce, tak? Nie wydaje ci się, że w takim układzie otwór wlotowy znalazłby się w prawej skroni, a nie pośrodku czoła?

- Mógł obrócić w jej stronę głowę... — Liz urwała. — Jednak wtedy nie zgadzałyby się rozkład rozprysków. Nie, w momencie otrzymania postrzału Goldman z pewnością patrzył w kierunku przodu limuzyny. Ale to jeszcze niczego nie przesądza, Lee.

- Doprawdy? — Sawyer przysunął sobie krzesło, usiadł i zatorczywszy łuk prawą ręką, skierował lufę trzymanego w niej wymyślanego pistoletu do tyłu, jakby przykładając ją do czoła komuś siedzącemu po prawej stronie i patrzącemu przed siebie. Spojrzał na Liz i Jacksona. — Dość niewygodna pozycja, prawda?

- Bardzo niewygodna — przyznał Jackson.

- Bardziej niż myślicie, bo Sidney Archer jest leworęczna. Przypominasz sobie, Ray, jak piła kawę, w której ręce trzymała pistolet? — Sawyer powtórzył swoją demonstracyjną scenkę, tym

363

razem ściskając wymyślanego pistolet w lewej dłoni. Nienaturalnie wykręcone ciało zwalistego agenta przedstawiało niemal komiczny widok.

- Tak nie mogło się to odbyć — przyznał Jackson. — Musiałaby się do niego odwrócić, bo inaczej ręka wyskoczyłaby jej ze stawu. Nikt nie strzela w ten sposób z pistoletu.

- Gdyby jednak rzeczywiście strzelała, musiałaby najpierw załatwić jakoś szofera, potem przeskoczyć na tylną kanapę i rozwalić Brophy'ego, czego, jak już wykazaliśmy, nie była w stanie zrobić, i na koniec, przyjmując zupełnie nienaturalną, praktycznie niemożliwą pozycję strzelecką, stuknąć Goldmana. — Sawyer podniósł się z krzesła i pokręcił głową.

- Dokonałeś paru logicznych spostrzeżeń, Lee, ale wiele niepodważalnych poszlak nadal łączy Sidney Archer z miejscem zbrodni — zauważyła Liz.

- Obecność na miejscu zbrodni a popełnienie tej zbrodni to dwie zupełnie różne rzeczy, Liz — zaperzył się Sawyer. Jego ostra reakcja agenta wyraźnie speszyła laborantkę.

Zanim opuścili laboratorium, Sawyer zadał Liz jeszcze jedno pytanie:

- Macie już wyniki analizy pozostałości powystrzałowych?

- Wiecie chyba, że zakład broni palnej Biura zaprzestał praktycznie wykonywania tych analiz, bo w większości przypadków ich wyniki nie wnoszą niczego istotnego. No ale wam, agencje Sawyer, poszli po starej znajomości na rękę. Chwileczkę, zaraz się dowiem, co znaleźli. — Ton Liz był teraz formalny, ale wpatrujący się posepnie w posadzkę Sawyer zdawał się tego nie zauważać.

Liz podeszła do swojego biurka i podniosła słuchawkę telefonu. Sawyer łypnął na limuzynę spode łba, zupełnie jakby chciał sprawić wzrokiem, żeby zniknęła. Jackson obserwował go z za-

troskaniem.

Wróciła Liz.

• Wynik negatywny. Żadna z ofiar ani nie strzelała ostatnio z broni palnej, ani nie trzymała takiej w gołych rękach od co najmniej sześciu godzin, licząc od momentu zgonu.

• To pewne? Pomyłka wykluczona? — spytał Sawyer marszcząc czoło.

Pogodna zazwyczaj Liz natychmiast się naburmuszyła.

— Moi ludzie znają się na swojej robocie, Lee. Ta analiza nie

364

jest taka znowu skomplikowana, ale jak powiedziałam, nie przeprowadza się jej już, bo wynik pozytywny nie zawsze prowadzi do jednoznacznych wniosków... istnieje zbyt wiele substancji, które w praktyce mogą go zafałszować. Lecz pozostałości po wystrzale z dziewięciomilimetrowca powinno być sporo, a badanie dało wynik negatywny. Moim zdaniem poziom ufności w tym przypadku jest bardzo wysoki. Jednak na wypadek, gdyby ci umknęło, co powiedziałam, powtórzę raz jeszcze, że pozostałości takich nie stwierdzono na gołych rękach. Niewykluczone, że strzelali w rękawiczkach.

• Ale przy zwłokach nie znaleziono żadnych rękawiczek — zauważył Jackson.

• Właśnie — podchwyciła Liz, spoglądając tryumfująco na Sawyera.

Sawyer zignorował to.

• Czy na tym dziewięciomilimetrowcu znaleziono jeszcze czyjeś odciski palców? — spytał.

• Jeden odcisk kciuka, częściowo zatarty. Należał do Parkera, tego szofera.

— Żadnych innych? — naciskał Sawyer. — Jesteś pewna?

Liz milczała. Odpowiedź miała wypisaną na twarzy.

• Rozumiem. Powiedziałaś, że odcisk Parkera był częściowo zatarty. A odciski Archer? Były wyraźne?

• Z tego co pamiętam, dosyć wyraźne. Chociaż niektóre też trochę rozmazane. Mówię o kolbie, spuście i osłonie spustu. Te na lufie były bardzo wyraźne.

• Na lufie? — mruknął pod nosem Sawyer. Spojrzał na Liz. — Przyszedł już raport z badań balistycznych? Bardzo jestem ciekaw trajektorii.

• Autopsje jeszcze trwają. Niedługo spodziewam się wyników. Poprosiłam, żeby mi je natychmiast przysłali. Pewnie sami się z łobą skontaktują, ale na wszelki wypadek przedryndam do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem. Naturalnie będziesz dociekał, czy nie popełnili żadnych błędów... — dorzuciła z nutką sarkazmu w głosie.

Sawyer patrzył na nią przez chwilę.

— Dzięki, Liz — powiedział w końcu i zatopiony w myślach, przygarbiony, oddalił się wolnym krokiem.

Jackson został jeszcze przez chwilę w laboratorium.

— Co go u licha gryzie, Ray? — zapytała Liz odprowadziwszy Sawyera wzrokiem. — Nigdy dotąd tak się nie zachowywał.

365

Jackson milczał. W końcu wzruszył ramionami.

— Chyba nie potrafię ci w tej chwili na to odpowiedzieć, Liz — powiedział, ruszając za partnerem do drzwi. — Sam nie wiem.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY



Jackson wsiadł do wozu i zerknął na swojego partnera. Sawyer siedział z rękami na kierownicy, wpatrzony w ciemność.

— Hej, Lee, może byśmy tak wrzucili coś na ruszta? — zaproponował Jackson, a kiedy Sawyer nie zareagował, dorzucił: — Ja stawiam. Dobrze się zastanów. Taka okazja może się już nie powtórzyć. — Przyjacielskim gestem trącił kolegę w bok.

Sawyer spojrział wreszcie na niego. Przez wargi przemknął mu uśmiech.

— Na ruszta, powiadasz? Uważasz pewnie, że ta sprawa za bardzo mnie wciągnęła, co?

— Boję się tylko, że mi schudniesz — odparł Jackson.

Sawyer roześmiał się i wrzucił bieg.

Jackson zaatakował z zapalem swoje danie, za to Sawyer bawił się tylko kubkiem kawy. Bar sąsiadował z budynkiem centrali i z tego powodu cieszył się dużą popularnością wśród personelu FBI. Teraz też siedziało tu wielu znajomych. Jedni wpadli przekąsić co nieco przed powrotem do domu, inni posilić się przed służbą.

Jackson spojrział na Sawyera.

- Pokazałeś tym z laboratorium, że sroce spod ogona nie wypadliśmy, ale Liz mogłeś odpuścić — powiedział. — Robiła tylko to, co do niej należy.

- Odpuszczać to możesz swojemu dzieciakowi, kiedy za późno wróci do domu albo zarysuje ci karoserię — warknął Sawyer. — Każdemu, kto liczy na odpuszczanie, gorąco odradzałbym szukanie pracy w FBI.

- Wiesz, o co mi chodzi. Liz jest w porządku.

Twarz Sawyera złagodniała.

- Wiem, Ray. Poślę jej kwiaty. — Znowu odwrócił wzrok.

- To co dalej robimy? — spytał z pełnymi ustami Jackson.

366

Sawyer spojrział na niego.

- Sam się zastanawiam. Zdarzało mi się już zmieniać taktykę w trakcie dochodzenia, ale nie aż do tego stopnia.

- Nie wierzysz, że to Sidney Archer zabiła tych facetów, prawda?

- Nie, nie wierzę. Zresztą z poszlak jasno wynika, że byłoby to fizycznie niemożliwe.

- Ale nas okłamała, Lee. Pomagała mężowi. Nie możesz przemykać na to oczu.

Sawyera znowu opadły wyrzuty sumienia. Nigdy dotąd nie ukrywał przed Jacksonem żadnych informacji. Zerknął na partnera i zdecydował, że pora mu powtórzyć, czego dowiedział się od Sidney. Kiedy to zrobił, Jacksona zamurowało. Sawyer popatrywał na niego niepewnie.

— Bała się — wyjaśnił. — Nie wiedziała, co robić. Jestem przekonany, że najchętniej wyznałaby nam wszystko już na samym początku. Cholera, gdybyśmy chociaż wiedzieli, skąd dzwoniła. Może jej grozić poważne niebezpieczeństwo, Ray. — Uderzył pięścią w poduszkę otwartej dłoni. — Że też nam nie zaufała. Nie poszła na współpracę. Dochodzenie od razu ruszyłoby z kopyta, bez dwóch zdań.

Jackson pochylił się w przód, na jego twarzy malowała się determinacja.

- Posłuchaj, Lee, rozpracowaliśmy razem niejedną sprawę. Zawsze zachowywałaś dystans i obiektywizm.

- Myślisz, że teraz jest inaczej? — spytał spokojnie Sawyer.

- Ja wiem, że jest inaczej. Prawie od samego początku trzymasz stronę tej kobiety. I traktujesz ją inaczej, niż traktowałbyś normalnie główną podejrzaną w takiej jak ta sprawie. Mówisz mi teraz, że powiedziała ci o taśmie i o rozmowie z mężem, a ty zatrzymałeś tę informację dla siebie. Jezu, Lee, gdyby to wyszło na jaw, mogliby cię wykopać z Biura.

- Jeśli czujesz taką potrzebę, złóż na mnie raport, Ray. Nie będę miał do ciebie żalu.

Jackson odchrząknął i pokręcił głową.

- Ani myślę podkładać ci świni. Sam pod sobą dołki kopiesz aż miło.

- Ta sprawa nie różni się dla mnie od innych.

- Gówno prawda! — Jackson wychylił się jeszcze bardziej w przód. — Dobrze wiesz, że się różni i że dzieje się z tobą coś

niedobrego. Zebrany materiał dowodowy każe co najmniej domniemywać, że Sidney Archer jest zamieszana w kilka poważnych przestępstw, a jednak ty przy każdej okazji wychodzisz ze skóry, żeby odwrócić kota ogonem. Próbowaleś tego z Frankiem Hardym i z Liz, a teraz próbujesz ze mną. Nie jesteś politykiem, Lee, jesteś przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości. Może Archer nie we wszystkim maczała palce, ale aniołkiem nie jest, to pewne.

— Nie zgadzasz się z moimi wnioskami co do tego potrójnego morderstwa? — spytał Sawyer.

Jackson pokręcił głową.

- Uważam, że chyba masz rację. Ale jeśli chcesz mi wmówić, że Archer to niewiniątko uwikłane w jakiś kafkowski koszmar, rozmawiasz z niewłaściwym agentem FBI. Pamiętasz jeszcze, co powiedziałeś przed chwilą o odpuszczaniu? No to się dowiedz, że ja też musiałbym ci sporo odpuścić, zanim dałbym się przekonać, że piękna i inteligentna Sidney Archer nie powinna spędzić wielu lat w więzieniu.

- Więc o to ci chodzi? Ładna, cwana babka zawraca w głowie staremu agentowi i robi mu wodę z mózgu? — Jackson milczał, ale odpowiedź miał wypisaną na twarzy. — Stary rozwiedziony przyk napalił się i chce jej wsadzić łapę w majtki, tak, Ray? Ale nie może, dopóki uważa się ją za winną. To ci, kurwa, chodzi po łbie? — Sawyer podnosił stopniowo głos.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Lee?

- Chyba lepiej by było, gdybym zamiast gadać, wziął cię za dupę i wyrzucił przez tamte okno.

- Tylko spróbuj — warknął Jackson.

- Sukinsynu. — Sawyerowi drżał głos.

Jackson wyciągnął rękę nad stolikiem i chwycił go za ramię.

- Próbuję ci tylko przemówić do rozumu. Chcesz się z nią przespać? W porządku. Ale zaczekaj, aż dochodzenie dobiegnie końca i wykaże, że jest niewinna! — krzyknął.

- Jak śmiesz! — wrzasnął Sawyer, wyszarpując ramię z uścisku Jacksona. Zerwał się z krzesła i zamierzył na partnera wielką pięścią, pięścią, która zatrzymała się w pół drogi, kiedy jej właściciel uświadomił sobie, co robi. Kilkoro bywalców baru obserwowało tę scenę z bezbrzeżnym zdumieniem. Sawyer i Jackson mierzyli się wściekłym wzrokiem. W końcu Sawyer, dysząc ciężko, opuścił pięść i usiadł z powrotem. Drżała mu dolna warga.

Przez parę minut milczeli. Potem Sawyer spojrział z zakłopotaniem na Jacksona i westchnął.

- Cholera, rzucając fajki wiedziałem, że przyjdzie taki dzień,

kiedy będę tego żałował. — Przymknął na chwilę powieki, a potem spojrzął Jacksonowi prosto w oczy.

- Przepraszam, Lee. Martwiłem się o... — zaczął Jackson, ale chywycony przez Sawyera za rękę urwał nagle.

- Wiesz co, Ray — powiedział cicho Sawyer — przepracowałem w Biurze połowę życia. Kiedy zaczynałem, łatwo było odróżnić dobrych facetów od złych. Małolaty nie mordowały wtedy dla draki niewinnych ludzi. Nie było też wspaniałe prosperujących imperiów narkotykowych wartych setki miliardów dolarów. To góra szmalu, za którą niemal każdy zrobi niemal wszystko. Oni mają rewolwery i my mamy rewolwery. Tylko patrzeć, jak oni na standardowym wyposażeniu będą mieli pociski ziemia-powietrze... Kiedy wchodzę do sklepu spożywczego, żeby kupić sobie coś na marną kolacyjkę przy telewizorze i popatrzeć, czy nie wystawili czasem na wyprzedaż jakiegoś piwka, to zanim stamtąd wyjdę, przybywa dwadzieścia nowych trupów — i to tylko dlatego, że ktoś przez pomyłkę skręcił w niewłaściwą ulicę albo dwie bandy bezrobotnych gówniarzy handlujących narkotykami, dysponujące siłą ognia większą niż batalion piechoty, potłukły się o skrawek terenu. Dzień w dzień bawimy się w łapankę, ale nic to nie daje.

- Przestań, Lee, cienka niebieska linia wciąż tu jest. I będzie, dopóki chodzą po świecie typki spod ciemnej gwiazdy.

- Ta cienka niebieska linia jest jak warstwa ozonowa, Ray. Pełno w niej dziur wielkości góry. Od dawna nią idę. I co z tego mam? Jestem po rozwodzie. Dzieci uważają mnie za wyrodnego ojca, bo zamiast pomagać im w zdmuchiwaniu świeczek na urodzinowym torcie, uganiałem się po świecie za szajbusami podkładającymi bomby w samolotach, albo przyskrzyniałem jakiegoś oblesnie uśmiechniętego rzeźnika, który zasmakował w polowaniu na ludzi. I mają rację. Wyrodny ze mnie ojciec. Zwłaszcza dla Meggie. Ciągłe w pracy, nigdy w domu, a jak już tam zawitałem, to albo waliłem się od razu spać, albo byłem tak wykończony, że nie docierała do mnie połowa tego, co próbowały mi powiedzieć. Teraz wegetuję samotnie w ciasnym mieszkanku, a większości wypłaty nie oglądam na oczy. Żołądek tak mnie naparza, jakby rąbano go rzeźnicką siekierką, i chociaż jestem pewien, że to

369

tylko moja wyobraźnia, nie da się ukryć, że noszę w sobie parę porcji ołowiu. Jakby tego było mało, mam ostatnio kłopoty z zaśnięciem, jeśli nie wyłożę paru puszek piwa.

- Jezu, Lee, w pracy jesteś zawsze jak skała. Wszyscy cię szanują. Kiedy włączasz się do śledztwa, od razu widzisz rzeczy, na które ja nigdy bym nie zwrócił uwagi. Ja dopiero wyciągam notes, a ty masz już cały obraz sytuacji. Człowieka z takim instynktem w życiu nie spotkałem.

- Dzięki, Ray — mruknął Sawyer. — Tylko to jedno mi zostało. Ale nie popadaj w kompleksy. Mam nad tobą przewagę dwudziestu lat. Wiesz, co to jest instynkt? Instynkt, to oglądanie w kółko tego samego, dopóki nie zaczniesz tego czuć. Powiem ci, że jesteś o wiele lepszy niż ja, kiedy miałem za sobą sześć lat służby. Ale nie zrozum mnie źle... nie użalam się nad sobą i niech mnie diabli, jeśli szukam u kogoś współczucia. Mogłem wybierać i wybrałem. Ja sam. Jeśli życie mi się popieprzyło, to tylko z mojej winy, do nikogo nie mam o to pretensji.

Sawyer wstał, podszedł do baru i zamienił kilka słów z chudą kelnerką. Po chwili wracał już do stolika osłaniając usta złożonymi w muszelkę dłońmi, pomiędzy których snuła się cienka smużka dymu.

- Za stare, dobre czasy. — Wrzucił zapałkę do popielniczki,

rozsiadł się wygodnie na krześle, zaciągnął głęboko papierosem i zachichotał.

- Na początku tego dochodzenia, Ray, wszystko wydawało mi się proste jak drut — odezwał się po chwili. — Celem był Lieberman. Ustalamy, jak doszło do katastrofy samolotu. Sprawdzamy motywy, których jest sporo, ale nie aż tyle, żeby się w nich pogubić, i w końcu namierzamy sukinsyna, który to zrobił. Cholera, przecież tego zamachowca podano nam na tacy, z tym że już nieżywego. Wszystko pięknie ładnie. I nagle grunt usuwa nam się spod nóg. Dowiadujemy się, że Jason Archer wykręcił niewiarygodny numer i zamiast skończyć w dymiącej dziurze na wirgińskim polu, pojawił się w Seattle w roli sprzedawcy tajemnic. Czy sam to wszystko zaplanował? A czemu by nie?

Tylko że zamachowiec okazuje się być facetem, któremu udało się jakoś przesmyknąć niezauważenie przez system komputerowy wirgińskiej policji stanowej. Ja daję się zwabić do Nowego Orleanu, a tymczasem w domu Archerów dzieje się coś, wobec czego nadal jestem ciemny jak tabaka w rogu. Potem, kiedy

### 370

najmniej się tego spodziewamy, na scenę wraca Lieberman i to ni mniej, ni więcej, tylko w związku z rzekomym samobójstwem niejakiego Stevena Page'a sprzed pięciu lat, gościa, którym zainteresowaliśmy się tylko dlatego, że jego starszemu bratu, od którego prawdopodobnie wiele moglibyśmy się dowiedzieć, ktoś poderżnął gardło na parkingu. Rozmawiam z Charlesem Tiedmanem i wynoszę z tej rozmowy informację, że Lieberman może, ale tylko może, był szantażowany. Jeśli nawet był, to co to ma, u licha, wspólnego z Jasonem Archerem? Czyżbyśmy mieli do czynienia z dwoma osobnymi sprawami powiązаныmi ze sobą jedynie przez przypadek, a mianowicie przez to, że Lieberman wsiadł w samolot, którego wysadzenie zlecił komuś Archer? A może to jedna i ta sama sprawa? Ale jeśli tak, to gdzie tu, cholera, związek? Bo jeśli taki istnieje, to pewne jak diabli, że nam się wymyka.

Sawyer z nie skrywaną frustracją pokręcił głową i zaciągnął się papierosem. Wydmuchnął dym w brudny sufit, oparł się łokciem o stolik, spojrzął na Jacksona i podjął:

- Teraz do wieczności przenoszą się dwaj inni faceci próbujący ryć, na co wszystko wskazuje, pod Triton Global. A wspólnym mianownikiem dla większości powyższych pozornie odcieranych od siebie faktów jest Sidney Archer. — Sawyer przejechał sobie wolno palcem po policzku. — Sidney Archer...

Tak, szanuję tę kobietę, ale coś mi się tu zaczyna nie podobać. Chyba słusznie przywołałeś mnie do porządku. Ale zdradzę ci jeszcze jeden mały sekret, przyjacielu. — Sawyer strzepnął popiół z papierosa do popielniczki.

- Jaki?

- Sidney Archer rzeczywiście siedziała w tej limuzynie. I ten, kto załatwił tych trzech gości, pozwolił jej odejść. Potem jej pistolet trafia w ręce policji... — Sawyer ułożył lewą dłoń w kształt pistoletu i wskazując końcem papierosa poszczególne jego części, ciągnął: — Zamazane odciski palców tam, gdzie powinna go trzymać, gdyby z niego strzelała. Wyraźne odciski tylko na lufie. Jaki stąd wniosek?

- Wiemy, że miała ten pistolet w ręku — odparł bez zastanowienia Jackson. Nagle coś mu zaświtało. — Gdyby strzelał / . niego ktoś inny, ktoś w rękawiczkach, to odciski palców Archer zamazałyby się właśnie w tych miejscach, a na lufie nie.

- Właśnie. Na miejscu zbrodni znajdujemy kasetę magneto-

fonową. Prawdopodobnie wykorzystywali ją do szantażowania Sidney Archer, co do tego jesteśmy zgodni. Aby udowodnić, że ją mają, że nie blefują i że pogróżka jest realna, musieli jej odtworzyć nagranie. Sądzisz, że uciekając z miejsca zbrodni nie zabrałaby ze sobą czegoś takiego? To murowany dowód popełnienia tyłu wykroczeń przeciwko obowiązującemu prawu, że z więzienia wyszłaby chyba jako stuletnia babcia. Mówię ci, każdy w jej sytuacji rozkręciłby limuzynę na części pierwsze, byle tylko znaleźć tę taśmę. Nie, oni pozwolili jej odejść tylko z jednego powodu...

- Żeby ją wrobić w te morderstwa. — Jackson odstawił powoli kubek z kawą.
- A nam podsunąć oczywisty trop, żebyśmy się na nim skupili i przestali obwąchiwać na chybił trafił inne.
- To dlatego prosiłeś o zbadanie pozostałości powystrzałowych.

Sawyer kiwnął głową.

— Chciałem mieć pewność, że strzelcem nie był któryś z tych zabitych facetów. Bo rozumiesz, mogło dojść do szamotaniny. Niby wszystkie rany spowodowały natychmiastowy zgon, ale nigdy nic nie wiadomo. Mógł, na przykład, strzelać jeden z nich i załatwiwszy kolegów popełnić samobójstwo. Może przestraszył się tego, co zrobił, i palnął sobie w łeb, a spanikowana Sidney zabiera pistolet i wrzuca go do studzienki ściekowej. Ale to się tak nie odbyło. Z tego pistoletu nie strzelał żaden z nieboszczyków.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

• Zdradzę ci jeszcze jeden sekret, Ray — podjął w końcu Sawyer. — Dopadnę tego skurwiela, choćbym miał jeszcze przez dwadzieścia pięć lat chodzić po naszej cienkiej linii. A kiedy nadejdzie ten dzień, doznasz olśnienia.

- Jakiego?
- Przekonasz się, że Sidney Archer tak samo jak my nie ma zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Straciła męża, ma złamaną karierę, grozi jej proces o morderstwo i tuzin innych przestępstw, i zanoszą się na to, że resztę życia spędzi w więzieniu. Jest teraz śmiertelnie przerażona i ucieka, żeby ratować życie, bo nie wie już, komu może zaufać, komu uwierzyć. A ja powiem ci teraz coś, czemu, traktując wszystkie dowody tylko powierzchownie, nigdy nie dałbyś wiary.

372

- No słucham?
- Sidney Archer jest niewinna.
- Naprawdę tak myślisz?
- Ja nie myślę, ja to wiem. I chciałbym wiedzieć coś jeszcze.
- Co?

Sawyer zdusił niedopałek papierosa w popielniczce, wydychając z ust ostatnią porcję dymu.

— Chciałbym wiedzieć, kto naprawdę zabił tych trzech gości — powiedział i zamyślił się. Sidney Archer mogłaby to wiedzieć. Tylko gdzie ona u diabła jest?

Kiedy wstawali od stolika, Jackson położył dłoń na ramieniu Sawyera.

— Wiesz, Lee, nieważne, jak długo będzie trwało to przeciąganie liny między dobrymi i złymi facetami. Dopóki ty jesteś w grze, jestem z tobą.

Sidney jeszcze raz zlustrowała przez lornetkę ulicę przed domem rodziców i spojrzała na zegarek. Zapadał zmierzch. Pokręciła z niedowierzaniem głową. Czyżby idąca FedExem przesyłka spóźniła się z powodu złej pogody? Opady śniegu na wybrzeżu Maine były zwykle dość obfite, a bliskość oceanu sprawiała, że często towarzyszyła im marznąca mżawka, pogarszająca warunki jazdy. I co z tymi rodzicami? Najgorsze, że dopóki są w drodze, nie można się z nimi w żaden sposób skontaktować. Zbiegła do land rovera, połączyła się z telefonu komórkowego z informacją i zapytała o numer agencji kurierskiej Federal Express. Potem zadzwoniła pod 800 i podała telefonistce nazwiska i adresy nadawcy i odbiorcy przesyłki. Przez chwilę słyszała tylko klekot komputerowej klawiatury, a potem telefonistka udzieliła jej zdumiewającej odpowiedzi.

- To znaczy, że nie odnotowaliście faktu nadejścia tej przesyłki?
- Nie, proszę pani. Z naszego rejestru wynika, że ta przesyłka jeszcze nie nadeszła.
- Ależ to niemożliwe. Musiała nadejść. To na pewno jakaś pomyłka. Proszę sprawdzić jeszcze raz. — Sidney z rosnącym zniecierpliwieniem wysłuchiwała ponownie stukotu klawiatury. Odpowiedź była ta sama.

— Może powinna pani sprawdzić, czy nadawca rzeczywiście wysłał tę przesyłkę?

Sidney rozłączyła się, wbiegła do domu, znalazła w torebce numer telefonu Fishera i wróciła do land rovera. Prawdopodobieństwo zastania Fishera w domu było niewielkie — niewątpliwie wziął sobie do serca jej ostrzeżenie — ale pewnie sprawdza co jakiś czas telefonicznie, czy ktoś nie nagrał mu się na automatycznej sekretarce. Ręce jej drżały. A jeśli Jeff nie zdołał nadać przesyłki? Przed oczyma stanęła jej tamta skierowana na nią lufa pistoletu z limuzyny. Eksplodujące lepka mazią głowy Brophy'ego i Goldmana. Wszystko to na nią. Zdruzgotana opuściła głowę i siedziała przez chwilę nieruchomo z czołem opartym na kierownicy, a potem sięgnęła po telefon i wybrała z klawiatury, numer.

Po trzecim czy czwartym sygnale połączenie zostało zrealizowane. W słuchawce rozległo się „halo”, Sidney, przekonana, że to automatyczna sekretarka, zaczęła recytować wiadomość.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że głos po drugiej stronie linii należy do człowieka z krwi i kości.

— Halo? — powtórzył głos.

Po chwili zawahania Sidney postanowiła kontynuować.

- Poproszę z Jeffem Fisherem.
- A kto mówi?
- Jestem... jestem jego znajomą.
- Wie pani, gdzie on teraz jest? — spytał głos. — Ja też go poszukuję.

Sidney zjeżyły się włoski na karku.

— Z kim rozmawiam?

— Sierżant Rogers z posterunku policji w Alexandrii.

Sidney natychmiast przerwała połączenie.

W domku Jeffa Fishera wiele się zmieniło od niedawnej wizyty tam Sidney Archer, a najbardziej rzucał się w oczy brak choćby jednej sztuki sprzętu komputerowego. Sąsiedzi zwrócili uwagę na ciężarówkę firmy przewozowej podjeżdżającą w środku dnia pod dom. Jeden z nich wdał się nawet w pogawędkę z tragarzami.

Myślał, że wszystko odbywa się legalnie. Co prawda Fisher nie wspominał nikomu, że zamierza się przeprowadzić, ale robotnicy zachowywali się zupełnie swobodnie, bez pośpiechu pakowali wszystko do pudeł, odnotowując sumiennie każdy przedmiot, i po

374

jakimś czasie zrobili sobie nawet przerwę na papierosa. Dopiero po ich odjeździe okoliczni mieszkańcy nabrali podejrzeń. Najbliższy sąsiad Fishera zajrząwszy do domu stwierdził ze zdziwieniem, że zabrano tylko kosztowny sprzęt komputerowy, nie tykając ani jednego mebla. Wezwano policję.

Sierżant Rogers podrapał się po głowie. Miał problem: Fisher przepadł jak kamień w wodzie. Szukano go w miejscu pracy, u rodziny w Bostonie, u miejscowych znajomych. Bez rezultatu. Ustalono, że przed dwoma dniami funkcjonariusze z alexandryjskiego posterunku policji zatrzymali Fishera za jazdę po pijanemu. Przesiedział noc w areszcie, rano wpłacił kaucję, wyznaczono mu datę rozprawy i zwolniono. Od tamtego czasu nikt go nie widział. Rogers skończył raport, schował długopis i wyszedł.

Sidney wbiegła po schodach na górę, wpadła do sypialni, zatrzaśnięta za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Chwyciła leżący na łóżku winchester, wycofała się w kąt pokoju i usiadła na podłodze, kierując lufę na drzwi. Kręciła z niedowierzaniem głową, łzy płynęły jej po policzkach. Boże, po co wciągała w to Jeffa!

Sawyer odebrał telefon od Franka Hardy'ego w swoim biurze w Budynku Hoovera. Zrelacjonował Hardy'emu zwięźle ustalenia ekspertyzy laboratoryjnej, z których jego zdaniem wynikało, że Goldmana i Brophy'ego nie zabiła Sidney Archer.

- Myślisz, że zrobił to Jason Archer? — spytał Hardy.
- To by nie miało sensu.
- Racja. Wracając tam za dużo by ryzykował.
- Nie chce mi się też wierzyć, że starałby się wrobić w te morderstwa żonę — dodał Sawyer i zawiesił na chwilę głos. — RTG zajęła już w tej sprawie stanowisko?
  - Właśnie dlatego dzwonię. Prezes RTG, Alan Porcher, jest nieosiągalny. Są bardzo zaskoczeni. Naturalnie ich rzecznik stanowczo zaprzecza, jakoby mieli z tym coś wspólnego.
  - A co ze sprawą przejęcia CyberComu?
  - Tu przynajmniej wieści są dobre. Ostatnie wydarzenia stawiające w niejasnym świetle RTG skłoniły CyberCom do przyjęcia oferty Tri tona. Na dzisiejsze popołudnie zwołano konferencję prasową, na której ogłoszone zostanie zawarcie umowy. Przyjdiesz?

375

- Może. Nathan Gamble pieje pewnie ze szczęścia.
  - Trafnie to ująłeś. Konferencja odbędzie się w centrali Tritona. Jeśli chcecie z Rayem wziąć w niej udział, to zostawię dla was w recepcji plakietki gości.
- Sawyer zastanawiał się przez chwilę, czy przyjąć to zaproszenie. — Dobrze, wpadniemy, Frank — odparł w końcu.

Sawyer i Jackson z jaskrawożółtymi plakietkami gości w klapach wkroczyli do sali, która pomimo swoich imponujących rozmiarów pękała w szwach.

- Ja cię kręcę, to się nazywa wydarzenie. — Jackson ogarnął wzrokiem zbitą ciżbę dziennikarzy, przedstawicieli przemysłu,

analityków finansowych i przeróżnej maści inwestorów.

- Pieniądze, Ray, pieniądze. — Sawyer wziął ze stołu z poczęstunkiem dla gości dwa kubki kawy, wręczył jeden partnerowi, po czym wspiął się na palce i rozejrzał po morzu głów.

- Szukacie kogoś? — Obok nich wyrósł jak spod ziemi Frank Hardy.

Jackson uśmiechnął się.

- Tak, kogoś ubogiego. Ale chyba źle trafiliśmy.
- Raczej tak. Wyczuwasz to napięcie?
- Czy wykupienie jednej firmy przez drugą to dla nich naprawdę taka sensacja? — zapytał Jackson, ruchem głowy wskazując armię dziennikarzy.
  - Owszem. Trudno byłoby mi wymienić chociaż jedną amerykańską firmę przewyższającą CyberCom pod względem potencjału.
  - Skoro ten CyberCom jest taki mocny, to po co im Triton?
  - Łącząc się z Tritonem stają się partnerami światowego lidera i uzyskują dostęp do miliardów dolarów potrzebnych na produkcję, marketing, inwestycje. Na rezultaty nie trzeba będzie długo czekać. Za dwa lata Triton zdominuje swoją branżę, tak jak dominują teraz w swoich General Motors i IBM, tylko na o wiele większą skalę. Za pośrednictwem sprzętu, oprogramowania i nowych technologii stworzonych przez powstający dzisiaj związek dwóch firm realizowany będzie wkrótce przepływ dziewięćdziesięciu procent światowej informacji.

Sawyer, kręcąc głową, wypił duszkiem kawę.

— Cholera, Frank — mruknął. — Czyli dla innych niewiele miejsca zostanie. Co z nimi będzie?

376

Hardy uśmiechnął się blade.

— To kapitalizm, Lee. Tutaj obowiązuje prawo dżungli. Przeważają najlepiej przystosowani. Pewnie oglądasz filmy przyrodnicze o zwierzętach, które żeby przetrwać, walczą ze sobą, pożerają się nawzajem. Nie jest to przyjemny widok. — Spojrzał w kierunku małego podwyższenia, na którym ustawiono mównicę. — Zaraz się zaczyna, chłopcy. Zarezerwowałem dla was krzesła z przodu. Chodźmy.

Przeprowadził agentów przez tłum, za linię odgradzającą trzy pierwsze rzędy miejsc. Na podwyższeniu z lewej strony mównicy siedziały cztery osoby. Jedną z nich był Quentin Rowe. Przywdział na dzisiejszą okazję strój trochę bardziej formalny, ale chociaż miał setki milionów dolarów na koncie, to krawata najwyraźniej ani jednego. Prowadził ożywioną rozmowę z trzema mężczyznami w niezbyt reprezentacyjnych urzędniczych garniturkach, w których Sawyer domyślił się przedstawicieli CyberComu.

Hardy chyba czytał w jego myślach.

- To, od lewej, dyrektor naczelny, główny księgowy i dyrektor ekonomiczny CyberComu — powiedział.

- I dobrze im tak — mruknął Sawyer.

Hardy trącił go w bok. Na podwyższenie wspiął się właśnie elegancki, uśmiechnięty Nathan Gamble. Kiedy zajął miejsce za mównicą, gwar wypełniający salę ścisł tak raptownie, jakby to ze swoimi kamiennymi tablicami zstąpił z góry Synaj sam Mojżesz. Gamble wyjął z kieszeni kartki z przygotowanym wystąpieniem i zaczął mówić. Sawyer słuchał go jednym uchem. Bardziej interesował go teraz Quentin Rowe. Młody człowiek wpatrywał się w Gamble'a, ale nie było to spojrzenie przyjazne. Z przemówienia prezesa Tritona do Sawyera dotarło tylko tyle, że najważniejsze są pieniądze, duże pieniądze, które wiążą się z dominacją na rynku. Kiedy Gamble skończył — a był elokwentnym mówcą,



to Sawyer musiał mu przyznać — zgotowano mu gorącą owację. Po nim miejsce za mównicą zajął Quentin Rowe. Uśmiechy, które mijając się wymienili z Gamble'em, były tak fałszywe, że podobne Sawyer oglądał tylko na kiepskich filmach.

W odróżnieniu od Gamble'a, Rowe w swoim wystąpieniu największy nacisk kładł na nieograniczony potencjał obu firm. Tandem Triton-CyberCom mógł podbić całą planetę. Ani razu nie wspomniał o pieniądzach. Zresztą, zdaniem Sawyera, Gamble

377

wyczerpał już ten temat. Agent zerknął na prezesa Tritona. Gamble nie patrzył w ogóle na Rowe'a. Gawędził w najlepsze z przedstawicielami CyberComu. Rowe, kiedy to zauważył, stracił na chwilę wątek. Jego wystąpienie przyjęto dosyć anemicznymi oklaskami. Dobro tego świata przegrywało najwyraźniej w konkurencji z Zielonym. Przynajmniej wśród tego audytorium.

Teraz głos zabrali kolejno trzech przedstawiciele CyberComu, a potem cała piątka zaczęła sobie ścisnąć dłonie. Zabłyły flesze, w ruch poszły kamery. Sawyer zauważył, że Gamble i Rowe skwapliwie unikają fizycznego kontaktu. Cały czas ustawiali się tak, żeby mieć między sobą chłopców z CyberComu. Może właśnie dlatego tak bardzo parli obaj do tej fuzji — mieli teraz strefę buforową.

W końcu zeszli z podwyższenia i zasypywani gradem pytań wmieszali się w tłum. Gamble rozdzielał uśmiechy, dowcipkował, krótko mówiąc wiódł prym, ludzie z CyberComu dzielnie mu sekundowali. Wyłamał się tylko Rowe, który przecisnął się do stołu z przekąskami i napojami, wziął sobie kubek herbaty i zaszył się z nim w ustronnym kącie.

Sawyer pociągnął Jacksona za rękaw i ruszyli obaj w kierunku Rowe'a. Hardy poszedł słuchać tokującego Gamble'a.

— Niezłe wystąpienie — powiedział Sawyer, kiedy podeszli do Rowe'a.

Rowe podniósł wzrok na stojących przed nim agentów. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz ich zauważył.

— Słucham...? A, dziękuję.

— To mój partner, Ray Jackson.

Rowe i Jackson podali sobie ręce.

Sawyer obejrzał się na tłumek otaczający Gamble'a.

— On chyba lubi być w centrum uwagi.

Rowe upił łyżeczek herbaty i osuszył wargi serwetką.

— Tą wylewnością pokrywa swoje prostackie podejście do prowadzenia interesów i ograniczoną orientację w tym, co naprawdę robimy — powiedział z pogardą.

Jackson usiadł obok niego.

— Podobało mi się to, co pan mówił o przyszłości. Moje dzieciaki mają kota na punkcie komputerów. To prawda, co pan powiedział: otworzenie wszystkim, także niezamożnym, szerszego dostępu do edukacji, to lepiej płatna praca, mniejsza przestępczość, lepszy świat. Ja w to wierzę.

378

— Dziękuję. Ja też. — Rowe spojrział z uśmiechem na Sawyera. — Ale nie sądzę, żeby pański partner podzielał nasz pogląd...

Sawyer przestał rozglądać się po sali i popatrzył na niego z wyrzutem.

• Chwileczkę, jestem za tymi wszystkimi pozytywnymi przemianami — powiedział. — Tylko nie zabierajcie mi papieru i ołówka. To moje jedyne zastrzeżenie. — Wskazał trzymanym w ręku kubkiem na trójkę przedstawicieli CyberComu. — Zauważyłem, że znajduje pan z tymi facetami wspólny język.

- Owszem. Co prawda nie myślą tak liberalnie jak ja, ale dalecy są od gambrowskiego kultu pieniądza. Chyba wniosą do Tritona pewną równowagę. Byle tylko przemęczyć dwa najbliższe miesiące negocjowania ostatecznego kształtu dokumentów.

- Czy będzie się tym zajmowała kancelaria Tylera & Stone'a? — spytał Sawyer.

- Tak.

- I dalej będziecie korzystali z ich usług, kiedy umowa z CyberComem zostanie już dopięta na ostatni guzik?

- O to musi pan zapytać Gamble'a. To zależy od niego. On jest szefem firmy. Wybaczcie, panowie, ale na mnie już pora. — Rowe wstał i odszedł.

— Co go gryzie? — spytał Jackson Sawyera.

Sawyer wzruszył potężnymi barkami.

- Rozumiałbyś, gdyby przyszło ci mieć Nathana Gamble'a za partnera.

- I co teraz?

- Weź sobie następny kubeczek kawy, Ray, i pokręć się tutaj.

Ja chciałbym jeszcze zamienić słówko z Rowe'em — odparł Sawyer i wmieszał się w tłum.

Jackson rozejrzał się, a potem podszedł do stołu z poczęstunkiem.

Sawyer, pochłonięty torowaniem sobie drogi przez ludzkie mrowie, stracił Rowe'a z oczu. Wydostawszy się ze ścisku rozejrzał się szybko i dostrzegł go wychodzącego z sali. Miał już za nim ruszyć, kiedy poczuł pociągnięcie za rękaw.

— Od kiedy to rządowy biurokrata interesuje się sprawami sektora prywatnego? — spytał Nathan Gamble.

Sawyer posłał jeszcze jedno spojrzenie na drzwi, w których przed chwilą widział Rowe'a, ale młody człowiek znikł już za nimi.

379

— Nie mam nic przeciwko zarabianiu — powiedział odwracając się do Gamble'a. — A swoją drogą, ładnie pan przemawiał. Do tej pory ciarki mi chodzą po plecach.

Gamble wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Akurat. Napijesz się pan czegoś mocniejszego? — zapytał pokazując na styropianowy kubek agenta.

- Niestety jestem na służbie. Poza tym trochę za wcześnie jak na mnie.

- Świątujemy tutaj, panie agent. Ogłosiłem przed chwilą zawarcie największej transakcji swojego życia. Chyba wypada to oblać, no nie?

- To nie moja transakcja — odparł Sawyer.

- Nigdy nie wiadomo — rzucił prowokująco Gamble. — Przespacerujmy się.

Przeszli przez podwyższenie i wąskim korytarzykiem dotarli do małego pomieszczenia na zapleczu. Gamble zagłębił się w fotelu i wyciągnął z kieszeni marynarki cygaro.

— Nie chcesz się pan ze mną napić, to przynajmniej zapal.

Sawyer przyjął cygaro.

Gamble podał mu ognia, a potem, pomachawszy płonąca zapalką tam i z powrotem jak flagą, rzucił ją na podłogę i przydeptał.

- Hardy mówi, że chcesz się pan u niego zatrudnić — powiedział.

- Prawdę powiedziawszy, jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

- Mógłbyś pan o wiele więcej zarobić.

- Teraz też źle nie zarabiam.

Gamble uśmiechnął się ironicznie.

- Coś takiego! Ile wyciągasz rocznie?
  - Nie twój zakichany interes.
- Jezu, ja ci o swoich dochodach powiedziałem... No, mniej więcej.
- Sawyer włożył cygaro między zęby. W jego oczach pojawiło się rozbawienie.
- Na pewno mniej od ciebie. Zadowolony?
- Gamble parsknął śmiechem.
- Co cię tak interesuje moja pensja? — spytał Sawyer.
  - Wcale mnie nie interesuje. Ale obserwuję ciebie, a wiedząc, jak rząd robi interesy, podejrzewam, że za mało ci płacą.
  - I co z tego? Jeśli nawet, to już nie twój problem.

380

• Ja nie jestem od przejmowania się problemami, ja jestem od ich rozwiązywania. To robota prezesów, Sawyer. Patrzą perspektywicznie, w każdym razie powinni. No więc, jak będzie?

- Co jak będzie?

Gamble z figlarnym błyskiem w oku wydmuchnął w sufit kłąb dymu.

Sawyer zrozumiał wreszcie, o co mu chodzi.

- Proponujesz mi pracę? — zapytał.
- Hardy mówi, że jesteś najlepszy. A ja zatrudniam tylko najlepszych.

- A na jakim konkretnie stanowisku masz wakat?

- Szefa ochrony, to się chyba rozumie.

— Myślałem, że Lucas już je zajmuje.

Gamble wzruszył ramionami.

• O to niech cię głowa nie boli. Zresztą on jest właściwie moim osobistym gorylem. Płacę mu cztery razy tyle, ile zarabiał na rządowej posadzie. Tobie dam więcej.

- Jak rozumiem, winą za to, co zrobił Archer, obarczasz

Lucasa.

- Kogoś trzeba. No więc jak?

- A co z Hardym?

• Nim się nie przejmuj. Kto powiedział, że nie mogę mu ciebie podkupić? Mając w swoich szeregach ciebie, może nie będę go już potrzebował.

• Frank jest moim przyjacielem. Nie zrobię niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. To nie w moim stylu. •

• Spokojnie, facet nie zejdzie przez to na psy. Zarobił już u mnie od groma forsy — odparł Gamble i wzruszył ramionami. — Ale rób, jak uważasz.

Sawyer wstał.

— Szczerze mówiąc, śmiem wątpić, czy my dwaj długo byśmy ze sobą wytrzymali.

Gamble obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem.

— Wiesz, chyba masz rację.

Sawyer odwrócił się i wyszedł z pokoju. Za progiem omal nie wpadł na Richarda Lucasa, który stał pod drzwiami.

- Cześć, Rich. Wszędzie cię pełno.

- To należy do moich obowiązków — odburknął Lucas.

• Święty z ciebie człowiek. — Sawyer wskazał ruchem głowy na kopiącego cygaro Nathana Gamble'a i oddalił się.

381

Telefon zadzwonił w momencie, kiedy Sawyer wchodził do swojego biura.

- Tak?

- Charles Tiedman do ciebie, Lee.

- Już odbieram. — Wdusił mrugający czerwienią przycisk na

aparacie. — Cześć, Charles.

- Lee, dzwonię w związku z twoją prośbą. — Głos bankiera był szorstki, formalny.

Sawyer zaczął przerzucać kartki notesu, szukając zapisków ze swojej rozmowy z Tiedmanem.

- Prosiłem cię o sprawdzenie dat zmieniania przez Liebermana stóp procentowych — powiedział po chwili.

- Woląłem nie przysłać ci ich pocztą ani faksem. Są co prawda powszechnie znane, no, nie wiedziałem, komu poza tobą mogłyby wpaść w oko. Po co wywoływać wilka z lasu.

- Rozumiem — mruknął Sawyer. Boże, ci faceci z Zarządu Rezerwy mają kota na punkcie tajemnic, pomyślał. — To może byś mi je teraz przedyktował?

Tiedman odchrząknął i zaczął:

— Takich przypadków było pięć. Pierwsza zmiana miała miejsce dziewiętnastego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Następne wprowadzane były kolejno dwudziestego ósmego lutego następnego roku, dwudziestego siódmego września dziewięćdziesiątego drugiego, piętnastego listopada tego samego roku i ostatnia szesnastego kwietnia dziewięćdziesiątego trzeciego.

Sawyer notował skrzętnie dyktowane przez Tiedmana daty.

- I jaki był ostateczny efekt po wprowadzeniu wszystkich pięciu zmian? — zapytał.

- W ostatecznym efekcie stopa kapitałowa Zarządu Rezerw Federalnych wzrosła o pół punkta procentowego. Z tym, że na początku Lieberman obniżył tę stopę o jeden punkt procentowy, a na koniec podniósł go o trzy czwarte punktu.

- To chyba dużo, jak na raz.

- Gdybyśmy byli wojskowymi i rozmawiali o systemach broni, jeden punkt procentowy można by porównać do zrzucenia bomby nuklearnej.

- O ile się orientuję, przeciek w sprawie decyzji Zarządu Rezerwy Federalnej dotyczącej wysokości stóp procentowych mógłby przynieść ludziom krociowe zyski.

- Wcześniejsza znajomość planowanych przez Zarząd regu-

382

lacji stóp procentowych praktycznie nic nie daje — powiedział Tiedman.

Matko Boska, Sawyer zamknął oczy, uderzył się otwartą dłonią w czoło i odchylił razem z fotelem tak bardzo, że o mało nie nakrył się nogami. Przemknęło mu przez myśl, żeby przyłożyć swojego wiernego dziesięciomilimetrowca do skroni i oszczędzić sobie dalszych cierpień.

- No to po co ta cała, przepraszam za wyrażenie, cholerna tajemniczość? — zapytał.

- Źle mnie zrozumiałeś. Ludzie nie mający skrupułów potrafią, naturalnie, na niezliczone sposoby wykorzystywać zyskiem znajomość wewnętrznych informacji o pracach Zarządu. Ale wcześniejsza wiedza o planowanych przez Zarząd posunięciach raczej nie ma dla nich specjalnej wartości. Na rynku funkcjonuje cała armia obserwatorów działań Zarządu tak sprawnych w tym, co robią, że kręgi finansowe wiedzą ze sporym wyprzedzeniem, czy Zarząd zamierza obniżyć, czy podnieść stopy procentowe — i o ile. W efekcie rynek zna zawsze nasze decyzje, zanim my wprowadzimy je w życie. Czy jasno się wyraziłem?

- Bardzo. — Sawyer westchnął głośno. I naraz wyprostował się na krześle. — A jeśli rynek się pomyli? — zapytał.

Tiedman, sądząc z tonu, bardzo był rad z tego pytania.

- A to już zupełnie inna sprawa. Jeśli rynek się pomyli, to w światku finansowym może dojść do potężnych tąpnięć — odparł.

- Czyli gdyby ktoś wiedział, że zanosi się na jedno z takich nie planowanych, niespodziewanych posunęć, mógłby na tym sporo zarobić?

- Sporo, to mało powiedziane. Każdy, kto wie z góry, że Zarząd zmieni niespodziewanie stopy procentowe, w sekundę po ogłoszeniu przez Zarząd tej decyzji może potencjalnie zarobić miliardy dolarów. — Sawyer gwizdnął cicho. — Istnieje mnóstwo sposobów, na które można to zrobić, Lee — ciągnął Tiedman — a chyba najlucracyjniejszym z nich są eurodolarowe kontrakty zawierane na Międzynarodowym Rynku Finansowym w Chicago. Zysk wynosi tam tysiąc do jednego. No i giełda, rzecz jasna. Stopy procentowe idą w górę, rynek w dół, i vice versa, to proste. Możesz zarobić miliardy, jeśli twoje przewidywania są słuszne, i stracić miliardy, jeśli się pomylisz... — Tiedman zamilkł na chwilę, po czym powiedział: — Lee, podejrzewam, że chcesz mi zadać jeszcze jedno pytanie.

Sawyer, przytrzymując słuchawkę brodą, robił pospiesznie notatki.

- Tylko jedno? Dopiero zacząłem się rozgrzewać — odparł.
- Zadając to jedno, będziesz mógł sobie darować wszystkie inne.

Chociaż z pozoru mogło się wydawać, że Tiedman się z nim bawi, agent wyczuwał w tonie bankiera śmiertelną powagę. Wyteżył umysł. I nagle doznał olśnienia. Niemal wykrzyczał to pytanie do słuchawki:

— Czy wszystkie zmiany stóp procentowych, których daty mi podałeś, były dla rynku zaskoczeniem?

Tiedman nie odpowiedział od razu.

- Tak — rzucił w końcu. Ładunek emocjonalny jego tonu był niemal namacalny. — Były to dla rynku finansowego niespodzianki najgorszego rodzaju, nie następowały bowiem w efekcie regularnie zwoływanych posiedzeń Zarządu, lecz były wprowadzane z zaskoczenia, jednostronną decyzją prezesa, czyli Arthura.

- To on mógł samowolnie zmieniać stopy?

- Tak. Zarząd może wyposażyć prezesa w takie kompetencje. Często to robiono w ubiegłych latach. Arthur naciskał mocno i w końcu wywalczył sobie ten przywilej. Wybacz, że wcześniej ci tego nie powiedziałem. Nie wydawało mi się to takie ważne.

- Nie szkodzi — mruknął Sawyer. — I dzięki tym zmianom stóp ktoś mógł zarobić więcej dolców, niż jest gwiazd na niebie?

- Tak — przyznał bardzo cicho Tiedman. — Tak — powtórzył głośniejszym głosem. — Ale trzeba też pamiętać o tych, którzy na tym co najmniej tyle samo stracili.

- Co masz na myśli?

- Cóż, jeśli masz rację, i Arthur rzeczywiście zmuszany był szantażem do manipulowania stopami procentowymi, to jego ekstremalne posunięcia — regulowanie stopy kapitałowej Zarządu Rezerwy Federalnej aż o jeden punkt procentowy na raz — każą mi wnioskować, że celem było zaszkodzenie innym.

- Dlaczego? — spytał Sawyer.

- Bo gdyby jedynym celem manipulowania stopami procentowymi był czysty zysk, to dopóki kierunek ich zmiany — wzrost albo spadek — stanowił dla rynków zaskoczenie, nie byłoby potrzeby stosowania zmian aż tak drastycznych. A ruch o cały punkt procentowy w którąkolwiek stronę oznacza katastrofę dla inwestorów, którzy spodziewali się zmiany w kierunku przeciwnym.

- Jezu. Istnieje możliwość ustalenia, kto zainkasował takie

nokautujące ciosy?

- Przy obecnej złożoności dróg przepływu kapitału nie starczyłoby nam na to życia.

Tiedman zamilkł i nie odzywał się przez dobrą minutę, a Sawyer miał kompletną pustkę w głowie i żadnego pomysłu na podtrzymanie rozmowy. W końcu pierwszy milczenie przerwał Tiedman. Głos miał znużony.

- Do naszej poprzedniej rozmowy nawet przez myśl mi nie przeszło, że związek Arthura z Stevenem Page'em może zostać wykorzystany do zmuszenia go do czegoś takiego. Teraz wydaje mi się to dosyć oczywiste.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że jak dotąd nie mamy żadnego dowodu na to, że Lieberman faktycznie był szantażowany?

- Obawiam się, że odpowiedzi na to pytanie chyba nigdy nie poznamy — powiedział Tiedman. — Zwłaszcza że Steven Page też nie żyje.

- Nie wiesz czasem, czy Page był kiedykolwiek w mieszkaniu Liebermana?

- Wątpię. Arthur wspominał mi kiedyś, że wynajął domek w Connecticut. Ale prosił mnie, żebym nie wygadał się z tym przed jego żoną.

- Sądziś, że właśnie tam Page spotykał się z Liebermanem?

- Być może.

- Powiem ci, co o tym wszystkim myślę... Steven Page zostawił po sobie spory spadek. Górę forsy.

- Jak to? — wykrztusił Tiedman tonem człowieka kompletnie zaszokowanego. — Arthur wiele razy mówił, że Steven ciągle narzeka na brak pieniędzy, dobrze pamiętam.

- Mimo to nie podlega dyskusji, że umarł jako bardzo bogaty człowiek. Zastanawia mnie, czy źródłem tego bogactwa nie był czasem Lieberman.

- Mało prawdopodobne. Jak powiedziałem, z moich rozmów z Arthurem wynikało, że on nie uważał Stevena za zamożnego. Zresztą wykluczone, żeby Arthurowi udało się przelać na konto Stevena Page'a jakąś większą sumę bez wiedzy żony.

- To po co ryzykował, wynajmując ten domek? Nie mogli się spotykać w mieszkaniu Page'a?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że Arthur nigdy mi nie wspominał, że odwiedzał Stevena Page'a w jego mieszkaniu.

- Może to Page podsunął pomysł wynajęcia tego domku?

- A co to za różnica?

- Bo jeśli Page'a nie zasilął finansowo Lieberman, to musiał to robić ktoś inny. A nie sądziś, że Lieberman nabrałby pewnych podejrzeń, gdyby wszedł do mieszkania Page'a i zobaczył na ścianie Picassa? Nie zapytałby go, skąd wziął na to pieniądze?

- Oczywiście, że zapytałby.

- Zaznaczam od razu: jestem przekonany, że to <nie Page szantażował Liebermana. A przynajmniej nie bezpośrednio.

- Skąd ta pewność?

- Lieberman miał w swoim mieszkaniu fotografię Page'a. Trudno mi uwierzyć, żeby trzymał zdjęcie szantażysty. Znaleźliśmy tam również sporo nie podpisanych listów o romantycznej treści. Lieberman był do nich najwyraźniej bardzo przywiązany.

- Myślisz, że autorem tych listów był Page?

- Możemy się co do tego upewnić. Przyjaźniłeś się z Page'em. Czy masz jakieś próbki jego pisma?

- Mam jeszcze kilka odręcznie pisanych listów, które dostałem od niego, kiedy pracował w Nowym Jorku. Mogę ci je

przysłać. — Tiedman zawiesił głos. Słysząc było, jak robi notatkę. — Lee, wyrecytowałeś jednym tchem, jak Page nie mógł zdobyć swoich milionów. Skąd je zatem miał?

- Zastanów się. Jeśli Page i Lieberman mieli romans, to chyba zgodzisz się ze mną, że amunicji do szantażu było aż nadto.
- Owszem.
- No właśnie. Czy nie pomyślałeś, że do nawiązania romansu z Liebermanem mógł namówić Page'a ktoś trzeci?
- Przecież to ja ich sobie przedstawiłem... Chyba nie podejrzewasz mnie o uknuć tego ohydneho spisku.
- Fakt, że prezentacji dokonałeś ty, nie oznacza jeszcze, że Page i jego sponsor jej nie zaaranżowali, nie przygotowali pod nią wcześniej gruntu, obracając się w odpowiednich kręgach ludzi, reklamując w odpowiednich kręgach finansowy geniusz Page'a.
- Mów dalej...
- No i Lieberman połyka haczyk. Ten trzeci przewiduje, dajmy na to, że pewnego dnia Lieberman może zasiąść w fotelu prezesa Zarządu Rezerwy Federalnej. Uzbrajają się z Page'em w cierpliwość. Sponsor płaci Page'owi, żeby ten podtrzymywał

386

romans. I od samego początku prowadzą w wiadomych celach drobiazgową dokumentację tego związku.

• Czyli Steven Page był tylko wyrachowanym wykonawcą zaplanowanej intrygi i nigdy nie czuł nic do Arthura. Nie... ja w to nie wierzę. — Z głosu bankiera przebijało przygnębienie.

• Potem Page łapie HIV-a i rzekomo popełnia samobójstwo — podjął Sawyer.

• Rzekomo? Masz jakieś wątpliwości co do okoliczności jego śmierci?

• Jestem glina, Charles, mam wątpliwości nawet co do samego papieża. Page umiera, ale jego wspólnik nadal chodzi po tym świecie i czeka. Lieberman zostaje w końcu prezesem Zarządu, i bach, zaczyna się szantażowanie.

• A śmierć Arthura?

• W naszej pierwszej rozmowie wspominałeś, że Lieberman zdawał się cieszyć, że jest śmiertelnie chory na raka, a to nasuwa mi pewne przypuszczenie...

• Jakie?

• Że zamierzał posłać swojego szantażystę do wszystkich diabłów i ujawnić całą aferę.

• Wszystko zaczyna idealnie do siebie pasować — przyznał z podnieceniem Tiedman.

Sawyer zniżył głos.

• Mam nadzieję, że nie wspominałeś nikomu o naszej rozmowie?

• Nie.

• To dobrze, tak trzymaj i ani na chwilę nie zaniedbuj czujności.

• Co ty mi właściwie sugerujesz? — spytał z niepokojem Tiedman.

• Doradzam ci po prostu, żebyś zachowywał jak najdalej posuniętą ostrożność i nie powtarzał absolutnie nikomu — ani żadnemu z członków Zarządu z Walterem Burnsem włącznie, ani swojej sekretarce, ani swoim asystentom, ani swojej żonie, ani znajomym — o czym rozmawialiśmy.

• Chcesz przez to powiedzieć, że coś mi grozi? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

• Arthur Lieberman z pewnością myślał tak samo — powie-

Charles Tiedman chwycił leżący na biurku ołówek i ścisnął go w rękę z taką siłą, że ten pękł z trzaskiem na dwoje.

— Zastosuję się ściśle do twojej rady. — Przestraszony nie na żarty Tiedman rozłączył się.

Sawyer odchylił się na oparcie fotela i marząc o jeszcze jednym papierosie, oddał się rozważaniom. Ktoś najwyraźniej płacił Stevenowi Page'owi. Za co? Za wystawienie Liebermana, to chyba logiczne wytłumaczenie. Kim był ten ktoś? I kto zabił Stevena Page'a? Chociaż zebrany materiał dowodowy zdecydowanie to wykluczał, Sawyer był przekonany, że Steven Page został zamordowany. Sięgnął po słuchawkę.

— Ray? Lee z tej strony. Chciałbym cię prosić o złożenie jeszcze jednej wizyty osobistemu lekarzowi Liebermana.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Bill Patterson spojrzął na zegar z deski rozdzielczej i rozprosował zeszytywniałe kości. Wracali na południe, od Bell Harbor dzieliły ich jeszcze dobre dwie godziny jazdy. Obok pochrapywała żona. Wyprawa na bazar trwała znacznie dłużej, niż się spodziewali. Sidney Archer myliła się. Trasę do Bell Harbor pokonali bez przystanków i do domu na plaży dotarli tuż przed burzą. Złożyli bagaże w sypialni i postanowili kupić coś do jedzenia, zanim burza rozpęta się na dobre. Bazar w Bell Harbor był zamknięty, musieli więc pojechać na północ do Porta Vista. W drodze powrotnej natrafili na przeszkodę w postaci złożonej w szczyryk cysterny stojącej w poprzek szosy. Przenocowali w motelu.

Patterson zerknął przez ramię. Na tylnej kanapie, z usteczkami ułożonymi w kółeczko, drzemała Amy. Spojrzął przed siebie na sypiący gęsto śnieg i skrzywił się. Na szczęście nie dotarła doń jeszcze najświeższa wiadomość, że jego córka jest poszukiwaną przestępczynią. I bez tego dosyć miał zmartwień na głowie. Ze zdenerwowania poobgryzał już sobie do żywego mięsa paznokcie i ścisnęło go w dołku. Znowu musiał ochraniać Sidney, tak jak to czynił z poświęceniem, kiedy była małą dziewczynką. Wtedy walczył głównie z duchami i strachami. Obecni wrogowie byli chyba o wiele groźniejsi. Dobrze chociaż, że ma przy sobie Amy. Niech Bóg ma w opiece tego, kto waży się podnieść rękę na jego

388

wnuczkę. I ciebie, Sidney, niech też Bóg ma w swojej opiece, pomyślał.

Ray Jackson stanął w progu ciasnego pokoju. Lee Sawyer siedział za biurkiem, zatopiony w lekturze zawartości teczek z jakimiś aktami. Przed nim, na podgrzewaczu, stał dzbanek kawy, a obok talerz z nie dojedzonym posiłkiem. Jackson nie przypominał sobie, żeby Sawyer zawałił kiedyś robotę. Jednak coraz bardziej na niego naciskano — od wewnątrz zniecierpliwiony dyrektor FBI, z zewnątrz prasa, Biały Dom i Kapitol. Jackson skrzywił się. Cholera, jeśli im się wydaje, że to takie łatwe, to niech ruszą tyłki i sami spróbują rozwikłać tę sprawę.

— Hej, Lee?

Sawyer drgnął i podniósł wzrok znad papierów.

— Cześć, Ray. Świeżo parzona, gorąca kawka, obsłuż się.



Jackson nalał sobie kawy i usiadł.  
— Chodzą słuchy, że góra daje ci ostatnio popalić w związku z tą sprawą.

Sawyer wzruszył ramionami.

- Ich prawo.
- Chcesz o tym pogadać?
- A o czym tu gadać? Wszystko gra, każdy chce wiedzieć, kto stał za zamachem na ten samolot. Ja też. Chcę się również dowiedzieć o wiele, wiele więcej. Chcę się dowiedzieć, kto zrobił sobie tarczę strzelniczą z Jima Rikera, chcę się dowiedzieć, kto zamordował Stevena i Eda Page'ów. Chcę się dowiedzieć, kto załatwił tych trzech gości w limuzynie. Chcę się dowiedzieć, gdzie jest Jason Archer.

- I Sidney Archer?
- Tak, i Sidney Archer. A nie zaspokoję swojej ciekawości, wysłuchując ludzi, którzy mają do mnie tylko masę pytań, ale ani jednej odpowiedzi. A skoro już o tym mowa, masz coś dla mnie?

Jackson wstał i zamknął drzwi.

- Lekarz Arthura Liebermana twierdzi, że jego pacjent nie był nosicielem wirusa HIV.
- To niemożliwe — wybuchnął Sawyer. — Facet łże jak pies.
- Nie wydaje mi się, Lee.
- Bo co?
- Bo pokazał mi kartę zdrowia Liebermana. — Sawyer

389

osłupiał. — Myślałem, że rozmowa z nim odbędzie się tak, jak to przewidywaliśmy — ciągnął Jackson — że nic konkretnego nie wskoram, bo nie będzie mi chciał niczego pokazać bez nakazu sądowego. Ale on nie robił żadnych przeszkód, Lee. I nic dziwnego, bo przecież nie postępował wbrew etyce lekarskiej ujawniając, że jego pacjent nie był nosicielem. Lieberman miał hopla na punkcie swojego zdrowia. Robił sobie co roku badania i przestrzegał profilaktyki. W ramach tych badań robiono mu też rutynowe testy na obecność wirusa HIV. Lekarz pokazał mi ich wyniki od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego do bieżącego roku. Wszystkie testy dały wynik negatywny, Lee. Widziałem to na własne oczy.

Sidney zamknęła na moment przekrwione oczy, położyła się na łóżku rodziców i wzięła głęboki oddech. Zrezygnowana podjęła decyzję. Wyciągnęła z torebki wizytówkę i wpatrywała się w nią przez kilka minut. Czuła przemożną potrzebę porozmawiania z kimś. Jej wybór z wielu powodów padł na niego. Zeszła do land rovera i wystukała numer na klawiaturze.

Sawyer otwierał właśnie drzwi swojego mieszkania, kiedy w living roomie rozzdzwonił się telefon. Ściągając po drodze płaszcz wbiegł do pokoju i sięgnął po słuchawkę.

— Halo?

Na linii panowała cisza i już miał się rozłączyć, kiedy nagle ktoś się odezwał. Ścisnął oburącz słuchawkę i zeszywniał. Płaszcz upadł na podłogę.

- Sidney?
- Cześć — powiedziała cicho, ale wyraźnie.
- Gdzie jesteś? — zapytał automatycznie i od razu tego pożałował.

- Wybacz, Lee, to nie lekcja geografii.
- W porządku, w porządku. — Sawyer usiadł na sfatygowanym fotelu. — Nie musisz mi mówić, gdzie jesteś. Ale powiedz, czy jesteś bezpieczna.

Sidney omal się nie roześmiała.

- Chyba w miarę, ale tylko chyba. W każdym razie jestem uzbrojona po zęby. — Zamilkła na chwilę. — Oglądałeś wiadomości w telewizji?

- Wiem, że nie ty ich zabiłaś, Sidney.

390

- Skąd...

- Wiem, i już.

Sidney wzdygnęła się na wspomnienie tamtej strasznej nocy.

- Przepraszam, że nic ci nie powiedziałam, kiedy poprzednio dzwoniłam. Po prostu... po prostu nie mogłam.

- Opowiedz mi, co się tam wydarzyło.

Sidney milczała, zastanawiając się, czy nie przerwać tej rozmowy. Sawyer wyczuł jej rozterkę.

- Sidney, nie jestem w Budynku Hoovera. Nie mogę ustalić, skąd dzwonisz. I tak się składa, że jestem po twojej stronie.

Możemy rozmawiać, ile dusza zapagnie.

- No dobrze. Tylko tobie mogę ufać. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Od samego początku.

Zrelacjonowanie wypadków tamtej nocy zajęło Sidney pięć minut.

- Nie widziałaś mordercy?

- Miał na twarzy narciarską maskę. Ale to był chyba ten sam człowiek, który później usiłował mnie zabić. Mam przynajmniej nadzieję, że po tym świecie nie chodzi dwóch facetów o takich oczach.

- W Nowym Jorku?

- Słucham...?

- Czy to było w Nowym Jorku? Zamordowano tam strażnika, Sidney.

Sidney potarła czoło.

- Tak. W Nowym Jorku.

- I to był na pewno ten sam człowiek?

- Raczej tak, poznałam go po budowie i charakterystycznych cechach twarzy, które widać było pod maską. Miał odsłoniętą szyję. Widziałam szczecinę zarostu.

Sawyer był pod wrażeniem jej spostrzegawczości.

- W obliczu śmierci człowiekowi wyostrza się percepcja — dodała po chwili.

- Wiem coś o tym. Byłem już w takiej sytuacji. Słuchaj, Sidney, znaleźliśmy taśmę.

Sidney rozejrzała się po ciemnym wnętrzu land rovera i po garażu.

- A więc wszyscy już wiedzą...

- Nie przejmuj się tym. Głos twojego męża na taśmie jest urywany, nerwowy. Odpowiada na niektóre twoje pytania, ale nie na wszystkie.

- Tak, był przerażony. Spanikowany.

- A kiedy rozmawiałaś z nim z automatu z Nowego Orleanu, jak wtedy mówił? Inaczej czy tak samo?

Sidney wyteżyła pamięć.

- Inaczej — orzekła po chwili.

- To znaczy jak? Opisz mi to najlepiej jak potrafisz.

- Nie wyczuwałam u niego zdenerwowania, ale miał jakiś taki monotony głos. Powiedział, żebym się nie odzywała, że policja mnie obserwuje. Podał mi tylko instrukcje i zaraz się rozłączył. To był właściwie monolog, nie rozmowa. Nie wypowiedziałam ani jednego słowa.

Sawyer westchnął.

— Quentin Rowe jest przekonany, że po katastrofie samolotu byłaś w gabinecie Jasona w Tritonie. Czy to prawda?

Sidney milczała.

— Słuchaj, mnie naprawdę wszystko jedno, czy tam byłaś, czy nie. Ale jeśli tak, to chcę wiedzieć, czy będąc tam nie zrobiłaś pewnej rzeczy.

Sidney nadal milczała.

• Sidney? Słuchaj, to ty do mnie zadzwoniłaś. Rozumiem, że teraz nie jesteś skłonna ufać nikomu, ale sama powiedziałaś, że mnie ufasz. Nie polecam tego, ale możesz się teraz rozłączyć i dalej brnąć przez to sama.

• Byłam tam — przyznała cicho.

• No właśnie. Rowe wspominał coś o mikrofonie przytwierdzonym do komputera Jasona.

Sidney westchnęła.

• Potrąciłam go przypadkowo i zgiął się. Nie udało mi się go naprostować.

• Czy Jason, pracując na komputerze, korzystał z mikrofonu? Czy w domu też miał mikrofon przy komputerze?

• Nie. Potrafił pisać na klawiaturze szybciej niż mówić. A co?

• To do czego był mu potrzebny mikrofon przy komputerze w pracy?

Sidney zastanawiała się przez chwilę.

• Nie wiem. Ten mikrofon był tam chyba od niedawna. Od paru miesięcy, może trochę dłużej. Podczas wizyt w Tritonie widziałam podobne mikrofony również przy innych komputerach, jeśli cię to tak interesuje. Czemu pytasz?

• Tak się tylko zastanawiam, Sidney. — Sawyer zaczął skubać

392

górną wargę. — Czy podczas obu rozmów telefonicznych z Jasonem byłaś pewna, że to on?

• Oczywiście, że to był on. Przecież znam głos własnego męża.

• Nie pytałem, czy byłaś pewna, że to głos twojego męża. — Sawyer mówił powoli, spokojnie, jakby starał się zaszczepić te cechy Sidney. Urwał na chwilę, odetchnął i podjął: — Pytałem, czy w obu przypadkach byłaś pewna, że rozmawiasz z mężem.

Sidney zamarła.

• Co ty sugerujesz? — spytała gorączkowym szeptem.

• Przesłuchałem nagranie twojej pierwszej rozmowy z Jasonem. Masz rację, był spanikowany, ciężko oddychał i tak dalej, ale rozmawialiście normalnie. A teraz dowiaduję się od ciebie, że za drugim razem było inaczej, że to właściwie nie była rozmowa. On mówił, ty tylko słuchałaś. Ani śladu paniki. Wiemy też o mikrofonie w biurze Jasona, z którego twój mąż nigdy nie korzysta. A skoro z niego nie korzysta, to po co mu on tam?

• Jak to... jak to po co?

— Mikrofon służy do rejestracji dźwięków, głosów...

Sidney ścisnęła telefon komórkowy z taką siłą, że dłoń jej poczerwieniała.

— Chcesz powiedzieć...

• Tak, chcę powiedzieć, że moim zdaniem w obu przypadkach słyszałaś w słuchawce głos męża. Ale za drugim razem była to kompilacja słów twojego męża, które wycięto z nagrań dokonanych za pośrednictwem tego mikrofonu, bo jestem pewien, że takie było jego rzeczywiste przeznaczenie. Nagrywanie próbek głosów.

• To niemożliwe. Po co?

• Nie wiem jeszcze po co. Ale się domyślam. To by wyjaśniało, dlaczego wasza druga rozmowa telefoniczna tak się różniła od pierwszej. Za tym drugim razem zasób używanych przez

Jasona słów był pewnie mocno ograniczony? — Sidney nie odpowiedziała. — Sidney? — Sawyer usłyszał w słuchawce szloch.

- A więc myślisz... sądzisz, że Jason... nie żyje? — Sidney walczyła z napływającymi do oczu łzami. Opłakiwała już raz śmierć męża, by nagle dowiedzieć się, że on jednak żyje. A przynajmniej wszystko na to wskazywało. Na myśl, że traci go po raz wtóry, łzy potoczyły się jej po policzkach.

- Trudno powiedzieć — mruknął Sawyer. — Nawet gdyby to nie był Jason we własnej osobie, a tylko jego odtwarzany

z taśmy głos, to jeszcze o niczym nie świadczy. Sam nie wiem. Zostawmy to na razie.

Sidney odłożyła telefon i ukryła twarz w dłoniach. Dygotała na całym ciele jak osika na wietrze.

— Sidney? — rzucił do słuchawki zaniepokojony Sawyer. — Sidney?! Nie rozłączaj się. Proszę! Sidney?

Na linii panowała martwa cisza.

Cisnął słuchawkę na widełki.

— Cholera! Kurwa mać!

Upłynęła minuta. Sawyer miotał się po swoim małym pokoiku jak dziki zwierz w klatce. W przyływie furii rąbnął w końcu wielką pięścią w ścianę, przebijając ją na wylot. W tym momencie telefon znowu zadzwonił. Dосkoczył do niego.

- Halo? — Głos drżał mu z podniecenia.
- Nie rozmawiajmy więcej o tym, czy Jason... żyje, czy nie, dobrze? — Głos Sidney wyprany był z wszelkich emocji.
- Dobrze — przystał Sawyer. Usiadł i milczał przez chwilę, zastanawiając się nad następną serią pytań.
- Lee, po co ktoś z Tritona miałby nagrywać głos Jasona, a potem wykorzystywać go w rozmowie ze mną?
- Gdybym znał na to odpowiedź, Sidney, kręciłbym teraz piruety na korytarzu. Powiedziałaś, że niedawno zainstalowano takie mikrofony w wielu gabinetach. To znaczy, że teoretycznie mikrofon każdego z lokatorów tych gabinetów można by podłączyć bez jego wiedzy do urządzenia rejestrującego. Kto wie, czy nie robiła tego któraś z konkurujących z Tritonem firm. Bo widzisz, skoro ty wiedziałaś, że Jason nie korzystał z tego mikrofonu, to inni też mogli o tym wiedzieć. W każdym razie mikrofonu nie ma już w jego gabinecie. Może ma to jakiś związek z tajemnicami, które Jason sprzedał RTG... — Sawyer potarł brodę, układając sobie w głowie następną porcję pytań.

Sidney była szybsza.

— Ale sprzedawanie przez Jasona tajemnic Grupie RTG wydaje mi się teraz bez sensu — powiedziała.

Sawyer wstał zafrapowany.

- Niby dlaczego?
- Bo Paul Brophy wchodził w skład zespołu pracującego nad umową z CyberComem. Był obecny na wszystkich strategicznych posiedzeniach. Próbował nawet przejąć po mnie funkcję przewod-

394

niczącego zespołu. Teraz wiem, że był w zмовie z Goldmanem i wspólnie starali się poznać ostateczne stanowisko negocjacyjne Tritona, żeby RTG mogła go przelicytować. Brophy wiedział o pozycji przetargowej Tritona o wiele więcej niż Jason. Szczegółowe warunki umowy były przechowywane w kancelarii Tylera i Stone'a, a nie w Tritonie.

- Chcesz powiedzieć, że... — zaczął Sawyer.
- Że nie potrzebowali Jasona, bo na rzecz RTG pracował

o wiele lepiej poinformowany Brophy.

Sawyer usiadł i zaklął pod nosem. Że też sam na to nie wpadł!

• Sidney, oboje widzieliśmy film wideo z zarejestrowaną sceną przekazywania przez twojego męża informacji grupie mężczyzn w jakimś magazynie w Seattle w dniu katastrofy samolotu. Jeśli nie przekazywał im danych o transakcji z CyberComem, to co to u diabła było?

• Nie wiem — odparła Sidney. — Wiem tylko, że Brophy'ego odsunięto od ostatnich rund negocjacji i wtedy spróbowali zaszantażować mnie. Udałam uległość, ale w rzeczywistości zamierzałam powiadomić władze. A potem wsiedliśmy do tej limuzyny... — wzdrygnęła się. — Resztę już wiesz.

Sawyer wyciągnął z kieszeni papierosa i przypalił go sobie, przytrzymując słuchawkę brodą.

• Dowiedziałas się czegoś jeszcze?

• Rozmawiałam z Kay Vincent, sekretarką Jasona. Powiedziała mi, że Jason zajmował się jeszcze jednym ważnym zadaniem, a mianowicie integracją systemu archiwizacji danych Tritona.

• Archiwizacji? — spytał Sawyer. — To takie ważne?

• Nie wiem, ale Kay powiedziała mi też, że Triton przekazał CyberComowi dane finansowe. W tym samym dniu, kiedy rozbił się samolot.

• I co w tym niezwykłego? Przecież dogadują ze sobą interes.

• Tego samego dnia zdrowo mi się dostało od Nathana Gamble'a w Nowym Jorku, kiedy poruszyłam sprawę przekazania CyberComowi tych dokumentów, bo on był temu przeciwny.

Sawyer potarł czoło.

• Nie widzę w tym żadnego sensu. Myślisz, że Gamble wiedział o przekazaniu tej dokumentacji?

• Nie wiem. To znaczy, nie mam pewności... — Sidney urwała. Wilgotne zimno zaczynało dawać się jej we znaki. —

395

Moim zdaniem sprzeciw Gamble'a mógłby doprowadzić do zerwania rozmów z CyberComem.

• No to się dowiedz, że nie doprowadził. Byłem dzisiaj na konferencji prasowej, na której ogłoszono zawarcie umowy. Gamble uśmiechał się od ucha do ucha.

• Wyobrażam sobie, jaki jest szczęśliwy, że ma w swojej stajni CyberCorn.

• Nie da się tego powiedzieć o Quentinie Rowe.

• Tak, dziwną parę tworzą.

— Fakt. Coś jak Al Capone i Ghandi.

Sidney westchnęła, ale nic nie powiedziała.

• Sidney, wiem, że się zachniesz, ale mimo wszystko to powiem. Lepiej byś zrobiła, oddając się w nasze ręce. Byłabyś bezpieczna.

• W więzieniu, zapomniałaś dodać, prawda? — powiedziała z nutką sarkazmu w głosie.

• Sidney, wiem, że nikogo nie zabiłaś.

• A potrafisz to udowodnić?

• Chyba potrafię.

• Chyba? Przykro mi, Lee. Naprawdę doceniam wotum zaufania, jakiego mi udzielasz, ale obawiam się, że to nie wystarczy. Wiem, na co wskazują dowody. I znam nastawienie opinii publicznej. Zamknęliby mnie i wyrzucili klucz.

• Może ci grozić poważne niebezpieczeństwo... — Sawyer gładził machinalnie przytwierdzoną do paska odznakę FBI. — Posłuchaj, powiedz mi, gdzie jesteś, to przyjadę. Sam. Bez partnera, bez nikogo. Może uda nam się coś wspólnie wymyślić.

A gdyby ktoś chciał się do ciebie dobrać, będzie miał najpierw do czynienia ze mną.

- Lee, jesteś agentem FBI, a za mną rozesłano listy gończe. Masz obowiązek mnie aresztować, kiedy tylko mnie zobaczysz. A poza tym już raz mnie kryłeś.

Sawyer z trudem przełknął ślinę. Wspomnienie tych dwojga szmaragdowych oczu zlewało mu się w hipnotyzującą świetlistą smugę.

- Nazwijmy to więc prywatną przysługą.
- Gdyby się wydało, jesteś skończony. Mało tego, mogliby cię nawet wsadzić do więzienia.
- Jestem dorosły, wiem, czym ryzykuję. Daję ci słowo, że przyjadę sam. — Głos drżał mu tłumionym podnieceniem. —

396

Sidney, wyłożę kawę na ławę. Ja... ja naprawdę nie chcę, żeby coś ci się stało, rozumiesz?

- Wierzę ci, Lee — powiedziała Sidney przez ściśnięte gardło. — I nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Ale nie pozwolę ci tak ryzykować. Sumienie mi na to nie pozwala.

- Sidney...
- Muszę już kończyć, Lee.
- Zaczekaj! Nie odkładaj słuchawki.
- Postaram się jeszcze zadzwonić.
- Kiedy?

Sidney ze ściągniętą raptownie twarzą, z rozszerzonymi oczyma, patrzyła na wprost przez przednią szybę.

— Nie wiem... sama nie wiem — powiedziała cicho i rozłączyła się.

Sawyer odłożył słuchawkę, wygrzebał z kieszeni spodni paczkę marlboro i zapalił następnego papierosa. Strzepując popiół w ułożoną w muszketę dłoń zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Zatrzymał się przed ziejącą w ścianie dziurą wielkości pięści, przesunął palcami po krawędzi i naszła go pokusa, żeby zrobić drugą taką. Opanował się, podszedł do okna i wyjrzał w mroźną grudniową noc.

Ledwie Sidney zniknęła z powrotem w domu, z mrocznego kąta garażu wychynął mężczyzna. Para buchała mu z ust przy każdym wydechu. Otworzył drzwiczki land.rovera. W przytłumionym świetle zapalającej się lampki podsufitowej zabłysły złowrogo zimne błękitne oczy. Kenneth Scales obleczonymi w rękawiczki dłońmi przeszukał dokładnie kabinę samochodu, ale nie znalazł niczego interesującego. Podniósł telefon komórkowy i wduślił przycisk ponownego wybrania numeru. Nie przebrzmiał jeszcze pierwszy sygnał, kiedy w słuchawce rozległ się podniecony głos Lee Sawyera. Scales słuchał przez chwilę z uśmiechem ponagających nawoływań agenta FBI, który najwyraźniej myślał, że znowu dzwoni do niego Sidney Archer. Potem przerwał połączenie, zamknął po cichu drzwiczki i ruszył w kierunku schodków prowadzących do domu. Wstępując na nie, ze skórzanej pochwy przy pasku dobył sztylet, którym zabił Edwarda Page'a. Zająłby się Sidney Archer od razu, kiedy wysiadła z land rovera, gdyby miał pewność, że nie jest uzbrojona. Przekonał się już na własnej

397

skórze, że ta kobieta potrafi posługiwać się bronią palną. Zresztą wolał zabijać z zaskoczenia.

Obszedł ostrożnie parter, rozglądając się za skórzaną kurtką, którą miała na sobie Sidney, ale nigdzie jej nie było. Na kuchennej szafce

leżała torebka Sidney, lecz nie znalazł w niej tego, czego szukał. Zatrzymał się u stóp schodów prowadzących na piętro i przekrzywił głowę, nasłuchując. Uśmiechnął się. Jego uszy wyłowiły zagłuszony częściowo wyciem wichury, dolatujący z góry szum wody puszczanej do wanny. Samotna lokatorka domu w zabitym deskami Maine przygotowywała sobie pośród przenikliwie zimnej zimowej nocy rozkoszną, gorącą, rozładowującą napięcie kąpiel. Cicho jak kot wstąpił na schody. Drzwi do sypialni na wprost ich szczytu były zamknięte, ale teraz już wyraźnie słyszał szum wody w przylegającej do niej łazience. Nagle szum urwał się. Scales odczekał jeszcze kilka sekund, wyobrażając sobie Sidney Archer wchodzącą do wanny i powierzającą zmęczone ciało pieszczocie gorącej wody. Zbliżył się do drzwi sypialni. Najpierw zdobędzie hasło, a potem zajmie się panią domu. Jeśli nie uda mu się znaleźć samemu tego, po co tu przyszedł, obieca, że daruje jej życie w zamian za wyjawienie sekretu i dopiero potem ją zabije. Swoją drogą ciekawe, jak ona może wyglądać nago. Wszystko przemawiało za tym, że rewelacyjnie. A jemu się właściwie nie śpieszyło. Podróż do Maine była długa i męcząca. Uznawszy, że zasłużył sobie na odrobinę relaksu, zaczął kontemplować nadchodzące wydarzenia.

Przywarł plecami do ściany przy drzwiach. Trzymając w gotowości nóż, sięgnął do gałki i przekręcił ją prawie bezszelestnie.

Salwa z karabinu, po której drzwi poszły w drzazgi i kilka wbiło mu się w lewe przedramię, nie była już tak cicha. Krzyknął, jednym skokiem dopadł schodów i runął nimi na łeb, na szyję w dół, kończąc swój odwrót kontrolowanym przewrotem, z którego wyszedł płynnie do pozycji stojącej. Trzymając się za krwawiącą rękę spojrzał w górę. Kompletnie ubrana Sidney Archer wypadła z sypialni i po raz drugi wygarnęła z karabinu. Scales ledwie zdążył uskoczyć z linii strzału. W domu panowały niemal zupełne ciemności, ale gdyby się poruszył, zdradziłby niewątpliwie swoją pozycję. Siedział w kucki za sofą i analizował kłopotliwe położenie, w jakim się znalazł. Tylko patrzeć, jak Sidney Archer zdecyduje się na zapalenie światła, a wtedy potężna siła ognia karabinu w okamgnieniu rozniesie tutaj w puch wszystko, włącznie z nim.

398

Oddychając jak najciszej, ścisnął w zdrowej ręce nóż, rozglądał się po living roomie i czekał. Przedramię piekło jak przypalane żywym ogniem; Scales bardziej nawykł do zadawania bólu niż do jego znoszenia. Wsłuchiwał się w kroki Sidney schodzącej ostrożnie po schodach. Był przekonany, że lufa karabinu zatacza szerokie łuki. Unosząc milimetr po milimetrze głowę wyrzwał sponad oparcia sofę. Sidney była już w połowie schodów. Pochłonięta wypatrywaniem swojej ofiary, nie zauważyła odprysku drewna z drzwi, który wylądował na stopniu. Kiedy niechcący nastąpiła na niego całym ciężarem, noga skrzyła jej się w kostce i straciła równowagę. Z okrzykiem przerażenia zleciała ze schodów, waląc po drodze karabinem o słupki barierki. Scales wyprysnął zza sofę i w chwilę później tarzali się po drewnianej podłodze. On walił jej głową o twarde deski, ona kopła go zapamiętałe ciężkimi butami po klatce piersiowej i po żebrach. Instynktownym zwodem ciała uniknęła ciosu nożem. Ostrze chybiło minimalnie i nie czyniąc jej żadnej krzywdy rozdarło tylko kieszeń kurtki, z której wysunęło się na podłogę coś białego.

Sidney złapała leżący pod schodami winchester i z całych sił wyrzuciła Scalesa kolbą w twarz, łamiąc mu nos i wybijając kilka zębów. Ogłuszony Scales wypuścił z ręki nóż i cofnął się, ale zaraz oprzytomniał, wyrwał jej z furii karabin i złożył się do

strzału. Zdjęta paniką Sidney odturlała się od niego na kilka kroków, lecz wciąż stanowiła łatwy cel. Scales nacisnął spust, ale karabin milczał. Zaciął się w wyniku upadku ze schodów i szamotaniny, która się później wywiązała. Sidney odczołgiwała się rozpaczliwie, byle dalej od napastnika. Obtłuczoną głowę rozsadał ból. Scales, szczerząc mściwie zęby, odrzucił bezużyteczną broń i wstał. Krew z rozharatanych ust i złamanego nosa ściekała mu na koszulę. Podniósł z podłogi upuszczony nóż i z żądzą mordu w oczach ruszył na Sidney. Kiedy unosił ostrze do ciosu, Sidney przetoczyła się w bok i wymierzyła w niego pistolet. Nim jednak zdążyła oddać strzał, Scales zerwał się do skoku i ze zwinnością akrobaty przesadził stół. Sidney, nie zwalniając spustu, prowadziła ogień ciągły. Pociski hydra-shok dziobały ścianę w ślad za umykającym celem. Scales rzucił się szczupakiem na wyfroterowaną podłogę i niesiony siłą rozpędu wyrznął głową w ścianę, a korpusem o nóżki rzeźbionego, mahoniowego kredensu. Cienkie mahoniowe nóżki pękły jak zapalki i masywny kredens

399

zwalili się na niego. Zawartość wylatujących szuflad rozsypała się po całej podłodze. Scales znieruchomiał.

Sidney zerwała się na równe nogi, przemknęła przez kuchnię i porywając w przelocie torebkę z szafki zbiegła po schodach do garażu. W chwilę później zamknięta brama garażu eksplodowała z hukiem na zewnątrz. Przebijający ją land rover wyprysnął w powodzi drzazg na podjazd, wszedł w ostry wiraż, obrócił się w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni i pomknął przed siebie, rozplywając się niemal natychmiast w śnieżnej zamieci.

Pędząc ulicą Sidney wzdrygnęła się na wspomnienie zgrozy, jaka ją ogarnęła, kiedy ujrzała parę oddechu sącząca się z kąta garażu.

Zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła reflektory samochodu. Wielki cadillac zwolnił i skręcił w podjazd domu, spod którego przed momentem w panice odjechała. Serce podeszło jej do gardła, krew odpłynęła z twarzy. Boże! Rodzice dotarli wreszcie na miejsce i to w najgorszym z możliwych momencie. Zawróciła z poślizgiem i pomknęła przez zamieć z powrotem. Jej przerażenie jeszcze bardziej wzrosło, gdy zobaczyła jeszcze jedną parę reflektorów. Ulicą, po świeżych śladach kół cadillaca, nadjeżdżał powoli czarny sedan. Ludzie, którzy przyjechali tu za rodzicami z Wirginii! W natłoku zdarzeń zupełnie o nich zapomniała. Wdepnęła do dechy pedału gazu. Opony zabuksowały w śniegu, ale zaraz włączył się automatycznie napęd na cztery koła, potężny silnik wszedł na właściwe obroty i land rover wystrzelił przed siebie jak armatnia kula. Pędząc sedanowi na spotkanie widziała reakcję kierowcy. Sięgnął ręką za pazuchę, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Sidney przemknęła przed domem rodziców, skręciła ostro kierownicę i z łoskotem giętej blachy wbiła land rovera w bok mniejszego samochodu, spychając go ze śliskiej jezdnii w głęboki przydrożny rów. W twarz strzeliła jej nadymająca się automatycznie poduszka powietrzna. Z furją odewała ją od kolumny kierownicy i wrzuciła wsteczny bieg. Oba pojazdy rozczepiły się z głośnym metalicznym zgrzytem.

Sidney zawróciła land rovera i w jej oczach pojawiło się niedowierzanie. Załatwiła skutecznie tego, kto śledził rodziców. Ale to nie był jedyny efekt jej błyskawicznego ataku. Patrzyła teraz, jak cadillac wycofuje się z podjazdu i odjeżdża z powrotem w kierunku Drogi Numer 1. Dodała gazu i wyrwała w ślad za nim.



Mężczyzna, który wygramolił się ze staranowanego sedana, patrzył zdeorientowany za oddalającym się land roverem.

Sidney dostrzegła przed sobą światła pozycyjne cadillaca. Zbliżwszy się do samochodu rodziców, zatrąbiła kilkakrotnie. Cadillac natychmiast przyśpieszył. Rodzice byli pewnie tak wystraszeni, że nie zatrzymaliby się nawet na sygnał oznakowanego wozu patrolowego policji stanowej, a co dopiero na znaki dawane klaksonem przez jakiegoś wariata w poobtłukiwanej terenówce. Sidney wstrzymała oddech, zjechała na lewą stronę drogi, dodała gazu i zrównała się z samochodem rodziców. Reakcja ojca na wychodzącego mu zza pleców od lewej land rovera była natychmiastowa — cadillac wyrwał do przodu i Sidney, żeby nie zostać za bardzo w tyle, musiała docisnąć pedał gazu prawie do samej podłogi, bo uszkodzony land rover stracił zrywność. Dochodziła ich powoli. Widząc to, Bill Patterson zjechał na sam środek wąskiej drogi, żeby nie dać się wyprzedzić. Sidney opuściła szybę i wjechała prawymi kołami na zwirowe pobocze. Na szczęście nie przejeżdżał jeszcze wtedy pług śnieżny, bo wtedy taki manewr byłby niemożliwy. Kiedy podskakując na wykrotach zrównywała się powoli z cadillakiem od strony pasażera, ojciec odbił gwałtownie z powrotem w prawo, omal nie spychając jej z drogi. Sidney zerknęła na prędkościomierz i z przerażeniem stwierdziła, że strzałka stoi na stu dwudziestu kilometrach na godzinę. Spojrzała przed siebie. Zbliżali się do ostrego zakrętu. Zaraz wypadnie z drogi. Docisnęła pedał gazu do dechy. Zostało jej najwyżej parę sekund.

— Mamo! — wrzasnęła, przekrzykując świst wiatru gnającego tumany śniegu. — Mamo! — Wychyliła się przez otwarte okno tak daleko, że jeszcze trochę, a straciłaby panowanie nad kierownicą. Zacerpnęła w płuca potężny haust powietrza i wydarła się najgłośniejszym jak potrafiła: — MAAAMOOOOOO!

Matka obejrzała się i wbiła rozszerzone strachem oczy w ścianę śniegu. Musiała rozpoznać Sidney, bo nagle strach w jej spojrzeniu zastąpiła ulga. Odwróciła się szybko do ojca. Cadillac natychmiast zwolnił i przepuścił Sidney. Wyprzedziła go i z powrotem wjechała wszystkimi czterema kołami na drogę. Twarz i włosy miała całe w śniegu. Wystawiła przez okno rękę i dała rodzicom znak, żeby jechali za nią. Oba samochody, teraz już zgodnie, pędziły

401

dalej szosą wśród przesłaniającej niemal całkowicie widoczność śnieżnej zadymki.

Godzinę później land rover i cadillac skrzyły w boczną drogę i po dziesięciu minutach zatrzymały się na motelowym parkingu. Sidney wyskoczyła z wozu, podbiegła do samochodu rodziców, otworzyła jednym szarpnięciem tylne drzwiczki i rozdygotana porwała córeczkę w ramiona. Łzy płynęły jej strumieniami po policzkach, złościąc bruzdy w oblepiającym twarz śniegu. Tulila do siebie śpiące dziecko z taką zaborczością, jakby nie zamierzała go już wypuścić z objęć. Amy nie zdawała sobie sprawy, jak mało brakowało, by straciła tej nocy matkę. Gdyby tamto ostrze uderzyło o cal bliżej. Gdyby matka rozpoznała córkę sekundę później... Dziewczynka nigdy nie miała się o tym dowiedzieć, jednak Sidney Archer wiedziała i chyba dlatego tak mocno przytulała małą do piersi. Bill Patterson obszedł wóz i wziął córkę w niedźwiedzi uścisk. On też dygotał jeszcze jak w febrze po ostatnich przeżyciach. Dołączyła do nich jego żona i stali tak wszyscy w milczeniu, zbici w ciasną gromadkę. Nie zważali na pokrywający ich coraz grub-

szą warstwą śnieg — żyli, byli razem i teraz tylko to się liczyło.

Kiedy land rover znikł z pola widzenia, mężczyzna, który wygramolił się z rozbitego sedana, odwrócił się i pobiegł do pogrążonego w ciszy domu Pattersonów. Chwilę później tę ciszę zmaćliło najpierw posapywanie połączone ze skrzypieniem dźwiganego z wysiłkiem kredensu, a potem łomot i trzask pękającego drewna, z jakimi pchnięty silnie mebel runął w drugą stronę. Scales z pomocą kolegi pozbierał się z trudem z podłogi. Wyraz jego zmaltretowanej twarzy świadczył wymownie, że Sidney Archer ma szczęście będąc teraz daleko stąd. Kiedy schylał się po swój nóż, zauważył kartkę zgubioną przez Sidney — wydruk wiadomości przesłanej przez Jasona pocztą elektroniczną. Podniósł ją i studiował przez chwilę. Pięć minut później siedział już z kompanem w rozbitym samochodzie. Sięgnął po telefon komórkowy i wduśił przycisk szybkiego wybierania numeru wprowadzonego wcześniej do pamięci aparatu. Pora ściągnąć posiłki.

402

#### ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

O drugiej trzydziści nad ranem podekscytowany Lee Sawyer, nie zważając na szalejącą burzę śnieżną, pojechał do Biura. Całe Wschodnie Wybrzeże przeżywało gwałtowny atak zimy, który mógł potrwać nawet do świąt Bożego Narodzenia.

Dotarłszy na miejsce, Sawyer poszedł prosto do sali konferencyjnej, w której wertując akta, przeglądając swoje notatki i wyteżając pamięć, spędził następne pięć godzin na analizowaniu każdego aspektu sprawy. Musiał poukładać sobie to, co już wiedział, w jakąś w miarę logiczną całość. Nie szło mu najlepiej głównie dlatego, że nie wiedział, czy ma do czynienia z jedną, czy z dwoma sprawami: Lieberman i Archer razem czy Lieberman i Archer osobno. Do tego się wszystko sprowadzało. Zanotował sobie kilka nowych tropów, jakie przyszły mu do głowy, ale żaden z nich nie wydawał się obiecujący. W końcu podniósł słuchawkę i połączywszy się z laboratorium poprosił do telefonu Liz Martin, która prowadziła luma-litowe badanie wnętrza limuzyny.

- Winien ci jestem przeprosiny, Liz. Ta sprawa wyprowadziła mnie trochę z równowagi i wylądowałem się na tobie. Nieładnie się zachowałem. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte — odparła laborantka. — Wszyscy pracujemy pod presją. O co chodzi?

- Potrzebna mi twoja fachowa porada z zakresu informatyki. Co wiesz o komputerowych systemach archiwizacji danych?

- A to ci zbieg okoliczności. Mój przyjaciel jest prawnikiem procesowym i właśnie wczoraj opowiadał mi o najgoręcej dyskutowanym teraz w kręgach prawniczych temacie...

- Jakim?

- Archiwalne kopie rezerwowe dokumentów mogą zostać ujawnione w trakcie procesu cywilnego. Dajmy na to, pracownik sporządza sobie na komputerze notatkę albo wysyła pocztą elektroniczną do innego działu list, który zawiera informacje szkodzące interesom firmy. Następnie ten pracownik wymazuje z twardego dysku wszystkie kopie tego listu czy notatki. Wydawałoby się, że nie pozostał po nich żaden ślad, prawda? A nieprawda, bo system prowadzący automatyczną archiwizację da-

nych mógł sporządzić kopię rezerwową, zanim jeszcze oryginalny plik został wymazany. I w myśl zasady jawności firma

403

może być zmuszona do udostępnienia tej kopii drugiej stronie procesowej. Kancelaria mojego przyjaciela doradza swoim klientom, by wystrzegali się tworzenia jakichkolwiek dokumentów na komputerze, jeśli nie życzą sobie, by ktoś je kiedykolwiek przeczytał.

- Hmm... — Sawyer wodził kciukiem po brzegach leżącego przed nim pliku papierów. — Jak to dobrze, że nadal jestem zwolennikiem atramentu sympatycznego.

- Jesteś reliktem minionej epoki, Lee, ale muszę dodać, że sympatycznym reliktem.

- Dobrze, profesorze Liz, mam następne pytanie. — Sawyer podyktował jej hasło. — Hasło jak się patrzy, co Liz?

- Ja bym tego nie powiedziała.

- Nie? — Takiej odpowiedzi Sawyer zupełnie się nie spodziewał.

- Jest tak długie, że łatwo zapomnieć któryś z jego członów albo w jakiś inny sposób je przekręcić. A przy ustnym przekazywaniu innej osobie łatwo coś pominąć, przestawić kolejność cyfr i tak dalej.

- Ale dzięki temu, że jest tak długie, nie da się go złamać, prawda? Według mnie w tym właśnie cała jego uroda.

- To prawda. Jednak żeby osiągnąć ten cel, nie trzeba używać aż tylu cyfr. W większości przypadków wystarczyłoby dziesięć.

A przy piętnastu jesteś zabezpieczony praktycznie na mur.

- Ale dzisiejsze komputery potrafią rozgryzać różne takie kombinacje numeryczne.

- Przy piętnastu cyfrach, kombinacji masz ponad miliard, a większość programów szyfrujących posiada wbudowaną funkcję automatycznej blokady uaktywniającą się w przypadku, gdy natkną się na wiele kombinacji naraz. Zresztą i bez takiej blokady tego hasła nie wypłułby ci nawet najszybszy komputer świata, bo obecność i rozmieszczenie tych kropek tak drastycznie zwiększa liczbę możliwych kombinacji, że tradycyjna metoda tak zwanego „ataku na chama” nic by nie dała.

- Czyli twierdzisz...

- Twierdę, że autor tego hasła grubo przesadził. Jego minusy zdecydowanie przeważają nad niewątpliwą odpornością na złamanie. Żeby osiągnąć ten sam rezultat, nie trzeba go było aż tak komplikować. Ten, kto układał to hasło, był chyba komputerowym nowicjuszem.

404

Sawyer pokręcił głową.

- Myślę, że znał się dobrze na swojej robocie.

- Cóż, stąd wniosek, że to hasło miało pełnić nie tylko rolę zabezpieczającą.

- A jaką jeszcze rolę mogło pełnić?

- Trudno powiedzieć, Lee. Pierwszy raz z czymś takim się spotykam.

Sawyer milczał.

- Coś jeszcze, Lee?

- Słucham? Ach, nie, Liz, to wszystko. — W głosie Sawyera wyczuwało się przygnębienie.

- Przykro mi, że niewiele pomogłam.

- Nie, bardzo mi pomogłaś. Podsunęłaś mi sporo materiału do przemyśleń. Dzięki, Liz. — Poweselał. — Masz u mnie lunch, słyszysz?

- Trzymam cię za słowo, ale tym razem ja wybieram lokal.
- Jak sobie życzysz, tylko nie zapomnij sprawdzić, czy honorują tam karty kredytowe Exxon. Tylko ta jedna mi się ostała.

— Ty naprawdę potrafisz dziewczynie zaimponować, Lee.

Sawyer odłożył słuchawkę i spojrzał znowu na hasło. Jeśli wierzyć choćby połowie tego, czego nasłuchał się o geniuszu Jasona Archera, to złożoność hasła nie mogła być przypadkowa. Jeszcze raz przesunął wzrokiem po ciągu cyfr i kropek. Doprowadzały go do obłędu, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wyglądają jakoś znajomo. Dolał sobie kawy, wziął kartkę papieru i zaczął po niej machinalnie gryzmolić. Stary nawyk, który pomagał mu się skupić. Wydawało mu się, że już całe lata prowadzi tę sprawę. Drgnął i spojrzał na datę nadania wiadomości, którą Jason Archer przesłał pocztą elektroniczną swojej żonie: 95-11-19. Zanotował ją: 95-11-19. Uśmiechnął się. Dlaczego komputer użył akurat tego, a nie innego układu? Nagle coś go tknęło. Przyjrzał się dacie uważniej. Już się nie uśmiechał. Przepisał datę w inny sposób: 95/11/19, a potem jeszcze inaczej: 951119. Pisał szybko dalej, pomylił się, skreślił to co napisał, i zaczął od początku. Spojrzał na ostateczny rezultat: 599111.

Poblądł. Twarz miał bielszą od kartki papieru, na której pisał. Wspak, przypomniał sobie. Przeczytał jeszcze raz tekst e-mailowej wiadomości przesłanej przez Jasona Archera. Wszystko wspak, stwierdzał w niej Archer. Ale dlaczego? Jeśli Archer znajdował się pod taką presją, że zrobił literówkę przy wprowadzaniu adresu

405

i nie dokończył listu, to dlaczego tracił czas na wystukiwanie dwóch zwrotów — „wszystko źle” i „wszystko wspak” — skoro oba znaczyły właściwie to samo? I nagle Sawyera uderzyła pewna myśl: może te dwa zwroty miały oznaczać co innego, niż początkowo zakładał, może należało je rozumieć dosłownie. Jeszcze raz spojrzał na cyfry składające się na hasło i zaczął gorączkowo pisać. Zrobił kilka błędów, ale wreszcie doznał do końca. Oszołomiony, dopił duszkiem resztę kawy i chłonął wzrokiem ciąg liczb ustawionych teraz we właściwym porządku, nie wspak: 12-19-90, 2-28-91, 9-26-92, 11-15-92 i 4-16-93. Archer bardzo precyzyjnie zbudował swoje hasła. W samym hasle tkwiła podpowiedź. Sawyer nie musiał zaglądać do notatek. Wiedział, co oznaczają te liczby. Odetchnął głęboko.

Były to kalendarzowe daty wprowadzenia jednoosobową decyzją Arthura Liebermana pięciu zmian stóp procentowych. Pięciu dni, podczas których ktoś tam zarobił tyle, że stać go było na kupno całego kraju.

Pytanie dręczące Sawyera znalazło wreszcie swoją odpowiedź: miał do czynienia z jedną, nie z dwoma sprawami. Między Jasonem i Liebermanem istniał jakiś związek. Ale jaki? Przypomniało mu się coś. Edward Page powiedział Sidney, że to nie Jasona Archera obserwował na lotnisku. Jeśli nie jego, to pewnie Liebermana. I śledząc prezesa Zarządu Rezerwy Federalnej stał się przypadkowo świadkiem rozszady Archera. Ale dlaczego Page śledził Liebermana? Sawyer z nachmurzoną twarzą odłożył wydruk listu Archera i spojrzał na leżącą na stole kasetę wideo z zarejestrowaną sceną wymiany w magazynie. Jeśli wierzyć Sidney i Brophy wiedział o wiele więcej od Archera, to co, u diabła, przeszło w tym magazynie z rąk do rąk? Czyżby tu właśnie należało szukać związku z Arthurem Liebermanem? Dawno już nie oglądał tej kasety. Postanowił przypomnieć ją sobie teraz.

Wsunął kasetę w kieszeń magnetowidu stojącego w kącie sali pod wielkoekranowym telewizorem. Dolał sobie kawy i nacisnął

klawisz odtwarzania — taśma ruszyła. Obejrzał scenę dwa razy pod rząd. Potem, ściągając brwi, obejrzał ją po raz trzeci w zwolnionym tempie. Kiedy oglądał ten film w biurze Hardy'ego, też coś zwróciło jego uwagę. Co to u diabła było? Przewinął taśmę do początku i puścił ją jeszcze raz. Jason i tamten drugi mężczyzna na coś czekają, widać neseser Jasona. Pukanie do drzwi, wchodzi

406

trójka mężczyzn. Starszy gość w towarzystwie dwóch osiłków w okularach przeciwsłonecznych. Prawdziwe byki. Sawyer przyjrzał się im uważnie. Wyglądali mu dziwnie znajomo, ale nie potrafił... Pokręcił głową i patrzył dalej. Moment wymiany, Jason sprawia wrażenie bardzo zdenerwowanego. Teraz ten przelatujący samolot. To by świadczyło, że magazyn znajduje się gdzieś na podejściu do lotniska. Wszyscy obecni w pomieszczeniu spoglądają odruchowo w sufit. Nagle Sawyer drgnął tak gwałtownie, że kawa wychlapała mu się z kubka na koszulę. Ale przyczyną tego odruchu nie był tym razem ryk samolotu.

— Jasna cholera! — Zatrzymał taśmę na stop-klatce i przysunął twarz do samego ekranu, a potem złapał słuchawkę telefonu. — Liz, potrzebne mi na gwałt twoje czary-mary... i tym razem stawiam wystawną kolację. — Powiedział jej szybko, o co mu chodzi.

Do laboratorium dobiegł sprintem w dwie minuty. Aparatura była już przygotowana. Liz odebrała od zasapanego Sawyera kasetę, załadowała ją do magnetowidu i usiadła za pulpitem sterowniczym. Włączyła odtwarzanie. Na monitorze o przekątnej ekranu liczącej dobre sześćdziesiąt cali pojawił się obraz.

— Dobra, przygotuj się, Liz. Uwaga! Teraz! — Sawyer niemal podskoczył z podniecenia.

Liz zatrzymała taśmę i wdusiła kilka przycisków na pulpicie. Znieruchomiałe postaci zaczęły rosnąć i po chwili zajmowały już cały ekran.

— Możesz mi jeszcze wykadrować ten fragmencik? — Sawyer stuknął grubym paluchem w interesujący go punkt ekranu. Liz spełniła jego prośbę.

Oszołomiony Sawyer kręcił w milczeniu głową. Liz również zauważyła ten detal obrazu.

— Miałeś rację, Lee. Co to oznacza?

Sawyer nie odrywał wzroku od mężczyzny, który tamtego fatalnego deszczowego listopadowego poranka w Seattle przedstawił się Jasonowi jako Anthony DePazza. A ściślej, wpatrywał się w jego szyję, dobrze teraz widoczną, bo mężczyzna zaskoczony rykiem przelatującego samolotu, zadarł odruchowo głowę. Patrzyli razem z Liz na rysującą się wyraźnie tuż pod grdyką ciemniejszą linię na styku prawdziwej i sztucznej skóry.

— Zastanawia mnie, po co u licha ta charakterystyczna facetowi, który towarzyszy Archerowi?

Liz patrzyła w zadumie na ekran.

407

• Kiedy należałam do szkolnego kółka dramatycznego, też się w to bawiłam.

• Znaczy w co?

• No wiesz, kostiumy, makijaż, maski. Kiedy dawaliśmy przedstawienia. Zdradzę ci, że drugiej tak wrednej Lady Makbet jak ja ze świecą można było szukać.

Sawyer spojrzął z rozdziawionymi ustami na ekran. Po głowie tłukło mu się echo wypowiedzianego przed chwilą słowa: Przedstawienie?

Przetrawiając w myślach najświeższą rewelację Sawyer wrócił co tchu do sali konferencyjnej. Czekający tam Ray Jackson na jego widok zamachał plikiem jakichś kartek.

— Przyszedł faks od Charlesa Tiedmana. Próbki pisma Page'a. Mam tu kopie listów, które znalazłem w mieszkaniu Liebermana. Nie jestem ekspertem, ale podobieństwo jest chyba wyraźne.

Sawyer usiadł i przyjrzał się listom, porównując charakter pisma.

- Zgadza się z tobą, Ray, ale niech laboratorium to potwierdzi.

- Już się robi. — Jackson ruszył do drzwi, żeby załatwić sprawę od razu, ale Sawyer go powstrzymał.

— Chwileczkę, Ray, daj mi jeszcze raz rzucić okiem na te listy. Jackson zawrócił.

Właściwie Sawyer chciał obejrzeć tylko jeden z nich. Jego uwagę przyciągnął nagłówek: Stowarzyszenie Absolwentów Uniwersytetu Columbia. Tiedman nie wspominał, że Steven Page ukończył Columbię. Najwyraźniej Page był swego czasu aktywnym członkiem tego stowarzyszenia. Sawyer dokonał w pamięci kilku pośpiesznych obliczeń. Umierając przed pięcioma laty, Steven Page miał dwadzieścia osiem lat. Czyli dzisiaj miałby lat trzydzieści trzy albo trzydzieści cztery. Prawdopodobnie był więc absolwentem Columbi z 1984 roku. Sawyera uderzyła kolejna olśniewająca myśl.

— Leć już, Ray — powiedział. — Ja tymczasem załatwię parę telefonów.

Po wyjściu Jacksona zadzwonił do informacji i poprosił o numer biura informacyjnego uniwersytetu Columbia. Połączenie uzyskał po paru minutach. Dowiedział się, że Page rzeczywiście ukończył

#### 408

uniwersytet w 1984 roku, z lokatą *magna cum laude*, czyli z wyróżnieniem. Przed zadaniem następnego pytania Sawyer spojrzął na swoje drżące ręce. Z trudem panując nad emocjami czekał, aż kobieta odnajdzie w rejestrach interesujące go dane. Tak, padła odpowiedź. Ten drugi student również kończył uniwersytet w osiemdziesiątym czwartym, i to z lokatą *summa cum laude*, czyli z najwyższym wyróżnieniem. Imponujące osiągnięcie, jak na Columbię. Sawyer zadał jeszcze jedno pytanie i dowiedział się, że w tej sprawie będzie się musiał zwrócić do Działu Zakwaterowania Studentów. Czekał z nerwami napiętymi jak postronki. W Dziale Zakwaterowania ktoś podniósł wreszcie słuchawkę i zanim upłynęła minuta, miał już odpowiedź. Podziękował i trzasnął słuchawką. Z tryumfalnym okrzykiem „kurewskie bingo!”, który echo poniosło po pustej sali, doświadczony agent rai zerwał się z krzesła. Okoliczności całkowicie usprawiedliwiały podniecenie Sawyera.

Quentin Rowe również ukończył Uniwersytet Columbia w 1984 roku. A co ważniejsze, przez ostatnie dwa lata studiów dzielił kwaterę ze Stevenem Page'em.

Kiedy parę sekund później Sawyer zrozumiał, dlaczego ci dwaj faceci w okularach przeciwsłonecznych z kasety wideo wyglądali mu tak znajomo, jego euforia szybko przygasła i przeszła w niedowierzanie. Przecież to niemożliwe. Ale nie, zaraz, wszystko się zgadza. Zwłaszcza jeśli spojrzeć na całą sprawę pod zupełnie nowym kątem: to było przedstawienie, zwyczajna inscenizacja. Sięgnął po słuchawkę. Musi jak najszybciej odszukać Sidney Archer. Jezus, Maria, Józefie święty, czyżby w śledztwie nastąpił właśnie przełomowy zwrot? — po-

myślał.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Pani Patterson i Amy pojechały wynajętym samochodem do Bostonu, gdzie miały pozostać przez kilka dni. Sidney nie udało się nakłonić ojca, by im towarzyszył, chociaż na perswazję strawiła połowę nocy, którą spędzili w motelu. Chodziła przed nim tam i z powrotem tłumacząc i przekonując, a on siedział z zaciśniętymi szczękami i pucował metodycznie swojego remingtona, usuwając z niego najdrobniejsze plamki i paproszki.

409

— Wiesz, tato, jesteś niemożliwy! — powiedziała, kiedy wracali samochodem ojca do Bell Harbor; poobijanego land rovera odholowano do warsztatu. Ale w duchu rada była z postawy ojca. W tej chwili nie chciała być sama.

Bill Patterson wyglądał przez okno i milczał uparcie. Ten, kto nastaje na jego córkę, z nim będzie miał najpierw do czynienia. Biada wam, duchy i straszydła: tatuś wrócił.

Jadąca dobre pół mili za nimi biała furgonetka pomimo dystansu dzielącego oba wozy pewnie podążała świeżym śladem cadillaca. Jednemu z jej ośmiu pasażerów humor wyraźnie nie dopisywał.

— Najpierw pozwalasz Archerowi wysłać pocztę elektroniczną, a potem dajesz zwiąć jego żonie — Richard Lucas pokręcił głową i obrzucił siedzącego obok Kennetha Scalesa niechętnym spojrzeniem. Scales miał obandażowaną głowę i przedramię, a nos, który własnoręcznie sobie nastawił, purpurowo czerwony.

Łypnął wilkiem na Lucasa.

- Zejdź ze mnie. — Cichy głos, który wydobył się spomiędzy poharatanych warg, niósł w sobie taką groźbę, że nawet twardy Lucas zamrugał speszony i czym prędzej zmienił temat.

- Już dobrze, dobrze, było minęło — powiedział szybko. — Jeff Fisher, ten komputerowiec od Tylera i Stone'a, miał na twardym dysku kopię zawartości dyskietki. Z głównego katalogu w jego komputerze wynika, że ktoś realizował dostęp do tego pliku w czasie, kiedy Fisher siedział w barze. Tym sposobem zrobił sobie pewnie wtedy drugą kopię. Cwany skubaniec. W nocy zamieniliśmy słówko z kelnerką z tego baru. Dała Fisherowi kopertę zaadresowaną do Billa Pattersona, ojca Sidney Archer, do Bell Harbor w Maine. Przesyłka idzie tu teraz poleconym i musimy ją przejąć, rozumiano? — Szóstka posepnych mężczyzn jadących z Lucasem i Scalesem furgonetką kiwnęła głowami. Na grzbiecie dłoni każdego z nich widniała wytatuowana gwiazda przebita strzałą, symbol grupy weteranów-najemników, do której wszyscy należeli — grupy, którą sformowano z popłuczyn po Zimnej Wojnie. Lucas, były agent operacyjny CIA, wabiąc dolarami, bez większych kłopotów odnowił swoje stare kontakty. — Pozwolimy Pattersonowi odebrać przesyłkę, zaczekamy, aż znajda się w jakimś ustronnym miejscu, i wtedy uderzymy. — Powiódł wzrokiem po twarzach. — Milion dolarów premii na łebka za

410

udaną akcję. — Oczy sześciu mężczyzn zabłysły. Lucas przeniósł wzrok na siódmego. — Słyszałeś, Scales?

Kenneth Scales, nie spoglądając na Lucasa, dobył noża i wskazując jego czubkiem przed siebie wycedził:

- Dyskietka to wasza działka. Ja zajmę się kobietą. A jej

starego załatwić gratis.

- Najpierw przesyłka, potem możesz robić, co chcesz — warknął gniewnie Lucas. Scales nie odpowiedział. Patrzył nieruchomym wzrokiem w przestrzeń. Lucas chciał dorzucić coś jeszcze, ale się rozmyślił. Poprawił się w fotelu i nerwowo przeczesał palcami przerzedzające się włosy.

W czasie dwudziestominutowej jazdy ruchliwą GW Parkway do Alexandrii Jackson trzykrotnie próbował dodzwonić się z samochodu do Fishera, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Znaczy podejrzewasz, że ten gość pomagał Sidney w łamaniu hasła? — spytał w pewnej chwili, zapatrzony w wijący się Potomac.

- Z raportu wywiadowców wynika, że Sidney była u niego wieczorem w dniu dokonania tych morderstw u Tylera i Stone'a. Sprawdzalem. Fisher jest u nich specem od informatyki.

- Tak, tylko wygląda na to, że gościa nie ma w domu.
- Ale na pewno jest tam mnóstwo interesujących rzeczy, które mogą nam pomóc, Ray.

— Coś mi się wydaje, że nie mamy nakazu rewizji, Lee.

Sawyer skręcił z Washington Street w boczną ulicę i przemknął przez Stare Miasto.

— Detale, Ray, ty zawsze czepiasz się detali.

Jackson prychnął i zamilkł.

Zatrzymali się przed domem Fishera, wysiedli i weszli na schodki.

— Nie ma go w domu! — zawołała za nimi wysiadająca z samochodu młoda kobieta, której porywisty wiatr targał ciemne włosy.

Sawyer obejrzał się.

— A nie wie pani czasem, gdzie może być? — Zszedł ze schodków i zbliżył się do kobiety wyciągającej z wozu dwie papierowe torby z zakupami. Pomógł jej, a potem wylegitymował się. Jackson uczynił to samo.

411

Kobieta zmieszała się.

- FBI? Nic wiedziałam, że do zwyczajnego włamania przyjeżdża FBI.

- Do włamania, panno...?

- Och, przepraszam... jestem Amanda, Amanda Reynolds. Mieszkamy tu od prawie dwóch lat i pierwszy raz policja kręci się po okolicy. Ukradli Jeffowi cały sprzęt komputerowy.

— Wnoszę z tego, że policja już z panią rozmawiała?

Stropiła się.

— Przeprowadziliśmy się tutaj z Nowego Jorku. Tam, jak się nie przykuje samochodu na noc łańcuchem do latarni, to rano śladu po nim nie ma. Ciągle trzeba wszystkiego pilnować. Ale tutaj? — Pokręciła głową. — Przyznam, że czuję się jak idiotka. Byłam pewna, że wszystko jest w porządku. Nawet mi do głowy nie przyszło, że coś takiego może się tutaj zdarzyć.

— Kiedy ostatnio widziała pani pana Fishera?

Kobieta ściągnęła brwi.

— Oj, co najmniej trzy albo i cztery dni temu. Pogoda taka, że wszyscy siedzą w domu.

Podziękowali jej i pojechali na miejscowy posterunek policji. Zapytali o włamanie do domu Jeffa Fishera i pełniący dyżur sierżant wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze komputera.

- Tak, zgadza się. Fisher. Byłem zresztą na służbie tej nocy, kiedy go przywieźli. — Sierżant patrząc w ekran stukał dalej



kościowymi palcami w klawiaturę. Sawyer i Jackson wymienili zdumione spojrzenia. — Zatrzymany za niebezpieczną jazdę w stanie nietrzeźwym. Bredził coś o facetach, którzy niby go śledzili. Myśleliśmy, że wypił o parę za dużo. Kazaliśmy mu dmuchnąć w balonik. Nie był pijany, ale cuchnął piwskim na kilometr. Na wszelki wypadek przenocowaliśmy go. Na drugi dzień wpłacił kaucję, wyznaczono mu termin rozprawy i tyleśmy go widzieli.

• Mówicie, sierżancie, że Jeff Fisher był aresztowany? — spytał Sawyer.

• No tak.

• A następnego dnia włamano się do jego domu?

Sierżant kiwnął głową i oparł się łokciami o kontuar.

• Nieszczęścia chodzą parami.

• Opisywali ludzi, którzy go śledzili? — spytał Sawyer.

Sierżant zmierzył agenta FBI takim spojrzeniem, jakby i jemu chciał zrobić test trzeźwości.

412

• A kto by go tam śledził.

• Jesteście pewni?

Sierżant przewrócił oczami i uśmiechnął się znacząco.

• No dobrze, powiedzieliście, że nie był pijany, a mimo to zatrzymaliście go na noc? — Sawyer położył dłonie na kontuarze.

• Bo widzi pan, u niektórych balonik i po skrzynce piwa nic nie wykaże. A ten Fisher jechał jak wariat i zachowywał się jak pijany. Pomyśleliśmy sobie, że bezpieczniej będzie go przetrzymać. Jak jest wstawiony, niech to przynajmniej odeśpi.

• Nie protestował?

• A gdzie tam. Powiedział, że jeszcze nigdy nie nocował w więzieniu i że świetnie mu to robi. — Sierżant pokręcił łusą głową. — Dobre sobie, co? Świetnie mu robi, niech ja skonam!

• Nie orientujecie się czasem, gdzie on teraz może być?

• Żebyśmy to wiedzieli. Szukaliśmy go już, żeby go poinformować, że było włamanie do jego domu. Jak powiedziałem, wpłacił kaucję i wyznaczono mu datę rozprawy w sądzie. Będę miał za swoje, jak się nie stawi.

• Przypominacie sobie może coś jeszcze? — zapytał Sawyer nie kryjąc rozczarowania.

Sierżant, bębniąc palcami po kontuarze, zapatrzył się w przestrzęń. Zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem policjanta Sawyer skinął w końcu na Jacksona i ruszyli obaj do wyjścia.

— No nic, dzięki za pomoc.

Byli już w połowie drogi do drzwi, kiedy sierżant otrząsnął się z transu.

• Ten gość poprosił mnie, żebym mu wysłał jakąś przesyłkę — powiedział. — Dobre sobie, co? Fakt, noszę mundur, ale czy ja wyglądam na listonosza?

• Przesyłkę? — Sawyer z Jacksonem byli już z powrotem przy kontuarze.

Sierżant potrząsnął głową, usiłując przywołać z pamięci tamten incydent.

• Mówię mu, że może zadzwonić, a on pyta, czy przedtem nie mógłbym mu wrzucić tego do skrzynki pocztowej. Znaczek już naklejony, mówi. Będzie mi dogonnie wdzięczny. — Sierżant parsknął śmiechem.

• I... i wysłaliście tę przesyłkę? — Sawyer wlepił wzrok w policjanta.

wiekami.

• Słucham? A, tak. Wrzuciłem ją do tamtej skrzynki. Co mi zależy, pomyślałem sobie. Zrobię facetowi przysługę.

• Jak wyglądała ta przesyłka?

• No, list to to nie był. To była taka, wiecie, no taka brązowa wywatowana paczuszka.

• Taka z wyściółką w środku? — odpowiedział Jackson.

Sierżant wymierzył w niego palec.

• O, to to, czułem pod palcami.

• Duża była?

— No, nie za bardzo, o... taka szeroka i taka długa. — Kościste dłonie sierżanta nakreśliły w powietrzu prostokąt osiem na sześć cali. — Szła poleconym z żądaniem potwierdzenia odbioru.

Sawyer ponownie oparł się dłońmi o kontuar. Serce waliło mu jak szalone.

— Pamiętacie może adres z tej paczuszki? Od kogo była i do kogo szła?

Policjant znowu zabębnił palcami w kontuar.

• Nadawcy nie pamiętam; przyjąłem w ciemno, że to Fisher.

Ale zaadresowana było do... zaraz... do Maine, tak, do Maine.

Zapamiętałem, bo byliśmy tam z żonajesinią zeszłego roku. Jakby trafiła się wam okazja, to polecam. Widoki, że człowiekowi dech w piersiach zapiera. Zapstrykacie kodaka na amen, gwarantuję.

• No dobrze, Maine. A miejscowość? — Sawyer z trudem zachowywał cierpliwość.

Policjant pokręcił głową.

— Chyba... coś tam Harbor — orzekł w końcu.

Sawyer oklapł. Potrafiłby wymienić z kapelusza z tuzin miejscowości w Maine, które miały w swojej nazwie to słowo.

— No, ruszcie głową!

Sierżant wytrzeszczył oczy.

— Co, narkotyki były w tej paczuszce? Ten Fisher to dealer?

Od razu coś mi się nie podobało. To dlatego federalni się tym interesują?

Sawyer pokręcił ze znużeniem głową.

— Nie, nie, to nie to. Posłuchajcie, a może pamiętacie przynajmniej nazwisko adresata?

Policjant zastanawiał się przez dłuższą chwilę i w końcu pokręcił głową.

414

• Przykro mi, panowie, nie pamiętam.

• Może Archer? — podsunął Jackson. — Takie nazwisko było na przesyłce?

• Nie, to bym zapamiętał. Jeden z zastępców naszego szeryfa tak się nazywa.

Jackson dał mu swoją służbową wizytówkę.

— Jeśli coś się wam jeszcze przypomni, cokolwiek, dajcie nam natychmiast znać. To bardzo ważne.

• Na pewno dam. Od razu. Możecie na mnie liczyć.

Jackson pociągnął Sawyera za rękaw.

• Chodźmy, Lee.

Skierowali się do wyjścia. Sierżant wrócił do swoich zajęć.

Nagle Sawyer zatrzymał się jak wryty, obrócił na pięcie i wycełował w sierżanta gruby paluch. Przed oczyma stała mu jak żywa wizja nalepki ze zderzaka cadillaca: MAINE, STAN URLOPOWICZÓW.

— Patterson!

Przestraszony sierżant poderwał głowę.

— Czy ta przesyłka nie była zaadresowana do Maine na kogoś o nazwisku Patterson? — spytał Sawyer.

Sierżant ożywił się i pstryknął palcami.  
— Zgadza się. Bill Patterson. — Uśmiech spelzł mu z warg,  
kiedy dwaj agenci FBI rzucili się do wyjścia i zniknęli za drzwiami  
posterunku.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Bill Patterson spojrzął na córkę. Jechali zaśnieżonymi ulicami.  
Od półgodziny sypało coraz gęściej.

• Mówisz, że ten znajomy z twojej kancelarii miał wysłać do  
mnie przesyłkę, żebym ją dla ciebie przechował? Kopię czegoś  
z dyskietki komputerowej, którą przysłał ci Jason? — Sidney  
kiwnęła głową. — Ale nie wiesz, co to takiego?

• Jest zaszyfrowane, tato. Mam teraz hasło, ale muszę za-  
czekać na przesyłkę.

— A ona jeszcze nie nadeszła? Jesteś pewna?

Sidney westchnęła z irytacją.

— Dzwoniłam do FedExu. Nie mają w swoich rejestrach nic  
o jej nadejściu. Potem zadzwoniłam do tego znajomego do domu

415

i odebrał jakiś policjant. Boże! — Sidney wzdrygnęła się na myśl  
o losie, jaki być może spotkał Jeffa Fishera. — Jeśli Jeffowi coś  
się stało...

— A przesłuchiwałaś swoją domową automatyczną sekretarkę?  
Mógł na niej zostawić jakąś wiadomość.

Genialna prostota sugestii ojca poraziła Sidney.

• Jezu! Że też mi to nie przyszło do głowy!

• Od dwóch dni uciekasz przed śmiercią, to i nie ma się  
czemu dziwić — wyburczał ojciec. Schylił się i pomacał leżącą  
na podłodze strzelbę.

Sidney zboczyła na stację benzynową, nie gasząc silnika wy-  
skoczyła z wozu i pobięła do budki telefonicznej. Sypiący gęsto  
śnieg przesłonił przed jej wzrokiem białą furgonetkę, która minę-  
ła stację benzynową, skręciła w przecznicę, zawróciła i zatrzy-  
mała się u wylotu, by poczekać tam na jej powrót na główną  
ulicę.

Sidney wystukała na klawiaturze aparatu numer swojej karty  
telefonicznej i numer telefonu. W jej odczuciu upłynęła cała  
wieczność, zanim odezwała się automatyczna sekretarka. Było na  
niej kilka wiadomości. Od brata, od innych członków rodziny, od  
znajomych, którzy przeczytali o niej w prasie lub usłyszeli  
w dzienniku i dzwonili z pytaniami, wyrazami oburzenia, ciepłymi  
słowa. Przesłuchiwała to z rosnącym zniecierpliwieniem. Naraz  
znajomy głos zaparł jej dech w piersiach.

— „Cześć, Sidney, to ja, wuj George. Jesteśmy z Martha w Ka-  
nadzie. Zabawimy tu tydzień. Bardzo nam się podoba, ale jest  
strasznie zimno. Tak jak zapowiadałem, prezenty gwiazdkowe  
dla ciebie i Amy wysłałiśmy trochę wcześniej. Ale idą pocztą, bo  
przegapiliśmy termin tego cholernego Federal Expressu, a nie  
chcieliśmy czekać na następny. Wyglądaj paczki lada dzień. Na-  
daliśmy ją poleconym ekspresem, więc będziesz musiała pokwi-  
tować odbiór. Mam nadzieję, że trafiliśmy w twój gust. Całujemy  
cię mocno i do zobaczenia wkrótce. Ucałuj od nas Amy”.

Sidney odwiesiła powolnym ruchem słuchawkę. Nie miała  
żadnego wuja Georga ani ciotki Marthy, ale ta wiadomość nie  
stanowiła dla niej żadnej tajemnicy. Jeff Fisher doskonale na-  
śladował głos starszego mężczyzny. Podbiegła z powrotem do  
samochodu.

Ojciec spojrzął na nią pytająco.

— Dzwonił?

416

Sidney kiwnęła głową, podgazowała silnik i ruszyła z piskiem opon. Przyśpieszenie wtoczyło Billa Pattersona w fotel.

- Gdzie ci się tak, cholera, śpieszy?
- Na pocztę.

Urząd Pocztowy w Bell Harbor znajdował się w centrum miasteczka. Nad wejściem łopotała amerykańska flaga targana porywistym wiatrem. Sidney podjechała pod budynek i ojciec wyskoczywszy z wozu wbiegł do środka. Wyszedł po kilku minutach z pustymi rękami.

- Dzisiejszej poczty jeszcze nie było — oznajmił.
- Na pewno?

Kiwnął głową.

— Jerome pracuje tutaj, od kiedy pamiętam. Kazał się dowiedzieć około szóstej. Przedłuży dla nas godziny urzędowania. Ale jeśli Fisher nadał tę przesyłkę dopiero przed dwoma dniami, to w dzisiejszym worku z pocztą może jej jeszcze nie być.

Sfrustrowana Sidney zabębniła obiema rękami w kierownicę, a potem oparła się o nią czołem. Bill Patterson położył na ramieniu córki wielką dłoń.

— Prędzej czy później przyjdzie. Pozostaje tylko wierzyć, że ta dyskietka pomoże położyć kres temu koszmarowi.

Sidney uniosła głowę i spojrzała na niego. Twarz miała kredowo błądą, oczy rozbiegane.

— Musi, tato. Musi. — Głos jej się łamał. A jeśli nie położy? Nie, nie wolno dopuszczać do siebie tej myśli. Odgarnęła włosy z twarzy, wrzuciła bieg i ruszyła.

Biała furgonetka odczekała jeszcze dwie minuty, a potem wytoczyła się z zaułka i podążyła za cadillakiem.

— Wierzyć się, cholera; nie chce! — ryknął Sawyer.

Jackson spojrział na niego bezradnie.

• Co ja mogę, Lee? Szaleje śnieżycą. Zamknięte są lotniska krajowe, Dulles i BWI. Tak samo Kennedy, La Guardia i Logan. Tak samo Newark i Philly. Sparalizowany jest ruch lotniczy w całym kraju. Wschodnie Wybrzeże wygląda jak Syberia. I Biuro nie wyda zezwolenia na lot w taką pogodę.

- Musimy się dostać do Bell Harbor, Ray. Już powinniśmy tam być. Może pociągiem?
- Amtrak odśnieża jeszcze tory. Poza tym sprawdziłem,

pociąg nie dochodzi do samego Bell Harbor. Musielibyśmy się przesiąść w autobus. A w taką zawieję całe odcinki Międzystanowej będą pewnie nieprzejezdne. Trzeba by się było przebić bocznymi drogami. To najmarniej piętnaście godzin. Sawyer wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

• Oni wszyscy mogą już nie żyć za godzinę, a co dopiero za piętnaście.

• Mnie nie musisz tego mówić. Gdybym potrafił rozpostrzeć ręce i polecieć, tobym to zrobił, ale, cholera, nie potrafię — odparował gniewnie Jackson.

Sawyer opanował się.

• W porządku, przepraszam, Ray. — Usiadł. — Udało ci się zmobilizować miejscowych?

• Dzwoniłem. Najbliższe biuro terenowe jest w Bostonie. Dobre pięć godzin jazdy w normalnych warunkach. A w taką

417

pogodę lichy wie. Są jeszcze małe lokalne agencje w Portland i Auguście. Zostawiłem wiadomości, ale do tej pory się nie odezwali. Może policja stanowa, chociaż oni mają pewnie pełne ręce roboty przy wypadkach drogowych.

- Jasna cholera! — Zdesperowany Sawyer kręcił głową i niecierpliwie bębnił palcami o stół. — Bez samolotu ani rusz. Musi być ktoś, kto zgodzi się polecieć w takich warunkach.

Jackson pokręcił głową.

— Może pilot myśliwski — podsunął z sarkazmem. — Znasz jakiegoś?

Sawyer zerwał się na równe nogi.

— A żebyś, cholera, wiedział.

Przed małym hangarem na lotnisku okręgu Manassas zatrzymała się czarna furgonetka. Sypiący gęsto śnieg znacznie ograniczał widoczność. Za Sawyerem i Jacksonem z furgonetki wysypało się sprawnie sześciu odzianych na czarno, po zęby uzbrojonych członków Zespołu Uwalniania Zakładników. Cała grupa podbiegła do grzejącego silniki turbośmigłowego saaba, który czekał już na nich na tarmakowej płycie lotniska. Załadowali się szybko na pokład. Sawyer usiadł obok pilota, Jackson z członkami ZUZ zajęli miejsca z tyłu. Zapięli pasy.

— Coś mi mówiło, że zobaczę cię jeszcze, zanim to się skoń-

418

czy, Lee — wyrzeszczał George Kapłan przekrzykując ryk silników i uśmiechając się do potężnego agenta.

— Góra z górą, George. Poza tym nie znam innego postrzelénca, który zgodziłby się lecieć w takie coś. — Sawyer wyjrzał przez okienko saaba i zobaczył tylko ścianę bieli. Zerknął na zajęte czynnościami przedstartowymi Kapłana. Samolot ruszył płynnie z miejsca i pokołował w kierunku skraj pasa startowego. Spychacz kończył właśnie oczyszczanie krótkiego odcinka tarmaku, ale śnieg szybko zasypywał go z powrotem. Do lotu nie przygotowywały się żadne inne maszyny, bo oficjalnie lotnisko było zamknięte. Wszyscy rozsądni ludzie bez szemrania podporządkowali się temu zarządzeniu.

Siedzący z tyłu Ray Jackson przewrócił oczami, spojrzał na biel za oknem i zacisnął kurczowo dłonie na poręczach fotela.

— Wiecie co, myśmy chyba powariowali — mruknął, zwracając się do ludzi z ZUZ.

Sawyer obrócił się w fotelu i spojrzał na niego z uśmiechem.

- Hej, Ray, możesz jeszcze wysiąść! — zawołał. — Po powrocie wszystko ci ze szczegółami opowiem.

- A kto by wtedy pilnował twojego żalosego dupska? — odkrzyknął Jackson.

Sawyer zachichotał i obrócił się z powrotem twarzą do przodu. Już się nie uśmiechał. Ze źle maskowanym niepokojem spojrzał na Kapłana.

- Dasz radę poderwać tego ptaszka w powietrze? — spytał.

Pilot uśmiechnął się.

- Jak popędzili człowiekowi kota, to i przez napalm się latało.

Sawyer zdobył się na błądy uśmieszek. Nie uszło jego uwagi, z jakim skupieniem Kapłan przygotowuje maszynę do startu, jak usiłuje przebić wzrokiem wirujące tumany śniegu. Zauważył też pulsującą żyłkę na prawej skroni eksperta Krajowego Biura Bezpieczeństwa Transportu. Kapłan otworzył w końcu przepustnicę. Sawyer odetchnął głęboko, zapiął najciaśniej jak się dało pas bezpieczeństwa i uchwycił się kurczowo poręczy fotela. Maszyna,

nabierając błyskawicznie szybkości, podskakując i kolebiąc się na boki pomknęła zaśnieżonym pasem startowym. Sawyer patrzył jak zahipnotyzowany na wprost. Samolot przebijał się przez śnieg i wiatr, na spotkanie wybiegał im oświetlany jego reflektorami ugor na końcu pasa. Sawyer zerknął kątem oka na Kapłana w momencie, kiedy ten spuścił na moment wzrok na tablicę przyrządów,

a potem znowu spojrzął przed siebie i serce podskoczyło mu do gardła. Byli na końcu pasa. Dwa silniki saaba wyły potępięczo, ale wyglądało na to, że nie dadzą rady.

Ray Jackson i wszyscy członkowie ZUZ jak na komendę zamknęli oczy. Ray Jackson, wspominając inne pole, na którym skończył inny pełen ludzi samolot, zaczął się cicho modlić. Nagle nos maszyny uniósł się w górę i samolot oderwał się od ziemi. Uśmiechnięty od ucha do ucha Kapłan spojrzął na Sawyera, bledszego teraz o dwa odcienie niż przed minutą.

— Widzisz, mówiłem, że pójdzie jak z płatka.

Upewniwszy się, że już nie opadną, Sawyer dotknął rękawa Kapłana.

— Może trochę za wcześnie o to pytać, ale jak już dolecimy do Maine, to będzie tam gdzie wylądować?

Kapłan kiwnął głową.

- Jest tam spore regionalne lotnisko w Portsmouth, ale to dwie godziny jazdy samochodem od Bell Harbor. Przygotowując plan lotu sprawdziłem na mapach. Dziesięć minut drogi od Bell Harbor jest opuszczone wojskowe lotnisko polowe. Powiadomiłem policję stanową. Transport będzie tam już na nas czekał.

- Powiedziałeś, „opuszczone”?

- Spokojna głowa, Lee, nadaje się wciąż do użytku. Z tą pogodą też się dobrze składa. Mamy przynajmniej luz w powietrzu i możemy lecieć prosto jak strzeł.

- Chciałeś przez to powiedzieć, że nie ma drugich takich idiotów jak my?

Kapłan uśmiechnął się i dodał:

- A teraz zła wiadomość. Na tym lotnisku nie ma wieży kontrolnej. Będziemy zdani tylko na siebie, ale mają nam zaznaczyć pas światłami. Spokojnie, wiele razy odwalałem takie solówki.

- W taką pogodę?

- Wszystko ma swój pierwszy raz. Ale poważnie, ta maszyna jest wytrzymała jak skała i pierwszorzędnie oprzyrządowana.

Będzie git.

- Skoro tak twierdzisz...

Przez siedem tysięcy stóp wznoszenia maszyna dygotała i zataczała się pod naporem śniegu i silnych podmuchów wiatru. Jeden taki potężny cios omal nie osadził saaba w miejscu. Samolot zadrzał, opadł kilkaset stóp i zainkasował kolejny cios. Przechylił

420

się na skrzydło i znowu runął w dół, tym razem jeszcze głębiej. Sawyer zerknął za okno. Jak okiem sięgnąć, biel — nie dało się odróżnić, gdzie śnieg, a gdzie chmury. Stracił zupełnie poczucie kierunku i wysokości. Wiedział tylko, że twardy grunt rozciąga się jakieś sześć tysięcy stóp pod nimi i niepokojąco szybko wybiega im na spotkanie. Kapłan spojrzął na niego.

— Tak, przynaję, nie jest dobrze. Trzymcie się, chłopaki, drapiemy się na dziesięć tysięcy stóp. To silny front burzowy, ale niezbyt głęboki. Może wyżej tak nie telepie.

Przez następne pięć minut było mniej więcej tak samo. Samolot to wznosił się gwałtownie, to opadał, to znowu przechylał się na

bok. W końcu przebili pokrywą chmur i zobaczyli nad sobą szybko ciemniejące, czyste niebo. Po chwili maszyna mknęła już gładko jak po stole na północ.

Z prywatnego lotniska położonego w odludnej okolicy czterdzieści mil na północ od Waszyngtonu, jakieś dwadzieścia minut przed maszyną z Sawyerem i jego ludźmi na pokładzie, wzbił się w niebo prywatny samolot odrzutowy. Lecąc na trzydziestu dwóch tysiącach stóp ponad dwukrotnie szybciej od saaba, pokona trasę do Bell Harbor w czasie o połowę krótszym niż ekipa FBI.

Kilka minut po szóstej Sidney z ojcem znowu podjechali pod urząd pocztowy w Bell Harbor. Bill Patterson wszedł do budynku i tym razem wrócił z przesyłką. Cadillac ruszył szybko. Patterson rozerwał brzeg koperty i zajął do środka. W ciemnościach nic nie widział, zapalił więc lampkę podsufitową.

Sidney rzuciła mu wyczekujące spojrzenie.

- No i co?
- Zgadza się, dyskietka komputerowa.

Sidney odprężyła się nieco. Sięgnęła do kieszeni po kartkę z wydrukiem hasła. Pobladła, kiedy ręka, nie napotykając oporu, przeszła na wylot przez wielką dziurę. Dopiero teraz zauważyła, że podszewka kurtki i kieszeń są przecięte. Zatrzymała wóz i gorączkowo przeszukała pozostałe kieszenie.

- Boże! Nie wierzę. — Rąbnęła pięściami w kierownicę. — Niech to szlag!
- Co się stało, Sid?

Sidney opuściła całą energią.

• Miałam w kieszeni kurtki kartkę z hasłem. Gdzieś ją zgubiłam. Musiała mi wypaść, kiedy szarpałam się w domu z tym zbirem.

- Nie zapamiętałaś tego hasła?
- Było za długie. Same cyfry.

— To był jedyny egzemplarz?

Sidney oblizwała nerwowo wargi.

• Lee Sawyer ma drugi. — Wrzucając bieg, zerknęła od-  
ruchowo we wsteczne lusterko. — Spróbuję go złapać.

• Sawyer? Czy to nie ten potężny gość, który był niedawno u ciebie w domu?

- Ten sam.
- Ale FBI cię poszukuje. Nie możesz się z nim kontaktować.
- Wszystko w porządku, tato. On jest po naszej stronie. Zaczekaj tu na mnie. —

Skręciła na stację benzynową i zatrzymała się przy budce telefonicznej. Zostawiła uzbrojonego w strzelbę ojca na straży w samochodzie, a sama weszła do budki i wybrała domowy numer Sawyera. Czekać na połączenie zauważyła białą furgonetkę skręcającą na stację. Miała rejestrację z Rhode Island. Przez chwilę przyglądała się podejrzliwie furgonetce, jednak potem jej uwagę przyciągnął podjeżdżający pod dystrybutory wóz patrolowy z dwoma policjantami stanowymi z Maine w środku i zupełnie o niej zapomniała. Jeden z policjantów wysiadł z wozu. Zamarła, kiedy spojrzał w jej stronę. Ale policjant, nie zwracając na nią większej uwagi, wszedł do małego budyneczku stacji, w którym sprzedawano również zimne przekąski i napoje. Sidney odwróciła się szybko plecami do policjanta, który został w wozie, i postawiła kołnierz kurtki. W chwilę później była już z powrotem w cadillacu.

- Jezu, myślałem, że dostanę zawału, kiedy zobaczyłem tych

policjantów — przyznał Patterson z trudem łapiąc oddech.

Sidney wrzuciła bieg i wyjechała wolno na ulicę. Policjant nie wyszedł jeszcze z budynku. Pewnie pije kawę, pomyślała.

— Dodzwoniłaś się do tego Sawyera?

Pokręciła głową.

• Boże, wierzyć się nie chce. Na początku miałam dyskietkę, ale nie miałam hasła. Potem zdobyłam hasło, a straciłam dyskietkę. Teraz odzyskałam dyskietkę i znowu posiadam hasło. Ja chyba zwariuję. — Szarpnęła się za włosy.

• A w ogóle to skąd miałaś to hasło?

422

• Było w elektronicznej skrzynce pocztowej Jasona w sieci America Online. O Boże! — Aż podskoczyła w fotelu.

• Co?

• Przecież mogę jeszcze raz ściągnąć je z e-mailowej skrzynki Jasona! Nie, do tego potrzebny komputer. — Sidney znowu oklapła.

• Mam ze sobą laptopa. Wiesz, że Jason przekonał mnie do komputerów. Zabrałem swojego rolodexa. Mam w nim pakiet programów inwestycyjnych, gry, przepisy, nawet podręczny poradnik medyczny. Mam też konto w America Online i zainstalowane oprogramowanie sieciowe. Maszyna jest wyposażona w modem telefoniczny.

• Tato, jesteś niesamowity. — Cmoknęła go w policzek.

• Jest tylko jeden problem.

• Jaki?

• Ten laptop leży teraz z resztą bagażu w domu przy plaży. Sidney pacnęła się otwartą dłonią w czoło.

• Cholera!

• Możemy po niego pojechać.

Pokręciła gwałtownie głową.

• Nie, tato. To zbyt ryzykowne.

• A niby dlaczego? Jesteśmy uzbrojeni po zęby. Tych, co cię śledzili, zgubiliśmy. Pewnie myślą, że dawno się stąd wyniosłaś. To zajmie moment. Potem wrócimy do motelu, włączymy komputer i ściągniemy hasło.

• Sama nie wiem, tato... — Sidney wahała się.

• Posłuchaj, nie wiem jak ty, ale ja chcę się dowiedzieć, co jest na tym draństwie. — Potrząsnął kopertą. — Ciebie to nie interesuje?

Sidney, przygryzając wargę, spojrzała na paczuszkę. W chwilę potem włączała już kierunkowskaz i skręcała w stronę domku przy plaży.

Odrzutowiec przebił niską powłokę chmur, dotknął kołami ziemi i zatrzymał się na płycie prywatnego lotniska. Ten rozległy dom wczasowy na wybrzeżu Maine był swego czasu miejscem letniego wypoczynku króla złodziei, a ostatnio przyjeżdżali tu na wakacje różni dobrze sytuowani ludzie. Teraz, w grudniu, budynek stał pusty i tylko raz na tydzień zaglądali tu konserwatorzy z miejscowej firmy. Jedną z głównych zalet ośrodka było jego położenie

na uboczu. W promieniu siedmiu mil nie było nic. Ledwie trzysta metrów od lotniska pieklił się i ryczał Atlantyk. Z samolotu wysiadła grupka posepnych ludzi. Załadowali się do czekającego już na nich samochodu i podjechali pod oddalony o parę kroków budynek. Odrzutowiec wykręcił i pokołował w przeciwny koniec pasa startowego. Tam jego drzwi ponownie się otworzyły i z ma-



szyny wysiadł jeszcze jeden mężczyzna, który ruszył szybkim krokiem w kierunku budynku ośrodka.

Sidney, trzymając z całych sił wrywającą się z rąk kierownicę, prowadziła cadillaca przysypaną śniegiem ulicą. Pług przejeżdżał już tędy kilkakrotnie, ale w zmaganiach z Matką Naturą nie miał większych szans. Nawet duży cadillac kołysał się i zataczał na nierównej, śliskiej nawierzchni.

- Nie podoba mi się to, tato — powiedziała Sidney do ojca. — Jedźmy do Bostonu. Możemy tam być za cztery, pięć godzin. Zrobimy niespodziankę mamie i Amy, a jutro rano poszukamy innego komputera.

- W taką pogodę? — Bill Patterson ani myślał ustąpić. — Autostrada jest pewnie nieprzejezdna. Tam do diabła, o tej porze roku nieprzejezdna jest większa część tego stanu. Jesteśmy prawie na miejscu. Ty zostań w samochodzie i nie gaś silnika. Wróć, zanim zdążysz policzyć do dziesięciu.

- Ale tato...

- Nikogo w pobliżu nie ma, Sidney. Jesteśmy tu sami. Wezmę ze sobą strzelbę. Zatrzymaj się na ulicy. Nie skręcaj w podjazd, bo tam utkniesz.

Sidney dała w końcu za wygraną i zastosowała się do poleceń ojca. Patterson wysiadł, schylił się i wsunął głowę do wozu.

- Zaczynaj liczyć do dziesięciu — rzucił z uśmiechem.
- Pośpiesz się, tato.

Patrzyła z niepokojem, jak ze strzelbą w ręku brnie przez kopny śnieg. Rozejrzała się po ulicy. Ojciec miał chyba rację, ani żywego ducha. Jej wzrok padł na kopertę z dyskietką. Sięgnęła po nią i schowała do torebki. Nie zamierzała stracić jej po raz drugi. Drgnęła, kiedy w domu zapaliło się światło, ale zaraz ochłonęła. Ojciec musi przecież widzieć, gdzie idzie. Jeszcze tylko chwileczkę. Po minucie trzasnęły drzwi frontowe i usłyszała zbliżające się do samochodu kroki. Szybko się uwinął, pomyślała.

424

— Sidney! — Poderwała głowę i z przerażeniem ujrzała ojca wypadającego na taras na piętrze. — Uciekaj!

Poprzez oślepiającą biel śniegu zobaczyła, jak czyjeś ręce chwytają ojca od tyłu i obalają go brutalnie na deski tarasu. Wiatr przyniósł jeszcze jeden jego krzyk i zaległa cisza. Blask reflektorów oblał jej twarz. Odwróciła błyskawicznie głowę, żeby spojrzeć przez przednią szybę, i tuż przed sobą ujrzała białą furgonetkę. Musiała podjechać niepostrzeżenie ze zgaszonymi światłami.

Obok samochodu wyrósł cień. Sidney wbiła przerażony wzrok w unoszącą się i biorącą na cel jej głowę lufę pistoletu maszynowego. Instynktownie wdusiła przycisk automatycznej blokady drzwi, wrzuciła wsteczny i wdepnęła do oporu pedał gazu. Padła bokiem w poprzek przednich foteli w momencie, kiedy seria z pistoletu maszynowego dosięgła cadillaca, tłukąc szybę od strony pasażera i roztrzaskując w drobny mak połowę przedniej. Koła zabuksowały i przodem ciężkiego samochodu zarzuciło gwałtownie w bok. Rozległ się głuchy łomot. Uderzony błotnikiem strzelec odleciał w zadymkę. Opony cadillaca przeryły się przez warstwy śniegu do asfaltu i tam natrafiły wreszcie na opór. Wóz wyrwał ostro w tył. Obsypana okruchami hartowanego szkła Sidney wyprostowała się w fotelu. Utrzymując z nadludzkim wysiłkiem panowanie nad tańczącym po śliskiej nawierzchni samochodem, nie spuszczała z oka zbliżającej się furgonetki. Wycofała się do przecznicy odchodzącej od plaży. Tam prze-

rzuciła błyskawicznie dźwignię automatycznej skrzyni biegów na jazdę w przód, dodała gazu i skręciła ostro kierownicę. Wóz, zarzuciwszy na starcie tyłem, pomknął przed siebie jak strzała. Spod kół tryskały fontanny śniegu, soli i żwiru, wiatr gwizdał w kolekcji dziur w karoserii. Zerknęła we wsteczne lusterko. Pusto. Dlaczego mnie nie ścigają? Jej umysł zaczynał już funkcjonować i niemal natychmiast odpowiedziała sobie na to pytanie: bo mają teraz mojego ojca.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

— Uwaga, chłopaki, trzymcie się. — Kapłan przymknął przepustnicę i mocniej ujął stery. Samolot, dygocząc i przewalając się ze skrzydła na skrzydło, przebił podstawę niskiej powłoki chmur.

425

Pięć mil przed nimi jarzył się szpaler zatkniętych w zmrozoną ziemię flar sygnalizacyjnych, którymi zaznaczono pas startowy. Na widok tej świetlistej drogi do bezpiecznej przystani Kapłan uśmiechnął się chełpliwie. — Jasny gwint, dobry jestem.

W niespełną minutę później saab lądował już w skłębionych tumanach śniegu. Sawyer otworzył drzwi, zanim kołująca maszyna zdążyła się na dobre zatrzymać. Wciągnął w płuca potężny haust mroźnego powietrza i mdłości przeszły mu jak ręką odjął. Z samolotu wygramolili się na miękkich nogach ludzie z ZUZ. Paru z nich, oddychając głęboko, klapnęło od razu na powleczonej warstewką lodu tarmak. Jako ostatni wysiadł Jackson. Sawyer, który doszedł już do siebie, obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

— Cholera, Ray, aleś ty pobiełał.

Jackson wycelował w partnera drżący palec i chciał coś powiedzieć, ale zakrył tylko drugą dłonią usta, odwrócił się i powlókł za członkami ZUZ do czekającego nieopodal samochodu, obok którego stał funkcjonariusz policji stanowej z Maine dający im znaki latarką.

Sawyer wsunął głowę do samolotu.

• Dzięki za podwiezienie, George. Chcesz tu sterczeć? Nie wiadomo, ile to potrwa.

• Żartujesz? — Kapłan uśmiechnął się szeroko. — Miałbym przepuścić okazję odstawienia was do domu? Zaczekam.

Sawyer mruknął coś w odpowiedzi, zatrzasnął drzwi i pobiegł do samochodu. Reszta już tam na niego czekała. Nagle zatrzymał się jak wryty. Dopiero teraz zauważył, jaki środek transportu im podstawiono. Była to furgonetka do przewozu więźniów.

Policjant stanowy potoczył wzrokiem po skonsternowanych twarzach.

— Przepraszam, chłopaki, czasu było mało. Tylko taki transport na osiem osób zdążyliśmy zorganizować.

Agenci FBI wdrapali się do więziennej kibitki.

Pojazd miał małe, zabezpieczone drucianą siatką okienko i niewielką szybką komunikacyjną w płycie oddzielającej tył od kabiny kierowcy. Jackson odsunął ją, żeby policjant mógł go słyszeć.

• Możesz tu włączyć ogrzewanie?

• Nie da rady — odparł tamten. — Jeden z przewożonych niedawno więźniów dostał małpiego rozumu i rozpieprzył instalację. Jeszcze jej nie naprawili.

Skulony na ławce Sawyer obserwował parę własnego oddechu.

426

Była gęsta jak dym z mokrego ogniska. Położył karabin na podłodze i zaczął zacierać zgrabiałe dłonie. Prąd lodowatego powiet-

rza wdzierający się przez jakąś niewidoczną szparę trafił go prosto między łopatki. Zadygotał. Jezu, zupełnie jakby ktoś podkreślił na cały zycher klimatyzację, pomyślał. Tak zimno nie było mu od tamtego wieczoru, kiedy znalazł się w podziemnym parkingu, gdzie zamordowano Brophy'ego i Goldmana. I naraz przypomniał sobie inne swoje doświadczenie ze skutkami działania nastawionej na maksymalne chłodzenie instalacji klimatyzacyjnej — wymrożone mieszkanie zastrzelonego paliwowego. Skojarzenie to przypomniało mu nagle o czymś.  
— O Boże — wymamrotał.

Sidney doszła do wniosku, że ludzie, którzy porwali ojca, mogą się z nią skontaktować tylko w jeden sposób. Zatrzymała się przed małym barem, wysiadła i podbiegła do automatu telefonicznego. Wybrała swój domowy numer w Wirginii. Starła się rozpoznać głos nagrany na automatycznej sekretarce, ale na próżno. Głos podyktował jej numer, pod który miała zadzwonić. Założyła, że będzie to raczej telefon komórkowy niż stacjonarny aparat. Odetchnęła głęboko i wystukała podany numer. Połączenie uzyskała natychmiast. W słuchawce odezwał się inny, niż ten z automatycznej sekretarki, głos, ale i tym razem nie potrafiła go zidentyfikować. Miała pojechać Drogą Numer 1 na północ i dwadzieścia minut jazdy od Bell Harbor skręcić na Port Haven. Potem udzielono jej dokładnych wskazówek, jak trafić na odludny pas wybrzeża między Port Haven a miasteczkiem Bath.

— Chcę porozmawiać z ojcem. — Jej żądanie spotkało się z odmową. — To nie przyjadę. Pewnie już nie żyje.  
Odpowiedziała jej złowróżbna cisza. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Z ulgą wypuściła powietrze z płuc, kiedy w słuchawce odezwał się znajomy głos:

- Sidney, kochanie.
- Tato, nic ci nie jest?
- Sid, zmykaj stąd, gdzie pieprz...
- Tato? Tato? — krzyknęła Sidney. Mężczyzna wychodzący właśnie z baru z kubkiem gorącej kawy spojrzał dziwnie najpierw na nią, potem na podziurawionego cadillaca i znowu na nią. Ręka Sidney wsunęła się instynktownie w kieszeń kurtki, gdzie

427

spoczywał pistolet. Mężczyzna podszedł spieszenie do swojego pick-upa, wsiadł i nie patrząc już na nią odjechał.

W słuchawce znowu odezwał się głos. Miała trzydzieści minut na dotarcie do wskazanego miejsca.

— Jaką mam gwarancję, że go puścicie, kiedy wam oddam dyskietkę?

— Żadnej — powiedział głos tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Sidney zbuntowała się przeciwko takiemu postawieniu sprawy.

• To nie wystarczy. Skoro tak wam na niej zależy, to musimy ustalić warunki.

• Kpisz czy o drogę pytasz? Chcesz dostać swojego starego w zakrwawionym worze?

• Czyli spotykamy się na jakimś odludziu, ja oddaję wam dyskietkę, a wy z dobroci serca puszczacie nas wolno? Tak? Jeśli na to przystanę, będziecie mieli i dyskietkę, i mojego ojca, a ja skończę w Atlantyku w charakterze przekąski dla rekinów. Żeby dostać to, co mam, musicie się o wiele lepiej postarać.

Pomimo że mężczyzna zakrył dłonią mikrofon, Sidney słyszała w tle przytłumione głosy, w tym dwa podniesione.

- Albo robimy to po naszymu, albo wcale.
- Świetnie, wobec tego jadę na komendę policji stanowej.

Oglądajcie koniecznie wieczorne wiadomości. Na pewno was zainteresują. Żegnam.

- Zaczekaj!

Sidney milczała przez chwilę.

- Za pół godziny będę w centrum Bell Harbor na skrzyżowaniu ulic Merchant i Chaplain — odezwała się w końcu pewnym siebie głosem, choć pewnie wcale się nie czuła. — Będę siedziała w samochodzie. Łatwo go rozpoznacie po tych dodatkowych otworach wentylacyjnych. Mrugniecie dwa razy światłami. Wypuściecie mojego ojca. Po przeciwnej stronie ulicy jest jadłodajnia. Kiedy ojciec do niej wejdzie, otworzę drzwiczki samochodu, położę dyskietkę na chodniku i odjadę. Ostrzegam uczciwie, że jestem dobrze uzbrojona i gotowa posłać do piekła tyłu z was, ilu zdołam.

- Skąd będziemy wiedzieli, czy to ta dyskietka?
- Chcę odzyskać ojca. To będzie ta dyskietka. Mam nadzieję, że się nią udławicie. Umowa stoi? — Teraz ton jej głosu nie znosił sprzeciwu.

Czekała z niepokojem na odpowiedź. Boże, błagam, spraw,

428

żeby nie przejrżeli mojego blefu. Z piersi wyrwało jej się ciche westchnienie ulgi, kiedy usłyszała:

— Za trzydzieści minut.

Połączenie zostało przerwane.

Sidney wróciła do samochodu i zacisnęła dłonie na desce rozdzielczej. Jak, u licha, udało im się wytropić ją i ojca? To niemożliwe. Chyba że ich przez cały czas obserwowali. Widziała tę białą furgonetkę na stacji benzynowej. Atak nastąpiłby prawdopodobnie już tam, gdyby nie pojawienie się policjantów stanowych. Położyła się twarzą do dołu w poprzek przednich foteli i starała się uspokoić rozdygotane nerwy. Odsunęła na bok torebkę, a potem otworzyła ją, żeby się upewnić, czy dyskietka wciąż tam jest. Dyskietka w zamian za ojca. Ale jeśli odda tę dyskietkę, to już do końca życia będzie uciekać przed policją. Chyba że ją wcześniej złapią. Piękna perspektywa. Nie miała jednak wyboru.

Usiadła prosto i chciała już zamknąć torebkę, gdy nagle coś jej przyszło do głowy. Wróciła myślami do koszmaru w limuzynie. Tyle się wydarzyło od jej dramatycznej ucieczki z miejsca zbrodni. Tylko czy to można nazywać ucieczką? Morderca puścił ją wolno, a w dodatku był tak miły, że pozwolił zabrać torebkę. Mało tego, gdyby nie on, zupełnie by o niej zapomniała. Była tak szczęśliwa, że uchodzi z życiem, że nawet jej nie zastanowiło, co skłania tego człowieka do takiej wspaniałomyślności... Rzuciła się do gorączkowego przetrząsania zawartości torebki. Trwało to dobre dwie minuty, ale w końcu znalazła go, na samym dnie. Był wsunięty pod podszewkę torebki. Wyjęła go i obejrzała. Miniaturowy nadajnik namiarowy.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Obejrzała się, wrzuciła bieg i ruszyła ostro z miejsca. W głębi ulicy stała śmieciarka przerebiona na pług śnieżny. Sidney zerknęła we wsteczne lusterko. Nikt za nią nie jechał. Opuściła szybę, wystawiła na zewnątrz rękę i wzięła zamach, przygotowując się do wrzucenia w przelocie nadajnika do pojemnika śmieciarki. Tknięta nagłą myślą cofnęła rękę i zasunęła z powrotem szybę. Nadal trzymała nadajnik w dłoni. Dodała gazu. Śmieciarka została daleko w tyle. Spojrzała na małego towarzysza swojej kilkudniowej tułaczki. Co ma do stracenia? Skierowała się w stronę miasta. Musi znaleźć się jak najszybciej na umówionym miejscu wymiany. Ale najpierw kupi coś w sklepie.

Jadłodajnię, o której Sidney wspomniała w rozmowie telefonicznej, zapełniał tłumek głodnych bywalców. Cadillac stał z wygaszonymi światłami przy krawężniku, w sąsiedztwie dużej kępy zimozielonych krzewów otoczonych niskim płotkiem z kutego żelaza, dwie przecznice od umówionego miejsca wymiany. W ciemnym wnętrzu samochodu majaczyła niewyraźnie sylwetka kierowcy.

Chodnikiem zbliżali się szybkim krokiem dwaj mężczyźni. Przeciwną stroną ulicy szło równo z nimi jeszcze dwóch. Jeden z mężczyzn spojrzął na trzymany w dłoni niewielki przyrząd; na małym bursztynowym ekraniku z naniesioną siatką współrzędnych płonął jasno czerwony punkcik symbolizujący cadillaca. Mężczyźni zatrzymali się przy wozie. Przez wybitą szybę od strony pasażera wsunęła się do kabiny lufa pistoletu i w tej samej chwili zdecydowanym szarpnięciem otworzono drzwiczki od strony kierowcy. Mężczyźni patrzyli ze zdumieniem na kierowcę: kij od szczotki z udrapowaną na nim skórzaną kurtką i czapeczką baseballową nasadzoną na czubek.

Biała furgonetka stała z pracującym silnikiem na skrzyżowaniu Chaplain i Merchant. Kierowca spojrzął na zegarek, omiół wzrokiem ulicę, po czym błysnął dwukrotnie światłami, Bill Patterson leżał na podłodze z tyłu furgonetki. Ręce i nogi miał mocno związane, usta zaklejone taśmą. Otworzyły się z impetem drzwiczki od strony pasażera. Zaskoczony kierowca obrócił gwałtownie głowę i spojrzął rozszerzonymi ze zdumienia oczami w wylot lufy pistoletu. Sidney wsiadła do furgonetki. Zerknęła kątem oka do tyłu, upewniając się, czy z ojcem wszystko w porządku. Wiedziała już, że tam jest, bo wypatrzyła go przed chwilą, zaglądając do środka przez okienko w tylnych drzwiach. Porywacze byli widocznie przygotowani na wypadek, gdyby rzeczywiście nie obeszło się bez wydania jej ojca.

— Wyjmij broń za lufę i połóż ją na podłodze, Jak zbłądzisz paluszkami w okolice spustu, wpakuję ci w łeb cały magazynek. No już!

Kierowca zrobił szybko, co kazała.

- Teraz wysiadaj!
- Co?

Przystawiła mu lufę do szyi i ucisnęła pulsującą tam żyłę.

430

— Wysiadka!

Kiedy otworzył drzwiczki i odwrócił się do niej tyłem, pode-rwała kolana pod brodę i rozprostowując gwałtownie nogi kopnęła go z całej siły w plecy. Wypadł z kabiny i rozciągnął się jak długi na jezdni. Przeskoczyła na fotel kierowcy, zatrzasnęła drzwiczki i wdepnęła pedał gazu. Koła zabuksowały w śniegu i furgonetka wyrwała z miejsca jak wystrzelona z procy.

Kilka mil za miastem Sidney zatrzymała wóz, przeskoczyła do tyłu i uwolniła ojca z więzów. Siedzieli przez dłuższą chwilę na podłodze obejmując się i dygocząc ze strachu i ulgi.

• Trzeba zmienić samochód — powiedziała Sidney, wsuwając się znowu za kierownicę i wrzucając bieg. — Nie dałabym głowy, czy i w tym nie ma jakiejś pluskwy. Zresztą będą teraz szukali swojej furgonetki.

• Kawalek stąd jest agencja wynajmu. Ale nie lepiej iść na policję, Sid? — Bill Patterson rozcierał zdrętwiałe nadgarstki.

Podbite oczy i obtarte kłykcie świadczyły o zażartości walki, jaką stoczył ten niemłody już człowiek.

Sidney westchnęła.

— Tato, ja nie wiem, co jest na tej dyskietce. Jeśli to nie wystarczy, żeby...

Bill Patterson spojrział z troską na córkę. Docierało do niego powoli, że mimo wszystko może stracić swoją małą dziewczynkę.

— Wystarczy, Sidney. Na pewno wystarczy, bo inaczej po co Jason zadawałby sobie tyle trudu, żeby ci ją przysłać?

Uśmiechnęła się do ojca, ale twarz szybko z powrotem jej spochmurniała.

- Musimy się rozdzielić, tato.
- Ani myślę zostawiać cię teraz samej sobie.
- Towarzysząc mi, w oczach prawa stajesz się moim współnikiem. Możemy oboje trafić do więzienia.
- Mam to gdzieś.
- No dobrze, a co z mamą? No, co z nią będzie? I z Amy?

Kto się nimi zaopiekuje?

Patterson chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Z ponurą miną patrzył w okno.

— Pojedziemy razem do Bostonu — odezwał się po chwili — i tam o tym porozmawiamy. Jeśli dalej będziesz się chciała rozdzielić, to trudno.

Sidney została w furgonetce, a Patterson wszedł do budynku

431

agencji wynajmu samochodów. Wyszedł stamtąd po paru minutach. Sidney opuściła szybę.

— Wynająłeś? — spytała.

Patterson kiwnął głową.

• Przygotują wóz za parę minut. Wziąłem dużego sedana. Będziesz się mogła przespać na tylnej kanapie. Ja poprowadzę. Najdalej za pięć godzin będziemy w Bostonie.

• Kocham cię, tato. — Sidney zasunęła z powrotem szybę i ruszyła. Skonsternowany Bill Patterson gonił ją kawałek na piechotę, ale szybko zniknęła mu z oczu.

• Jezu! — Sawyer usiłował przebić wzrokiem ścianę bieli, która niemal do zera redukowałą widoczność. — Nie da się szybciej? — wrzasnął przez odsunięte okienko do prowadzącego więźniarkę policjanta. Widzieli już zdemolowany letni dom Pattersonów, a teraz szukali gorączkowo Sidney Archer i jej rodziny.

• Jak przyspieszę — odkrzyknął policjant — to zabijemy się w jakimś rowie.

Martwi. Czy martwa nie jest już czasem Sidney Archer? Sawyer spojrział na zegarek i sięgnął do kieszeni po papierosa.

Jackson rzucił mu karcące spojrzenie.

— Cholera, Lee, tylko tu nie kopć. I tak nie ma czym oddychać.

Sawyer nie słuchał. Namacał w kieszeni jakiś kartonik. Wyciągnął go. Była to wizytówka.

Sidney oddalała się od miasta z silnym przekonaniem, że pora zapanować nad emocjami i dopuścić do głosu stare nawyki. Od jakiegoś czasu, który w jej odczuciu rozciągał się na całą wieczność, reagowała tylko instynktownie na serię następujących jedna po drugiej kryzysowych sytuacji, nie podejmując nawet próby przeanalizowania na chłodno swoich zachowań. A była przecież prawnikiem, na studiach uczono ją logicznego podchodzenia do

faktów, przyglądania się detalom i układania z nich pełnego obrazu. Materiału do przemyśleń miała z pewnością pod dostatkiem. Jason pracował przy porządkowaniu dokumentów Tritona w związku z planowanym przejściem CyberComu. Tyle wiedziała. Jason zniknął w tajemniczych okolicznościach i przysłał jej dyskietkę zawierającą jakieś informacje. To też fakt. Jason nie sprze-

432

dawał Grupie RTG żadnych tajemnic, obecność na scenie Brophy'ego zdecydowanie to wykluczała. Co do tego również nie miała wątpliwości. Teraz ta dokumentacja finansowa. Podobno Triton po prostu ją przekazał. Czemu więc miało służyć to wielkie przedstawienie na spotkaniu w Nowym Jorku? Dlaczego Gamble chciał koniecznie rozmawiać z Jasonem o stanie prac nad porządkowaniem dokumentów, skoro sam przesłał mu już pocztą elektroniczną gratulacje w związku z dobrze wykonaną robotą? Czemu miał służyć cały ten cyrk z telefonowaniem do Jasona? Czemu miało służyć stawianie jej, Sidney, w takiej dwuznacznej sytuacji?

Zwolniła i zjechała na pobocze. A może celem tego wszystkiego było właśnie postawienie jej w dwuznacznej sytuacji? Stworzenie pozorów, że kłamie. Rzeczywiście od tamtej chwili stała się obiektem podejrzeń. Co konkretnie znajduje się w dokumentach przechowywanych w magazynie? Czyżby właśnie tego dotyczyły informacje zawarte na dyskietce? Czyżby Jason coś odkrył? Gamble tamtego wieczoru, kiedy odesłał ją do domu swoją limuzyną, najwyraźniej chciał się czegoś dowiedzieć. Czyżby próbował wysondować, czy Jason jej czegoś nie powiedział?

Triton od kilku już lat był klientem kancelarii. Duża, potężna firma z bogatą przeszłością. Ale jaki to może mieć związek z całą resztą? Śmierć braci Page'ów. Walka Tritona z RTG o CyberCom. Sidney wróciła znowu pamięcią do tamtego strasznego dnia w Nowym Jorku i nagle drgnęła. Przyszło jej do głowy to samo, co niedawno Lee Sawyerowi, choć w związku z czymś innym: Przedstawienie.

Boże! Musi skontaktować się z Sawyerem. Wrzuciła bieg i wjechała z powrotem na drogę. Z rozmyślań wyrwał ją świergotliwy odgłos. Rozejrzała się po furgonetce za jego źródłem i naraz oczy jej zabłyśły. Do magnetycznej płytki u dołu deski rozdzielczej przywierał telefon komórkowy. Dopiero teraz go zauważyła. Dzwonił. Sięgnęła po niego odruchowo i szybko cofnęła rękę. Po chwili wahania zdecydowała się odebrać.

- Tak?
- Myślałem, że nie interesuje cię zabawa w podchody. — Głos w słuchawce kipiał złością.
- I dobrze myślałeś. Zapomniałeś tylko napomknąć, że podrzuciliście mi pluskwę do torebki i czekaliście tylko na stosowny moment, żeby mnie dopaść.
- Dobra, pogadajmy o przyszłości. Chcemy mieć tę dyskietkę i ty nam ją dostarczysz. Natychmiast!

433

- Natychmiast to ja się rozłączę.
- Nie robiłbym tego na twoim miejscu.
- Posłuchaj, jeśli starasz się przeciągać tę rozmowę, żeby twoi ludzie mieli czas mnie namierzyć, to nie... — Sidney urwała i z osłupieniem słuchała cienkiego głosiku, który rozległ się w słuchawce.

- Mamusia? Mamusia?

Sidney odebrało głos. Zdjęła nogę z gazu; zdrtwiałe ręce nie miały już siły kierować furgonetką. Samochód zjechał na pobocze i zarył w śnieżnej zaspie.

- Mamusia? Tatuś? Psyjezdzacie? — Głosik małej był pod-

szyty łękiem, płaczliwy.

Sidney zrobiło się niedobrze, myślała, że zemdleje.

- A... Amy — wykrztusiła. — Maleńka.
- Mamusia?
- Tak, mamusia, malutka. Jestem tutaj. — Łzy zalały jej

twarz.

Usłyszała, jak małej odbierają słuchawkę.

• Dziesięć minut — powiedział mężczyzna. — Oto wskazówki...

- Daj mi z nią jeszcze porozmawiać, błagam!
- Masz już tylko dziewięć minut i pięćdziesiąt pięć sekund.

Sidney wpadła do głowy pewna myśl. A jeśli to głos z taśmy?

• Skąd mogę mieć pewność, że naprawę ją macie? To może być nagranie.

• Dobrze. Jak chcesz ryzykować, to nie przyjeżdżaj. — Z głosu przebijała pewność siebie. Sidney za żadne skarby świata nie podjęłaby takiego ryzyka. Człowiek po tamtej stronie linii dobrze o tym wiedział.

- Jeśli ją skrzywdzicie...

• Dzieciak nas nie interesuje. Ona nas nie rozpozna. Kiedy będzie już po wszystkim, podrzucimy ją w jakieś bezpieczne miejsce. — Zawiesił głos. — Ale pani to nie dotyczy, pani Archer. Dla pani skończyły się już bezpieczne miejsca.

• Wypuście ją. Wypuście, błagam. To tylko dziecko. — Sidney drżała tak silnie, że ledwie była w stanie utrzymać telefon przy ustach.

• Zapisz sobie lepiej wskazówki. Chyba nie chcesz zabłądzić. Jeśli się nie pojawisz, to to, co zostanie z twojego dziecka, nie będzie się nadawało do identyfikacji.

434

— Przyjadę — powiedziała Sidney zdławionym głosem i połączenie zostało przerwane.

Wjechała z powrotem na drogę. I nagle pociemniało jej przed oczami. Matka! Co z matką? Krew uderzyła jej do głowy, ścisnęła kurczowo kierownicę. W kabinie znowu rozległ się świergot. Sięgnęła drżącą ręką po telefon i podniosła go do ucha, ale w słuchawce panowała cisza. Zresztą ten świergot chyba jakoś inaczej brzmiał. Zjechała znowu na pobocze i z rozpaczą w oczach zaczęła się rozglądać po wnętrzu furgonetki. Jej wzrok padł wreszcie na torebkę leżącą na fotelu pasażera. Powoli wsunęła do niej rękę i wyciągnęła pager. Na małym ekraniku widniał numer telefonu, który z niczym jej się nie kojarzył. Wyłączyła brzęczyk pagera. Ktoś się prawdopodobnie pomylił. Nie chciało jej się wierzyć, że to próbuje się z nią skontaktować ktoś z kancelarii albo z klientów; przecież wypadła z obiegu. Chciała już wykasować wiadomość, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. A może to Jason? Jeśli tak, to wybrał sobie najmniej odpowiedni moment w dziejach świata. Trzymała przez chwilę palec nad przyciskiem kasowania. W końcu położyła sobie pager na kolanach, sięgnęła po telefon i wybrała numer widniejący na ekraniku pagera.

Głos, który usłyszała, zaparł jej dech w piersiach. Jednak cuda się zdarzają.

Główny budynek ośrodka wypoczynkowego pogrążony był w ciemnościach. Jego odosobnienie podkreślał jeszcze bardziej gąszcz zimozielonych krzewów od frontu. Na spotkanie furgonetce nadjeżdżającej długą alejką wyszło z holu dwóch uzbrojonych strażników. W ciągu ostatnich kilku minut śnieżna zamieć straciła znacznie na gwałtowności. Za wielką bryłą budynku nacierały



z furią na brzeg fale Atlantyku.

Strażnicy, klnąc, w ostatniej chwili uskoczyli w bok przed szarżującą furgonetką, która minęła ich nie zwalniając, staranowała główne drzwi i zatrzymała się dopiero na grubej przeciwległej ścianie wewnętrznej. Otoczyło ją natychmiast kilku uzbrojonych po zęby mężczyzn. Wyważyli zakleszczone drzwiczki. W środku nie było nikogo. Nie wzbudził w nich podejrzeń fakt, że telefon komórkowy, zamiast przylegać do magnetycznej płytki, leży pod fotelem kierowcy. Prawdopodobnie założyli, że spadł tam w wyniku zderzenia ze ścianą.

435

Sidney weszła do budynku od tyłu. Ze wskazówek, jakich udzielił jej mężczyzna, zorientowała się natychmiast, o jaki obiekt chodzi. Kilkakrotnie zatrzymywali się z Jasonem w tym ośrodku i dobrze znała rozkład wnętrza. Pojechała na skrót i dotarła na miejsce grubo przed czasem, który wyznaczili jej porywacze córeczki. Wykorzystała tych kilka bezcennych minut na unieruchomienie kierowcy i pedału gazu liną, którą znalazła z tyłu furgonetki. Z palcem na spuście pistoletu przemykała teraz przez ciemne pomieszczenia. Była na dziewięćdziesiąt procent przekonana, że Amy tu nie ma. Ale pozostałe dziesięć procent niepewności sprawiło, że użyła furgonetki do odwrócenia uwagi porywaczy, a sama podjęła desperacką próbę ratowania córeczki. Nie miała złudzeń, ci ludzie nie uwolnią Amy.

Ciszę zmąciły podekscytowane głosy ludzi biegnących hurmem do frontowego wejścia. W korytarzu za Sidney również dały się słyszeć kroki. Przekrzywiła głowę i nadstawiła ucha. Ten ktoś nie biegł, ale szedł powoli. Usunęła się w cień i przywarłszy do ściany czekała. Kiedy mężczyzna ją mijał, przystawiła mu lufę pistoletu do karku.

— Piśnij, a zginiesz — zakomenderowała z zimnym zdecydowaniem. — Ręce na głowę.

Posłuchał. Był wysoki, barczysty. Obmacała go i wyczuła broń w kaburze pod pachą. Upchnęła pistolet mężczyzny do kieszeni kurtki, a lufą swojego szturchnęła rozbrojonego więźnia pod żebra. Otwarte drzwi przed nimi prowadziły do wielkiego, jasno oświetlonego salonu. Nie dobiegały stamtąd żadne odgłosy, ale ta cisza nie potrwa już pewnie długo. Ci ludzie przejrzą lada chwila jej fortel, o ile już go nie przejrzeni. Pchnęła mężczyznę w przeciwnym kierunku, w głąb mrocznego korytarza.

Zatrzymali się kawalek dalej przed jakimiś drzwiami.

— Otwieraj i włącz — warknęła.

Kiedy otworzył, wepchnęła go do środka. Wymacała kontakt. Gdy zabłysło światło, zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na twarz mężczyzny.

Przed nią stał Richard Lucas.

• Nie wyglądasz na zaskoczoną — odezwał się beznamiętnym, spokojnym głosem.

• Mnie już nic nie jest w stanie zaskoczyć — odparła Sidney. — Siadaj. — Wskazała mu pistoletem krzesło z prostym oparciem. — Gdzie reszta?

436

Lucas wzruszył ramionami.

• Wszędzie. Roi się tu od nich, Sidney.

• Gdzie moja córka? I moja matka? — Lucas milczał. Sidney ujęła pistolet oburącz, biorąc na cel pierś Lucasa. — Nie zamierzam się z tobą cackać. Gdzie one są?

• Kiedy byłem agentem operacyjnym CIA — odparł spokojnie Lucas — pojmało mnie i torturowało przez dwa miesiące

KGB, dopóki im nie uciekłem. Niczego ze mnie nie wyciągnęli, i tobie też się nie uda. A jeśli chodzi ci po głowie, że wymienisz mnie na swoją małą, to sobie daruj. Równie dobrze możesz od razu nacisnąć spust.

Patrzył jej prosto w oczy. Sidney drgnął palec spoczywający na spuście pistoletu. Zakłęła pod nosem i opuściła broń. Na ustach Lucasa wykwitł uśmiech.

Myślała gorączkowo. Dobrze, sukinsynu.

— Jakiego koloru jest czapeczka Amy, Rich? Powinieneś to wiedzieć, jeśli naprawdę ją trzymacie.

Uśmiech spełził z warg Lucasa.

- Taka pastelowa — orzekł po chwili namysłu.
- Sprytna odpowiedź. Neutralna, można tak określić wiele rozmaitych kolorów... — urwała. Spłynęła na nią fala ulgi. — Tylko że Amy nie miała czapeczki.

Lucas chciał się zerwać z krzesła, ale Sidney była o ułamek sekundy szybsza. Zdzielony w głowę kolbą pistoletu zwałił się nieprzytomny na podłogę. Stała nad nim w rozkroku.

— Śmierć frajerom.

Wyszła z pokoju i ruszyła na palcach korytarzem. Od strony, od której dostała się do budynku, zbliżała się jakaś grupa. Zawróciła i pobiegła z powrotem w kierunku oświetlonego salonu, który wcześniej zauważyła. Wyjrzała ostrożnie zza węgła. Korzystając z poświaty wypływającej przez otwarte drzwi, zerknęła na zegarek. Zmówiwszy w duchu pacierz, wślizgnęła się do środka i ukryła za długą sofą z oparciem ujętym w rzeźbioną drewnianą ramę. Nasłuchiwała chwilę, a potem ostrożnie wysunęła głowę i rozejrzała się. Pokój był ogromny i miał oszklone drzwi balkonowe na całą ścianę wychodzące na ocean. Od podłogi do sufitu było co najmniej cztery metry. Za drzwiami balkonowymi znajdowała się loggia biegnąca przez całą długość ściany. Drugą ścianę zajmował regał z pięknie oprawionymi książkami. Atmosferę komfortu potęgowały eleganckie meble.

437

Hałas dobiegający z zewnątrz kazał Sidney schować szybko głowę. Skuliła się za sofą. Drugimi drzwiami wyspała się do salonu grupa uzbrojonych mężczyzn w czarnych kombinezonach. Jeden z nich rzucił coś do walkie-talkie. Z jego słów zorientowała się, że już o niej wiedzą. Znajdą ją wcześniej czy później. Pełznąc na czworakach wycofała się pod osłonę sofy z salonu. Na korytarzu wstała i pomaszzerowała szybkim krokiem do pokoju, w którym zostawiła Lucasa. Zamierzała wykorzystać go w charakterze przepustki na zewnątrz. Być może poświęcą Lucasa, byle tylko dostać ją w swoje ręce, ale w tej chwili innego wyboru nie miała.

Jej plan załamał się w jednej chwili, kiedy stwierdziła, że Lucasa już tam nie ma. Uderzyła go bardzo mocno, sama się zdziwiła, skąd u niej tyle siły. Widocznie nie zmyślał z tym KGB. Wybiegła z pokoju i pognąła do drzwi, którymi weszła do budynku. Lucas na pewno podniesie lada chwila alarm. Na ewakuację miała najwyżej parę sekund. Do zbawiennych drzwi miała już tylko parę susów, gdy nagle osadził ją w miejscu dziecięcy krzyk:

— Mamusia, mamusia!

Odwróciła się na pięcie. Płaczliwe zawrozczenie Amy dalej niosło się korytarzem.

— Boże! — Puściła się biegiem w stronę źródła tego krzyku. — Amy? Amy!

Drzwi do wielkiego salonu, z którego przed chwilą nieopatrzenie się wycofała, były teraz zamknięte. Bez zastanowienia otworzyła je jednym szarpnięciem i zdyszana wpadła jak bomba

do środka. Potoczyła w krąg dzikim wzrokiem, wypatrując córki.

Nathan Gamble patrzył na nią bez słowa. Za nim stał uśmiechnięty Richard Lucas. Połowa twarzy napuchła mu jak bania. Ludzie Gamble'a błyskawicznie obezwładnili i rozbili Sidney. Wyjęta z jej torebki dyskietka trafiła do rąk Gamble'a.

Prezes Tritona wduł klawisz małego profesjonalnego magnetofonu i w salonie znowu rozbrzmiał głosik Amy.

- „Mamusia? Mamusia?”.
- Kazałem założyć podsłuch w waszym domu, kiedy tylko odkryłem, że twój mąż pode mną ryje — wyjaśnił Gamble. — Mnóstwo przydatnych różności można tym sposobem zdobyć.
- Ty padalcu. — Sidney wlepiła w niego rozplamiony wzrok. — Wiedziałam, że to oszustwo.

438

— Trzeba było pójść za głosem instynktu, Sidney. Ja zawsze tak robię. — Gamble zatrzymał taśmę i podszedł do stojącego pod ścianą biurka. Sidney dopiero teraz zauważyła tam laptopa. Gamble wsunął dyskietkę do napędu. Potem wyjął z kieszeni arkusz papieru i obejrzał się na nią. — Twój mąż chytrze sobie wymyślił to hasło. Wszystko wspaniale. Bystra jesteś, ale założę się, że na tym zęby sobie połamałaś, mam rację? — Jego twarz zmarszczyła się w przewrotnym uśmiechu. — Zawsze uważałem Jasona za lebskiego faceta. — Wystukał coś jednym palcem na klawiaturze i przypalając sobie cygaro spojrzął na ekran. Najwyraźniej zadowolony z tego, co tam zobaczył, usiadł w fotelu, założył ręce na piersi i strzepnął na podłogę popiół z cygara.

Sidney nie spuszczała z niego oczu.

- Mylisz się, Gamble. Wiem o wszystkim.
- A mnie się wydaje, że gówno wiesz.
- A te miliardy dolarów, które zarobiłeś spekulując na zmianach stóp kapitałowych wprowadzanych przez Zarząd Rezerwy Federalnej? Miliardy, z których zbudowałeś Triton Global?
- Interesujące. Niby jak według ciebie to zrobiłem?
- Wiedziałaś zawczasu o tych zmianach. Szantażowałaś Arthura Liebermana. Wielki biznesmen, który nie potrafi zarobić centa w uczciwy sposób. — Te ostatnie słowa wyrzuciła z siebie z bezbrzeżną pogardą. Gamble patrzył na nią ponuro. — A kiedy Lieberman zaczął grozić, że cię zdemaskuje, ginie w katastrofie lotniczej.

Gamble wstał i wyszedł zza biurka; zbliżał się do Sidney jak gradowa chmura, z dłonią zaciśniętą w pięść.

— Zarabiałem miliardy bez niczyjej pomocy. Potem zawistni konkurenci przekupili kilku moich ludzi na giełdzie, żeby mnie po cichu wykończyć. Nie potrafiłem niczego udowodnić, jednak w rezultacie oni wylądowali na lukratywnych synekurkach, a ja straciłem wszystko, co miałem. I to się nazywa sprawiedliwość? — Zatrzymał się i wziął głęboki oddech. — Ale masz rację. Wykorzystałem swoją wiedzę o intymnym sekreciku Liebermana. Zaciśnąłem pasa, wskrobałem tyle gotówki, żeby moja wtyka mogła opływać w luksusy, i uzbroiłem się w cierpliwość. Jednak to nie było takie proste. — Wargi rozciągnął mu złośliwy uśmiech. — Wyczekiwałem na momenty, kiedy ci, którzy puścili mnie z torbami, inwestowali duży kapitał zgodnie z przewidywanym powszechnie kierunkiem ruchu stóp procentowych, a wtedy

439

sam, pozornie wbrew logice, inwestowałem odwrotnie i mówiłem Liebermanowi, w którą stronę ma zmienić stopę. Dopiąłem swego. Jestem teraz na topie, a tamtych facetów nie stać nawet na szklan-

kę szczyn. Czysta robota. I jaka cholerna satysfakcja.

Pojaśniał na twarzy na wspomnienie swojego osobistego tryumfu.

- Każdemu, kto mi nadeprnie na odcisk, odpłacam tym samym. Tylko o wiele mocniej. Weźmy takiego Liebermana. Równy ze mnie gość, zapłaciłem sukinsynowi ponad sto milionów dolarów za to manipulowanie stopami. A jak mi się odwdzięcza? Chce mnie sypanąć. Czy to moja wina, że ma raka? Ta legenda prestiżowych uniwersytetów myślała, że mnie przechytrzy. Nie przyszło mu do głowy, że ja wiem, że jego dni są policzone. A ja o ludziach, z którymi robię interesy, wiem wszystko. Wszyscyutko! — Gamble oblał się na chwilę niezdrowym rumieńcem, by zaraz znowu przewrotnie się uśmiechnąć. — Żałuję tylko trochę, że nie widziałem jego gęby, kiedy siedział w tym spadającym samolocie.

- Nie sądziłam, że stać cię na ludobójstwo, Nathanie. Tylu mężczyzn, kobiet, dzieci...

Gamble spochmurniał i zaciągnął się cygarem.

- Myślisz, że z lekkim sercem podjąłem tę decyzję? Zajmuję się zarabianiem pieniędzy, nie zabijaniem. Gdyby istniał inny sposób, tobym go zastosował. Miałem do rozwiązania dwa problemy w osobach Liebermana i twojego męża. Obaj znali prawdę, więc obu musiałem się pozbyć. Tylko wykorzystując do tego samolot mogłem to załatwić za jednym zamachem: zabić Liebermana i zrzucić winę na twojego męża. Gdyby można było wykupić wszystkie miejsca w tym samolocie, zostawiając tylko jeden bilet dla Liebermana, zrobiłbym tak... — zawiesił głos i spojrzał na Sidney. — Może poprawi ci samopoczucie wiadomość, że moja fundacja charytatywna wypłaciła już dziesięć milionów dolarów rodzinom ofiar.

- Coś niesamowitego, zbijasz na swojej brudnej robocie kapitał popularności. Naprawdę myślisz, że pieniądze wszystko załatwiają?

Gamble wydmuchnął dym.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak często. A faktem pozostaje, że wcale nie musiałem niczego dla nich robić. Wyluszczyłem twojemu kumpłowi Whartonowi zasadę, jaką się kieruję: kiedy

440

już raz zagnę parol na kogoś, kto mi podpadł, nie patrzę, kto staje mi na drodze.

Twarz Sidney nagle stężała.

— Tak jak w przypadku Jasona? Gdzie on jest? Gdzie mój mąż, sukinsynu?! — wykrzyczała w przypląwie furii i gdyby nie przytrzymała jej ludzie Gamble'a, rzuciłaby się na niego z pięściami.

Szef Tritona podszedł i uderzył ją pięścią w twarz.

— Milcz!

Sidney otrząsnęła się szybko, wyrwała się drabowi, który ją trzymał, i przeorała Gamble'owi twarz paznokciami. Zaskoczony prezes Tritona zatoczył się w tył, podrywając rękę do rozdrapanego policzka.

— Ty cholero! — wrzasnęła. Przykładając chusteczkę do krwawiącego miejsca wpatrywał się w nią wściekłym wzrokiem. Sidney wytrzymała to spojrzenie. Dygotała na całym ciele z gniewu, jakiego nigdy dotąd nie czuła. Gamble skinął na Lucasa. Ten wyszedł z salonu i po chwili wrócił w towarzystwie.

Na widok Kennetha Scalesa Sidney drgnęła. Mężczyzna patrzył na nią z bezbrzeżną nienawiścią. Zerknęła na Gamble'a. Ten spuścił wzrok i z ciężkim westchnieniem schował chusteczkę do kieszeni.

- Sądę, że sobie na to zasłużyłaś — powiedział dotykając ostrożnie policzka. — Nie zamierzałem cię zabijać, ale widzę, że bez tego się nie obejdzie, chyba się ze mną zgodzisz? — Przechesał palcami włosy. — Nie martw się, ustanowię pokazny fundusz powierniczy dla twojego dziecka. Powinnaś być mi wdzięczna, że tak o wszystkim myślę. — Dał znak Scalesowi, żeby podszedł bliżej.

- O, doprawdy? — krzyknęła Sidney. — A pomyślałeś, że skoro nawet ja zdołałam cię rozszyfrować, to tym bardziej zrobi to Sawyer? — Gamble patrzył na nią pustym wzrokiem. — Na pewno ustali, że szantażowałeś Arthura Liebermana, grożąc ujawnieniem jego romansu ze Stevenem Page'em, którego sam mu podstawiliś. Ale pech chciał, że kiedy Lieberman dostał wreszcie nominację na stanowisko prezesa Zarządu Rezerwy Federalnej, Page zaraził się wirusem HIV i powstała groźba, że cały ten misterny plan spali na panewce. Jak zażegnałeś wtedy kryzys? Tak samo, jak w przypadku Liebermana. Kazałeś zabić Page'a. Reakcja Gamble'a zaskoczyła ją.

441

- A po co, u diabła, miałbym go kazać zabijać? Pracował dla mnie.

- To prawda, Sidney.

Obejrzała się jak pchnięta sprężyną. Do salonu wkraczał Quentin Rowe.

Gamble był równie zaskoczony.

— A ty skąd się tu wzięłaś?

Rowe nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

— Chyba zapomniałeś, że mam swoją prywatną kabinę w firmowym samolocie. Poza tym zawsze nadzoruję realizację projektów aż do ich sfinalizowania.

- Czy ona ma rację? Kazałeś zabić swojego kochasia?

Rowe dopiero teraz zmierzył Gamble'a zimnym spojrzeniem.

- Nie twoja sprawa.

- To moja firma, więc wszystko tu jest moją sprawą.

— Twoja firma? Nie powiedziałbym tego. CyberCom jest już nasz i dłużej cię nie potrzebujemy. Mój koszmar wreszcie się skończył.

Gamble spurpurowiał. Dał znak Richardowi Lucasowi.

— Chyba trzeba nauczyć tego małego fajfusa szacunku dla przełożonego.

Richard Lucas wyciągnął pistolet.

Gamble pokręcił głową.

- Nie, wystarczy przetrzepać pedziowi skórę — powiedział ze złośliwym błyskiem w oku. Ten błysk szybko jednak zgasł, kiedy Lucas skierował pistolet na niego. Cygaro wypadło z ust szefa Tritona. — Co, u diabła? Ty pieprzony zdrajco...

- Stul ryło! — ryknął Lucas. — Stul to niewyparzone ryło, bo ci je tu zaraz rozwalę. Przysięgam na Boga, że rozwalę. — Oczy Lucasa wpiły się w twarz Gamble'a i ten posłusznie zamilkł.

— Dlaczego, Quentinie? — spytała Sidney. — Dlaczego?

Rowe spojrzął na nią i odetchnął głęboko.

— Wkupując się do mojej firmy, Gamble tak zredagował tekst umowy, że praktycznie przejął kontrolę nad moimi pomysłami, nad wszystkim. Stał się moim właścicielem. — Rzucił Gamble'owi spojrzenie pełne nie skrywanej odraży i jakby czytając w myślach Sidney dorzucił: — Wiem. Była z nas najbardziej osobliwa para pod słońcem.

Usiadł przed stojącym na biurku komputerem. Bliskość tego

wytworu zaawansowanej techniki zdawała się wpływać na niego kojąco.

— Potem Gamble stracił wszystkie pieniądze — podjął wpatrzony w ekran. — Moja firma znalazła się w ślepej uliczce. Błagałem go, żeby rozwiązał ze mną umowę, ale odmówił i zagroził, że jeśli sam podejmę jakieś kroki w tym kierunku, będzie mnie latami ciągał po sądach. Byłem w pułapce. Potem Steven poznał Liebermana i zawiązana została intryga.

- Ale dlaczego kazałeś zabić Page'a?

Rowe milczał.

- Próbowalesz ustalić, od kogo zaraził się HIV-em?

Rowe nadal milczał. Łzy płynęły mu po policzkach i skapywały na klawiaturę laptopa.

— Quentin...?

• Ode mnie. To ja go zaraziłem! — Rowe zerwał się, stał przez chwilę na rozdygotanych nogach i w końcu opadł z powrotem na krzesło. — Kiedy Steven powiedział mi, że poszedł się przebadać i test dał wynik pozytywny — podjął zbolalym głosem — nie mogłem w to uwierzyć. Zawsze byłem mu wierny, a on przysięgał, że też nigdy mnie nie zdradził. Nasze podejrzenie padło na Liebermana, z którym Steve utrzymywał wcześniej kontakty. Zdobyliśmy kopię jego karty zdrowia... był czysty. Wtedy sam poddałem się badaniom. — Wargi zaczęły mu drżeć. — I dowiedziałem się, że jestem nosicielem. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to ta przeklęta transfuzja krwi, którą zrobiono mi po wypadku samochodowym. Sprawdziłem w szpitalu i odkryłem, że mniej więcej w tym samym czasie wirusem zaraziło się kilku innych operowanych tam pacjentów. Powiedziałem wszystko Stevenowi. Bardzo mi na nim zależało. Nigdy w życiu nie czułem takich wyrzutów sumienia. Myślałem, że Steven zrozumie. — Rowe wziął głęboki oddech. — Ale nie rozumiał.

- Zagroził, że cię wyda? — spytała Sidney.

• Za daleko zaszliśmy, za ciężko pracowaliśmy. Steven zupełnie się załamał, zaczął pić... — Rowe pokręcił z przygnębieniem głową. — Pewnego wieczoru przyszedł do mnie do domu i powiedział mi, co zamierza. Chciał ujawnić cały plan szantażowania Liebermana. Gdyby to zrobił, wszyscy trafilibyśmy do więzienia. Powiedziałem mu, żeby postąpił, jak uważa. — Rowe'emu łamał się głos. — Zaaplikowałem mu jego dzienną dawkę insuliny, której zapas zawsze trzymałem w domu. On sam zawsze o niej

zapominał. — Rowe patrzył na łzy skapujące mu na dłoń. — Kiedy zasnął na kanapie, wstrzyknąłem mu dodatkową dawkę, a potem obudziłem go, wsadziłem do taksówki i odesłałem do domu. I tam umarł — dorzucił cicho. — Nasz związek utrzymywaliśmy w tajemnicy. Policja w ogóle mnie nie przesłuchiwała. — Spojrzał na Sidney. — Rozumiesz mnie, prawda? Musiałem to zrobić. Moje marzenia, moja wizja przyszłości — ciągnął niemal błagalnym tonem. Sidney milczała. Rowe wstał i otarł twarz z łez. — CyberCom był ostatnim elementem, jakiego potrzebowałem. Ale wszystko ma swoją cenę. Te wspólne tajemnice związały mnie i Gamble'a do końca życia. — Rowe skrzywił się, a potem nagle uśmiechnął, spoglądając na Gamble'a. — Na szczęście go przeżyję.

• Ty podstępny bękarcie! — Gamble chciał się rzucić na Rowe'a, jednak Lucas go przytrzymał.

• A Jason, porządkując dokumenty przechowywane w magazynie, odkrył cały spis, tak? — spytała Sidney.

Rowe znowu zerwał się z krzesła i zwrócił się do Gamble'a:

- Ty dumniu! Nigdy nie szanowałeś techniki i właśnie przez twoją ignorancję do tego doszło. Nie zdawałeś sobie sprawy, że system archiwizacji danych sporządza automatycznie rezerwowe kopie tajnej korespondencji, którą wysyłałeś pocztą elektroniczną do Liebermana, i że zachowuje te kopie, nawet jeśli wymaże się z pamięci komputera oryginał. Na domiar złego pazerność tak cię zaślepiła, że prowadziłeś dodatkowe księgi rachunkowe z dokumentacją zysków płynących z wymuszonych na Liebermanie posunięć. I wszystko to leżało na wierzchu w magazynie. Dumniu skończony! — krzyknął znowu i spojrzął na Sidney. — Nie chciałem tego, uwierz mi, proszę.

- Quentinie, jeśli zgodzisz się współpracować z policją... — zaczęła Sidney.

Rowe parsknął śmiechem i Sidney opuściły wszelkie złudzenia. Podszedł do komputera i wyjął dyskietkę z napędu.

- Jestem teraz szefem Triton Global. Wszedłem właśnie w posiadanie czegoś, co umożliwi mi zbudowanie lepszej przyszłości dla nas wszystkich. Ani mi w głowie zamieniać tego marzenia na więzienną celę.

- Quentinie...

- Zrób to szybko — rzucił Rowe do Kennetha Scalesa, nie zwracając już na nią uwagi. — Jej oszczędź cierpienia. Ciała

444

wrzucisz do oceanu, jak najdalej od brzegu. Tajemnicze zniknięcie. — Tu Rowe zwrócił się do Gamble'a. — Za sześć miesięcy nikt już nie będzie o tobie pamiętał — dorzucił i oczy mu zabłyśły. Wyrwywającego się i miotającego przekleństwa Gamble'a wprowadzono z salonu.

— Quentinie! — krzyknęła Sidney widząc, jak Scales rusza ku niej. Ale Quentin Rowe udał, że nie słyszy.

— Quentinie, proszę!

Spojrzał wreszcie na nią.

— Przykro mi, Sidney. Naprawdę przykro — powiedział i z dyskietką w ręku skierował się do drzwi. Mijając Sidney, poklepał ją pocieszająco po ramieniu.

Odrętwiała psychicznie i fizycznie Sidney spuściła głowę na piersi. Kiedy po chwili podniosła znowu wzrok, człowieka o pozbawionej jakichkolwiek emocji twarzy i zimnych niebieskich oczach dzieliło od niej zaledwie kilka kroków. Rozejrzała się. Wszyscy obecni w pokoju sunęli w napięciu wzrokiem za idącym przez salon Scalesem, ciekawi, jak ją zabije. Sidney zacisnęła zęby i zaczęła się cofać. Zatrzymała się pod ścianą, zacisnęła powieki i pomyślała o córeczce. Amy była bezpieczna. Rodzice też. To w tej chwili najważniejsze. Żegnaj, malutka. Mamusia cię kocha. Łzy popłynęły jej po twarzy. Nie zapomnij o mnie, Amy.

Scales uniósł nóż i uśmiechnął się mściwie. Błysk odbity w ostrzu nadał metalowi czerwoną barwę. Zdumiony Scales poszukał wzrokiem źródła tego kolorowego światła i uśmiech spełził mu z warg na widok maleńkiej czerwonej kropki na własnej piersi i cienkiego jak ołówek laserowego promienia, który od tej kropki odbiegał.

Cofnął się, nie odrywając zbaraniałego wzroku od Lee Sawyera, który mierzył do niego z karabinu snajperskiego z laserowym celownikiem. Zaskoczeni najemnicy gapili się na wyrosłych jak spod ziemi Sawyera, Jacksona, ludzi z ZUZ oraz funkcjonariuszy policji stanowej z Maine.

— Rzućcie broń, panowie, chyba że chcecie zbierać swoje mózgi z podłogi! — ryknął Sawyer, mocniej ściskając karabin w rękach. — Rzuć broń, powiedziałem! No już! — Nie zdejmując palca

ze spustu, postąpił parę kroków w głąb salonu. Najemnicy zaczęli odkładać broń na podłogę. Sawyer dostrzegł kątem oka Quentina Rowe'a, próbującego wymknąć się niepostrzeżenie na korytarz. Skierował na komputerowca lufę. — Nic z tego, panie Rowe. Siad!

445

Śmiertelnie przerażony Quentin Rowe, tuląc do piersi dyskietkę, opadł posłusznie na fotel. Sawyer spojrział na Raya Jacksona.

— Kończymy.

Ruszył w stronę Sidney. W tym momencie huknął strzał i jeden z policjantów osunął się na podłogę. Ludzie Rowe'a, wykorzystując moment zaskoczenia, chwycili odłożoną przed chwilą broń i otworzyli ogień. Przedstawiciele prawa rozproszyli się błyskawicznie kryjąc, gdzie kto mógł, i odpowiedzieli ogniem. Błyskające zza każdego mebla lufy pluły śmiercią. Po paru sekundach strzelcy z obu walczących stron wytlukli wszystkie źródła oświetlenia i salon pogrążył się w kompletnych ciemnościach.

Wzięta w krzyżowy ogień Sidney, zakrywając dłońmi uszy, rzuciła się na podłogę. Nad jej głową świstały pociski.

Sawyer padł na czworaki i popęzł w jej kierunku. Od drugiej strony sunął ku niej na brzuchu Scales z nożem w zębach. Sawyer wygrał ten wyścig i chwycił Sidney za rękę, by odciągnąć ją w bezpieczne miejsce. Błysnął nóż Scalesa. Sidney krzyknęła, ale Sawyer zablokował spadający cios przedramieniem. Ostrze przebiło rękaw jego grubej kurtki i wraziło się w ciało. Agent stęknął z bólu i chciał kopnąć Scalesa, stracił jednak równowagę i przewrócił się na plecy. Scales natychmiast przygniótł go do podłogi i dwukrotnie dźgnął nożem w pierś. Na szczęście ostrze napotkało na swej drodze teflonową siateczkę wszytą w przód kamizelki kuloodpornej Sawyera i zatrzymało się na niej. Skutki nie kazały na siebie długo czekać. Scales oberwał potężną pięścią Sawyera w zęby, a łokciem Sidney w kark. Zawył z bólu tym dotkliwszego, że usta miał już wcześniej poharatane, a nos złamany.

Z furją odepchnął od siebie Sidney. Poleciała po śliskiej, wyfroterowanej podłodze i z impetem grzmiotnęła w ścianę. Scales raz i drugi wyrzwał Sawyera pięścią w twarz, a potem poderwał nóż do kolejnego pchnięcia, mierząc w środek czoła agenta. Sawyer ucapił go żelaznym chwytem za nadgarstek i powoli, ale bez specjalnego wysiłku podźwignął się na czworaki. Scales wyczuł potężną siłę drżącą w zwalistym ciele agenta, siłę pierwotną, o sprostaniu której on, człowiek o wiele drobniejszej postury, nie mógł nawet marzyć. Nawykły do tego, że jego ofiary umierają, zanim zdążą stawić mu czoło, odkrył nagle, że złowił na wędkę żywego Wielkiego Białego Rekina. Sawyer walił dłonią Scalesa o podłogę dopóty, dopóki ten nie wypuścił z niej noża. Potem uniósł się i wyprowadził prawy sierpowy, który wyładował

446

na twarzy Scalesa. Scales z potępieńczym wyciem i nosem przywierającym teraz na płask do policzka przeleciał przez cały salon.

W kącie trwała wymiana ognia pomiędzy Rayem Jacksonem i dwoma ludźmi Gamble'a. Trzej członkowie ZUZ przebili się na balkon. Zyskawszy tę taktyczną przewagę szybko brali górę w strzelaninie. Nie żyło już dwóch najemników, a trzeci dogorywał z rozerwaną pociskiem tętnicą udową. Postrzały otrzymali dwaj policjanci stanowi, stan jednego z nich był poważny. Ranni byli również dwaj ludzie z ZUZ, ale ci nadal uczestniczyli w walce.

Przeładowując broń, Jackson rozejrzał się po salonie i zobaczył, że Scales, który zdążył się już pozbierać z ziemi, z uniesionym nożem sady wielkimi susami do odwróconego plecami Lee Sawyera, znowu próbującego odciągnąć Sidney w bezpie-



czne miejsce.

Jackson obserwował to z drugiej strony salonu. Nie było czasu na przeładowywanie karabinu, a magazynki do pistoletu już mu się skończyły. Ostrzegawczy krzyk nic by nie dał, bo zagłuszyłaby go kanonada. Jackson zerwał się na równe nogi. Ocknął się w nim duch zawodnika uniwersyteckiej drużyny futbolowej Wolverines, w której grał podczas studiów w University of Michigan. Wystartował jak wówczas do ciężkiego boju o jardy boiska. To miała być szarża jego życia. Pędził jak wiatr poprzez grad pocisków, już w trzecim susie osiągając maksymalną szybkość.

Kenneth Scales był dobrze zbudowany i umięśniony, ale wagą o dobre pięćdziesiąt funtów ustępował szarżującemu na niego agentowi FBI.

Żelazny bark Jacksona niczym taran wpasował mu się w mostek w momencie, kiedy ostrze noża sięgało już pleców Sawyera. Trzasku, z jakim w wyniku tej kolizji zapadła się klatka piersiowa Scalesa, nie zagłuszyła nawet trwająca wciąż kanonada. Scales wyleciał w powietrze i zatrzymał się z łomotem na oddalonej o dwa metry, wyłożonej dębową boazerią ścianie. Drugi trzask, choć już nie tak głośny jak pierwszy, oznajmił światu, że Kenneth Scales opuścił ten padół z przetrąconym karkiem. Jego bezwładne ciało osunęło się na podłogę i znieruchomiło wpatrzone w sufit parą martwych oczu. Z punktu widzenia sędziego futbolowego, był to wyczyn, który nieprędkiem ktoś zdoła powtórzyć.

Swój heroiczny czyn Jackson przypłacił zainkasowaniem postrzału w ramię i w nogę, zanim Sawyer zdążył wyeliminować

447

celnym ogniem strzelca. Sawyer chwycił Sidney za ramię i zaciągnął ją w kąt za masywnym stołem. Potem podbiegł do przyjaciela, który oddychając z trudem siedział oparty o ścianę. Tuż przy głowie Sawyera wbił się w boazerię pocisk. Drugi trafił agenta w klatkę piersiową. Pistolet wyleciał mu z ręki, a on sam, krztusząc się krwią, osunął się po ścianie. Kamizelka po raz drugi spełniła swoje zadanie, ale usłyszał chrzęst pękających pod wpływem uderzenia żeber. Chciał wstać, ale był teraz łatwym celem.

Gdzieś od przewróconego stołu huknęły kolejne strzały. Złaz się niemal z nimi krzyk z kierunku, z którego postrzelono Sawyera. Agent spojrział na stół i ze zdumieniem zobaczył tam Sidney Archer wpychającą za pasek dymiący jeszcze pistolet. Wybiegła zza osłony blatu i pomogła Sawyerowi wciągnąć Jacksona za stół.

Posadzili Raya pod ścianą.

• Jasna cholera, Ray, co ci odbiło? — Sawyer obejrzał szybko swojego partnera, ale poza dwoma ranami nie dostrzegł żadnych innych.

• A co, miałem przez resztę życia oglądać twojego ducha straszącego mnie zza świątów? Nie ze mną te numery, Lee. — Jackson przygryzł wargę. Sawyer zerwał z szyi krawat i wykorzystując go w charakterze zaimprovizowanej opaski uciskowej obwiązał nim tuż nad raną nogę Jacksona.

• Trzymaj tu, Ray — powiedział i naprowadził dłoń Jacksona na węzeł. Potem ściągnął z siebie kurtkę, zwinął ją w kłęb i docisnął do krwawiącego ramienia przyjaciela.

• Pocisk przeszedł na wylot. Wygrzebiez się z tego.

• Wiem, czułem, jak przechodził. — Po czole Jacksona ściekały strużki potu. — Ty też oberwałeś, prawda?

• Nie, miałem kamizelkę, nic mi nie jest. — Sawyer oparł się o ścianę. Zranione przedramię znowu zaczęło krwawić.

• Boże jedyny, Lee! — Sidney z przerażeniem patrzyła na karmazynowy potok. — Jesteś ranny.

Ściągnęła z szyi apaszkę i obwiązała nią rękę Sawyera.  
Spojrzał na nią z wdzięcznością.

— Dzięki. I nie chodzi tylko o opatrzenie.

Sidney również oparła się plecami o ścianę.

— Dzięki Bogu, że zadzwoniłeś i wymieniliśmy się informacjami. Zyskałam trochę na czasie, racząc Gamble'a swoimi błyskotliwymi dedukcjami. Ale prawdę mówiąc, nie wierzyłam, że zdążysz.

448

Przysunął się do niej.

— Straciliśmy na parę minut sygnał twojego telefonu komórkowego, jednak udało nam się znowu go przechwycić. — Wyprostował się i popękane żebra zabolowały go jeszcze bardziej. Spojrzał na jej posiniaczoną twarz. — Nic ci nie jest? Jezu, że też wcześniej nie zapytałem.

Dotknęła ostrożnie spuchniętej szczęki.

• Czas i makijaż robią swoje. A ty?

Sawyer znowu drgnął.

• Boże! A co z Amy! Co z twoją matką?

Wyjaśniła mu szybko, że było to tylko nagranie.

• Sukinsyny — warknął.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

• Nie wiem, co by się stało, gdybym zlekceważyła twoje przywołanie poprzez pager.

• Ale nie zlekceważyłaś. Całe szczęście, że miałem twoją służbową wizytówkę. — Uśmiechnął się. — Te techniczne nowinki czasem się na coś przydają. Ale bez przesady z nimi.

Quentin Rowe siedział wciśnięty w kąt salonu. Oczy miał zamknięte, a uszy zasłaniał dłońmi, żeby odgradzić się od huków wystrzałów. Nie zauważył mężczyzny, który zbliżył się do niego od tyłu. Szarpnięcie za kucyk poderwało mu brodę w górę. Czyjeś dłonie przekręciły gwałtownie jego głowę i zanim rozległ się chrząst pękającego kręgosłupa, ujrzał jeszcze na moment uśmiechniętą mściwie twarz Nathana Gamble'a. Szeft Tritona puścił bezwładne ciało i martwy Rowe osunął się na podłogę. Gamble porwał z biurka laptopa i roztrzaskał go o trupa współnika.

Pochylił się jeszcze raz nad ciałem, i kiedy się prostował, pocisk ugodził go w pierś. Z niedowierzaniem wybałuszył oczy na strzelca i chwytając go za rękaw osunął się na ziemię z grymasem wściekłości na twarzy.

Zabójca podniósł z podłogi dyskietkę upuszczoną przez Quentina Rowe'a i wyszedł z salonu.

Leżące na boku ciało Rowe'a patrzyło martwymi oczami na trupa Gamble'a.

449

Sawyer ostrożnie wychylił głowę ponad stół i rozejrzał się. Pozostali przy życiu najemnicy rzucali broń i z uniesionym rękami wychodzili z ukrycia. W chwilę później leżeli już twarzami do podłogi, skuci kajdankami przez ludzi z ZUZ. Sawyer dostrzegł bezwładne ciała Rowe'a i Gamble'a. Nagle wyłowił uchem oddalający się szybko tupot nóg dolatujący zza balkonowych drzwi.

— Zajmij się Rayem — rzucił do Sidney. — To jeszcze nie koniec.

Zerwał się z podłogi i wybiegł na taras.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Wiatr, śnieg i rozbryzgi oceanicznych fal atakowały ze wszystkich stron biegnącego plażą Sawyera. Twarz miał opuchniętą i zakrwawioną, zraniona ręka i popękane żebra dokuczały mu jak diabli, oddychał płytko i urywanie. W biegu ściągnął z siebie ciężką kamizelkę kuloodporną i przyspieszył, przytrzymując rękami rozjeżdżające się na pęknięciach żebra. Nogi grzęzły w sypkim piasku i wyginały się w kostkach. Dwa razy potknął się i upadł, pocieszał się jednak, że człowiek, którego ściga, boryka się pewnie z takimi samymi problemami. Miał przy sobie latarkę, ale nie chciał z niej korzystać, przynajmniej na razie. Dwukrotnie zбочzył zbyttnio w stronę linii brzegu i lodowate języki rozfalanowanego Atlantyku oblizwały mu stopy aż po kostki. Biegł ze spuszczoneym wzrokiem, podążając tropem odcisniętych w piasku śladów.

Nagle drogę przegrodziła mu wyrastająca z piasku masywna skała. Takich skalnych formacji na wybrzeżu Maine spotyka się bardzo wiele. Kiedy zastanawiał się, jak pokonać przeszkodę, wypatrzył kamienistą ścieżkę wrzynającą się w sam środek tej miniaturowej góry. Dobywając pistoletu ruszył nią, sieczony przysnkiem wodnej mgielki od bijącego nieprzerwanie o skałę oceanu. Ubranie Igneł do ciała niczym plastikowa folia. Sapiąc ciężko, parł dalej coraz bardziej stromą ścieżką. Zerknął na czarny, nieogarniony ocean i skręciwszy za skalny załom zatrzymał się. Poświecił latarką. Miał przed sobą krawędź urwiska opadającego pionowo w szalejący w dole Atlantyck.

Promień światła latarki padł na człowieka, którego ścigał. Ośle-

450

piony mężczyzna przymrużył oczy i osłonił je dłonią. Sawyer sapał ciężko, tamten, też wyczerpany forsownym biegiem, robił to samo. Agent pochylał się i oparł jedną ręką o kolano. Żołądek podchodził mu do gardła.

— Co ty tu robisz? — zapytał świszczącym głosem.

Zdyszany Frank Hardy wyteżył wzrok. Ubranie miał przemoczone i powalane piaskiem, porywisty wiatr targał mu włosy.

• Lee? To ty? — wysapał.

• A kogo się spodziewałeś, Frank? Świętego Mikołaja? — wyświszczał Sawyer. — Odpowiadaj.

Hardy po raz ostatni sapnął potężnie.

— Przyleciałem tu z Gamble'em na pewne spotkanie. W trakcie tego spotkania kazał mi wyjść z pokoju, bo ma do załatwienia prywatny interes. A potem rozpętało się istne piekło. Czym prędzej dałem stamtąd nogę. Może ty mi powiesz, co się dzieje?

Sawyer pokręcił z podziwem głową.

— Zawsze potrafiłeś zmyślać na poczekaniu. To dlatego był z ciebie taki wspaniały agent FBI. Zabiłeś i Gamble'a, i Rowe'a, czy też Gamble cię wyręczył i załatwił Rowe'a własnoręcznie?

Hardy przymrużył oczy i popatrzył na niego ponuro.

• Wyjmij pistolet za lufę, Frank, i wrzuć go do oceanu — powiedział Sawyer.

• Jaki pistolet, Lee? Nie jestem uzbrojony.

• Ten pistolet, z którego wygarnąłeś do jednego z moich ludzi rozpętując całą tę strzelaninę... — Sawyer urwał i mocniej ścisnął kolbę własnego pistoletu. — Drugi raz nie będę powtarzał, Frank.

Hardy wyjął powoli pistolet i wyrzucił go za krawędź urwiska. Sawyer sięgnął do kieszeni po papierosa i wsunął go sobie w usta. Pokazał Hardy'emu zapalniczkę.

- Widziałeś już taką, Frank? Nawet tornado jej nie zgasi. Podobnej użyto do strącenia tamtego samolotu.
- Nic nie wiem o zamachu na ten samolot — odparł z irytacją Hardy.

Sawyer przypalił sobie papierosa i zaciągnął się głęboko.

— Nie wiedziałeś. To prawda. Ale we wszystko inne byłeś zamieszany. Założę się nawet, że wyciągnąłeś od Nathana Gambela małą premię. Uszczknąłeś coś z tej ćwierci miliarda dolarów, w zdefraudowanie której wrobiłeś Jasona Archera, podrabiając jego podpis i tak dalej? Niezła robota.

451

- Zwariowałeś! Po co Gamble miałby okradać samego siebie?
- On siebie nie okradł. Te pieniądze trafiły pewnie na setki jego rozmaitych, rozsianych po całym świecie kont. Jestem przekonany, że ten numer z BankTrust to robota Quentina Rowe'a. Również to on włamał się do bazy danych wirgińskiego systemu identyfikacji odcisków palców, żeby pomajstrować przy przechowywanych tam liniach papilarnych Rikera. Jason Archer odkrył plan szantażowania Liebermana i miał w ręku dowody. Musiał się komuś zwierzyć. Komu? Richardowi Lucasowi? Nie sądzę. Lucas był zaufanym człowiekiem Gambela'a.

- To komu powiedział? — Żrenice Hardy'ego zwężyły się do rozmiarów główki szpilki.
- Zwrócił się z tym do ciebie. Do człowieka z zewnątrz. Byłego agenta FBI z długą listą zasług. — To ostatnie zdanie Sawyer wypowiedział z pogardą. — Zwrócił się do ciebie o pomoc w ujawnieniu całej afery. Ale ty nie mogłeś przecież do tego dopuścić. Tri ton Global był twoją dojną krową. Zrezygnować z prywatnych samolotów, ładnych pańienek i markowych ubrań? O, nie. Potem zaaranżowaliście dla mnie małe przedstawienie, z którego wynikało, że ten czarny charakter to Jason Archer — ciągnął Sawyer. — Musieliście pokładać się ze śmiechu, że tak się wam udało wpuścić mnie w maliny. A ściślej, rzekomo udało. Kiedy jednak zauważyliście, że nie kupuję wszystkiego jak leci, zaczęliście się trochę denerwować. To ty podsunąłeś Gambel'owi pomysł zaproponowania mi pracy? Rozrywany między tobą a nim, czułem się doceniany jak nigdy. — Hardy milczał. — Ale to nie było jedyne twoje przedstawienie, Frank.

Sawyer wyciągnął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i założył je. Dziwacznie w nich wyglądał w ciemnościach.

- Pamiętasz tych dwóch facetów z filmu wideo zarejestrowanego w magazynie w Seattle? Byli w okularach przeciwsłonecznych w budynku, w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Dlaczego?
- Nie wiem — wyszeptał Hardy.
- Wiesz, wiesz. Jason myślał, że przekazuje swoje dowody agentom FBI. Wszyscy federalni, przynajmniej na filmach, noszą okulary przeciwsłoneczne, a faceci, których wynajęliście do odegrania tej szopki, lubili pewnie chodzić do kina. Nie mogliście tak po prostu zabić Jasona. Musieliście zdobyć jego zaufanie, upewnić się, czy nikomu nie powiedział. Najważniejszą sprawą było odzyskanie wszystkich dowodów, jakie posiadał. Kasetę

452

wideo dokumentująca moment wymiany musiała zostać nakręcona w naturalnej scenografii, bo miała potem zostać przedstawiona nam jako dowód winy Jasona. Mieliście tylko jedno podejście do nakręcenia tego filmu. Ale Archer był wciąż podejrzliwy. To

dlatego sporządził kopię wszystkich informacji na drugiej dyskietce, którą wysłał później żonie. Powiedzieliście mu, że dostanie od rządu dużą nagrodę, tak? Prawdopodobnie powiedzieliście mu, że jest największym demaskatorem w całej historii FBI.

Hardy milczał.

— Ale Gamble, o czym tobie nie było wiadomo, Frank — podjął Sawyer nie spuszczać oczu z byłego partnera — miał swój własny wielki problem: Arthur Lieberman chciał puścić farbę. Wynajmuje więc Rikera, żeby dokonał zamachu na samolot, którym leci Lieberman. Jestem pewien, że o tym elemencie planu nic nie wiedziałeś. Kazałeś Archerowi wykupić oficjalnie bilet na samolot do Los Angeles, a potem, już na lotnisku, dokonać małej przebieranki i wsiąść w samolot lecący do Seattle, gdzie miał zostać sfilmowany moment wymiany. Lucas to były agent CIA, i prawdopodobnie nadal ma mnóstwo powiązań z byłymi agentami operacyjnymi na Europę Wschodnią, którzy nie mają rodzin, nie mają przeszłości. Gościa, który poleciał zamiast Archera do L.A., nikt nie będzie szukał. Nie miałeś pojęcia, że tym samym samolotem leci Lieberman ani że Gamble chce się go pozbyć. Ale Gamble wiedział, że tylko w ten sposób winą za śmierć Liebermana będzie można obciążyć Archera. I tak pozbywa się za jednym zamachem obu: Archera i Liebermana. Pokazujesz mi film wideo i ja koncentruję się na ściganiu Archera, a o starym, poczciwym Arthurze Liebermanie zupełnie zapominam. Gdyby na scenę nie wkroczył Ed Page, chyba nigdy nie podjąłbym ponownie tamtego tropu.

Nie zapominajmy też o RTG, na którą spada cała wina, dzięki czemu Triton już bez problemów przejmuje CyberCom. Powiedziało ci, że Brophy bawił w Nowym Orleanie. Zainteresowałeś się nim i odkryłeś, że kombinuje z RTG. Zrozumiałeś wtedy, że wspólnie z Goldmanem mogą rzeczywiście dokonać tego, co chciałeś tylko upozorować posługując się Jasonem: przekazać RTG tajemnice Tritona. Kazałeś więc śledzić Brophy'ego i Goldmana, a kiedy nadarzyła się okazja, sprzątnąłeś obu, kierując podejrzenia na Sidney Archer. A czemuż by nie? W taki sam sposób wrobiłeś jej męża... — Sawyer urwał. —

453

Aleś się przepoczwarzył, Frank. Z agenta FBI na współnika rozbudowanej afery kryminalnej. Może zabrać cię na miejsce katastrofy? Chcesz?

• Nie miałem nic wspólnego z zamachem na ten samolot! — wrzasnął Hardy. — Przysięgam!

• Wiem. Ale w pewnym sensie maczałeś w tym palce. — Sawyer zdjął okulary. — Zabiłeś zamachowca.

• Potrafisz to udowodnić? — Oczy Hardy'ego płonęły.

• Sam mi to powiedziałeś, Frank. — Twarz Hardy'ego stężała. — W tym podziemnym parkingu, gdzie załatwiono Brophy'ego i Goldmana. Było tam przeraźliwie zimno. Wyraziłem obawę, że ujemna temperatura może uniemożliwić dokładne określenie momentu zgonu. Pamiętasz, co wtedy powiedziałeś, Frank? Powiedziałeś, że z zamachowcem był ten sam problem. Że instalacja klimatyzacyjna tak samo wyziębiła mieszkanie, w którym go znaleziono.

• I co z tego?

• Nigdy ci nie mówiłem, że w mieszkaniu Rikera klimatyzacja była ustawiona na chłodzenie. Zresztą zaraz po znalezieniu ciała przestawiłem ją z powrotem na grzanie. W żadnym z raportów nie było wzmianki o ustawionej na chłodzenie klimatyzacji, więc stamtąd też nie mogłeś się tego dowiedzieć, nawet gdybyś miał do nich dostęp. — Hardy spopielał na twarzy. — Wiedziałeś

o tym, bo sam ją przestawiłeś na chłodzenie. Kiedy dowiedziałeś się o samolocie, zdałeś sobie sprawę, że Gamble cię wykorzystał. Może oni też zamierzali pozbyć się Rikera. Ale ty chciałeś załatwić to sam. Dotarło to do mnie, kiedy odmrażałem sobie tyłek jadąc tutaj w policyjnej suce.

Dwanaście pocisków, Frank — ciągnął Sawyer. — Przyznaję, że to mi zabiło klina. Byłeś na faceta taki wściekły, że cię trochę poniosło. Wywaliłeś w niego cały magazynek. Podejrzewam, że zostało jeszcze w tobie coś z gliniarza, ale to już koniec.

Hardy z trudem przełknął ślinę; usiłował zapanować nad nerwami.

— Posłuchaj, Lee... Wszyscy, którzy o mnie wiedzieli, nie żyją.

— A co z Jasonem Archerem?

Hardy roześmiał się.

— Jason Archer był głupcem. On też gonił za forszą. Tylko był na to za miękki. Nie to, co ty i ja. Wyobraź sobie, że dręczyły go senne koszmary! — Hardy przysunął się bliżej. — Przymknij

454

oko, Lee. Tylko o to proszę. Od przyszłego miesiąca rozpoczynasz pracę w mojej firmie. Milion dolarów rocznie, pakiet akcji i tak dalej. Będziesz ustawiony do końca życia.

Sawyer wypstryknął w ciemność niedopałek papierosa.

- Pozwól, Frank, że coś sobie wyjaśnimy. Nie lubię zamawiać dań w obcych językach, a z tym pakietem akcji i tak nie wiedziałbym, co robić. — Uniósł pistolet. — Idziemy.

- Nie tak szybko — warknął Hardy, wyciągając z kieszeni dyskietkę. — Chcesz ją mieć, to schowaj broń.

- Chyba żartujesz...

- No, chowaj! — wrzasnął Hardy. — Bo wrzucę ją do Atlantyku. Jeśli mnie puścisz, przyślę ci ją pocztą z jakiejś anonimowej części świata.

Widząc że Sawyer opuszcza powoli broń, uśmiechnął się. Ten uśmiech sprawił, że Sawyer znowu uniósł pistolet.

- Najpierw odpowiesz mi na jedno pytanie. I to teraz.

- Jakie?

Sawyer postąpił krok do przodu, kładąc palec na spuście.

- Co się stało z Jasonem Archerem?

- Posłuchaj, Lee, co to ma za...

- Gdzie jest Jason Archer?! — ryknął Sawyer przekrzykując szum fał. — Jego żona chce to wiedzieć i ty mi to powiesz, Frank. A tak nawiasem mówiąc, tę dyskietkę możesz wyrzucić. Rich Lucas żyje. — Kłamał. Widział zwłoki Lucasa pośrodku pola bitwy, w jakie przeistoczył się hol hotelu. Małomówny ochroniarz zamilkł na dobre. — Chcesz się założyć, że będzie śpiewał jak z nut?

Hardy'emu stężała twarz. Uświadomił sobie, że jego pozycja przetargowa legła właśnie w gruzach.

- Wracajmy do budynku, Lee. Muszę zadzwonić do swojego prawnika. — Chciał ruszyć, ale powstrzymał go widok przyjmującego podręcznikową postawę strzelecką Sawyera.

- Teraz, Frank. Powiesz mi to teraz.

- Idź do diabła! Poinformuj mnie o przysługujących mi prawach, jeśli chcesz, ale zejdź wreszcie ze mnie.

W odpowiedzi Sawyer przesunął pistolet nieco w bok i nacisnął spust. Hardy krzyknął. Pocisk zdarł mu skórę z górnej części prawego ucha. Krew pociekła mu po szyi.

— Zwariowałeś?!

Sawyer celował teraz w głowę Hardy'ego.

- Już ja się postaram, żeby ci zabrali odznakę, emeryturę i na resztę życia wsadzili do mamra, sukinsynu! — wywrzeszczał Hardy. — Będziesz skończony.

- Nie będę. Nie ty jeden potrafisz inscenizować miejsce zbrodni, stary. — Hardy z rosnącym zdumieniem patrzył, jak Sawyer wyciąga zza pazuchy drugi pistolet. — To broń, którą odebrałeś mi podczas walki wręcz. Znajdą ją w twojej dłoni. O twoich morderczych zamiarach świadczyć będzie brak kilku sztuk amunicji w magazynku. — Wskazał lufą na ocean. — Tam nie tak łatwo znaleźć pociski. — Uniósł drugi pistolet. — Byłeś pierwszym agentem, Frank. Chyba wiesz, jaką rolę odegra ten pistolet?

- Cholera, Lee, nie!
- Posłuży mi do zabicia ciebie — ciągnął spokojnie Sawyer.
- Jezu, Lee!
- Gdzie Archer?
- Błagam, Lee. Nie! — zawył Hardy.

Sawyer przysunął mu lufę do głowy. Kiedy Hardy zakrył sobie dłońmi twarz, wyrwał dyskię z jego drżących palców.

- Jak się dobrze zastanowić, to ona może się jeszcze na coś przydać — powiedział, chowając dyskię do kieszeni. — Żegnaj, Frank. — Zaczął naciskać palcem spust.

- Zaczekaj, błagam, zaczekaj! Powiem ci, powiem. — Hardy zachłysnął się i spojrzał na Sawyera. — Jason nie żyje — wykrztusił.

Te trzy słowa poraziły Sawyera. Zwiesił ramiona i poczuł, jak opuszczają go resztki energii. Był właściwie pewien, że taką usłyszy odpowiedź, ale liczył jeszcze na jakiś cud, który przywróci Sidney męża, a jej córeczce ojca. Nagle coś kazało mu się obejrzeć.

Niespełna dwa metry za nim, u szczytu ścieżki, stała przemoczona i rozdygotana Sidney Archer. W miękkiej poświacie księżycy, który wyjrzał w tym momencie zza chmur, spotkały się ich oczy. Słowa nie były potrzebne. Słyszała tę straszną prawdę: Jej mąż już nie wróci.

Od strony urwiska doleciał krzyk. Sawyer jak pchnięty sprężyną obrócił się z pistoletem gotowym do strzału. Hardy znikł. Sawyer dopadł w dwóch susach krawędzi i wychyliwszy się zobaczył, jak dawny partner odbija się od poszarpanych skał i znika w kipieli tłukących o podnóże fal.

456

Patrzył jeszcze przez chwilę w otchłań, a potem wziął szeroki zamach i z całych sił cisnął pistolet daleko w ocean. Popękane żebra przemieściły się przy tym ruchu, ale nie czuł bólu. Zamknął oczy, a potem otworzył je i zapatrzył się we wzburzony Atlantyk. — Cholera!

Przechylił w bok tułów, żeby unieruchomić zebra i ulżyć obolałym płucom. Rozdarła przedramię i poobijana twarz znowu zaczynały krwawić.

Zamarł czując na barku dotyk dłoni. W tych okolicznościach wcale by się nie zdziwił, gdyby Sidney Archer uciekła stąd, gdzie pieprz rośnie; prawdę mówiąc, nawet się tego spodziewał. Ale ona otoczyła go jedną ręką w pasie, jego ramię zarzuciła sobie na szyję i pomogła mu zejść stromą ścieżką na dół.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Pogrzeb Jasona Archera odbył się w pogodny grudniowy dzień. Pochowano go na szczycie pagórka oddalonego o jakieś dwadzieś-

cia minut drogi od jego domu. Podczas uroczystości, gdy wraz z pograżoną po raz drugi w żałobie wdową żegnali zmarłego rodzina i przyjaciele, Sawyer trzymał się na uboczu. Kiedy uczestnicy tej smutnej ceremonii się rozeszli, został jeszcze przy grobie. Przysiadł na jednym ze składanych krzesełek i zapatrzył się na nagrobek ze świeżo wykutymi literami. Chociaż nigdy się nie spotkali, Jason Archer od ponad miesiąca absorbował wszystkie myśli Sawyera. Podczas innych dochodzeń również tak bywało, jednak tym razem stosunek agenta do sprawy był bardziej emocjonalny. Sawyer miał świadomość, że nie mógł zapobiec śmierci tego człowieka, ale mimo to nie opuszczało go poczucie, że zawiódł żonę i córeczkę zmarłego, że temu, co się stało, winna jest jego opieszałość.

Ukrył na chwilę twarz w dłoniach. Rozwiązał sprawę swego życia, a czuł się przegrany jak nigdy dotąd. Wstał z krzeselka, włożył kapelusz i ruszył powoli do samochodu. Nagle zatrzymał się. W alejce stała długa czarna limuzyna. Za opuszczoną szybą widział twarz siedzącej z tyłu kobiety. Sidney patrzyła na wzgórek świeżej ziemi. Po chwili przeniosła wzrok na stojącego bez ruchu Sawyera, i agentowi ścisnęło się serce. Szyba zasunęła się i limuzyna odjechała.

457

W przedwigilijny wieczór Lee Sawyer jechał swoim sedanem, podziwiając domy przy Morgan Lane udekorowane lampkami, girlandami i Świętymi Mikołajami. Na skrzyżowaniu produkowała się grupka opatulonych ciepło kołędników. Wszędzie tutaj wyczuwało się już świąteczny nastrój i tylko jeden dom stał ciemny, jeśli nie liczyć światła w oknie frontowego pokoju.

Sawyer skręcił w podjazd Archerów i wysiadł z wozu. Był w nowym garniturze, upartego koguta przyklepał sobie do głowy najlepiej jak potrafił. Z małą, zapakowaną w ozdobny papier paczuszką w rękę ruszył do drzwi. Chód miał nieco sztywny; żebra jeszcze się dobrze nie zrosły.

Zapukał. Drzwi otworzyła Sidney Archer. Miała na sobie czarne spodnie i białą bluzkę, jasne włosy spływały jej na ramiona. Przybrała trochę na wadze, ale twarz nadal miała wymizerowaną, choć znikły z niej zadrapania i sińce.

Usiedli w living roomie przed kominkiem. Zaproponowała mu jabłecznik i Sawyer nie odmówił. Kiedy wyszła do kuchni, rozejrzał się po pokoju. Na stoliczku pod ścianą leżało pudełko komputerowych dyskietek z czerwonym łukiem na wieczku. Zamiast pod choinką, której nie było, położył przyniesioną paczuszkę na stoliku kawowym.

- Mam nadzieję, że wybierasz się gdzieś na święta? — spytał, kiedy Sidney sadowiła się naprzeciw niego. Upili po łyeczku ciepłego jabłecznika.

- Do rodziców. Kupili dużą choinkę, udekorowali dom. Ojciec ma się przebrać za Mikołaja. Zjadą się też moi bracia z rodzinami. Amy miło spędzi czas.

Sawyer wskazał oczami pudełko dyskietek.

— To chyba jakiś dowcip?

Sidney uśmiechnęła się.

— Dostałam je od Jeffa Fishera. Podziękował mi za najbardziej podniecającą noc życia i zaproponował w zamian dożywotnie darmowe doradztwo z zakresu informatyki.

Sawyer zerknął na wilgotny ręcznik, który przyniosła z kuchni i położyła na stoliku.

— Połóż to pod choinkę, dobrze? — powiedział, podsuwając jej swój prezent. — To dla Amy ode mnie i od Raya. Jego żona wybierała. Lalka, która robi różne sztuczki, no wiesz, mówi,



susia... — urwał zakłopotany. Pociągnął lyczek jabłecznika.  
Sidney uśmiechnęła się.

458

- Bardzo wam dziękuję, Lee. Będzie zachwycona. Dałabym jej już teraz, ale śpi.

- Prezenty najlepiej rozpakowuje się pod choinką.
- Jak tam Ray?
- O, złego diabli nie biorą. Kuśtyka już o kulach.

Sidney nagle pobladła i sięgnęła szybko po ręcznik. Przyłożyła go sobie do ust, zerwała się i wybiegła z pokoju. Sawyer wstał, ale nie poszedł za nią. Usiadł z powrotem. Po paru minutach wróciła.

- Przepraszam, musiałam puścić pawia.
- Kiedy się zorientowałaś, że jesteś w ciąży? — spytał Sawyer. Spojrzała na niego zaskoczona. — Mam czwórkę dzieci, Sidney. Wiem, co oznaczają takie napady mdłości, wierz mi.
- Przed dwoma tygodniami — wybąkała Sidney. — Tamtego ranka przed wyjazdem Jasona... — Przyciskając dłoń do twarzy zaczęła się kołysać w przód i w tył. — Boże, nie mogę się z tym pogodzić. Dlaczego on to zrobił? Dlaczego nic mi nie powiedział? Mógł dalej żyć. Cholera!

Sawyer spuścił wzrok na trzymaną w dłoniach filizankę.

— Próbował zrobić coś dobrego, Sidney. Mógł machnąć ręką na to, co odkrył. Większość ludzi by tak postąpiła. Ale on zdecydował się interweniować. Był dzielnym człowiekiem. Wiele ryzykował, ale robił to dla ciebie i Amy. Nie miałem okazji go poznać, wiem jednak, że was kochał. — Ani myślał uświadamiać Sidney, że do zebrania i przekazania władzom dowodów przeciwko Tritonowi skłoniła Jasona Archera przede wszystkim nadzieja na sowitą rządową nagrodę.

Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

— Skoro nas tak kochał, to czemu zrobił coś tak niebezpiecznego? To bez sensu... Boże, straciłam go dwa razy. Potrafisz sobie wyobrazić, co to za uczucie?

Sawyer odchrząknął i odezwał się cichym głosem:

— Mam przyjaciela, który jest jakby jego przeciwieństwem. Kochał żonę i dzieci tak bardzo, że nie robił dla nich niczego. Dosłownie niczego.

— Lee...

Uniół rękę.

— Przepraszam, Sidney, daj mi dokończyć. Zapewniam cię, że to, co chcę powiedzieć, wiele mnie kosztuje — ciągnął. — Kochał ich tak bardzo, że cały swój czas poświęcał naprawianiu

459

świata z myślą o zapewnieniu im bezpieczeństwa. I czyniąc to nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo krzywdzi osoby, które kocha. Kiedy to wreszcie do niego dotarło, było już za późno. — Gardło mu się ścisnęło. Upił łyk jabłecznika. — Widzisz więc, że czasami ludzie robią najdurniejsze rzeczy z bardzo szlachetnych pobudek. Jason was kochał, Sidney. A jak się dobrze zastanowić, to przecież tylko to się liczy. Musisz o tym pamiętać.

Milczeli przez kilka minut zapatrzeni w płomienie na kominku. W końcu Sawyer spojrzał na Sidney.

— No i co teraz zamierzasz?

Wzruszyła ramionami.

— Kancelaria Tylera i Stone'a straciła dwóch najważniejszych klientów, Tritona i RTG. Ale Henry Wharton był dla mnie bardzo miły. Powiedział, że mogę wrócić, jednak ja się jeszcze waham. — Uniosła ręcznik do ust, jednak po chwili opuściła go

z powrotem na kolana. — Ale chyba nie mam wielkiego wyboru. Z ubezpieczenia na życie Jasona niewiele dostanę. Oszczędności też specjalnych nie mieliśmy. I jeszcze to dziecko w drodze... — Pokręciła z przygnębieniem głową.

Sawyer odczekał chwilę, a potem niespiesznym ruchem sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej kopertę.

- Może to cię podratuje.

Sidney otarła oczy.

- Co to?
- Sama zobacz.

Otworzyła kopertę i wyjęła z niej arkusik papieru. Podniosła wzrok na Sawyera.

— Co to?

• Czek na dwa miliony dolarów. Nie sędzę, żebyś miała kłopoty z realizacją, bo został wystawiony przez Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych.

- Nie rozumiem, Lee.
- Rząd wyznaczył nagrodę w wysokości dwóch milionów dolarów za informacje, które doprowadzą do ujęcia osoby lub osób stojących za terrorystycznym zamachem na samolot.
- Ale ja nic w tym kierunku nie zrobiłam. Nie należy mi się ta nagroda.
- Po raz pierwszy w życiu wręczam komuś czek na taką sumę i muszę się jeszcze z tego tłumaczyć.
- Lee, ja nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

460

— Już je przyjął. Sam czek to formalność. Pieniądze zostały już przelane na konto otwarte specjalnie w tym celu na twoje nazwisko. Charles Tiedman — to prezes Banku Rezerwy Federalnej w San Francisco — powołał już zespół doradców finansowych, którzy pomogą ci te pieniądze korzystnie zainwestować. I to gratis. Tiedman był najbliższym przyjacielem Liebermana. Prosił, żebym ci przekazał najszczerze kondolencje i serdeczne podziękowania.

Początkowo rząd wcale nie chciał wypłacić nagrody Sidney Archer. Lee Sawyer strawił cały dzień na przekonywaniu przedstawicieli Kongresu i Białego Domu do zmiany stanowiska. Ponieważ jednak wszyscy zgadzali się, że szczegóły tej wyrachowanej manipulacji amerykańskimi rynkami finansowymi nie mogą wyjść na jaw, sugestia Sawyera, że wspólnie z Sidney Archer wystawią na aukcję dyskiety, którą odebrał Frankowi Hardy'emu na urwisku w Maine, skłoniła ich wreszcie do zmiany zdania. Ta sugestia i krzesło, którym rzucił w gabinecie prokuratora generalnego.

— Pieniądze są wolne od podatku — dorzucił. — Jesteś ustawiona do końca życia.

Sidney otarła oczy i wsunęła czek z powrotem do koperty. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Ciszę mącił jedynie trzask i skwierczenie ognia płonącego na kominku. W końcu Sawyer zerknął na zegarek i odstawił filiżankę.

- Późno się robi. Pewo&y^Uśrse się\*j,e§j pze przygotować do wyjazdu. A ja mam trochę roboty w biurze. — Podniósł się.
- Czy ty kiedyś odpoczywasz?
- Staram się nie. Bo co bym wtedy robił?

Wstała i zanim zdążył się zorientować, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się.

— Dziękuję — wyszeptwała.

Ledwie dosłyszał jej słowa, ale nie były właściwie potrzebne. Otoczył ją ramionami i stali tak przez chwilę przed tańczącymi na kominku płomieniami, wsłuchując się w coraz bliższy śpiew

kolędników.

W końcu oderwali się od siebie i Sawyer wziął Sidney za rękę.

— Zawsze możesz na mnie liczyć, Sidney. Zawsze.

• Wiem — wyszeptła.

Odrzucił się i ruszył do wyjścia.

• A temu swojemu przyjacielowi — zawołała za nim, kiedy

461

był już przy drzwiach — możesz powiedzieć, że nigdy nie jest za późno.

Skręcając z podjazdu w ulicę Lee Sawyer spojrzął na księżyc w pełni odcinający się ostro na tle czystego, czarnego nieba i zaintonował pod nosem bożonarodzeniową kolędę. Nie wróci jednak do biura. Pojedzie do Raya Jacksona, pobawi się z jego dziećmi, może wypije szklaneczkę grzanego piwa z jajkiem z partnerem i jego żoną. A jutro wybierze się w rajd po sklepach. To ostatni dzwonek, jeśli chce kupić jakieś prezenty. Zrobi dzieciom niespodziankę. Co, u diabła, przecież to Boże Narodzenie. Nie odrywając oczu od jezdni odpiął od paska odznakę FBI, wyjął pistolet z kabury i położył je na fotelu obok. Uśmiechnął się do siebie. Następna sprawa będzie musiała poczekać.

### Od autora

Mariner L800, samolot opisywany na kartach tej powieści, nigdy nie został zbudowany, chociaż niektóre z jego danych technicznych zaczerpnąłem z dokumentacji istniejących maszyn pasażerskich. Zwycięzcy techniki lotniczej wytkną mi zapewne, i słusznie, że metoda, *jaka* posztizyr się saboteżysta detonujący *zamachu na Rejs 3223*, jest raczej grubymi nićmi szyta. Owe „nieścisłości” wprowadziłem z rozmysłem: nie było moim celem, by ta książka stała się poradnikiem dla jakiegoś pomyśleńca.

Z całym szacunkiem dla Zarządu Rezerwy Federalnej, wizja gospodarki kraju kontrolowanej przez garstkę ludzi, którzy na tajnych spotkaniach podejmują arbitralne decyzje, zawsze mnie fascynowała jako pisarza. I nie sądzę, żebym wyolbrzymił rzeczywisty wpływ Zarządu na losy wszystkich obywateli. Trzeba mu jednak oddać, że od lat bezbłędnie prowadzi naszą gospodarkę po burzliwych wodach. Ludzie ci nie mają łatwego zadania i w większości przypadków muszą kierować się intuicją. Chociaż dotkliwie odczuwamy efekty niektórych decyzji Zarządu, możemy być pewni, że podejmowane są one dla dobra kraju jako całości. Nie da się jednak ukryć, że tam, gdzie w tak wąskim kręgu osób koncentruje się tak potężna władza, musi też występować pokusa eksploatacji oceanów nielegalnych zysków. Ileż tu tematów dla pisarza!

Jeśli chodzi o technikę komputerową i informatyczne aspekty powieści, to o ile mi wiadomo, wszystko, co tu opisuję, jest jak najbardziej możliwe do realizacji, a w niektórych przypadkach stosowane już na szeroką skalę czy nawet — tak! — przestarzałe. Licznych korzyści, jakie przynosi rozwój techniki komputerowej, nie da się przecenić; jednak ma ona także swoje ciemne strony. W miarę

463

jak komputery na całym świecie łączą się coraz szybciej w globalną sieć, rośnie również niebezpieczeństwo, że pewnego dnia znajdzie się osoba, która zapragnie przejąć „pełną kontrolę” nad niektórymi ważnymi aspektami naszego życia. Ja zaś, cytując słowa Lee Sawyera,

pytam: „A jeśli to będzie czarny charakter?”.

David Baldacci  
Washington, D.C.  
Styczeń 1997